Jędrzej Kitowicz

OPIS OBYCZAJÓW
ZA PANOWANIA AUGUSTA III

Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej

Uniwersytet Gdański • Polska.pl • NASK

Tekst pochodzi ze zbiorów
„Wirtualnej Biblioteki Literatury Polskiej”
Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego

SPIS TREŚCI

DO CZYTELNIKA 5

O WIARACH, JAKIE BYŁY W POLSZCZE 6

O POBOŻNOŚCI 15

[O bractwach] 16
O szpitalu Dzieciątka Jezus 22
O pannach kanoniczkach 24

O ZWYCZAJACH POBOŻNYCH 27

O postach prywatnych i dobrowolnych 27
O tercjarstwach i dewocjach 28
O pasjach i kapnikach 29
O procesjach i grobach wielkopiątkowych 32
O Kwietnej Niedzieli 36
O rezurekcji 38
O procesjach w Boże Ciało 39
O jasełkach 41
O kołysce 43

O WYCHOWANIU DZIECI 45

O edukacji dzieci od lat siedmiu 48
O szkołach publicznych 49
Dalsze ćwiczenia szkolne 57
O zabawach studenckich 61
O różnym ćwiczeniu studentów 62
O przywilejach studenckich 65
O Dąbrowskim straconym 67
O antypatii studentów dwoistych szkół 70
O Akademii Lwowskiej 71

O STANIE DUCHOWNYM 74

[O zakonie jezuitów] 74
O zakonie pijarskim 76
O misjonarzach św. Wincentego a Paulo 77
O kapucynach 82
O reformatach 84
O bernardynach i innych zakonach 85
O benedyktynach 96

O cystersach ... 99
O panieńskich klasztorach ... 102
O zakonnikach ritus graeci ... 103
Duchowieństwo świeckie obrządku łacińskiego ... 105
O opatach i biskupach łacińskich ... 110

O PALESTRZE ... 115
O kole bijącym się w kije ... 122
O reasumpcji trybunału ... 124
O trybunałach ... 130
O honorach powierszchownych i paradzie deputatów ... 137
O limicie trybunału ... 139
O komisji radomskiej ... 143
O sądach niższych szlacheckich i miejskich ... 146
O torturach ... 148
O sądach kanclerskich ... 154
O sądach referendarskich ... 158
O sądach relacyjnych ... 160
O sądach nuncjaturskich ... 161
O sądach marszałkowskich ... 164
O sądach konsystorskich ... 170

O STANIE ŻOŁNIERSKIM ... 178
O kole chorągwianym ... 183
O deputacji do egzakcji ... 186
O marszu chorągwi husarskich i pancernych ... 188
O powadze towarzystwa usarskiego i pancernego ... 195
O znakach lekkich ... 198
O Siczy i hajdamakach ... 205
O autoramencie cudzoziemskim ... 212
O gwardii pieszej koronnej ... 219
O gwardii konnej koronnej ... 227
O janczarach i węgrach ... 233
O milicji miejskiej ... 237
O żołnierzach ordynackich i częstochowskich ... 238
O żołnierzach nadwornych ... 240
O hetmanach ... 242
O kole rycerskim ... 248

O STANIE DWORSKIM ... 250
O zasługach, czyli zapłacie ... 258
O stołach i bankietach pańskich ... 264
O potrawach staroświeckich ... 266

O potrawach nowomodnych ... 268
O porządkach i cukrach stołowych ... 272
O trunkach i pijatykach ... 277
O sławniejszych pijakach ... 280
O trunkach ... 286
O częstowaniach i pijatykach sejmikowych ... 292
O strojach, czyli sukniach ... 294
O strojach białogłowskich ... 311
O łóżkach i pościelach ... 320
O pałacach i domach szlacheckich ... 321
O karetach i powozach ... 329
O koniach i szorach ... 335
O zjazdach publicznych ... 336
O zapustach i kuligach ... 342
Comber ... 345
O Wstępnej Środzie ... 345
O ciemnej jutrzni i Wielkiej Środzie ... 347
O Wielkim Piątku ... 348
O dyngusie ... 348
O sobótce ... 350
O workach i zegarkach ... 351
O pierścionkach i szpinkach ... 353
O tabace i tabakierkach ... 354
O kartoflach ... 357
O zabawach domowych ... 358
O grach szulerskich ... 359
O redutach ... 364
O rugach ... 369
O sejmach ... 371
O sesjach prowincjonalnych ... 379
O senatus konsyliach ... 380

O OBYCZAJACH CHŁOPSKICH ... 382

DO CZYTELNIKA

Lubo nic masz nic nowego pod słońcem, jako powiedział Salomon, jednakowoż rzeczy na świecie, odmieniając się ustawicznie według przepisanego im od Stwórcy prawa i za koleją jedne po drugich następując, nowymi być się zdają, chociaż już dawniej były. A że ludzie pospolicie lubią nowe rzeczy bardziej niż stare, nowymi zaś są wszystkie dawne dla tych, którzy ich nie widzieli, przeto, chcąc dogodzić powszechnemu gustowi, umyśliłem dawniejsze obyczaje polskie, jakie zaznałem za panowania Augusta III i następnie panującego po nim Stanisława Augusta, wystawić potomności w dwóch osobnych opisaniach. Ci, co przed nami żyli stem lat prędzej, jak czytamy z dziejów dawnych, w cale byli odmiennych od naszych obyczajów. Sama nawet postać dawnych Polaków odmienna dużo była od dzisiejszych, co się dosyć doskonale ukazuje w portretach i posągach staroświeckich. Ci, co po nas nastąpią za lat sto Polacy, pewnie się od nas dzisiaj żyjących tak będą różnili, jak się my różniemy od dawniejszych. Niechże potomność, dla której to piszę, przegląda się w dawniejszych i nowszych obyczajach, z dobrych niechaj wzór bierze, złych niechaj się wystrzega. Za omyłki w pisaniu przepraszam mojego Czytelnika. Jeżeli będę miał czas, poprawić ich zechcę. Jeżeli nie będę, wybaczyć mi raczy.

O WIARACH, JAKIE BYŁY W POLSZCZE

Najpierwsza wiara w Polszcze panująca była za Augusta III i jest dotychczas, acz ozięblejsza, **katolicka rzymska**. Druga, od niepamiętnych czasów zadawniona, pełno wszędzie swoich wyznawców mająca, **żydowska**. Trzecia, później z tureckiego państwa wprowadzona w małej liczbie, bo tylko w Lucku na Wołyniu i w Haliczu na Podolu, **Karaimów**; jest to sekta Starego Testamentu; trzymają się Karaimi samej Biblii, odrzucają Talmud i inne ustawy rabinów żydowskich. Są to podobno potomkowie Samarytanów, w Ewangelii często wspomnionych. Żyją przemysłem tak jak Żydzi, chodzą po polsku, a raczej po tatarsku z brodami, krymki noszą pod czapkami, z Żydami nie cierpią się wzajemnie. Nie dostało mi się nigdzie więcej ich widzieć, tylko w jednym Łucku, gdzie może ich być na 80 gospodarza.

Czwarta wiara – **luterska**, piąta – **kalwińska**. Tych dwóch wiar jest dosyć znaczna liczba po miastach i miasteczkach wielkopolskich, mianowicie nad granicą szląską, bradeburską i w Prusach. Jest dosyć familij szlacheckich lutrów i kalwinów, osobliwie w Wielkiej Polszcze i w Litwie, a oprócz tego znajdują się w Krakowskiem, Sendomirskiem i Lubelskiem. Po niektórych miastach mieli pod panowaniem Augusta III swoje kościoły i oratoria, jako też szkoły dla swojej młodzieży. Nie mieli jednak liberum exercitium obrządków swoich, prócz w jednym Lesznie w Wielkiej Polszcze i w drugiej Wschowie, w których dwóch miastach większa połowa mieszczan składa się r dysydentów. W Lesznie lutrzy i kalwini mają swoje kościoły. Miasto Wschowa z dawnych praw swoich nie przyjmuje dotąd żadnego kalwina. Sami tylko są lutrzy i katolicy. Mieli także lutrzy i kalwini po wielu wsiach i miastach kościoły, tak z dawna prawami polskimi pozwolone, jako też podczas rewolucji szwedzkich przy protekcji tych monarchów jako dysydentów powystawiane, które niektórzy panowie polscy katolickiego wyznania odbierali im za dekretami trybunalskimi albo też gwałtowną mocą wywracali.

Tak robił niejaki Bońkowski, miecznik poznański. Ten jeździł z dragonią nadworną Krzysztofa Szembeka, prymasa, od przysłowia, które miał w mowie, nazwanego Bale bale. Gdzie tylko dysydenci nie

mogli pokazać na swój kościół, czyli jak przedtem zwano – krypci, prawa od Rzeczypospolitej albo choć mieli prawo, ale od biskupa do reparacji jego, gdy się podstarzał, nie mieli pozwolenia, a reparowali, wszędzie takowe krypie burzył lub podcinał. Jeżeli zaś gdzie dysydenci oparli mu się mocą i nie dozwolili burzenia krypta swego, porywał takowych do trybunału, albo też dysydenci o gwałtowność poniesioną na kryplu lub osobach swoich jego pozywali, tak że Regestr arianismi, który wtenczas był w trybunale i do którego sprawy religii należały, pełen był zawsze spraw Bońkowskiego przeciw rozmaitym dysydentom. Dla czego pospolicie nazywano go plenipotentem Pana Jezusa, na której plenipotencji, całe życie pilnowanej, stracił dziedziczną fortunę ziemską w nadzieję otrzymania za to niebieskiej.

Prymas Szembek wyżej wzmiankowany, będąc wielce świątobliwym i pragnącym wytępienia heretyków, dodawał mu znacznie pieniędzy na ten interes, który jednak żadnego skutku nie miał, bo panowie inni, chcąc mieć miasta i wsie jak najludniejsze, zewsząd dysydentów do swoich dóbr przyjmowali. W miastach także królewskich i ekonomiach pod panowaniem saskim za protekcją ministra dysydenta wielu Sasów lutrów osiadało, którzy smakując sobie w polskim chlebie i mając się z niego dobrze, niewiele o to dbali, że im kryplów stawiać nie pozwalano, obywając się dawnymi, które utrzymanymi być mogły; a tak żarliwość kilku nie przemogła protekcji większej liczby. Po śmierci Bońkowskiego i Szembeka nicht już więcej nie kłócił się z dysydentami, tylko jeden Kręski, szlachcic z ziemi wieluńskiej, który na proces z kalwinami o krypel w Kręsku, wsi jego dziedzicznej, całe życie toczony, strącił także substancją, jak i Bońkowski, dzieci swoje w ubóstwie zostawiwszy.

Coraz bardziej pod panowaniem Augusta III wzmagała się w Polszcze luteria i kalwinizm. Przy dworze królewskim najwięcej było lutrów, jako Sasów u króla Sasa. Panowie wielcy najwięcej podobali sobie w służących dysydentach, iż ci ludzie, chcąc się utrzymać i dorobić chleba w obcym kraju, sprawowali się skromniej, trzeźwiej i z większą aplikacją niż Polacy. Biskupi nawet i prałaci, porzuciwszy dawniejsze szkrupuły, mieścili w usługach swoich dysydentów. A tak te wiarki nie mając z niskąd wstrętu, owszem miłe u pierwszych osób przytulenie, cisnęli się, jak mogli, do Polski i rozmnażali.

Szósta wiara **mahometańska**, ta zaś gniazdo swoje ma w Litwie, wprowadzone od Witolda, książęcia litewskiego, który kilkadziesiąt familij tatarskich sprowadził z Półwyspu Krymskiego i tam ich osadził,

nadawszy niektóre grunta dziedzicznym prawem, które do dziś dnia posiadają.

Siódma – **schizmatycka grecka**; ta się znajdowała pod panowaniem Augusta III na Podlasiu w Drohiczynie, w dobrach słuckich książąt Radziwiłłów, w Litwie i na Rusi po wielu miejscach. Ósma – **filipowców**; ta się znajduje na Rusi tylko i w małej liczbie; ma to być jeden gatunek z kwakrami, o których zaraz. Dziewiąta – **manistów** albo **kwakrów**, którzy się lokowali około Gdańska i w samy m Gdańsku.

Dziesiąta – **farmasonów**, czyli **freymasonów**, jeżeli się ta kompania wiarą nazwać może, bo pospolicie ci, co są farmazonami, powiadają, że ta ich kompania nic do wiary nie należy, tylko jest jak konfraternia; przyjmują do niej wszelkiej wiary ludzi, rozmaitych stanów, nawet i duchownych, którzy mają przymioty od tej wiary, czyli konfraterni, przepisane; ale tak przymioty osób, jako też powinności konfraterni chowają pod wielkim sekretem, którego dotychczas nie docieczono, choć na to w różnych państwach surowe urzędowe bywały inkwizycje. Fraumasonowie mają między sobą jakieś niedościgłe znaki, po których jeden drugiego pozna, choć do siebie słowa o tym, że są farmazonami, nie przemówią, i kto trzeci niefarmazon będzie między nimi, tego znaku wcale nie postrzeże. Do Polski tę sektę, czyli konfraternią, przywiózł z Paryża Andrzej Mokronowski, który umarł wojewodą mazowieckim.

Gdy się ta sekta rozeszła między pany po Warszawie, a żaden z tych sektarzów nie chciał się do niej zrazu przyznać, konsystorz warszawski nie mając, komu by mógł proces formować, i nie wiedząc o co, wydał tylko rozkaz do duchowieństwa, ażeby prawowiernych przestrzegało z ambon o pojawiającej się nowej sekcie, aby się jej strzegli; która musi być zła, gdy się na jaw nie chce wydać, bo co dobrego, światła nie unika. To wołanie po ambonach uczyniwszy zwierszchność duchowna, podług swojej troskliwości pasterskiej o owieczki prawowierne, nareszcie umilkła, nie wiedząc dalej, przeciw komu wołać i o co. Farmazonowie zaś swoje zgromadzenie w sekrecie powiększali, raz rosnąc, drugi raz malejąc, według liczby przybywających do nich albo odstępujących. Rzecz podziwienia godna, że między tylu osobami rozmaitego stanu, w różnych państwach, przy rozmaitych usiłowaniach zwierszchności krajowych, nie znalazł się ani jeden taki farmazon, który by wydał ustawy tego bractwa. Nawet ci, którzy odstąpili od niego, z ściśle zachowanym sekretem poumierali. Nawet ten sam Mokronowski, wódz polskich farmazonów, umierając w Warszawie z katolicką wy-

prawą duszy w drogę wieczności, po uczynionej spowiedzi, po przyjęciu wiatyku i ostatniego pomazania, gdy do przytomnych wyrzekł te słowa: „Teraz będę spokojnie umierał, kiedym się z Bogiem moim pojednał", po staremu o fraumasonach nic a nic nie doniósł, choć w młodszym wieku, że jest farmazonem, z tym się nie taił.

Ku końcu panowania Augusta III przybyła do Polski sekta jedenasta – **ciapciuchów**. Początek jej takowy: Żyd bogaty w tureckim państwie, imieniem Frenek, będąc wielkim czytelnikiem Biblii, stosując wszystkie proroctwa z tymi skutkami, które zaszły w religii i narodzie żydowskim, został przekonanym, że Mesjasz przepowiedziany przez proroków już przyszedł, że zatem Stary Zakon ustał, a nowe prawo koniecznie do zbawienia potrzebne zajaśniało, którego światłem (jak on powiadał) tak był na rozumie i woli przeniknionym, że żadną miarą nie mógł się dłużej pozostać w dawnych błędach żydowskich. Tego oświecenia boskiego zwierzył się kilkom przyjaciołom swoim, a ci znowu pociągnęli do niego więcej innych Żydów, tak iż w kilkanaście familij wyszedł z Tureczczyzny do Polski, ponieważ tam czynić odmianę w religii niebezpieczno mu zdawało się. Ukazał się najprzód w diecezji kijowskiej, potem w łuckiej, coraz większą liczbę Żydów do siebie pociągając, ponieważ będąc wielce bogatym, wszystkich prozelitów swoich żywił i potrzeby ich opatrywał. Przez dwa roki ci nowowiercy nie przyjmowali chrztu ani też Starego Testamentu nie zachowywali, w którego przestępstwie wielokrotnie poszlakowani od Żydów, byli zapozwani do konsystorzów, najprzód do kijowskiego, a potem do łuckiego.

Sami biskupi zasiadali na tej sprawie, po wielekroć roztrząsanej. Acz Frenek z swoimi naśladowcami na tych sądach, a raczej na tych dysputach, nic na stronę chrześcijańskiej wiary nie konkludował, tylko że Mesjasz już przyszedł, dowodził, a najgruntowniej fałsze Talmudów zbijał, dla czego z początku nazywano partią frenkowską kontratalmudystami. Gdy zaś ani wiary żydowskiej nie zachowywali, ani się do chrześcijańskiej nie mieli, ale coś trzeciego między tym dwojgiem wznawiali, taki troisty wyrok dano im do obrania: albo chrzest przyjąć, albo się do żydostwa powrócić, albo z kraju ustąpić.

Frenek, któremu kraj polski do zamysłów jego skrytych najzdatniejszym się być zdawał, obrał sobie chrzest, który z całą partią swoją, kilkaset dusz wynoszącą, przyjął. Wielu panów na Rusi, w Krakowskiem i Sendomirskiem z przywiązania do wiary św. katolickiej tych nowochrzczeńców do miast swoich przyjęli, nadawszy im darmo domostwa i grunta, od katolików lub Żydów odkupione. Żydzi zaś za

wzgardę Starego Testamentu, chrztem przyjętym wyrządzoną, nazwali ich ciapciuchami, co podobno jedno znaczy, co łajdakami. Frenek z innymi, którzy nie mieli żon ani gospodarstwa, którzy się przy nim wieszali i jakby straż jego formowali, udał się do króla, jako większej szczodrobliwości nad innych i opatrzenia wygodniejszej ostoi potrzebujący. Wjechał do Warszawy karetą sześciokonną, otoczony asystencją swoją, dzidami i szablami uzbrojoną, której zawsze używał, gdy się publicznie pokazywał. Król mając go za człowieka, który znaczne pomnożenie wierze świętej katolickiej w krótkim czasie uczynił i który w przyszłym czasie większe uczynić może, dał mu audiencją (co u Augusta III dla Frenka było honorem niemałym), upewnił go o dalszej swojej protekcji i opatrzeniu siedliska wygodnego, naprędce zaś kazał tak dla niego, jako też jego asystencji dać stancje i żywność z kasy swojej królewskiej.

Lokowali się ci ciapciuchowie (tak ich będę dalej nazywał) w parochii misjonarskiej, w tyle ogroda misjonarskiego, kilka niedziel bawiąc nieczynni i jakoby oczekujący na dalsze względem siebie Jego Królewskiej Mości rozporządzenie i ucząc się guidem doskonalej nowo przyjętej nauki Chrystusowej.

Gospodarz, u którego stal Frenek, uważając często schodzących się do niego w pewne godziny ciapciuchów, bawiących długo i zamykających się z nim, a potem razem po odbytej schadzce wychodzących – wzięła go ciekawość dowiedzenia się, co oni z swoim Frenkiem robią; więc przez szpary w izbie, do której się schodzili, porobione dojrzał, że Frenek na krześle wysoko postawionym zasiadał, że im coś przepowiedał, że ciapciuchowie, otoczywszy go w koło, na kolana padali i czołem w ziemię przed nim bili.

Wypatrzywszy ich tak gospodarz po kilka razy i kilkom innym katolikom dla świadectwa lepszego pokazawszy, dat znać misjonarzom o tym, co widział. Śliwicki, wizytator misjonarski, natychmiast uwiadomił króla. Król kazał Frenka wziąć w areszt i przeprowadzić do misjonarzów z kilką przedniejszymi ciapciuchami dla wyegzaminowania ich, jak wierzyli i jakie zamysły mieli, nie czyniąc im ani innym ciapciuchom po kwaterach zostawionym żadnej przykrości. Bawili u misjonarzów na tych egzaminach ze dwie niedzieli. Nie mogli misjonarze z Frenka nic więcej wyciągnąć, tylko tyle, że oprócz Chrystusa, którego wiarę przyjął i ze wszystkim trzyma, według nauki powziętej z Biblii Starego Testamentu jeszcze ma być drugi Mesjasz, który nawróci do siebie wszystkich Żydów, a tego mniemania swego dowodził słowy,

wziętymi z Psalmu 86: „Homo et homo natus est in ea", w czym nie dał się przeprzeć. O sobie jednak, że się miał za tego drugiego Mesjasza, żadnym sposobem się nie wymówił. Drudzy zaś ciapciuchowie na egzamen wzięci, osobno porozsadzani, wyznając także wiarę katolicką za prawdziwą jako i Frenek, z tym się tylko wygadali, iż dlatego Frenkowi oddawali przyklękania i czołobitne ukłony, że nad jego głową kilka razy widzieli jasność na kształt płomienia, a przeto mają go za proroka, który ich z wiary błędnej nawrócił do prawdziwej.

Dwór z tych badaniów poznawszy, że Frenek ma sposobność do mamienia ludzi, ażeby mu umknąć okazji do tego głupstwa, odesłał go do Częstochowy, osadziwszy tam z żoną i córką o jego własnym koszcie, na który wystarczały mu pieniądze z Tureczczyzny z jego handlu, który tam ma znaczny, corocznie dosyłane. Jego żona tak była delikatna, czyli tak wykwintna, iż pokarmu do gęby ani napoju swymi rękami sobie nie podawała, ale ją inna kobieta, służąca, jak małe dziecko karmiła. Lecz w Częstochowie odpadły ją te grymasy, jadła potem sama i inne drobne potrzeby sama sobie rękami własnymi ułatwiała. Ciapciuchowie pozbywszy głowy, od króla do tego opuszczeni, rozeszli się w różne strony.

Gdy potem pod panowaniem Stanisława Augusta powstała zawierucha w kraju, wielu z nich przeniosło się do Warszawy. Opiszę ich religią pod panowaniem tego króla, gdy będę pisał o wiarach i obyczajach polskich pod jego panowaniem. Tu zaś kończę portret ciapciuchów tak ich wystawując, jakimi byli za czasów Augusta III. Żyjąc oni w małych gromadkach, po różnych miastach osiadłych, okazywali chrześcijan bez wszelkiej przysady Starego Zakonu wiarę przyjętą Chrystusową wyznających, a przynajmniej nie byli poszlakowani w żadnym mięszaniu Starego Zakonu z Nowym. Frenek, ich pryncypał, siedział w Częstochowie z żoną i córką (jako się wyżej rzekło) aż do roku 1772, którego, po ustąpieniu dobrowolnym konfederatów z tej fortecy, weszli do niej Moskale. Książę Galliczyn, generał moskiewski, czyli z dołożeniem się króla, czyli z domysłu swego, wypuścił Frenka, a ten nie śmiejąc więcej dosiadywać w Polszcze, gdzie jego mesjaszowską godność tak upodlono, wyniósł się do Szląska, a stamtąd do Frankfortu nad Odrą.

Dwunastą wiarą albo raczej powszechną niewiarą można nazwać **deistów**. Ci odrzucają naukę objawienia, przeto wszystkimi religiami za równo pogardzają mniemając, że światło rozumu dosyć jest zdolne do objaśniania człowieka między wyborem złego i dobrego. A że tylo

jest rozumów, ile głów ludzkich, zdaniem i skłonnościami od siebie różnych, przeto każdy deista tak się sprawuje, jak mu dyktuje jego rozum pasją lub interesem omamiony, nie uważając na żadne postrachy przyszłego życia, które religia jakakolwiek swoim wyznawcom za największy bodziec do szanowania jej i stosowania obyczajów do przepisów onej wystawuje. Same tylko kary cywilne są u nich hamulcem od złego. I ten to jest ich rozum: nie czynić tego złego, za które może być kara, a co się może wypełnić bez kary, to wszystko dobre.

Deistowie byli w Polszcze jako i wszędzie dawniejszych wieków; lecz że w Polszcze były prawa ostre dawnymi czasy na ludzi przewrotnych, mianowicie na bluźnierców religii katolickiej albo jej jawnie nie zachowujących, a do niej urodzeniem lub przyjęciem należących, dlatego nicht, choć był w sercu deistą, to jest bez wiary człowiekiem, nie śmiał się z tym wydać, owszem zachowywaniem powierszchownym obrządków religii starał się uchodzić za człowieka mającego religią, bo Regestr arianismi, który znajdował się w trybunałach, szczególnie do spraw przeciw Bogu i wierze świętej katolickiej wyznaczony, był każdemu bluźniercy lub gardzicielowi nauk wiary straszny, karząc garłem pospolicie tych, którzy do niego byli zapozwani i przekonani.

Na końcu panowania Augusta III, którego dwór był złożony z samych dysydentów, a na czele miał ministra lutra, Regestr arianismi przestal być strasznym, bo protekcja tego ministra wszystkich wyśmiewaczów religii katolickiej zasłaniała. Młódź polska, pospolicie dla przepolerowania obyczajów i rozumu za granicę wysyłana, powracała do kraju zarażona deizmem i libertynizmem. Metrowie, używani do paniąt edukowanych w kraju, pospolicie bywali cudzoziemcy, w kraju swoim dla małych talentów i złych obyczajów pożywienia lub miru nie mający, najczęściej Francuzi, którzy z przyrodzenia są lekkomyślni w zdaniach religii (jako dawno napisał o nich Barklajusz: „Credunt quod volunt, rident quod colunt.") Tacy nauczyciele, mało mający bogobojności, napawali uczniów swoich rozwiozłymi zdaniami, punkt honoru przekładali im za cel podczciwego człowieka, a zaś bojaźń sądu i piekła po śmierci tylko mieć kazali za postrachy wymyślone dla podłego gminu, aby go utrzymać w posłuszeństwie, który inaczej nie umie szacować cnoty, tylko przez obawę kary za zbrodnie jej przeciwne. Być podczciwym (według nich) człowiekiem jest uznawać Boga za Stwórcę i najwyższego pana wszech rzeczy, królowi swemu być wiernym, ojczyznę swoją kochać, nikomu nie czynić krzywdy, ile możności bez swojej szkody, i we wszystkich sprawach swoich oglądać się na przy-

stojność stanu swego, przynajmniej powierszchownie, jeżeli natura nie może zachować jej wewnętrznie.

To cały sumariusz, czyli zbiór nauki i przykazania deistów, które być powinny zachowane. Tajemnice zaś o istocie bóstwa pod utratą zbawienia od wiary podane do wierzenia, sposób czczenia Boga zewnętrzny i wewnętrzny, sakramenta, posty i inne umartwienia ciała, bractwa i różne nabożeństwa, zgoła wszystkę naukę kościelną o Bogu i obyczajach udawali albo za wcale niepotrzebną, albo przynajmniej tak obojętną, o której potrzebie rozum czysty i wysoki doskonale przekonanym być nie może. Takimi zdaniami, często od metrów swoich słyszanymi, zarażeni uczniowie po skończonej edukacji, gdy się chwycili czytania ksiąg Woltera, Russa, Spinozy i innych bezbożników, wdawszy się do tego w kompanie rozwiozłych ludzi, formowali się w deistów doskonałych.

Lecz ta zaraza pod panowaniem Augusta III, świątobliwego pana, jeszcze nie była tak śmiała, jaką się wkrótce potem uczyniła; okrywała się płaszczykiem prawowierności i nie śmiała przedrwiewać z tego, cokolwiek należało do religii. Nie znajdowała się też tylko między panami, po trosze między szlachtą majętniejszą i kupcami bogatszymi, którzy przez dostatek fortuny lubią się sadzić na edukacją dzieci, pańskiej wyrównywającą. Deizm tedy rozszerzył się w Polszcze przez metrów, przez paniczów za granicę wysyłanych, przez książki.

Można przydać do tych źródeł jeszcze jedno:

Księża pijarowie Konarscy, dwaj bracia wodzący rej w tym zakonie, dla pożytku zakonu i nabycia dla siebie reputacji u pierwszych panów, blisko swego klasztoru, czyli (jak go nazywali emulując z jezuitami) kolegium, wystawili w Warszawie wspaniały konwikt, do którego nazgromadzali paniąt z całego kraju. Prawda, że przed nimi dawniej księża teatyni zatrudniali się edukacją paniąt, ale ich konwikt nie mieścił więcej jak 20 i nie uczyli więcej jak łaciny i języka francuskiego. Księża zaś pijarowie miewali w swoim konwikcie po kilkadziesiąt konwiktorów i uczyli nie tylko łaciny, ale też różnych języków i sztuk kawalerskich, jako to fechtowania, tańcowania i na koniu jeżdżenia. Łaciny uczyli sami, do języków zaś i sztuk kawalerskich przyjęli metrów cudzoziemców, nie czyniąc żadnego wyboru między nimi względem wiary, ile że ci metrowie, w mieście mieszkający, tylko do konwiktu na swoje godziny przychodzili, ale mieli sposobność w tej godzinie, kiedy paniętom dawali lekcje, podszeptywać im przez konwersacją rozmaite szkodliwe zdania.

Księża pijarowie prawda – konwiktorom swoim dawali tak jak i w publicznych szkołach nauki duchowne, inspirowali im pobożność przez zwyczajne dla młodzieży exercitia, spowiedzi miesięczne, egzorty w oratoriach, ale w pewnych czasach wyprawiali komedie, do udawania których chłopców piękniejszych za panny, mniej gładszych zaś albo żwawszych za kawalerów przebierali, potem w każde ostatki zapustne prowadzali swoich konwiktorów do jakiej kompanii panien z umysłu na to zebranych, z którymi owiż konwiktorowie rozmaite tańce na kształt popisu z nauki odprawowali. A tak jeżeli im cokolwiek nabili głowy pobożnością przez nauki duchowne w oratoriach, to wybili w cale na komediach przez naśladowane umizgi do kobiet i przez prawdziwe zaloty zapustne i tańce z kobietami. Co wszystko po trosze skłaniało do rozwiozłości obyczajów, a rozwiozłość do pogardy wiary, pogarda zaś do deizmu.

O POBOŻNOŚCI

Wystawiłem Czytelnikowi memu wiary, czyli religie, które się znajdowały w Polszcze za panowania Augusta III. A że wiara katolicka prym trzyma w tym królestwie, jej zaś podziałem jest pobożność i nauka o Bogu, ta zaś nauka jedna jest i nigdy nieodmienna w całym Kościele i po wszystkie wieki jedna była i będzie w prawdziwym Kościele Chrystusowym, który jest jeden katolicki rzymski, dlatego nie mam co o tej nauce pisać. Ale drugi jej podział, pobożność, ten że się odmienia w ludziach podług okoliczności: raz się natężając, drugi raz słabiejąc, przeto o pobożności katolickiej za czasów Augusta III jest co pisać i zda mi się, że ten opis pobożności dawniejszej będzie nowym wizerunkiem przyszłemu Polakowi.

A najprzód zaczynam od powszechnego wszystkim pospolitego nabożeństwa, które się odprawia po kościołach. To bywało bardzo częste, osobliwie w wielkich miastach, z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, z kazaniami i procesjami wewnątrz kościoła, które nabożeństwa ogłaszali duchowni przez kotły i trębaczów przed tym kościołem w wieczór, w którym się nazajutrz takowe nabożeństwo odprawiać miało, na które nabożeństwo schodzili się gromadnie prawowierni obojej płci, a nawet wielcy panowie i panie. W kościołach jezuickich co dzień rano o godzinie siódmej odprawiała się msza z wystawieniem Sakramentu Ciała Pańskiego w puszcze, z śpiewaniem przed mszą O salutaris Hostia (są to dwie ostatnie strofy z hymnu na Boże Ciało, znajdującego się w pacierzach kapłańskich) i dawaniem przeżegnania ludowi tąż puszką. Po mszy śpiewał kapłan z ludem Święty Boże, potem powtarzającym trzy razy: Salvum fac, co także jest na końcu hymnu znajomego Te Deum laudamus. Na ostatku zaczął modlitwę śpiewanym głosem: Fiant, Domine, którą lud kończył, a kapłan na tych słowach: „regionem islam”, dając powtórne przeżegnanie, chował puszkę do cyborium. Na tę mszą schodziło się najwięcej pospólstwa, a jeżeli z dystyngwowanych, to szczególniej nabożniejsi, którzy mogli raniej wstawać, bo inni panowie i panie, lubiące długo sypiać i nie chcące się pokazać, tylko wystrojone, nie przybywały do kościołów rychlej jak na wielkie nabożeństwo przed południem.

Oprócz nabożeństw uroczystych schodzili się panowie i pospólstwo na nabożeństwa parochialne co święto i co niedziela na mszą śpiewaną i na kazanie, jako też na nieszpory. Gdzie się znajdował kaznodzieja lepszy, tam bywał większy nacisk ludu, tak że kościół objąć ich nie mógł. A nie tylko w dni święte, ale też i w dni powszednie z trudna kto mający czas wolny opuszczał mszą świętą. Po wsiach zaś mięszkająca szlachta – jedni możniejsi, którzy mieli pozwolenie od zwierszchności duchownej na kaplice, trzymali kapelanów, którzy dla państwa i służących mniej zatrudnionych co dzień mszą świętą odprawiali, a w wieczór, zszedłszy się wszyscy do kaplicy, odprawiali nabożeństwo, pospolicie z litaniów różnych i pieśni tudzież modlitew złożone, po którym wziąwszy od kapelana pokropienie święconą wodą, na wczas się rozchodzili. W święta zaś uroczystsze zjeżdżali się na nabożeństwo do parochialnego kościoła albo do jakiego bliższego, mianowicie do zakonników, u których więcej niż w parochialnym kościele bywać zwykło nabożeństwa. Który zaś szlachcic nie chował kapelana, tedy sam z domownikami swymi nabożeństwa wieczorne odprawował, do rannych nie zwołując czeladzi, prędzej, niż pan wstał, robotą swoją zaprzątnionej. Spowiedź i komunią wielkanocną wszyscy, nawet i wielcy panowie odbywali.

[O bractwach]

Bractwa, końcem pomnożenia chwały boskiej z dawna do Polski wprowadzone, były w wielkim szacunku. Te zaś byty znakomitsze: najprzód w szkotach dla studentów tak u jezuitów, jak u pijarów była kongregacja Sodalitatis Marianae. Dzieliła się na większą dla filozofów i teologów i na mniejszą niższych szkół. Każda miała swego prefekta, który w święta pewne z swoimi sodalisami odprawiał kongregacją. Mawiano na niej recitative Officium Immaculatae Conceptionis, potem ksiądz prefekt miał egzortę do sodalisów, zachęcając ich do życia jak najniewinniejszego i do bronienia honoru Matki Boskiej. Egzaminowano potem, jeżeli który sodalis nie jest w jakim znacznym występku notowany; co kiedy się pokazało, zostawał ekskludowany nie tylko z kongregacji, ale też i ze szkół.

Ekskluzja ze szkól była tak straszna dla studentów jak klątwa kościelna; wystrzegali się wszyscy przestawać, a nawet i mówić z ekskludowanym, tak jakby z wyklętym. Występek ściągający na siebie eks-

kluzją bywał pospolicie: przenoszenie się w biegu szkół nieopowiedne z jednych do drugich, gdzie byty dwoiste, jak to trafiało się w niektórych miastach, że były szkoły pijarskie i jezuickie; nocne grasowania i lusztyki po szynkowniach, po dwoistym napomnieniu lub karze szkolnej nie zaniechane; psota wyrządzona jakiej panience albo intryga z mężatką przez męża dowiedziona. Które ostatnie dwa przypadki nie miały żadnego gradusu admonicji, ale prosto karane były ekskluzją z przydatkiem, jeżeli winowajca mógł być pochwycony, stu batogów. W takowe występki, rzadko zdarzane, wpadali sami dyrektorowie uczący mniejszych studentów i sami będąc studentami. Ci zazwyczaj bywali mężczyźni dorośli pod wąsami i nie tak dla nauki, jak dla sposobu do życia szkoły traktowali, po skończonym raz kursie filozoficznym i teologicznym zaczynając go drugi raz albo też wziąwszy patenta z jednych szkół, o dobrym sprawowaniu się świadczące, przenosząc się do drugich.

Mali sodalisowie za małe przewinienia, jako to nieodbywania powinności sodaliskich, nieskromne sprawowania się podczas kongregacji, nieznajdowanie się częste na niej, karane bywały degradowaniem sodalisa na tyrona. Sodalis był ten, który był przyjęty do księgi sodaliskiej i w obecności kongregacji uczynił niby profesją; był to pewny formularz, którym sodalis każdy obowiązywał się szczególniejszym sposobem służeć Najświętszej Pannie tak nabożeństwem do niej, jako też niewinnym życiem. Tyro nazywał się, który dopiero do kongregacji przystępował i miał pewne czasy do wysługi i nauczenia się Sodalitatis obowiązków zamierzone. Sodalisowie na kongregacjach zasiadali w ławkach, tyronowie stali na środku w oratoriach albo klęczeli, jeżeli co przewinili; i była to wielka kara na sodalisa, kiedy z ławki został rugowanym i w rząd między tyronów stojących, tym bardziej klęczących, skazanym.

Sodalis Marianus wiele znaczył między studentami. Największe zaklęcie bywało: „Uti sum sodalis Marianus"; albo też największe wyrzucenie płochości lub nienabożeństwa: „Sodalis Marianus a swawolny albo nienabożny." Takowa święta ambicja wielce służyła młodzieży szkolnej do wprawienia onej w bogobojność. Nie tylko zaś sami studenci składali kongregacją Sodalitatis Marianae, ale nawet i ludzie doskonali przyjmowali ją. Tak palestra lubelskiego trybunału i magistrat tamtejszego miasta trzymali to institutum Sodalitatis, z tą tylko różnicą, że się z studentami ani sami z sobą nie łączyli. Palestra miała osobną swoją kongregacją, magistrat osobną.

Przepraszam Czytelnika mego, żem się z opisaniem Sodalitatis Marianae za dużo rozszerzył, bo ponieważ ta Sodalitas razem z kasowaniem jezuitów zgasła, u pijarów zaś, choć jest, to nie w takim poważeniu, więc chciałem, aby ślady jej w piśmie moim potomności zostawić.

Drugie bractwo po sodaliskim było Litteratorum, czyli Literackie. W to bractwo wchodziły osoby same tylko miejskie i sami tylko mężczyźni tak wiele uczeni, że mogli czytać na chorale kościelnym, z którego śpiewali w dni święte, pospolicie w farnym kościele, mszą wotywę przed ołtarzem swoim, który opatrywali światłem i innymi należytościami tudzież funduszem na stypendia księdzu za te msze śpiewane. Że tedy umieli czytać, a co większa po łacinie, choć wielu z nich tego języka nie rozumieli, stąd bractwo swoje nazywali literackim, a siebie literatami, lubo i to prawda, że wielu z nich byli ludźmi uczonymi z osób magistratowych.

Inne bractwa dla wszystkich obojej płci pospolite były: Różańcowe, Szkaplerzne, Serca Pana Jezusa, Pocieszenia Najświętszej Panny, Św. Ducha, św. Anny, św. Rocha, św. Barbary i innych bardzo wiele pod tytułem rozmaitych świętych.

Różańcowe i Szkaplerzne bractwa były najludniejsze; z trudna kto nie znajdował się wpisanym w pierwsze lub drugie. Różańcowe kwitnęło i wydawało się najwięcej po miastach i miasteczkach, a nawet i po niektórych wsiach. Dominikanie, fundatorowie tego bractwa, otrzymali, nie wiem jak dawno, przywilej od Stolicy Apostolskiej, że to bractwo nigdzie nie może być wprowadzone, tylko przez dominikana, który zaraz udziela odpustów temu bractwu służących, gdy go do jakiego kościoła innej reguły, nie dominikańskiej, zaprowadza; w każdym albowiem kościele dominikańskim różaniec ma siedlisko swoje równo z fundacją klasztoru i po chórze zakonnym trzyma miejsce najpierwsze w publicznym nabożeństwie.

Gdy śpiewają różaniec bracia i siostry, ksiądz promotor zawsze mu asystuje zaczynając go z ambony i przekładając ludowi z książki tajemnice życia, męki i zmartwychwstania Chrystusowego, z których się składa ten różaniec. Za każdą tajemnicą śpiewa bractwo Ojcze nasz i dziesięć Zdrowaś Maria, potem Chwała Ojcu, na ostatku Wierzę w Boga i litanią. Kończy się jaką pieśnią, do czasu kościelnego stosowną.

Dzieli się różaniec na dwa gatunki: jeden się zowie Najświętszej Panny, drugi imienia Jezus; porządek nabożeństwa w obydwóch jeden, z tą tylko różnicą, że w różańcu o imieniu Jezus nie śpiewają Zdrowaś

Maria, ale na to miejsce dziesięć razy: „Jezusie, synu Dawidów, zmiłuj się nad nami", i na końcu litanią o imieniu Jezus.

Urząd promotora różańcowego jest u dominikanów niepośledni, idzie zaraz po lektorach szkoły, to jest nauczycielach, i musi być w zakonie dobrze zasłużony, komu go dadzą. Nie ma on żadnej pensji z klasztoru, jak mają profesorowie, ale ma przydatnią porcją w refektarzu, którą zakonnicy nazywają piktancją; oprócz tego miewa częste posiłki i podarunki od braci i sióstr, kiedy jest pilny urzędu swego, która pilność na tym zawisła, żeby się pierwszy znajdował na ambonie, kiedy się bracia i siostry schodzą na różaniec; żeby punktualnie zapisował protokóły bractwa, mianowicie elekcjów starszeństwa; żeby emulacje zachodzące o pierwszeństwo umiał bez narażenia się stronom kombinować; żeby podczas procesyj publicznych tegoż bractwa znal się, komu jakie dać miejsce podług jego godności. Kto się umie sprawiać sztucznie z tymi grymasami, wszędzie się do pobożności wkradającymi, ma się jak pączek w maśle. W innych kościołach niedominikańskich, mianowicie po wsiach, gdzie nie masz tych elekcjów brackich ani urzędów, ani procesjów różańcowych, tylko sam różaniec śpiewany przez chłopów i dziewki, nie znające tej pobożnej szczodrobliwości dla księdza promotora, urząd jego zastępuje ksiądz pleban lub wikary, jeżeli na to jest jaka fundacja, a gdzie nie ma żadnej, organista lub inny jaki kościelny sługa.

Panowie wielcy i panie zapisywani byli na tych elekcjach protektorami i konsyliarzami, protektorkami i konsyliarkami różańcowymi, lubo więcej nic nie udzielali się tej konfraterni, jak że jej imion swoich pozwalali. Celniejsi zaś obywatele miasta mieli sobie za honor być różańcowymi przeorami, przeoryszami, kantorami, kantorkami, podskarbimi, podskarbinami etc.

Co zaś do samego nabożeństwa, nie wstydzili się go nawet wielcy panowie i panie, szlachta i szlachcianki; bywali na różańcach, a niektórzy z pomniejszych nawet go z innymi śpiewali. Księżna wojewodzina ruska Czartoryska i księżna podkanclerzyna litewska, także Czartoryska, z córkami swymi widywane były często na różańcu, siedzące w ławkach z innymi różnej kondycji siostrami różańcowymi; nie śpiewały go – prawda – ale mówiły na książkach i paciorkach.

Paciorki różańcowe służyły do rachowania pacierzów, spuszczając po jednym paciorku na sznurek nawleczonym z jednego końca sznurka ku drugiemu, za każdym odśpiewanym lub odmówionym Ojcze nasz albo Zdrowaś Maria. Te paciorki, które oznaczały Ojcze nasz, były

większe, te które oznaczały Zdrowaś Maria, były mniejsze, ażeby mówiący lub śpiewający różaniec nie miał przyczyny zatrudniać liczbą uwagę, ale wszystkę obracał ku nabożeństwu, mogąc palcami poznać jedno po drugim, co powinno następować. Oba końce sznurku wraz były ujęte znaczniejszymi paciorkami, krzyżyk formującymi, u którego wisiał medal srebrny lub mosiężny, jak kto chciał i mógł swoje paciorki przyozdobić. Te paciorki powinny być benedykowane i o obraz Najświętszej Panny pocierane, jeżeli noszącym one miały zyskiwać odpusty, prócz różańca tymże paciorkom w szczególności nadane. Kto paciorki nosił w kieszeni, mniej miał odpustu, kto u pasa, miał więcej. Dla zyskania tedy jak najwięcej odpustów, od wielu, nawet dystyngwowanych szlachty, noszone bywały u pasa, mianowicie od osób podeszłych i od towarzystwa chorągwi pancernej królewskiej, stojącej w Krzepicach i w Wieruszowie, których nabożeństwo do Matki Boskiej z Jasnej Góry, cudami tam slynącej, bliżej dosięgało.

Procesje różańcowe bywały dwa razy do roku; w święto różańcowe i w święto Nawiedzenia Najświętszej Panny. Odprawiały się te procesje tylko po miastach, w których się znajdowali dominikanie. Prowadzone były z kościoła dominikańskiego do drugiego jakiego, odleglejszego, dla wyciągnienia wygodniejszego parady procesjonalnej, na którą sadzono się jak najokazalszą. Po odbytej procesji bracia i siostry z składki wspólnej sprawiali ucztę dla tych, którzy w tej procesji najwięcej pracowali: jako to starszyzna bractwa, marszałkowie, których powinnością było utrzymować porządek procesji tudzież paradować przed nią z laskami długimi i grubymi, farbą i pozłotą ozdobionymi, i chorążowie z chorążonkami, którzy i które niosły chorągwie brackie lekkie z kitajki na kształt chorągwi żołnierskich. Należeli także do tej uczty ci wszyscy, którzy się do kosztu jej hojniej przyłożyli. Na tej uczcie najlepiej się powodziło księdzu przeorowi z księdzem promotorem i braciom starszym a siostrom młodszym. Reszta czeredy była raczej serwitorami niż uczestnikami. I takie uczty nie bywały, tylko po wielkich miastach, ani się do nich mięszał inny stan, tylko sam miejski cechów, pospolicie szewskiego i rzeźnickiego, którzy w takowych ucztach znajdowali podłości swojej jakoweś uwielbienie.

Bractwo Szkaplerzne miało także do siebie wielką ciżbę różnej kondycji osób, lecz nie miało żadnego – różniącego się szczególniej od ordynaryjnego – kościelnego nabożeństwa ani procesjów, ani ucztów. Obowiązki tego bractwa były: pościć środy na maśle i nosić szkaplerz na gołym ciele; lecz go z trudna kto nosił tak, tylko na koszuli, dla ga-

du, który się w nim zapleniał. Były to dwa kawałki sukna wyszyte, mające na sobie imiona: Maryja i Jezus. Te dwa kawałki sukna, na dłoń ręki duże, spajały dwie wstążki lub dwie tasiemki z ramion wiszące; jeden powinien być na piersiach, drugi na plecach. Same niewiasty tak go nosiły, a z tych proste czyniły część stroju swego z szkaplerzy, używając do nich wstążek jedwabnych i nosząc je na koszuli, sznurówką – nad piersiami i z tyłu nad łopatkami wykrojoną – nie zakrytej; mężczyźni zaś, osobliwie chłopi, nosili szkaplerz przez ramię prawe pod lewą pachę przełożony, aby po kobiecemu noszony z ramienia się nie zmykał i w robocie im nie przeszkadzał; to jest nosili go tak, jak noszą żołnierze ładownice. Kto nie chciał środy pościć, powinien był za to odmówić siedym razy Ojcze nasz, siedym razy Zdrowaś Maria i raz Wierzę w Boga. Innych obowiązków to bractwo nie miało.

Opisałem dlatego najmniejsze szczególności bractw znaczniejszych, żeby wiadomość onych została potomności, jeżeliby z czasem zaginęły, co zdaje się wróżyć zajmująca się powszechnie w narodzie polskim niepobożność.

Można także przyłączyć do bractw **Montem Pietatis**, przyłączoną do Bractwa św. Rocha u księży misjonarzów w Warszawie; zawiaduje tą Górą Pobożności jeden misjonarz z bracią starszymi bractwa wyżej wyrażonego św. Rocha. Nabożeństwo św. Rocha zawisło tak jako innych bractw na śpiewaniu kościelnym, wotywach i pewnych pacierzy odmawianiu na honor św. Rocha. Zaś Mons Pietatis jest to skład kapitału pieniężnego od różnych osób pobożnych zebranego. Dwa ma końce chwalebne i użyteczne ten kapitał: pierwszy – jałmużnę dla ubogich, którzy się żebrać publicznie wstydzą, drugi – pożyczanie pieniędzy pilno onych potrzebującym, bez prowizji. Ale trzeba dać zastaw, który by dwa razy wart byt tej kwoty, której kto pożyczenia żąda. Taksę na fant w zastaw idący kładzie misjonarz prefekt Montis Pietatis, wzywając do taksowania fantu osób znających się na nim. Po wyszłym roku kto fantu nie wykupuje, idzie in fiscum Montis Pietatis. Po sprzedaniu fantu, jeżeli większą kwotę wezmą za niego, niż jest pożyczona, oddają, co jest nad pożyczoną kwotę, pożyczającemu, czyli właścicielowi fantu, jeżeli mniejszą, szkoda zostaje przy Górze Pobożności. Aby zaś ta Góra nie zmalała i nie obróciła się w monadę, kapitał jej oblokowany jest na prowizji i tylko sama prowizja po tych uczynnościach cyrkuluje. Dlatego nie jest w stanie wygadzania wielkim potrzebom, tylko małym. Ta Góra Pobożności utworzona jest około roku 1743.

O szpitalu Dzieciątka Jezus

Drugi fundusz pobożny, pod tytułem **Dzieciątko Jezus**, założony jest od pewnego misjonarza, Boduę nazwanego, rodem Francuza. Ten ksiądz wzruszony miłosierdziem nad dziećmi podrzuconymi, z rozpusty nabytymi, które matki tając wstyd na ulicę wyrzucały, a czasem w Wiśle albo lada gdzie w błocie topiły, co także i rodzicy dobrego małżeństwa ubóstwem ściśnieni dzieciom swoim czynili, zawinął się do kwesty na te dzieci. Udał się do królowej, wielce pobożnej pani, tudzież do innych panów i pań; począł zbierać takowe dzieci, oddawał je kobietom najętym do karmienia piersią, którym płacił na miesiąc od jednego dziecięcia po złp. osiem. Wkrótce to jego ułożenie wzięło wzrost spory. Kupił kamienicę pod dominikanami-obserwantami, wedle magazynu królewskiego, Oboźne nazwanego. Osadził w niej trzy panny miłosierne, pospolicie szarymi siostrami od sukien takiego koloru zwane; zlecił im wychowywanie do większych lat dziatek od mamek odebranych; opatrzył tak panny miłosierne, jako też dziatki przyzwoitymi wygodami. Przybywało znacznie funduszu, ale też przybywało i dzieci, których niemal co noc po kilkoro pod tęż kamienicę podrzucano, tak iż już w spomnionej kamienicy pomieścić się nie mogły.

Za czym ksiądz Boduę, wspierany zewsząd jałmużnami, wziął rezolucją nierównie od pierwszej większą. Okupił wielki plac w tyle kościoła misjonarskiego, wymurował na nim obszerny i porządny szpital, do którego przeniósł nie tylko dzieci podrzucone, ale też i chorych po ulicach leżących; a dalej postępując w miłosierdziu, umówiwszy się z urzędami Warszawą rządzącymi tudzież mając asekurowaną jałmużnę tygodniową od wszystkich kupców i znaczniejszych obywatelów warszawskich, aby ich tylko uwolnił od naprzykrzenia mnóstwa żebraków po ulicach się i domach włóczących, zwerbował dwunastu żołnierzy; tym kazał zbierać żebraków obojej płci, kaleków i zdrowych, osadzając ich w nowym szpitalu. Wkrótce napełnił nimi salę potężną do trzechset osób obejmującą, oczyścił Warszawę z włóczęgów, z której zdrowsi i młodsi – których żołnierze nie zachwycili – pouciekali. Ale siebie tak obciążył tym ubóstwem, że nie mogąc go wyżywić, musiał rozpuścić, ile gdy w jałmużnach przyrzeczonych byt zawiedziony. Żarliwość albowiem tych, którzy miesięczne jałmużny dla żebraków płacić mu przyrzekli, ustała, nie trwając dłużej nad rok, skoro żebracy wrzeszczeć im nad głowami przestali; i mieli sobie za równą subiekcją brzęk puszki szpitalnej co miesiąc, jako też i dziadowskie wrzeszczenie.

Co zaś do podrzuconych dzieci i chorych, wątek nie ustał. August III naznaczył temu szpitalowi corocznie z Wieliczki dwa tysiące beczek soli. Panowie za jego przykładem ofiarowali znaczne sumy – i rozmaite prywatne jałmużny wspierają go nieustannie. Tenże król nadał pomienionemu szpitalowi privilegium honestatis, że dzieci wychodzące z niego poczytane są za podczciwe i mogą być przyjęte do wszelkich rzemiosł, byle tylko miały świadectwo na piśmie, że są wychowane w tym szpitalu. Jakoż wiele znajduje się między nimi dobrego łoża, które rodzicy nędzą ściśnieni do niego macą jaką opłatą wkupują albo wpraszają bez opłaty, albo, nie mogąc wprosić, podrzucają.

Jest koło wydane na ulicę, blisko niego dzwonek z sznurkiem, w to koło należy dziecko włożyć i zadzwonić; na głos dzwonka wychodziła siostra miłosierna i dziecię brata; lecz gdy zaczęto zbyt wielką moc dzieci podrzucać co noc w to koło, tak że ich mamkami opatrywać nie można było, postawiono straż niedaleko koła dla chwytania osób podrzucających. Gdy uchwycą taką osobę, trzymają do dnia, egzaminują, co za jedna; i jeżeli jest mająca męża i sposób do życia, dawszy napomnienie należyte, z dzieckiem z szpitala wyganiają; jeżeli bez męża matka trafunkowa, biorą ją za mamkę do własnego dziecięcia, przydając drugie, szpitalne, do karmienia. Jeżeli zaś przy dziecięciu podrzuconym w kratę znajdują czerwony zloty, osobę, choćby schwytaną, wolno puszczają, a dziecko przyjmują.

Wiele z takowych dzieci źle urodzonych, na ostrość powietrza wystawionych, umiera, dlatego małe wkupne postanowiono. Są także rodzicy znaczni, majętni, którzy nie lubiąc słuchać płaczu dziecinnego w domu oddają swoje dzieci na wychowanie do tego szpitala, płacąc od nich według zgody lub szczodrobliwości; takich dzieci nie mieści się więcej w jednej izbie jak ośmioro; każde ma swoją mamkę, a czasem i piastunkę, pod dozorem jednej statecznej białogłowy świeckiej, która ma złożenie osobne przy izbie. Panny albowiem miłosierne nie mają za przyzwoitość dla siebie opatrywać dzieci przy piersiach i w pieluszkach będące; dopiero aż wyńdą z tego pierwszego dzieciństwa trybu, biorą je w swój dozór, ucząc pacierza i innych powinności religii; z takowych pensjów od dzieci wspomnionych okrawa się cokolwiek szpitalowi. Zdarza się też i to, acz nieczęsto, że osoby nieznajome przychodzą albo i z daleka przyjeżdżają do tego szpitala; w wielkim sekrecie, ile ten w zgrai kobiet może być utajony, składają w nim płód swój, także pod sekretem nabyty, a uwolniwszy się od brzemienia po-

wracają tam, skąd się wzięły, zapłaciwszy szpitalowi sowicie za swoje oczyszczenie i na konserwacją względną depozytu złożonego.

Gdy dzieci podrastają, dziewcząt zaraz uczą różnych robót, chłopców nie uczą żadnych, bo nie ma w tym szpitalu żadnych rękodzieł męskich, tylko kobiece szycie i haftowanie na stębenku i krosienkach. Tak chłopców, jak dziewczęta, które wyrastają na rzeźwiejsze i roztropniejsze, rozbierają za zaręczeniem panowie i panie w służby albo rzemieślnicy chłopców do rzemiosł; które zaś są tępego dowcipu i niezgrabne, rozdają na wsie misjonarskie, panien miłosiernych innych szpitalów lub też i szlacheckie.

Nie opisuję dawniejszych szpitalów, klasztorów i funduszów miłosiernych tak w Warszawie, jako też po różnych miastach całego państwa znajdujących się, gdyż te nie są skutkiem pobożności za czasów Augusta III do opisu mego przedsięwziętej, ale dawniejszych wieków. Zamiarem moim jest pisać o tym, co albo nowego nastało pod panowaniem tego króla, albo też, choć dawniej było, ale się potem odmieniło lub w cale zaginęło.

O pannach kanoniczkach

Trzecia fundacja nowa, przedtem w Polszcze nie znana, ukazała się w Warszawie około roku 1749 panien kanoniczek. Fundatorką tych panien była Zamoyska, ordynatowa wdowa. Kupiła dla nich Marienwil i kilka wiosek za Wisłą; w środku tego Marienwilu (który jest jak rynek warszawski opasany z trzech stron kamienicami, a z czwartej murem) wymurowała kaplicę porządną do nabożeństwa. Dwa chóry ustanowiła tych panien: jeden wyższy, drugi niższy. Panny wyższego chóru powinny być wysokiego urodzenia, mają pensji rocznej po sto czerwonych złotych i wszelkie wygody, jadają u jednego stołu; jest wszystkich dwanaście. Panny niższego chóru powinny być szlachcianki, acz mniej znacznego urodzenia, biorą pensji rocznej po sześćset złotych, mają osobny stół, wygody pomiarkowańsze, obowiązków więcej nad pierwsze i jest ich tylko sześć. Wszystkie chodzą do chóru, który odprawują w języku polskim mową głośną, nie śpiewaniem, na jutrznią w nocy nie wstawają, odbywając ją z rana o godzinie szóstej. Wolno im na miasto wyjeżdżać, do czego mają karety, i te tylko służą wyższemu chórowi, albo wychodzić pieszo, które są w niższym chórze. Wszystkie, wychodząc za fortę, biorą pozwolenie od ksieni z wyznaczeniem

godziny, na którą powrócić do klasztoru powinny. Na żadnych balach i widowiskach publicznych znajdować się im nie godzi. Mężczyzn wolno im przyjmować za fortę do sali na to naznaczonej; które zaś są w leciech podeszłe, mogą takie wizyty przyjmować w swoich stancjach, biorąc pozwolenie od ksieni, miarkującej rozsądkiem między osobą przyjmującą i oddającą wizytę takowe pozwolenie. Ksieni może zawsze, kiedy chce, przyjąć wizytującego mężczyznę do własnych pokojów swoich.

Ksieni, obrana z wyższego chóru, jest dożywotnia i ta tylko jedna zaraz po swojej elekcji czyni szlub czystości, w czym nie ma żadnej przykrości, gdyż ksienią nie obierają, tylko taką, która już dobrze na piąty krzyżyk lat zajechała. Inne kanoniczki szlubów czystości nie czynią, bo i owszem tej fundacji miała koniec fundatorka ułatwienie zamęścia damom wysokiego urodzenia a szczupłej fortuny. Lecz ten koniec nie ma skutku, cisną się tam damy z znacznymi posagami i urodą niepoślednią, chcące prędzej na publicznym miejscu wynaleźć męża do swego upodobania niż w kącie domowym. Są też drugie i niezgrabne, i w lata podeszłe, którym stracona do zamęścia nadzieja podała ten sposób dewocji, jakążkolwiek jeszcze otuchę do pozyskania męża zostawujący; i takie są to niby zarody na przyszłą pannę ksienią.

Ale żadnej podupadłej fortuny nie masz, chyba w dolnym chórze. Krój sukien i strój głowy jest taki jak innych dam świeckich. Idąc do chóru, kładą na kornet welum białe kitajkowe i na plecy płaszcz długi błękitny, także kitajkowy. Kolor sukien dwoisty tylko: biały lub czarny. Kapelanów i kaznodziejów zażywają z różnych klasztorów albo świeckich księży. Rząd ekonomiczny sprawują przez jednego szlachcica pensjonowanego, który ma rezydencją swoją za murem tuż przy klasztorze z inną czeladzią służącą – i nazywa się komisarzem. Aspirantki do tego zgromadzenia powinny szlachetność swoję wywieść do wyższego chóru z ośmiu, a do niższego ze czterech herbów. Która trudność podobno jest największą przyczyną, że się tam żadna z domów podupadłych nie znajduje, bo w Polszcze, gdzie częste ognie i rewolucje wojenne niszczą archiwa publiczne, żadnego opatrzenia nie mające, ciężki jest wywód ośmiorakiego szlachectwa nawet wielkim panom.

Rozumiem, żem nie zbłądził od materii, podciągając pod tytuł pobożności szpital, Montem Pietatis i fundusz dla panien kanoniczek, bo miłość bliźniego, z której pochodzi litość nad nędznymi, jest fundamentem pobożności chrześcijańskiej. A lubo fundacja panien kanoniczek nie ściąga się do nędznych osób, to się dzieje przypadkiem, który

często przewraca dobre zamiary. Intencja jednak fundatorki była, uważywszy ją ściśle, poratowanie nędznych osób. Nie masz bowiem nędzniejszego stanu jak panny wysoko urodzonej, a bez posągu.

O bractwach to jeszcze mam przydać, iż te miały prócz nabożeństwa szczególnego, każdemu bractwu z osobna służącego, jednę powinność powszechną, to jest, iż zmarłym braciom i siostrom zasłużonym asystowali do pogrzebu z świecami i chorągwiami darmo, tym zaś, którzy nie byli w bractwie albo, choć byli, nie mieli w nim zasług, asystowali za rekwizycją i zapłatą.

Opisawszy pobożność w pryncypalniejszych jej częściach i widoczniejszych, obracam pióro moje do innych zwyczajów, które także poniekąd – przynajmniej z dobrej intencji – należały do pobożności.

O ZWYCZAJACH POBOŻNYCH

O postach prywatnych i dobrowolnych

Najpryncypalniejszy był post prywatny w środę; ten dzień bardzo wielką miał czcicielów swoich frekwencją, ponieważ był od dwóch bractw uprzywilejowanym, od Bractwa Szkaplerznego i od Bractwa Opieki św. Józefa. Nawet po wielkich domach ten dzień obserwowano, niższej zaś fortuny i kondy ludzie niemal wszyscy go zachowywali poszcząc na maśle. Jedni zachowywali go szczególnie dla dostąpienia odpustu, drudzy do zysku duchownego łączyli interes doczesny, aby ochronić kapłona lub pieczeni.

Po środzie miejsce trzymała sobota, od wielu dewotów i dewotek na samych tylko postnych potrawach z olejem lub oliwą, a od niektórych do tego tylko na suchych pokarmach obchodzona. Ten post nie wypływał z żadnego bractwa, tylko właśnie z dobrowolnego postanowienia albo z szlubu, dla czego wielu, co się dyspensowali jeść w piątek z masłem, w sobotę nigdy maślnych potraw, chociaż z przymusem, jeść nie chcieli.

Także w znacznym używaniu byty nowenny, septenny i quindenny. Były to posty poprzedzające albo też następujące po pewnych świętach do jakiego świętego, mającego do siebie uprzywilejowane nabożeństwo z postami jeden dzień w tydzień, na zjednanie sobie łaski boskiej przez przyczynę tego świętego w powszechności albo też w jakim skutku szczególnym, którego kto pragnąc. Ciemność, która mi się zrobiła w opisowaniu ogólnym tych postów, objaśni się w szczególniejszym onych wyłuszczaniu. Tak na przykład szukający w smutku pocieszenia albo determinacji w wątpliwym do stanu powołaniu pościł dziewięć wtorków idących przed świętem św. Antoniego Padewskiego lub następujących po tym święcie na honor tego świętego, do czego, którzy mogli – jako to rezydujący w miastach – przydawali w każdy taki wtorek spowiedź i komunią, co się nazywało nowenną. Ten święty cudotwórca bywał także wzywany innym, krótszym sposobem w – nagłych przy godach: gdy komu pieniądze zginęły albo koń, albo inna rzecz jakowa, albo się kto znajdował bliskim jakiego nie szczęścia, dawał jałmużnę zakonnikom św. Franciszka, za którą natychmiast szli zakon-

nicy przed obraz św. Antoniego i śpiewali hymn: „Si quaeris miracula", z wierszem i modlitwą do tegoż hymnu należącą. Bardzo często doznawano skutku pożądanego, niemal wraz z śpiewaniem hymnu następującego.

Septenna znaczy siedym śród na poście odbytych: do opieki św. Józefa, do św. Barbary od nagłej śmierci, do św. Anny albo do innego jakiego świętego z przydatkiem, gdzie komu była sposobność spowiedzi w ten dzień i komunii. Quindenna – pięć piątków ściślej nad inne albo też w cale suchotami poszczonych. Takową quindennę z spowiedziami i komuniami odprawiały najwięcej żony pragnące potomstwa albo też ciężarne do św. Ignacego dla szczęśliwego porodzenia. Pięć piątków marcowymi zwanych zachowywało bardzo wiele osób do Serca Pana Jezusowego tak ściśle, jak wyżej opisana quindenna. Zaczynał się ten post od pierwszego piątku przypadającego w marcu i ciągnął się przez pięć piątków nieprzerwanie po sobie następujących, do których to piątków marcowych należało nabożeństwo co piątek takowy w kościołach księży pijarów odprawowane, z wotywy śpiewanej z ekspozycją Najświętszego Sakramentu, z kazania i procesji po kościele złożone, z przydatkiem niedzieli drugiej po Wielkiej Nocy takimże nabożeństwem obchodzonej, które to nabożeństwo obchodzili nie tylko ci, którzy w Bractwo Serca Pana Jezusa byli wpisani, ale też i ci, którzy się w nim nie znajdowali.

Wyliczyłem posty dobrowolne, nie wspomniawszy postów z przykazania, bo te nie należą do dewocji, ale do obligacji.

O tercjarstwach i dewocjach

Między gatunkami rozmaitej dewocji wyżej opisanej było także w niemałym używaniu tercjarstwo i dewocja. Tercjarstwo było to przyłączenie się do jakiego zakonu, nie stając się zakonnikiem. Obowiązek byt tylko nosić pod suknią świecką, jakiej kto zażywał, pasek tego zakonu, do którego się kto przyłączył, albo też suknią koloru zakonnego, albo kaftanik cienki na koszuli krojem jakimkolwiek, kolorem zaś do obranego sobie zakonu stosownym, przy tym była obligacja, ale nie pod grzechem koniecznie, odmawiania pewnych pacierzy, zachowania pewnych postów, świadczenia podług możności łask zakonowi polubionemu, promowowania czci i zachęcania innych ku świętemu patriarsze. A za to każdy tercjarz lub tercjarka należał do wszelkich zy-

sków duchownych, na które ten zakon pracował, i po śmierci wolno było tercjarzowi lub tercjarce kazać się pochować w zupełnym habicie zakonnym, chociażby go nigdy nie nosił za żywota. Niewiasty podupadłej fortuny, którym nie stało na modne stroje, i panny podstarzałe okrywały się pospolicie sukniami rasowymi koloru jakiego zakonu, do którego tercjarstwa należały; i nazywało się takowe strojenie: „chodzić w szarzyźnie", lubo taką szarzyznę nosiły, acz bardzo rzadko, i majętne panie, jak pamiętam Szembekową, kanclerzyną koronną mięszkającą w Babicach pod Warszawą, Korzeniowską, podstoliną łucką na Wołyniu i kilka innych. A te chodziły w szarzyźnie nie z żadnego interesu doczesnego, ale czysto z nabożeństwa.

Dewotki i dewotowie byli toż samo co tercjarze, z tą różnicą, że i suknią szarą nosili, i mięszkali przy jakich klasztorach albo w cale w klasztorach, jedynie pilnując nabożeństwa, oddaliwszy się od domowych interesów, a czasem i od substancji, dzieciom za żywota ustąpionej. Takim dewotem byt Sokolnicki, chorąży poznański, blisko przez dwadzieścia trzy lat w Choczu u reformatów, wymurowawszy dla siebie małą oficynkę przy ogrodzie, w której pobożnego życia dokonał. Drugi na Wołyniu, w Krzemieńcu, Węclawski, czyli Wojsławski, tercjarz oraz i fundator tamże reformatów.

Trzeci – Raczyński, wojewodzie poznański, ojciec Raczyńskiego, marszałka nadwornego koronnego, który swoją dewocją ustąpiwszy synowi substancji, zaczął pod Augustem III, a skończył pod Stanisławem Augustem w Łowiczu u bernardynów, na których klasztoru reparacją wiele łożył. Ale ten nudził w swojej dewocji, odmieniał rezydencją swoją do kilku klasztorów, przesiadywał długie czasy w domach swoich pokrewnych albo synowskich, nareszcie w łowickim klasztorze życia dokonał. Dewotów niewiele bywało, dewotek sto razy więcej i wyjąwszy niektóre prawdziwie pobożne, drugie były obłudnice, zwadliwe, plotuchy, oszczerczynie i pijaczki, jak zwyczajnie wszędzie się mięsza złe do dobrego.

O pasjach i kapnikach

Pasja pospolicie nazywa się nabożeństwo w wielki post używane. Po kościołach katedralnych i niektórych kolegiackich – jako to w Warszawie u Św. Jana – najprzód ksiądz po nieszporach albo komplecie, według dnia, w którym się gdzie pasja odprawuje, wyjmuje Sanctissi-

mum z cyborium, kładzie do monstrancji i prześpiewawszy O salutaris Hostia stawia na ołtarzu, a sam się lokuje na miejscu celebransowi przyzwoitym. Toż dopiero kapela na chórze zaczyna grać w łacińskim języku rozdział wyjęty z Ewangelii o Męce Chrystusowej, do not muzycznych ułożony, na trzy części podzielony, po których odgraniu następuje kazanie, po kazaniu procesja; po procesji śpiewa kapłan z ludem Święty Boże, potem Salvum fac i dawszy benedykcją ludowi, chowa Sanctissimum do puszki, którą znowu wziąwszy do rąk obraca się ku ludowi, śpiewa Fiant, Domine i powtórzywszy benedykcją, chowa puszkę cum Sanctissimo do cyborium, powracając cum dero do zakrystii, a lud zaczyna jaką pieśń w języku polskim o Męce Pańskiej, która jest końcem nabożeństwa.

Po innych kościołach zakonniczych lub świeckich księży ten sam porządek, czyli skład pasji, nabożeństwa, co i w katedrach dopiero opisany, z tą tylko różnicą, że kapela nie gra pasji ewangelicznej, ale ludzie przemiennym chórem, niewiasty z mężczyznami, śpiewają polskim językiem pieśni złożone z tajemnic Męki Chrystusowej, w niektórych kościołach na pięć części, jako to u dominikanów, w niektórych na trzy, jako po wszystkich innych, podzielone. Za każdą częścią o Męce Pańskiej przydają cztery sztrofy z hymnu o Najświętszej Pannie Bolesnej, znajomego z początku swego: „Stała Matka boleściwa", potem następuje hymn wyrażający lament duszy pobożnej nad cierpiącym Chrystusem. Po odśpiewaniu tym porządkiem ułożonych trzech lub pięciu części pasji, śpiewają pięć razy: „Któryś cierpiał za nas rany, Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami." Za tym zaczyna się kazanie, potem procesja, po której pieśń Wisi na krzyżu, po pieśni Święty Boże i dalej wszystko tak jak w kościołach katedralnych.

Kapnicy od kap, którymi się przykrywali, tak nazwani. Byli to ludzie rozmaici, z nabożeństwa lub z nakazu spowiedniczego za grzechy swoje publiczną dyscyplinę w kościołach podczas pasji czyniący. Kapy byty robione z płótna, najwięcej prostego i grubego, szaro farbowane. Ale że ambicja ludzka wszędzie się wciska, nawet i tam, gdzie się tylko powinien wydawać duch pokorny i serce skruszone, przeto też i te wory pokutne, kapami nazwane, nie wszystkie bywały z grubego płótna i szare, bywały drugie z płócien cienkich, glancowanych, różnego koloru: czerwone, zielone, błękitne i granatowe. Kaptury do tych kap należące bywały czasem kitajkowe lub grodetorowe. Krój kap był taki jak nobile Venetiano, którego używają na reduty.

Ubierano się w kapy w jakiej izbie kościoła bliskiej takim sposobem: najprzód trzeba było koszulę obrócić rozporem na plecy, podobnież przewlec suknią, na nią wdziać kapę także z tyłu rozpór mającą, tak że plecy zostawały obnażone; potem szedł po kapie pas, jaki kto miał, albo też pasek jaki sznurkowy lub rzemienny dla niepoznaki. Na głowę wdziewany był kaptur zasłaniający całą głowę i twarz, z oczami wyciętymi w płótnie lub materii kaptura dla patrzenia. Ta część kaptura, która twarz zakrywała, była długa, wisząca do wpół piersi, mogąca się odchylić z twarzy w górę i założyć na głowę, kiedy kto w izbie przed pasją nie miał przyczyny chronienia się być poznanym albo też dla posiłku chciał się napić, w czym kapnicy, osobliwie prostej kondycji, czasem miarę przebierali. Druga część kaptura wisiała z tyłu, ścinana ukośnie po ramionach aż do pasa, i zakrywała plecy gołe w czasach, gdy ich do dyscypliny odkrywać nie trzeba było.

Gdy już był czas wychodzić na pasją, szli kapnicy tym porządkiem: najprzód szedł jeden z krzyżem, bardzo często bosymi nogami, wedle niego dwaj kapniczkowie mali, chłopcy z świecami w lichtarzach, za tymi ciągnął się orszak kapników parami; na ostatku idący dwaj podpierali się laskami długimi; ci oznaczali marszałków i mieli urząd szykowania kapników w kościele, jak mieli klęczeć. Gdzie była mniejsza liczba kapników, klękali we dwa rzędy wedle ławek; gdzie większa, we trzy rzędy. Wychodząc z izby, zaczynali jaką pieśń o Męce Pańskiej, a wchodząc w drzwi kościelne, przestawali śpiewać, aby śpiewającym w kościele pasją, zwykle przed wniściem kapników zaczynaną, nie przeszkadzali. Gdy się już uszykowali kapnicy w porządku, najprzód za daniem znaku od marszałka przez zapukanie laską w posadzkę kościelną kładli się wszyscy krzyżem i poleżawszy tak do pewnych słów w śpiewaniu kościelnym nadchodzących, za takimże znakiem od marszałka danym podnosili się na kolana i – zawinąwszy kaptura z pleców na ramię – biczowali się w gołe plecy dyscyplinami rzemiennymi albo nicianymi, w powrózki kręte splecionymi. Niektórzy końce dyscyplin rzemiennych przypiekali w ogniu dla dodania większej twardości albo szpilki zakrzywione w dyscypliny niciane i rzemienne zakładali, ażeby lepiej ciało swoje wychłostali, które czasem takowym ćwiczeniem, silno przykładanym, aż do żywego mięsa i szkurlatów wiszących sobie szarpali, brocząc krwią suknie, kapę i pawiment kościelny. Biczowanie trwało mało mniej kwadransa, ustawało na ostatniej sztrofie hymnu za daniem znaku przez marszałka, którego jeżeli który kapnik nie słuchając dłużej się nad innych biczował, marszałek zbliżył się do niego i

ściągnąwszy z ramienia kaptur zawiniony zasłonił mu plecy, aby się nad drugich nie przesadzał i z wszystkimi się stosował.

Po biczowaniu klęczeli kapnicy pewną chwilę, potem się znowu kładli i leżeli krzyżem pewną chwilę, odbierając zawsze znaki od marszałka stukaniem laski do każdej

czynności. Biczowali się trzy razy przed kazaniem i procesją, dwa razy po procesji, ostatnie biczowanie było najdłuższe. Gdzie była pasja złożona z pięciu części, tam się biczowano do procesji pięć razy, po procesji dwa razy. Po skończonym biczowaniu kapnicy podnosili się na nogi, stali w miejscu, przystępując parami do całowania krzyża albo też po trzech, jeżeli w trzy rzędy klęczeli; który krzyż kładziony był na czele kapników na poduszce i kobiercu. Żaden kapnik nie ruszył się z miejsca swego do całowania krzyża, póki go marszałek za nim następujący nie trącił laską w nogę, a to dla zachowania od tłoku i uniknienia zamięszania. Pocałowawszy krzyż, każdy powracał na swoje miejsce; marszałkowie na ostatku całowali. Gdy się skończyło celowanie krzyża, wychodzili kapnicy z kościoła tym porządkiem, którym przyszli, do izby ubieralnej, w której składali kapy. Te kapy bywały kościelne albo też do bractwa jakiego w tym kościele będącego należące; rozdawano gratis co podlejsze, lecz piękniejszą chcący dostać, musiał zawiadującemu nimi wetchnąć co w rękę, ponieważ bywał do nich nacisk większy jak do podłych. Niektórzy najmowali ich sobie na cały post, a niektórzy miewali swoje własne, nie chcąc cudzego waporu i krwi w kapie zostawionego brać na siebie.

Zdarzało się, acz rzadko, że panny płocho pobożne skrycie ubierały się w kapy, na suknią męską włożone, łączyły się z kapnikami i wraz z nimi publiczną czyniły dyscyplinę. Jako jednak z natury są miłosierne, tak się też i nad swoim ciałem pastwić nie raczyły, głaszcząc się raczej miętką dyscypliną po plecach niż biczując, a ciałem delikatnym i koszulą cienką wizerunek miłosny zamiast pokutnego wystawując.

O procesjach i grobach wielkopiątkowych

W Wielki Piątek kapnicy z każdego kościoła osobno obchodzili groby Chrystusowe po innych kościołach, idąc procesją parami i niosąc krzyż przed sobą. W każdym kościele, w którym grób odwiedzali, biczowali się raz. Ksiądz asystujący swojej procesji powiedział krótką egzortę, po której tymże porządkiem, którym przyszli, wychodzili z

jednego kościoła do drugiego śpiewając przez drogę jaką pieśń o Męce Pańskiej, a na wchodzeniu do kościoła przestając śpiewać. Nie z wszystkich kościołów, ale z niektórych tylko procesja kapników, oprócz krzyża z wizerunkiem Chrystusowym na czele procesji niesionego, miewała drugi krzyż wielki, grubości belki, z tarcic spajanych dla letkości zrobiony, który w pośrodku kapników dźwigał jeden kapnik, idący nie wyprostowany, ale w pół człeka pochylony tak, jak nam malarze wystawują Chrystusa, krzyż na Kalwarią niosącego. Dlatego pod ten krzyż dobierano chłopa mocnego. Miał na głowie, czyli raczej na czapce kapturem przykrytej, koronę cierniową, łańcuch długi i gruby przez ramię pod pachę przepasany, koniec krzyża unosił za nim inny kapnik, wyrażający Cyreneusza, a dwaj kapnicy dobyte pałasze niosący na ramieniu oznaczali żołnierzów, na Kalwarią Chrystusa prowadzących, z których jeden trzymał w ręce koniec łańcucha. Wyobrażający Chrystusa kapnik udawał także Jego pod krzyżem upadania, a na ten czas jeden żołnierz, targając łańcuchem i bijąc nim o krzyż, czynił duży łoskot, drugi, uderzając płazem po krzyżu i po plecach lekkimi razami nosiciela krzyża, wołał na niego głosem donośnym: „Postępuj, Jezu!" Wtenczas nosiciel, w samej rzeczy pochyłym chodem znużony, odpocząwszy nieco powstawał i dalszą drogę, czyli procesją, kończył.

Jeżeli w kościele, do którego wchodziła procesja, był wielki tłok ludu albo miejsce lub wniście do kościoła ciasne, że się kapnik z krzyżem wygodnie do niego wprowadzić nie mógł, zostawał przed kościołem. Na ten czas mógł sobie odpocząć, posiedzieć, tabaki zażyć, a czasem z jakim miłosiernym pijakiem kufel piwa wydusić. Trafiało się i to, acz rzadko, że dźwigacz krzyża spragniony, nie znalazłszy dobroczyńcy, który by go posilił, zostawiwszy krzyż i łańcuch pod kościołem, pobiegł sam w cierniowej koronie do najbliższej szynkowni dla ochłodzenia pragnienia. A gdy nie zdążył ugasić go, nim procesja wyszła z kościoła, natenczas reprezentanci żołnierzów pobiegłszy po niego, nie żartem płazami trzepiąc mu plecy, przygnali go pod krzyż, mianowicie jeżeli nie był z dewocji, lecz najęty.

Jeżeli dwie procesje kapnickie zeszły się razem do jednego kościoła i były tak uparte, że jedna drugiej nie chciała ustąpić pierwszeństwa, przychodziło między nimi do bitwy, do której oręża potocznego: kijów, pięści i kamieni, używano. Nie trafiło się jednak nigdy, żeby się taka bitwa zbytnie krwią oblała, ponieważ mata liczba zapalczywych kapników od większej nierównie rozmaitego stanu osób, za procesją idących

albo też z osobna groby obchodzących, z łatwością rozerwana i poskromiona bywała.

Groby obchodzili duchowni wszelkiego gatunku: biskupi, prałaci, kanonicy, księża świeccy, zakonnicy, parami, świeccy ludzie: senatorowie, rozmaitej rangi szlachta, panowie i panie, w kompaniach zebranych albo też w domowych familiach lub pojedynczo, jak się komu podobało, jedni pieszo, drudzy karetami. Konwiktorowie pijarscy, jezuiccy i teatyńscy obchodzili z osobna każde zgromadzenie pod dozorem i asystencją swoich profesorów.

W każdym kościele na wniściu do grobu siedziały panienki albo i damy wyższej rangi z tacami srebrnymi, kwestujące jałmużnę od przechodzących na pożytek tego kościoła, w którym takową kwestę czyniły. Nie wołały ony na nikogo o jałmużnę usty swymi, ale tylko brzękiem tacy o ławkę trącanej, i czym kto znaczniejszy lub więcej ubrany przechodził, tym większy brzęk na niego czyniły. Urodziwsze kwestarki zazwyczaj więcej ukwestowały niż te, którym na urodzie schodziło, przez wrodzoną ku urodzie skłonność nawet w pobożnej szczodrobliwości. Przy niektórych grobach, prócz kwestarek wyżej wyrażonych, stawały z jakową relikwią do całowania ludowi, na stole obrusem, kobiercem i świecami przyozdobionym wystawioną, osoby zakonne, klerycy lub braciszkowie; na gradusie przy takim stole położona była taca, na którą przystępujący do całowania relikwii wrzucali jaki pieniądz podług woli swojej: szeląg, grosz albo trojak, albo szóstak bity, który miał w sobie waloru dwanaście groszy miedzianych i szelągów dwa. Przed każdym także grobem, na kobiercu na ziemi rozpostartym, leżał krucyfiks z tacą w końcu postawioną, na którą całujący tenże krucyfiks rzucali podobnież jako wyżej pieniądze, a jeżeli gdzie nie było tacy pod krucyfiksem, rzucali je na kobierzec. Oprócz kwestarek i kwestarzów miejscowych każdego kościoła, stawali obcy i obce od różnych bractw lub szpitalów po kruchtach i po różnych miejscach kościoła, na linii do grobu prowadzącej.

Obchodzenie grobów zaczynało się od godziny pierwszej po południu i trwało do północka, a to tylko po wielkich miastach, gdzie się znajduje wielość kościołów i ludu. Za dnia obchodzili groby panowie i panie, w nocy służebna czeladź, której się razem z państwem obchodzić nie dostało. Gdzie w którym kościele znajdowało się jakie bractwo, tam o godzinie dziewiątej w nocy zaczynała się przed grobem pasja z biczowaniem kapników i kazaniem bez procesji, gdyż ta już pierwej publicznie do innych grobów odprawioną była. W sobotę zaś,

przed zaczęciem rezurekcji, śpiewano jakie pieśni u grobu o Męce Pańskiej lub o Najświętszej Pannie Bolesnej, albo też po niektórych kościołach kapela lub jaki lutnista przegrywał symfonie.

August III, lubo byt pan wielce pobożny i więcej jeszcze pobożną od niego była królowa, grobów jednak nie obchodzili. Sama królowa, kiedy bywała w Polszcze, wraz z mężem królem, z synami i córkami bywała na nabożeństwie rannym wielkopiątkowym w kościele farnym kolegiackim Św. Jana. Tam po zaprowadzeniu Chrystusa Pana do grobu, pomodliwszy się nieco, królestwo powracali z familią swoją do pałacu. Po obiedzie królowa z córkami przyjeżdżała znowu do tejże fary, gdzie przykładnym nabożeństwem odklęczawszy godzinę przed grobem, powracała do pałacu, a czasem nawiedzała te groby: u reformatów, u panien sakramentek, u karmelitek i u wizytek.

Gdy zaś umarła w Saksonii, a sam król, wypędzony z Saksonii podczas siedmioletniej wojny z Prusakiem, mięszkał przez ten czas w Warszawie z, grobów nie odwiedzał, jako się wyżej rzekło, tylko u augustianów o godzinie piątej po południu bywał na lamentacjach, które wyborną sztuką muzyczną śpiewali jego nadworni śpiewacy i śpiewaczki z pomocą rozmaitych instrumentów. Warta, postawiona u wszystkich drzwi kościelnych dla wstrzymania tłoku, nie puszczała, tylko dystyngwowańszych i tych póty tylko, póki się kościół nie zagęścił. To nabożeństwo z samej chyba dobrej intencji króla i z jednej osoby jego mogło być przyjemne Bogu. Król albowiem swoją przewyborną kapelą chciał uczcić tajemnicę Grobu Chrystusowego i raz uklęknąwszy na pulpicie modlił się nie poruszony i wlepiony w Sanctissimum przez całą tę kantatę. Inni zaś, którzy się dostali do kościoła, którzy byli: senatorowie, ludzie dworscy, palestranci, dworacy, oficjerowie, muzykanci od różnych dworów, a wielu między nimi dysydenci, obróciwszy się tyłem do grobu a twarzą do kapeli na chórze grającej – jedni się delektowali melodią instrumentów i wdzięcznością wokalistów, drudzy posyłali gestami umizgi nadobnym śpiewaczkom, zapomniawszy, że się znajdują w kościele, nie na operze.

Przy grobie w kościele kolegiackim drabanci królewscy, u panien benedyktynek w kościele Św. Trójcy artylerystowie koronni od wstawienia do grobu Chrystusa aż do rezurekcji trzymali wartę. Gdziekolwiek zaś przed pałacami lub w koszarach stały szyldwachy żołnierskie, wszędzie przez ten czas mieli karabiny na dół rurami, a kolbami do góry obrócone, i żaden bęben żołnierski lub kapela po ten czas nie dała

się słyszeć, stosując się do smutku kościelnego, który Kościół katolicki na pamiątkę śmierci Chrystusowej w te dni oznacza.

Groby robione były w formę rozmaitą, stosowaną do jakiej historii, z Pisma świętego Starego lub Nowego Testamentu wyjętej. Na przykład reprezentowały Abrahama patriarchę, syna swego Izaaka na ofiarę Bogu zabić chcącego, albo Józefa patriarchę od braci swoich do studni wpuszczanego, albo Daniela proroka w jamie między lwami zostającego, albo Jonasza, którego wieloryb połyka paszczęką swoją, i tym podobnie. Z Nowego Testamentu: Górę Kalwaryjską z zawieszonym na krzyżu Chrystusem, z żołnierzami, którzy go krzyżowali, i z tłumem Żydostwa, którzy się temu krzyżowaniu przypatrowali; skałę, w której grób był wycięty i w którym ciało Chrystusowe było złożone, z żołnierzami na straży grobu postawionymi, śpiącymi, albo też inną jaką tajemnicę męki lub zmartwychwstania Chrystusowego. Po niektórych kościołach takowe wyobrażenia byty ruchome. Lwy błyskały oczami szklannymi, kolorami iskrzącymi się napuszczonymi i światłem z tyłu oświeconymi, wachlowały jęzorami z paszczęk wywieszonymi. Morze bałwany swoje miotało. Longin siedzący na koniu zbliżał się do boku Chrystusowego z włócznią, Maryje, stojące pod krzyżem, ręce do oczów z chustkami podnosiły i jakoby zemdlone na dół opuszczały. W osobie albo właściwie mówiąc w wizerunku osoby, która była treścią historii i argumentem, wyrznięta była dziura okrągła w piersiach lub w boku tak wielka jak hostia, przez którą dziurę widzieć się dawała sama tylko hostia w monstrancji będąca, za tąż osobą na postumencie postawionej. Ozdabiano te groby rzeźbą, malowaniem, arkadami w głęboką perspektywę ułożonymi, światłem rzęsistym lamp ukrytych i świec oświeconymi, a po bokach i z frontu kobiercami i szpalerami obsłaniali, przesadzając się jedni nad drugich w ozdobności grobów. Najpiękniejsze groby bywały u jezuitów i w Warszawie u misjonarzów. Pijarowie warszawscy nie stroili grobu z historii, tylko wystawiwszy Sanctissimum na ołtarzu wielkim, dostatkiem świec woskowych białych w pewnej symetrii tak na ołtarzu, jako też i gradusach jego nastawiali.

O Kwietnej Niedzieli

Należało było przed Wielkim Piątkiem w tym opisaniu umieścić Kwietną Niedzielę, ale związek pasjów postnych z pasjami wielkopiąt-

kowymi pociągnął do siebie jak sznurem pamięć uroję – Kwietną Niedzielę z niej wytrąciwszy, do której teraz się wracam.

Kościół katolicki rzymski obchodzi w tę niedzielę pamiątkę wjazdu Chrystusowego do Jeruzalem, gdzie mu dziatki małe zachodząc drogę rzucały pod nogi rószczki oliwne z śpiewaniem: „Hosanna Synowi Dawidowemu." Na tę tedy pamiątkę przy farnych kościołach, przy których znajdowały się szkółki parochialne, zażywano do procesji chłopców kilku lub kilkunastu ozdobnie przybranych, z bukietami do boku przypiętymi i z palmami, chustką jedwabną lub muślinową, fontaziem, czyli węzłem wstążkowym, przewiązanymi, w ręku. Te dzieci, w pewnym zastanowieniu procesji, w rząd uszykowane prawiły oracje wierszem złożone po kolei, z jednego końca rzędu do drugiego ciągnionej, albo też przez trzeciego lub czwartego wyrywanej. Materia tych oracyj była: wjazd Chrystusów do Jeruzalem i przyszła męka Jego. Po takiej deklamacji j pobożnej też dzieci miewały inne oracje śmieszne: o poście, o śledziu, o kołaczach wielkanocnych, o nuży szkolnej i inne tym podobne.

Gdy dzieci skończyły swoje perory, wysuwali się z tyłu na czoło doroślejsi chłopakowie, a czasem i słuszni chłopi, ubrani po dziwacku za pastuchów, za pielgrzymów, za olejkarzów, za żołnierzów, przyprawując sobie brody z konopi albo z jakiej skóry sierścią okrytej, kożuchy futrem do góry wywróciwszy. Ci zaś, co żołnierzów udawali, na głowie mając infuły z papieru wyklejone, obuch drewniany usmolony w ręku, z kart grackich zrobione flintpasy i ładownice i szablę przy boku drewnianą; którzy nie mieli wąsów i brodów, robili sobie z sadzy z tłustością zmięszanych pręgę wzdłuż nosa, drugą wzdłuż brody i dwie pod nosem w górę zakrzywione na kształt wąsów. Każdy z tych oratorów prawił perorę do postaci, jaką wziął na siebie, przystosowaną, z samych śmiesznych wyrażeń ułożoną. Po odbytych w kościele perorach rozbiegali się ci wszyscy oratorowie, tak palmowi, jako też obuchowi, po domach, po szynkowniach i nawet po pałacach, gdzie tylko wcisnąć się mogli, prawiąc wszędzie głosem natężonym i bijąc co trzecie słowo obuchem w ziemię lub laską pielgrzymską wytrząsając ku audytorom swoim perory w kościele powiedziane, a pielgrzymi na dowód peregrynacji swojej różne osobliwości z torby wyjmując i pokazując zęby końskie, kołtony, czapczyska, boty zdarte, ogony bydlęce i inne tym podobne rupiecie z śnieci wywleczone.

Gdy te błazeństwa w uczciwym domu, dopieroż w kościele nieprzystojne, z małej początkowej kwoty do większej coraz postępowały

liczby, tak iż lud na nabożeństwo zgromadzony, skromnie się zrazu uśmiechający, w gwałtowny się po tym śmiech wylewał rażąc modestią kościelną, Śliwicki, wizytator misjonarski, proboszcz warszawski Św. Krzyża, najpierwszy zabronił kościoła swego tym nieprzystojnym oratorom, a za jego przykładem z wszystkich innych ich wygnano, zostawiwszy tylko według ceremoniału kościelnego dziecinne perory. Ci zaś oratorowie obuchowi tylko się po szynkowniach i przekupkach lat kilka po wygnaniu z kościołów jeszcze uwijali, nareszcie za odmianą gustu gminnego wszędzie zniknęli, nie mając tego akcydensu do kieszeni, który im z początku sprzyjał.

O rezurekcji

Rezurekcja albo procesja w dzień wielkanocny cum Sanctissimo z grobu wyjętym bywała taka, jaka jest i dzisiaj, trzy razy obchodząca dokoła po kościele wewnątrz albo dokoła kościoła po cmentarzu lub krużgankach kościelnych, według sposobności, jaka gdzie była. Zaczynała się ta procesja w miastach wielkich zazwyczaj o godzinie północnej z soboty na niedzielę. Gdzie atoli byty katedry, zaczynała się w wieczór w sobotę o godzinie dziewiątej. Po wsiach i miasteczkach małych, do których parochii należały wsie, zaczynała się do dnia w niedzielę albo też na wschodzie słońca. Niemal wszędzie po wsiach i małych miasteczkach podczas tej uroczystej procesji strzelano z moździerzów, z harmatek, z organków, to jest kilku lub kilkunastu rur w jedno łoże osadzonych, w jednym rzędzie żłobkowatym zapały mających, lontem jak harmatki i moździerze zapalanych, albo też z ręcznej strzelby, pod którą w niektórych miejscach stawali żołnierze, gdzie mieli konsystencje, a gdzie nie było żołnierzy, mieszczankowie z różnych cechów lub na wsiach parobcy. A że ci ludzie nie wyćwiczeni w taktyce częstokroć nie razem, lecz po jednemu lub po kilku wydali ognia, co się czasem i żołnierzom trafiało, przeto urosło przysłowie między myśliwymi, kiedy w kniei gęsto do zwierza strzelano: „Strzelają jak na rezurekcją."

W Warszawie, kiedy król mięszkał, który zawsze asystował rezurekcji z królową lub sam, jak kiedy znajdował się w kraju, zaczynała się rezurekcja o godzinie ósmej wieczornej. Drabanci jego we dwa rzędy uszykowani, tył królewski sobą zasłaniając, szli wraz z procesją obok Sanctissimum, nad którym baldekin nieśli senatorowie lub urzęd-

nicy koronni orderowi. Skoro się ruszyła w kościele procesja, artyleria koronna w tyle kościoła farnego z harmat – na Gnojowej Górze zatoczonych wydała ognia sto razy wciąż. Że król August był wzrostu wielkiego i otyły, a ku końcu panowania swego już był w podeszłym wieku, przeto ażeby się nie nadto mordował troistym kościoła obchodzeniem, w obecności jego procesja nie chodziła, tylko raz; po innych kościołach warszawskich zaczęta rezurekcja o godzinie jedenastej przed północkiem w kościele misjonarskim – ciągnęła się po kolei kościołów aż do świtania. Wielu było z pospólstwa, którzy mieli sobie za nabożeństwo biegać od kościoła do kościoła z jednej rezurekcji na drugą. Najpunktualniejsi zaś byli w tym rodzaju dewocji rzezimieszkowie, którzy mięszając się w ciżbę, kieszenie z pieniędzmi wyrzynali albo z nich zegarki, tabakierki lub chustki ludowi wyciągali. I choć kto poczuł takowe madrowanie w swojej kieszeni, będąc niesiony ciżbą i ściśniony jak w prasie, albo się mu nie mógł odjąć, albo też dosyć dokazał, kiedy krzykiem gwałtownym i wcześnym swojej kalety zachwyceniem złodzieja odstraszył.

O procesjach w Boże Ciało

Te procesje bywały zawsze publiczne: w miastach po rynku, w wsiach po ulicy około kościoła. W miastach, w których są jakie kościoły, obowiązane jest duchowieństwo, tak świeckie, jako też zakonne, tudzież magistraty i cechy asystować procesji pryncypalnego kościoła. Każdy zakon asystował tej procesji idąc parami za swoim krzyżem od braciszka niesionym, oprócz jezuitów, którzy od asystencji z krzyżem bullami rzymskimi i dekretami z różnymi biskupy – chcącymi ich przymusić do równej z innymi zakonami asystencji – wygranymi byli uwolnieni. Cechy wszystkie asystowały tej procesji z chorągwiami i świecami. Warszawska konfraternia kupiecka z muszkietami, z których, po wniściu duchowieństwa cum Sanctissimo do kościoła, przed tymże kościołem po trzykroć wydała ognia. Dzieliła się ta konfraternia na dwa bataliony: używający niemieckiego stroju formowali jeden batalion, noszący polską suknią formowali drugi. Kolor sukien w obu batalionach rozmaity. Komendanci batalionów jak najbogaciej ubrani dystyngwowali się: niemieccy szarfami i szpontonami oficjerskimi tudzież kapeluszami, białym piórem strusim obłożonymi, polscy buławami hetmańskimi i kołpakami sobolimi. Każdy batalion swój ogień

wydawał osobno raz po raz trzy razy, a za każdym ogniem chorąży czyniąc chorągwią salutacją wyrabiał nią różne sztuki, do której i ta należała, że czasem przez szybkie nią miotanie w różne strony i w cyrkuł wykręcanie zawadził w łeb jakiego spektatora nieostrożnie nawinionego albo tłokiem napchniętego. W dokazywaniu chorągwią Niemcy celowali Polaków, ale za to Polacy zawsze w dawaniu ognia przepisowali Niemców, którym rzadko kiedy udało się razem wystrzelić, chociaż przybierali do siebie dla lepszego ładu unteroficjerów od gwardii koronnej.

Strzelanie jedno jest, które czyni różnicę między procesjami za panowania Augusta III i procesjami za panowania Stanisława Augusta, pod którym pomienione strzelanie z rozkazu dworu, na damy lękliwe względnego, zarzucono; i kupcy tylko ci, którzy są w magistracie albo chcą z dewocji, z świecami, bez chorągwiów procesji asystują, trzymając miejsce po zakonach przed świeckim duchowieństwem. W Warszawie dla tej procesji, którą zawsze prowadził i prowadzi biskup lub prymas, a król niemal zawsze jej asystuje, robią pomost z tarcic dokoła rynku, począwszy od wielkich drzwi kościoła farnego, dla wygodniejszego chodzenia królowi, celebransowi i panom orderowym, tak baldekin unoszącym, jako też za królem idącym. Z obu stron pomostu we dwie linie stoi uszykowana gwardia koronna piesza, nie puszczająca motłochu w środek, a nawet i z okazalszych nie każdego. Około baldekinu cum Sanctissimo i około króla z senatorami i dystyngwowanymi damami postępuje wraz z procesją gwardia konna; za Augusta III tę służbę odbywali jego nadworni drabanci, lecz na końcu panowania, gdy mu król pruski zabrał wszystko wojsko pod Pirną w Saksonii, odbywała taż gwardia konna.

Niosącego Sanctissimum żaden z panów świeckich nie unosi pod ręce, jak jest gdzie indziej zwyczaj, ale prałaci dają mu tę pomoc, jeżeli bywa potrzebna. Wyglądający z kamienic oknami na procesją, którymi najwięcej są damy, muszą zamykać okna, gdy się procesja zbliża, a to dlatego, żeby te obiekta wabiące wzrok do siebie nie czyniły dystrakcji nabożeństwu – i wielce nieprzyzwoita rzecz jest, żeby głowy tych lalek nad Sanctissimum górowały. Tak bywało wszystko za Augusta III; tak jest i za dzisiejszego Stanisława Augusta, oprócz strzelania, które i po innych miastach i wsiach było do tej procesji, tak jak i na rezurekcją, używane.

O jasełkach

Mamy wiadomość z Ewangelii, że Chrystus, narodzony w stajni, złożony był in praesepio. Praesepe znaczy w polskiej mowie żłób. Jasła zaś zowią się zagrody pod żłobem, gdzie słomę na podściel pod konie służącą kładą; mówią się też jasia, kiedy w oborach, w których bydło stawa, nie masz żłobów, tylko w takie zagrody, z deszczek zrobione, kładą dla bydła słomę i sypią sieczkę. Ten, co pierwszy wymyślił jaselka, o których niżej będę pisał, rozumiał, że żłób i jasła są imiona jednę rzecz znaczące, tę samę, co słowo łacińskie praesepe, przeto lalkom swoim i fraszkom dziecinnym, którymi wyrażał Narodzenie Chrystusowe, nadał imię jasełka. Które kiedy nastały do Polski, nie wiem, jak jednak pamięcią zasięgam, we wszystkich kościołach byty używane; obchodzono je tak jak groby wielkopiątkowe, lubo mało co ludzie stateczni, tylko najwięcej matki, mamki i piastunki z dziećmi, studenci z dyrektorami i młodzież doroślejsza obojej płci, pospólstwo zaś drobne niemal wszystko.

Pomienione jasełka były to ruchomości małe, ustawione w jakim kącie kościoła, a czasem zajmujące cały ołtarz niżej i wyżej po bokach, tylko jednę mensę ołtarzową nie zaprzątnioną sobą zostawując dla odprawowania mszy świętej wolną.

Była to w pośrodku szopka mała na czterech słupkach, daszek słomiany mająca, wielkości na szerz, dłuż i na wyż łokciowej; pod tą szopką zrobiony był żłobek, a czasem kolebka wielkości ćwierćłokciowej, w tej lub w tym osóbka Pana Jezusa z wosku albo z papieru klejonego, albo z irchy lub płótna konopiami wypchanego uformowana, w pieluszki z jakich płatków bławatnych i płóciennych zrobione uwiniona; przy żłobku z jednej strony wół i osieł z takiejż materii jak i osóbka Pana Jezusa ulane lub utworzone, klęczące i puchaniem swoim Dziecinę Jezusa ogrzewające, z drugiej strony Maria i Józef stojący przy kolebce w postaci nachylonej, afekt natężonego kochania i podziwienia wyrażający.

W górze szopki pod dachem i nad dachem aniołkowie unoszący się na skrzydłach, jakoby śpiewający: „Gloria in excelsis Deo". Toż dopiero w niejakiej odległości jednego od drugiego pasterze padający na kolana przed narodzoną Dzieciną, ofiarujący mu dary swoje: ten masła garnuszek, ów syrek, inny baranka, inny koźlę; dalej za szopą po obu stronach pastuszkowie i wieśniacy; jedni pasący trzody owiec i bydła, inni śpiący, inni do szopy śpieszący, dźwigający na ramionach barany,

kozły; między którymi osóbki rozmaity stan ludzi i ich zabawy wyrażające: panów w karetach jadących, szlachtę i mieszczan pieszo idących, chłopów na targ wiozących drwa, zboże, siano, prowadzących woły, orzących pługami, przedających chleby, szynkarki różne trunki szynkujące, niewiasty robiące masło, dojące krowy, Żydów różne towary do sprzedania na ręku trzymających i tym podobne akcje ludzkie.

Gdy zaś nastąpiło święto Trzech Królów, tedy przystawiano do tych jasełek osóbki pomienionych świętych, klęczących przed narodzonym Chrystusem, ofiarujących Mu złoto, myrrę i kadzidło, a za nimi orszaki ich dworzan i asystencji rozmaitego gatunku: Persów, Arabów, Murzynów, laufrów, masztalerzów prowadzących konie pod bogatymi siądzeniami, słoniów, wielbłądów. Toż dopiero wojska rozmaitego gatunku: jezdne i piesze, murzyńskie i białych ludzi, namioty porozbijane, na koniec przez imaginacją, za związek rzeczy występującą, regimenta uszykowane polskiej gwardii, pruskie, moskiewskie, armaty, chorągwie jezdne, usarskie, pancerne, ułańskie, kozackie, rajtarskie, węgierskie i inne rozmaite.

Na takie jasełka sadzili się jedni nad drugich, najbardziej zakonnicy. Celowali zaś innych wszystkich wielością i kształtnością kapucyni; a gdy te jasełka, rokrocznie w jednakowej postaci wystawiane, jako martwe posągi nie wzniecały w ludziach stygnącej ciekawości, przeto reformaci, bernardyni i franciszkanie dla większego powabu ludu do swoich kościołów jasełkom przydali ruchawości, między osóbki stojące mięszając chwilami ruszane, które przez szpary, w rusztowaniu na ten koniec zrobione, wytykając na widok braciszkowie zakonni lub inni posługacze klasztorni rozmaite figle nimi wyrabiali. Tam Żyd wytrząsał futrem pokazując go z obu stron, jakoby do sprzedania, które nadchodzący znienacka żołnierz Żydowi porywał. Żyd futra z ręki wypuścić nie chciał. Żołnierz Żyda bił, Żyd, porzuciwszy futro, uciekał. Żołnierz wydarte futro Żydowi przedawał nadchodzącemu mieszczaninowi, a wtem Żyd skrzywdzony pokazał się niespodzianie z żołnierzami i instygatorem, biorącym pod wartę żołnierza przedającego futro i mieszczanina kupującego.

Gdy taka scena zniknęła, pokazała się druga, na przykład: chłopów pijanych bijących się pałkami albo szynkarka tańcująca z gachem i potem od diabła razem oboje porwani, albo śmierć z diabłem najprzód tańcująca, a potem się bijące z sobą i w bitwie znikające. To znowu musztrujący się żołnierze, tracze drzewo trący i inne tym podobne akcje ludzkie do wyrażenia łatwiejsze, które to fraszki dziecinne tak się

ludowi prostemu i młodzieży podobały, że kościoły napełnione bywały spektatorem, podnoszącym się na ławki i na ołtarze włażącym; a gdy ta zgraja, tłocząc się i przymykając jedna przed drugą, zbliżyła się nad metę założoną do jasełek, wypadał wtenczas spod rusztowania, na którym stały jasełka, jaki sługa kościelny z batogiem i kropiąc nim żywo bliżej nawinionych, nową czynił reprezentacją, dalszemu spektatorowi daleko śmieszniejszą od akcyj jasełkowych, kiedy uciekający w tył przed batogiem jedni przez drugich na kupy się wywracali, drudzy rzeźwo z ławek i z ołtarzów zskakując jedni na drugich padali, tłukąc sobie łby, boki, ręce i nogi albo guzy i sińce bolesne o twarde uderzenie odbierając.

Takowe reprezentacje ruchomych jasełków bywały, prawda, w godzinach od nabożeństwa wolnych, to jest między obiadem i nieszporami, ale śmiech, rozruch i tumult nigdy w kościele czasu ani miejsca znajdować nie powinien. Dla czego, gdy takowe reprezentacje coraz bardziej wzmagając się doszły do ostatniego nieprzyzwoitości stopnia, książę Teodor Czartoryski, biskup poznański, zakazał ich, a tylko pozwolił wystawiać nieruchawe, związek z tajemnicą Narodzenia Pańskiego mające. Po którym zakazie jasełka, powszedniejąc coraz bardziej, w jednych kościołach zdrobniały, w drugich w cale zostały zaniechane.

O kołysce

Jak wiele rzeczy o Panu Jezusie mamy z rewelacyj św. Teresy, św. Brygitty, św. Mechtyldy i innych tym podobnych świętych, o których rzeczach nic nie mówią Ewangelie ani inne Pismo święte, tak trzeba rozumieć i o kołysce, czyli kołysaniu Pana Jezusa, że początek swój bierze albo z jednej z tych rewelacyj; albo jeżeli i w tych nie ma nic o nim, to z pobożnej ojców bernardynów imaginacji, u których samych tylko odprawowała się ta kołyska nie w kościele, ale w izbie jakiej gościnnej przy forcie klasztornej będącej. Ceremonia ta mała niewielom wiadoma była i niemal tylko dewotom i dewotkom bernardyńskim znajoma. Schodzili się na nią zaraz po obiedzie; była zaś takowa: kolebka zwyczajna, w jakiej kołyszą dzieci, ale jak najsuciej w kwiaty i materią bogatą ubrana, stała na środku izby; w niej osóbka Pana Jezusa miary dziecięcia zwyczajnej, w pieluszki bogate uwinionego, śpiącego. W głowach kolebki osoba dwułokciowa Najświętszej Panny, w suknie

według mody ustrojona, w głowach św. Józefa, żydowskim krojem, ale w światłe materie ubranego.

Całe zgromadzenie klasztorne klęcząc formowało cyrkuł około kolebki, śpiewające pieśń do usypiania Dziecięcia Pana Jezusa przystojnie złożoną. Gwardian z jednej strony, a pierwszy po nim w stopniu godności z drugiej strony klęczący kołysali kolebkę śpiewając razem z drugimi. Po skończeniu pieśni gwardian, powstawszy, mówił modlitwę z wierszem i odpowiedzią, śpiewanym tonem; potem dawał ludowi zgromadzonemu aspersją i na tym kończyła się ceremonia, która nie trwała dłużej nad pół godziny i nie bywała, tylko raz jeden w rok, w sam dzień Bożego Narodzenia. NB. O kolędzie i Ewangeliach .

Rozumiem, żem nie wystąpił z materii ani z jej porządku, kiedy, przedsięwziąwszy pisanie o obyczajach polskich, najpierwej udałem się do opisania religii, która gruntem obyczajności będąc, pierwszeństwo między obyczajami trzymać powinna. Przeto w tym moim opisaniu obyczajów ogólnych polskich pierwsze miejsce dałem tym, które ściągały się do religii, acz zdrożność ludzka wiele do jej świętych ustaw i obrządków przymięszała zabobonów, głupstw i nieprzyzwoitości, które się w opisaniu poprzedzającym widzieć dają.

Skończywszy obyczajność duchowną, czyli kościelną, przystępuję do obyczajności światowej; a że ludzie wprzód są dziećmi, nim się stają ludźmi, przeto opis mój zaczynam od wieku dziecinnego, prowadząc go po stopniach lat aż do doskonałej pory człowieka dorosłego.

O WYCHOWANIU DZIECI

Sposób przychodzenia na świat ludziom jeden jest i będzie od początku aż do skończenia tegoż świata, każdemu wiadomy, z bestiami pospolity. Ale usługa i obrządzanie dziatek narodzonych tudzież dalsze ich wychowanie nie zawsze było jednakowe.

Pod panowaniem Augusta III niewiasty podeszłe służyły matkom rodzącym. Zaraz po odłączeniu dziecięcia od żywota macierzyńskiego kładły go w kąpiel ciepłą, z wody i różnych ziółek przygotowaną, w której obmyte dziecię obwijały w pieluszki, i tę kąpiel do kilku dni, z początku raz lub dwa co dzień, a potem coraz mniej razy powtarzały; i to kąpanie dziecięcia było obowiązkiem baby odbierającej; potem należało do matki albo mamki, lub piastunki. Zaraz od urodzenia dziecię kładziono do kolebki; wiele razy chciano, aby spało, kołysano go, a w dzień to mu i kołysząc go śpiewano, aby prędzej usnęło. Tak nauczone dziecię inaczej nie usnęło, chyba długim płaczem zmordowane, gdy go nie miał kto kołysać, jak się to trafiało dzieciom prostej kondycji lub ubogich rodziców, gdy matka podkarmiwszy go piersią, sama pracą zatrudniona, lada gdzie dziecko porzuciła, czasem na polu w bruździe przy żniwie, zasłoniwszy go snopkiem od słońca.

W Polszcze zażywano kolebek stojących na ziemi na biegunach, na Rusi i w Litwie wiszących na sznurach. Takie kolebki są wygodniejsze, bo nie czynią żadnego chrobotu jak te, co na biegunach, i rozbujane dobrze, długo się same kołyszą, tak że kołysząca może się cokolwiek przespać, nim kolebka stanie; ale też za to stłuczenie dziecięcia cięższe, gdy przypadkiem z kolebki rozbujanej wypadło. Lekarstw wewnętrznych żadnych nie dawano dzieciom przy piersiach będącym, prócz jednych ulepków, akomodowanych do choroby dziecięcia, a na zatwardzenie żołądka kładziono im tam, którędy kał wychodzi, czopek z mydła. Gdy zaś wypierały im pachy i łona, zasypowano te miejsca alabastrem skrobanym. Gdy dzieci uczono jeść, karmiono je najprzód papką z chleba, cukru, masła i piwa zrobioną albo z mąki, albo kaszką drobną tatarczaną, dalej zaś wyższego stanu i majętniejszych rodziców – dzieciom dawano rosołki z kurcząt, kaszę z mlekiem lub inne jakie lekkie potrawki. Gdy dzieci uczono jeść, najprzód przed podaniem pokarmu

uczono je formować znak krzyża św., wyrażając dziecięciu tenże znak jego własną rączką na czele, piersiach i ramionach; a gdy poczęło wymawiać słowa, natychmiast uczono go pacierza, nie pozwalając mu żadnego pokosztowania pokarmu, póki się przynajmniej nie przeżegnało, a doskonalsze, póki choć jakiej części pacierza nie nauczyły się na pamięć.

Ubogie matki i proste chłopianki dzieciom swoim pchały toż samo w gębę, co same jadły: groch, kapustę, kluski, przeżuwając wprzód w swojej gębie i studząc dmuchaniem. Niektóre matki, jaki trunek same piły, na przykład gorzałkę, takiego i dziecięciu kosztować podawały mając to uprzedzenie, że gdy tego trunku kosztować będzie z dzieciństwa, potem, gdy dorośnie, brzydzić się nim będzie. Ale to wielka nieprawda; wyrastali z takich dzieci główni pijacy i pijaczki.

Gdy dziecię poczynało stawać na nogach, uczono go chodzić, wodząc na paskach: było to sznurowanie rzemienne jakim płótnem podszyte, na kształt sznurówki kobiecej, mające z tyłu dwie taśmy długie, którymi piastunka unosiła dziecię nogi stawiające; a gdy już tak nawykło postępować, wsadzano go w wózek okrągły, pod pachy dziecięcia wysoki, mający u spodu cztery kółka, na wszystkie strony obrotne, aby się mógł posuwać wszędzie, gdziekolwiek dziecię, nogami na ziemi stojące, iść chciało. Chroniąc głowy od stłuczenia, dawano dzieciom czapeczki, a na te zawdziewano opaskę grubą z aksamitu, pospolicie czarnego, z wierszchu, a od spodu z kitajki czerwonej zszytą, wewnątrz bawełną wysłaną, dwiema taśmami przez wierszch głowy, aby na oczy nie zachodziła, przepasaną i pod brodą wstążką lub tasiemką, aby się z głowy nie zmykała, podwiązaną; bez takiego opatrzenia głowy nigdy dziecię, chyba na noc w kolebce, gdy spało, nie było. Przestrzegali także dziecięcych piersi od zimna i ostrego powietrza zasłonkami, bawełną wyściełanymi, jako też całe dziecię w sukienki i futra tudzież w trzewiczki i pończoszki, a chłopców w bociki ubierali. Których ubiorów dzieci chłopskie i ubogich rodziców nie znając, przykrość powietrza w lichej sukmance, a częstokroć w jednej koszulinie, z gołą głową wytrzymowały.

Tymi zwyczajami obchodzono się z dziećmi w karmieniu ich i odziewaniu do czterech albo piąciu lat; po których odmianę następującą będę pisał tylko co do dzieci pańskich i rodziców majętnych, chłopskich i ubogich zaniechawszy, gdyż te żadnego stroju do lat stosowanego ani pokarmu nie miały. Potrawy dla nich były te same co rodziców. Odzież – koszulsko i jaki łachman, a po wielu miejscach napa-

trzeć się można było dzieci lat dziesiątka dorastających, chłopców i dziewczyn, nagich jak pasternaki, wedle pieca stojących albo w zimie po lodzie ślizgających się.

Pańskie dzieci i majętnych rodziców miejskiej kondycji od piąciu lat ubierano inaczej. Dziewczętom dawano sznurówkę, rogiem wielorybim przeszywaną dla uformowania stanu, czyli talii, acz zbytnim ściąganiem takiej sznurówki czasem dostawały stanu przewlokłego albo na zdrowiu szwankowały. Na sznurówkę od pasa do nóg spódniczkę, latem flanelową, zimą kuczbajową. Na wierszch tego dwojga wdziewano na dziewczynę kabatek z jakiej jedwabnej materii, z tyłu sznurowany, od ramion do nóg długi, z gorsem wyciętym w miarę piersi, czasem chustką jedwabną, czasem niczym, według mody, nie zakrytych, w stanie wcięty, u dołu fałdzisty, z przodu krótszy, z tyłu dłuższy. Na kabatek przywiązywano fartuch muślinowy lub rąbkowy, z bawetem do piersi sięgającym; rękawy u kabatka po łokieć ręki długie. Na ręce kładli rękawiczki skórzane lub jedwabne, dzierzgane lub niciane cienkie, cokolwiek do łokcia nie dochodzące. Głowa w warkocze spleciona goła albo też w jaki kornet i bukiety ubrana. W zimie duecik aksamitny czarny, bawełną cienko wysłany, atłasem lub kitajką, czasem zieloną, najczęściej karmazynową, podszyty. Na nogach pończocha niciana lub jedwabna, lub wełniana, według pory czasu. Trzewik z skórek malowanych w kwiaty, która moda w środku lat panowania Augusta zaginęła, na jej miejsce nastały trzewiki materialne bławatne.

Chłopców strojono w żupan bławatny i kontusz sukienny, który miał rękawy od ramion rozcinane, nie na ręce zawdziewane, ale w tył na krzyż pod pas założone. Pas z jakiej materii jasnej jedwabnej, na nogach pończochy białe niciane i trzewiki z czarnej skóry cielęcej. Głowa w warkocz spleciona, na głowie kapelusz, na miejscu którego zimą dawano czapki, jako też do odziania się od zimna szubki, futrem jakim lekkim podszyte, z rękawami długimi przestronnymi; i te szubki były jednakowego kroju tak dla dziewcząt, jak dla chłopców.

Tak dzieci noszono do lat dwunastu. Od dwunastu lat strojono ich takim krojem, jakiego zażywali ludzie doskonali, według mody panującej.

O edukacji dzieci od lat siedmiu

Lubo niektóre dzieci pojętniejszych zmysłów od pięciu łat zaczynano uczyć czytać w domu, nie oddawano ich atoli powszechnie do szkół, aż w roku siódmym zaczętym lub skończonym.

Dla mięszkających po miastach pierwsza szkoła była parochialna, przy farze lub katedrze: gdzie się znajdowała; po wsiach z trudna gdzie przy farze znajdowała się taka szkoła. Dlatego szlachcic mięszkający na wsi, nim oddał dzieci do szkół, musiał w domu wprzód je nauczyć czytać, przyjmując na ten koniec jakiego nauczyciela, jeżeli między domowymi nie miał nikogo do tej usługi sposobnego.

W szkole parochialnej uczono samych chłopców; dziewczęta zaś oddawano do niewiast statecznych tym się bawiących, które ich uczyły samego czytania po polsku, dzierzgania pończoch i szycia rozmaitego. Majętniejszych córek uczono języka niemieckiego i francuskiego, który już zaczął wchodzić w modę. Panów wielkich córki uczone były tego wszystkiego w domu przez ochmistrzynie, a przy tym przez metrów pisania i tańcowania.

Chłopców w szkole parochialnej uczono czytać na elementarzu i pierwszych początków łaciny na gramatyce: Alwarze lub Donacie. Katechizm, czyli nauka religii, była najpierwszą przed wszystkimi innymi. Kary szkolne na tych, którzy się uczyć nie chcieli albo swawolą jaką popełnili, były: niedopuszczenie jedzenia obiadu, klęczenie albo plagi. Instrumenta kary: placenta, to jest skóra okrągła, gruba, w kilkoro złożona, na dłoń ręki szeroka, na trzonku drewnianym obdłużonym osadzona, którą – za omyłki w czytaniu lub na pamięć tego, czego się nauczyć naznaczono, odmawianiu – bito w rękę; za zupełne nienauczenie się wydziału swego lub za swawolą albo inne przestępstwo praw szkolnych instrument kary: rózga brzozowa albo dyscyplina, pospolicie rzemienna, u surowszych zaś nauczycielów z sznurków nicianych tęgo spleciona, siedym lub dziewięć odnóg mająca, którą to rózgą lub dyscypliną bito w tył

obnażony, uderzając najmniej trzy, a najwięcej piętnaście razy, według przewinienia, według cierpiętliwości ciała i według surowości lub łagodności nauczyciela.

Na sporszych chłopczaków, więcej nad lat siedym starszych, używano kańczuga. Byt to rzemień twardy, innym rzemieniem tęgo opleciony, na trzonku drewnianym osadzony, na łokieć długi, jak cepy chłopskie składany. Kańczugiem nie bito w gołe ciało, które by kale-

czył, ale przez suknie, a przynajmniej przez spodnie, a i tak, silno przyłożony, dosyć bólu zadawał. Znajdowały się atoli tak twardego ciała dzieci, że kańczugowe plagi w gołe ciało wytrzymowały bez naruszenia skóry, tylko sinymi dęgami się karbującej; i którzy mieli tak twarde ciało, byli też pospolicie równie tępych zmysłów: nieukowie, niechlujowie, na wszystkie przykrości wytrzymali.

Jeszcze był jeden rodzaj kary w szkole parochialnej, i ten mało gdzie używany. Kiedy który chłopiec pobliższych wedle siebie zapachem nieprzyjemnym poczęstował, tedy oskarżony musiał się sam dobrowolnie położyć na stołku na środku szkoły wystawionym; tam każdy współstudent zdjąwszy bot z nogi uderzył go raz cholewą, i to była kara wstydząca, nie boląca, występkowi równa.

O szkołach publicznych

Przekrzesanych w szkole parochialnej w pierwszych rudymentach łaciny oddawano do szkół publicznych, jezuickich lub pijarskich, które po wszystkich miastach, w których się znajdowały, bywały tak liczne, że się w niektórych po tysiącu studenta znajdowało. Wszyscy mieszczanie i szlachta, i panowie najwięksi oddawali dzieci swoje do szkół; edukacja i karność dla wszystkich była równa, bez względu na panicza i chudego pachołka, na szlachcica i mieszczanka albo chłopka. Paniczowie, co do szkolnych obowiązków z najchudszymi zrównani, mieli jednak tę dla siebie preferencją, że zasiadali w szkole pierwsze ławy; chyba że się źle uczył, to poszedł ad scamnum asinorum. Była to ława przy piecu, tak nazwana dla tych , którzy się uczyć nie chcieli; a jeżeli i taka degradacja nie pomagała gnuśnemu, wdziewano mu na głowę słomianą koronę; na ostatni zaś bodziec do nauki oprowadzano go w takiej koronie po wszystkich szkołach, wołając za nim: „Asinus asinorum in saecula saeculorum". Do której ostatniej a nieznośnej hańby ledwo kiedy przychodziło, bo jeżeli który doszedł korony słomianej, już się tak pocił i mozolił z książką wszystkimi siłami, że do oprowadzenia nie przyszedł i wkrótce się z ławicy oślej wydobył, abdykowawszy słomianą koronę kołkowi, na którym ona zawsze wisiała, wiele razy głowy do niej nie było. Zapatrywali się na nią leniwi do nauki jak na straszydło, chętni zaś jak na figiel dla śmiechu wymyślony.

Nauka dzieliła się na szkoły. Pierwsza szkoła u jezuitów zwała się infima i dzieliła się na dwie: na infimę minorem i na infimę maiorem,

lubo w obydwóch niemal jedna była nauka: zgadzać adiectivum cum substantivo i casus nominum cum temporibus et modis verborum, z tą tylko różnicą, iż w infamie mniejszej wybierali takie składy co łatwiejsze, w infamie większej – co trudniejsze; i druga różnica, że drobniejsze dzieci przychodzące do szkół oddawano do infimy mniejszej, a sporsze do infimy większej. U pijarów tego gradusu szkoła zwała się parwa; uczono w niej jednej tego samego co w dwóch infimach u jezuitów. Po parwie następowała gramatyka, od której począwszy aż do końca jedna była tak u pijarów, jak u jezuitów szkół gradacja, to jest: gramatyka, syntaktyka, poetyka, retoryka, philosophia i teologia, do której z trudna którzy studenci postępowali, chyba ci, którzy już w szkołach do stanu duchownego czuli powołanie; którzy zaś nie mieli tego ducha, szkoły najwięcej kończyli na filozofii, a często na retoryce.

Gramatyka uczyła składać małe i krótkie sensa prostymi wyrażeniami. Syntaktyka dawała sposoby, jak mowę prostą okrasić rozmaitymi figurami i słów wykrętami. Poetyka uczyła quantitatem łacińskich słów, które się krótko, a które przeciągle wymawiać powinny, także pisania wierszów łacińskich i polskich, przez które się dowcip rozprzestrzeniał. A tak już z łaciną w syntaktyce przetartą, z dowcipem w poetyce rozprzestrzenionym promowało się do retoryki, sztuki dobrze i długo w jakiej materii mówienia, dobrze myśli swoich bądź w dyskursie, bądź w pisaniu tłomaczenia. Co jako każdemu człowiekowi w jakimkolwiek sposobie życia zostającemu jest wielce potrzebne, tak też edukacja młodzieży szkolnej to za najpierwszy cel miała i do niego wszystkie swoje usiłowania zmierzała. Philosophia miała swój konszt inny w cale od szkół przed sobą opisanych; ale ja przepraszam Czytelnika mego, że mu o niej doskonałej nie dam informacji, ponieważ jej nie traktowałem, na retoryce trzy lata słuchanej skończywszy moje szkoły. Ilem słyszał o tej nauce, zabawia się poznawaniem natury, czyli przyrodzenia, przyczyn i skutków, wniosków i wypadków, prawd niezawodnych; ale zapomniałem nasamprzód położyć; uczy ta szkoła najpierwej terminów pewnych, przez które się w innych filozoficznych scjencjach krótko i dokładnie tłomaczyć można. Dzieliła się ta nauka w szkołach ordynaryjnych, tak pijarskich, jak jezuickich, na: dialektykę, fizykę, logikę i metafizykę; dla niektórych zaś studentów kilka razy w tydzień po godzinie dawano matematykę.

W akademiach zaś publicznych, czyli generalnych, jako to krakowskiej, zamojskiej i wileńskiej, prócz nauk dopiero wyliczonych były nadto: nauka matematyki wszelkiego rodzaju, astrologii, geografii,

geometrii, kosmografii, do tego: jurisprudencji, medycyny, i zwały się te akademie universitates. Co się tycze ogółem filozofii – tej patriarchów nie było więcej jak dwóch: Arystoteles i św. Tomasz, ponieważ na wszystkich dysputach nie tłomaczyli się inaczej walczący z sobą, tylko albo „iuxta mentem Aristotelis", albo „iuxta mentem divi Thomae". W akademiach kto się promował do godności doktorskiej w filozofii, musiał przysięgać, jako inaczej nie będzie trzymał i uczył, tylko „iuxta mentem divi Thomae"; ci tedy, którzy się trzymali zdania Arystotelesa, zwali się peripatetici, a którzy św. Tomasza, zwali się thomistae.

Pierwsi pijarowie jakoś około roku 1749 czyli trochę wyżej odważyli się wydrukować w jednym kalendarzyku politycznym niektóre kawałki z Kopernika, dowodzące, że się ziemia obraca, a słońce stoi. Czego ledwo dostrzegli jezuici, nie omięszkali i swoich rozumów, co ich tylko mieli najbystrzejszych, użyć przeciwko pijarom, ciężkim przeciwnikom swoim, ale też inne zakony przeciw nim poburzyć o takową hypothesim, czyli zdanie dawnej nauce przeciwne. Rozruch ten po szkołach był na kształt pospolitego ruszenia przeciwko pijarom; wydawali książki zbijające takową opinią, zapraszali pijarów na dysputy i najwięcej z tej materii pijarom dokuczeć usiłowali. Ci atoli, coraz nowy jaki kawałek wyrwawszy z teraźniejszych wodzów filozoficznych: Kopernika, Kartezjusza, Newtona, Leibniza, dokazali tego, że wszystkie szkoły przyjęły neoteryzm, czyli naukę recentiorum, według której ziemia się obraca koło słońca, nie słońce około ziemi, tak jak pieczenia obraca się koło ognia, nie ogień koło pieczeni. Koloru nie masz żadnego w rzeczach, tylko te barwy, które na nich widziemy: białe, czarne, zielone, czerwone, żółte etc., sprawuje temperament oczu i światła, czego jest wielkim dowodem jabłko na przykład, w dzień zielone, które toż samo przy świecach wydaje się granatowe; że ból, świerzbienie i inne czucia nie mają swego placu w ciele, tylko w duszy, ponieważ ciało bez duszy nic nie czuje.

NB. Mnie się zda, iż tak ciało nie czuje bez duszy, jak dusza bez ciała; organy nie grają bez organisty i organista bez organów; a jeżeli czucie nie jest w ciele, tylko w duszy, to też i głos nie jest.

Zgoła pod panowaniem Augusta III, jakoś wśród czasu panowania jego, wzięła w szkołach polskich początek nowa filozofia, ale z wielką bojaźnią, rozszerzyła się zaś i ośmieliła zupełnie na końcu jego panowania.

Takie było compendium szkół i nauk publicznych za panowania Augusta III. Te nauki nie były wolne: każdy student, który się do nich udał, musiał albo się uczyć podług sił swoich, albo nie nauczając się wytrzymować kary szkolne, albo nie chcąc się w cale uczyć ustąpić ze szkół. Było to jakieś na kształt przykazanie, którego mocno doglądali profesorowie, żeby studenci oddani do szkół koniecznie z nich podług możności dowcipu swego profitowali, osobliwie w mniejszych szkołach aż do retoryki, żeby rodzicom darmo kaszy nie zjadali.

Oprócz zaś tych nauk uczono po trosze w pewne godziny języków niemieckiego i francuskiego tudzież arytmetyki, ale nie z takim rygorem jak łaciny; wolno było tych przydatków uczyć się i nie uczyć, uczyć się serio albo tylko się przypatrywać, być na lekcji i nie być, nie karano za to ani nie strofowano.

Jedna łacina, a raczej konstrukcja do wszelkiego języka zdatna, była celem natężenia pracy nauczycielów; tak tego doglądano, że nawet profesor, kiedy niedbale uczył, od swojej zwierszchności odbierał naganę albo był od uczenia szkół oddalony i do innej funkcji niższego szacunku obrócony. Nauczycielów szkolnych, którzy niższych szkół uczyli, nazywano magistrami i ci byli klerycy zazwyczaj minorum ordinum. W wyższych szkołach nauczycielów, począwszy od retoryki, nazywano patrami, a to z przyczyny, iż w tych szkołach dający lekcje już byli kapłani.

Nie dosyć było na lekcji w szkole dawanej i na profesorze, czyli nauczycielu szkolnym; byli inni, nazwani dyrektorami, którzy w jednych stancjach z studentami mięszkali; tam im lekcją szkolną, od profesora zadaną, tłomaczyli, powtarzali i do zrozumienia jej oraz nauczenia się dopomagali; z stancji do szkoły i z szkoły do stancji studentów swoich zaprowadzali; na rekreacje lub jakie nawiedziny zawsze za nimi chodzili. Zgoła zawsze ich na oku mieli. A kiedy studentów zaprowadzili do szkoły, sami szli do swojej. Tacy dyrektorowie byli najmowani i płatni od ojców studentów. (Więcej o dyrektorach patrz na sub titulo O pobożności.

Trzeci gatunek studentów byt chłopcy służący, ubogich rodziców synowie, najwięcej szlacheccy, u synów pańskich i majętniejszej szlachty. Ci, służąc panom swoim, razem z nimi do szkół chodzili i częstokroć panów swoich w nauce przewyższali. Posługa ich była panięciu, u którego lub u których chłopiec służył, a przy tym i panu dyrektorowi łóżko posłać, izbę zamieść, suknie i boty wychędożyć, do stołu służeć, książki za panięciem do szkoły i ze szkoły nosić i pójść po

sprawunku, gdzie posłano. Tym sposobem bardzo wiele edukowało się szlacheckich synów i wychodziło na wielkich ludzi.

Lecz skoro księża pijarowie założyli konwikt osobny dla paniąt, a za ich przykładem, z początku ganionym, poszedłszy księża jezuici wystawili drugi, szkoły publiczne zdrobniały. Krzywda edukacji publicznej stula się dwoista: raz, iż co lepsi profesorowie dawani bywali do konwiktów, a do szkół ordynaryjnych podlejsi; druga, że dyrektorowie i chłopcy służący stracili sposób uczenia się w konwiktach, albowiem nie potrzebowano dyrektorów, powinność których zastępowali profesorowie ustawicznie mięszkając, jadając i przestawiając z konwiktorami, na ody jak w tureckim saraju podzielonymi, ani chłopców, na miejsce których przyjęto lokajów, do czterech od jednego, a w jednej odzie mieściło się dwóch konwiktorów. Oda jest to wielka sala, mająca po obu stronach komórki, dwa łóżka i dwa stoliki obejmujące, bez drzwiów, zamiast tych firankami zasłaniane. Co dwie ody, to trzecia stancja dla pijara, pod zamknięciem; w końcu zaś stancja dla profesora najstarszego.

Teatyni lubo mieli konwikt, ale ten bardzo mały, inną wcale dyspozycją; i do panięcych usług zażywali służących rozmaitych, czasem szlachty, czasem lokajów Niemców. Kto chce wiedzieć obszerniej przyczyny żalenia się na konwikty, niech się postara o książkę pod tytułem *Skarga ubogiej szlachty na ks. ks. pijarów*, wydaną zaraz po otwarciu pijarskiego konwiktu. – Do szkół publicznych w Warszawie za mojej edukacji chodzili: Pacowie – dwaj bracia, Wodzińscy, Oskierkowie, Pociejowie, którzy mieli po kilku służących, nie po jednym chłopcu, i dyrektorów; każdy dom z osobna. Innych zaś paniczów z mniejszą asystencją bardzo wielu znajdowało się w każdych szkołach.

Czwarty gatunek studentów był: kalefaktorowie. Byli to chłopacy sporzy, po lat dwadzieścia i więcej mający, którzy powinność mieli w piecach palić i drwa rąbać i jeżeli który student zasłużył, aby był rózgami karany, kalefaktor w końcu zapiecka, za zasłoną, sprawiał takiego winowajcę, nie profesor, a to dlatego, żeby przystojność względem innych studentów i profesora zachowana była, gdyż się nieraz trafiło, że chłopiec niecierpliwy od rózgi brzozowej, jak gdyby od rhabarbarum, nagłej dostał laksacji. Do jednego pieca albo do dwóch był jeden kalefaktor, na którego zapłatę i na drwa składali się studenci możniejsi, a reszto, gdy mała kolekta była, opatrowali z kolegium jezuici i pijarowie, dając mu przy tym wicht z niedojadków refektarzowych. Narąbawszy drew i napaliwszy w piecu, resztę czasu kalefaktor z innymi

studentami obracał na naukę. Z tych kalefaktorów, zazwyczaj dowcipu tępego będących, rzadko który promowował się do wyższych szkół; nauczywszy się czytać, pisać i cokolwiek liznąwszy łaciny, porzucali szkoły, a udawali się do innego jakiego sposobu życia.

O dyrektorach to jeszcze mam przydać, iż dwojacy byli: jedni rocznio płatni, którzy służyli jednemu jakiemu panięciu albo też i kilkom jednych rodziców synom, szlacheckiej lub miejskiej kondycji; drudzy, którzy miewali pod swoją dyrekcją zbieraną drużynę chudych pachołków, od których brali zapłatę kwartalną, po kilka złotych na kwartał od jednego, a czasem też i obiady za koleją. Kondycje takie, czyli partie studentów, zazwyczaj rozdawał dyrektorom ksiądz prefekt szkół, doskonalszym lepsze, podlejszym podlejsze. Tacy dyrektorowie jako ubodzy, byle się skromnie i bez noty sprawowali, mieli wolność asystować na weselach za drużbów i oratorów do oddawania wieńca pannie młodej; która to ceremonia jeszcze za moich szkół uwala, ale już tylko między pospólstwem, z domów szlacheckich i miejskich dystyngwowanych będąc już wygnaną. Za usługę na weselu taki pan drużba bierał taler bity i chustkę od panny młodej, co dla chudego pachołka było niezłą gratką. Urządzali się także tacy chudzi dyrektorowie za pisarzów cechowych po wielkich miastach do różnych cechów, osobliwie rzeźnickiego, piekarskiego i szewckiego, jako najludniejszych, a zatem dosyć do czynienia na schadzkach swoich mających. Samo przyjmowanie do terminowania uczniów i wyzwalanie tychże na czeladników lub majstrów, często się trafiające, potrzebowało pisarza, który by te dzieje cechowe mądrze i pięknym charakterem napisać umiał. Było zaś według ludzi nieuczonych mądrze, kiedy nierozumianie; a pięknym charakterem, kiedy patent lub list wyzwolony wypisany był dużymi literami i brzegi jego wieńcem z malarskiego złota wyklejonym obłożone.

Ewangelistowie: Na koniec Ewangelie wspierały ubogich studentów. Był zwyczaj po miastach, iż dyrektorowie szkółek parochialnych wysyłali na swój zysk chłopaków po domach w dni niedzielne, aby tym, którzy nic byli na kazaniu, czytali Ewangelią. Jeden, starszy, kropił święconą wodą swoich słuchaczów, mówiąc te słowa: „Aqua benedicta deleantur nostra delicta" , a po tej aspersji Ewangelią czytał, a drugi, młodszy, za nim wodę święconą z kropidłem i dzbankiem nosił. Za co słuchacze ordynaryjnie czytającemu dawali po groszu, a noszącemu wodę wrzucali w dzbanek po szelągu. Dwie części takiej kolekty ewangelicznej należały do dyrektora, trzecia zaś szła na ewangelistę.

Co zaś wrzucano w dzbanek, całkowicie należało do noszącego wodę, a że ci ewangelistowie często oszukiwali dyrektorów szkoły, swoich jurisdatorów, więc ci woleli ten awantaż arendować z umówionej kwoty na kwartety i najwięcej dyrektorom z szkół publicznych jako pewniejszym kontrahentom, z których w przypadku nierzetelności, bądź przez zaaresztowanie płacy od kondycji, bądź przez uskarżenie się przed prefektem szkól, prędszą mogli mieć satysfakcją niż z innych, których nie było na czym patrzeć.

Te Ewangelie były niezłym zyskiem dla ubogich studentów: albowiem natenczas wszyscy, nawet panowie wielcy, mieli sobie za uczynek pobożny przyjmować do domów i pałaców swoich słowo Boże i nie groszami, ale szóstakami i tynfami odbywali ewangelistę. Na końcu jednak panowania Augusta III ten zwyczaj wyszedł z mody u panów i majętniejszych mieszczan i nie miał przystępu jak tylko do ludu pospolitego, tak jak i kolęda, która jeszcze prędzej od Ewangelii wypchnięta została z pańskich domów.

Ko1ęda: Pierwszy książę Michał Czartoryski, na ten czas podkanclerzy wielki litewski, nie kazał puszczać do siebie z kolędą, a gdy ksiądz zdjąwszy z siebie komżą udał, iż ma inny do książęcia interes, i tym sposobem wpuszczony do pokoju zaczął obrządek kolędy, książę natychmiast kazał go wypchnąć i wyrzuciwszy mu za drzwi czerwony złoty napomniał, aby się odtąd nigdy z takimi benedykcjami nie zawołany do niego nie ważył wchodzić. Za przykładem książęcia Czartoryskiego inni panowie poczęli przed księżmi z kolędą chodzącymi drzwi zamykać, a natrętnie wdzierających się łajać. I tak duchowni, od panów wzgardzeni, nie noszą więcej do nich tego niegdyś od dawnych chrześcijan szacownego błogosławieństwa, według słów Chrystusowych u Mateusza św. w rozdziale 10, wierszu 13: „Et si quidem fuerit domus illa digna, veniet pax vestra super eam. Si autem non fuerit digna, pax vestra revertetur ad vos!"

Kolęda jest to obrządek kościelny pewny, który się zaczyna od Nowego Roku i trwa do wielkiego postu. Księża plebani lub ich wikariuszowie w te czasy jeżdżą po dworach i wsiach albo po miastach chodzą po domach, ogłaszają w krótkiej przemowie przyńście na świat Słowa Wcielonego, życzą błogosławieństw wszelkich niebieskich i ziemskich i po skończonej perorze egzaminują czeladź domową i służących z katechizmu. Asystujący księdzu do tej kolędy organista z bakałarzem, gdzie jest, i kilku chłopców śpiewają na wchodzeniu i wychodzeniu jaką pieśń o Bożym Narodzeniu. Po wyjściu księdza dziewki

ubiegają się do stołka, na którym ksiądz siedział; która pierwsza usiędzie, ma sobie za wróżkę, że tego roku za mąż pójdzie. Po wsiach chłopi w Wielkiej i Małej Polszcze dają księdzu kawałki słoniny, serki, grzyby suche, orzechy i owoce kokosze, a oprócz tego po kilka groszy. Po miastach zaś tylko same pieniądze, na jakie kogo stać; toż samo i po dworach szlacheckich, w których pospolicie po odbytej kolędzie raczą się gospodarz z księdzem, obchodząc dzień kolędy bankietem według przepomożenia.

W Prusach zaś kolędny akcydens jest dochodem kościelnym stałym, tak na przykład, jak meszne i dziesięcina. Muszą to kolędne oddawać księżom katolickim nawet dysydenci pod księżmi katolickimi mięszkający, chociaż kolędy nie przyjmują. I gdy Prusy dostały się podziałem Polski królowi pruskiemu Fryderykowi II, a dysydenci rozumiejąc się być wolnymi od danin, księżom katolickim przedtem dawanych, jako pod monarchą dysydentem, zaprzestali oddawać pomienionych danin, księża zaś katoliccy nie rozumiejąc inaczej, tylko że z dołożeniem się królewskim te daniny ustały, nie śmieli się upominać; ale na ostatek dla finalnej rezolucji odważyli się podać do króla tegoż pruskiego memoriał względem nie oddanych sobie przez trzy lata należytości kościelnych. Król pruski zaraz wydał ordynanse do całego kraju zabranego, aby kościołom katolickim wszystkie daniny zatrzymane oddane i odtąd punktualnie corocznie oddawane były, nie pytając się, od kogo one należą, czy od dysydentów, czy od katolików, dosyć że z posesji tymi daninami obciążonej.

Kiełbasa: Rzecz nowa i tylko w samych Prusiech znajoma: po całym kraju kiełbasy nie idą pod miarę, oznaczają się tylko sztukami różnej wielkości. W Prusiech Zaś te, które należą kościołom za kolędne, mierzą na łokcie, i tak kościół jeden ma kiełbasy kolędnej łokci 40, drugi 80, inny 120, według zaszłej raz na zawsze zgody, czyli asygnacji fundatorskiej. Nie bierze jej ksiądz wtenczas, kiedy kolęduje, ani potem razem, ale po trosze, kiedy chce, posyłając do sołtysa po tylo łokci, wiele chce, który natychmiast księdzu wyznaczoną miarę kiełbasy szafuje.

Zabłądziłem z kolędą między szkoły, za co przepraszam Czytelnika. Należał ten kawałek do artykułu o pobożności, ale gdy mi w swoim miejscu z pamięci uszedł, musiałem go tu wsadzić, gdzie mi się przypomniał, mając go za cząstkę obyczaju dawnego, które od mała do wiela chcę potomności wszystkie podać.

Dalsze ćwiczenia szkolne

Emulusowie: Nie dosyć było na usilności profesora, chcącego dla swojej sławy i zasługi wlać umiejętność tego, co uczył, w uczniów; nie dosyć było przez kary, wyżej opisane, przymusić gnuśnych, ażeby się koniecznie uczyli. Starali się jeszcze po wszystkich szkołach nauczyciele sztucznymi a jak najskuteczniejszymi sposobami zapalić w studentach taką chęć do nauki, która by ich nie dla bojaźni kary, ale dla punktu honoru do onejże pobudzała. Wymyślono tedy emulusów, po polsku zazdrośników, dzieląc całą szkołę na pary, jednego przeciw jednemu, wyrzuciwszy ostatniego, jeżeli nie miał pary, który uniknął emulacji, ale miał za to pilniejsze nad innych na siebie oko profesora. Ci tedy emulusowie przesadzali się we wszystkim jedni nad drugich, a który nad swoim przeciwnikiem bądź w lekcji, bądź w jakim zapytaniu znienacka zadanym, bądź w pisaniu okupacji otrzymał górę, za sądem magistra profesora miał wolność karać zwyciężonego przeciwnika; co bardziej gniewało i wstydziło, niż bolało, zatem do oddania za swoje przez przesadzenie w nauce pobudzało.

Pars Romana, Pars Graeca: Druga emulacja była powszechna: jednej połowy szkoły przeciw drugiej połowie. Jedna strona szkoły nazywała się : Pars Romana, i ta była starsza. Druga strona zwała się: Pars Graeca, i ta była młodsza. Żadna strona nie czyniła rzetelnego awantażu ani szkody; jeden punkt honoru, wbity studentom w głowę, przydawał okrasy jednej stronie, a ujmował drugiej: nad każdą stroną na ścianie w tyle ławek wisiała tablica z napisem strony, której służyła, to jest: Pars Graeca, Pars Romana.

Jeżeli jedna strona popisała się lepiej w lekcji szkolnej nad drugą albo na zadane pytanie od profesora odpowiedziała lepiej niż druga, albo przeciwnej stronie zadała taką trudność, iż jej owa strona rozwiązać nie umiała, a zadająca strona rozwiązała ją sama z pochwałą profesora, tedy w takowym i tym podobnym razie profesor zwyciężającej stronie nadawał pochwały: decem laudes, centum laudes, quinquaginta laudes, mille laudes. Otóż takie laudes strona od profesora biorąca zapisowała na swojej tablicy, zbierając je przez cały tydzień lub miesiąc według obfitości lub niedostatku. Gdy przyszła sobota albo ostatni dzień miesiąca, rachowały się z sobą strony; mająca więcej rugowała z ławek mającą mniej, przesiadając się na jej miejsce, a swego stronie zwyciężonej ustępując; i to był cały zysk wygranej.

Która strona wygrała, zawsze się pisała Pars Romana, a która przegrała, musiała przyjmować imię Partis Graecae, chociażby przed przegraniem była Pars Romana. Profesorowie te sta i tysiące, którymi tak suto szafowali, jedni nazywali laudes, a drudzy errores, jakoby przeciwnej strony. Co na jedno wychodziło i nic nie czyniło, a przecie ambicją w studentach do pierwszeństwa podżegało.

Honory także szkolne byty niemałym bodźcem do nauki. Te zaś były następujące: dyktator, imperatores, audytorowie, audytor audytorum, censor.

Dyktator: Dyktator miał swoją ławkę osobną na boku katedry profesora; jak dyktator rzymski w nagłych tylko i zdesperowanych potrzebach rzeczypospolitej bywał kreowany, tak też i ten szkolny. Kiedy cała szkoła zagadnioną była jaką kwestią, na którą odpowiedzieć nie umiała, a jeden, jakoby salwując honor całej szkoły, oświadczył się, iż chce na tę kwestią odpowiedzieć, i w samej rzeczy odpowiedział albo w inakszy sposób podług rzeczy, o którą szło, zadosyć uczynił, tedy nieodwłocznie przez deklaracją profesora z okrzykiem całej szkoły zostawał dyktatorem, której to godności te były przywileje – pierwszy: ławka osobna; drugi: independencja od audytorów i cenzora; trzeci: że zarobione na swoją stronę laudes wolno mu było której chcieć stronie podarować, bądź Parti Romanae, bądź Parti Graecae. A że dyktator za każdą zasługę dziesięć razy więcej zyskiwał laudes niż wszyscy inni studenci, więc której stronie on podarował niezliczone krocie i miliony swoje, ta zazwyczaj drugą przewyższyła. Chcąc tedy strona stronę zwyciężyć, różnymi podarunkami, jabłkami, cukierkami, nożykami i tym podobnymi wielkiego u dzieci szacunku fraszkami dokupowała się łaski dyktatorskiej. Czwarty przywilej, że z żadnej powinności szkolnej, jako to z pensów, okupacji domowej, exercitium szkolnego, skryptury i tym podobnych nie mógł być macany od nikogo, tylko od samego profesora; który jeżeli pana dyktatora, w nadzieję swoich przywilejów opuszczonego, w czymkolwiek udybał niegotowym, natychmiast degradował go ad scamnum asinorum, skąd za poprawą defektu łatwo było wydobyć się, przyńść między drugich, a nawet i rekuperować miejsce dyktatorskie, na które łatwiej się było dostać, niż się na nim długo utrzymać.

Bowiem o dyktatora obijały się wszystkie najtrudniejsze i niemal enigmatyczne kwestie, od dyrektorów swoim dyscypułom dla domieszczenia ich do godności dyktatorskiej pokomponowane. Byt to cel, do którego zewsząd strzelano, osobliwie w ten dzień, kiedy strony grecka i

rzymska miały się między sobą z laudesów rachować i miejsca sobie odbierać. Albowiem ten, który dyktatora spędził, zostawał panem jego wszystkich laudesów, a zatem gdy je której stronie aplikował, każda mu wdzięcznością dobrze kieszeń napakowaia.

Imperator: Imperatorowie mieli ten zaszczyt, że w ławkach szkolnych pierwsze zasiadali miejsce; na procesjach publicznych oni z laskami przed swoją szkolą paradowali i taryfę studentów, każdy swojej partii, trzymali, zapisując w nią każdego studenta podług relacji audytora, który umiał i jak umiał albo wcale nie umiał pensa. Pensa był to wydział półdniowy Alwaru albo gramatyki, którego się pod karą plag nauczyć trzeba było: przed południem raz, po południu drugi. Imperatorami zawsze bywali panięta albo majętniejszych mieszczan dzieci, które w lepsze od innych sukienki przyodziane i urodziwsze, mogły piękniejsze czoło szkoły wydawać, ale przy tym, jeżeli nie lepiej od drugich, to przynajmniej równo z drugimi trzeba się było uczyć i w postępkach najmniej mieć płochości. Choć tych wszystkich przymiotów nie było w jednym, mógł jednak być i bywał imperatorem syn takich rodziców, którzy księdzu profesorowi dowody pożytecznej przyjaźni świadczyli.

Audytor: Audytorowie i audytor audytorów nie mieli żadnej prerogatywy, tylko cokolwiek reputacji, iż się dobrze uczyli, kiedy zostali audytorami, ponieważ tego urzędu nie powierzano tępym dowcipom, ale bystrzejszym i nauki pilnym. Obowiązani byli audytorowie przychodzić do szkoły przed wszystkimi, ażeby wygodnie przed nadejściem profesora mogli wysłuchać pensów studentów i podać do zapisu imperatorowi. Audytorowie po wysłuchaniu innych sami swoje pensa odmawiali przed audytorem audytorów, a ten znowu odprawiał swoje przed którymkolwiek audytorem. Oprócz pensów dziennych, każdy student obowiązany był w sobotę powiedzieć, czyli odmówić na pamięć, pensa całego tygodnia; i gdy ich nie umiał, był karany, a oprócz kary z tych pensów dochodzili jego mocnej lub słabej pamięci.

Cenzor: Cenzor w każdej szkole był jeden, czasem sekretny, czasem jawny, podług woli profesora; ale choć on był sekretny, czyli tajemny, czuli go przez skórę studenci. Wybierali profesorowie na ten urząd z chudeuszów statecznego i zazwyczaj zauszniczka. On notował postępki studentów tak w szkole, ażeby się między dziećmi jakowa nieprzystojność nie działa, jako też w kościele, i w nim najbardziej, ażeby skromność jak największa zachowana była. Miał od tego kartelusz z imionami studentów całej szkoły, który się nazywał petulantes.

Był to papier ponastrzygany; każda nacinka miała na sobie literę początkową nazwiska swawoli, jaką kto robił. Co się lepiej wytłomaczy samej rzeczy przytoczeniem. Na przykład: gadał który student w kościele, to cenzor w linii jego nazwiska zagiął nacinkę z literą g, to jest garriebat; oglądał się, to odgiąl nacinkę z literą c, która znaczyła circumspiciebat; śmiał się, to odgiął nacinkę z literą r – ridebat. Jeżeli zaś albo szturchnął drugiego, albo za łeb pociągnął, albo inną jaką akcją nieskromną popełnił, to zagiął cenzor nacinki z literą p – petulantiam oznaczającą. A gdy wiele porobił rozmaitych nieprzyzwoitości, to zaginał nacinkę z literą albo jedną, albo dwiema, albo trzema x, która litera jedna znaczyła kilkakrotne nieprzyzwoitości, xx znaczyły więcej swawoli, a trzy x znaczyły swawolnika bez końca i miary. W sobotę był egzaminowany od profesora petulantes i egzekucja za nim następowała według przewinienia.

Jeżeli był cenzor jawny, a przeciw jego zanotowaniu, czyli obwinieniu, wywiódł się obwiniony świadectwem innych studentów mających u profesora kredyt, pan cenzor odbierał karę talionis, po polsku: wet za wet. Ale jeżeli był sekretny, ciężko się było przeciw takowemu obronić, a przynajmniej nie można było żądać z niego satysfakcji, bo jak on tail się przed studentami, aby nie był poznany, tak też studenci udawali, jakby kto nim był, nie wiedzieli. Lecz taki cenzor musiał się ze szkół wynosić zawczasu przed wakacjami, jeżeli nie chciał na pożegnanie mieć skóry wytrzepanej, którego szczęścia nieraz się i widocznemu cenzorowi dostawało. Lecz jeżeli się nie bardzo wiernie obchodził z swoim urzędem i występki notowane pozwolił u siebie wykupować, to się miał dobrze i bezpiecznym zostawał od guzowego pożegnania. Jeżeli też jakim przypadkiem wydała się jego niewiara, ocięto jak kota i z urzędu zrucono.

Takie były sposoby przychęcania młodzieży do nauki oraz wkładania ich do pobożności i przystojnych obyczajów.

Wakacje: Wakacje od nauki rocznej, czyli zamknięcie szkół, poczynały się od św. Ignacego i trwały do św. Idziego, to jest od ostatniego dnia lipca do pierwszego września. Na ten czas rozjeżdżali się studenci do domów rodzicielskich, a profesorowie także według zwyczaju zakonów odmieniali się do innych kolegiów lub też, którzy się nie odmieniali, jak to w akademiach, spoczywali przez ten czas po pracy rocznej.

O zabawach studenckich

Rekreacje: W biegu szkolnych nauk były dwa dni w każdym tygodniu studentom na rekreacją, czyli rozerwanie umysłu pracą szkolną utrudzonego; a te dni były wtorek i czwartek, i to nie zawsze całe, lecz częściej po pół dnia, zaczynając od południa; w maju niemal zawsze bywały całe te dnie na rekreacją studentom oddawane; kiedy zaś po wtorku albo po czwartku następowało jakie święto, to w takim przypadku nie dawano rekreacji, ażeby wiele czasu naukom nie ujmować. Dlatego i rekreacje albo święta zupełnie od nauki studentów nie uwalniały. Naznaczano pomierne pensa, których trzeba się było nauczyć, i okupacją, którą w czasie rekreacji lub święta trzeba było napisać; inaczej gdy się pierwszego albo drugiego nie przyniosło do szkoły, po wesołej rekreacji następowały płaczliwe pod batogiem lamentacje.

Na rekreacją wychodzili studenci hurmem z profesorami i dyrektorami, lecz niekoniecznie wszyscy; kto chciał, wolno mu było zabawiać się w osobnej małej kompanii. Zabawy na rekreacji zwyczajne były: piłka i palcat, których też zabaw studenci i między szkołami, nim się zaczęła lekcja szkolna, zażywali.

Piłka był to kłębek z wełny albo z pakuł, tęgo po wierszchu niciarni osnuty, potem skórą obszyty albo też niciarni różnego koloru w siatkę obszyty; niektórzy kładli w sam środek piłki chrzęstkę rybią lub cielęcą, dla lepszej sprężystości. Ta piłka używana była dwojako: raz do trafiania nią w rękę na ścianie wyciągnioną albo też do uderzania o ziemię a łapania jej na powietrzu; drugi raz podczas rekreacji w polu do wyrzucania jej na powietrze jak najdalej i uganiania się za nią całymi partiami. Pierwsza igraszka piłką uczyła trafności do celu ręcznym pociskiem. Znać jeszcze od owego czasu wprowadzony ten zwyczaj do szkół, kiedy na wojnach proców, kamieni i innych pocisków używano. Druga dawała gibkość ciału, szybkość w bieganiu i sprawność w ręku chwytaniem puki na powietrzu, która od jednego z lekka w miarę piersi podrzucona, a od drugiego kijem z boku na ukos silno uderzona, tak się w górę wysadzała, że jej na czas okiem dojrzeć nie można było. Więc wszyscy tej strony gracze, ku której taż piłka rzuconą była, z natężeniem oczów w górę i z gotowością rąk pilnowali na piłkę na dół się spuszczającą, gdzie im się ukaże. Skoro ją zoczyli, tam szybkością jak największą, jeden drugiego ubiegając, pędzili wszyscy na schwytanie piłki na powietrzu. Jeżeli bowiem nie schwytana od żadnej ręki upadła na ziemię, już była gra przegrana; która nie miała żadnych zakładów

ani stawek, tylko same słowne chluby z wygranej albo śmiechy z przegranej. Takowa gra zwała się palant i zabawiali się nią wraz z dziećmi dyrektorowie i profesorowie dla agitacji.

Palcaty: Drugą zabawą podczas rekreacji były kije, zwane palcatami, w które pojedynkowali studenci dwaj a dwaj z sobą. Ten sposób wielce był potrzebny dla stanu osobliwie szlacheckiego, jako wprawiający młódź do zręcznego w swoim czasie użycia szabli, którą nasi przodkowie na wojnach najwięcej dokazywali. Jakoż było się czemu przypatrzeć, kiedy się dwaj dobrali do palcatów, bili się aż do zmordowania, a tak sztucznie każdy się palcatem swoim układał, zastawiając się ze wszelkich stron a oraz wzajemnie adwersarza swoim przycięciem sięgając, że żaden żadnego ani w gębę, ani w głowę, ani po bokach nie mógł dosiągnąć. I tacy byli to już jak metrowie do wprawiania i uczenia drugich. Co się trafiało i między profesorami młodszymi, tak jezuitami, jak pijarami, że się w kije arcyprzednio bili. Te tedy palcaty u studentów były w najczęstszym używaniu nie tylko na rekreacjach, ale nawet i w samych szkołach, nim nastąpiła godzina lekcji. Jeżeli był który student bojaźliwy, że nie śmiał z drugim stanąć do palcata, musiał taki wiele wycierpieć prześladowania i urągania od całej szkoły, a nieraz i guzów po łbie albo dęgów po plecach naobrywać.

O różnym ćwiczeniu studentów

Repetycja: Jeszczem zapomniał dopisać pod naukami dwóch sposobów, których zażywano do wlepienia studentom w głowę jak najmocniej konstrukcji i łaciny. Były to repetycje, czyli powtarzania między sobą czynione przez studentów tego, o czym się w szkole z profesorem traktowało; i takie repetycje odprawowały się w pewne czasy, zwykle w dnie majowe, między szkołami.

Nota linguae: Drugi sposób do nawyknienia łaciny był zakaz surowy, aby student do studenta nie ważył się nigdy i nigdzie, osobliwie w stancjach, po polsku gadać. Był na to sporządzony kawałek deszczki na kształt tabliczki półćwiartkowej z literami N.L., to jest nota linguae. Tę notę najpierwej profesor oddał któremu studentowi z umiejących lepiej łacinę i zakredytowanych u profesora z rozkazem, aby usłyszawszy którego mówiącego po polsku, choćby tylko słowo jakie, natychmiast mu oddał tę notę jako znak przełamanego zakazu. Nie wszyscy, którym język nieostrożny notę do ręki wsadził, byli za to karani,

owszem żaden nie był karany, tylko ten, u którego nota albo obiadowała, albo nocowała; albowiem profesor, skoro wszedł do szkoły, po zwykłej modlitwie do Ducha Świętego najpierwsze pytanie czynił do studentów: „Quis habet notam linguae?" Ten, który ją ostatni miał, z trudna się odezwał na pytanie profesora, ale który miał ją przed ostatnim, natychmiast uwiadomiał profesora, któremu ją oddał, a tak ostatni za wszystkich innych otrzymał karę. Za obiad – kilka placent w rękę, za noc – kilka plag w siedzenie. Dlatego studenci z tą notą tak się uwijali, chcąc ją co prędzej pozbyć jeden do drugiego, jak z złą monetą.

Nota morum: Druga tabliczka podobna pierwszej była z literami N.M., znaczącymi notam morum; tym sposobem miała kurs swój między studentami jak i nota linguae; ale już nie z taką troskliwością starano się jej pozbyć jak pierwszej, ponieważ albowiem nota morum dawana tylko była za jaką nieprzystojność popełnioną w obyczajach, gdy albo z nie umytymi rękami, lub nie oberżniętymi pazurami przyszedł student do szkoły, albo nie zdjął czapki przed kim godniejszym, albo miał pierze w czuprynie lub na sukniach, albo pod nosem wilgoć, albo inną jakową około siebie nieochludność. Więc gdy raz za którykolwiek z tych i tym podobnych występków został skarany, już się go na drugi raz pilniej wystrzegał, a tak w małej kwocie tego gatunku przestępców, rzadko się zdarzających, nota morum nie mogła tak szybko cyrkulować jak nota linguae, która czasem przez jeden dzień całą szkołę obiegła, gdyż niemal niepodobna było każdemu ustrzec się polskiego słowa, kiedy zdrajca, mający notam linguae, naprowadził na niego pytaniem: „Quo modo hoc explicatur polonice", a wyciągnąwszy z nieostrożnego polskie słowo, rzucał mu notam linguae.

Gdyby zaś przez którego nota linguae była zgubiona, tedy z karą musiał inną szafować; co, że kosztowało kilka lub kilkanaście groszy, przeto studenci, jako niepieniężni, bardzo się zatracenia przerzeczonej noty chronili, a więc gdy ją jeden porzucił i odbiegł, drugi rad nierad musiał ją przyjmować, aby nie zginęła. Nie chcąc zaś przed profesora wytaczać sprawy niepewnego wygrania o notę niesłusznie czasem sobie narzuconą, wolał szukać z nią innego, mniej także jak sam ostrożnego, niż się z pierwszym przed profesorem rozprawiać.

Deklamacje: Dla wprawienia studentów w rzeźwość, udatność i prezencją, wyprawiano w szkołach rozmaite dzieje, jako to deklamacje w syntaktyce i poetyce, które były rozmowy wierszem lub prozą napisane od profesora, rozdane między niektórych studentów, czasem

śpiewaniem i muzyką przeplatane; którą muzykę studenci na różnych instrumentach udawali, a muzykanci za nimi utajeni grali; skąd się trafiało, że gdy student z muzykantem znaku umówionego nie zachował, to instrument jeszcze grał, choć go już student odłożył.

Sejmiki: Sejmiki w retoryce były to mowy także przez profesora studentom rozdane w jakiej materii publicznej, sejmy narodowe naśladujące.

Dialogi: Dialogi bywały dwa do roku: jeden w zapusty magistra poetyki, drugi przed wakacjami patra retoryki. Te dialogi były reprezentacje tragiczne i komiczne, na kształt dzisiejszych oper i komedii, ale dużo tamtych, jak w reprezentacji, tak w strojach teatralnych, nie dochodzące.

Exercitium de promotione: Ostatni mozół głowy dla studentów mniejszych szkół było exercitium de promotione. To exercitium dawali studentom przed samymi wakacjami na rozjezdnym i zamknięciu szkół. Promocja z niższej do wyższej szkoły albo zatrzymanie w tejże samej na drugi rok następowało podług dobrze lub źle napisanego exercitium, które było złożenie kilkunastu słów polskich w mowę krótką, najtrudniejszy wykład na łacinę mających. Te tedy egzercycja, od studentów zebrane i prefektowi szkół przez profesorów oddane, były losami studentów przyszłej promocji; dlatego pisząc te exercitia wysilali rozumy swoje i natężali pilność, aby dobrze napisać; niektórzy zaś, słabszych dowcipów, żywili się od bystrzejszych (lubo takowa pomoc wielce zakazaną była); albo też dyrektorowie kartkami, przez okna z szkoły wyrzucanymi, po kryjomu uwiadomieni, jakie było exercitium, tymże sposobem swoim dyscypułom na łacinę przełożone podrzucali, która to sztuka gnuśnym i źle cały rok uczącym się studentom nie pomagała do promocji, jako z łatwością, że nie ich była płodem, od profesorów poznawana. Nawzajem także nie ze wszystkim dobrze napisane exercitium przez zbytnie myśli natężenie, a tym samym na wszystkie reguły gramatyczne mniej uważne, nie przeszkadzało do tejże promocji subiektom innych celującym i cały bieg roczny chwalebnie się do nauki przykładającym. Była to tylko próba, na mierne dowcipy na dobitkę używana, których pojętności z rocznej rozmaitej aplikacji wyraźnie rozeznać nie można było. Po tym odbytym exercitium zamykały się szkoły, a zaczynały się wakacje, koniec najmilszy i najpożądańszy dla dzieci, którego wyglądały z równym pragnieniem, jak dusze czyszczowe zbawienia.

Jak do nauki, tak do nabożeństwa i pobożnego życia przyprawiano młodzież szkolną przez sobotnie egzorty w szkołach i w wigilie świąt uroczystych. Dawano także co miesiąc kartki z krótką sentencją, do jakiej cnoty zachęcającą, od świętego jakiego podaną, którego świętego student odbierający kartkę powinien byt mieć na cały miesiąc za patrona, wzywając pomocy jego do tej cnoty, którą sentencja w kartce zawierała. Zgoła oprócz nabożeństw powszechnych i publicznych w kościołach, spowiedzi miesięcznych, które oprócz jednej choroby pod karą plag odbywać koniecznie trzeba było, wszelkimi sposobami w pobożność i bojaźń boską wprawiano. Mieli albowiem to za nieomylną prawdę, iż chociażby młodzież miała rozum naukami najbardziej oświecony, jeżeli w sercu nie ma zaszczepionej i dobrze wkorzenionej bojaźni boskiej z innymi zdaniami religii, na nic dobrego nie wyńdzie, tylko na łotrów, frantów, oszustów i obywatelów krajowi najszkodliwszych.

O przywilejach studenckich

Akademie publiczne miały bez wątpienia i mają przywileje immunitatis, jako to: krakowska, zamojska i wileńska, iż się nie godzi tak studentów, jak i profesorów w sprawie jakiej osobistej pociągać do żadnego sądu, tylko do zwierszchności szkolnej. O takich przywilejach samym akademiom służących wspominają krajowe kroniki i Volumina legum. Lecz inne szkoły, jezuickie i pijarskie, nie rozumiem, ażeby takowymi prerogatywami zaszczycone były, a przynajmniej nigdy mi się o nich czytać lub słyszeć nie zdarzyło.

Wnoszę tedy, iż sobie używanie takowych swobód, biorąc wzór z akademiów, przywłaszczyli, a nadstawiając pomienionych swobód do takiej przyszli zuchwałości, że nie odpowiadając przed żadnym sądem, tylko szkolnym, za psoty komukolwiek wyrządzone, sami swoich krzywd wydarzonych, rzetelnych lub czasem tylko w głowie dumą studencką zagorzałej urojonych, mocą i gwałtem dochodzili, nachodząc domy i wyciągając z nich osoby, do których sobie urościli pretensją, a z zawleczonych raczej niż zaprowadzonych do szkół czyniąc sobie sprawiedliwość batogami, nadto jeszcze do najniższych przeprosin przez upadanie do nóg swoim oprawcom i siepaczom przymuszając. Niechaj tam był, kto chciał, jakiej godności urzędnik, szlachcic, oficer, żołnierz, który studenta, chcący lub niechcący, zaczepił, słowem zelżył albo po-

pchnął, albo uderzył, jeżeli się zawczasu z miasta nie wyniósł albo gdzie w ciasny kąt nie skrył, już on się od surowej szkolnej egzekucji nie wybiegał. Bo chociaż chciałby się bronić, to jakże było na tę gawiedź szkolną, na dzieci drobne używać słusznej broni; gdy tymczasem to szamrajstwo kijami, kamieniami, błotem szturmując do winowajcy, a oraz z tyłu i z przodu, właśnie jak pszczoły rozdrażnione, garnąc się mu naciskiem do głowy, do rąk, do nóg, zgoła do całego ciała i odzienia, zmordowanego i razami zmęczonego pochwytowali i co tchu do szkół wlekli.

Bywały takie przypadki, że panów nawet z karet wyciągali i gdy komu takową krzywdę zrobili, uchodziło to za jakowąś sprawiedliwość, jakoby za dekretem ważnym sądu jakiego wypełnioną. Nie było naprzeciw takowemu nieszczęściu innego ratunku, tylko poddać się z jak największą powolnością owej szarańczy, ująć sobie co prędzej obietnicami jak najpożyteczniejszymi pryncypałów albo zyskać zastęp spieszny i mocny samych księży pijarów lub jezuitów, którzy, jeżeli kogo pochwyconego z przyjaciół swoich albo osób respektu godnych uratować chcieli od ostatniej hańby i nieżartobliwego bólu, wybiegali hurmem z kolegium, otaczali sobą brańca, odsuwając od niego ów tłok studentów. A tymczasem dla zwolnienia pierwszej zapalczywości rzecz, o którą szło, rozbierali na uwagę i gdy już widzieli umysły z pierwszej zawziętości cokolwiek opłonione, albo w cale zganiwszy studentom napaść, jeżeli była niewinna, do domów się rozejść pod karą szkolną rozkazywali, a obwinionego dla wszelkiego bezpieczeństwa z sobą do kolegium brali; albo też jeżeli się tak nie dało, że była jakakolwiek wina z strony porwanego, tedy stawając niby za stroną studentów, ale sposobem łagodnym i niejako sądowym, zatargę onę do zgody prowadzili. Zgoda zwykle następowała za daniem studentom in gratiam winowajcy rekreacji na cały dzień albo na dwa dni, i za ucztą natychmiast studentom od tegoż w jakim domu sprawioną, z miodu, sucharków, jabłek, gruszek i tym podobnych dziecinnych łakotek, po którym traktamencie, odbytym przy oświadczeniu jak najwyższego szacunku studenckiej godności, bywał winowajca uwolniony i bezpieczny; ale się dobrze napocił, nim z tej prasy wyszedł.

Taka absolutność studentów przez wiele lat cierpianą była i już wszyscy wierzyli, że studenci są to osoby bardziej nad wszystkie urzędy najwyższe i godności uprzywilejowane, a studenci wierząc takowemu zdaniu i mając go w takiej pewności jak artykuł wiary, dziwnie zu-

chwałymi i za lada przyczyną do zniewag wyżej opisanych porywczymi byli.

Żydów zaś na ulicach szarpać i kijami obkładać, jako tych, którzy Pana Jezusa umęczyli, tak wnieśli w zwyczaj, że do tego żadnego innego pretekstu nie potrzebowali, ale bili, póki chcieli i póki Żydek, obskoczony, gdzie w jaki kąt nie uskrobał. Dlatego Żydzi mieli się na wielkiej ostrożności pod te godziny, w które studenci szli do szkół albo z nich do domów powracali. Jeżeli zaś Żydek jaki trafunkiem postrzeżony byt tam, gdzie studenci rekreacją odprawiali, miał się tak jak zając, kiedy wpadnie między charty i ogary; wszystkie zabawy swoje studenci porzucali, a Żyda obracać śpieszyli i tak się z nim czasem ucieszyli, że Żyd zbity i pokrwawiony ledwo nogi zawlókł do domu. Kto się zaś zmiłował nad Żydem i odważył go bronić, musiał nieraz dobrze obronną ręką wraz z Żydem uchodzić, aby go większa partia sukursująca mniejszą nie obskoczyła.

O Dąbrowskim straconym

Takie zuchwalstwa, niebacznym uleganiem w kraju całym cierpiane, najwięcej dokazywały w Warszawie, gdzie też najpierwej upokorzone zostały takim sposobem: niejaki Dąbrowski, łat kilka będąc w szkołach jezuickich dyrektorem, porzuciwszy szkoły udał się w służbę do szlachcica, nazwiskiem Żółtowskiego. Ten szlachcic miał dobre zachowanie z jednym kaczmarzem na Pradze, u którego zawsze stawał gospodą, wiele razy był na Pradze. Jednego razu, widząc samego Dąbrowskiego, przybyłego bez pana wózkiem okrwawionym, próżnym, zapytał się go o pana i o krew na wózku, co by znaczyła. Dąbrowski kaczmarzowi odpowiedział, że pan chory pozostał w domu; a zaś na krew, iż ta jest z cielęcia dorzniętego na drodze, gdy było dużo słabe, które przedał razem z drugimi trzema, żywcem dowiezionymi.

Taka odpowiedź Dąbrowskiego przy krwią polanym wozie sprawiła w kaczmarzu podejrzenie o zabój Żółtowskiego. I wzajemnie w Dąbrowskim inkwizycja kaczmarska uczyniła w sumnieniu jego pomięszanie, które zawsze mięsza szyki w rzeczach, by też najroztropniej ułożonych. Dąbrowski co prędzej wyjechał z karczmy, a kaczmarz, dający na niego baczenie znienacka, gdy widział, że się nie wracał do domu pana swego, ale przewiózł się do Warszawy, natychmiast przewiózł się tamże za nim, a skoro Dąbrowski, nie opierając się w War-

szawie, wyjachał za nią, kaczmarz utwierdzony tym bardziej w swoim porozumieniu, że zabił pana, dał znać do sędziego marszałkowskiego. Sędzia marszałkowski wysłał natychmiast za Dąbrowskim pogoń; ta zastała go w karczmie pod Bielanami. Przyprowadzony do sędziego, zaraz na pierwszym pytaniu przyznał się, iż zabił swego pana; ale usprawiedliwiał zabójstwo swoje tą przyczyną, że pan jego był rozbójnikiem: tego dnia, kiedy zginął, zasadził się w boru pod Okoniowem na Żydów kupców, mających tamtędy przejeżdżać. A gdy tę myśl swoją oznajmił Dąbrowskiemu, a Dąbrowski miał się oświadczyć panu, iż mu w tym nie posłuży, Żółtowski natychmiast miał strzelić do Dąbrowskiego i chybić, Dąbrowski zaś, salwując swoje życie i nie czekając drugiego do siebie pańskiego wystrzelenia, ciął pana szablą w łeb raz i drugi tak dobrze, że więcej do skonania nie potrzebował.

Ta jednak wymówka nie posłużyła Dąbrowskiemu w sądzie marszałkowskim. Bieliński, marszałek wielki koronny, surowy i sprawiedliwy, zważając, że Dąbrowski po zabiciu pana swego, jeżeli w obronie życia popełnionym, powinien był według prawa przywieźć trupa do kancelarii, oświadczyć tam całą rzecz, jak się stała, a nie iść wykrętami i nie ujeżdżać z rzeczami zabitego – kazał mu łeb uciąć. Że tedy ów Dąbrowski rzecz swoją tak udawał, iż broniąc swego życia musiał je zbójcy odebrać, a jako świeżo od szkół oddalony miał w nich wiele przyjaciół, więc studenci skłonni do miłosierdzia tam, gdzie go świadczyć nie należało, zmówiwszy się z sobą, z rzemieślniczkami i dworskimi służalcami, owego Dąbrowskiego na plac do stracenia prowadzonego odbili, do dominikanów na Nowe Miasto do kościoła wprowadzili i Te Deum laudamus nad nim krzyżem leżącym w śmiertelnej koszuli i w szlafmycy, tak jak był z placu porwany, odśpiewali, a po tym triumfalnym ceremoniale dominikanom go do przechowania i ułatwienia mu ucieczki oddali. Marszałek Bieliński, srodze urażony tym zuchwalstwem, kazał studentów szukać, łapać w domach, na ulicach, gdzie tylko którego jego żołnierze przydybać mogli, a schwytanych serdecznie w kordygardzie batogami ćwiczyć, tak że przez kilkanaście dni żaden z roślejszych nie śmiał się pokazać studentom (małym albowiem dzieciom, lubo i te bębny mięszały się do odbicia Dąbrowskiego, przepuszczono). Jedni pouciekali z Warszawy do innych szkół w kraju, którzy byli pryncypałami i zostali do schwytania podanymi; drudzy zaparli się być studentami, a inni w cale od tej daty szkoły porzucili. I tak od tego czasu Bieliński miał pilne oko na studentów, a za najmniej-

szą okazją porywając studentów pod swoją wartę, niezmiernie upokorzył ową dawną studencką dumę.

Co się zaś tycze rewolucji Dąbrowskiego, rozumiem, iż mi Czytelnik nie będzie miał za złe, lubo ta do mego zamiaru nie należy, gdy mu opiszę, jak się zakończyła. Jak prędko dano znać marszałkowi, iż Dąbrowskiego studenci z placu porwawszy do dominikanów zaprowadzili, natychmiast kazał otoczyć klasztor i kościół żołnierzem, aby z niego Dąbrowski nie uszedł, którego dominikanie na rekwizycją marszałka wydać nie chcieli, dając przyczynę, iż popełniający zabójstwo w obronie życia własnego powinien być zasłoniony od Kościoła przeciw surowości świeckiego sądu. Marszałek trzymał w oblężeniu kilka dni klasztor z kościołem, a tymczasem nalegał u nuncjusza o przymuszenie dominikanów do wydania Dąbrowskiego. Nuncjusz jednego będąc z dominikanami rozumienia, a pokazując na pozór, jakoby się mięszał w rezolucji, czy ją ma dać za Dąbrowskim, czy przeciw Dąbrowskiemu, dla wywikłania się z niej politycznie bez urazy albo marszałka, albo praw kościelnych, zdał tę rozprawę na teologów, nakazawszy, aby z każdego klasztoru, co ich jest w Warszawie, po dwóch teologów zgromadziło się w jedno, przypadek Dąbrowskiego roztrząsnęli i podług prawideł świętej teologii rozcięli. Zgodzili się wszyscy na jedno, iż ponieważ nie masz innej wiadomości, z jakiego powodu zabił Żółtowskiego Dąbrowski, tylko własne jego wyznanie, a to stoi za nim, nie przeciw niemu, więc w takowym razie Dąbrowski powinien być zasłoniony kościelną protekcją i nie może być wydany pod miecz bez urazy kanonów świętych. Zatem nuncjusz tę rezolucją aprobował; a marszałek, nie śmiejąc gorzej klasztoru dominikańskiego gwałcić, kazał wartę ściągnąć, po odstąpieniu której dominikanie, przestroiwszy Dąbrowskiego w habit, wywieźli za Warszawę.

Marszałek atoli, zawsze o skutek swoich dekretów gorliwy, a tym bardziej takim złudzeniem teologicznym urażony, rozpisał listy do wszystkich grodów z dokładnym postaci Dąbrowskiego wyrażeniem, aby gdziekolwiek się pokaże, byt schwytany i do jego straży odesłany.

Wymknąwszy się Dąbrowski spod miecza myślał, że już wszystkiego pozbył nieszczęścia, a zawziętość marszałka że sam czas uspokoi. Ale się nieborak omylił na swoich ułożeniach; w cztery lata bowiem po ucieczce z Warszawy, przyszedłszy do kancelarii zakroczymskiej dla uczynienia jakowejś transakcji z bracią żony, którą był pojął, tam poznany, pojmany i do Warszawy odwieziony, stracił głowę, dawniej

pod miecz osądzoną. I tak studencka protekcja tyle mu łaski wyświadczyła, że żyt dłużej, niż miał żyć, cztery lata.

A co się tycze studentów, ci, lubo w szkołach warszawskich od tej okazji zbankretowali na swojej samowładności, po innych atoli szkołach, gdzie władza marszałkowska nie zasięgała, tak byli zuchwali jak i przedtem, aż do czasu zniesienia zakonu jezuickiego, z którym razem upadły i szkoły, jako się to da widzieć niżej pod panowaniem Stanisława Augusta.

O antypatii studentów dwoistych szkół

W którymkolwiek mieście znajdowały się dwoiste szkoły, na przykład: pijarskie i jezuickie albo też jezuickie i akademickie, jakie były w Poznaniu, nigdy tam między studentami nie było pokoju. Jedni drugich prześladowali, dziwackimi imionami przezywali, a często od słów przychodziło do guzów. Jeżeli profesorowie obojga szkół jedni z drugimi zostawali w dobrej przyjaźni, to takowe zaczepki i poswarki wzajemnym przewiniających z obu stron ukaraniem poskramiali. Lecz jeżeli między profesorami nie było zgody, studencka nienawiść tym bardziej rosła; a że się bez przyczyny nie lubili, słusznie takowe wzajemne od siebie odrażenie nazwać należy antypatią. Skutki zaś jej częstokroć bywały dosyć szkodliwe, osobliwie w warszawskich szkołach, gdzie między samymi jezuitami i pijarami trwająca nieustannie zazdrość raz w tych, drugi raz w owych szkołach większej i zacniejszych studentów liczby albo podsycała, albo dysymulowała studenckie kłótnie.

Bywał zwyczaj w obojgu szkołach, gdy Wisła stanęła, że nawiedzali Loret Najświętszej Panny u bernardynów na Pradze będący. Jeżeli się tedy obiedwie szkoły w jeden dzień wybrały w tę świętą dróżkę, a spotkali się z sobą na Wiśle, gdzie jedni przed drugimi schronić się nie mogli, rzadko kiedy minęli się bez bitwy, do której bywał początek z małych dziatwy, która pijarskich studentów okrzykała „kurtami", a pijarska jezuickich „szpikami", biorąc pochop do takich nazwisk z krótkich płaszczów pijarskich, których przedtem, według pierwszej formy stroju od św. Kalasancjusza, swego patriarchy, wydanej, używali, i jezuickiej teologii, której sławny autor Buzembaum dał tytuł Medulla theologiae, co w prostym polskim tłomaczeniu znaczy „szpik teologii"; do tych słów przydając inne uraźliwe, jako to: „pijara – psia wiara", „jezuita – psia lelita" i tym podobne. Dzieci najprzód między sobą za-

czynały walkę pięściami, pazurami czesząc sobie wzajem czupryny albo też ciskając na siebie kulami śniegowymi; za dziećmi małymi pociągali się starsi, a za tymi dyrektorowie, używając do spotkania kijów, a na czas i szabel, do wzajemnego siebie i samych nawet profesorów w tumult zamięszanych okaleczenia; co potem nuncjatura między profesorami sądziła, godziła lub duchownym sposobem karała. A zaś między studentami z takowych bataliów tym większa antypatia rosła.

Rektorowie obojga kolegiów i prefekci szkół upominali profesorów, aby się jednego dnia do Loretu nie schodzili i na ten koniec ażeby jedni drugich o dniu swojej peregrynacji ostrzegali. Lecz majsterkowie młodzi, lubiący takie wojny, zamiast odkładania na inszy dzień drogi loretowej, z umysłu ją na ten naznaczali, w który ją też i druga szkoła odprawić postanowiła; albo też przez frantostwo wzajemne zwiódłszy jedni drugich, w dniu doniesionym trafunkiem się razem schodzili. Przecięż nigdy w tych bitwach nie przyszło do wielkiego krwi rozlania albo do zabójstwa, bo się też potykali nie żołnierze, ale studenci, których zapalczywość prędko się porywała, a jeszcze prędzej gasła za pierwszym guzem po łbie albo po pysku od kija oberwanym. Szablaści zaś rycerze dawszy komu kreskę co prędzej zmykali w kupę, aby nie byli poznani i karani, a czasem dlatego i do szkół więcej nie powracali.

O Akademii Lwowskiej

Acz jezuici mieli w zakonie swoim mężów wielce uczonych, nie mieli jednak doktorów, ponieważ ten tytuł w innych szkołach żadnemu profesorowi nie mógł być dany, tylko w akademii, gdy kto albo się go przez stopnie nauki dosłużył, i taki doktor zwał się: persona promota, albo też przez pieniądze dokupił, którym to drugim sposobem otrzymujący doktorską godność zwany był doctor bullatus. Takimi doktorami bullowymi zostają najwięcej prałaci i kanonicy katedralni, biorący prelatury albo kanonie doktoralne, to jest: na doktorów św, teologii, filozofii, medycyny i prawa kanonicznego fundowane, którzy tych nauk mało co albo wcale nic nie umiejąc, czynią zadość woli fundatorów samym tytułem doktorskim, przez bullę otrzymanym, którego dostępują pospolicie dawszy akademikom kilkadziesiąt czerwonych złotych. Ci naznaczają mu dzień do egzaminu publicznego, który musi starający się o doktorstwo odprawić. Dają mu pytania, które na egzaminie mają mu być zadawane, i zaraz odpowiedzi na nie, których powinien się na-

uczyć jak pacierza. Odprawiwszy taki examen właśnie jak sprawę kondyktową, wszyscy mu winszują doskonałej nauki i wybornego z niej popisu. Wypijają potem za zdrowie i kosztem doktorującego się kilkadziesiąt butelek wina albo czasem i obiad dobry lub kolacją z łaski jego zjedzą i dają mu bullę, iż się na doktorstwo w tej a w tej sciencji rite et legitime promowował; to trochę odstępnie od Akademii Lwowskiej dla zabawy Czytelnika napisałem, za co przepraszam wracając do materii.

Lecz jezuici, którzy mając swoje szkoły mieliby sobie za wstyd w cudzych terminować, a tym bardziej pieniędzmi dokupować się doktorstwa, ile gdy szydercy na doktorów bullowych złożyli wierszyk uszczypliwy: „doctor bullatus, asinus coronatus", z tym wszystkim, chcąc koniecznie dopiąć przez inny sposób zaszczytu doktorskiego, postarali się u Augusta III o przywilej podnoszący szkoły ich lwowskie do tytułu i prerogatyw akademii. Co im z łatwością przyszło, gdyż królowa, żona Augusta III, święta wielce pani, miała rządców sumnienia swego jezuitów, którzy dla zakonu swego, co chcieli, przez nią u króla wyrabiali.

Skoro się objawiła na polskim horyzoncie Akademia Lwowska, natychmiast powstały przeciw niej Akademii Krakowskiej pióra, dowodząc pismami publicznymi, iż w całej Koronie Polskiej nie może być i nie powinna inna akademia, która by nie była szczepem i odnogą Krakowskiej Akademii, tak jak wywodzili być szczepami swymi akademie zamojską, poznańską i wszelkie inne tu i ówdzie szkoły lub szkółki przez akademików trzymane, koloniami nazwane.

Po takich wywodach i odwodach przeciwnej strony, dzielących na dwie partie panów, do których się po protekcją to jezuici, to akademicy udawali, zapozwała Krakowska Akademia jezuitów lwowskich do asesorii o skasowanie przywileju na założenie akademii w Lwowie, otrzymanego podstępnie z krzywdą praw kardynalnych Akademii Krakowskiej. Lecz że jezuici mieli po sobie króla i kanclerza, a do tego sprawa o tę akademią, niedawno zjawioną, wytoczyła się jakoś na dwa lub trzy lata przed śmiercią Augusta III, więc będąc z umysłu dla przyjaźni jezuitów zwłóczoną, nie wzięła końca. Król, wyjechawszy do Saksonii, tam wkrótce umarł; za czym Akademia Lwowska została w swojej istocie do czasów Stanisława Augusta, następcy po Auguście III.

Zdaje mi się, żem wypisał wszystko, a może aż do uprzykrzenia Czytelnikowi, cokolwiek do nauk, gatunku szkół i obyczajów studenckich za czasów Augusta III należało.

Teraz mi należy młódź szkolną wyprowadzić spod rózgi i ukazać ją w różnych stanach, do których się taż młodzież udawała. Te zaś stany były i są po dziś dzień: stan duchowny, stan prawnicki, pod imieniem palestry rozumiany, stan żołnierski, stan dworski; do tych pospolicie stanów rozchodziła się młódź z edukacji pierwszej, wyjąwszy, że się czasem jaki młodzik, mędrszy nad lata albo od rodziców lub opiekunów tym traktem poprowadzony, dla familii albo fortuny prosto ze szkół ożenił; a co się częściej trafiało, że dyrektor, przytarłszy zębów nad łaciną, poślubił dożywotnią służbę jakiej ciepłej wdówce, u której syna służył za dyrektora. Lecz to były przypadki, nie zwyczaje. I ja teraz nie mam woli opisywać stanów ludzi doskonałych, tylko te, do których się młodzież garnęła, wyżej wyrażone, a idąc porządkiem zaczynam od duchownego.

O STANIE DUCHOWNYM

Że stan duchowny składa się z osób zakonnych i świeckich księży, przeto należy mi dwoiste onego uczynić wyobrażenie. Między zakonami pierwsze miejsce w szacunku powszechnym trzymali jezuici, po nich pijarowie, po tych misjonarze św. Wincentego a Paulo, za tymi kapucyni i reformaci. Te zakony składały jakoby pierwszą klasę.

[O zakonie jezuitów]

Jezuici z dawna od wprowadzenia tego zakonu do Polski – byli w pierwszych respektach u panów, których łaskę umieli sobie zyskiwać już to przez wygodę w nabożeństwie, regularnie bardzo trzymanym v. swoich kościołach, już przez uczenie szkół, którym sposobem stawali się potrzebnymi całemu krajowi. :Mina ich przy tym, przez pół poważna i skromna, wiele im od wszystkich dodawała respektu; ćwicząc swoich nowicjuszów w cnotach zakonnych i chrześcijańskich, nie zapominali oraz dawać im lekcji w obyczajności świeckiej, jako to: w ochędóstwie około siebie, w gestach, w mowie, w chodzie; zgoła w każdym ruszeniu dala mieli osobliwsze zacięcia, którymi się od innych zakonników różnili. Nie pospolitowali się także z nikim podłym, ale zawsze szukali znajomości i przyjaźni z osobami znacznymi i panami. Wdowy bogate i wielkie panie były to ich obłowem, których sumnienia umiejąc zostawać rządcami, ściągali na swój zakon wielkie dobrodziejstwa. Nie pokazowali się na ulicach nigdy inaczej, tylko parami, wyjąwszy niektórych starców zgrzybiałych albo też wielce zasłużonych, po czwartym szlubie zakonnym, wolność wychodzenia za fortę bez Socjusza mających; ale w średnim wieku, chociażby sam rektor, a dopieroż z młodszych, nigdy się żaden pojedynczo na mieście nie pokazał; równic takoż wystrzegali się z pilnością, aby ich zmrok nie zapadł za fortą.

Nawiedzać chorych, pod murami albo w gnojach jęczących, pocieszać ich duchowną nauką i niedostatek doczesny jałmużną wspierać – byty to cnoty, jak bardzo w innych osobach rzadkie, tak jezuitom pospolite i niemal właściwe, do których przydać należy asystowanie zbrodniarzom do śmierci, na placu publicznym odbieranej; lubo co się

tycie tego rodzaju usługi duchownej, na czas ją jezuitom inni zakonnicy odbierali, kiedy więzień o innego zakonnika zamiast jezuity upraszał. Co się jednak rzadko trafiało, bo też rzadko znajdował się tak wykwintny łotr, który by w spowiednikach wybredzał, kiedy żaden innej mu dać nauki nie mógł, tylko ażeby śmierć zasłużoną, a choćby i nie zasłużoną, kiedy wyrokiem sądu nakazaną, dobrowolnie i pokornie przyjął. Forta także jezuicka, ubóstwem napełniona, co obiad i co wieczerza posiłek temuż dająca, przyczyniała jezuitom szacunku publicznego.

Na ostatek szlachectwo i bogactwa byty jedną z największych przyczyną, że jezuitów więcej nad inne wszystkie zakony poważano. Każda albowiem cnota lepiej się wydaje w osobie szlachetnej niżeli w podłej* i przyrodzona jest ludziom szlachectwo imienia poważać, chociaż szatą wzgardy świata pokryte; tak też szanujemy bogactwa, chociaż w cudzych ręku. Jezuici, mając młodzież w swojej edukacji, pociągali do swego zakonu subiekta, czyli dowcipy, co najlepsze, a osobliwie szlacheckiej kondycji, w których mogli przebierać jak ogrodnicy w szczepach. Aby tylko iskierkę skłonności do duchownego stanu postrzegli w dzieciuchu jakim mającym rozum żywy, już oni tak około niego deptali, aż go do swego zakonu namówili. A lubo wielu z takowych, bardziej nabechtanych lub fraszkami dziecinnymi, jako to: ciastkami, sucharkami, cukierkami, fruktami, złudzonych niż prawdziwym od serca powołaniem pociągnionych, za dojściem wieku młodzieńskiego, najgwałtowniejszym burzom namiętności podlegającego, z tego zakonu występowało, wielu atoli było, którzy pierwszej młodości szturmy za pomocą duchownych sposobów szczęśliwie zwyciężywszy, wytrzymali w nim pobożnie aż do końca. Z stanu szlacheckiego przyjmowali aspirantów z dwóch powodów: albo z rozumu, chociaż ten nie był celujący nad miarę, to go szlachectwo nadstawiało; albo z pożytku, kiedy niedostatek talentów rodzicy powołanego dopłacali znacznymi ofiarowanymi zakonowi sumami lub w inny sposób świadczonymi wielkimi dobrodziejstwy; i ten drugi sposób służył nie tylko dla młodych ludzi, ale też i dla starych, nawet zgrzybiałego wieku.

Widzieliśmy nieraz kasztelanów, wojewodów, biskupów, na schyłku wieku swego opuszczających świat, przyjmowanych do zakonu jezuickiego z wnioskiem stutysięcznym, a tacy u nich więcej do niczego nie bywali używani, tylko do konfesjonału, i wyższej nie piastowali godności jak ministrowską, która u jezuitów toż samo znaczyła, co po innych zakonach wikary albo podprzeorzy.

Z plebejuszów kto był przyjęty z samego rozumu, musiał w nim bardzo nad innych celować; z miernym dowcipem nieszlachcic z trudna bardzo mógł się wcisnąć za fortę jezuicką, chyba znowu, że albo był cudzoziemcem, na przykład Niemcem, Francuzem, to dla języka był akceptowany, gdyż jezuici starali się w wszelkim rodzaju nauk i języków, jakie w kraju polskim były w używaniu, mieć swoje subiekta; albo był jakim artystą, na przykład muzykantem, gdyż mając wszędzie przy kolegiach kapele, chcieli, żeby ksiądz prefekt bursy (tak nazywali zgromadzenie swoich muzyków) rozumiał się na muzyce i nie był tylko pro forma prefektem; albo nareszcie musiał być synem jakiego bogacza w mieście, od którego spodziewać się mogli szczodrobliwości, albo synem burmistrza lub radzcy miast główniejszych. Gdyż oni mocno się o to starali, aby ze wszystkimi celniejszymi stanami mieli jakoweś związki i zachowanie. Mieli tedy pokrewieństwo przez wielką liczbę szlachty z wszystkimi województwami, przez magistratowych synów z magistratami, a przez inne osoby, dopiero wyliczone, związek polityczny ze wszystkimi stanami. Co razem wzięte na uwagę z innymi przymiotami do siebie pociągającymi różniło ich od wszystkich zakonów w pierwszym poważaniu bardzo wysoko.

Braciszkowie jezuiccy rządzili dobrami, a w kolegiach kuchnią i piwnicą – trzy urzędy najwygodniejsze.

O zakonie pijarskim

Pijarowie na początku panowania Augusta III jeszcze byli dosyć mali; w prostocie zakonnej chodząc podług ustaw swojego patriarchy, świętego Józefa Kalasancjusza, nauczali tylko dzieci mate katechizmu i pierwszych rudymentów łaciny, kończąc szkoły swoje na retoryce. Przy małych dochodach kwestowali publicznie jałmużnę; płaszczów zażywali krótkich i czapek wykrawanych, tak jak dotąd zażywają mariani.

Lecz skoro Konarscy, trzej bracia rodzeni, dali imiona swoje temu zakonowi, w którym po kilka razy kolejno byli prowincjałami, a niemal ustawicznie w pierwszych kolegiach rektorami, będąc ludźmi umysłu wysokiego chwycili się tych wszystkich środków, które zakonowi ich wziętość, a im sławę zjednać mogły. Najprzód tedy do szkół, przedtem małych, tylko dla samych dzieci, przydali teologią i filozofią; potem otworzyli konwikt dla paniąt; potem chwycili się nowych opinii filozo-

ficznych, które też dla zyskania większego faworu u niektórych dam polskich pierwszej rangi w wielu księgach przełożyli na polski język. Wymyślili oni pierwsi kalendarzyk polityczny, przedtem w Polszcze nie znany, a za zjawieniem swoim pijarom wielki zysk i powab od publiczności długo, póki nie spowszedniał i póki się takiż u jezuitów i Grólla księgarza nie znalazł, przynoszący. Konarski zaś najmłodszy z braci, pióro zakonne obróciwszy do materyj statystycznych, którym wojował mocno przeciw liberum veto, zjednał sobie u pierwszych panów, a mianowicie u familii Czartoryskich, wielką reputacją; po Konarskich zaś, to nad instauracją publicznej edukacji, to nad polityzmem pracujących, Samuel niejaki wsławił się wielce amboną i nauką retoryki tak, iż miany był za najlepszego w czasie swoim kaznodzieję, a kto się chciał pochwalić z umiejętności krasomówskiej, dosyć mu było powiedzieć, że słuchał retoryki pod Samuelem.

Ci tedy trzej Konarscy i czwarty Samuel byli pierwszymi filarami, na których podniosła się w górę z niskości swojej sława zakonu pijarskiego, której przydając okrasy powierszchownej, zazwyczaj bardziej pospólstwo niż sama rzecz wewnętrzna ujmującej, płaszczyki krótkie zarzucili, a posprawiali sobie płaszcze długie. Żeby zaś utopić w niepamięci takową stroju degeneracją, i swemu świętemu fundatorowi w obrazach płaszczyk krótki przemalowali na długi; czapki także grube, wykrawane poprzerabiali w piuski subtelne, a na te powsadzali kapelusze z jedwabnymi kutasami, złotem przerabianymi.

Ten jednak wdzięk, nad skromność zakonną występujący, nie trwał długo; albowiem razu jednego nuncjusz ujrzawszy z okna dwóch pijarów, idących przez ulicę z takimi kutasami, zawołanym do siebie nożyczkami kutasy poobcinał, dawszy napomnienie: „Religiosi non debent sic incedere!"

Mieli i pijarowie dosyć między sobą szlachty, o którą przy uczeniu szkół, równie jak jezuitom, nietrudno było; przecięż przy wszelkim naśladowaniu jezuitów, wewnętrznym i zewnętrznym, ich reputacja zawsze kilką esami mniej ważyła od jezuickiej.

O misjonarzach św. Wincentego a Paulo

Zgromadzenie Misjonarzów św. Wincentego a Paulo, długo po jezuitach i pijarach z Paryża do Polski sprowadzone, pod panowaniem Augusta III już było znacznie w Polszcze i Litwie rozszerzone. Trzy-

mali oni po niektórych miejscach curam animarum, a w niektórych tylko byli przełożonymi i profesorami seminariów dla świeckich kleryków, od różnych biskupów pozakładanych i dobrami opatrzonych. Najpierwszym zaś ich powołaniem było i jest odprawiać misje po różnych miastach, miasteczkach i wsiach, do których, kiedy są zaproszeni, kosztem swoim własnym też misje odbywają, a to dlatego, żeby wzywać do winnicy Chrystusowej tych pracowników nicht z przyczyny kosztu nie miał wstrętu. Na tych misjach nauczają oni dziatek małych i pospólstwa katechizmu, żarliwymi kazaniami grzeszników nawracają do pokuty i spowiedzią sakramentalną oczyszczają sumnienia od wszelkich, by też największych zbrodni, na rozgrzeszenie od których mają taką moc od Stolicy Apostolskiej jak na wielkim jubileuszu.

Najsławniejszym był z tego zgromadzenia misjonarzem za czasów Augusta III Sikorski: głos miał wielce donośny i wdzięczny, udanie żarliwe i przenikające, styl prosty i retorycznymi wdziękami nie okraszony; wzbudzał jednak w słuchaczu afekta, jakie chciał: płacz, żal, miłosne serca ku Bogu rozrzewnienie, obrzydzenie grzechów i tym podobne dotchliwości. Widzieć bywało nieraz cały kościół na jego kazaniu łzami zalany, krzykiem powszechnym kochanie Boga oświadczający albo jak rój pszczół zamięszany, do przeproszenia wzajemnego jeden drugiego szukający i do nóg sobie upadający. Jednego razu na misji w Krakowie taki miał nacisk ludu, że aż w polu za miastem musiał do nich kazania czynić z wystawionego na ten koniec rusztowania na formę kazalnicy. Na pamiątkę tej tak sławnej misji bite były kopersztychy: Sikorski stoi na ambonie wysokiej, w komży i stule, z krucyfiksem w ręku do góry podniesionym, ludem różnego stanu i płci na kilkoro staj dokoła obtoczony.

Miało i innych kaznodziejów żarliwych Zgromadzenie Misjonarzów tak na misjach, jako też w swoich własnych kościołach, w których trzymali curam animarum, nie wykwintnym, ale prostym apostolskim stylem przeciw nałogom złym walczących, a ci byli celniejsi: Przedziński, Barszczewski, Bielecki, Kossenda, Augustynowicz, Kotarbski, Ormiański, Ardelai z rodziców Francuzów w Polszcze urodzony, i wielu innych. Strój ich publiczny był: suknia długa do ziemi, z czarnego sukna, z kołnierzem wysokim, białym płótnem obszytym, na wierszchu kazak krótki na kształt mantoleta kanonickiego, na głowie latem kapelusz rozpuszczony, w zimie czapka sukienna z opuszką z kunich ogonów, których według starszeństwa jedni mieli po trzy do kupy zszyte, studenci klerycy po dwa, a seminarystowie tylko po jed-

nemu; w chórze zimą zażywali takichże czapek, a w lecie biretów z trzema rogami. Na początku panowania Augusta III wszyscy wieku dojrzałego, goląc wąsy i brodę, zostawiali na spodniej wardze prosto w nos mały kosmek włosów na cal szeroki, równo z szczęką przystrzyżony, lecz w środku panowania Augusta tę ozdobę starożytności poczęli zbywać, goląc całą brodę i na końcu panowania Augusta wspomnionego w całej kongregacji ledwo było kilku misjonarzów starców jeszcze tego antyka używających, który nareszcie nie został, tylko u jednego ks. Kiszka i u świętego Wincentego na obrazie. Braciszkowie misjonarscy mają suknią za kolana długą, na guziki aż do dołu zapiętą, z kołnierzem białym płótnem obszytym, długim, do akademickiego podobnym, z tyłu płaszcz rasowy nad kostki długi, z pleców wiszący; jest to podobieństwo do stroju, który nazywamy en l'abbe.

Misjonarze mają także pobożną wielce jednę ustawę, że każdego z świeckich osób i z duchownych, kto tylko żąda, przyjmują na rekolekcje na pięć dni, dając mu przez ten czas bez żadnej nadgrody stancją, pościel i porcją taką, jak swoim domownikom w refektarzu; nierównie zaś suciej karmią rekolektantów obrokiem duchownym i poją zdrojem tez pokutnych; miewają ich ustawicznie prawie po kilku, a czasem i po kilkunastu razem, bo się im według woli świętego fundatora nie godzi nikomu odmówić tej duchownej a oraz i doczesnej uczynności, ktokolwiek o nią uprasza; lubo wielu wprasza się na rekolekcje nie dla pożytku duchownego, ale dla odpędzenia na jaki czas dokuczającego głodu, co znać z wielu przychodzących na rekolekcje w złym obuwiu, w złym odzieniu i z nędzną twarzą.

Jest podanie w tym zgromadzeniu, że jeden rekolektant z takowych gałgancjuszów, umieszczony w komorze, w której stał okseft z winem, wysuszył go do połowy; i nie postrzeżono tej szkody, aż przyszła potrzeba zaczęcia okseftu; domyślono się zaś stąd, że rekolektant ów wypił to wino, ponieważ wiele razy przyszedł do niego ojciec duchowny dla dania mu według zwyczaju nauki, zawsze go zastał leżącego na ziemi krzyżem. Znać ów łotr, opiwszy się wina, kładł się spać tym sposobem, aby nie był poszlakowany w pijaństwie i szkodzie, którą czynił. Mimo atoli takowego zdarzenia i ekspensy koniecznej na podejmowanie rekolektantów, święty fundator synom swoim kazał mieć za wielki zysk, jeżeliby z tysiąca zmyślonych rekolektantów jednemu, drogi zbawiennej prawdziwie szukającemu, tym nakładem doczesnym duchowną przysługę uczynili. Misjonarze nie przyjmowali żadnych kapelaniów u dworów, chyba u biskupa pod tytułem teologa, ani plebaniów,

ani wikariatów przy katedrach i kolegiatach; a nawet w swoich własnych dobrach, gdzie mieli kościół parochialny, nie zawiadowali nim sami, ale oddawali go świeckiemu kapłanowi.

Przy miastach, przy których mieli domy, nie pokazywali się nigdy na ulicy pojedynczo, tylko parami, nie jedli ani nie pili w żadnym domu świeckim, do którego z interesu lub nawiedzin przyjacielskich wstępowali. Chodzenie w parze zachowywali nawet idąc do chorego albo roznosząc opłatki po domach według zwyczaju przed Bożym Narodzeniem, albo święcąc kołacze wielkanocne. Rząd ich wewnętrzny monarchiczny: cały dom zawisł od superiora, superior od wizytatora prowincji, wizytator dożywotni od generała całego w świecie zgromadzenia. Przełożeństwa i funkcje wszystkie nie trzechletnie, jak po innych zakonach, ale długoletnie, a czasem dożywotnie, jeżeli zdatność służy, która z zgrzybiałym wiekiem nierada towarzyszy. Forta do wstępowania i występowania otwarta każdego czasu. Seminarium, czyli nowicjat, dwuletni, zachowanie ustaw dla wszystkich ścisłe, dla seminarystów najściślejsze; zmarszczenie czoła na rozkaz albo niedbale wykonana powinność częstokroć staje się przyczyną wyrzucenia z zgromadzenia. Wicht dla wszystkich, tak najstarszych, jak najmłodszych, jednakowy, trzy porcje okrągłe na obiad, dwie na wieczerzą, posty wszystkie zachowują na maśle, wyjąwszy Wstępną Środę i Wielki Piątek. Ich jednak post maślany przenosi wszystkie posty olejne innych zakonów, tak się oni oszczędnie karmią. W niektóre święta, w ich zgromadzeniu za uroczystsze od innych wzięte, miewają lepszą porcją. Na ten czas dają na obiad cztery potrawy i szklankę wina, na wieczerzą trzy i także szklankę wina. Seminarystom jednak, pospolicie dzieciom młodym, aby nie zawracało głowy, przylewają do niego wody. Tymże seminarystom, uważając na ich żołądki strawne, częstszego posiłku od starszych potrzebujące, dają na śniadanie piwo grzane z chlebem, okraszone masłem; tegoż posiłku nie bronią i starszym studentom, a nawet kapłanom, lecz że te dwa gatunki więcej mają do czynienia z nauką i kościołem, dlatego z rzadka mogą znaleźć czas do śniadania.

Seminaria dla świeckich kleryków, pod misjonarzów władzą zostające, tymi samymi regułami rządzone były co i młódź misjonarska, wyjąwszy ostatnie posługi" przez samych tylko misjonarskich nowicjuszów odbywane i rozrywki albo rekreacje, na których nigdy się młodzież misjonarska z młodzieżą świeckich kleryków albo też już wyksiężoną nie bratała podobno dlatego, żeby klerycy misjonarscy od kleryków świeckich, często już godnościami katedralnych kanonii i prela-

tur zaszczyconych, a przez to samo wyżej głowę swoją nad misjonarską, z ustawy zgromadzenia zawsze pochyłą, noszących, krnąbrności nie zarywali.

Szkoła zaś wszelka dla wszystkich w kupie; jej gatunki były: filozofia, teologia moralna i speculativa, ius canonicum i rubrum kościelne, to jest nauka do układania czasów kościelnych i pacierzy kapłańskich służąca, a oprócz tych sposobem praktycznym uczono kantu i ceremoniału kościelnego. Służba refektarska i kościelna szła za koleją kleryków świeckich z misjonarskimi na przemianę. Ponieważ zaś seminaria świeckie są funduszami biskupów, przeto też który kleryk świecki chciał się pomieścić na fundacji, taki musiał sobie wyrabiać przyjęcie u biskupa, który zaś o swoim koszcie chciał odbyć seminarium, dosyć mu było udać się do zwierszchności domowej misjonarskiej. Prałaci albo też i nie prałaci, ale majętniejsi klerykowie, płacący od siebie więcej stem złotych nad ordynaryjną ustawę zapłaty rocznej (która nie w każdym domu była równa; w warszawskim pospolita czterysta złotych), miewali więcej od drugich na obiad i na kolacją jednę potrawę, tą zaś pospolicie na obiad bywał, kawałek pieczeni (której innym nie dawano do obiadu, tylko do wieczerzy), na kolacją kawałek sera albo kilka jabłek, albo orzechów włoskich, lub pięć kasztanów, lub biszkokcik. W postne dnie przydatnią porcją zazwyczaj bywało dzwonko ryby lub ciastko z jajec. Porcje pozostałe z refektarza rozdają u forty ubogim.

Spowiednicy misjonarscy byli między wszystkimi innych zakonów i ustanowień spowiednikami najsurowsi i kaznodzieje ich między wszystkimi kaznodziejami najżarliwsi, jedni często penitentów bez rozgrzeszenia od trybunału spowiedzi odprawiali, drudzy bez obłazu słuchaczowi złe nałogi, osobliwie nowo zjawione w Polszcze reduty, maszkarady, stroje niewiast rażące wzrok niewinny, pojedynki, postów mięsnymi lub maślanymi potrawami gwałcenie i inne wlewające się już po trosze w Polskę zarazy dawnych ścisłych obyczajów osobom przewiniającym niemal palcem wytykali i surowo gromili. Dlatego przez taką swoją surowość i namienioną wyżej od świeckich osób odludność nie byli kochani od panów i ludzi wielkiego świata albo raczej małego świata wielkich rozpustników, ile kiedy misjonarze nie tylko w kościołach, ale i po domach swojej parochii prześladowali rozpustę, łapiąc nocnym sposobem osoby podejrzane, a sprowadziwszy na cmentarz przez gwardią swoją dziadowską, nie hyzopem, ale konopnym kropidłem wyganiali z nich ducha nieczystego i na skuteczniejsze obrzydze-

nie występku zamykając je w kunę kościelną dla publicznego wstrętu. Gdy jednak rozwiozłość coraz bardziej górę brać poczęła i te duchowne czaty po kilka razy nie bez guzów i okrwawienia księdza komendanta odparte zostały, zaniechano niewczesnej żarliwości, a zachowano się tylko przy kościelnej.

Pod panowaniem Augusta III przybył misjonarzom jeden dom, czyli fundacja, w Horodence na Ukrainie, dobrach dziedzicznych Mikołaja Potockiego, starosty kaniowskiego. Jako jawnogrzesznika w nałogach leżącego odprawili od konfesjonału bez rozgrzeszenia; zaniechawszy ich przy fundacji oddalił się i przeniósł z kościoła łacińskiego do kościoła greckiego.

O kapucynach

Kapucjanie i reformaci w estymacji publicznej trzymali miejsce po misjonarzach. Zakon kapucyński w początkach panowania Augusta III ledwo miał trzy klasztory formalne: w Warszawie, w Lublinie i w Uściługu na Wołyniu, lecz ku końcu panowania Augusta III znacznie się powiększył. Ten zakon między wszystkimi zakonami reguły świętego Franciszka najściślejszy, nie ma żadnych odmian tak w stroju, jak w ustawach zakonnych. Chodzą z brodami, w sandałach na bosą nogę wzutych, w habicie tylko samym bez sukienki, który się różni od reformackiego i bernardyńskiego kapturem dłuższym i spiczastszym. W tym jednym obyczaju odmianę uczynili, że przedtem nie wysyłali na kwestę, ale tylko tym się żywili, co im szczodrobliwość dobrodziejów przysłała do klasztoru. Lecz gdy po wielu klasztorach zaniechano im dosyłać żywności, muszą teraz obyczajem innych zakonów żebrzących wysyłać na kwestę do dobrodziejów; przy wielkich atoli miastach, jako to w Warszawie i Lublinie, obywatele katoliccy, a nawet i dysydenci tyle im przysyłają żywności rozmaitej i jałmużny pieniężnej, iż się bez kwesty obywają.

Kapucyni oprócz nauk duchownemu stanowi przyzwoitych, jakimi są: teologia, filozofia i retoryka, uczą się zaraz, wyszedłszy z nowicjatu, kucharstwa i ogrodnictwa; dlatego też w ich ogrodach frukta i kwiaty najprzedniejsze i potrawy najsmaczniejsze; tym pokarmem wybornym posilając i krzepiąc ciało, ażeby pod ostrym habitem ostrość powietrza w zimie i upały letnie łatwiej wytrzymać mogło. Między potrawami stokfisz kapucjański był najsławniejszy, a to podobno dlatego,

iż w innych kuchniach sprawić się z tą rybą tak dobrze, jak kapucyni umieli, nie umiano. Królowa zawsze go musiała mieć na swoim stole, wiele razy był dla kapucynów gotowany, i koniecznie nie w innym naczyniu, tylko w porcji zakonnej, co – rozumiem – czyniła nie dla dogodzenia smakowi, bo kuchnia Augusta III w całej Europie była najwykwintniejsza, ale jako pani wielce pobożna, chciała mieć jakowąś cząstkę zasługi duchownej z porcji zakonnej, nad królewski swój stół wyżej szacowanej.

Kapucyni długo pod panowaniem Augusta III najwięcej byli Niemcy, jako z kraju niemieckiego do Polski sprowadzeni; dlatego też oni najwięcej dysydentów do Kościoła Rzymskiego nawrócili. Ku końcu panowania Augusta już mieli między sobą bardzo wielu Polaków, a nawet i prowincjałem obierali Polaka, nie Niemca.

Kapucyni nie odprawują misjów, nie śpiewają w chórze obyczajem innych zakonów, tylko głosem cokolwiek wynioślejszym od mowy zwyczajnej odmawiają kapłańskie pacierze i mszą tymże sposobem konwencką odprawiają, kazania mają zwykle dwoiste: polskie i niemieckie. Nabożeństw szczególnych w ich kościołach nie masz, tylko pospolite. Do różnych benedykcjów chorych, a mianowicie dzieci, wzywani bywają bardzo często; usługę zaś tę odbywając, nieraz z skutkiem cudownie pomyślnym, jednają sobie obfitą szczodrobliwość. Osobliwie takich cudów dokazywał Feliks, kapucyn, kiedyś rozpustny dworak, potem święty człowiek.

O reformatach

Zakon reformacki w ostrości zaraz idzie po kapucyńskim; nastał w Polszcze za Augusta Wtórego. Widzieć się dają listy tego króla w formulariach ekspedycji zadwornych pisane do Rzymu za tymi zakonnikami, gdy im bernardyni z bojaźni zmniejszenia kwesty swojej przeszkadzali. Obyczaje tego zakonu, zawsze skromne i w ścisłej obserwie zostające, nie podlegały żadnej odmianie i dotychczas nie podlegają; nabożeństwem regularnym, misjami, kapelaniami, usługami duchownymi bardzo punktualnymi jednają sobie u wszelkiego ludzi stanu miłość i poważenie tak dalece, że spomiędzy wszystkich zakonników św. Franciszka (wyjąwszy kapucynów) im pierwszeństwo szacunku dać należy, gdy jeszcze do cnót duchownych przez ludzkość domową, na jaką zebrać się może ubóstwo zakonne, przyjaciół sobie kaptować umieją. U nich tak jak i u kapucynów, niedojadki refektarskie z obiadu i wieczerzy rozdają u forty ubogim.

Wstępują do ich zakonu bardzo wiele młodzieży różnej kondycji, nawet i szlacheckiej.

Zakon ten, rozszerzony znacznie pod panowaniem Augusta III, dwie wielkie swoje prowincje: polską i ruską rozdzielił na cztery, to jest: na pruską, polską, litewską i ruską. Do prowincji pruskiej dostał się klasztor na Dybowie pod Toruniem, a do prowincji polskiej klasztor w samym Toruniu; którą to omyłkę w dzieleniu klasztorów popełnioną chcąc poprawić, starsi prowincji zrobili między sobą wojnę domową, która jednak nie kosztowała więcej jak kilka par sandałów i chordów, czyli postronków, którymi się opasują.

Do tej zaś wojny przyszło takim sposobem: pozywali się najprzód do nuncjatury o odmianę pomienionych klasztorów. Nuncjatura kazała się trzymać uczynionego podziału, racje przytoczone od prowincji polskiej (niebezpieczeństwo częste w przeprawianiu się przez Wisłę, gdy tam most prawie co rok ruszające się lody na wiosnę zrywają) odrzuciwszy. Reformaci polscy apelowali do Rzymu, a tu w Polszcze zbierali za sobą wota pierwszych panów, czego też nie zaniedbali i reformaci pruscy. Rzym zapatrując się na instancje ważne, za obojąstroną liczne, naznaczył komisją, która by tę sprawę rozsądziła, i jeśliby wypadło reformatom polskim oddać klasztor na Dybowie, aby zaraz dekret swój do egzekucji przywiodła.

Stało się, że reformaci polscy wygrali, ale pruscy, nie słuchając dekretu, z klasztoru ustąpić nie chcieli i do Rzymu na powrót apelowali; reformaci zaś polscy, usiłując koniecznie, choćby gwałtem, odebrać klasztor, wyszli z Torunia z krzyżem, niosąc przed sobą dekret komisarzów apostolskich, a za sobą prowadząc orszak ludzi świeckich, kijami do ataku i siekierami do wyrębowania drzwi opatrzonych. Reformaci pruscy na Dybowie, spodziewając się tego, nocą poprzedzającą atak posprowadzali do klasztoru różnych ludzi służących od dobrodziejów, a sami się w chordy do sandałów przywiązane uzbroiwszy, gdy nieprzyjaciel nadciągnął pod klasztor, wypadli na niego z przodu i z tyłu, a obkładając gęsto zakonnicy zakonników sandałami i chordami a świeccy świeckich waląc kijami i szablami – odpędzili. A że się nie obeszło bez rozlania krwi, której obydwie strony były przyczyną, więc każda bojąc się, aby w Rzymie nie przegrała, zaniechali wszczętej kłótni.

Klasztor został przy prowincji pruskiej, a winowajcy i uczestnicy świętokradzkiego boju, cichaczem postarawszy się u zwierszchności kościelnej o zdjęcie z siebie ekskomuniki, rzecz zatarli i w dobrą przyjaźń, jaka być powinna między synami jednego ojca, zamienili.

Ten błąd partykularny nie ubliża bynajmniej temu zakonowi sławy z świątobliwości życia, nieustannie i zakon, i Kościół Chrystusów zdobiącej.

Pod panowaniem Augusta III reformaci ołtarze i ławki tudzież lichtarze, przedtem w każdym kościele odmienne, na jeden fason przemienili. Lichtarze cynowe lub srebrne tudzież aparaty bogate znieśli, a drewniane lichtarze i aparaty tylko jedwabne lub włóczkowe dla jawniejszego ubóstwa okazywania postanowili.

O bernardynach i innych zakonach

Bernardyni w regule św. Franciszka trzymają miejsce po reformatach, a za tymi na ostatku franciszkanie. Bernardyni nie podają nic osobliwego do pisania o sobie, żyją jednakową modą i krojem, bywają rubaszni, osobliwie kwestarze, i nie wystrzegają się w kompaniach poufałych przesadzać świeckich w tęgości głowy na trunki, w chórze śpiewają tonem świeckich księży, nie tak jednostajnym i gęgniącym przez nos jak reformaci. Glosy formują sobie zaraz z młodości grube, skąd powstało żartobliwe przysłowie, że reformaci nowicjuszom swoim łamią chrzęstkę w nosie, a bernardyni konew piwa wielką o dwu

uchach duszkiem wypijać dają. Rząd tego zakonu cokolwiek zarywa dzikiej surowości, ponieważ oni przestępców nie karzą tak jak po innych klasztorach samymi umartwieniami, postami lub od własnej ręki nakazanymi dyscyplinami, ale jak prędko zdarza się gruby występek, biorą winowajcę, wywłóczą z habitu i nagiego do słupa za ręce i nogi przywiązawszy, rózgami od stóp do głów otną jak kota. Która surowość w. Polszcze zadawniona u bernardynów może stąd pochodzi, że do tego zakonu pospolicie udają się ludzie hajdamacy, awanturnicy, żołnierze, ludzie pasyj rozbujanych, których pohamowanie łagodnymi sposobami jest przytrudne; w powszechności jednak biorąc bernardynów – są zakonnicy dobrzy i uczeni. Zimą i latem chodzili bernardyni na trepkach drewnianych bosą nogą; ku końcu panowania poczęli się niektórzy w zimie pokazować z pończochą na nodze sukienną, takiego gatunku jak habit.

Franciszkanie co do reguły i obyczajności są takimi, jakimi dawniej byli; odmianę uczynili w sukni i w twarzy; na początku albowiem panowania Augusta III zażywali koloru ciemnopopielatego i nosili małe bródki; na końcu wzięli kolor w cale czarny i golą całą brodę. Są ludzie uczeni i pobożni; lubo zaś są ex ordine mendicantiumi, przy niektórych jednak klasztorach mają wioski funduszowe; bardzo wielu idą na kapelanie do dworów i na wikariaty, czyli komendarstwa, do kościołów parochialnych. Biorą ich do takich usług duchownych chętniej panowie i świeccy księża niż reformatów lub bernardynów z przyczyny, iż mogą bawić na jednym miejscu bez odmiany po roku i dłużej, owszem i po lat kilkanaście, gdy się dobrze sprawują; gdy przeciwnie reformaccy kapelani często się odmieniać muszą; a bernardyni, choć także mogą być długo na jednym miejscu, ale z przyczyny habitu i nie opatrzonego ubiorami spodu nie są tak zdatni do jazdy konnej, na plebaniach do chorego często się zdarzającej, jak franciszkanie.

Franciszkański prowincjał ma swoich kapelanów – rękodajnych w każdym klasztorze podług liczności zgromadzenia: po trzech, po dwóch, po jednemu, którzy z swoich pensyj kapelańskich muszą prowincjałowi płacić na rok od osoby po dwieście złotych.

Dominikanie byli dwojacy – jedni dyspensaci: ci jedzą mięso i zażywają habitów kamlotowych, kromrasowch i szkotowych, drudzy obserwanci, którzy według pierwszej reguły św. Dominika mięsa nie jedzą w refektarzu; w izbie gościnnej przy gościu albo za fortą, zaproszeni na obiad, jedzą, także w celach chorzy za pozwoleniem przełożonego. Habitów zimą i latem zażywają sukiennych i zamiast koszul płó-

ciennych – cylicjów, które są z wełny, gatunku takiego jak pytle młynarskie.

Długi czas pod panowaniem Augusta III nie mieli swoich nauczycielów do teologii i filozofii, brali ich od dyspensatów, lecz potem wyuczywszy się mieli swoich. Habity sami sobie pierą, a starszym czynią tę usługę młodsi; którzy są in sacris ordinibus, zażywają na sukni spodniej szkaplerza białego, takiego jak taż suknia. Braciszkowie zaś ich noszą szkaplerz czarny, kapę albo suknią zwierszchnią i kaptur wszyscy czarny. Braciszkowie u nich nie są w takim uszanowaniu jak w innych zakonach. Posługują się nimi starsi i rozkazują im absolutnie. Dominikanie mają dobra, acz nie wszystkie klasztory, a przy tym, że są z klasy zakonów żebrzących, wysyłają na kwestę tak jak bernardyni, reformaci i franciszkanie. Oprócz kwesty wozowej po wsiach dominikanie-obserwanci po wielkich tylko miastach chodzą raz w tydzień z sakwami na kwestę chleba. Gdy także który dominikan zostaje księdzem, kwestuje pieniądze na prymicje, za które uzbierane, podług kwoty sprawuje dla zakonników ucztę.

Wziętość tego zakonu największa jest między ludem pospolitym z przyczyny różańca (który obacz opisany między bractwami na karcie); panowie nie mają do nich takiego przywiązania jak do zakonów wyżej opisanych, a to z przyczyny, iż się w ochędóstwie kościelnym nie nadto kochają, osobliwie dyspensaci warszawscy.

Rząd dominikański jest na kształt republikanckiego; wszystko tam idzie przez wota seniorów z przeorem, którzy większe wygody na siebie pociągając, są na czas przyczyną pustek i nieporządku w kościołach i klasztorach.

Zakonnicy odzienia i innych potrzeb nie odbierają od klasztoru w naturze, ale w pieniężnych rocznych pensjach, według stopniów godności większych i mniejszych, które że dla młodszych są szczupłe, przeto dają okazją do szukania dobrodziejów, a tym samym roztargnienia w zakonnej osobności.

Dominikanie mają filadelfią, czyli pobratymstwo, z zakonnikami świętego Franciszka na pamiątkę, że święty Dominik z świętym Franciszkiem będąc na świecie żyli w ścisłej przyjaźni; dlatego w dzień św. Dominika celebrują u dominikanów zakonnicy św. Franciszka, a na odwrót, w dzień św. Franciszka u zakonników jego reguły dominikanie. Tę jednak wzajemność zachowują zakony wyrażone między sobą tylko tam, gdzie obadwa mięszkają w jednym mieście, bo gdzie nie masz, tylko jeden zakon, tam po tę ceremonią o granice nie posyłają.

Dominikanie zawsze co dzień po nieszporach śpiewają Salve, Regina, wychodząc na środek kościoła, i mają nadane wielkie odpusty od Świętej Stolicy dla tych, którzy się schodzą na tę Salvę, po której ksiądz promotor daje ludowi aspersją. Od Wszystkich Świętych aż do Wielkiej Nocy na tę Salvę dominikanie wychodzą w kapach, od Wielkiej Nocy do Wszystkich Świętych bez kapów, tylko w habitach. Wychodząc na miasto trojakiego używają odzienia: prokuratorowie spraw i szafarze na habit biały, odjąwszy od niego kaptur, kładą opończą czarną z rękawami, także bez kaptura, i ci chodzą bez Socjusza. Przełożeni, profesorowie i inni księża, kiedy idą na wizytę albo na dysputę, lub z kazaniem i mszą do innego kościoła, wtenczas pokazują się in forma publica , to jest w habicie, z kapą i kapturem, i z Socjuszem. Klerycy-studenci, gdy latem idą na rekreacją, nie biorą kapów, tylko habity z kapturami, i nie idzie ich dwóch, ale razem kilku.

Ponieważ habit dominikański nie jest tak przykry jak reformacki albo bernardyński, i starsi w zakonie tym, przeszedłszy stopnie różnych prac i urzędów, na starość mają wcześniejsze wygody niż po innych zakonach, przeto też do dominikanów więcej się udaje aspirantów niż do innych zakonów, w których ustawiczną równość dla młodych i starych co do wygód zachowują.

Dominikanie przyjmują także kapelanie przy dworach i kościołach farnych, mimo tych przywar, które z starania się o siebie prywatnego wszędzie, gdziekolwiek zakonnik nie ma potrzeb wszystkich od klasztoru, wynikać muszą.

Dominikanie byli zawsze i są dobrzy szkolnicy, dobrzy spowiednicy i dobrzy kaznodzieje, który ostatni przymiot jest piętnem ich zakonu, piszącego się: ordo praedicatorumn. Dominikański prowincjał ma się lepiej od wszystkich innych prowincjałów (wyjąwszy jezuickiego); wozi się po wizytach karetą czterokonną, za którą idzie wóz z rzeczami, do wygody podrożnej należącymi, także czterokonny; przed karetą jedzie konno brat konwers, zakonnik, a czasem i drugi jaki służalec świecki; wszystkie klasztory składają się prowincjałowi na pewną pensją i każdy konwent w czasie bawienia jego u siebie podejmuje go swoim kosztem, co także czynią wszystkie zakony swoim prowincjałom.

Kapitułę generalną odprawują dominikanie co trzy lata w jednym klasztorze z bogatszych w dochody, naznaczając co kapituła inny klasztor dla następującej; na kapitule obierają nowego prowincjała i starszyznę albo dawnych na urzędach potwierdzają, czynią rozporzą-

dzenia względem innych zakonników, gdzie który mięszkać ma, i skargi zachodzące od nich przeciw przeorom rozsądzają.

Zabawny jest zwyczaj podczas kapituły dominikańskiej u ich woźniców, gdy się zjadą z swymi panami; najprzód miejscowy przeor jednego z swoich księży daje im za koniuszego, powinnością którego jest wydawać obroki i siano i przy rozdawaniu tymże woźnicom piwa, gorzałki i porcyj jadła doglądać, aby jeden nie wziął dwa razy, a drugi ni razu. Skoro mają koniuszego, pod jego prezydencją obierają spomiędzy siebie marszałka, który honor pospolicie dostaje się woźnicy prowincjalskiemu albo przeora miejscowego, potem obierają instygatora i dwóch patronów. Marszałek obrany zbiera składkę od wszystkich, tę oddaje księdzu koniuszemu na mszą wotywę, której wszyscy słuchają klęcząc w kościele parami, z znakami swojego urzędu, to jest z biczami, w ręku. Po odbytej wotywie rozchodzą się do swoich koni; marszałek zaś z instygatorem i patronami obchodzą wszystkich, rewidują ochędóstwo około koni, powozów i samego woźnicy, a jeżeli którego znajdą w którym z tych punktów źle się sprawującego, a tym gorzej, jeżeli w stajni przy koniach nie nocował, marszałek wyznacza na niego liczbę plag, instygator naszelnikiem rzemiennym od szoru, w krajkę lub kawał płótna jakiego obszytym, wylicza mu naznaczone plagi, patronowie zaś służą mu w tej sprawie tym, że go obalają na ziemię derą przykrytą, trzymają nasiadłszy na głowę i nogi i rewidują dokumenta, to jest macają, jeżeli sobie czego w spodnie nie włożył dla mniejszego plag uczucia; i takie sądy odprawują co dzień z rana przez całą kapitułę, aż póki się nie rozjadą. Który zwyczaj ma się znajdować między woźnicami na kapitule bernardyńskiej.

Nie dziwuję, nudził Czytelnika mego opisowaniem innych zakonów, mniej gęstych, a tym samym mniej znanych; wypiszę tylko ich imiona, aby potomność wiedziała, jak liczne było w Polszcze duchowieństwo za czasów Augusta III; jeżeli jednak przyńdzie mi na pamięć co osobliwego o którym, dotchnąć w krótkości nie zaniedbam. Były więc zakony następujące:

Trynitarze imię to dostali od Innocentego III, który potwierdzając ten zakon, kazał się mu nazywać zakonem Świętej Trójcy. Patriarchami tego zakonu są święci: Jan de Matha i Felix de Vallis. Obowiązkiem trynitarzów najznakomitszym jest wykupować więźniów chrześcijańskich od Turków i pogan, do którego urzędu wyznaczają jednego w każdej prowincji, który ma tytuł redemptora. Inni zakonnicy

Karmelici bosi i trzewiczkowi, a między tymi dwoiści: jedni antykwiści, prowadzący swój początek od Eliasza proroka, drudzy świeżsi, trzymający regułę św. Teresy, z niektórymi odmianami od karmelitów bosych; prócz nóg, u jednych w sandałach, u drugich w trzewikach, u wszystkich krój habitu jednakowy.

Augustianie – ci mają habity takie jak franciszkani, tylko z obszerniejszymi od franciszkańskich rękawami, i opasują się pasami rzemiennymi, nie sznurkowymi; w klasztorze używają, którzy chcą, habitów białego koloru, lecz do chóru i za fortę nie wychodzą, tylko w czarnym.

Kanonicy regularni ci są wieloracy: jedni świętego Augustyna, którzy na sukni spodniej, czyli habicie, noszą całe rokiety, to jest komże, w rozmaite fałdy fryzowane, z rękawami gładkimi, wąskimi; drudzy zażywają tylko półrokieciów, czyli komżów bez rękawów i gładkich, nie fałdowanych; trzeci, którzy mają takie rokiety jak pierwsi, ale do chóru przypinają sobie płaszcze długie, aż do ziemi wiszące, wąskie, nie okrywające ramion, i trzewiki na nogi kładą z klockami czerwonymi. Ci się nazywają raz norbertani od św. Norberta, który institutum swoje, z reguły Augustyna świętego wzięte, podług swego natchnienia zreformował, drugi raz praemonstratenses, że miejsce, na którym ten zakon wziął pierwszy początek, nazywało się locus praemonstratus. Ci trojacy kanonicy żyją pod opatami, ale wiele klasztorów, zniósłszy opatów, rządzą się tylko przeorami. Nie formują także z siebie ani kongregacji, ani prowincji, ale każdy klasztor rządzi się swoim dworem, podlegając w okolicznościach powszechnej karności duchownej władzy biskupa miejscowego.

Krzyżacy z czerwonymi krzyżami na sukni wierszchniej, którzy się piszą „stróżami Grobu Bożego", początek mając swego zakonu z Jerozolimy, wtenczas gdy państwo jerozolimskie, wydobyte z rąk saraceńskich, zostawało w rękach chrześcijańskich; ci mają swoją prowincją, składającą się z kilku klasztorów i kilkudziesiąt kościołów parochialnych, im zawsze służących. W Miechowie, w krakowskim województwie, mają klasztor generalny, w nim nowicjat i proboszcza, który oraz jest zakonu całego generałem. Do chóru biorą na siebie rokiety i mucety czarne, to jest płaszczyki po łokieć u ręki krótkie, z małymi z tyłu kapturkami, na przodku zapinane na guziki jedwabne, drobne, czerwonego koloru. Wychodząc na miasto noszą suknie takie jak świeccy księża, tylko z krzyżem czerwonym.

Kanonicy de Saxia z białym na sukni krzyżem. Tych tylko jeden jest klasztor w Krakowie, a drugi, kościołek Św. Ducha, na przedmieściu pod Kaliszem, o jednym księdzu, który choć mięszka w archidiecezji gnieźnińskiej, z szczególnego atoli przywileju, czyli też z naciągnionego na swoją stronę zwyczaju, przez arcybiskupów gnieźnińskich nie bronionego, należy wraz z swoim krakowskim klasztorem, którego jest członkiem, do zwierszchności biskupa krakowskiego.

Paulini od fundatora swego Pawła, pierwszego pustelnika, tak nazwani. Nie mięszkają atoli w puszczach, lecz w miastach i wsiach, i nie różnią się sposobem życia od innych zakonów, tylko jedną brodą zapuszczoną, którą inni golą. Klasztor częstochowski mają wielce sławny tak obrazem Najświętszej Panny, od kilku wieków cudami i łaskami wielkimi słynącym, jako też fortecą, w różnych wojnach polskich od Szwedów i Moskali dobywaną, a nie dobytą. Koloru w habitach zażywają białego, czapek takichże wykrawanych, pospolicie piuskami zwanych, z lisimi opuszkami. Do ołtarza i do ambony zażywają biretów jak świeccy księża. Wychodząc za klauzurę, biorą na habit płaszcze czarne kamlotowe wąskie, ramion nie okrywające, wiszące z tyłu do ziemi na kształt paludamentu, którego koniec zakładają na rękę idąc, aby się nie szargał. Generała swego mają w Węgrzech.

Marianie nazwisko sobie dali od czci osobliwszej Najświętszej Marii Panny. Zakon ten jeden jest między wszystkimi zakonami, którego fundatorem jest Polak Papczyński, szlachcic; ma drugą osobliwość ten zakon, że nabożeństwo publiczne odprawia cały rok za dusze zmarłych. Mięszkają na puszczach, dla małej liczby klasztorów niewielom są znajomi i podobno się w innych państwach nie znajdują, tylko w Polszcze. Krój ich sukni taki, jaki był przedtem pijarów, to jest suknia długa do ziemi, fałdzista, z przodu zaszyta, z płaszczykiem krótkim do kolan, czapka wykrawanka, kolor biały. Powstał ten zakon w wieku XVII albo na początku XVIII.

Bonifratrowie albo bracia miłosierni od św. Jana Bożego, do usługi chorym postanowieni, znajdują się w Polszcze w wielu miejscach. Są pospolicie bracia laikowie, przeor, prowincjał i cała starszyzna laikowie; zakrystianem i kapelanem ksiądz jeden, a najwięcej dwóch w klasztorze; ci są tegoż samego zakonu, nie należą do doczesnej usługi chorym, ale tylko do duchownej i do nabożeństwa kościelnego dla swoich zakonników. Porządkiem wspacznym, będąc kapłanami, muszą zostawać pod posłuszeństwem laików. Wzbili się byli raz w górę nad

laików i opanowali przełożeństwa, ale znowu laikowie zepchnęli ich w dawne poniżenie i są teraz panami rządów.

Kameduli i kartuzi. Te dwa zakony prowadzą życie pustelnicze, siedliska swoje mają w borach; kameduli swego klasztoru nie zowią klasztorem, tylko eremem, domki mają dla każdego osobne, a w pośrodku kościół. To zaś wszystko zabudowanie opasują murem lub drewnianym parkanem, podług możności; chodzą w bieli, od którego koloru nazywają ich pospolicie bielanami. Gdy są w drodze, zażywają do obuwia trzewików albo botów, w eremie zaś chodzą na trepkach drewnianych, na pończochę sukienną wzutych, a do ołtarza idąc biorą na nogi pantofle, których dlatego stoi zawsze w zakrystii po kilka par. Habit ich: suknia długa, na tej szkaplerz równy z nią, pasem sukiennym wąskim przypasany. Przy sukni kaptur przyszyty. Płaszcz spinający się pod szyją na guzik kościany, okrywający plecy i ramiona. Bez którego płaszcza z celi, czyli chatki swojej, nie wychodzi nigdy żaden kameduła, nawet jeden do drugiego. Sypiają w habitach, ale bez płaszcza. Mięsa w eremie nie jadają, w domach poufałych w gościnie jedzą, ale bardzo rzadko i w osobności albo w małej kompanii. Chorzy także za pozwoleniem przełożonego i z rady lekarza używają mięsa. Stół pospolity dla całego zgromadzenia w refektarzu nie bywa u nich, tylko dwanaście razy do roku, w pewne święta. W inne dni każdy jada osobno w swojej rezydencji. Kiedy jedzą w refektarzu, tedy do napoju nie zażywają szklanek, ale miseczek glinianych płaskich, wyrażając w tej manierze dawnych pustelników, którzy brali napój żółwimi skorupami; kaczki dzikie, nurkami i łysicami zwane, także bobry, wydry i żółwie jedzą za ryby, ponieważ te zwierzęta, według naturalistów, mają więcej przyrodzenia wodnego niż ziemnego; brody noszą zapuszczone, głowy całe golą, zostawując tylko wąziuchną jak sznurek dokoła koronę.

Śpiewają w chórze tonem jednostajnym jak reformaci, każdą godzinę kanoniczną odprawują z osobna i po każdej wychodzą z kościoła do swoich domków, podług rozmierzonego czasu do różnych zabaw. Mszą pierwszą zaraz po prymie albo przed prymą odprawuje przeor, ostatnią konwencką po nonie hebdomadariusz, inni zaś księża wszyscy, wielu się ich znajduje w eremie, po tercji w jednej godzinie msze odprawują, a to dlatego, żeby w chórze było ich więcej, do którego u nich należą nawet i laikowie. Mszy śpiewanej nigdy nie odprawują, tylko czytaną (do której w dni solenne przydają turyfikacją, czyli kadzenie), chyba gość jaki śpiewa mszą podczas nabożeństwa otwartego, które bywać u nich zwykło raz albo dwa razy do roku, i na ten czas wolno

białej płci wchodzić do ich kościoła. Taki odpust zowie się terminem kamedulskim ingres, na który tysiącami schodzi się do nich lud rozmaitej kondycji panów, pań i pospólstwa, a zajrzawszy tylko wielu do kościoła, cały czas trawią w puszczy na przechadzce i różnych zabawach; ponieważ zaś kameduli w wytwornym ochędóstwie trzymają swoje kościoły, przez to po każdym ingresie umywają pawiment kościelny, zbywając tym sposobem kurzawę, błoto i pchły, naniesione do kościoła, osobliwie od kobiet, których się ten owad rad trzyma. Co dało pospólstwu przyczynę do rozumienia, iż kameduli tak się brzydzą kobietami, iż ich ślady nawet z kościoła swego zmywają.

Kazania w ich nabożeństwie nie masz ani spowiedzi dla niewiast w ich kościołach od ich zakonników. Jeżeli wezwani do cudzego kościoła, co się trafia najwięcej do parochialnego, mają potrzebę przyjmowania spowiedzi od białej płci, to biorą na taki przypadek od swego przełożonego pozwolenie. Sami dla siebie ku pożytkowi z słowa bożego miewają egzorty mocne w kapitularzach, gdzie przełożony w sposobie zwyczajnym nauki duchownej gromi wady i błędy jakie, w swoim zgromadzeniu postrzeżone. Groby u nich są tak czyste i powietrze w nich tak wolne, że żadnego zaduchu ani wilgoci z siebie nie wydają; chowają umarłych swoich i inne osoby świeckie w katakumbach, czyli lochach murowanych. Wsunąwszy umarłego w katakumbę zasklepiają pięknie cegłą i wapnem, pisząc na wierszchu, czyli facjacie, katakumby lata życia zmarłego, rok i dzień śmierci i pogrzebu. A gdy wszystkie katakumby zostaną trupami napełnione, wyjmują najdawniejszego, przenoszą prochy jego i kości do kostnicy pospolitej, a świeżo przybyłego nieboszczyka wsadzają w katakumbę wypróżnioną.

Erem ich, czyli klasztor, koniecznie musi być drzewem przynajmniej na pół staja opasany, choćby dalej było pole; i nie wolno żadnego drzewa z tego okręgu klasztornego ściąć pod ekskomuniką, aby tak klasztor opasany drzewem lepiej oznaczał pustynią. Nauk wysokich nie mają, tylko teologią moralną z kazusów, nie z argumentów złożoną. Przeor w klasztorze zawiaduje tak duchownymi, jako też doczesnymi interesami samowładnie. Do interesów doczesnych ma pomocnika, który się nazywa rządcą, ale bez dołożenia się przeora niczym nie rządzi. Lubo zaś w rzeczach ważniejszych przeor obowiązany jest składać radę z starszych zakonników, przy nim jednak decyzja. A że niektórzy przeorowie nadciągnąwszy sobie władzy, zmówiwszy się z wikarym generalnym (o którego urzędzie będzie zaraz) i utrzymując się nawzajem, rządzili się absolutnie, gnębiąc swoich przeciwników, stąd urosła mię-

dzy nimi konfederacja jednych przeciwko drugim, czyli proces do generała i do Rzymu, który aż świecki ksiądz, delegat apostolski Wojciech Skarszewski, kanonik kamieniecki, mąż wielkiej roztropności – uspokoił, wszystkich samowładzców jako gwałcicielów ustaw zakonnych z urzędów pozrucawszy i za niesposobnych do piastowania ich na zawsze osądziwszy.' Wikary generalny u kamedułów to znaczy, co w innych zakonach prowincjał, z tą różnicą, ii ma sobie przydanych dwóch konsultorów z równą swojej władzą, bez których nic czynić nie może, ale dyspozycje wszystkie on tylko jeden z drugim, który się wtenczas tytułuje sekretarzem, podpisuje. Wszystkich eremów kamedulskich jest w Polszcze i w Litwie siedym. Patriarchą tego zakonu jest św. Romuald.

Kartuzi kolorem i krojem habitu podobni są do kamedułów z tą różnicą, że szkaplerzów nie przypasują, ale na wierszch pasa kładą, spięte na bokach kawałkami sukna takiegoż jak i szkaplerze, i że w podróży nie białych, ale czarnych palendronów zażywają. Brody golą, koszul płóciennych zażywają, pod które na gołe ciało kładą szkaplerz ostry z włosia końskiego; komory, czyli cele, do mięszkania mają pod jednym dachem, otaczające kościół, murem dokoła opasane i fortą zamknięte. Do chóru nie chodzą co dzień, tylko w prywatnych celach za daniem znaku każdy nabożeństwo odprawuje. Do mszy jednej tylko co dzień wychodzą do kościoła, do której ubierają się nie w zakrystii jak inni księża, ale przy ołtarzu; ubrany ksiądz przed zaczęciem mszy wspiera się prawym bokiem na ołtarzu, kładąc głowę na dwu palcach tejże ręki i w takiej posturze czyni medytacją przez kwadrans, po odprawieniu której zaczyna mszą świętą. Jadają także osobno w celach prócz pewnych dni, w które schodzą się do refektarza.

Mięsa nigdy nie jedzą, nawet chorzy, obowiązując się ślubem przy profesji nigdy go nie kosztować, chociażby dlatego śmierć nastąpić miała. W święta pewne schodzą się do chóru, do którego gdy zadzwoni zakrystian, pierwszy nadchodzący odbiera od niego dzwonek i dzwoni póty, póki nie nadeńdzie drugi; i tak kolejno jeden drugiemu ustępując dzwonka, ostatni kończy dzwonienie, po którym dopiero wszyscy zgromadzeni zaczynają nabożeństwo; co dlatego czynią, aby prędzej do chóru pospieszali wiedząc, że trzeba wprzód dzwonić i podług czasu wymiaru przestać, toż dopiero chór zaczynać. Gdyby się więc trafiło, żeby który po wyszłym czasie dzwonienia nie nadszedł, delegują zaraz jednego spomiędzy siebie do dowiedzenia się, czemu nie przybywa. Jeżeli posłaniec przyniesie do czekających w chórze wiadomość, że nie

przybywający jest chory, modlitwą szczególną polecają go Bogu; jeżeli nie stanął z przyczyny opieszałości, odbiera od przełożonego karę. Śpiewają tonem reformackim, ale niższym głosem i z wielkimi pauzami.

Niewiasty w ich kościołach nigdy nie bywają. Milczenie zachowują ustawiczne w klasztorze; nawet kiedy przechodzi jeden wedle drugiego, nie wolno mu przemówić innego słowa, tylko te dwa: „Memento mori"; konwersują jednak z sobą na migi i przez karteczki. Żeby zaś takowa samotność nie wprawiali ich w melancholią, dwa razy w tydzień wychodzą razem wszyscy na rekreacją, podczas której mają wszelką wolność mówienia i bawienia się jeden z drugim. Lecz na niewiasty poglądać nie wolno im nawet i z daleka; dlatego wychodzić mających na rekreacją poprzedza całogodzinne dzwonienie, aby niewiasty, jeżeli się znajdują w tamtej stronie, w którą idą kartuzi, na bok opodal ustępowały. Ze zaś klasztory mają w własnych dobrach, więc niewiasty, jako ich poddane, uwiadomione dniem wprzód. w którą stronę panowie ich wynindą na rekreacją, usłyszawszy dzwon, co prędzej z tamtego miejsca uciekają, nawet podczas żniwa, aby nie były karane, gdyby niespodzianym spotkaniem oczy, światu obumarłe, obraziły. Jeżeli zaś jaka obca niewiasta przejeżdżająca albo przechodząca napadnie na kartuzów, wtenczas nie ona przed nimi, ale oni przed nią uciekają; w podróżach znajdujący się kartuzi tego wstrętu do białej płci, ile niepodobnego do zachowania, nie obserwują.

Przeor i prokurator nie mięszkają w klasztorze, ale za fortą przed klasztorem; i gdy się trafi, że który z tych dwóch gwałtowną chorobą umrze za fortą, nie chowają go w grobie communitatis, ale w osobnym, dla tych dwóch urzędników za fortą wystawionym. Przeor ma czasy pewne wchodzenia do klasztoru dla odprawiania kapituły i odebrania wiadomości o sprawach zakonników, a po odbyciu swojej powinności nie nocuje w klasztorze, ale powraca do swojej rezydencji. Podprzeorzy, zamknięty razem z drugimi w środku klasztoru, cały rząd sprawuje. Zdawszy na przeora i prokuratora kartuzi wszystkie doczesne interesa, sami się tylko bogomyślnością zaprzątają. Tego zakonu w Polszcze tylko się trzy klasztory znajdują: jeden pod Gdańskiem, wielce bogaty, dla czego Niemcy nie zowią ich ordynaryjnym zwyczajem, jak innych zakonników, na przykład: „dominikanie, bernardyni", ale z przydatkiem drugiego słowa: „panowie kartuzi". Drugi klasztor mają w Litwie, w Berezie, trzeci w Gidiach, w Polszcze, kilka mil od Częstochowy.

Klasztory swoje nazywają kartuzjami; fundator ich zakonu jest św. Bruno.

O benedyktynach

Benedyktyński zakon, z między wszystkich zakonów łacińskiego obrządku najdawniejszy, szczep swój od świętego Benedykta prowadzący, wielkimi słynie w Kościele bożym i ludzkim towarzystwie zasługami: oni nam dochowali wszystkich ksiąg boskich Starego i Nowego Testamentu, oni wypolerowali nauki, oni największe ciemności starożytnych dziejów mądrym i pracowitym piórem objaśnili. Tego zakonu syn, mąż wielce nauką stawny, Kalmet, w państwie cesarskim żyjący, z dobranymi pomocnikami dotychczas nie przestaje wydawać w największej obszerności tomowych ksiąg, miejsca przytrudne Pisma bożego objaśniających, kwestie rozmaite różnych rozumów z tegoż Pisma wyciągnione ułatwiających, przesądy ludzkie w rzeczach wielkich gruntownymi przyczynami tak w teologicznych, jako i w historycznych materiach zbijających, wielkie oświecenie literaturze przynoszących. Oni pracowitymi rękami swymi głębokie puszcze i dzikie pola w żyzne grunta przemienili i podawszy ludziom sposób rolnictwa, kraje puste w ludne i bogate zamienić, stali się autorami. Najdawniejsze ich dwa monastery: kassyński w Hiszpanii i kluniaceński w Francji, są głowami monasterów naszych benedyktyńskich polskich, których w Polszcze i w Litwie rachuje się dziewięć. Z Kassynu najpierwej sprowadzeni benedyktyni do Tyńca pod Krakowem, rozszerzyli się z czasem po nowo przybywających fundacjach: w Sieciechowie, na Łysej Górze (inaczej u Św. Krzyża zwanej), w Płocku, w Mogilnie za Gnieznem, w Nieświeżu, w Horodyszczu i Trokach w Litwie. Te osim monasterów składały najprzód prowincją (którą benedyktyni swoim terminem zowią kongregacją) benedyktyńską polską.

Każdy monastyr ma swego opata, który dogląda tylko, aby się w klasztorze, czyli monasterze, działo wszystko podług świętej reguły, ale w szczególne rządy i interesa zakonne nie wchodzi. Przeor i dyskreci, pod prezydencją opata obierani co trzy lata, wszystkim zawiadują. Opat w klasztorze nie mięszka i nic wspólnego z mnichami w rzeczach doczesnych nie ma. Ma swoje osobne dobra, z których się utrzymuje. Gdy jednak dla jakiej sprawy duchownej chce się zabawić w klasztorze, natenczas dają mu mnisi stancją i wszelką wygodę,

oprócz wina, w które powinien się przysposobić, aby się i sam miał czym posilić, i mnichów starszych za okazaną sobie ludzkość poczęstować. Opat każdy jest dożywotni, wyjąwszy opata nieświskiego, który podług woli fundatorskiej bywa obierany co pięć lat. Nie ma dóbr ani stołu osobnego, tylko razem z mnichami, z przydatkiem na jego drobne potrzeby pięciuset złotych na rok, inne, większe, monaster mu opatruje. Przeorowie i wszyscy inni oficjalistowie zakonni są tylko trzechletni, lubo jeżeli się dobrze sprawują, mogą być na drugie i trzecie trzy lata od zgromadzenia potwierdzeni. Stopniów wyzwolonych od rządu pospolitego między sobą nie znają żadnych. Skończywszy na przykład przeorostwo albo lektorstwo szkolne czyli inny jaki urząd, nic więcej nie znaczy benedyktyn, tylko prostego mnicha, takiego jak i ten, który jeszcze żadnej funkcji nie piastował. Wygoda i powinność wszystkim równa. Starszeństwa zysk ten jest jedyny, iż przeorowi doradzać w jakich sprawach większej wagi i oprzeć się jego zdaniu – oni sami moc mają. Ale w elekcjach na urzędy kreski idą tak od starszych, jak od najmłodszych, i większość kresek przeważa. Stąd rząd benedyktyński można nazwać rządem republikanckim.

Oprócz klasztorów albo monasterów formalnych, w których się rachuje po 40 i po 50 mnicha, trzymają także beneficja curata4, przy których mięszkają po jednemu, po dwóch i po kilku przy dostatniejszych. Na takie beneficja wysyłają zasłużonych i nie odmieniają ich co trzy lata, ale pospolicie w podeszłą starość zbierają ich do klasztoru, a innymi miejsca wakujące osadzają. Kiedy zaś nie umie się który rządzić na beneficjum albo się źle sprawuje, takiego czasem i w pierwszym roku rewokują. Prowizor u nich jest urząd najlepszy, znaczy ekonoma generalnego nad dobrami klasztornymi, które wszędzie mają znaczne. Prowizor mięszka na wsi, rządzi się polubownie z niejaką informującą bardziej niż radzącą się referencją do przeora. Ma naznaczoną dla siebie pensją i niektóre pozwolone pożytki, z których opatruje się w grosze na przyszłe mięszkanie klasztorne wygodne. Wolno albowiem benedyktynom mieć własne grosze za dozwoleniem przełożonego. Corocznie klasztorowi oddaje rachunki włodarstwa swego i kiedy się dobrze rządzi, a przy tym umie sobie ujmować mnichów, długo trwa na urzędzie, inaczej prędko z niego spada, gdy albo w rzeczy gospodarskiej nie wersal, albo też, co prędzej rujnuje, przyjaciół nie ma.

Mają benedyktyni przy monasterach swoje studia, ale nie wszystkich do nauk górniejszych aplikują, wyjąwszy teologią moralną, której przed dostąpieniem kapłaństwa wszyscy się uczyć muszą; do spekula-

tywy i filozofii nie przymuszają nie mających ochoty. Strój benedyktynów jest trojaki: w klasztorze, w celach i do refektarza, jako też i za klasztor niedaleko chodzą w spodnim habicie, który jest: suknia czarna, w zimie sukienna, w lecie kamlotowa, do ziemi długa, fałdzista, na przodku od nóg do pasa zaszyta, z rękawami opiętymi, z kołnierzykiem wąskim, białym płótnem obszytym. Pas czarny, roboty pasamońskiej, włóczkowy, na sukni szkaplerz długi, przez głowę zawdziewany, z przodu i z tyłu wiszący. Głowa ogolona, z wąską jak sznurek koroną. Na nogach trzewiki albo boty. Na habicie kaptur maty, spiczasty, na kształt muceta. Pod kapturem na głowie czapka wykrawanka z futrem albo bez futra, według pory czasu. Idąc do chóru lub na procesją, kładą na siebie wielkie kapy czarne, rasowe, niezmiernie fałdziste, niemal nad wzrost dłuższe, z kapturem wielkim, z kapą zszytym, i rękawami wielce szerokimi, aż do ziemi wiszącymi. Kiedy są w drodze, używają na wierszch habita palendronów takich jak świeccy księża i czapek okrągłych z szerokimi czarnymi lub siwymi barankami.

Nabożeństwo w ich kościołach jest każdemu stanowi i płci otwarte, miewają kazania, procesje i bractwa, najwięcej szkaplerzne albo różańcowe. Chór śpiewają bardzo wyniosłym głosem, tonem łamanym, z niejaką jednak odmianą klawiszów, czyli nut chórowych, na płaczliwy pochodzącą. W każdym niemal monasterze mają kapelę, która w dni uroczyste gra msze śpiewane, oprócz wielkiego postu, w który sami tonem chórowym mszą śpiewają. Od Trzech Króli aż do wielkiego postu miewają co wtorek i co czwartek kolędy w refektarzu; jest to schadzka dla różnej zabawy zakonników, przy której kapela im przygrywa. Adwent poszczą na rybach, ale tylko sam adwent od pierwszej niedzieli adwentowej, nie od Wszystkich Świętych, jak ten post zaczynają zakonnicy reguły św. Franciszka. Te osim monasterów wyżej wyrażone formowały kongregacją, czyli prowincją, długi czas pod rządem jednego prezydenta, z między opatów na tę godność znaczącą prowincjała obranego. Dziewiąty monaster, lubieński, w Wielkiej Polszcze, mil trzy od Leszna, zaszczepiony od mnichów sprowadzonych z Klunjaku, nie należał do prowincji, rządził się sam sobą, pod swoimi opatami. Ma też tę osobliwość od innych benedyktynów różną, że wśród klasztoru nie używa kaptura i czapki nosi bobrowe, wysokie, takie jakich używają jezuici. W innych wszystkich okolicznościach stroju i rządu stosują się z drugimi monasterami. W takim odszczepieniu albo niezłączeniu się z prowincją benedyktyni lubieńscy zostawali

aż do roku około 1750, około którego przyjęli jedność z prowincją, czyli kongregacją. Strój jednak swój dawny utrzymują.

Szkół swoich także długi czas nie mieli, posyłali zazwyczaj kleryków swoich do szkól jezuickich do Poznania. W takich szkołach wydoskonaliwszy się, Franciszek Starzeński, brat rodzony starosty brańskiego, stawnego sekretarza hetmana wielkiego koronnego Jana Klemensa Branickiego, uformował w swoim monasterze szkoły; lat kilkanaście pracując nad młodzieżą zakonną tyle dokazał, że potem nie tylko swoich profesorów miał ten monaster, ale też i do innych po przyjęciu unii z kongregacją onych udzielał. Za co monaster, odmierzając się mu wdzięcznością, długi czas po Rozdrażewskim, opacie swoim zmarłym, rządząc się przeorami, jego opatem obrał. Lecz ten mąż wypracowany i pobożny na lat kilka przed śmiercią wpadł w jakieś pomięszanie rozumu, które go do niczego niezdatnym uczyniło. Cierpiał go atoli monaster w tej słabości do samej śmierci, przydawszy mu kuratorów do pilnowania jego zdrowia i rządu dóbr.

Kapitułę generalną obyczajem innych zakonów składają co trzy lata za koleją monasterów podług ich dawności. Na kapitułę taką zjeżdżają opaci, przeorowie i po dwóch z każdego monasteru wokalisów, którzy reprezentują swój monastyr i od niego zlecone interesa traktują. Dlatego zaś przeor i dwóch wokalisów musi się znajdować na kapitule z każdego monasteru, iż monaster bez przeora, a przeor bez monasteru żadnych interesów promowować nie może. Na kapitule z opatów obierają jednego prezydentem do wizytowania monasterów i z przeorów obierają dwóch wizytatorami do wizytowania plebaniów i probostwów. Co też gdzie potrzebuje poprawy albo nowej jakiej instytucji, na kapitule odbywane bywa. Co się zaś tycze urzędów szczególnych monasterskich, jako to przeorstw, lektorstw i prowizorstw, tych kapituła nie obiera, ale każdy monaster z osobna w swoich czasach, jako się wyżej napisało.

O cystersach

Cystersi prowadzą swój początek od świętego Bernarda, opata klarewalleńskiego, nie tylko świątobliwością życia, wysoką nauką, ale też i opowiadaniem krucjaty sławnego, który będąc zakonnikiem świętego Benedykta, regułę jego zreformował. Krój habitu cysterskiego nie różni się od benedyktyńskiego, ale się różni innymi okolicznościami; naj-

przód, że mają dwa kolory, habit biały, kaptur, szkaplerz i pas czarny. Szkaplerz przypasują pasem. Zimą i latem noszą habity z lekkiej materii kamlotowej, szkotowej albo kromrasowej, pod które podkładają w zimie kaftany futrem podszyte, w lecie lekkie. Do chóru biorą togi białe wielkie, szerokie, fałdziste, z rękawami wielkimi i kapturem, kołnierzyków używają malowanych błękitno jak świeccy księża, sprzączek do trzewików srebrnych. W drodze noszą palendrony czarne, do świeckich sutannów podobne. Głowy golą jak benedyktyni, wąską dokoła zostawując opaskę, ale rzadko się goląc, a przeto włosom długo wyrastać pozwalając, często mają tak zarosłe głowy, że się od głów świeckich księży nie różnią. Czapki w klasztorze noszą wykrawanki, latem gładkie, zimową porą lisim futrem lub barankami podszyte, z opuszką takąż jak podszewka. Za klasztorem noszą czapki okrągłe z szerokim baranem czarnym lub siwym albo w cieplejszą porę kapelusze. Bielizny używają dosyć cienkiej, około rąk spod rękawów wydatnej, i we wszystkim stroju znaczne zachowują ochędóstwo. Nowicjuszowie u nich mają habity sukienne białe, ze wszystkim do kamedulskich podobne. Po skończonym pierwszym roku nowicjatu i uczynionej profesji, biorą inny habit, wyżej opisany, ale jeszcze drugi rok muszą odbywać pod dozorem magistra nowicjuszów, dla doskonalszego nawyknienia cnót zakonnych: pokory i posłuszeństwa. Potem dopiero idą na studia i do innych promowują się urzędów, jako też stopniów kapłaństwa.

Rząd u cystersów jest monarchiczny. Opat włada absolutnie wszystkimi urzędami zakonnymi, które podług swojej woli rozdaje albo z nich składa. Do dóbr tylko klasztornych nie wdaje się, mając dobra swoje, od klasztornych oddzielne; wszakże gdy mu czego zabraknie, pożycza czasem od klasztoru na wieczne nieoddanie. Przeor jest tylko wykonywaczem woli i rozkazów opata, bez którego rady i zezwolenia nic nie czyni. Podprzeorzy zatrudnia się tylko samym chórem, prowizor ekonomią dóbr, ale na wsi nie mięszka jak benedyktyński, tylko w klasztorze. Jeżeli objeżdża pobliższe wsie klasztorne, na noc powinien powrócić do klasztoru. Gdzie zaś odległość miejsca jednym dniem powrotu do klasztoru nie pozwala, tam na wsi może nocować, a czasem podług potrzeby i dłużej nad dzień zabawić, lecz w takiej potrzebie kilkodniowej pospolicie znajduje się z nim przeor lub inny drugi zakonnik, do pomocy prędszego odbycia interesu przydany. Lektorowie pilnują szkoły – i to jest cała suma rządu cysterskiego i ich starszyzny. Mają także cystersi probostwa i plebanie parochialne, które

opat rozdaje subiektom podług swojej woli, a tak wszelka promocja dependuje od woli opata. Dla czego u cystersów nie masz żadnych konsultacyj ani konsultorów; jeden tylko przypadek śmierci opata daje im prawo wolnej elekcji innego. Po obraniu którego natychmiast przestają być wolnymi, a stają się niewolnikami świętego posłuszeństwa, które nowo obranemu opatowi poprzysięgają.

Ten, który sprawuje najwyższą władzą całej prowincji, nazywa się u cystersów komisarzem i sześć lat ciągłych tę funkcją sprawuje. Generał zakonu, mięszkający w Francji, dawał cystersom polskim komisarzy wolą samowładną, nie stosując się bynajmniej do instancji prowincji za osobą żądaną, od zasług i talentów akceptacją zyskującą, gdy druga osoba – lubo mniejsza w zasługach – rekomendacje za sobą od magnatów albo od dworu przynosiła. I ten zwyczaj nadawania komisarza trwał aż do początków panowania Augusta III, pod którym cystersi polscy, wziąwszy się za ręce, wyrobili sobie w Rzymie brewe, mocą którego już potem generał nie mógł im nadawać komisarzów podług woli swojej, ale musiał potwierdzać tego, którego prowincja na kapitule generalnej większością wotów sobie obrała. Wszakże po takiej konstytucji – za rzymskim brewe między generałem zakonu a prowincją polską zapadłej – wydarzył się przypadek jeden, iż ta konstytucja nadwerężoną została:

Konstantyn Iłowiecki, opat lądzki, obrany był na generalnej kapitule komisarzem większością wotów. Rogaliński, podówczas opat wistycki, człowiek rozumu głębokiego i edukacji wysokiej, ale w powołaniu młodszy, miał także po sobie kilka wotów, przy których chcąc się koniecznie utrzymać komisarzem, wbrew elekcji Iłowieckiego pobiegł z nimi do Francji, do generała, od którego za wielkimi instancjami różnych panów polskich duchownych i świeckich otrzymał konfirmacją swojej elekcji z odrzuceniem Iłowieckiego.

Oprócz niektórych opatów, krwią z Rogalińskim złączonych, cała prowincja trzymała stronę Iłowieckiego; a tak między tymi dwiema opatami urósł w Rzymie wielki proces, w który wszyscy opatowie i klasztory, temu lub owemu posłuszne albo nieposłuszne, wplątane zostały. A że ten proces ciągnął się daleko dłużej niż funkcja komisarska sześcioletnia, więc nareszcie strony już nie o funkcją komisarską, z czasem uniesioną, ale o zgwałcenie konstytucji między sobą walczące, za wdaniem się dworu i obu stron przyjaciół i familii zostały pogodzone. Rogaliński został przywrócony do opactwa i promocji dalszej, od czego obojga odpadł był sądem komisji rzymskiej, lubo na powrót do

wyższej instancji Stolicy Świętej powołanej, i po skończonej kłótni został na lepsze opactwo bledzewskie przeniesiony. Iłowiecki zaś miał tę satysfakcją, że nie widział komisarzem Rogalińskiego, a sam piastował tę dostojność po kilka razy i na niej umarł.

O panieńskich klasztorach

Po klasztorach męskich należałoby pisać o zakonach białej płci, których niemało znajduje się w Polszcze i Litwie, jako to: dominikanki, bernardynki, franciszkanki, karmelitki, sakramentki, wizytki, norbertanki, benedyktynki, cysterski. Ale że nieświadom jestem ich obyczajów i ustaw zakonnych, przeto nic o nich pisać nie mogę, chyba to jedno, że niektóre klasztory panieńskie, sprzykrzywszy sobie opiekę swoich prowincjałów, udały się pod protekcją biskupów diecezalnych i pod ich zwierszchnością zostają, i że ksieni ołobocka, z domu Koźmińska, przyjąwszy partią Rogalińskiego, nie chciała uznawać komisarzem Iłowieckiego.

A gdy razu jednego ten opat chciał przez moc jej klasztor odwizytować, z dobraną pomocą kilkunastu osób świeckich, panna ksieni, mając na ten koniec w pobliskich mięszkaniach klasztoru zasadzoną szlachtę, podstarościch i chłopów z dóbr, wygnała go z całą jego kalwakatą z dziedzińca klasztornego, do którego wjechał był naglej i prędzej, nim się go spodziewano. O co zabrnąwszy z Iłowieckim w proces wielki do nuncjatury i Rzymu, tak się mocno broniła, że do samej śmierci tej panny nie mógł jej przezwyciężyć; i odtąd żadnego księdza cystersa ani kapelanem, ani spowiednikiem klasztornym nie cierpiała, zasięgając takowych posługaczów duchownych z różnych innych klasztorów za reskryptami rzymskimi.

Była to panna garbatego ciała, ale umysłu wysokiego, z którą każdy, kto miał interes, musiał dobrze zapocić czoła, nim doszedł końca: tak była mocna i obrotna. W tym godna pochwały, że wiele panien szlacheckich przystojnie edukowała swoim kosztem i niczego nie żałowała, cokolwiek jej przyjaciół robić mogło, których też miała wszędzie po dostatku.

O zakonnikach ritus graeci

W obrządku greckim nie widziemy w całym świecie, tylko jeden zakon świętego Bazylego, który dawnością swoją bierze pierwszeństwo wszystkim zakonom obrządku łacińskiego, wyjąwszy karmelitów-antykwistów, którzy pochodzenie swoje, pod artykuł wiary jednak nie podpadające, wywodzą od św. Eliasza.

Bazylianie są w Polszcze dwojacy: jedni są z Kościołem Rzymskim złączeni i tych zowiemy unitami; drudzy są od tegoż Kościoła Rzymskiego z dawna odszczepieni i zowiemy ich schizmatykami.

Unitów na Rusi i w Litwie jest bardzo wiele klasztorów, a w Warszawie jedna tylko rezydencja z trzech albo czterech zakonników złożona przy kapliczce małej na Podwalu, w pałacu metropolity ruskiego, dla wygody przychodniów i mieszkańców warszawskich obrządku ruskiego uformowanej.

Schizmatyckich klasztorów znajduje się także w tychże prowincjach niemało i w Warszawie na Lesznie mają także kapliczkę małą.

Strój bazyliański, unitom i dyzunitom jednakowy, do jezuickiego dużo podobny, oprócz kaptura, którego nie nosili jezuici, a bazylianie noszą. Kolor habitu czarny, materia: sukno i kamlot podług czasu pory. Po klasztorach chodzą tylko w sukni jednej, która jest długa, fałdzista, z kołnierzem wysokim, z rękawami wąskimi, około pięści opiętymi. Pas czarny, roboty pasamońskiej. Gdy idą do chóru albo na ambonę, albo wychodzą za fortę, biorą na wierszch sukni płaszcz szeroki i mały kaptur wiszący na plecach, z dwiema końcami na piersi spadającymi, w szerokości i podobieństwie stuły na pół łokcia długiej. I taki strój jest publicznej formy, którego za klasztorem używają, gdy się pokazują parami. Gdy zaś idą pojedynczo, jak to superiorowie i prokuratorowie, natenczas używają zwierszchnich sukien z rękawami przestronnymi. Czapki noszą w zimie wykrawanki futrem lisim podszyte, w lecie kapelusze. Głowy strzygą na modę świeckich księży, to jest krótko przystrzygając włosy na całej głowie, a z tyłu cokolwiek dłuższe zostawując. Na wierszchu głowy golą także korony małe, jak świeccy księża. Z początku panowania Augusta III wszyscy bazylianie nosili zapuszczane brody, nawet i biskupi, którzy ordynaryjnie bywają z ich zakonu. Od średnich lat panowania tegoż króla biskupi ruscy poczęli golić brody, a ku końcu jego panowania wszyscy, tak bazylianie, jak i biskupi, brody ogolili i tym tylko w powierszchownej postaci różnią się od schizmatyków, że ci, tak biskupi, jak zakonnicy i popi, to jest świeccy księża, noszą brody. Duchowieństwo zaś świeckie obrządku

noszą brody. Duchowieństwo zaś świeckie obrządku ruskiego unickiego jedni noszą brody, drudzy je golą, tak jako i jedni mają żony, drudzy nie mają.

Zakonnicy bazylianie-unici w formalnych konwentach zawsze jadają tylko z masłem i rybami, a w posty, których mają cztery do roku: piotrowkę, filipowkę, spasowkę i wielki post, poszczą na oleju i rybach. W drodze i w rezydencjach nie czyniących formalnego klasztoru w czasy od postu wolne jadają z mięsem.

Bazylianie schizmatyccy w tym przechodzą unitów, że nigdy mięsa nie jedzą, a w wielki post nawet ani ryb, karmiąc się tylko samymi legominami i jarzynami, dwa dni jednak w tymże poście wielkim mają pozwolone ryb jedzenie. Który to post tak ścisły zachowują nawet świeccy ludzie schizmatycy, między którymi znajdują się drudzy tak twardo poszczący, osobliwie Moskale, że tylko w niedzielę jedzą potrawy gotowane, a przez cały tydzień posilają się tylko szklenicą wody ciepłej z kaszą jaglaną na mąkę roztartą roztworzonej.

Są także w obrządku greckim unitów i dyzunitów albo schizmatyków zakonnice bazylianki, jednakową obyczajność z zakonami męskimi zachowujące. Pod panowaniem Augusta III bywały w Warszawie kobiety ruskie, czarnego koloru w nakryciach głów i sukniach zażywające, od którego koloru nazywano je czernicami; te były na kształt naszych tercjarek, wizytek albo dominikanek, które mięszkają w kupie, ale nie są za klauzurą, żyją z pracy rąk i chodzą w odzieniu zakonniczym. Czernice ruskie pospolicie przedawały po Warszawie nici białe.

Duchowieństwo świeckie obrządku łacińskiego

To się dzieli na: plebanów i proboszczów curam animarum trzymających, do których rzędu należeć powinni wikariuszowie i komendarze subalterni, jeden urząd z pierwszymi sprawujący; na kanoników katedralnych i kolegiackich, tudzież na wikariuszów, mansjonarzów, penitencjarzów, altarystów, psalterystów, tymże katedrom i kolegiatom służących i jedno zgromadzenie, czyli kapitułę formujących, z dystynkcją dla kanoników piszących się capitulum maius, dla wikariuszów piszących się capitulum minus z dodatkiem vicariorum albo penitentiariorum, albo mansionariorum, ponieważ każdy z tych gatunków osobną między sobą składa kapitułę; na prebendarzów, którzy są dwojacy: jedni, którzy mają osobne kościoły z funduszem bez starania o duszach, drudzy, którzy mają osobne fundusze, ale kościół z innymi wspólny, na przykład katedralny albo kolegiacki, i są w nim kanonikami, obligowanymi będąc oprócz wspólnych z innymi kanonikami powinności do odprawiania pewnej liczby na rok mszy świętych za duszę fundatorów, z których łaski szczególne wioski do swoich kanonii przywiązane posiadają, a że mają wyższe tytuły kanoniów, prelatur, a czasem i biskupstw, przeto w potocznych pismach nie piszą się prebendarzami, chyba w ekspedycjach rzymskich albo prawnych transakcjach prebendy tyczących się: natenczas piszą się „canonicus fundi N. prebendarius". Na koniec na biskupów, która godność w hierarchii kościelnej jest najwyższa, bo gdy inni wszyscy księża, zakonnicy i świeccy, w swoim powołaniu dążą do doskonałości, biskupi stawają w stanie doskonałym; dlatego ani arcybiskup, ani patriarcha, ani kardynał, ani sam papież nie jest w wyższym stanie od biskupiego, ale tylko w wyższej godności, tak na przykład jak prowincjał między zakonnikami albo generał lub hetman między żołnierzami. Prowincjał przy swojej godności prowincjalskiej co do stanu jest zakonnikiem; hetman przy swojej godności hetmańskiej co do stanu jest żołnierzem. Dlatego papież pisze się najwyższym biskupem i gdy pisze do innego biskupa, daje mu tytuł „kochanego brata": dilecto fratri; a pisząc do innych księży, a nawet do króla albo cesarza, daje mu tytuł „syna": dilecto vel charissimo filio.

Idąc tedy po stopniach duchowieństwa świeckiego obrządku łacińskiego, wystawię Czytelnikowi memu sarnę tylko powierszchowność każdego gatunku duchownych, nie plątając pióra mego w sprawy prywatne, które jako między ludźmi – acz święconymi – nie zawsze były święte.

Proboszczowie, plebani i inni tego rzędu księża chodzili zawsze w sukniach czarnych długich, pospolicie księskimi rewerendami zwanych, tak około domu, jako też i w podróżach, na taką modę krajanych, jaka w którym czasie panowała; w niemieckiej sukni, oprócz krótkości, której księża rewerenda nie naśladowała, i oprócz guzików, które u niemieckich sukien bywały duże, rozmaite, jedwabne, tombakowe, srebrne lub złote, u księskiej zaś sukni spodniej były guziczki czarne jedwabne lub kamelarowe, drobne, roboty szmuklerskiej. Wierszchnia suknia była bez guzików, tylko z jednym dużym pod szyją, a u niektórych z dwiema na brzuchu. Obuwiem nóg były trzewiki z sprzączkami lub rzemykami, pończochy albo też boty. Na głowie zimą kołpak kuni albo rosumakowy, albo też – u majętniejszych – soboli. Głowy nosili rozmaicie: jedni strzygli włosy krótko, zostawując w tyle cokolwiek dłuższe, drudzy dłuższe włosy zaczesywali w tył taką modą, jakiej zażywają owczarze wielkopolscy i niemieccy gburowie, a po miastach także niektórzy rzemieślnicy. Koronę golili na wierszchu głowy tak wielką jak taler bity i nigdy bez takiego piesza, czyli korony, nie chodzili.

Materie sukni były podług majątku rozmaite: sukno, kamlot, grodetur, atłas, knaj, aksamit. Którzy nie mogli wystarczyć na całą suknią aksamitną, to pospolicie do sukiennej dawali mankiety u rękawów i kołnierz, a czasem i lisztwy do przodku aksamitne. Podszywali także rewerendy futrami rozmaitymi, popielicami, lisami, żbikami, rysiami, a majętniejsi proboszczowie i kanonicy katedralni lub wyżsi prałaci oprócz futer wyżej wyrażonych zażywali kun, krzyżaków, marmurków i soboli. Na tęgie mrozy opatrywali się w wilczury albo też płaszcze sukienne lub kamlotowe, niemieckim krojem uszyte, które bywały koloru popielatego albo granatowego, z guzikami u majętniejszych srebrnymi lub złotymi, roboty szmuklerskiej. Od plusków i słoty zażywali takichże kolorów płaszczów niemieckich albo też opończów polskich.

Podróże odbywali kolaskami w parę lub cztery, wózkami w parę koni zaprzężonymi albo też konno, jak któremu możność i sposobność pozwalały. Na kongregacje podobnymiż zjeżdżali się ekwipażami; po odbyciu duchownych interesów biesiadowali swobodnie, czasem do drugiego i trzeciego dnia, jeżeli ksiądz gospodarz kongregacji był fanty i ludzki, a czasem też kolator majętny wyręczał w tej ludzkości swego księdza plebana. Bardzo była rzadka rzecz, oznaczająca ostatnie ubóstwo lub skępstwo księdza, od którego się z kongregacji tego samego dnia, którego ta przypadała, wszyscy rozjechali.

Takowe raczenie się, że było w zwyczaju powszechnym całego kraju u wszystkich stanów, na wszystkich zgromadzeniach, na wszystkich zjazdach, na wszystkich odpustach, na wszystkich weselach, na wszystkich postrzyżynach, na wszystkich chrzcinach, na wszystkich pogrzebach, przeto też i kongregacjom duchownym nie było od zwierszchności duchownej za występek poczytane.

Kanonicy kolegiaccy w sukni duchownej nie różnili się niczym od proboszczów i plebanów ani w ekwipażu; niektóre kolegiaty nie używały nawet ani mantoletów, ani rokiet, jakowych do czasów ostatnich panowania Augusta III było bardzo wiele, dopiero na samym końcu panowania tego monarchy wiele kolegiat postarało się w Rzymie o używanie rokiet i mantoletów, jednak nie wszystkie. Kanonicy poznańscy kolegiaty Marii Magdaleny zostali się przy swoim dawnym stroju, którego używają w chórze i w procesjach; a ten jest: na wierszchu rokiety płaszczyk krótki, okrywający plecy, ramiona i piersi, białym futrem cętkowanym albo gronostajami wyłożony, od którego futra nazywa ich pospólstwo „kożuszkami". Wyobrażenie tych mantoletów, czyli płaszczyków, najdoskonalej wystawują po dziś dzień malarze i snycerze na statuach i obrazach świętego Jana Nepomucena, gdyż dawniejszymi laty takich kożuszków, czyli mantoletów, wszyscy kanonicy katedralni w całym świecie chrześcijańskim używali. U nas w Polszcze dopiero za Augusta II dała się widzieć na kanonikach katedralnych reforma kap (o których będzie zaraz) miasto kożuszków.

Kanonicy katedralni tak w stroju kościelnym, jako i w domowym lub podróżnym różnili się od księży niższej rangi, dopiero opisanych. Kanonicy wszystkich katedr już za czasów Augusta III zyskali distinctoria: jest to orderek mały, wiszący z szyi na piersiach, na rokiecie, a gdy się bez tej znajduje kanonik za kościołem, na spodniej sukni. Ten orderek, czyli gwiazda, pospolicie z tombaku żółtego, a u majętniejszych z złota zrobiony, szmelcem różnego koloru powleczony, wyraża na jednej stronie orla białego, herb krajowy, na drugiej – patrona katedralnego kościoła. Gdy te ordery nastały, zrazu noszono je na wstążkach czerwonych, błękitnych, fioletowych lub innych kolorów, według ustanowienia każdej kapituły. Takie distinctoria na wstążkach dawane bywają nowym kanonikom z kapitularza, którzy własnych nie mają, z obowiązkiem powrócenia ich, po śmierci lub wyńściu z katedry, do kapitularza. Lecz że wstążki często się darły i płowiały, a takimi będące nie bardzo się lśniły, więc powoli kanonicy, przejmując modę od opatów klasztornych i biskupów, na łańcuchach złotych lub suto pozła-

canych krzyże swoje noszących, oni także distinctoria pozdejmowali z wstążek, a zawiesili na łańcuchach.

Że distinctoria jednały powagę i poszanowanie większe dla zaszczyconych nimi, przeto wielu księży starali się o kanonie przynajmniej tytularne, gdy do aktualnych domieścić się nie mogli, aby tylko piersi swoje łańcuchem i orderem przyozdobić mogli. W innych katedrach, mających egzystencją prawdziwą i komplet aktualny prałatów i kanoników, trudno było chwytać kanonie tytularne, bo lubo tych szafunek należał i należy samowładnie do biskupów, jednakowoż dla utrzymania powagi aktualnych kanoników rzadko dawali kanonie tytularne, więc chciwi dystynkcji księża udawali się po ordery najwięcej do biskupa inflantskiego, którego katedra in abstracto, a kapituła in infinito, bo w każdej diecezji można znaleźć po kilku i kilkunastu kanoników inflantskich, a zatem liczba ich nieskończona. Wszyscy kanonicy inflantscy mogą być brani za aktualnych, bo każdy ma patent od biskupa, i wszyscy za tytularnych, ponieważnie mając katedry – żaden się nie instaluje. Z tym wszystkim ma biskup inflantski kanoników, którym daje instytucją, a ci – mając się za aktualnych – podają się do kalendarzyka politycznego i formują kapitułę. Jest także niemało po województwach małopolskich kanoników tytularnych smoleńskich i kijowskich, którzy żyjąc w dalekich stronach od tych katedr, których się kanonikami tytułują, bynajmniej kanonikom aktualnym nie zawadzają.

Strój kanoników katedralnych kościelny: najprzód suknia ordynaryjna jak i innych księży świeckich, długa, z różnicą, iż na suknią spodnią przed piersi zawdziewają półrokiecie i order na łańcuchu lub na wstąszcze, bez których przydatków nigdy do swego kościoła katedralnego nie przychodzą; drugi strój: cymara albo camara, suknia długa, obszerna jak kapa, z kołnierzem szerokim, z rękawami podwójnymi, z jednymi okrywającymi rękę aż do pięści, z drugimi od łokcia do ziemi wiszącymi, po kilka rzędów guziczków małych w pewnej między sobą odległości mającymi, jednostajnie od wierszchu aż do dołu szerokimi. Kiedy kanonicy kładą na siebie cymarę, wtenczas nie biorą półrokiecia, ponieważ cymara zapina się od szyi aż do dołu na guziki, a tak zasłania spodnią suknią, a zatem zasłaniałaby i rokietę czyli półrokiecie; kładą tylko na wierszch cymary distinctorium dla różnicy od innych księży, nie-kanoników, którym wolno także używać cymary.

Trzeci strój: mantolet i rokieta z rękawami, z spodnią suknią długą z tyłu, po ziemi się nieco wlokącą, na którą kładli pas jedwabny czarny, szeroki, z złotymi kutasami na boku przy końcach od pasa wiszącymi

albo też z zielonymi jedwabnymi, złotymi pukielkami i kutasikami przerabiany. Czwarty, najparadniejszy, w same tylko wielkie święta i w procesjach publicznych używany: na spodniej sukni czarnej kapa fioletowa kamlotowa lub bławatna, z kapturkiem z tyłu małym, z wyłogami czerwonymi kitajkowymi, ramiona i piersi okrywającymi, od wpół pleców aż do dołu wstążkami czerwonymi w kilku miejscach w pukle powiązana, formę ogona wydająca tak długiego, że środek wisi nad kostką nogi, chociaż koniec na rękę lewą według zwyczaju zawdziewają. Na głowę, gdy idą do kościoła w ordynaryjnych sukniach albo w cymarze, latem używają kapeluszów, zimą kołpaków kunich lub sobolich; biorąc zaś mantolety lub kapy, kładą na głowę wtenczas, gdy ta może być nakryta, birety. Głowy noszą pod włosami naturalnymi, w tył zaczesanymi, z małą w środku koroną.

Ku końcu panowania Augusta III poczęli włosy z tyłu fryzować, z przodu tupety, czyli czuprynki stojące na kształt grzebieniów, stawiać, czego jednak nie chwytali się kanonicy starzy, tylko młodzi gaszkowie albo też prałaci wielcy, na urzędach publicznych zostający lub nadskakujący dworowi dla promocji. Starzy kanonicy, łysi, dla uniknienia zimna wnieśli używanie peruk, najprzód koloru do włosów naturalnych, jakimi którego natura opatrzyła, stosowanych, a potem pudrowanych. Puder, pierworodnie od komediantów wymyślony dla śmieszniejszej figury, moim zdaniem najpierwsi przejęli szafrańcy, to jest ludzie żółtego włosa, pokrywając tym prochem kolor, pospolicie i podług reguł fizjognomii, człowieka-franta, chytrego i zdradliwego oznaczający, acz nie brakuje takiego gatunku ludzi i pod innymi kolorami, i zdarzają się między szafrańcami, acz rzadko, podczciwi.

Mankietki u koszul około rąk weszły w modę duchowną tym porządkiem jak fryzury i peruki. Toż samo miejsce dać należy kołnierzykom błękitno malowanym, które w czasach Augusta III nastąpiły na miejsce białych. Te kołnierzyki błękitne bywały dwojakie: jedne, u chudszych albo skąpszych księży, kitajkowe, drugie batystowe, lazurem i indychtem ciemno lub jasno podług czyjego gustu malowane; był to chleb dobry dla ubogich panien i niewiast, które się praniem bielizny i szyciem bawiły, ponieważ za tuzin takich kołnierzyków nowych płaciło się od zł 18 do 24, a od uprania i ufarbowania od zł 4 do 8, podług wyborniejszej roboty i podług czasu, z początku skąpego, a potem obfitującego w takie fabrykantki; za nową rokietę, im modniej utrefioną, to jest pomarszczoną, tym więcej się płaciło – po 6 i po 8 czerwonych złotych; od uprania starej i utrefienia zwyczajnie czerwony ~~złoty jeden. Do półrokieciów i rokiet przydawali kanonicy ku większej~~

Do półrokieciów i rokiet przydawali kanonicy ku większej ozdobie wstęgę szeroką czerwoną, błękitną lub fioletową, lub zieloną, pod szyją w pukiel związaną, do rokiety we dwoje przyszytą, z długimi końcami, do pępka sięgającymi, do których końców paniczowie i bogatsi prałaci przydawali kutasy złote, a takie rokiety bywały rąbkowe; którzy zaś nie dbali o okazałość stroju, używali półrokieciów i rokiet płóciennych bez trefienia i kutasów, z lada jakąkolwiek wstążczyną, czasem z koronką u dołu, czasem bez koronki. Niektórzy zaś, ozdobę duchowną pokładający w samej skromności, nie zażywali nawet ani wstążek.

Jeszcze był jeden strój, od samych tylko kanoników katedralnych, prałatów i biskupów używany, a ten był: czarna suknia niemiecka krótka, z płaszczykiem kitajkowym takiegoż koloru, wiszącym z tyłu, trochę od sukni dłuższym. Biskup zaś pokazujący się w takim stroju miał płaszczyk fioletowy; zwał się taki strój an labbe. Takiego stroju zażywali na publicznych kompaniach, między świeckimi znajdując się osobami; brali go i do kościoła, ale tylko wtenczas, kiedy w nim znajdować się chcieli jako prywatnie modlący, nie jaką funkcją, czyli powinność właściwą swojemu stanowi, odbywali. Od sukni czarnej krótkiej posunęli się do sukien niemieckich rozmaitego koloru, jakich używali w domach, podróżach i prywatnych kompaniach, z początku bardzo rzadko, potem coraz więcej.

Strojem domowym i podróżnym niemieckim, dopiero opisanym, długo się brzydzili starych zwyczajów czciciele, prześladowali nawet i przezywali rzeźnikami, szlifierzami, kupczykami przejmujących nowomodę, a moda – zwyczajem swoim – jak zaraza powietrzna coraz się bardziej szerzyła, tak iż na koniec i starych Seneków, i Katonów opanowała.

O opatach i biskupach łacińskich

Ponieważ sama tylko powierszchowność obyczajów jest mego pióra materią, przeto opatów od biskupów nie oddzielam, ale razem o tych dwóch gatunkach duchowieństwa piszę.

Póki opatom klasztornym Rzeczpospolita i August król nie odebrał znacznej części dóbr, które się za rzymskim brewe stały funduszem dla opatów świeckich, komendatariuszami nazywanych, póty opaci klasztorni w paradzie, ekwipażach i stołach nie ustępowali biskupom. Co-

kolwiek zatem pisać będę o okazałości biskupów, toż samo brać należy Czytelnikowi o klaustralnych opatach.

Biskupi łacińscy mieli z dawna i mają ten zaszczyt w Polszcze, że są oraz i senatorami, wyjąwszy biskupów in partibus albo zagranicznych, którzy równi są w charakterze biskupom senatorom, ale nie mają jurysdykcji, nie mając istotnych diecezji. Biskupi senatorowie chowali dwory znaczne, osobliwie bogatsi, jako to: arcybiskup gnieźnieński oraz i prymas, arcybiskup lwowski, biskup krakowski i biskup kujawski, a z litewskich biskup wileński. Inni biskupi, że mieli mniejszą intratę, mniejszą też prowadzili figurę.

A że te dwory biskupie i inne okazałości równały się dworom i okazałościom świeckich panów, przeto odkładam ich opisanie do miejsca, gdzie będę pisał w szczególności o dworach, tu zaś to tylko wystawuję Czytelnikowi, co właśnie należy do biskupów.

Biskupi nosili się długo w stroju stanowi swemu przyzwoitym tak na publicznych miejscach, jako też w domach swoich. Do senatu wchodzili zwyczajnie w rokietach i w mucetach; kolor sukni fioletowy i płaszcz czarny wszystkim, tak arcybiskupom, jak i biskupom, równy, wyjąwszy Lipskiego, biskupa krakowskiego, który że był kardynałem, używał purpurowego koloru. W lat kilka później, po śmierci biskupa krakowskiego dopiero wspomnionego i po śmierci Krzysztofa Szembeka, prymasa, Adam Komorowski, proboszcz katedralny krakowski, otrzymawszy tę godność prymacjalną za jakoweś szczególne zasługi od Augusta króla, wyrobił dla siebie i następców swoich, prymasów, używanie koloru purpurowego na miejsce fioletowego. Jakie te jego zasługi były, pewności nie mam, słyszałem tylko od starszych, w rzeczach politycznych wiadomość mających, że Komorowski podczas drugiej elekcji króla Stanisława i Augusta III, będąc kustoszem koron, przysłużył się temu drugiemu wydaniem z skarbcu krakowskiego korony, do koronacji króla starym zwyczajem potrzebowanej.

Biskupi tedy, jakom zaczął o nich, długi czas pod panowaniem Augusta nie zażywali niemieckiej sukni; wszędzie, tak w domu, jako też w podróży, habit nosili, biskupom właściwy. Wielu z nich do sukni stosowali obyczajność, dawną pobożność oddającą; sami częstokroć odprawiali ordynacje, czyli święcenia kapłańskie; katechizmy publiczne, kazania, egzorty przed bierzmowaniem częstą bywały ich zabawą; ofiarę ołtarza niemal co dzień w kaplicach swoich pałacowych, a w dnie uroczyste w publicznych kościołach odprawowali. Posty jedni na oleju, drudzy na maśle zachowywali. Jeżeli któremu zdrowie chore kazało w

dni postne używać mięsa, jedli go samotnie, nie dając innym, w takiej przygodzie nie będącym a do mięsa wilczy apetyt mającym, źle przystosowanego przykładu. Diecezje po większej części sami osobiście wizytowali, a niektórzy z nich, we wszystkich sprawach okazując dawną chrześcijańską pobożność, stoły nawet swoje, acz pańskie i gościowi otwarte, duchowną lekcją zaprawiali. Takimi zaś byli ci: Szembek, prymas, który prócz cnót dopiero wyliczonych miał jeszcze i tę, że wszędzie, gdzie się tylko obracał, gromadę ubóstwa hojnymi jałmużnami nęconą za sobą prowadził; a oprócz żebraków jawnych wielu potrzebnych sekretną jałmużną wspierał, srebrom nawet swoim, gdy podorędziu pieniędzy nie miał, nie przepuszczając; Wyżycki, arcybiskup lwowski", Zienkowicz, biskup wileński, Kobielski, biskup łucki, który z gorliwości o nawracanie niewiernych w żydowskich nawet bożnicach Ewangelią opowiadał; Sierakowski, biskup przemyślski, potem arcybiskup lwowski. Ten regularnie co dzień słuchał jednej mszy przed swoją, potem miał swoją, a po swojej znowu jednej mszy cudzej był słuchaczem; gdy mu w chorobie doktorowie zakazali maślnych potraw i olejnych, chcąc go tym sposobem przymusić do mięsa, kazał tylko dawać sobie potrawy samą solą przyprawione. Równym był naśladowcą pobożności swego poprzednika Kierski, po Sierakowskim biskup przemyślski, lubo nie tak ścisły w postach, jako też po Kobielskim na katedrę łucką wyniesiony Woilowicz.

Załuscy, dwaj bracia: jeden sufragan płocki, który nie mając dosyć na doskonałości biskupiej, został jezuitą, w którym zakonie świątobliwego dokończył życia, zapisawszy jezuitom wieś Kobyłkę pod Warszawą i w niej kosztowny wyfundowawszy kościół; drugi, biskup kijowski, mąż nie mniej świątobliwością, jako też nauką stawny, z pomocą brata swego, po Lipskim biskupa krakowskiego, fundator biblioteki warszawskiej, w kolegiacie warszawskiej proboszcz i w niej z okazji jakowej nadzwyczajnej uroczystości lub nabożeństwa opowiadacz słowa bożego częsty, ale że nadto długi, przeto słuchaczowi nudny. Do tych należy Hilzen, biskup żmudzki, nie tylko w swojej katedrze, ale też w różnych innych kościołach ambony zaszczycający. Można jeszcze do tego rzędu biskupów nabożnych przydać Grabowskiego, biskupa warmińskiego, który bardzo często nawet w powszednie dni uczęszczał do kościołów dla słuchania mszy świętej albo jej przez siebie samego odprawienia, z tym atoli grymasem, że kiedy w którym kościele trafił na śpiewanie różańca albo innego brackiego nabożeństwa, zaraz sam wolał na cały głos, aby przestano; i musieli umilknąć póty, póki on

swego nabożeństwa nie odprawił (piszę o Warszawie, gdyż w jego Warmii zapewne musiał być intymowany proces do wszystkich kościołów, przykazujący owieczkom takowe raz na zawsze milczenie w przytomności swego i pana, i zarazem pasterza); i Szeptyckiego, biskupa płockiego, który – jako z urodzenia Rusin – ściśle zachowywał posty, co dzień regularnie u kapucynów miewał mszą świętą, a choć był kulawy, tak się z nią szybko uwijał, że ledwo mu do niej kanonik asystujący z kapelanem ministrować kanon i mszał nadążyli. Pacierze kapłańskie gdy odprawiał, to tak szybko, że się zdawało, iż tylko szuka czegoś po brewiarzu, słowem, jego msza z przygotowaniem i dziękczynieniem nie bawiła zupełnej pół godziny. Ubóstwu pewną kwotę pieniędzy codziennie odkładał, którą uszykowanym w rząd przed oknem swego pałacu, patrząc na nich z góry, rozdawać kazał; był człowiek pieniężny, oszczędny, stołów kosztownych i żadnych przepychów nie lubiący, odbierane zaś z tej okazji od innych biskupów przymówki dowcipnie odcinać umiejący.

Zszedłbym daleko z drogi przedsięwziętej opisu obyczajów powszechnych duchowieństwa, gdybym każdego biskupa szczególne obyczaje Czytelnikowi chciał wystawiać; może bym też nie znalazł wiary, gdybym same w ogólności pisał zwyczaje, nie wymieniając żadnego osobistego przykładu; dlatego wymieniłem niektórych.

Prócz wyliczonych dopiero biskupów było wielu innych mądrych, skromnych, poważnych, powołaniu swemu doskonale odpowiadających. Byli też i tacy, którzy się więcej do reguł światowych niż do przepisu kanonów stosowali; karty, kompanie, myślistwo, kapela takowym czasu najwięcej zabierały i ci to pierwsi byli, którzy niemieckiej sukni w domach i podróżach, a nawet i w publicznych kompaniach zażywać modę wnieśli, a która się mniejszemu duchowieństwu od swoich pasterzów dostała. Mówią pospolicie, że suknia nie ma nic do obyczajów. Oj ma, i bardzo wiele! Skoro duchowni zaczęli nosić niemiecką suknią, zaczęli powoli dyspensować się od pacierzy, od postów i od służby ołtarza; na końcu panowania Augusta III wielu już było biskupów, którzy rzadko, ledwo kilka razy w rok do służby ołtarza przystępowali; ordynacje, czyli święcenia księży, i sakrament bierzmowania na sufraganów, a rządy diecezalne na audytorów spuściwszy, sami się rozrywkami, publikami i chwytaniem dworskich faworów zatrudniali. Mięsne stoły otwarte w dnie postne (jakby im do tej ludzkości innych dni, nie postnych, brakowało albo na ryby nie stać było) dawali; i sami, choć czerstwi i zdrowi, pospołu z zaproszoną kompanią, z katolików i

dysydentów złożoną, mięsem się nadziewali. Zwyczaj mięsnych stołów dawania w postne dni pierwszy wprowadził Kajetan Sołtyk, biskup krakowski, który dostawszy się do pierwszych faworów grafa Bruchla, ministra królewskiego, lutra, do Mniszcha, marszałka nadwornego koronnego, jego zięcia, i do innych partią dworską składających pryncypałów, gdy między sobą umówili, aby każdy co tydzień raz dawał obiad publiczny, Sołtyk obrał sobie dzień piątkowy. Przed Sołtykiem, choć który z górnych duchownych jadł w post mięso, to przynajmniej słotów publicznych mięsnych w dni postne nie otwierał.

Opaci zakonni, naśladowcy biskupów w światowości, co się tycze postów, w tych wstrzemięźliwość zachowywali; a jeżeli który dla przypodobania się kompanii na mięso łakomej dawał mięso na stół, to dawał i postne potrawy; i jeżeli sam przypisał się do sztuki mięsa, to przynajmniej przed kompanią uczynił protestacją, że jeść z postem nie może, bo jest chory albo że mu doktorowie ryb zakazali.

O pacierzach kapcańskich, jaką miały wziętość na końcu panowania Augusta III u prałatów dopiero wystawionych, nic pisać nie mogę. Pacierz jest rozmowa człowieka z Bogiem, potrzebuje miejsca i czasu spokojnego, gdzie oko publiczne zaglądać nie powinno; a zatem w tej sprawie pióro moje idzie na ustęp.

Biskupi ruscy nie różnili się od łacińskich obyczajnością, między tymi i tamtymi rozmaitą, tylko tym, że wielu z nich nosili zapuszczone brody, które następcy po nich ku końcu panowania Augusta III, jako już polerowniejszego świata ludzie, wszyscy pogolili.

Opisawszy stanu duchownego obyczaje jawne i każdemu wiadome, przystępuję teraz do obyczajów świeckiego ludu, powodując pióro moje porządkiem profesyj, do jakowych się młódź wychodząca ze szkół rozchodziła, a te będą w szczególności: palestra, żołnierze, dworzanie, ziemianie albo szlachta mniejsza, panowie wielcy, na koniec mieszczanie, chłopi, Żydzi, Cygani.

O PALESTRZE

Imieniem palestry w Polszcze oznacza się stan ludzi prawnych, z których jedni są patronami, służący w sprawach prawującym się osobom; drudzy są wpisujący do ksiąg publicznych i z nich wypisujący dekreta, manifesta, relacje pozwów i inne transakcje, czyli kontrakty publiczne o kupno i przedaż dóbr, o zastawy lub arendę tychże, o zeznawanie długów na dobrach, o zapisowanie żonom posagów lub kwitowanie z nich; także przyjmujący do ksiąg przywileje królewskie na starostwa, urzędy koronne i ziemskie otrzymane, zgoła rozmaite różnych gatunków pisma; a takowa palestra dzieliła się na regentów, wiceregentów, susceptantów i feriantów, który ostatni gatunek składali młodzi ludzie dla edukacji lub też dla dalszej w tej profesji promocji do palestry udający się.

Sądy, czyli magistratury, którym ta dwoista palestra służyła, były te: asesoria koronna i litewska, referendaria koronna i litewska, sądy marszałkowskie przy boku króla tylko odprawujące się, trybunał koronny w Piotrkowie i Lublinie, trybunał litewski w Wilnie i Grodnie, komisja skarbowa i wojskowa w Radomiu, sądy ziemskie i grodzkie po województwach i powiatach, sądy podkomorskie, czyli graniczne, które jako też kondescensje nie miały fixum locum ani regularnych kadencyj, ale tam i wtedy tylko odbywane bywały, gdzie i kiedy za dekretem trybunalskim ziemskim lub grodzkim od stron prawujących się sprowadzone były. Kiedy szło o granice między dobrami ziemskimi a ziemskimi lub duchownymi i ziemskimi, sędzią był podkomorzy lub komornik graniczny jakiegokolwiek województwa lub powiatu. Kiedy szło o inną jaką do dóbr pretensją, np. o działy między sukcesorami, o rachunek z zastawy lub arendy, o zniesienie długów, używano do takich spraw samych sędziów ziemskich lub grodzkich albo komorników ziemskich, albo burgrabiów grodzkich, albo subdelegatów, co jest jeszcze mniej od burgrabiego, i takowe sądy nazywano kondescensjami.

A kiedy szła sprawa między dobrami ziemskimi i królewskimi, to jest z dóbr stołowych królewskich, z starostwa albo wsi królewskiej lub z miasta królewskiego, bądź z szlachcicem, bądź duchownym, już takowy sąd czy o granicę, czy o inną pretensją nie nazywał się kondenscensją, ale komisją, dlatego że sobie strony komisarzów, jacy

censją, ale komisją, dlatego że sobie strony komisarzów, jacy się której podobały, w równej z obu stron liczbie nominowały; do granic jednak sypania prócz komisarzów musiał być koniecznie wezwany jaki podkomorzy lub komornik graniczny. Bywały takie przykłady, że strona mocna, a przy tym gwałtowna, wydzierająca drugiej, słabej, jej własność – nie mogąc z bliskich województw namówić do zamierzonej roboty podkomorzego lub komornika – sprowadzała jak najodleglejszych, na przykład do Wielkiej Polski z Ukrainy albo na Ruś z Wielkiej Polski, albo z Prus, a to dlatego, że takowy komornik, nieznajomy stronie przeciwnej z miejsca mięszkania i przeto mniej niż bliski obawiający się ścigania w sądzie wyższym za zły dekret, tym samym odważał się na wyroki najniesprawiedliwsze, podług żądzy strony, onego sprowadzającej.

Oprócz tych sądów i magistratur bywał jeszcze jeden sąd w wszelkich sprawach, a taki nazywał się sądem polubownym, czyli kompromisem, kiedy mające z sobą interes strony, odstępując od wszelkich sądów ordynaryjnych, sprawie swojej przyzwoitych, zdawały się na przyjaciół i tych sobie za sędziów obierały uroczystym wyznaniem przed księgami publicznymi, że wyrokowi takowych sędziów nieodmiennie posłusznymi będą. Jeden z takowych sędziów nazywał się superarbiter i reprezentował obu stron mediatora; drudzy zwani byli arbitrami i znaczył każdy swojej strony przyjaciela; liczba arbitrów z obu stron musiała być równa, a superarbiter swoim zdaniem przeważał równość, dla czego w kompromisie nigdy rozpisku być nie mogło. Dekret kompromisowy był wyrokiem ostatecznym. Zdarzały się jednak przykłady, że i takie wyroki, acz podług prawa niecofnione, pękały się w trybunałach, kiedy dekret kompromisarski jawnie i oczywiście przeciwko prawom do rzeczy służącym był napisany; albo choć prawnie, lecz o rzecz cudzą, między dwiema walczącymi trzeciemu, nie wezwanemu należącą, jako to na przykład: między opiekunami i kredytorami o substancją dzieci niedorosłych, najczęściej zaś, kiedy mocna strona, oszukawszy się na faworze od panów sędziów polubownych spodziewanym, znalazła go w deputatach przez przekupstwo i intrygi. Patronowie do sądów polubownych zażywani bywali z grodu, z ziemstwa, z trybunału, podług ważności sprawy. Jeżeli sędziowie kompromisarscy wszyscy dobrani byli z osób nieprawniczych, przybierali do pióra jakiego jura dla napisania dekretu w należytej formie. Ale taki pisarz nie dawał swojej sentencji, acz wiele mógł dowcipnymi wykładami prawa i słuszności nakłonić umysły sądzące na stronę, której był przyjacielem.

Te były źródła ordynaryjne, z których się za czasów Augusta III rozlewała po całym kraju sprawiedliwość. W tych klasach młodzież szlachecka, sama tylko mając do nich przystęp, uczyła się praw ojczystych, formowała się na sędziów. I że ten konszt jest zyskowny i poważny, wiele chudych pachołków, aplikując się szczerze do niego, przychodziło do znacznych substancji i wysokich honorów, gdy przeciwnie, synowie majętnych rodziców na edukacją oddani, pracy nie lubiący, strawiwszy po lat kilka w palesterze na rozpuście i próżnowaniu, z pustymi workami i łbami częstokroć do domu powracali.

Palestra suknią i innym ogarnięciem nie różniła się od osób innego stanu rozmaitego; dlatego w tej mierze nie mam co o nich zostawić potomności.

Palestra trybunalska formowała z siebie osobną klasę, dystyngwującą się od innej palestry grodzkiej i ziemskiej, a to pochodziło z przywilejów bezpieczeństwa i powagi, nadanej trybunałom od królów i stanów Rzeczypospolitej. Nadciągając tego przywileju, nieraz palestra burzyła się naprzeciw samym deputatom nie przychodząc na ratusz i nie chcąc stawać w sprawach, gdy który z mecenasów słowem uszczypliwym od marszałka lub innego deputata został urażony. Nieraz w takowym razie musiał trybunał zniżyć powagi swojej, czyniąc palestrze deprekacją. Krzywda wyrządzona jednemu oburzała wszystkich i tak młodzież palestrancka hurmem się na rewanż gromadziła. Wyjąwszy mecenasów, którym nie było praktyki, żeby śmiał kto jaką krzywdę uczynić, młodzież, zwyczajnie wszędzie się mięszać lubiąca, prędko się z kim zaczepiła, a najprędzej z oficjerami, którzy także, ile młodzi, nie lubili sedenterii i samotności; skąd nieraz między palestrą i garnizonem trybunałowi asystującym bywały potyczki do krwi rozlania i zabójstwa; a po skończonej kłótni, gdy tak z tej, jak z tej strony równa była wina, tym samym żadnego nie było winowajcy; następowała zatem zgoda póty trwała, póki do nowego rozruchu nie podała się nowa okazja.

Instygatorowie skrzynkowi trybunalscy, do odbierania grzywien, w każdym trybunale byli dwaj; jednemu ten urząd z swoich przyjaciół albo służących dawał prezydent, drugiemu marszałek. Ci pospolicie te urzędy przedawali palestrantom, bierali za niego od pięćdziesięciu do stu czerwonych złotych, miarkując podwyższanie lub zniżanie ceny regestrami województw, jakie na zaczynający się trybunał następowały, i deputatami, jak możni stawali. Jeżeli regestra przychodziły województw bogatych, jeżeli deputaci byli możni, a osobliwie marszałek

jeżeli był z wielkich panów, to instygatoria skrzynkowa była droższa. Jeżeli przypadały regestra województw ubogich albo deputaci byli z pomiernej szlachty lub mała ich liczba, dla której pauzów częstych w sądzeniu spodziewać się należało, na koniec jeżeli marszałek był z pomiernych panów, to instygatoria skrzynkowa była tańsza. Gdy bowiem instygator skrzynkowy prezydencki lub marszałkowski z kolei swojej odnosił deputatom grzywny, przez miesiąc zbierane, te z bogatszych województw, będąc znaczniejsze i majętnym dostając się deputatom, częstokroć przez rezon instygatorowi skrzynkowemu po części lub w całości bywały darowane, mianowicie od marszałka, wielkiego pana. Inaczej działo się, gdy z województw ubogich mata kwota chudym do tego na połatanie niedostatku przychodziła deputatom.

Instygatorowie securitatis także dwaj każdemu służyli trybunałowi: jeden z nominacji prezydenta, drugi z nominacji marszałka; te instygatorie najdrożej przedawane bywały od czerwonych złotych piętnastu do trzydziestu. Instygatorów skrzynkowych powinnością było prócz odbierania i roznoszenia grzywien wiedzieć o papierze i innym serwisie do pisania służącym w izbie sądowej, o świecach, o suknie na stół, o ochędóstwie, stołach, ławach, krzesłach do izby sądowej należących, wypłacać lafy miesięczne, naznaczone od trybunału sobie, instygatorom securitatis, księdzu kapelanowi trybunalskiemu i woźnym tudzież czynić sprawunki jakie ekstraordynaryjne lub dawać jałmużny od trybunału wyznaczone. Kiedy miano kogo skarać grzywnami znacznymi, a nie byt pewny do zapłacenia, instygator, przestrzeżony od trybunału, przed publikacją dekretu przydawał mu wartę tak do stancji, jak do osoby. Jeden żołnierz lub więcej, według potrzeby, pilnował stancji, a drugi żołnierz wszędzie chodził za osobą na grzywny skazaną, gdziekolwiek się ta obróciła. Jeżeli zaś mimo taką ostrożność (co się często zdarzało) skarany grzywnami uciekł, instygator skrzynkowy ścigał go procesem z regestru poenalium na tym samym lub na drugim trybunale, podług pory czasu do obrotu sprawie takowej potrzebnego. Grzywny pozostałe do drugiego trybunału, należące sądowi pospolicie, trybunał ustępował instygatorom lub jakiemu klasztorowi albo szpitalowi, jeżeli na wygrawającej stronie nie mógł wytargować albo nie chciał, ażeby je za stronę przegraną zapłaciła.

Instygatorów securitatis była powinność: przynosić w dni sądowe na ratusz rano i po obiedzie krzyż prezydencki i laskę marszałkowską i odnosić do stancji każdego też insignia pod asystencją dwóch żołnierzy z bronią i gifrejtera; druga – obchodzić co noc kolejno z rontem domy

szynkowne, aby się w nich kłótnie i pijatyki całonocne nie działy. Jeżeli dano znać instygatorowi securitatis o wszczętej gdzie bitwie lub rąbaninie, obowiązkiem jego było co prędzej tam z rontem pospieszać i zdybanych na takowym gwałceniu publicznego bezpieczeństwa i spokojności do kordygardy zabierać. Co tylko wtenczas służyło, kiedy się bitwa toczyła między ludźmi podłymi, służalcami dworskimi albo włóczęgami, szulerstwem i rozpustą się bawiącymi, między którymi obierali się częstokroć tak sprawni do korda, że pojedynczo lub we dwóch, lub we trzech instygatorowi z rontem, z kilku i z kilkunastu żołnierzy złożonym, ciosami obdarzonym dawszy odpór, z resztą ucieczką się salwowali i zemknąwszy na czas jaki z gorącego prawa, tym samym się od chwytania uwalniali; a jeśli im nie uszła amnestia i do sądu pociągnionymi byli, to jako ludzie nie mający nigdzie żadnej ostoi, nie zważając na kondemnaty, w inne się strony wynosili. Kiedy się bitwa wszczęła między palestrą lub osobami charakter obywatelski mającymi, do takiej nie mięszał się instygator, gdyż tacy, jako mający zakład odpowiedzi, zapozwani do sądu prawa dotrzymali.

Obrywczą niemałą bywało instygatorów securitatis zdybanego na zabawie nieprzystojnej z osobą podejrzaną jakiego młodzika, służalca, przejeżdżającego albo rzemieślniczka, lub kupczyka – obrać z pieniędzy, z pasa, z czapki, z zegarka i szabelki i tak wystrychnionego puścić niby z łaską niepojmania do aresztu wiedząc, że dla wstydu nikt się o poniesioną takową grabież nie będzie skarżył, chociaż ta czasem mniej sprawiedliwą była, owszem każdy w taki trafunek wpadający szkodę poniesioną na inne nieszczęście zwali. Tym sposobem obchodzili się instygatorowie i z niewiastami publicznymi, gdy miarkowali, że się już w ogarnięcie i grosze zapomogły, chyba że z nimi miały zmowę, aby im znać dawały, kiedy u siebie jakiego gaszka strojnego mieć będą albo kiedy się instygatorom powolnością dla nich samych lub miesięczną kwotą umówioną opłacały. Tak pod bokiem świętej sprawiedliwości jedna niesprawiedliwość gnębiona bywała drugą niesprawiedliwością. Bywało też czasem, że takie niewiasty publiczne z rozkazu trybunału rózgami chłostano i z miast wyganiano, kiedy rozpusta nazbyt ośmielona żadnej już ostrożności w szafunku zakazanego towaru nie używała. Nieraz także i pan instygator, doniesiony o tak niegodziwą i zdradziecką służbę swoją, odpoczywał w kordygardzie i bywał z urzędu zrucany.

Instygator skrzynkowy bierał lafy miesięcznej najwięcej czerwonych złotych 8, instygator securitatis czerwonych złotych 4 i ten ostatni

żywił się u stołu prezydenta lub marszałka z ich służącymi, kiedy ci panowie byli hojni i dostatni. Więc że instygatoria bezpieczeństwa prócz lafy szczupłej nie miała innych uczciwych obwencyj, tylko łotrowskie, wyżej wyrażone, przeto też jej żaden z palestry nie kupował, chyba bardzo chudy pachołek: najczęściej szlachcic na bruku siedzący albo dworak bez służby, między którymi zdarzało się wielu bardzo podczciwie podług przepisu prawa swój urząd sprawujących.

Do instygatorów securitatis należało jeszcze: przyprowadzanie z aresztu do sądów i odprowadzanie do więzienia kryminalistów, rzeczą samą takimi lub tylko z oskarżenia będących (o czym się więcej powie niżej, gdzie będzie o samym sądzie), wyprowadzanie na plac osądzonych na garło i czytanie im dekretu. Obecnym zawsze jeden z nich musiał być u sądu, czytać woźnym wokandę, czyli regestr spraw, która po której następowała; nareszcie być na zawołaniu prezydenta i marszałka; reszta powinności instygatorów opisze się między woźnymi, jako z nimi społeczeństwo i związek mająca.

Woźnych przy trybunale piotrkowskim bywało po trzech, najwięcej po czterech; w lubelskim trybunale po czterech i po pięciu; zasłużeńszy między nimi trzymał wokandę, czyli regestr spraw. Jeżeli umiał czytać, sam sobie czytał; jeżeli nie umiał, instygator mu czytał, a on toż samo głosem donośnym oddawał, z przewrócenia słów, niedobrze usłyszanych lub nie rozumianych częstokroć, stając się okazją gwałtownego śmiechu, jak gdy jednego razu w Lublinie zamiast wpisu przeczytanego sobie od instygatora: „Jegomość pan Kapenhauzen przeciwko jegomości panu Rościszewskiemu", woźny wyryknął z paszczęki swojej: „Jegomość pan kiep i błazen przeciwko imci panu Rościszewskiemu."

Woźnych innych i tego, który wokandę trzymał, była robota największa na gadających po stronach podczas sądów wołać niemal bez przestanku: „Mości panowie, uciszcie się!" Kiedy znaczny szmer powstał, marszałek wołał na instygatora: „Panie instygator, niech się uciszą!" Instygator natychmiast zawołał w jednej liczbie: „Woźny, proś ichmościów, niech się uciszą", a za tym rozkazem nie jeden, ale wszyscy woźni, wielu ich było przytomnych, zaczęli się odzywać jak żurawie: „Uciszcie się, nie rozmawiajcie, mości panowie, uciszcie się!", póty nie przestając, póki szmer nie ustał. A skoro znowu powstał, odzywała się taż sama marszałka, instygatora i woźnych repetycja. Skoro marszałek dał znak laską w stół uderzywszy i słowem przemówiwszy: „na ustęp", instygator zaraz powtórzył: „Woźny, proś ichmościów na ustęp"; a woźniowie zaczęli wołać bezprzestannie: „Mości panowie,

ustąpcie się, mości panowie, wychodźcie, ustąpcie się, ale ustąpcie, ale nie bawcie, ale wychodźcie"; instygator zaś raz po razie pierwszymi słowy: „Woźny, proś ichmościów na ustęp"; tak każdy swoje póty wołał, póki wszystkich nie należących do sentencji za drzwi nie wyprawili; a że na samym wychodzeniu na ustęp, mianowicie w akcesoriach, patronowie najwięcej się między sobą umawiać zwykli, których słuchać każdy miał ciekawość, przeto leniwe wychodzenie na ustęp czasem i godzinę czasu zabierało, a niebożęta woźniowie z instygatorem od ustawicznego wołania aż chrapki dostawali.

Woźny jeden przywoływał i odwoływał sesje trybunalskie; woźny ogłaszał kondemnaty na nie stawających do sprawy wypadające, co też było powinnością i woźnych innych mniejszych sądów, jako też kładzenia pozwów i dawania roków.

Gdy miał być w trybunale czytany dekret śmierci, poprzedzała takowa ceremonia: marszałek wołał na woźnego: „Woźny, otwórz drzwi!" Te jeżeli były wtenczas otwarte, woźny je zamykał. Gdy drugi raz marszałek zawołał: „Woźny, zamknij drzwi!" – woźny je otwierał; i tak do trzeciego razu czyniona była ta kontradykcja rozkazów z ich wykonaniem, zawsze z mocnym szelestem w otwieraniu i zamykaniu. Na jaki by koniec był postanowiony takowy obyczaj, dochodzę moim, acz miałkim zdaniem, iż stanowiciele kar śmiertelnych chcieli prze to wyrazić, z jaką ciężkością przychodzi im odbierać życie człowiekowi, że gdy się w takowym razie znajdują przez zasługę zbrodni, miłosierdzie walczące z sprawiedliwością wprawia ich w jakoweś zmysłów pomięszanie, czyli też, ażeby tym łoskotem drzwi, przerażającym ucho, sprawili wzdrygnienie w sercu i przerażenie do pokuty winowajcy, czasem do ostatniego momentu zatwardziałego. Ostatnia pobudka ma poniekąd racją, jeżeli pierwsza zdaje się zbytkować; alboż sprawiedliwość nie jest cnotą, żeby się nad jej wykonaniem pasować? Alboż miłosierdzie nieroztropne nie jest okrucieństwem, żeby go słuchać?

Rok jest to pozew słowny; dawany bywa, kiedy kto wykroczy przeciw powadze sądu albo pod bokiem jego popełni jaki występek karygodny: na przykład skaleczy kogo, porwie się do szabli w publicznej kompanii, wyzwie na pojedynek, a jest przy tym człowiek charakteryzowany, łapaniu i więzieniu przed przekonaniem urzędownym podług praw kardynalnych niepodległy. Takiemu tedy w stancji lub gdzie go znajdzie instygator (wyjąwszy kościół), opowiada: „Jesteś WMPan od prześwietnego trybunatu rokowany." A w tym samym razie po komplemencie od pana instygatora uczynionym przystępuje do oskarżone-

go woźny i uderzając go raz ręką w ramię, powtarza słowa: „Masz WPan do trybunału rok." Od tego uderzenia, czyli dotykania się ramienia, wzięły nazwisko wszystkie sprawy uczynkowe (choć z pozwu pisanego, nie z roku wypadające): terminorum tactorum, a regestr ich – regestru taktowego. W niższych subseliach, gdy się zdarzy przyczyna kogo rokowania, sam woźny bez instygatora odbywa tę ceremonią.

Woźniowie trybunalscy i innych subseliów jeszcze mieli jeden popis swoich głosów: kiedy na ratusz przychodził prezydent, marszałek lub który z deputatów, woźniowie wołali na przemianę: „Jaśnie Wielmożnemu" lub – „JO.N.N. ustąpcie się", choć ciżby w izbie, a czasem i nikogo prócz wchodzącego i tych samych woźnych nie było. Co także działo się i po innych sądach, nie tylko samym sędziom, ale też i znaczniejszym pacjentom, kiedy woźnym, pospolicie takowych pacjentów wizytującym, talera bitego lub dukata w garść włożyli.

Opisawszy palestrę i sług trybunalskich, wypada mi pod nimi opisać służalców palestry i deputackich, którzy także mieli swoje obrządki, pamiątki godne.

O kole bijącym się w kije

Służalcy palestranccy, z którymi często łączyli się deputaccy i dworscy różnych pacjentów, zaraz po zagajeniu trybunału schodzili się pod ratusz. Tam po dwóch w uformowanym od innych kole bili się w kije, które podług osób bijących się, starszych lub młodszych, bywały cieńsze i grubsze, pospolicie świdzwowe albo dębczaki, najcieńsze dla młodych chłopców, jak palec, najgrubsze dla wąsalów, jak kosztur albo pałka chłopska; wszystkie nazywały się palcatami. Gdy już obeszła każdego kolej, ten, który wszystkich wybił albo też, po zręcznym robieniu palcatem, uznany był za najlepszego gracza – zostawał marszałkiem koła, po nim drugi, w sztuce pierwszemu bliższy, wicemarszałkiem, trzeci instygatorem, czwarty wiceinstygatorem. Z tymi urzędnikami nowo obranymi cała owa hałastra idzie do Żydów (gdzie są). Ci muszą się zaraz zdobyć na prezenta dla pomienionych urzędników i na ucztę całej czeredy, co Żydkowie natychmiast wykonywali, nie śmiejąc się sprzeciwić ani mogąc uniknąć napaści głów zagorzałych, którzy gdyby nie byli ukontentowani, żadnemu by Żydkowi w rynku pokazać się bez wciągnienia go w koło i wytrzepania mu tam kijem krymki i pleców nie dopuścili. Po odebraniu prezentów i skończonym trakta-

mencie, zazwyczaj miodowym, obarzankowym i kukiołkowym, powracali pod ratusz; i już się zaczynała jurysdykcja kijowa, która nieustannie trwała zawsze tak długo, jak długo deputaci na ratuszu zasiadali, a jasność dnia służyła.

Ta zaś jurysdykcja rozciągała się na wszystkich, kołowej hałastrze równych, a czasem i od nich słuszniejszych, wedle ratusza podczas agitującego się koła nieostrożnie przechodzących. Takiego skoro pochwycić mogli i do koła wprowadzili, zaraz wysuwał się przeciwko niemu jeden, z którym się potykać musiał; jeżeli od pierwszego odebrał guz na łbie albo kiełbasę przez pysk, już do bicia się z drugim nie był niewolony; powinszowano mu, że małym przypadkiem niezręcznym, który się czasem najlepszemu junakowi zdarza, został ich bratem, cechowym kolegą; więcej już do koła nie był chwytanym, a jeżeli sam chciał dobrowolnie, miał do niego każdego czasu przystęp. Jeżeli pierwszego pobił, stawiał się mu drugi, a tak aż do trzech lub czterech, zawsze z szarego końca, póki się im nie naprzykrzył albo dalszego bicia się nie wyprosił lub nie okupił z zyskiem przywileju konfraterni i koleżeństwa. Jeżeli złapany nie chciał się bić żadną miarą, dostał kijem po łbie, pozbył chustki lub czapki albo jakiego pieniądza na wykupno od weksy. Wolność miał już na zawsze od koła, ale bez zaszczytu pobratymstwa, z przydatkiem tytułu obelżywego.

Jeżeli sprowadzony fryc prosił zaraz o marszałka, stawał na miejscu jego najprzód wiceinstygator oznajmując, iż przystępu do marszałka mieć nie może, póki wprzód się z nim i innymi per gradus nie wybije. Jeżeli od pierwszego, drugiego lub trzeciego pobitym został, już się o marszałka kusić nie mógł. Jeżeli tych trzech pobił, marszałek stawać musiał. Zwycięzca marszałek odbierał aplauz od całego koła i nabywał większej reputacji, ale i zwyciężony od marszałka, jako innych niższych zwycięzca, na sławie swojej łepskości nie tracił i jeżeli chciał, urząd pobitego obejmował; jeżeli samego marszałka zbił, od całego koła marszałkiem został wykrzyknionym, a oraz jeżeli chciał piastować ten urząd – do Żydów na nowy kozubalec (który już był mniejszym od pierwszego) poprowadzonym został. Jeżeli nie chciał, to marszałek dawniejszy przy swoim się urzędzie został, a zwyciężający pełen stawy i poważenia odchodził lub, jeżeli na to godził, od pana marszałka na bańkę zaproszonym został, po której czasem znowu z sobą eksperymentowali; i – jak się w takich przygodach rado odmieniać szczęście – czasem utraconą sławę rekuperował marszałek. Zdarzało się, iż słuszni dworscy lub innego gatunku ludzie, doskonali owi rębacze w kordy, dla

uciechy sobie uczynienia udawali tchórzów i nieumiejętnych, aby pochwyceni do koła wyćwiczyli skórę instygatorom i marszałkowi, na których sparzeni kołownicy drugich podobnych nie zaraz zaczepiali.

Instygatora i wiceinstygatora było powinnością: przechodzących wedle ratusza wyrostków i wąsalów, przypatrujących się kotu, do niego zapraszać, a ociągających się i gwałtem z innych pomocą wciągać, bijących się z sobą, bądź kołowych jeden z drugim dla ćwiczenia i zabawy, bądź z kim nowotnym – sekundować, aby nadto jeden drugiemu krzywdy nie uczynił albo go zdradą nie zażył, albo żeby się zawziętość, z bitwy kijowej poczęta, za koło do szkodliwszego oręża nie wybaczała i w kole się przez wzajemne przeprosiny kończyła. Marszałka zaś prerogatywa była rozsądzać zatargi, które do niego od instygatorów powołane byty. W nieprzytomności marszałka wicemarszałek jego miejsce zastępował.

Ten zwyczaj bicia się w kije nie tylko był używany pod trybunałami, ale też i na sądach ziemskich i grodzkich; z tą różnicą, iż po innych miejscach kołowi rycerze do Żydów po kozubalec nie chodzili, tylko ta szarpanina, dysymulowana od zwierszchności, w Piotrkowie i w Lublinie się znajdowała.

O reasumpcji trybunału

Trybunał koronny zaczynał się w Piotrkowie. Trybunał litewski zaczynał się w Wilnie.

Litewskich trybunałów, jako nieświadomy Litwy, nie będę opisował. Rozumiem, że Litwa, jak się łączyła z Koroną w wielu okolicznościach politycznych, tak też i w obyczajności współkę z nią trzymała, ile kiedy te dwa narody, mięszając się z sobą ustawicznie, jedni od drugich manierę i zwyczaje przejmowali. Co się więc działo na publicznych zjazdach i prywatnych kompaniach lub schadzkach w Koronie, toż samo pewnie działo się i w Litwie; a zatem z opisania jednego narodu może Czytelnik sądzić równo 0 obydwóch, prócz niektórych wyłączeń prawnych, które do mego pióra nie należą.

Trybunału koronnego kadencja pierwsza, czyli początek, według prawa był w pierwszy poniedziałek po świętym Franciszku, którego bywa według kalendarza rzymskiego 4 octobris. Poczynał się w Piotrkowie i jeżeli dnia prawem opisanego, wyżej wyrażonego, nie stanął, już być nie mógł, aż inny za rok. Limita trybunału piotrkowskiego po-

dług prawa być powinna była w sobotę przed Kwietną Niedzielą; lecz często limitowano go tygodniem prędzej, kiedy trzeba było albo sprawę jaką dla przyjaźni kierującego trybunałem pana zostawić na drugi trybunał, albo też kiedy spraw brakło, albo kiedy prywatne deputatów zachodziły interesa. Bo panowie deputaci skoro się utrzymali takimi, już nie prawo nimi, ale oni rządzili prawem. Jednakowoż czyniąc mu na pozór zadosyć, choć prędzej limitowali, datę jednak limity w aktach zapisowali podług prawa, to jest w Sobotę Kwietnią, i woźny co dzień aż do tejże soboty przywoływał i odwoływał sądy trybunalskie.

W dzień poprzedzający reasumpcją trybunału zjeżdżali się do Wolborza ci wszyscy, którzy mieli interes przeszkadzać do laski marszałkowskiej osobliwie i do funkcji deputackiej osobom na sejmikach obranym albo też źle obranych lub wcale nie obranych przez rozmaite kabały, zmowy i gwałt utrzymować.

Cztery partie byty w kraju na kształt czterech sprężyn, które dawały ruchawość wszystkim politycznym obrotom. Pierwsza była dworska, przez którą znaczyli się przyjaciele ministra grafa Brylla i zięcia jego Mniszcha, marszałka nadwornego koronnego; bo król sam, jako nie mający żadnych spraw w trybunale, byłby względem niego obojętnym, gdyby ci dwaj powagi jego do swoich intryg nie mięszali; druga partia była hetmańska; trzecia Potockich; czwarta Familii (tym terminem znaczyli się Czartoryscy i Poniatowscy tudzież z tymi krwią i chucią przewodzenia nad krajem złączeni). Partia Potockich czasem się łączyła z partią dworską lub z partią hetmańską, kiedy Potocki byt hetmanem. Partia hetmańska czasem trzymała z dworem i z partią Potockich. Partia Czartoryskich niemal zawsze była przeciwna dworowi i wtenczas chyba nie mięszała się do trybunału, kiedy w nim żadnej wielkiej wagi nie miała sprawy albo kiedy żaden z ich strony nie ubiegał się o laskę marszałkowską.

Kiedy także trzy partie: dworska, hetmańska i Potockich, zmówiły się na jedno, już wtenczas partia Familii, bacząc się słabą, rzeczy nie mięszała; ale kiedy trzy pierwsze różniły się między sobą albo hetmańską na swą stronę przeciągnęła, nigdy nie opuściła zatrudniać się trybunałem.

Sami pryncypałowie partii nigdy się nie znajdowali na reasumpcji; wysyłali tam spomiędzy siebie młodszych tudzież szachrów Jurów, a tym do wykonania zamysłów, gdy trzeba było gwałtem, odważonych na wszystko przydawali ludzi wojskowych: generałów, pułkowników,

rotmistrzów i z towarzystwa najdowodniejszych do kufla i korda rębaczów.

Gdy już poprzednicze konferencje, układy i szachry odprawione zostały albo też gdy się tylko (jak mówią) partyzanci, kto z kim trzyma i z czyjej jest strony, powąchali, w jak największej na pozór zgodzie prezydent, dawszy swój obiad albo pod jego imieniem, jako dla swego prałata, książę prymas, choć nieprzytomny, albo biskup kujawski jako gospodarz miejsca, zaczynał wjazd do Piotrkowi, któremu wszyscy przytomni asystowali. Najprzód jachali przed karetą prezydencką konni na koniach dzielnych, w rzędy sute przybranych, dworzanie od różnych dworów i wojskowi wraz zmięszani; za karetą prezydenta paradowała dragonia czasem książęcia prymasa, czasem biskupa kujawskiego; za dragonią ciągnęły się karety różnych panów; nareszcie kolaski mniejszych pacjentów. Bywał ten wjazd prezydencki, acz nie zawsze, tak liczny, że jeden koniec podchodził pod Piotrków, a drugi dopiero wyciągał się z Wolborza, co jest na dwie mili pocztarskich; kiedy zaś nie było na trybunał żadnej forsy, to pospolicie cała kalwakata wjazdu prezydenckiego nie wyciągała się dłużej nad pół mili. Odprowadziwszy prezydenta do jego stancji, krótko powinszowawszy mu szczęśliwego przybycia, rozchodzili się na swoje stancje; na kolacji nie zostawali, tylko jego zadufani przyjaciele i konfidenci.

Noc cała zeszła między tworzycielami trybunału na przygotowaniu się jak najlepszym według wziętych miar i porozumianych okoliczności do odparcia przeciwnej, a utrzymania swojej strony marszałka i deputatów, a przynajmniej marszałka, jako głowy trybunału, która miała tysiąc sposobów kierowania innymi członkami po swojej wodzy albo też przeciwne nieskutecznymi czynienia.

O godzinie siódmej rannej nazajutrz powinni wszyscy byli mający być deputatami zejść się do kościoła farnego, w którym jeden z deputatów duchownych śpiewał wotywę o Duchu Świętym. Po odśpiewanej wotywie wynoszono z cyborium Najświętszy Sakrament do zakrystii, aby się mu w przypadku tumultu, bez którego nigdy nie było, jakie nieuszanowanie nie stało. Nie czekając atoli tej godziny strona stronę ubiegała do opanowania w kościele miejsca pierwszego, którym był stolik, przy którym zasiadało ziemstwo sieradzkie, przed którym według prawa deputaci tak świeccy, jak duchowni obowiązani byli złożyć swoje instrumenta elekcji, odpowiedzieć na zarzuty przeciw nim jakie albo na kondemnaty osobiste i wykonać przysięgę na wierne sprawowanie funkcji, jeżeli nie mieli żadnych zarzutów albo, choć mieli, do-

wiedli ich nieprawności, albo w dobry sposób zagodzili. Co wszystko podpadało pod decyzją ziemstwa sieradzkiego. Miejsce tedy przy stoliku ziemskim było największej wagi do psucia i robienia trybunału; dlatego która strona opanowała stolik, miała już niemal wpół wygranej, ale jeżeli do tego i po innych stronach, w kościele i za kościołem, rozstawna mocne plecy.

Jeden z sędziów głosem dostatnim czytał podług starszeństwa prowincji, na którą laska marszałkowska przypadała, województwa – a za przeczytaniem każdego województwa lub ziemi, które osobnych deputatów obierają, odzywali się deputaci: „Jesteśmy!" Jeżeli nie mieli od nikogo przeszkody, przedzierali się przez ciżbę do stolika, na którym złożywszy laudum sejmikowe, uznani od ziemstwa za prawych deputatów, wykonywali przysięgę. Gdy który z takowych był pod kondemnatą, zarzucający ją tamował mu przysięgę i – jeżeli nie mógł sam, oddalony – przez dziesiąte ręce podawał ją do stolika, która wpadłszy w ręce przyjazne deputatowi pod nią będącemu, niknęła na powietrzu, a ziemstwo, nie dbając na protestacją słowną, gdy na piśmie nie znajdowało żadnej przeszkody, odbierało od deputata przysięgę, po wykonaniu której już kondemnata, choćby się znalazła, nic niewarta była. Dla czego kto miał na deputacie proces przewiedziony albo kondemnatę, starał się mieć ją na kilku ekstraktach i te między przyjaciół porozdawał, aby tak z różnych stron podawana, choć z jednej ręki doszła do stolika, lubo i ten, co miał na sobie ten węzeł prawny, nie zaniedbywał porozstawiać tu i ówdzie przyjaciół dla przejmowania zarzutu. Co wszystko w ciżbie, zgiełku, między ludem z różnych województw zebranym, sobie nieznajomym, uchodziło i tak się działo, kiedy tylko rzecz była między partykularnymi.

Lecz kiedy deputat na sejmiku obrany znajdował się na regestrze u partii stanowiącej trybunał między tymi, których zepchnąć z funkcji postanowiono, natenczas choć nie miał na sobie żadnej przeszkody prawnej, dawały się zewsząd słyszeć głosy huczne i burzliwe na wzmiankę przeczytanego województwa lub ziemi: „Vacat, vacat", z przeciwnej znowu: „Nie vacat, oto jest deputat." Za którymi głosami, gdy deputat dobrze obrany, mający także wsparcie, darł się przez ciżbę do stolika lub znajdując się przy nim zabierał się do przysięgi, wszczynał się gwałtowniejszy tumult. Pomięszani między sobą rozskakiwali się na partie, dobywali szabel i tak w niejakim zawieszeniu przygotowani do bitwy, czekali na skinienia swoich hersztów, rychło się im rzezać każą. Ci zaś tymczasem namowami, prośbami i groźbami, biegając

jedni do drugich, to szeptając do ucha, to się głośno wadząc – o zepchnięcie lub utrzymanie deputata między sobą certowali. Wypadło nieraz, iż pokazawszy sobie zęby strona stronie ustąpiła, szable się pochowały i wszystko jakby nic ucichło. Nieraz też przyszło do tego, że zapaliwszy się do bitwy, wpadli jedni na drugich z dobytą szablą, mięsa narobili, stolik w sztuki zrąbali, ziemstwo wypłazowali i cały zjazd rozpędzili, rzeźbę z kościoła na cmentarz wytoczyli, a po takim przywitaniu jedni drugich, jeżeli dzień nie był jeszcze na schyłku, partia zwyciężająca znowu się do kościoła zebrała, ziemstwo ułagodzone lub zniewolone sprowadziła i podług swego upodobania trybunat utworzyła.

Trafiało się nieraz widzieć deputatami uczynionych takowych, którzy na żadnym sejmiku obranymi nie byli, a którzy nawet posesji nigdzie nie mieli. Lecz skoro się na rozkaz pański z takowych który podjął być deputatem, natychmiast miał posesją; pan albowiem, który mu tę funkcję piastować kazał, czynił mu dla oka donacją jakiej wsi, a on nawzajem dawał panu rewers sekretny, jako tej wsi żadnym prawem sprawiedliwym nie nabył, jako się do niej w żaden sposób interesować nie będzie i jako pana z donacji urzędownie zaraz po skończonej funkcji deputackiej pokwituje. W czym aby zawodu nie było i zdrady, pan czyniący donacją i właśnie jak charta na smyczy stworzonego od siebie deputata mający dopilnować nie omieszkał. I taki sposób utrzymowania trybunałów prawdziwie według terminalności prawnej wypływał ex vi legis, gdyż w nim prawo szkaradny gwałt cierpiało. A choć panowie w tak ważnych okolicznościach śmiało deptali prawa, nie odważali się jednak nigdy łamać ich w przepisie czasu. Więc jeżeli tumulty i bitwy wyżej opisane spóźniły się do zachodu słońca, już trybunał był zerwany, bo dzień reasumpcji trybunału prawem przepisany upłynął, który wszystkim czynnościom prawnym i nieprawnym, gwałtownym i dobrowolnym podług powszechnego wzięcia ważność i jestestwo mógł nadawać.

Gdy pierwszego dnia trybunał jakimkolwiek sposobem stanął, już dalej wszystko szło spokojnie i wesoło. Noc schodziła na pijatyce i powinszowaniach zwycięstwa przemagającej stronie, a kiedy nie było żadnego gwałtu, na wzajemnym winszowaniu sobie publicznej pomyślności; jakoż było czego winszować, bo się to rzadko trafiało. Nazajutrz deputaci, zszedłszy się na ratusz, obierali marszałka, którym stawał zawsze jaki pan wielki, od dworu lub od partii której do tego urzędu przeznaczony. Marszałek nowo obrany dziękował publiczną

mową za swoje obranie i witał kolegów swoich; przyniesiono laskę marszałkowską, zawsze w schowaniu u ziemstwa sieradzkiego będącą, przy oddawaniu której jeden z sędziów miał mowę do marszałka i do innych deputatów. Po skończonej elekcji marszałka prezydent zazwyczaj dawał solenny obiad dla wszystkich deputatów i pacjentów, a marszałek nowo obrany kolacją. Trzeciego dnia sprowadzano z którego kościoła obraz Najświętszej Panny do kaplicy ratusznej, który to obraz niósł prezydent z marszałkiem, a inni deputaci i palestra asystowali mu z świecami w solennej procesji; przed umieszczonym w kaplicy obrazem kapelan trybunalski odprawiał mszą czytaną, podczas której muzykanci, do takiej usługi na cały czas trybunału najęci, grali różnymi instrumentami i głosami litanią. Po skończonej mszy kapelan podawał prezydentowi patynę, którą ten odebraną do rąk ofiarował do pocałowania marszałkowi i innym w kolej deputatom tudzież starszym mecenasom, to jest patronom, a na ostatku sam pocałowawszy, oddawał kapelanowi.

Po zakończeniu tego obrządku pobożnego deputaci z ziemstwem sieradzkim zamykali się w izbie sądowej, tam układali ordynacją, czyli rozporządzenie przyszłych sądów trybunalskich, które regestra po których mają następować, palestra wyższa i niższa oprócz zwyczajnych swoich powinności co ma szczególnego z zlecenia zaczętego trybunatu zachować, na przykład aby długimi induktami spraw czasu nie zabierali, aby pod imieniem palestry osób nieznajomych do oszukania pacjentów zdatnych między sobą nie mieścili; magistrat miasta Piotrkowa aby się starał o wszelkie wygody do wichtu należące tak dla osób trybunalskich, jako też dla przybywających w sprawach swoich do trybunału, i inne tym podobne do sądów, wygody i bezpieczeństwa publicznego ściągające się ustawy; także płacą, czyli lafy miesięczne, sługom trybunalskim; co wszystko znajdowało się i obejmowało terminem ordynacji. Po ułożeniu której – osobnymi kredencjonalnymi listami wyznaczali posłów do króla, do prymasa i do biskupa krakowskiego, do każdego po dwóch deputatów, jednego z koła duchownego, drugiego z koła świeckiego, z doniesieniem o doszłym szczęśliwie trybunale; resztę dnia zbywającego obracali na traktamenta i uczty, jako i dnia przeszłego.

O trybunałach

Zbywszy takowe początkowe zatrudnienia, zabierali się trzeciego lub czwartego dnia do sądzenia spraw, które szły porządkiem ułożonym w ordynacji. Sądy te otwierały się mową którego z palestry witającą trybunał, na którą przygotowany prezydent albo marszałek krótko odpowiedział komplementem dziękującym. Potem z regestru woźny przywołał którą sprawę, w której po zapisaniu komparycji marszałek kazał sądy odwołać na po obiedzie albo nazajutrz, bo nagle zaprzęgać się w pracą nie było w modzie, ile że oprócz prezydenta i marszałka niektórzy z deputatów możniejszych albo z pacjentów panów znacznych mieli sobie za honor popisować się z obiadami i kolacjami na przepych jedni nad drugich, już to dla trybunału, już dla prześwietnej palestry dawanymi; dlatego w pierwszym tygodniu mato co albo wcale nic nie było postępku w administracji sprawiedliwości; drugi tydzień ocucał cokolwiek więcej znużonych biesiadami i do pracy zaprzęgał, acz ta często rozmaitymi festynami, to imieninami, to aniwersarzami dworskimi, to nareszcie i bez żadnych okoliczności świetnych powtarzanymi od panów traktamentami przerywana była.

Sprawiedliwość trojakie miała pobudki, z których następowała: jedna była podług prawa i sumnienia, kiedy sprawa toczyła się między osobami z siebie słabymi i żadnego wsparcia od panów nie mającymi. Druga była kupna i przedajna, tą handlowali deputaci z pacjentami bogatymi, wziętymi, reputacją w narodzie mającymi i wszelkich sztuk na zepsucie sumnienia sędziowskiego, czyli jak mówią: korupcją, zażyć umiejącymi. Niekoniecznie albowiem deputaci samym złotem dawali się przekupować, szli oni za powabem przyjaźni, za obietnicą wzajemnej przyszłej odsługi i za ponętą podwiki i pulchnego gorsa, które ojcowie i mężowie mający sprawy do trybunałów jako pewną pomoc słabym na czas dokumentom zwozili. Trzecia sprawiedliwość wypływała od panów trząsających trybunałami. Każdy deputat, który za protekcją pańską (jako się wyżej napisało pod reasumpcją trybunatów) utrzymał się przy funkcji, swego protektora stawał się niewolnikiem. Już tam nic nie ważyła ani nowo ofiarowana korupcja, ani przyjaźń, ani powab urody, ani czystość sprawy, ani moc prawa i dokumentów. Na to wszystko zatkane były oczy i uszy, a sentencja wypadała ślepo podług rozkazu pańskiego.

Kto według takiego wyroku miał sprawę przegrać, musiał ją przegrać, by też była najlepsza; kto miał wygrać, wygrał, by też była naj-

gorsza, bo te rzeczy jeszcze przed funkcją były ułożone i na podczciwość (jeśli się tak zwać powinno odważone sumnienie) zaręczone. Czasem deputaci tacy byli tylko obowiązani do jednej sprawy, po której podług przykazania pańskiego odbytej mieli zupełną wolność trzymać się świętej sprawiedliwości albo też jej frymarkiem szukać sobie nowych zysków, czasem zaś bez pewności liczby zaręczali usługę swoją każdej sprawie, za którą instancja pańska zachodziła, pewnymi terminami między panem i deputatem umówionymi, ad instar klucza tajemnego w liście rekomendującym sprawę wyrażona. Jeżeli trzeba było jakiej sprawy nie dopuścić dlatego, że i twórcy trybunałów nie zawsze mogli mieć wszystkich po swoich plecach deputatów, a mianowicie marszałka, który nieraz swoim protektorom zęby pokazywał, innym wiatrem zawiany, nie doszła ona, choćby była najpierwsza w regestrze. Jeżeli trzeba było, ażeby ta a ta sprawa doszła, musiała dojść, chociażby była tysiącem wpisów poprzedzona. Do czego takich zażywano sposobów: aby sprawa nie doszła, pilnowano mocno regestru, w którym była, i kiedy już taka sprawa następowała, marszałek – kiedy był po tejże stronie – nagle porzucał ten regestr, a brał się do innego, to jest taktowego lub directi mandati, który mógł być brany każdej godziny, albo kazał odwołać sądy. Kiedy marszałek nie był po tej stronie, to deputaci obowiązani do niedopuszczenia sprawy nagle zrywali komplet zmyśloną chorobą albo odjazdem z trybunatu niespodzianym, albo kilkodniowym na łóżku w stancji spoczywaniem, póki nie minął czas regestrowi, w którym była sprawa, służący.

Aby sprawa bardzo daleka doszła, najprzód starali się u możniejszych, przed nią wyższe wpisy mających, o pozwolenie spuszczenia ich per non sunt, co znaczy, jakoby tych osób, których sprawa przywołana na stół, nie było przytomnych ani nikogo z należących do niej plenipotentów. Ująwszy tym sposobem marszałek, lub kto przy lasce zasiadał, możniejszych pacjentów, o mniejszych nie dbał; kazał wołać sprawę po sprawie nie zastanawiając się nic na głos odzywających się przytomnych, ale zapisując w wokandzie i ogłaszając: „Non sunt, non sunt", aż póki nie nadeszła ta sprawa, której dojście było przyobiecane; takowa zaś przysługa komuś, lubo najwięcej zależała od marszałka, przecięż brała dzielność swoją i od deputatów, z którymi musiał nadrabiać w takowej licencji i oni wzajemnie z nim, aby sobie w podobnej okazji wet za wet odsłużyli. Bywały takie przypadki, że na jednej sesji po pięćset i więcej wpisów na jeden raz spadało, mianowicie za laski Małachowskiego, krajczego koronnego, często tę godność piastującego,

który – mimo przysługi przyjaciołom – czynił sobie chlubę z takiego bezprawia, że wszystkie zaległe regestra za swojej laski poodbywał. I tak to w zwyczaj powoli weszło, że się już pacjenci i nie opierali, ale – zepchnięci z góry – na dół swoje wpisy przenosili, a poniesioną zwłokę w sprawiedliwości jmci panu marszałkowi in grabam dalszych jego względów chętnie albo niechętnie ofiarowali.

Podobnym sposobem otrzymowane bywały kondemnaty. Nasadzono na pacjenta jakich importunów, którzy go w stancji zabawiali; patrona należącego od niego zaproszono na konferencją albo się z nim zmówiono, żeby się o tej godzinie nie znajdował na ratuszu, lub jego dependentów gdzie na ustroniu wymyślonymi interesami przytrzymano. Tymczasem sąd, w zmowie z stroną podstępną będący, nagle przywołał regestr, w którym była sprawa; i tak ów nieborak pacjent, który kilka niedziel dybał na swoją sprawę, w jednej godzinie został okryty kondemnatą jakby nieprzytomny. Czasem też takie kondemnaty wypadały bez winy sądu, z samej tylko chytrości strony w wszelkim rodzaju podstępu i pieniactwa wyćwiczonej.

Rzekło się wyżej, że taktowy regestr mógł być co dzień brany, directi zaś mandati każdej godziny, nawet w środku rozpoczętej innej sprawy.

Do regestru directi mandati należały sprawy same kryminalne; trzeba było do niego mieć koniecznie więźnia okutego w kajdany, pod straż żołnierską oddanego. Kiedy kto o ekspulsją z dóbr albo o inną jaką wiolencją do ordynaryjnego regestru taktowego należącą miał sprawę, w której nie zaszło zabójstwo albo, choć zaszło, ale nie było więźnia na gorącym uczynku schwytanego, chwytał jakiegokolwiek człowieka, chociaż niewinnego, okutego w kajdany prowadził do trybunału. Patron, należący do sprawy powodowej, wnosił do sądu ilacją, iż jest więzień w tej a tej sprawie świeżo przyprowadzony, prosił, aby był do aresztu przyjęty. Marszałek tedy podług przepisu prawa dawał bilet, czyli cedułę, do komendanta, aby tego więźnia osadził w kordygardzie, drugą do instygatora skrzynkowego, aby sprawę wpisał w regestr directi mandati. Takim sposobem sprawy z regestru taktowego do regestru directi mandati bywały przenoszone, a to dla prędszego pośpiechu; najdalej albowiem w trzy dni po oddaniu więźnia do aresztu sprawa musiała być wzięta, chyba że się zeszło takich spraw kilka razem, to musiała jedna za drugą czekać swojej kolei. Sprawa zaś zaczynała się tym sposobem: najprzód wzięto więźnia na dobrowolne konfesaty, na których gdy się nie przyznał do żadnego kryminału (bo jak się

miał przyznać, kiedy go nie popełnił), odsyłano go powtórnie do aresztu, a tymczasem czytano inkwizycje, które już musiały być w którymkolwiek sądzie pierwszej instancji wywiedzione. Żadna albowiem sprawa z pierwszego, jak mówią, wióra, w niższym sądzie nie przedrabowana, nie mogła iść prosto do trybunatu. Po przeczytaniu inkwizycyj, gdy te więźnia w niczym nie oskarżały, uwolniano go z aresztu zostawując mu salwam actionem, to jest wolne upomnienie się o niewinne uwięzienie, do czego jednak nigdy nie przychodziło, albowiem na takowych więźniów dobierano osób podłych, najczęściej chłopów, a do tego nie tylko strona powodowa, ale też i pozwana kontenta była, że się prędzej w trybunale odbyła. Sprawa zaś pryncypalna między stronami, domieściwszy się tym sposobem do stołu, toczyła się swoim biegiem.

Znajdowały się i takie osoby, które dobrowolnie najmowały się do kajdan za zapłatą od strony potrzebującej takiej usługi. Byli to zaś szlachta-brukowcy, którzy straciwszy fortunę, najczęściej przez debosz, a czasem też przez jaki przypadek nieszczęśliwy, pilnowali trybunałów, przy których znajdowali niżej następujący czworaki do życia sposób: najprzód podczas reasumpcji trybunatu udawali się do którejkolwiek partii zbierającej kupę do gwałtownego utrzymowania lub spychania deputatów, jako się napisało pod reasumpcją; po wtóre – strawiwszy wzięte od partii najmującej dwa lub trzy czerwone złote i kiszki dwu- lub trzydniowym, dawanym od tejże, obfitym jadłem i piciem rozepchane, dalej postem wymorzywszy – chodząc od stancji do stancji pod tytułem pogorzelca lub prawem o fortunę zniszczonego, ręce do możnych po jałmużnę wyciągali; po trzecie – najmowali się za świadków do zaprzysięgania jakiego winowajcy na śmierć skazanego jako godzien śmierci, za co pospolicie brali od strony taler bity. Albowiem według prawa koronnego, choćby najdowodniej kto przez inkwizycją o występek był przekonany i na śmierć skazany, nie mógł jednak stracić głowy, póki go strona instygująca z dwunastą osobami urodzeniem sobie równymi nie poprzysięgła być śmierci winowajcą. Do wywiedzenia zaś między szlachtą w tym razie urodzenia nie potrzeba było wyprowadzać genealogią, dosyć było mieć przy boku jakie stare szablisko, czasem zamiast pochew skórką węgorzową powleczone. Że zaś między uczciwymi osobami trudno było zebrać jedenastu świadków delatorowi, do siebie dwunastego, którzy by chcieli ważyć na czyją śmierć sumnienia swoje, a choćby i mógł delator dobrać jedenastu ludzi słusznych, występku doskonale wiadomych, to samo sprowadzenie

ich do trybunału – ile z daleka – i żywienie do końca sprawy niemałą czyniło trudność, przeto wolał nająć brukowców mniej kosztujących, tak jak pierwsi ważnych i bynajmniej o świętej sprawiedliwości, skazującej na śmierć człowieka, nie powątpiewających. Po czwarte, jako się wyżej rzekło, za dwa lub trzy czerwone złote szli do kajdan wykalkulowawszy sobie, że więcej takiemu wyniosło zarobić o jeden raz kilkadziesiąt złotych, jeść dobrze i pić w kordygardzie przez kilka dni z łaski pryncypała i jeszcze po uwolnieniu, jako zasłużonemu nie w bagatelnej okazji, mieć śmiały przystęp do jego kuchni przez cały czas, póki się bawił w trybunale, niżeli włóczyć się, czasem próżno, po stancjach.

Koneksje w sprawach należą także do poprzedzających wybiegów, czyli obrotów prawnych, mocą których deputaci pacjentom w pośpiechu sprawy przysługę czynić mogli. Był to związek jednej sprawy z drugą sprawą, która z jednego wpisu sądzić się mogła, kiedy kto umiał znaleźć łaskę u deputatów. Takie sprawy bywały czasem do siebie podobne jak pięść do nosa, na przykład: Opaliński, dziedzic Grodziska, miał sprawę z Radzewskim, dziedzicem Pożegowa, o sukcesją po babce. Gdy taki wpis przywołano, cisnął się do niego Mietlicki mający sprawę z Widlickim o granice między wsiami Wydmuchowem i Bielawami, dowodząc, że ponieważ dziad jego idzie od Radzewskiej, a Opalińska była quondam za Widlickim, więc słuszna jest koneksja ich sprawy do pierwszego wpisu; i kiedy taka koneksja przyznana była, sprawa jedna po drugiej sądzona była i nic nie szkodziło, że w trakcie sprawy między Mietlickim i Widlickim nic się nie ściągało do Opalińskiego albo Radzewskiego. Dla takowych koneksyj musieli się pacjenci ze wszystkich stron pilnować albo też (jak czynili możni) mieć z między palestry rokrocznie płatnych plenipotentów, którzy by ich obecność zastępowali lub gdy czas był po temu, że się pierwsza sprawa długa wlekła, o nadchodzącej z koneksji albo o kondemnacie wypadłej donosili. Jakoż kondemnata otrzymana czyniła potem prawdziwszą koneksją na mocy prawa drugiego, nakazującego, aby się sprawa tam kończyła, gdzie się zaczęła.

Regestr arianismi, ponieważ po śmierci Augusta III został zniesiony, za słuszną rzecz mam opisać potomności, co on znaczył i jakie sprawy do niego należały. Po wygnaniu z Polski arianów, zapobiegając, aby się ci kacerze jakimkolwiek sposobem do kraju nie wrócili i w nim nie ukrywali, postanowiono przeciw nim osobny w trybunałach regestr, pod który w dalszym czasie podciągnięto sprawy dysydentów wszelkich o krypie nowo bez pozwolenia stanów budowane lub starych

bez takiegoż albo przynajmniej biskupiego pozwolenia reparowanie; o bluźnierstwa przeciw religii katolickiej od kogokolwiek popełnione; o życie jawnie gorszące trzymaniem nałożnic i dzieci z nimi płodzenie; o niewykonanie przez lat kilka spowiedzi wielkanocnej; o śmierdzenie przez rok i sześć niedziel w klątwie kościelnej, z jakiejkolwiek przyczyny rzuconej; na koniec o krzywoprzysięstwo. Lecz że krzywoprzysięstwo nie mogło być pod takim terminem sądzone nigdzie, tylko na sejmie, więc żeby mogło mieć forum w trybunałach, patronowie wynaleźli mu nazwisko laxae conscientiae, to jest: sumnienia rozwiozłego. Pod tym nazwiskiem sądzone bywało w trybunałach, ale już nie karą śmierci jak w sądach sejmowych, tylko karą cywilną: grzywnami i wieżą; i jeżeli kto przekonany o taki występek znajdował się na jakowym urzędzie sądowniczym, odsądzeniem go od funkcji. W tym także regestrze miały plac swój: czarodziejstwa, czarownicy i czarownice. Ten regestr był kiedyś straszny dla wszystkich tego rodzaju winowajców, ponieważ mógł być niemal tak często brany jak regestr directi mandati i sentencje wypadające z niego, jeżeli nie gardłowe, to ciężkich grzywien i wieży następowały. Ku końcu atoli panowania Augusta III ciżby w nim nie było, czarodziejstwu zgoła nie wierzono, życie rozkoszne w modę weszło, dochodzenie ścisłe spowiedzi wielkanocnej między osobami znacznymi za napaść duchowieństwa, za granicę swojej zwierszchności występującą, poczytano; konsystorzom sprawy o dziesięciny, o zapisy, o testamenta odebrawszy i do świeckich sądów przeniósłszy – tym samym piorun klątwy kościelnej, niegdyś straszny, z ręki wytrącili.

A tak przy Regestrze arianismi nie zostały się sprawy, tylko cokolwiek jeszcze promowowane z interesów prywatnych o krypie, o bluźnierstwa i o sumnienie rozwiozłe. Pospolicie albowiem krypie napastowane opłacały się mocno. Bluźnierstwo karane bywało konfiskacją dóbr na rzecz dowodzącego, jeżeli winowajca uszedł śmierci; a krzywoprzysięstwo, czyli sumnienie rozwiozłe, niszczyło wszystkie dekreta po sobie otrzymane, stawiając na nogi przeciwną stronę i oprócz tego nagalając tak stronie, jako też sądowi rzęsiste grzywny.

Dekret jeden w trybunale litewskim otrzymany oczywiście, to jest z kontrowersji stron obydwóch, był więcej niewzruszonym. Dekreta trybunałów koronnych były, mianowicie między mocnymi, nieskończone; podług albowiem prawa trzeba było mieć cztery dekreta ex seriis controversiisn jednostajnie otrzymane, aby sprawa przeszła w rzecz odsądzoną, in rem iudicatam. A że się to z trudnością zdarzyć mogło, bo kto

przegrał na jednym trybunale, szedł na drugi przeciwko dekretowi, gdzie albo w cale przeciwnie wygrywał, albo też w motywach lub kategoriach inaksze odmiany pozachodziły, tak że pierwszy dekret nie był kubek w kubek podobnym do drugiego, acz z faworem na jednę stronę; przeto sprawy w trybunatach wiekowały i w sukcesji się synom i wnukom po ojcach i dziadach dostawały.

Dotąd pisałem, co się działo w izbie sądowej, albo jak natenczas zwano, in stuba iuditii, którą byty ratusze miast Piotrkowa i Lublina. Teraz wystawuję Czytelnikowi przedsionek ratuszny, czyli ustęp, który miał swoje osobliwości, od innych sądów różne. Skoro pacjenci i palestra wyszli na ustęp, gdy z gatunku sprawy poznawali, że ten będzie długi, osobliwie w długie wieczory zimowe, ażeby ich nie było teskno siedzieć przy jednej lampie palącej się przed obrazem Matki Boskiej, śpiewali raz po raz Sub Tuum praesidium albo Ave, Maris Stella, a gdy się takim nabożeństwem nasycili, starsi zabawiali się rozmowami, młodzież zaś, wszędzie swawolna, rozmaitymi figlami do śmiechu starszych pobudzającymi i nimi tesknicę uśmierzającymi. Nieraz z takowych żartów przychodziło do czupryn i policzków, w które gdy się bardzo wdali, starszyzna ich rozgramiała, lubo czasem wytaczała się kłótnia za miasto, do szabelek, acz te jako między swoimi, młodzieżą krótko zapalczywą, więcej czapek i sukien niż ciała psowały; potem się takie pojedynki kieliszkami wina lub flaszkami miodu przy chlubie rycerskich serc zakończały. Deputaci zaś, pracujący nad sentencją jakiego bogatego pacjenta, posilali się jego starym winem i przysmaczkami, incognito (co wszyscy widzieli) na ratusz donoszonymi.

Po skończonym ustępie marszałek kołatał w stół laską, prezydent dzwonił w dzwonek, za którymi znakami woźny, przy drzwiach czuwający, otwierał izbę sądową, do których wszyscy z ustępu hurmem wpadali, i taka w tym razie dla młodzieży z starymi pomięszanej była niesforność, że się tłocząc jedni przez drugich wywracali, suknie rozdzierali, czapki gubili, do czego wiele pomagała ciemnica ustępowa, mianowicie w wieczory długie adwentowe.

O honorach powierszchownych i paradzie deputatów

Komendant garnizonu, asystującego trybunałowi, co wieczór od marszałka odbierał parol, czyli hasło żołnierskie; to odebrane do ucha oddawał prezydentowi, a nazajutrz rano o godzinie ósmej lub dziewią-

tej tenże sam parol w liście zapieczętowanym odsyłał obiema jednym z oficjerów, do tej ceremonii komenderowanym. Wiele razy który z deputatów szedł na ratusz lub z niego schodził, albo też w innej potrzebie przechodził wedle obwachu, żołnierz stojący na warcie wołał głosem jak najmocniejszym: „Raus!", za którym słowem oficjer i żołnierze wybiegali śpieszno z kordygardy i uszykowani w rząd, czyli glejt, po żołniersku prezentowali przed nim broń. Dla prezydenta zaś i marszałka przydawał dobosz bicie w bęben po trzy razy, co się nazywało biciem werbla. Toż samo bicie i parada żołnierska działa się dla krzyża prezydenckiego i laski marszałkowskiej, wiele razy te insignia na ratusz niesione lub z niego znoszone były.

Prezydentowi i marszałkowi oprócz jego nadwornych asystentów i służących ludzi, w których się podług możności dostatków na tę funkcją opatrywali, zabierając z sobą na trybunat młodzież przyjacielską i krewniaków, asystowała jeszcze liczna zgraja pacjentów majątku pomiernego, wszędzie, gdziekolwiek się który z tych dwóch czołów trybunału obrócił, idąc przed nim z gołymi głowami, choćby w najtęższe mrozy, a za nim ciągnął się znowu drugi orszak lokajów, hajduków, pajuków, uzarów, węgrzynków i innej liberii tak jego własnych, jako też tych, którzy przed nim paradowali, w czym byli w zimie szczęśliwsi od panów swoich, bo mieli nakryte głowy, a tamci gołe, przykremu powietrzu wystawione. Z takąż paradą, acz nie wszyscy tak liczną, postępowali inni deputaci.

Pierwszy Janusz Sanguszko, marszałek nadworny Wielkiego Księstwa Litewskiego, będąc marszałkiem trybunału, a po nim w lat kilka prezydentem Michał Lipski, pisarz wielki koronny, nie cierpieli tej mody, każąc asystującym przed sobą w czasy zimne i dżdżyste nakrywać głowy. Tych jednak przykładów inni deputaci nie naśladowali, radzi będąc, iż przed nimi czapkowano. Ta jednak uniżoność i aplikacja dla deputatów, choć od nich mile przyjmowana, nie czyniła szczęśliwymi pacjentów; przegrał niejeden sprawę, choć czapkę trzymał, kiedy większej za sobą nie miał permowencji; atoli sądzić należy, że ten sposób musiał kiedyś pomagać do wygranej, kiedy się go regularnie trzymano. W tym rodzaju usługi niektórzy pacjenci byli aż do naprzykrzenia deputatom pilni. Byle się krokiem deputat wychylił z stancji, wnet pacjent z kąta wysuwał się przed niego, asystując mu wszędzie, gdzie się tylko obrócił, od rana aż do wieczora; wtenczas dopiero odchodząc, kiedy od sług domowych został upewnionym, że już jaśnie wielmożny tego dnia nigdzie z domu nie wyniśdzie, albo póki deputat, sprzy-

krzywszy sobie taką na kształt straży asystencją, politycznie albo też i po prostu od siebie jej nie pozbył, mianowicie kiedy mu taka asystencja do jakiej potajemnej wizyty przeszkodę czyniła. Można i to przydać do honorów deputackich, iż im z prawa należał tytuł „jaśnie wielmożnych". Gdy zaś w ogólności wspominano trybunał, dawano mu tytuł „jaśnie oświecony". Przed marszałkowską także i prezydencką stancją stały żołnierskie szyldwachy, po dwóch przed każdym.

A gdy marszałek aktualny lub prezydent nie znajdował się przy trybunale, to żołnierze odprawiali wartę przy tych, którzy miejsca pierwszych zastępowali. Kiedy który z deputatów lub pacjentów na honor trybunału albo imieniny deputata, tym bardziej marszałka i prezydenta, dawał solenny obiad lub kolacją, zazwyczaj wzywał żołnierzy do dawania ognia z ręcznej strzelby, kiedy zdrowia pryncypalniejszych osób kielichami wina byty spełniane; do którego ognia proch szafował ten, kto żołnierzy wzywał, i na konsolacją dla nich za fatygę wyrzucał kilka czerwonych złotych; oficjera zaś komenderującego regalizował jaką tabakierką lub zegarkiem, lub innym jakim podarunkiem, a czasem też niczym, według hojności albo oszczędności sprawującego bankiet.

Deputaci w wszystkich kompaniach publicznych czczeni byli pierwszymi miejscami; największy pan nie podsiadł deputata z łatwością: wiele wprzód narobił ceremonij, protestacji, ukłonów, nim wyższe, od deputata ustępowane sobie, zasiada miejsce; zgoła wszystko się przed deputatami płaszczyło, chociaż drugi majątkiem i talentami ledwo wyrównywał podstarościemu jakiego wielkiego pana.

A przecie gdy z jednej strony takie deputatom zewsząd oddawano uszanowanie, z drugiej strony ostatnia czasem potykała ich hańba, kiedy deputat zadufany w swoim charakterze albo zuchwale ludzi słusznych przez nogi przerzucał, albo z głowami szalonymi, winem zapalonymi w zbytnią się konfidencją wdawał. Tak Bystry, plenipotent Fleminga, podskarbiego wielkiego litewskiego, stanąwszy z damą do tańca, gdy od deputata został odepchniony, wyciął mu policzek i uciekłszy z Piotrkowa, lubo na tym trybunale kryminalnie został osądzony, na następującym jednak za pomocą swego pryncypała został wolny od dekretu i umarł kasztelanem. Tak starosta kaniowski Potocki, człowiek po trzeźwu, nie dopieroż po pijanu srogi, Garlickiego, deputata, w Lublinie uderzył w gębę za maty żarcik w publicznej kompanii. Starosta kaniowski będąc sam pod ten czas deputatem i mając wielki dwór tudzież żołnierzy nadwornych swoich więcej, niż ich było w garnizonie

asystującym trybunałowi, niczego się nie obawiał, bo cały trybunał przez obawę jego potęgi tę obelgę, magistraturze swojej uczynioną, winie Garlickiego przypisał, który nie mogąc znieść wstydu, wyniósł się z Lublina, porzucił świat i został misjonarzem świętego Wincentego a Paulo. Więcej bywało podobnych przypadków, lecz że ich okoliczności dobrze nie wiem, dlatego ich nie opisuję. To tylko w ogólności powiem, że deputaci byli szanowani jak bożkowie, kiedy się sami umieli szanować; kiedy zaś który nie umiał zachować miary powagi swojej, nieraz ostatnia potykała go konfuzja.

Lubo zaś prawo polskie tak wysoko wyniosło powagę deputatów, iż za zniewagę królewskiego majestatu poczytało obelgę uczynioną z nich któremu i gardłem karać winowajców tego rodzaju kazało, nie zdarzyło się jednak i razu za mego wieku widzieć komu za to zdjętą głowę. Albo wieżą górną siedział przestępca, albo w cale był uwolnionym na drugim trybunale, albo przypadek takowy między czyniącymi został cichaczem zatarty. Także i to prawda, że takowego występku nicht nie śmiał probować z małej szlachty – tylko z wielkich panów lub ich ministrów w nadzieję swoich pryncypałów, na których osoby nie masz prawa w Polszcze, tylko na ich szkatuły i dobra. Bo choćby który z panów wielkich (jak ich nazywają: burzących) popełnił największy występek, nie karzą ich śmiercią, tylko grzywnami, czasem też wieżą, a w niedopełnieniu tego – zajazdem dóbr.

O limicie trybunału

Trybunał z Piotrkowa przenosił się do Lublina. Dzień początkowy jego był poniedziałek pierwszy po Niedzieli Przewodniej, to jest po łacinie: post dominicam conductus Paschae.

Jeżeli wjazd prezydenta do Piotrkowa bywał szumny, również – albo i okazalszy czasem – bywał wjazd marszałka do Lublina. Na reasumpcją bowiem trybunatu, gdzie trzeba było często nadstawić skóry, nie przybywali sami pryncypałowie, tylko ich subalterni albo pomocnicy. Tu zaś, iż już były rzeczy spokojne, zjeżdżali na asystencją marszałkowskim wjazdom najwięksi panowie: Potoccy, Lubomirscy, Czartoryscy, Rzewuscy, Tarlowie, Zamoyscy, Poniatowscy i inni ruscy majętni obywatele, oprócz hetmanów wielkich, którzy dla takowych festynów swojej powagi nie szarzali.

Wjazd marszałka bywał z jakiej wsi o milę lub o półmile Lublina bliskiej, gdzie który marszałek miał dom przyjacielski lub swój własny; z tego domu ciągnął marszałek w świetłej paradzie dworzan, karet, obywatelów, żołnierstwa i innego rozmaitego tłumu prosto na ratusz, gdzie zasiadłszy z deputatami bez żadnych komplementów powitania ziemstwo lubelskie, jako straż ksiąg i aktów trybunalskich, zapisało reasumpcją, czyli otwarcie trybunału, i jeden z sędziów tychże, pospolicie pisarz, jako młodszy w rzędzie ziemstwa, przeczytał głośno akt zapisany. Po wykonaniu tej prawnej uroczystości marszałek kazał odwołać sądy na dzień jutrzejszy. Zrobiwszy to, które to było całym dziełem reasumpcji, wychodzili wszyscy z ratusza.

Jeżeli marszałek miał stancją opodal na jakim przedmieściu (jak pospolicie miewał), tedy w kalwakacie, jaka się w przeciąg miejsca od ratusza do stancji zmieścić mogła, jachał do niej, a drudzy, którzy się pomieścić nie mogli, rozjeżdżali się na swoje kwatery. Jeżeli stancja marszałkowska była blisko ratusza, na przykład w rynku albo w murach miasta, szedł do niej pieszo w kompanii panów, otoczony z przodu i z tyłu mnóstwem asystentów. Tam dawał sutą kolacją, która zwykle do wpół nocy czasu na uczcie zabierała; nazajutrz w swojej domowej kalwakacie jechał albo szedł na ratusz. Tam zasiadłszy z deputatami kazał przywołać jaką sprawę, w której po zapisaniu komparycji znowu do jutra sądy były odwołane; obiad wielki u marszałka, a u prezydenta kolacja, lub też na wspak, jak się im podobało. Trzeciego dnia następowało powitanie trybunału przez jednego mecenasa imieniem całej palestry, toż przez jednego sędziego imieniem całego ziemstwa z odpowiedziami dziękczynnymi przez marszałka lub prezydenta imieniem całego trybunału.

Trafiało się też i to, acz nie każdego roku (podług humoru marszałków i wziętości burmistrzów), że i magistraty, piotrkowski i lubelski, składały trybunałom swoje powinszowania. Ta jednak submisja na sucho bywała przyjmowana, za powinność raczej niż za grzeczność poczytana. Nigdy mi się nie zdarzyło widzieć ani słyszeć nawet, żeby który marszałek lub prezydent oratora miejskiego i jego kolegów wezwał na obiad. Stan miejski też czując swoją wzgardę od szlachty nigdy się tam nie cisnął, gdzie ta biesiadowała. Dlatego jeżeli magistrat kiedy od którego z jaśnie wielmożnych wyżej wspomnionych przez politykę, choć nie przez uprzejmość, był na obiad po oracji proszony, nigdy się nań nie stawił, a gospodarz też, mając więcej i dystyngwowańszych gości, więcej się o niego nie pytał.

Nazwałem pierwszych urzędników tych dwóch miast burmistrzami, nie prezydentami; raz dlatego, ażebym nie uczyniwszy takiej dystynkcji między prezydentem trybunalskim i miejskim, pisania mego nie zawikłał; po wtóre dlatego, iż wspomnieni urzędnicy sami się nazywać prezydentami i przyjmować od kogo takie nazwisko wystrzegali przez skromność swego stanu i uszanowanie wyższego. Dla czego, choć po wszystkich innych miastach głównych w Polszcze prezydentów zwano prezydentami, w Piotrkowie jednak i w Lublinie od potrzeby mieli dwa nazwiska. Podczas trybunałów zwali się burmistrzami, a w czasie wakujących trybunałów nazywali się prezydentami.

Wracam się do reasumpcji trybunału: po odbytych powitaniach pisali ordynacją, po tej sprowadzali obraz Matki Boskiej z jakiego kościoła do kaplicy przedratusznej, obyczajem w piotrkowskiej reasumpcji opisanym. Stąd zaczynały się sądy trybunalskie, które tak w prawnych, jako też nieprawnych okolicznościach szły takim modeluszem, wykrętami i obrotami jak i w Piotrkowie, dla czego opisowaniem ich (które byłoby powtarzaniem opisu piotrkowskiego) nie chcę nudzić Czytelnika.

W wigilią wigilii św. Tomasza sądy się trybunalskie kończyły. Marszałek albo prezydent mową publiczną żegnał swoich kolegów, ziemstwo i palestrę; ci nawzajem przez jednego spomiędzy siebie żegnali trybunał, przesadzając się na panegiryki jedni dla drugich w administrowaniu świętej sprawiedliwości i gorliwym służeniu pacjentom, chociaż niejeden deputat i patron za niesprawiedliwą sentencją i szalbierskie usługi wart był kary, nie pochwały. W wigilią św. Tomasza już nie było żadnych perorów ani ceremonii.

Przystępowali deputaci do przysięgi, którą od nich ziemstwo odbierało, jako sądził według Boga, sumnienia i prawa i jako nie brał korupcji. Każdy deputat taką rotą przysięgał, ale nie każdy sumnieniem spokojnym i głosem wyraźnym wymawiał te słowa. Byli tacy, których kaszel dusił, choć go przed przysięgą i po przysiędze nie cierpieli, usta im bladły i ręka, położona na krucyfiksie, trzęsła się jak w paroksyzmie febry, ile kiedy na niektórych pacjenci przytomni wołali z boku: „Bój się Boga! nie przysięgaj, otoś brat korupcją, oto te rumaki zaprzężone do karety, oto te bryki naładowane sprzętami, którycheś z sobą nie przywiózł, wydają cię, żeś przedawał sprawiedliwość!" – deputat jednak, choć struchlały na poty, kończył co prędzej przysięgę; a tę skończywszy, co tchu wsiadał do powozu i uciekał z Lublina. A że też i podczciwi deputaci nie mieli nic więcej po przysiędze do czynienia,

przeto zaraz się po niej wszyscy rozjeżdżali. I weszło to już jakoby w powinność, że gdy deputaci szli na ratusz do przysięgi, powozy ich i bagaże stały przed stancjami, gotowe do drogi i pozaprzęgane.

Jeszcze mi przywróciła pamięć jeden artykuł, należący do trybunałów: tak w Lublinie, jak w Piotrkowie deputaci schodzili się co niedziela do kościoła na sumę i na kazanie, które dla nich miewał – w Piotrkowie w kościele farnym, w Lublinie w jezuickim – jezuita, ordynariusz trybunalski zwany. Ten miał wszelką wolność niemal

palcem wytykać niesprawiedliwość i rozpustę, i inne występki deputatów i palestry: a przecięż była jeszcze w Polakach jakaś bojaźń i respekt religii, że się o to nikt nie śmiał publicznie urażać. Zbywał każdy takowe dotchnięcie, jakoby do siebie nie należące, choć go koledzy jego poufali w bok trącali, że o nim mowa. Ci kaznodzieje starali się przez szpiegów, z umysłu trzymanych, dowiadywać o najskrytszych sprawach, które potem ukoloryzowane rozmaitymi krasomówskimi figurami z ambony rzucali na sprawców onych, których się każdy wiadomy domyślał, komu służą; z tym wszystkim nie widać było wielkiej poprawy w złem w nałóg obróconym, choć kaznodzieja dokuczał, można mówić, do żywego.

O komisji radomskiej

Ta komisja odprawiała się w Radomiu, trwała przez sześć niedziel poczynając w poniedziałek po św. Stanisławie biskupie. Prezydentem bywał zawsze biskup, marszałkiem – senator; inni komisarze z osób obywatelskich i wojskowych; naznaczano senatorów przez senatus consilium, a zaś wojskowych obierało wojsko. Sprawy do niej należały skarbowe i wojskowe, na przykład: kupców z oficjalistami skarbowymi o depaktacją i konfiskacją towarów; żołnierzy przeciw żołnierzom albo oficjerom lub całych chorągwi i regimentów przeciw swoim generałom i szefom o krzywdy w żołdzie, w awansie, degradacji, odprawie niesłusznej lub odmówionej nad kapitulacją, dymisji, czyli abszejcie, i tym podobnych okolicznościach pretendowane. Także miejsce tu miały skargi obywatelów na żołnierzy, wiolencje jakowe w przechodach i na stacjach albo krzywdy czyniących, od komenderujących chorągwiami i regimentami po rekwirowanej satysfakcji nie uspokojone. Jeżeli kto z obywatelów nie zapłacił podatku z dóbr swoich jakiej chorągwi lub regimentowi należącego i nie było sposobu przez egzekucją żołnierską – raz i drugi daną, wymęczyć go ze wsi i od szlachcica, tu go pozywano, a przewiódłszy zupełny proces, zadłużoną posesją zajeżdżano, która w dzierżeniu żołnierskim do nędzniejszego coraz przychodząc stanu, a tym samym coraz w większy brnąc dług, walor swój przewyższający, stawała się dziedzictwem chorągwi lub regimentu, dziedzic zaś wygnańcem. Co się najwięcej zdarzało po jakiej wojnie krajowej albo innej jakiej publicznej klęsce, podczas której nie było komu z pustej wsi podatku wypłacać; a skoro klęska minęła i zabrano się do gospodarstwa, chorągiew lub regiment, mający takową wieś w swojej repartycji, upominał się razem podatku zaległego za wszystkie lata od ostatniego kwitu, choć ta chorągiew albo ten regiment podczas tychże przypadków i rewolucji Bóg wie gdzie się obracał – choć na ten czas, od nieprzyjaciela zniesiony, swojej egzystencji nie miał, choć służąc w partii nieprzyjacielskiej, od niego płatnym był; choć sam tę wieś w gonitwie wojennej spalił; choć żadnej osoby z tych, którym żołd w czasie należał, nie miał; choć się de novo zrekrutował.

Kryminalne także sprawy, pod bokiem komisji popełnione, tumulty i bitwy wszczęte spokojność i bezpieczeństwo publiczne obrażające, sądzone i karane tu były. Likwidowały się przed tąż komisją wszystkie regimenta i chorągwie tak z percept i ekspens, jako też z kompletu głów, prawem naznaczonego; to wszystko odbywało się w Radomiu

biegiem pospiesznym, ile w sprawach uczynkowych, a co się nie mogło odbyć na jednej komisji, zostawało na drugą.

Palestra grodu radomskiego służyła tej komisji do opowiadania spraw, pisarz zaś radomski trzymał pióro. Instygatorowie, woźni tym sposobem służyli komisji, jak i trybunałom.

Mając zamiar wystawić Czytelnikowi obyczajność narodu pod panowaniem Augusta III, nie mogę zamilczeć ucztów, deboszów, pijaństwa i kosterstwa, którego przy wszelkim warunku komisji więcej tu nierównie bywało niżeli w trybunałach, ile gdy ten zjazd składał się po większej części z samych wojskowych osób, najwięcej z towarzystwa owych to znaków wielce poważnych, husarskich i pancernych, namiestników, pułkowników, rotmistrzów, przedniej straży i oficjerów autoramentu cudzoziemskiego, którzy w charakterze plenipotentów od swoich znaków i kompanij albo całych regimentów tudzież w prywatnych sprawach swoich tu się zjeżdżali. Ci tedy panowie wojskowi, nie potrzebując ceremonii zapraszania siebie na uczty i bankiety, poufałością żołnierską tłoczyli się do stołów i kielichów, gdziekolwiek widzieli stoły zastawione, ile gdy imię „towarzysz", wielce w narodzie poważane, dawało im wolny przystęp do każdej kompanii, a do tego nawet niebezpieczno było towarzysza, choć grubianina i natręta, niegrzecznym przyjęciem zafrontować. Każdy też, kto się chciał popisać z traktamentem dla przyjaciół, wiedząc takowy przymiot ludzi wojskowych, musiał się dobrze przysposobić w trunki i otworzyć piwnicę, aby nie tylko gościom zaproszonym, ale też i nie zaproszonym – tytułem grzeczności i atencji (choć ich o to nie prosił gospodarz i rad by się bez niej obył) – przybywającym wystarczyło. Kto tu byt komisarzem, można mu przyznać, iż wytrzymał najostrzejszy nowicjat cierpliwości. Towarzysz pijany wołał głośno kielicha dużego, a tym, podanym sobie, pił prosto do gospodarza lub obok stojącego przy sobie, choćby najdystyngwowańszego pana, właśnie jakby sam byt gospodarzem i swoim częstował winem; nie odebrać od niego i nie wypić – byłoby podać się w niebezpieczeństwo kłótni przykrej i napaści. Jedyny sposób był zabawić takiego przez nasadzone osoby, a tymczasem odlać gdzie na bok wino z kielicha i resztę kropel pozostałych w oczach tego wytrząsnąć do gardła. Na komisji radomskiej napatrzeć się było kielichów natłuczonych, obrusów i serwet sosami porozlewanymi poplamionych, sukien nawet na obojej pici i gorsów białogłowskich takimiż bigosami i frykasami uszamerowanych. Damy nawet, mające wszędzie ekscepcją

od kielichowej kolei, tu jej nie znajdowały; jeżeli takowych spełniać nie mogły, przynajmniej odebrać i pokosztować obowiązane były.

Trafiło się, że towarzysz pancerny z partii ukraińskiej, mato co od hajdamaka, za którymi uganiać się przywykł, obyczajniejszy, do panny stojącej w tańcu wypił duży kielich wina, z którym, w strych nalanym, czekał na nią, aż taniec skończy; a gdy ta wzbraniała się przyjąć do ręki takiego okrutnika – jako niezwyczajna pieścić się, tylko z wachlarzem i innymi delikatnymi galanteriami – towarzysz, poczytując nieodebranie za wzgardę, pełen kielich wylał jej za gors, powiedziawszy komplement jak balas: „Ponieważ wm. panna dobrodziejka nie jesteś łaskawa przyjąć ode mnie kielicha, niechże się przynajmniej kochane cycunie ochłodzą." Towarzysz – prawda – od kolegów trzeźwiejszych i więcej uszanowania dla pici białej i kompanii mających został wypchnięty, ale też tylko od kolegów, bo kto inszy gdyby się odważył uczynić jaką przykrość towarzyszowi, obruszyłby był na siebie cały ów zjazd wojskowy. Imię „towarzysz" było hasłem, na które zbiegali się zewsząd wszyscy to imię noszący: i nie można było pozbyć się napaści lub importunii towarzysza, tylko przez protekcją lub nasadzenie na niego innych towarzyszów.

A lubo ten gatunek wojskowy, pyszny, zuchwały i natrętny, tak sam między sobą, jako też z obywatelami lub autoramentu cudzoziemskiego oficjerami częste wszczynał rozterki i zwady, nigdy jednak nie przyszło w Radomiu do bitwy i pojedynku, bo to oboje było tam pod gardłem zakazane, a sąd, mający miecz w ręku, ściśle był respektowany jako najwyższa i istotna wojskowa jurysdykcja; dobyć szabli – było kryminałem; za czym wszelka kłótnia najwięcej kończyła się na hałasach, groźbie i odłożeniu zemsty do sposobniejszego czasu; lub jeżeli jaki zuchwalec porwał się do pałasza, wyrywali mu go z ręki jak miecz szalonemu, obkładali zewsząd guzami i wypychali z kompanii, a po takim traktamencie, jeżeli nie było dosyć, pozywali do sądu, który takowych ekscesantów czasem karał śmiercią, czasem też – za mocnymi instancjami, wiele wszędzie nad rygorem sprawiedliwości dokazującymi – aresztem, utratą regestru służby lub przesadzeniem z góry na dół, grzywnami, wieżą i publiczną deprekacją.

Com napisał o bitwach, rozumieć należy o samym tylko towarzystwie znaków poważnych i oficjerach autoramentu cudzoziemskiego, albowiem między żołnierstwem niższym... Za laski Prebendowskiego, wojewody malborskiego, w takowym tumulcie samych żolnierzów... .

Czytając takowe opisanie towarzystwa, niech nie rozumie Czytelnik mój, że wszyscy byli jednakowego ułożenia; byli też między nimi w cale grzeczni i umoderowani ludzie – mianowicie, którzy tylko dla honoru nosili imię wojskowe, a w samej rzeczy byli obywatele profesyj cywilnych: sędziowie, starostowie, urzędnicy powiatowi, mecenasi trybunalscy, ziemianie znacznych nawet substancyj. Co by zaś mieli za honor z sukni i rangi żołnierskiej, opiszę obszerniej pod artykułem o stanie wojskowym. Najwięcej prostoty i zuchwalstwa znajdowało się między tymi, którzy nie mając żadnej fortuny, ustawicznie chorągwi i znaków pilnowali, o których tamże będzie obszerniej. Oficjerowie cudzoziemskiego autoramentu, jako pod lepszą subordynacją zostający, a tym samym przywykli do szanowania starszych, nie mieli w sobie żadnej dzikości. Mieli także za obowiązek szanować rangi swoje, na sobie noszone, których nieszanowanie ściągało notę i poczytane było za występek; z tych przyczyn zawsze byli milsi w kompaniach od towarzystwa.

Karty i kości druga zabawa była w Radomiu dla wojskowych, na którą sarnę bez innego interesu i sprawy tu się zjeżdżali; jedni po wielkich kompaniach zakładali publiczne gry, drudzy w prywatnych stancjach dni i nocy trawili nad kartami i kościami, ogrywając jedni drugich do ostatniego szeląga i do koszuli. Trzecia, Wenus, jako faworytka Marsa nie zaniedbała do Radomia przysyłać swojego fraucymeru z Warszawy i Lublina dla zabawy ognistych rycerzów, obdarzając ich galanteriami francuskimi. Jak się komisja skończyła, wszystkie likwidacje i regestra odwożono do Warszawy, które tam pod ręką pisarza skarbowego i regenta kwarcianego zostawały, dekreta zaś w grodzie radomskim.

O sądach niższych szlacheckich i miejskich

Szlacheckie sądy składały się z ziemstw i grodów. Ziemstwo składało się z sędziego, podsędka i pisarza; ci trzej sędziowie obierani bywali na sejmikach powiatowych; na wakujące stallum obierali ziemianie trzech kandydatów, a król jednego z nich, który mu się podobał, konfirmował. Na taką elekcją podkomorzy zwoływał szlachtę; i często tak się trafiało, iż nim się wszystka szlachta dowiedziała o złożonym sejmiku, tymczasem już było po elekcji, co się trafiało wtenczas, kiedy ten, który się starał o urząd, miał wielu nieprzyjaciół, a przyjaznego

podkomorzego. Zaszłe manifesta o ukradziony sejmik nic nie ważyły, jak skoro król JM. oddał komu przywilej, chyba kiedy protestacje zaskoczyły podpis królewski, to do drugiej przystępowano elekcji, co się bardzo rzadko trafiało, choć ukradkowe sejmiki bardzo często bywały.

Sędzia, podsędek i pisarz mieli wszyscy równe vota decisiva; lecz który między tymi trzema był czynniejszy, ten dawał pospolicie ton drugim dwom swoim kolegom. Jeżeli który z tych trzech sędziów zachorował albo znajdował się pod procesem, albo umarł blisko nadchodzącej sądów kadencji, że czas nie wystarczał do elekcji innego, upadała kadencja sądów; przeto często się i gęsto po powiatach wydarzało, że nie bywało sądów ziemskich po roku i po kilka lat. W takowym niedostatku sprawiedliwości szlachta udawała się do sądów grodzkich, jeżeli gatunki spraw pozwalały. Sądy albowiem grodzkie nie podlegały takowemu defektowi.

Jeżeli sędzia grodzki dla procesu, choroby lub śmierci nie mógł sądów odprawować, starosta miał moc dać ten urząd na czas albo i na zawsze innemu; jeżeli zaś starosta umarł blisko kadencji sądów grodzkich, wtenczas w powiecie takowym nie było żadnych sądów. Lecz ta pauza niedługo trwała, bo starostwa, jako łakome rzeczy, prędko po jednym zmarłym do drugiego żyjącego rąk przechodziły; i mający łaskę u dworu niemal na duszy nieboszczyka sztafety po wakujące starostwo wyprawiali. Sądy ziemskie miały kadencje swoje dwa, a w niektórych ziemiach trzy razy do roku: od dwóch kadencji zwane były półroczkami.

Sądy grodzkie odprawimy się wszędzie cztery razy do roku. Jednej formy oficjalistów nie miały wszędzie; w województwach poznańskim i kaliskim tylko były trzy grodzkie sądy, w Poznaniu jedne, w Kaliszu drugie; tych sędziowie nazywali się surogatorami, byli subalternami generała wielkopolskiego i sami tylko mieli votum decisivum; pisarze zaś ich tylko votum consultivum. Wszakże kiedy pisarz miał więcej oleju w głowie niż pan surogator, dysponował sentencją. W Wschowie były trzecie grodzkie sądy, dependujące od starosty, nie od generała; w Wschowie sprawujący jurysdykcją grodzką nie nazywał się surogatorem jak w Poznaniu i Kaliszu, ale grodzkim sędzią; miał także pisarza przydanego cum voto consultivo. Sądy ziemskie z postanowienia swego były wyższe od grodzkich i mocja, czyli apelacja, powinna była iść od sądów grodzkich do ziemskich; ale grody nigdy nie słuchały tych stopniów; choć kto zakładał mocją od dekretu grodzkiego do ziemstwa, gród nigdy jej nie zanotował, lecz odesłał prosto do trybunału, dając

przyczynę z powszechnego axioma prawnego: „Par super parem non habet potestatem", a tym pokazując się w władzy równym sądowi ziemskiemu. Sprawy niemal wszystkie też same odbywały się w grodach co i w ziemstwach, wyjąwszy sprawy o dziedzictwo i zastawę dóbr, które należały do samego ziemstwa.

Palestra taż sama służyła sądom ziemskim co i grodzkim: inkwizycji słuchanie należało do komorników ziemskich, burgrabiów i subdelegatów grodzkich. W kryminalnych atoli sprawach sami sędziowie z komornikami obowiązani byli zatrudniać się inkwizycją. Lecz w innych, mniejszej importancji sprawach najwięcej wyznaczali do słuchania inkwizycji subdelegatów, którymi zazwyczaj bywali ludzie młodzi, cienkie dochody mający, a zatem na obrywczą czuwający, więc inkwizycji słuchali z faworem więcej dającej stronie, a kiedy z każdej strony inny był wyznaczony subdelegat, to każdy swoją stronę starał się jak najdyskretniej opisać, a przeciwną obwinić, chyba że mu mało dała albo nic, to wtenczas pisał prawdę bez ogródki podług zeznawania świadków. Mieli też i drugi sposób naznaczeni do słuchania inkwizycji oficjalistowie, aby prócz należącej im ze skrzynki porcji, zyskali od strony jaki czerwony złoty: przyprowadzonych świadków zbywali niedostatkiem czasu. Więc kiedy ten, co miał wyprowadzać inkwizycje, przyszedł raz i drugi do słuchacza, a ten się mu wymawiał, iż ma pilniejsze interesa, porozumiawszy rzeczy musiał sięgnąć do kieszeni, ułatwić datkiem czas, którego brakowało, niżeli z świadkami dzień jeden i drugi albo i trzeci ekspensować się w mieście na żywność. A skoro mu w rękę wsadził co dobrego, natychmiast pan oficjalista czas znalazł i świadków ekspediował.

W województwach mazowieckich, małopolskich i ruskich komplet sędziów grodzkich był większy niż w opisanych dopiero wielkopolskich i nomenklatura inna. Tu pierwszy sędzia nazywał się podstarostą; drugi sędzią grodzkim; trzeci jak wszędzie pisarzem, z tą różnicą, iż w jednych województwach pisarz miał votum consultivum, w drugich decisivum.

O torturach

Tortury były używane w sprawach gardłowych, kiedy winowajca albo przez inkwizycją nie był doskonale o występek przekonany, albo choć był, ale się nie chciał przyznać do tego, co mu inkwizycjami do-

wodzono; którego wyznania winy podług zwyczaju, w wszelkich sądach praktykowanego, koniecznie po winowajcy wyciągano i choć go zaprzeczanie inkwizycjom nie uwalniało od śmierci, jeżeli te były dokładne, przecięż go w takowym razie brano na tortury, których żaden kryminalista uniknąć nie mógł, chyba kiedy się sam dobrowolnie przyznał do tego występku, który mu zadawano. Nawet kiedy przyznał się podczas tortury, a po odbytych mękach zapierał się, znowu go drugi i trzeci raz męczono. Jeżeli po trzech torturach wytrzymanych wracał się do zapierania, oglądali się sędziowie na okoliczności dowodów i inkwizycje świadków; jeżeli te były mocne, winowajcę śmiercią karano, nie zważając na jego zaprzeczania, zaciętości umysłu i cierpliwości ciała przypisane. Jeżeli dowody i inkwizycje byty słabe, jeżeli się więzień nie przyznał na torturach albo, przyznawszy się na jednych i drugich, a na trzecich zaparł, uwalniano go z wolnym popieraniem kary na stronie, na której instancją był męczony; jeżeli nie było żadnych dowodów, tylko podobieństwa, a przy tym więzień na pierwszych, drugich lub trzecich torturach przyznał się i więcej przyznania swego nie odwołał, był stracony. Jeżeli podobieństwa były mocne, a winowajca tortury wytrzymał bez przyznania się statecznie, uwalniany zostawał. Lecz i strona instygująca była wolna od kary za udręczenie winowajcy z przyczyny mocnych – jako się wyżej rzekło – do prawdy podobieństw. Najwięcej zaś takowe męczenia ludzi, czasem niewinnych, dlatego bezkarnie uchodziły, że pospolicie osoby, które brano na tortury, były albo włóczęgowie, albo poddani panów swoich, którzy ich męczyć dawali, albo z ostatniego motłochu, za którymi nie miał sit kto ująć; przeciwnie zaś oddający obwinionych na torturę musieli być ludzie majętni, ponieważ ekspedycja tortur wiele kosztowała.

Tortury, czyli sposób męczenia ludzi był takowy: w miastach pryncypalnych pod ratuszem była piwnica do tego używana, w której ścianach w jednej był osadzony hak żelazny, gruby, z kółkiem takimże wysoko od ziemi na półtrzecia łokcia; w drugiej ścianie takiż hak z kółkiem od pawimentu, czyli od ziemi, na łokieć; na środku piwnicy postawiono niski stołek, na nim kat posadził więźnia, związał mu w tył ręce jednym powrozem, drugim powrozem związał nogi do kupy, a końce powroza przywiązał mocno do kółka niższego; przez powróz u rąk przewlókł inny postronek, długi, smagły i dobrze łojem dla lekkiego pomykania się wysmarowany; ten postronek, przez kółko wyższe pojedynczo przewleczony, trzymał za koniec – raz i drugi sobie około ręki okręciwszy, aby się mu w ciągnieniu nie wymknął.

Przyporządziwszy tak więźnia i stanąwszy tuż przy nim na boku, pociągnął lekko postronka do wyprostowania go tylko podług odległości, jaka była od rąk winowajcy do kółka, ażeby ani kółko, ani postronek nie wisiały, tylko się znajdowały w wyciągłości. Na boku przy ścianie naprzeciw więźnia postawiono stolik i stołki z kałamarzem, piórem i papierem na stoliku, za którym zasiadł wójt z jednym lub dwiema ławnikami, a na rogu stolika pisarz miejski. Gdy już wszystko było przygotowane, instygator miejski, stojący przy wójcie, imieniem delatora przytomnego lub nieprzytomnego (jak mu się podobało) w krótkiej perorze upraszał owego szlachetnego magistratu, ponieważ więzień dobrowolnie nie chce się przyznać do ekscesu popełnionego, aby go wskazał na tortury podług świętej sprawiedliwości. Wójt zatem zaczął się pytać więźnia najprzód: jakiej jest kondycji, jakiej wiary, gdzie się rodził, czym się bawił od młodości lat aż do czasu ostatniego swojej kaptywacji, jeżeli już kiedy nie był o podobny kryminał obwiniony, sądzony lub torturami próbowany? Gdy na te wszystkie pytania więzień odpowiedział, jak rozumiał, a pisarz wszystkie pomienione depozycje zapisał, dopiero wójt przystąpił do rzeczy, o którą chodziło. Mówił łagodnie do więźnia po imieniu: „Podobnoś to ty (lub waszeć) tę kradzież, tę zbrodnią popełnił, przyznaj się dobrowolnie, nie daj się męczyć; zapieranie się nic ci nie pomoże; czy się przyznasz, czy się nie przyznasz, równo się od śmierci nie wybiegasz, bo są na ciebie wielkie dowody, żeś to ty, a nie inny, zrobił; a przyznawszy się dobrowolnie, nie będziesz mąk przygotowanych cierpiał; przez wzgląd na dobrowolne twoje wyznanie winy sąd cię łaskawszą śmiercią skarze; a jeżeliś to uczynił z ostatniej nędzy (na przykład gdy szło o kradzież) albo z nieostrożności, albo z pierwszej popędliwości (gdy kogo zabił), albo z głupstwa (gdy szło o czary), albo z namowy cudzej nauczywszy się tego od drugich starszych czarowników albo czarownic, przyznaj się, może cię sąd za twoją pokorę życiem darować."

Gdy więzień na te pierwsze łagodne perswazje nie przyznawał się, zaklinał go znowu wójt na wszystkie świętości religii, na zbawienie duszy własnej, którą podaje w niebezpieczeństwo utraty, kiedy grzechu na siebie wyznać nie chce i przez jedyną zaciętość ciało swoje grzeszne na męki eksponuje. Gdy te egzorty nic nie wyciągnęły z więźnia, dopiero wójt rzekł do instygatora: „Panie instygator, mów mistrzowi, niech sobie postąpi według prawa." Instygator zawołał na kata: „Mistrzu, postąp sobie według prawa"; kat, nim przystąpił do egzekucji rozkazu, zawołał po trzy razy: „Mości panowie zastolni i przedstolni

(wyrażając tymi terminami urząd siedzący za stołem i instygatora stojącego przy stole), czy z wolą, czy nie z wolą?" Instygator odpowiedział mu za każdym razem: „Z wolą." Dopiero kat silnie pociągnął za sznur, czyli powróz, którego koniec trzymał w ręku, jako się wyżej rzekło; wtenczas ręce więźnia poczęły się wyłamywać z stawów ramion, podnosić się w górę tyłem głowy i stanęły z nią w równej wysokości, pozytura zaś więźnia, podając się wyższą częścią ciała za sznurem, pośladkiem znajdowała się na stołku; nogi zaś, wyciągnione i do haka przywiązane, wisiały jak na powietrzu. Więzień przeraźliwym głosem wrzeszczał co z gardła: „Nie winienem! nie znam się do niczego! nie męczcie mię! Zaklinam was na straszny sąd boski, puśćcie mię", i tym podobnie; albo jeżeli był miętkiego przyrodzenia, prosił o pofolgowanie i to otrzymawszy, przyznawał się do tego, o co byt obwiniony, powiadał nawet inne ekscesa rozmaite w życiu swoim popełniane, gdyż oprócz występku sprawę czyniącego, nie zaniedbywano nigdy egzaminować go z całego życia. Po takim wyznaniu już nie był więcej dręczony. Lecz jeżeli się do niczego nie chciał przyznać albo też inne występki powiadał, a ten, o który chodziło, taił, trzymany w pozyturze pierwszego traktu, czyli pociągnienia, znowu z poprzedzającymi magistratu, instygatora i kata rozkazami i pytaniami byt mocniej pociągniony.

Do drugiego traktu kat przybiera) swego czeladnika hycla; obaj tedy, co mieli sił, ciągnęli za sznur: więzień wyciągną) się jak strona, ręce wykręciły się tyłem i stanęły w prostej linii z ciałem nad głową, w piersiach zrobił się dół głęboki, w który tłoczyła się głowa; cały człowiek wisiał na powietrzu, nie dotykając już nic stołka. Wszystkie żebra, kości i junktury w nim niemal widać było, że mógłby je porachować; do tortur albowiem rozbierano delikwentów do naga obojej płci, same tylko miejsca wstydliwe jakim chuściskiem obwinąwszy. Więzień tu już dobywał tchu ostatniego siląc się na wrzask albo też zdawał się go pozbywać wszystkimi otworami natury, wyrzucając z siebie z kaszlem i grzmotem gęste, wodniste i flegmiste ekshalacje, które iż zarażały przytomnym nosy i widok przykry sprawowały, przeto ci wszyscy, którzy takowych tortur dyspozytorami, egzekutorami i spektatorami być musieli albo chcieli, mieli na pogotowiu kadzidło i trunki na odpędzenie smrodu i pokrzepienie serca kompasją wątlejącego. Niektórzy więźniowie – mdłością ściśnieni – zdawali się w tych mękach usypiać, nie dając żadnego znaku życia prócz jednej pary z ust wychodzącej, której przyłożonym zwierciadłem próbowano, i gdy tak

długo w milczeniu zostawał, przymuszano go do odezwy nowym męki rodzajem, której opis po kilku wierszach nastąpi.

Jeżeli się trafiło, że więzień w samej rzeczy umarł na torturach, wszystko się natychmiast skończyło, pochowano zmarłego, a sprawa przepadła. Trafiali się tacy delinkwenci, którzy, miasto prośby o folgę, używali ostatnich słów obelżywych na stronę i sędziów, do podziwienia mężnie najgorsze katownie wytrzymując, a tacy się trafiali najczęściej z złodziejów. Za drugim traktem, dopiero opisanym, kiedy więzień w uporze był zatwardziały, kładli mu na nogi żelazo, ostre karby na kształt zębów u pity mające, z dwóch sztuk złożone, przez które przechodziły z obóch końców śruby; tymi śrubami hycel ściąga) żelaza zębate na wierszch piszczeli nóg i pod spód zadane, które coraz bardziej gniotąc i kalecząc nogi, nieznośny ból winowajcy wyciągnionemu i bynajmniej nie spuszczonemu zadawały. mistrzowie te żelaza – dybkom podobne – po swojemu nazywali botami hiszpańskimi; nie wszędzie ich używano, tylko w miastach większych. Powiadano mi za rzecz pewną, iż nie znalazł się żaden delinkwent, którego by takie obuwie do przyznania się nie zmiękczyło. Kropienie siarką gorącą, przykładanie do boków blach rozpalonych, czego po innych miastach używano, nie było tak skuteczne, jak te hiszpańskie boty.

Po innych miastach mniejszych albo i po wsiach, kiedy do nich miejski urząd na taką inkwizycją był sprowadzony, męczono więźnia w lada domu lub stodole, ciągnąc go na drabinie położonego i do szczebla pierwszego i drugiego przywiązanego, podłożywszy pod niego deszczkę, aby się ręce o szczeble nie zawadzały. Kiedy miano czarownice i czarowników próbować torturami, kacia, zabobonnicy i guślarze wielcy, golili im najprzód włosy wszędzie, gdziekolwiek te ozdoby i zasłony ludziom natura data, powiadając, iż w włosy diabeł się kryje i nie dopuszcza czarownicy lub czarownikowi wyznania i że ukryty w włosach za niego lub za nią cierpi, biorąc za przyczynę takowego mniemania owo ciche i spokojne tortur wytrzymowanie, wyżej wyrażone, z mdłości i upadku z gruntu na siłach pochodzące, nie z łaski diabła, któremu się jako zdrajcy i nieprzyjacielowi ani śniło cierpieć za człowieka. Golili też także i złodziejów, twardych do przyznania. Żydom zaś, wskazanym o jakikolwiek eksces na tortury, regularnie tę galantomią czyniono, choć nieraz ogolony tak Żyd bez mydła wszystkie męki nie przyznawszy się – albo i chrześcijanin – wytrzymał. Wtenczas kacia, w rzeczach fizycznych wielcy błaznowie, udawali, że im jakiś wielki czarownik tortury oczarował, iż swego skutku wziąć nie mogły. Podobnież

spędzali na oczarowanie placu niesprawność ręki swojej, kiedy kogo pod miecz skazanego niegładko ścięli. Lecz im ta ekskuza przed mądrymi magistratami nie uchodziła, od których pospolicie za niesprawną egzekucją bierali po sto batogów.

Skończywszy pierwsze tortury z sukcesem pomyślnym lub niepomyślnym względem wybadania prawdy, kat więźnia spuszczał z tortur i odejmował z nóg boty hiszpańskie, jeżeli do nich przyszło; posadził go na stołku tak jak przed torturami; wziąwszy potem ręce powykręcane, odkręcał nazad z nowym bólem; potem założywszy je na krzyż przed piersi więźnia – kolanem między łopatki tłocząc i rozmaicie wiercąc – nabijał i naprowadzał w stawy, co było mało co mniej bolesne od samej tortury; ubrał potem więźnia w suknie i zaprowadził do aresztu, z którego do katuszy byt przyprowadzony.

Takie tortury na twardych więźniach lub niejednostajnych w wyznaniu winy były powtarzane do trzeciego razu, odpoczynkiem kilkudniowym dla wzmocnienia sił przeplatanego, za którym dopiero następowa) dekret śmierci lub uwolnienia – odług okoliczności.

Tortur nie atentował nigdy żaden sąd szlachecki; ale jeżeli kogo trybunał, ziemstwo albo gród wskazały na tortury, odsyłano go z ekspedycją onych do urzędu miejskiego. Tęż sarnę ceremonią czyniono i z dekretami kryminalnymi, w których na końcu po sentencji śmierci dokładano: „pro cuius modi executione reum ad officium scabinale civitatis praesentis remittit", oprócz sądów marszałkowskich koronnych i litewskich, z których prosto, nie referując się do miasta, winowajcę na plac prowadzono. Jurysdykcja albowiem marszałkowska ma swoich żołnierzy, a inne jurysdykcje nie mając odsyłają do miast, które miasto żołnierzy otaczają więźnia ludźmi młodszymi rozmaitych cechów, halabardami i szablami na ten czas uzbrojonymi. Trybunały zaś, choć mają asystencją żołnierza komputowego, nie chcą go szarzać; wszakże widzieliśmy nieraz więźnia, wychodzącego na plac pod bronią żołnierza komputowego, kiedy był dystyngwowany urodzeniem, i stąd wynikała bojaźń odbicia go i uwolnienia gwałtownego.

O sądach kanclerskich

Sądy te miały nazwisko trojakie: najprzód zwały się sądami królewskimi, iż kanclerze wyręczali w nich królów, do których odbywać takowe sądy należało; po wtóre: sądy asesorskie, iż w nich zasiadali z

kanclerzem lub podkanclerzym dygnitarze koronni, jako to: sekretarze, referendarze, pisarze, instygatorowie i przydani z senatu i stanu rycerskiego niektórzy asesorowie, których naznaczało senatus consilium; po trzecie: sądy kanclerskie, iż tylko sam kanclerz albo podkanclerzy dawał sentencją. Asesorowie nie mieli, tylko votum consultivum – pisarz zaś dekretowy asesorski miał votum informativum, to jest, iż do niego należało w przypadku jakowej ciemności w sprawie lub prawie dawać sądowi oświecenie, jak ma być rozumiana, nie mięszając się do samej sentencji, który przymiot oświecenia nie każdy posiadał pisarz. Bywali tacy pisarze, co im sentencją jak żakom okupacją słowo po słomie dyktować trzeba było albo też ją patronowie koncypowali i gotową pisarzowi poddawali. Co stąd pochodziło, iż subiekta mocniejsze wolały się trzymać patronizacji, większy zysk przynoszącej, niż osiągać pióro mniej importujące, a więcej zadające pracy. Jeden z pieczętarzów, kanclerz lub podkanclerzy, odprawiał sądy podług woli między sobą umówionej, do której pierwsze miał prawo kanclerz przed podkanclerzym, chyba że kanclerz nie chciał się zatrudniać tym pracowitym obowiązkiem, to go ustępował podkanclerzemu. Czas sądów asesorskich był długi: od 1 oktobra do 30 kwietnia w Koronie i Litwie.

Porządek zasiadających i stawających takowy: przy jednym końcu długiego stołu, suknem karmazynowym nakrytego, siedział pieczętarz na krześle o dwu poręczach; po bokach stołu, z obu stron, na krzesłach bez poręczy siedzieli asesorowie podług starszeństwa swego, którzy czasem do wpół stołu zastępowali. Po nich, w oddaleniu, na kraju stołu zasiadał pisarz dekretowy. Przy drugim końcu stołu, prosto w kanclerza, stawali patronowie do sprawy należący; inni, nie należący do sprawy, i pacjenci mieścili się za pierwszymi albo też na ławach lub kanapach, w sali sądowej przy ścianach rozstawionych, spoczywali. Gdy w granicznej sprawie trzeba było na mapie okazywać dukla i inne miejsca, patronowie przybliżali się do kanclerza i na położonej przed nim mapie za pomocą cybuchów długich wytykali dukla, znaki graniczne i co było w rzeczy, a kanclerz i asesorowie, takimiż skazówkami od patronów opatrzeni, za nimi sylabizowali. Który modelusz i w trybunatach w sprawach granicznych zachowywano, o którym żem zapomniał w swoim miejscu, przepraszam Czytelnika. Po wytchnięciu mapy patronowie wracali się do miejsc swoich, próbując dokumentami znaków, na mapie pokazanych, których stosowność z tłomaczeniem patronów z tejże mapy, przed sobą zostawionej, sędziowie rekognoskowali.

Miejscem sądów asesorskich bywał pałac pieczętarza, w jednej sali z przysionkiem dla ustępu wygodnej. Instygatorowie skrzynkowi miejsca tu nie mieli, gdyż asesoria, króla sądzącego znacząca, grzywien dla siebie nie naznacza, tylko stronie dla strony; ani instygatorowie securitatis, bo sądy kanclerskie agitowały się pod bokiem królewskim, gdzie publicznego bezpieczeństwa strzegli z urzędu swego marszałkowie wielcy lub w niebytności tych marszałkowie nadworni: w Koronie koronni, w Litwie litewscy. Woźny tylko jeden; ten rzadko kiedy miał potrzebę upominać znajdujących się o milczenie, gdyż tu wielka skromność panowała, a jeżeli kiedy powstał jaki szmer, woźny miernym głosem zawołał: „Mości panowie, uciszcie się, nie rozmawiajcie, respekt sądu!" – i na tym było dosyć. Sprawy z regestru czytał pisarz, a jeżeli zaraz do nich należący nie odzywali się patronowie, czasem na bok oddaleni i nie dający atencji, to wtenczas cokolwiek wyższym głosem od mowy ordynaryjnej powtórzył woźny wpis przychodzący. Patronowie opowiadali sprawę wolnym głosem. Lubo kanclerz zasiadał z asesorami, nie mianowano jednak sądu w liczbie składanej, tylko w pojedynczej, obracając mowę do samego tylko pieczętarza, mówiąc: „jaśnie wielmożny" lub „jaśnie oświecony (jeżeli był książęciem) miłościwy panie i dobrodzieju" – nie: „jaśnie wielmożni miłościwi panowie".

Sposób opowiadania spraw był dwojaki: jeden z pamięci, drugi z karty; i ten drugi nazywał się mówieniem z instancji; oddawany bywał do pióra po odbytych induktach i kanclerz w dekrecie musiał wyrażać pobudki, jakie miał do odrzucenia jednej, a przychylenia się ku instancji drugiej strony. Kiedy nie przez instancją, tylko słownie opowiedziana bytu sprawa, nie wspominano w dekrecie instancji, ale tylko dokumentu, które ważniejszymi być się zdawały. Patronowie asesorscy pospolicie bywali plebejuszowi; z rzadka kiedy zamięszał się między nich szlachcic, dla czego palestra asesorska nie brutala się z grodzką i ziemską, od której była mniej poważana, jako nierówna urodzeniem, choć bogatsza; dzieliła się na dwie klasy: na patronów i agentów. Tych ostatnich przez urąganie palestra grodzka nazywała torbiferami, dlatego że dokumentu i księgi prawne za swymi pryncypałami nosili na sądy w torbach płóciennych. Agentów powinnością było: pisać sumariusze, przepisować na czysto instancje, przeglądać często regestra dla wiadomości, jak dalekie są sprawy, do których należą ich pryncypałowie, i przepisane z regestru, który wszedł na stół, mieć przy sobie na pogotowiu; a oprócz tych obowiązków mieć nogi nieleniwe do wszelkich

usług i poselstw jmci pana patrona i jejmci pani patronowej, czasem nawet po pietruszkę na rynek albo do szewca po trzewiki. Do takich jednak usług nie zażywani bywali, tylko nowicjuszowie i ci, którzy mieli stancją i stół od pryncypała; którzy zaś edukowali się swoim kosztem albo mieli po sobie młodszych, pilnowali tylko pióra i rzeczy sądowych. Promocja do patronizacji zależała od aplikacji i łaski pryncypatu. Kiedy agent został patronem, brał patent od króla na sekretarza Jego Królewskiej Mości, dla którego charakteru, choć nie był szlachcicem, służył mu tytuł szlachecki, po łacinie: generosi, po polsku: urodzonego.

Sprawy do sądów kanclerskich należały: mieszczan z mieszczanami prywatnymi, od magistratu miejskiego przez apelacją za dworem wytoczone; pospólstwa albo i prywatnego mieszczanina przeciw magistratowi; klasztorów, zgromadzeń i kościołów, które miały grunta, domy, kamienice, place na prawie magdeburskim lokowane, które miały zapisy lub pożyczane sumy na dobrach miejskich; starostów z miastami i nawzajem; szlachty graniczącej z starostwami i dobrami królewskimi stołowymi; sprawy 0 otrzymane kaduki na dobra, sukcesje prawego dziedzica nie mające i przeto prawu królewskiemu rozdawniczemu podpadające; sprawy między dwoma na jeden urząd (starostwo lub dzierżawę królewszczyzny) przywileje otrzymującymi; także sprawy szlacheckie, które z posesji w miastach nabytej albo z sukcesji przez ożenienie szlachcica z mieszczką wynikały. Zgoła wszystkie sprawy miały forum w asesorii, które tykały praw miejskich i przywilejów królewskich, w rozpoznanie których żaden inny sąd nie mógł się wdawać, tylko asesoria. Dlatego patronowie asesorscy musieli być biegłymi tak w prawie magdeburskim, chełmińskim i innych prawach miejskich, jako też w statutach królewskich i konstytucjach koronnych. Byli więc mądrzejsi od innych patronów, mianowicie w tym, że drożej rozum swój przedawali. Nawet skryptury i ekstrakty wszelkie asesorskie, z rąk agentów wychodzące, droższe tu były niż w innych sądowniach; moneta i talery, choć kurantowe, niewielką miały tu kurencją, tylko złoto, a jeszcze obrączkowe.

Cokolwiek zaś wychodziło z protokołu dekretowego lub z metryki koronnej, ordynaryjną miało taksę: od arkusza – czerwony zloty; ale też za to pisano ściślejszym charakterem niżli w grodach, ziemstwach i trybunałach, gdzie prawo naznaczyło od arkusza po złotemu, a na jednej stronie, czyli facjacie, arkusza kazało mieścić wierszów dwadzieścia, nie dołożywszy, wiele powinno być liter w jednym wierszu. Sto-

sując się tedy do prawa pisano – prawda – na jednej kolumnie po dwadzieścia i więcej wierszów, ale w wierszu ledwo się znajdowało po dwa lub trzy słowa, tak że co się mogło spisać na jednym arkuszu, zabierało pięć, sześć, a równo nie wychodziło piszącemu na złotych osimnaście, ile przy większej ekspensie na inkaust i papier.

W asesorii litewskiej taż sama była forma sądu co i w koronnej, wyjąwszy prawa, które w rozmaitych przypadkach służyły samemu tylko Wielkiemu Księstwu Litewskiemu, i palestrę, która składała się z samej szlachty, a do tego urzędników: stolników, cześników, mieczników, horodniczych, mostowniczych i tym podobnych bądź aktualnych, bądź tytularnych; w niższej zaś palestrze: stolnikiewiczów, cześnikiewiczów, cywunowiczów i tam dalej – rozmaitych cyców.

Metryki w Koronie były dwie: większa i mniejsza; i w Litwie takież dwie; nazywały się dlatego większymi i mniejszymi, że służyły pieczęciom większym i mniejszym; pieczęci zaś brały nazwiska od pieczętarzów, z których kanclerze zwali się pieczętarzami większymi, podkanclerzowie mniejszymi, chociaż urząd obydwóch był jednakowy i same pieczęci równe były sobie w ogromności. Pieczęci pomienione wyrażały: na krzyż dwa Orły – herb koronny, i dwie Pogonie, to jest: dwóch jeźdźców zbrojnych na koniach – herb litewski; w środku herb królewski, jakim się panujący pieczętował.

W metryki wpisowano wszystkie przywileje i dyplomata, które spod ręki królewskiej wychodziły; oprócz tego metryki pomienione były aktami publicznymi; wolno było każdemu czynić w nich wszelkie transakcje kupna i przedaży, rezygnacji, intercyzów szlubnych, manifesta, nawet i oblaty wszelkich skryptów; miała każda transakcja w metryce uczyniona taką ważność, jakby była uczyniona w własnym grodzie albo ziemstwie. Same tylko relacje pozwów nie miały w metrykach miejsca, prawem do własnych powiatów pod nieważnością pozwu odesłane.

Żeby między metrykami nie było zamięszania, żeby metrykanci jedni drugim akcydensów nie odbierali, żeby szukającym dawnych przywilejów łatwiejsza kwerenda była, zachowywano ten porządek, iż spod jakiej pieczęci przywileje królewskie wychodziły, w takiej metryce ingrosowane być musiały. Protokoły jednak zakończone do jednego archiwum odnoszono: koronnych metryk do archiwum koronnego, litewskich do litewskiego. Metrykant ten miał więcej zysku, który służył pieczęci czynniejszej; który pieczętarz prędzej odbywał przywileje, do tego się bardziej garniono, a zatem i metrykant jego więcej profitował. Między pieczętarzami w tej mierze nie było żadnego

Między pieczętarzami w tej mierze nie było żadnego działu; wolno było każdemu otrzymującemu przywilej od króla zanieść go do pieczęci, do której się mu podobało; chyba że zaszła rekomendacja ode dworu albo od protektora wyrabiającego przywilej, aby do tej, a nie innej pieczęci był podany, co się działo według faworu pieczętarzów, w jaki który u króla lub magnatów obfitował, i według ważności interesu, kiedy miarkowali, że zyskujący łaskę królewską dobrze pieczęć złotem nasmaruje, którym się przy końcu panowania i sam dwór nie brzydził, biorąc znaczne sumy za konferowane panom polskim wakanse i starostwa. Acz po prawdzie te opłaty nie dostawały się do kasy królewskiej, na imię której były wyciągane, ale szły do szkatuł grafa Bruhla, ministra królewskiego, i Mniszcha, marszałka nadwornego, zięcia jego.

Każdy pieczętarz miał sekretarza, który przywileje królewskie pieczętował i na nich się podpisował. Ten urząd mający dosyć honoru, pożytku zaś tyle, ile go udzielał sekretarzowi pieczętarz, nie zawsze posiadali szlachta, bywali czasem sekretarzami pieczęci plebejuszowie duchowni i świeccy. Należało albowiem do pieczętarzów powierzyć pieczęci, komu się podobało; człowiek zatem zdatny, każdemu przygodny i w protekcji kanclerza zostający, miał pokój z strony urodzenia, które wielom niewiadome, od wiadomych zaś dysymulowane będąc, za szlachetne uchodziło.

O sądach referendarskich

Wszystko się w tych sądach toczyło jedną formą, co i w sądach kanclerskich; ta sama powaga, ta sama władza, jako namiestnicza królewska. Był to sąd chłopów królewskich, tak z starostw, jako też dóbr stołowych, aby chłopi królewscy w uciążliwościach swoich od starostów i ekonomów znajdowali sprawiedliwość i protekcją. Lecz ich ta szczęśliwość rzadko kiedy potykała, a choć potkała na papierze przez dekret wygrany, to w egzekucji nie wzięła skutku albo niedołężny, przemocą, czasu przewłoką i tysiącznymi wybiegami skażony. Patronowie i palestra służyła sądom referendarskim ta sama, co i asesorskim. Pisarz referendarski bywał zawsze człowiek w rzemieśle prawniczym doskonały; że bowiem referendaria otwierała się po skończonej asesorii i kursu swego nie miała, tylko kilka niedziel, przeto patronowie asesorscy najlepsi przyjmowali ją dla honoru, gdy ten nie odbierał im pożytku z patronizacji asesorskiej z piórem referendarskim zgodnej, i gdy akcydensa patronizacji, w sądach

densa patronizacji, w sądach referendarskich opuszczonej, nadgradzał prowent od dekretów równy albo mało co mniejszy.

Referendarskie i kanclerskie sądy były ostatnią instancją; dekret jeden z obu stron kontrowersji, a po litewsku oczywisto otrzymany, kończył sprawę. Czasem jednak za reskryptem królewskim bywała drugi raz roztrząsana i sądzona, kiedy strona mająca się za pokrzywdzoną znalazła u dworu mocną protekcją; lecz jeżeli swoją mniemaną krzywdę popierała bez słusznych przyczyn, w nadzieję tylko wsparcia królewskiego, jeszcze gorzej przegrała za drugim razem jak za pierwszym; musiała bowiem odpowiedzieć i za zatrudnienie sądu, i za fatygę Jego Królewskiej Mości. Kiedy zaś dwór nie z powodu obcych instancji, ale z powodu reprezentacji ministra swego serio się za sprawą interesował, wydawał póty reskrypta po sentencjach, póki dekret nie stanął w trybach pożądanych.

Najwięcej takich reskryptów wychodziło za miastami, w sektarzów Marcina Lutra i grafa Bruhla ludnymi. A lubo asesoria i referendaria były sądem najwyższym, jako królewskim, od którego żadna nie szła apelacja, przecież widzieliśmy przykład apelacji za Jana Małachowskiego, kanclerza. W sądach jego miał sprawę Mniszech, marszałek nadworny koronny, z Karwickim o wieś Rokitno, tegoż Karwickiego dziedziczną, ale od Mniszcha za królewską do starostwa białocerkiewskiego prebendowaną. Przegrawszy ją Mniszech bądź słusznie, bądź niesłusznie (nic to do mego zamiaru nie należy), założył mocją do trybunału. Mało na tym: zapozwał samego kanclerza do kary za sentencją uciążliwą i stronie sprzyjającą (prawnymi terminami takowy tekst wyraża się w pozwach po łacinie: „Pro panis ratione sententiae gravaminosae et parli adhaerenti" co się tylko pisze sędziom pierwszych instanc i ale nie ostatnie . Pasja i żądza zemsty, zasadzona na kredycie u króla, tak mocno zaślepiła Mniszcha, iż nie uważał nawet na to, że chcąc obalić powagę kanclerską, tym samym obalał powagę majestatu; lecz przed królem, nie znającym praw polskich, wszystko było na stronę Mniszcha wytłomaczone i jeszcze do tego znalazło wsparcie. Król się interesował za Mniszchem przeciw kanclerzowi; zapozwali się tedy obadwa do trybunału lubelskiego: jeden o zły jakoby dekret, drugi o gorszą w samej rzeczy apelacją. Wszyscy panowie, wezwani na sukurs, wdali się w tę sprawę. Czartoryscy, przeciwni zawsze dworowi, ujęli się za Małachowskim, ile że głowa Czartoryskich będąc kanclerzem wielkim litewskim, prócz racji swoich politycznych sprzeciwiania się dworowi, miał przyczynę nie dopuszczać takowego przesądu na kole-

dze swoim kanclerzu koronnym, który przesąd – spraktykowany na jednym – mógłby z czasem potkać i jego. Sołtyk, biskup krakowski, i inni przyjaciele dworscy stanęli przy Mniszchu; z obu stron przygotowania wielkie poczyniono, jakby chodziło o los publicznej szczęśliwości lub nieszczęśliwości. Pozjeżdżali się do Lublina; nie było ani jednego deputata, który by był zostawiony w neutralności. Palestra wszystka była rozebrana od tej i owej strony. Złote potoki płynęły do mecenasów i sędziów, nicht się brać nie wzdrygał, a mędrsi od obu stron garnęli złoto – każdej ofiarując swoje szalbierskie usługi.

Trybunał pod ten czas nie był po plecach Czartoryskich, więc kanclerz przegrał sprawę wstępną, to jest in accessorio przyznano appellabilitatem od sądów kanclerskich do trybunału. Małachowski, kanclerz, i Karwicki po takowej zadanej dorozumiawszy się, iż i interes pryncypalny nie poszedłby lepiej, dali się obadwa wzdać; wkrótce potem umarł kanclerz, toż i król; po którego śmierci, właśnie przed reasumpcją trybunału piotrkowskiego zdarzonej, że nie było trybunału, Karwicki osiedział się przy wsi, a potem sejm konwokacyjny na nowo podług dawnych praw inappellabilitatem od sądów kanclerskich deklarował, skasowawszy uroczyście wyrokiem swoim dekret w tej mierze trybunalski i, żeby śladu takowego bezprawia i gwałtu nie było, kazawszy tak sam dekret, jako też wszystkie relacje i manifesta w tej sprawie poczynione z ksiąg wymazać.

O sądach relacyjnych

W tych sądach żadne inne sprawy nie miały miejsca – tylko same kurlandzkie; król na nich zasiadał z senatorami, ministrami i urzędnikami koronnymi i Wielkiego Księstwa Litewskiego, którzy podczas nich znajdowali się w Warszawie. Odprawiały się na zamku w miesiącu maju, nie trwały dłużej nad kilka sesyj dla niewielkiej liczby spraw; patronowie asesorscy stawali w tych sądach, indukowali z karty, i to, co patronowie indukowali, każdy z zasiadających czytał z podanego sobie egzemplarza, oprócz króla, który się czytaniem nie zatrudniał. Stołu żadnego w tym sądzie nie było; majestat królewski postawiony na środku sali przy jednej ścianie otacza ty z obu stron i z przeciwka krzesła senatorów i ministrów; za krzesłami, w małym oddaleniu, stali patronowie indukujący sprawę, mający przed sobą taborety do położenia dokumentów; induktę zaczynali od tych słów: „Najjaśniejszy Pa-

nie", przy wymawianiu których schylali się do wpół osoby, a potem wyprostowawszy się zaczynali induktę miernym głosem i powolną wymową, na komatach i periodach sensów stawającą.

Wszystkie egzemplarze, bądź pisane, bądź drukowane, równą liczbę słów zawierały na każdej karcie; stąd wypadało, że kiedy patron przewracał kartę, w ten czas sam wszyscy czytający razem swoją przewracali, co przy cichości, dla obecnego majestatu zachowanej, czyniło rozlegające się po sali chwarszczenie; każdy bowiem czy czytał, czy tylko udawał czytającego, dla pokazania atencji na sprawę zachowywał tempo w przewracaniu. Na jednej sesji nie promowowano więcej nad jednę sprawę, a czasem, kiedy była długa, po skończonej indukcie z jednej strony kończyła się sesja; jeden z referendarzów, spomiędzy przytomnych starszy, doniósł przytomnym w kilku słowach, na który dzień Jego Królewska Mość determinował następującą sesją. Woźnego do tych sądów nie zażywano ani wokandy, czyli regestru spraw. Patronowie wiedzieli między sobą, która po której następuje – przystępując po odbytej pierwszej do następującej drugiej, tym porządkiem idąc aż do ostatniej.

Choć który z senatorów albo ministrów, lub urzędników koronnych miał sprawę w tych sądach, nie stal, ale siedział na swoim krześle i czytał zarówno z drugimi proponowane meritum swojej sprawy; ci, co nie należeli do sprawy, tylko z ciekawości znajdowali się na sądach, stali po bokach sali przy ścianach albo za patronami z wszelką modestią; wolno jednak było przemknąć się ukradkowym krokiem z jednego miejsca na drugie i rozmawiać po cichu, ale zawsze twarzą do króla obróconą.

O sądach nuncjaturskich

Sądy nuncjaturskie mało mniejszej były reputacji i zysku dla patronów od sądów asesorskich. Wszystkie albowiem sprawy o dziesięciny, o fundusze, o zapisy, o testamenty świeckich osób dla duchownych albo od duchownych czynione, o spadki po zmarłych bez testamentów duchownych, o prowizje – kościołom albo duchownym osobom należące – zaległe, o długi duchownych osobiste, o wiolencje gruntowe i inne wszelkie zakłócenia między świeckimi i duchownymi wydarzone, jurysdykcji duchownej podlegały; a przeto z wszystkich konsystorzów koronnych i litewskich obrządku łacińskiego i greckiego do nuncjatury

spływały, nie wspominając spraw rozwodowych, spraw o beneficia i spraw de vita et moribus spiritualium, które tylko po dziś dzień przy jurysdykcji duchownej pozostały.

Dla tak wielkiego tedy nacisku spraw zewsząd – sądy nuncjaturskie były konsyderowane między najpierwszymi w kraju; sprawy też w nich dla tejże przyczyny jak w trybunale albo w asesorii leniwo się odbywały. Lat kilka trzeba było czasu, nim sprawa między osobami miernymi doszła, bo i to przeszkadzało, że sprawy nie szły na stół porządkiem, ale podług woli sędziego za permowencją przyjaźni lub mocnej rekomendacji; nuncjusz sam nie sądził, tylko jego audytor, Włoch rodem, i czasem świecka osoba, żadnego duchownego tytułu ani święcenia nie mająca. W sprawach jednak wielkiej importancji, między osobami pierwszej rangi, zasiadał czasem sam nuncjusz z audytorem; patronowie stawali ciż sami co w asesorii, indukowali bardzo krótko językiem łacińskim, namieniając tylko jak najzwięźlej treść sprawy i z którego gradusu postępuje do drugiego. Na przykład: pierwszy raz na stół wniesiona – prosiła o dekret communicationis documentorum; drugi raz przyszedłszy – postępowała ad probandum suas incumbentias; trzeci raz, jeżeli rzecz wyciągała, na inkwizycją; czwarty raz ad apertionem rotuli; i tak z jednego gradusu pomykała się do drugiego, aż do ostatniego, który nazywał się terminem: pro servato. Dekret takowy wyrażał się tymi słowy: „Reverendissimus Dominus Judex visis videndis, consideratis considerandis sententiam tulu illamque opportuno tempore publicare declaravit." Po takim dekrecie już nic do espedycji nie brakowało, tylko łaski sędziego, aby sentencją publikował; ale ta łaska była najtrudniejsza i czasem rok i drugi odwłoczona; co się zaś tycze sposobu, którym patronowie informowali sędziego, wszystko dział się piórem.

Agenci patronów, dobrze już w prawie przekrzesani, przychodzili do ksiąg nuncjaturskich: jeden z strony pozywającej w tychże księgach zapisał skargę przeciw pozwanemu imieniem pryncypała swego, drugi od pozwanego odpisał na nią z przydatkiem swoich, jeżeli miał jakie, pretensji; pierwszy, obaczywszy w aktach odpowiedź, znowu powtórnie na nią replikował, a drugi podobnież jak pierwszy zbijał ją swymi racjami; i to wszystko było w księgach zapisane. Po takich induktach i replikach patronowie składali dokumenty w ręce pisarza nuncjaturskiego, który się tu nie nazywał pisarzem, ale kanclerzem; do tych dokumentów przydawali informacje z racjami, argumentami i rozmaitych praw duchownych rzymskich i krajowych synodalnych – tudzież sej-

mowych – gdy wyciągała potrzeba – przywodami, oznaczając księgę i kartę, z której jakie prawo było przywiedzione; i to wszystko w jeden plik pieczętowali, zapisując na wierszchu, do czyjej sprawy należały te papiery. Audytor podług czasu i woli rewidował te pliki, czytał wszystkie indukty, dokumenta i informacje, na koniec przydał swoją sentencją wspartą racjami, dla których odrzucił obrony jednej strony, a przychylił się do drugiej; to zrobiwszy, oddał nazad kanclerzowi, który zaingrosowawszy cały proces do ksiąg, wydawał rekurującym stronom przeczytawszy go wprzód w obecności audytora. Jeżeli apelacja była założona do Rzymu, audytor bez odwłoki dawał na nią rezolucją, czy jej dopuszczał, czy nie dopuszczał, i już było po sprawie. Odprawiały się te sądy w Warszawie, w pałacu teatyńskim, w którym stawał nuncjusz.

O sądach marszałkowskich

Sądy marszałkowskie odprawiały się pod bokiem królewskim, gdzie król jaki czas bawił, to jest w Warszawie i w Grodnie; a że w Grodnie ledwo był ze cztery razy przez swoje panowanie, do Warszawy zaś zjeżdżał co dwa rolo dla sejmu i bawił czasem po pół roku i dłużej, dlatego sądy marszałkowskie najwięcej się w Warszawie agitowały. Dzieliły się te sądy na potoczne i kryminalne; potoczne odbywał sędzia marszałkowski z pisarzem i odprawiały się w kamienicy, w której mięszkał sędzia. Na kryminalnych zasiadał sam marszałek w pałacu swoim. Kiedy się przy boku królewskim nie znajdował marszałek wielki koronny, to miejsce jego w tej jurysdykcji i w innych powinnościach, do laski wielkiej należących, zastępował marszałek nadworny koronny; a jeżeli obydwóch koronnych nie było, to litewski, który się znajdował.

Na dwie niedzieli przed sejmem, jeżeli jeszcze król nie przybył do kraju, a jeżeli prędzej przybył, to prędzej przed przybyciem jego na kilka dni – otwierała się jurysdykcja marszałkowska, oznajmowana po pryncypalnych przedmieściach i ulicach warszawskich przez trąbę i woźnego, któremu instygator marszałkowski, otoczony Węgrami marszałkowskimi, dyktował z karty to, co woźny miał obwoływać. Kiedy woźny wymieniał króla, oficjer komenderujący zawołał na żołnierzy: „Presentier das giver!", a natychmiast żołnierze karabiny trzymane na ramionach brali przed się i trzymali prosto, póki imię królewskie nie minęło; toż samo czyniąc na wspomnienie Jaśnie Wielmożnego Jmci Pana lub Jaśnie Oświeconego Książęcia Jmci Marszałka; po przewołaniu których imion kładli znowu broń na ramię i w takiej pozyturze asystowali do końca owej proklamacji.

Po takim obwołaniu jurysdykcji marszałkowskiej zaczęły chodzić nocne ronty, nie tylko Węgrów marszałkowskich, ale też i regimentów gwardii pieszej i konnej tudzież patrole ułanów królewskich, przestrzegając spokojności i bezpieczeństwa publicznego. A kogo zdybali na ulicy, huczącego po capstrzyku albo w szynkowni, lub przez podłość odzienia albo źle daną na pytania odpowiedź porozumienie niedobre o sobie sprawującego, zabierali na swoje haubwachy, a nazajutrz odprowadzali do marszałkowskiej kordygardy, przy Bramie Nowomiejskiej będącej, z której po justyfikacji przed sądem marszałkowskim uczy-

nionej, zapłaciwszy żołnierzom komorne albo też odebrawszy karę zasłużoną, bywali uwalniani.

Zdarzało się czasem, iż ludzie słuszni dworscy i towarzystwo znaków pancernych lub husarskich wpadali w ręce rontom, kiedy zagrzaną mając trunkiem głowę powracali późno w noc do domów z huczeniem pijackim i krzesaniem szabel po brukach albo też w zwadzie i bitwie między sobą lub z innymi nocnymi starci grasantami. Żołnierze, chciwi takich obłowów, napadali na nich cichaczem i kogo mogli, słabych nóg albo niesprawnej do korda ręki, porywali bez respektu na charakter i mundur, zapraszając na nocleg do kordygardy, vulgo do kozy. Tam wyszumiawszy nocni rycerze oznajmowali o swoich godnościach sędziemu marszałkowskiemu, który wyrozumiawszy rzecz, jeżeli nie było więcej ekscesu nad huczki nocne z podpitej fantazji pochodzące, kazał ich nazajutrz wypuszczać. Ale oni nie śmiejąc dla wstydu w dzień wychodzić z takiej kwatery, rekomendowali się grzecznie żołnierzom, aby do następującej nocy zostać tam mogli; żołnierze też, mając się dobrze przy takowych gościach, chętnie im ławy do posiedzenia i pryci do spoczynku nie żałowali. Gdy zaś noc nastąpiła, jaki taki pożegnawszy się mile z kolegami przypadku i z żołnierzami, zmykał co tchu do domu, nie potrzebując przewodnika z latarnią lub pochodnią. Jeżeli zaś zaszedł jaki eksces potrzebujący sądowej animadwersji, winowajca dystyngwowany był wypuszczany za kaucją swojego, któremu asystował lub służył, pryncypała. Towarzysz zaś, jeżeli na areszt zasłużył, odprowadzany był pod wartą marszałkowską do pałacu hetmańskiego i od niego sądzony podług przewinienia; co też zachowywano z oficjerami i żołnierzami rozmaitych regimentów, oddając ich pod własne komendy i sądy.

A lubo dobycie szabli pod bokiem królewskim było kryminalne, nie widzieliśmy jednak nikogo straconego za sarnę tylko takową zuchwałość, a nawet i za zranienie; pospolita kara w takim trafunku była wieża górna, dolna i grzywny, podług miary występku; chyba że zaszło zabójstwo, to wtenczas bądź zabójcy, bądź wszczynaczowi zwady zdejmowano głowę. Nieraz na pokojach królewskich albo na zamku w przysionku izby senatorskiej cisnący się natręt, odepchniony kolbą szyldwacha, z niecierpliwości porwał się do szabli, a i taki nie przypłacił swojej porywczości głową, tylko wieżą, grzywnami, a wojskowy – aresztem i łańcuszkami. Prawa bowiem polskie nie tak są surowe w egzekucji, jak w osnowie; instancje, respekt na urodzenie i familią, a czasem skłonne do miłosierdzia serce sędziego miękczą rygor prawa i

determinują do łagodniejszej sentencji. Taki geniusz narodu, skłonny do litości nad ludzkimi defektami, dał się widzieć i w ojcach naszych, którzy w pewnym statucie za Aleksandra króla napisali o zabójstwie: „Quamvis iuxta leges humanas et divinas omnis homicida sit poena capitali plectendus, nos tamen Poloni, rigorem illum temperantes, statuimus quod nobilis, occidens nobilem, solvat marcas etc." Cóż dopiero mieli sędziowie zdejmować głowy za przypadkowe szabli dobycie, kiedy ojcowie ich za mężobójstwo istotne zdejmować jej nie kazali! A jeżeli to napisano w prawie, że porywający się do oręża pod bokiem króla powinien być śmiercią karany, to tylko dla respektu majestatu królewskiego napisano, że godzien winowajca tak być skarany, ale niekoniecznie powinien. I z drugiej strony, gdy pod bokiem królewskim dla zjazdu ludu z różnych województw, wesołych, szałaputów, kosterów, zalotników, młodzieży nieunoszonej, żwawców porywczych do korda pełno było na każdym zjeździe takich przykładów, niepodobno było każdego karać śmiercią, boby niezadługo i ludzi brakowało. Co wszystko, brane na uwagę, mitygowało w sędziach rygor prawa.

Sądy potoczne marszałkowskie zatrudniały się sprawami o wiolencje i bitwy potoczne, wyżej wspomnione; o kalumnie słowne, o stancje najęte a według kontraktu lub zgody słownej nie zapłacone lub po najęciu i zadatku wziętym nie dotrzymane; także o karty ręczne, który to ostatni gatunek spraw przywłaszczyli sobie marszałkowie iure hospitum. Goście, przybywający do miasta rezydencjonalnego królewskiego, nie mający żadnej nad sobą lokalnej jurysdykcji, podlegali w wszelkich sprawach jurysdykcji marszałkowskiej. Kredytor tedy jakikolwiek, bądź miejscowy, bądź goszczący, przydybawszy w Warszawie swego dłużnika, pozywał go do tych sądów, w których prędka gradacja sprawy przynosiła satysfakcją.

Za pierwszym terminem bez wszelkich odwłok wypadał dekret solutionis, a po nim, nie uspokojonym, areszt rzeczy i taksa, dalej tradycja onych wierzycielowi; a jeżeli dłużnik był hołysz, areszt samej jego osoby i zaprowadzenie do kordygardy: więc każdy, kogo taki zaskoczył proces, starał się jak najprędzej dług uspokoić, aby na rzeczach albo osobie nie był aresztowanym. Jeżeli zaś po położonym pozwie (który zawsze w takowych okazjach bywał aresztowny) pozwany ujachał z Warszawy, gospodarz za niego odpowiadał.

Wiedzieć zaś należy, iż tu nie miały miejsca długi zapisane na dobrach albo z interesu prawnego w innych sądach agitowanego wynikające, tylko same ręczne, nigdzie zapisanego forum nie mające. Kartowni-

cy także i szulerowie o sumy wygrane, a nie zapłacone, tu się pociągali. Najwięcej zaś było spraw w sądach marszałkowskich ludu pospolitego, prawem miejskim nie zaszczyconego, szlachty osiadłej przy Warszawie, własne posesje na różnych jurydykach mającej albo też po innych dworkach i pałacach mięszkającej, którzy wszyscy, rozumiejąc się być wolnymi od sądu miejskiego, w samej rzeczy władzy swojej nad takimi osobami rozciągać albo nie mogącego, albo nie śmiejącego, gdzie indziej odpowiadać wzbraniali się, tylko albo w sądach grodzkich, albo w marszałkowskich; a że w sądach grodzkich nie tak prędka była ekspedycja i nie tak ostry rygor jak w marszałkowskich, przeto wszyscy chętniej się do marszałkowskich jak do grodzkich ubiegali. Same przekupki warszawskie, zwadliwe i wyparzonej (jak mówią) gęby kobiety, robiły spraw niemało z pożytecznym akcydensem dla instygatora i skrzynki sądowej – powadziwszy się jedna z drugą albo łeb obdarłszy jedna drugiej, albo nieuczciwym błyśnieniem ciała jedna drugą spostponowawszy, biegły w zapale do instygatora marszałkowskiego. Ten czasem na piśmie, czasem ustnie posyłał przez woźnego pozew stronie pokrzywdzającej; sam potem, choć mimo wolą stron uciszonych, promowował sprawę jakoby o urazę publicznej uczciwości; dekret wypadał na grzywny dla sądu z przydatkiem deprekacji stron wzajemnej, czasem też z chłostą obydwóch lub jednej, winniejszej. Gdy zaś była słuszna jaka krzywda jednej strony od drugiej, szła sprawa należytą formą sądu i kończyła się grzywnami dla strony i sądu i wieżą.

Śmieszne czasem bywały pobudki między tymi kobietami do zwady. Po śmierci Augusta jedna przekupka pod ratuszem Starej Warszawy, pod którym to najpryncypalniejsze tego gatunku zasiadały szczekaczki, utrzymowała, że Stanisław Poniatowski będzie królem, druga, że Adam Czartoryski. Nie mogąc jedna drugiej przekonać racjami, rzuciły się na siebie z rękami i pazurami, porozdzierały na sobie odzienie, łby sobie potargały, gęby podrapały, sałaty, zielenizny, frukta, które przedawały, na siebie wyciskały, wołając jedna na drugą: „Łżesz, małpo! nie Staś, tylko mój Adaś będzie królem!"; druga odpowiadając: „Szczekasz, bestio! niedoczekanie twoje! nie twój Adaś, ale mój Staś król polski i ciebie każe wyświecić, wysmagać!" etc. Na tę bitwę, kołem ludu różnego otoczoną, nadszedł jeden rajca warszawski, a zrozumiawszy przyczynę zwady i bitwy zajuszonej, kazał pachołkom obydwie porwać do ratusza, a potem prezydent, informowany o rzeczy, obiedwie kazał rózgami wychłostać i na inne miejsca z straganami rozsadzić, aby się drugi raz na siebie nie rzuciły.

To extra materiam z koneksji przytoczywszy, wracam się do sądów potocznych marszałkowskich. Z przyczyny policji, ogółem do jurysdykcji marszałkowskiej należącej, kuplerki i białogłowy nierządem żyjące do tych także sądów były pociągane; co czyniono nie tak dla wykorzenienia złego, bez którego żadne wielkie miasto obejść się nie może, jako raczej dla zmniejszenia go cokolwiek i uczynienia wstrętu, aby się nie szerzyło. Pozywano także i gospodarzów, którzy takowym niewiastom domów najmowali, karząc ich grzywnami i wieżą, niewiasty zaś chłostą publiczną i wygnaniem z burdelu; a że takowa animadwersja nie była regularna ani punktualna, tylko wtenczas kiedy się z ich okazji między zalotnikami stała jaka rąbanina lub kiedy się instygatorowi marszałkowskiemu nie mogły tak drogo opłacać, jak od nich żądał, więc one ukarane i wypędzone z jednego domu, przenosiły się do drugiego, czyniąc swoje rzemiosło z lepszą ostrożnością, mając na pogotowiu dla podglądającego ich oka inną jaką pod ręką zabawę uczciwą, która ich częstokroć od rygoru sprawiedliwości ochraniała, zwłaszcza kiedy instygator nie miał przeciwko nim lica dowodnego albo kiedy się mu takie pszczółki podbierać często pozwalały. A lubo po rozmaitych kątach warszawskich nie brakowało dobrodziejek, Nalewki jednak, jurysdykcja szlachecka, była nimi najsławniejsza.

Sądy kryminalne marszałkowskie nie miały regularnych sesji, tylko wtenczas, kiedy się znajdował winowajca godzien śmierci. Lecz skoro Franciszek Bieliński objął laskę wielką koronną, rzadko kiedy wakowały. Ten bowiem pan był nie mniej surowy jak sprawiedliwy, wyprawiał rączego na tamten świat, ktokolwiek dostał się pod sąd jego godzien śmierci. Więc że po całym kraju słynął tym darem sprawiedliwości, przeto zwożono do jego sądów kryminalistów z najodleglejszych polskich prowincji, gdy się delatorom w innych jurysdykcjach miejscowych zdawał proces długi i kosztowny albo sprawiedliwość niepewna; mianowicie kiedy jaki familiant popełnił zbrodnią, za którym obstawała koligacja, albo Żyd, którego drudzy Żydzi okupem – by też najdroższym – wyzwalać od śmierci mają za akt heroiczny swojej religii. Co oboje u Bielińskiego nic nie popłacało. Jedna królowa, pani wielce pobożna i miłosierna, ta mu często psuła symetrią w egzekucji, usilnymi swymi instancjami wypraszając winowajców od śmierci zasłużonej, pod nadzieją poprawy życia, rzadko w złodziejach osobliwie widzianej. Bieliński kiedy widział, że zbrodzień do złego przywykły niewart był dłuższej na świecie konserwacji, a obawiał się kobiecego królowy miłosierdzia, kazał go sprzątnąć nie bawiąc, zamknąwszy się tymczasem w gabinecie przed

tymczasem w gabinecie przed importunią królowy; a czasem, gdy się skryć nie zdążył, a szkaradna akcja warta była ukarania, wręcz instancją królowy odrzuciwszy. Taka jednak sprawiedliwość co do złoczyńców dalekich od Warszawy przestępowała obręby władzy; jurysdykcja albowiem marszałkowska nie rozciąga się, tylko na uczynki i występki pod bokiem królewskim i trzy mile naokoło popełnione.

Lecz z strony tego nicht Bielińskiemu nie zadał kwestii i komu on łeb kazał urwać, przepadło jak nic, które na świecie nie było. We dwie niedzieli po wyjeździe królewskim z kraju kończyła się jurysdykcja marszałkowska co do sądów; co zaś do innych rozporządzeń w mieście Warszawie, tą się Bieliński ciągle zatrudniał; nawet choć wyjachał na lato, jak miał zwyczaj, gdy króla nie było, do Otwocka, dóbr swoich, zostawiał w Warszawie namiestników swoich, którzy planty jego egzekwowali.

Piszę o samym Bielińskim, gdyż od wzięcia rozumu, jego zaznałem marszałkiem wielkim koronnym; i on był nim aż do śmierci Augusta III i po nim coś czasu, o czym będzie w dziejach polskich, inną księgą spisanych.

Sprawy potoczne, które się nie odsądziły w sądach marszałkowskich, po zakończeniu tej jurysdykcji odsyłane bywały do grodu i do ratusza miasta Starej Warszawy podług kondycji osób z sobą się prawujących. Inkarceraci zaś wszyscy jakiegokolwiek stanu, jeszcze nie dekretowani, oddawani bywali do tegoż ratusza, gdzie ich nie lepszy los czekał jak od Bielińskiego, póki żył Lupia, ustawiczny prezydent tegoż miasta. Był to w surowości i sprawiedliwości drugi tom Bielińskiego.

Sądy potoczne marszałkowskie były pierwszą instancją, od których szła apelacja przed samego marszałka; ale ta rzadko kiedy widziana była, ponieważ marszałek dobierał takowych sędziów, których sentencji poprawiać nie trzeba było i którzy z nim razem zasiadając jednym też duchem tchnęli.

O sądach konsystorskich

Namieniło się pod sądami nuncjaturskimi, jakie sprawy należały do sądów duchownych; tu się zaś dodają okoliczności formę i proceder tychże sądów ukazujące.

Woźny tym sądom służący nazywał się kursor; przy niektórych konsystorzach nosił suknie barwiane, jakie dawał oficjał swoim ludziom służącym, kroju polskiego, miał także blachę posrebrzaną lub pozłacaną, na boku prawym lub lewym do kontusza przyszytą, herb albo cyfrę imienia oficjata wyrażającą. Podczas sądów niewiele miał do czynienia, gdyż nie wrzeszczał tu tak: „Uciszcie się", albo: „Na ustęp, mości panowie", jak wrzeszczeli woźniowie w świeckich sądach. Albowiem w sądach duchownych eksplikowali sprawy patronowie przez pismo jak w nuncjaturze; dlatego kiedy położyli swoje konkluzje i obrony stron, którym służyli, nie mieli potrzeby ucierać się między sobą racjami. Dla czego skoro oficjał lub surogator zasiadający na sądach dał znak na ustęp, natychmiast wychodzili wszyscy bez oporu, jako nie mający się nad czym bawić.

Kursora zabawa była największa: przygotować stół, krzesła, krucyfiks i serwis do pisania; a kiedy kursor, wyprawiony gdzie daleko z monitorium, to jest z pozwem, nie zdążył przybyć na sądy, to tę powinność odbyt za niego którykolwiek sługa domowy oficjała albo surogatora. Nie wszystkie także pozwy zanosił kursor, lada kleryk, bakałarz, organista i dziad kościelny był legitimus executor monitorii, czyli pozwów, które nie szły do relacji w księgi konsystorskie, tak jak szły pozwy świeckie do ksiąg grodzkich lub ziemskich własnego powiatu, ale tylko ten, kto odnosił pozew, czyli monitorium, kopią jego kładł stronie pozwanej, oryginał zaś pokazał z daleka i potem podpisał na wierszchu jego, kiedy, gdzie i przy kim go położył; i już to było relacją. Taki pozew, podpisany od egzekwującego go, strona czyniąca przeciw pozwanemu reprezentowała w sądzie i zapisowała z góry w swojej instancji. Za czym już to był ważny krok pierwszy do dalszego progresu sprawy; dlatego zaś nie dawał do ręki ani czytać pozwalał kursor lub kto inny kładący pozew samego oryginału, ponieważ znajdowali się tacy śmiałkowie, którzy pod pretekstem skonfrontowania kopii z oryginałem dostawszy go od kursora, więcej mu go nie oddali, a tak stronie nie mającej czym probować położonego pozwu upadał termin, który że czasem bywał wielkiej importancji dla tego, kto miał zepsucia go naglącą potrzebę, na przykład zatrzymać publikacją ekskomuniki dla

dopadnienia tymczasem po inhibicją onej do nuncjatury albo Rzymu – wolał wyrwaniem z rąk kursora oryginału zarobić na nową sprawę, która czasem uszła za sztukę, mianowicie kiedy sprawa poszła do wyższego sądu, niż się dać ogłaszać po kościołach za wyklętego. Klątwy albowiem natenczas jeszcze były w aprehensji, przeszkadzały do innych spraw i funkcji tak jak kondemnaty świeckie, nadto jeszcze czyniły wstręt do wyklętego wszystkim ludziom dobrej wiary.

Instygator konsystorski nazywał się fiscalis; dawano mu tytuł venerabilis, choć czasem bywał świecki człowiek, mający żonę, jak był długi czas w konsystorzu warszawskim niejaki Łachowski; chodził w krótkich sukniach z kołnierzykiem i płaszczykiem z tyłu po rzymsku, mając żonę, z którą kiedy czasem wraz szedł, od niewiadomych brany był za predykanta luterskiego. Jednego razu zaś będąc z nią w drodze mało życia nie utracił od chłopów w karczmie, widzących, że coś podobnego do księdza zabiera się ku noclegu z białogłową.

„Ad instantiam venerabilis fiscalis" pisane bywały wszystkie pozwy, czyli monitoria, chociaż fiskał nie interesował się do żadnej sprawy, chyba wezwany od strony jako patron.

W środku panowania Augusta III, gdy się zagęściły rozwody, często z obu stron zmowne, stolica rzymska postanowiła defenzorów matrimonii, którymi byli fiskałowie, czyli instygatorowie. Wtenczas z obowiązku swego wchodzili do każdej rozwodnej sprawy, utrzymując ważność małżeństwa, z którego się strona jedna lub obydwie wyłamać starały. Ale ta ostrożność jak wszystkie inne na świecie nachylonym do swego zepsucia niewiele broniła związku małżeńskiego.

Defenzor powiedziawszy swoje quamquam na stronę ważności małżeństwa, tyle dalej ku utrzymaniu onego pracował, ile był od której strony sekundowany, a kiedy widział, że się strony uwzięły koniecznie na rozerwanie tego jarzma, toteż i on miał się nienatarczywie i niegorąco. Uważał sobie: „Co mi po tym pracować darmo na to, żeby dwoje ludzi koniecznie żyli z sobą, którzy tak obmierzli jedno drugiemu, że patrzeć na siebie nie mogą; lepiej, że się rozłączą, niż ma być piekło między nimi ustawiczne."

Mówiłby kto, że Duch Święty przez niego gada, a to diabeł za kołnierzem; nie chciało mu się przeszkadzać, bo mu nicht nie zapłacił. A czemuż to tego piekła nie widział tam, gdzie mu strona utrzymująca małżeństwa ważność dobrze zapłaciła, choć biedna dama, gwałtem za brutala wypchnięta za mąż dla interesu rodziców lub opiekunów albo wykradziona i chłostą do szlubowania przymuszona, dni i nocy za mę-

żem dzikim okrutnikiem, niewiernym, rozpustnym opłakiwała? Ale pan mąż, bojący się stracić posagu wielkiego z żoną wziętego, dobrze smarował i patrona, i defenzora, i sąd. A tak powoli defenzor matrimonii, zrazu straszny rozwodnikom, potem poszedł w pogardę tak, iż mimo jego ceremonialne przeszkody, co żywo się ku końcu panowania Augusta małżeństwa złe, rozpustne, odmiany pożycia i innych mężów lub żon szukający, do rozwodów ubiegali.

Oficjałowie albo ich surogatorowie zawsze bywali kanonicy katedralni, nie zawsze atoli szlachta; więc kiedy tak wypadło biskupowi, że musiał konferować jurysdykcją sądowniczą nieszlachcicowi, to mu nie dawał tytułu oficjała, tylko najwięcej audytora. Surogatorowie zaś szlachta i nieszlachta byli do zastępowania oficjała albo audytora.

Od sądów konsystorskich różnych biskupów rzadko kto apelował do sądów arcybiskupich gnieźnieńskich, chyba z jednej diecezji poznańskiej, dlatego że mu z Poznania do Gniezna po drodze było, ale z innych konsystorzów zazwyczaj szedł prosto do nuncjatury, kto nie był kontent z dekretu.

Palestry konsystorskie nigdy nie były liczne i innego gatunku nie było w nich młodzieży, tylko miejscy synkowie, którzy podkrzesawszy się w łacinie i w formie jurydycznej albo szli do rewerendy dla przyszłych pisarzów konsystorskich lub kanoników doktoralnych, lub też fiskalisów, albo też wchodzili ożeniwszy się w radę miejską i zostawali miejskimi pisarzami; dlatego mało było takich, którzy wiek swój w palestrze konsystorskiej trawili; skąd był tego rodzaju subiektów niedostatek, osobliwie się to znajdowało w konsystorzach województw ruskich, gdzie po miastach najpryncypalniejsi mieszczanie Żydzi, a chrześcijanie, jeżeli są jacy, to biedni i do tego Rusini, mało estymujący łacinę; więc synów swoich rzadko oddają do szkół łacińskich, a per consequens do nauki prawnej. Przeto do tamtejszych konsystorzów szukali palestry, mianowicie na pisarzów i patronów, z diecezjów poznańskiej, warszawskiej, nuncjaturskiej, gdzie był większy dostatek tego gatunku subiektów, a tym samym tamte konsystorze przepleniali. Za Kobielskiego biskupa w łuckim konsystorzu nie był, tylko jeden patron, który stawał od obydwóch stron. Co przywodził na poparcie jednej strony, to znowu zbijał stawając od drugiej.

Śmieszna rzecz była, kiedy on w sprawie rozwodniej z racyi impotencji, broniąc męża o taki defekt przez żonę oskarżonego, dowodził, że ma, i znowu mówiąc od żony, próbował, że nie ma. Żeby zaś Czytelnik mój nie rozumiał, że piszę bajki dla zwiedzenia potomności, muszę go wytchnąć

po imieniu. Był to Jajkowski, patron oraz grodzki i konsystorski. Było tych Jajkowskich, braci rodzonych, dwoch grodzkimi w Łucku patronami, ale w konsystorzu tylko stawał jeden.

Biskupi sami na sądy konsystorskie nie zasiadali, chyba że była sprawa wielkiej importancji i między osobami pierwszej rangi. Także kiedy trzeba było sądzić kanonika katedralnego de vita et moribus albo o jaki wielki eksces, na taką sprawę według duchownych kanonów zasiadał sam biskup, ale cum adiunctis, przez elekcją spomiędzy osób kapitulnych wysadzonych.

Oficjałowie także nie wszyscy sami przez siebie sądy odbywali, mianowicie kiedy oficjałem tylko dla honoru i władzy, w diecezji reputacją i przyjaźń jednającej, był jaki majętny prałat, to taki sądownictwem, acz intratnym, ale pracowitym, sam się nie zatrudniał, ale go na surogatora potrzebniejszego zdawał. Biskupi niemal wszystkę władzą, którą sami mieli od stolicy rzymskiej, zlewali na oficjałów, a oficjałowie dzielili się nią z surogatorami, których sami sobie przybierali. Pierwszy dopiero Andrzej Młodziejowski, zostawszy audytorem u Władysława Łubieńskiego, arcybiskupa i prymasa, oczerkiesił z władzy oficjałów: gnieźnieńskiego i łowickiego – wszystkie większej importancji interesa prymasowskiej jakoby władzy zachowawszy.

Wiedzieć albowiem należy, że audytorowie czynili wszystko pod tytułem biskupów, którym służyli, oficjałowie zaś pod imieniem swoim, surogatorowie pod imieniem oficjała; gdzie zaś nie było przy konsystorzu oficjała, tylko surogator, wszystkie instrumenta wychodziły pod imieniem biskupa, tak jak i gdzie tylko był audytor. Z góry na instrumencie był wyrażony biskup, na dole zaś nie podpisował się biskup, lecz audytor albo surogator. Gdzie znowu był oficjał i surogator, a oficjał nie chciał się zatrudniać jurysdykcją, wychodziły instrumenta pod tytułem oficjała z podpisem surogata.

Chcąc tedy audytorowie mieć jak najwięcej władzy, ujmowali jej oficjałom, ale się im to nie przy każdym biskupie udawało, tylko przy takim, gdzie audytor był duszą biskupa, a biskup audytora ciałem; bo jak ciało okrywa duszę, tak też biskup okrywał imieniem swoim czynności audytora. Gdzie zaś biskup był przezorny i na swoją diecezją względny, dawał oficjałom taką sarnę władzą, jaką sam miał od Stolicy Apostolskiej udzieloną, aby diecezanie w łaskach i potrzebach duchownych mieli bliską ab officio łatwość, nie ciągnąc się po nią z kosztem znacznym na podróż do dworu swego.

Między audytorami i surogatorami przy boku biskupim będącymi nie było żadnej różnicy; funkcja obydwóch jedna, tylko imię inne, dawane podług mniejszej lub większej godności osoby, do tego urzędu wezwanej; co się działo czasem dla samego tylko defektu szlachetności albo stallum w katedrze niskiego, że takiemu biskup, powierzając rządów diecezji, nie odziewał go tytułem audytora, tylko surogata, lub posyłając do konsystorza, od boku swego oddzielonego, na urząd oficjalski nie dał mu tytułu oficjała, ale tylko surogata lub audytora. Tak jak po stawnym oficjale poznańskim Pawłowskim, gdy objął jurysdykcją konsystorską Skrzebowski, plebeius, nie miał tytułu oficjała, ale tylko audytora.

Forma procesu konsystorskiego była niemal taż sama co sądów nuncjaturskich, wyjąwszy pozwy, czyli monitoria, które inaczej się konsystorskie, inaczej nuncjaturskie zaczynały. Na przykład pozew nuncjaturski zaczynał się takimi słowy: „Ex mandato Illrmi Revmi Dni N.N. Nuntii Apostolici per aliquem legitimum executorem citatur N.N.", a zaś konsystorski od tych słów: „Admodum Reverendis, Venerabilibus honorandisque wis praepositis, parochis, vicariis, commendariis, altaristis, psalteristis, mansionariis, scholarum rectoribus, organariis, aliisque legitimis executoribus tenore praesentium requirendis salutem in Domino. Mandamus Vobis in virtute sanctae oboedientiae et sub excommunicationis poena, quatenus, ad instantiam N.N. dum et quando fueritis requisiti, seu aliquis Vestrum fuerit requisitus, personaliter accedendo N.N. ipsum citatis, quem nos etiam citamus pro eo etc."

Sprawy, które się toczyły po sądach konsystorskich, wyraziłem pod nuncjaturą. Tu mi przydać należy, iż jakoś około roku 1750 zaczęła się kolizja o jurysdykcją w sprawach o dziesięciny między ziemstwem i konsystorzem warszawskim. Pobudzicielem tego sporu najpierwszym był Szamocki, skarbnik natenczas ziemi warszawskiej, patron sławny trybunalski. Ten, będąc pozwanym od księdza plebana swego o dziesięcinę wytyczną do konsystorza warszawskiego podług dawnego zwyczaju, zapozwał księdza do ziemstwa tegoż, podług nastrojonej planty. Za jego przykładem wszyscy obywatele ziem warszawskiej i czerskiej, mający dotąd interesa z plebanami o dziesięciny w konsystorzu, obrócili się do ziemstwa. Konsystorz na szlachtę nie stawającą rzucał klątwy, a ziemstwo na księży przed sobą nie stawających wydawało kondemnaty. Z partykularnych nareszcie spraw urodziła się publiczna między ziemstwem i konsystorzem. Obiedwie ziemie, czerska i warszawska, uczyniły solenny manifest tak przeciw partykularnym duchownym, toczącym procesa o dziesięciny, jako też przeciw

toczącym procesa o dziesięciny, jako też przeciw konsystorzowi, jakoby nieprawnie sobie takowe sprawy przywłaszczającemu. Na tym manifeście podpisał się najpierwszy Bieliński, marszałek wielki koronny, jako najmajętniejszy obywatel ziemi czerskiej. Ten manifest postali do Rzymu przydawszy do niego prośbę, aby Sancta Sedes wyznaczyła komisją z osób duchownych i świeckich złożoną, która by wzniecające się rozróżnienie stanów między sobą podług praw krajowych obojej strony uśmierzyła.

Stolica Święta, zawsze pragnąca pokoju w Kościele bożym, wydała komisją. Adam Kempski, sekretarz marszałka wielkiego koronnego, człowiek w naukach i w prawie oboim tak świeckim, jak i duchownym wielce biegły, umieszczonym zostawszy między komisarzami z strony świeckiej, będąc raczej stroną niż sędzią, zagłuszył i zwalczył racjami wszystkich komisarzów z strony duchownej. Dekretem wspomnionej komisji nie tylko forum o dziesięciny przyznane sądowi świeckiemu, ale też i same dziesięciny wytyczne na dobrach ziemskich szlacheckich po całej ziemi warszawskiej i czerskiej zniesiono, kazawszy duchownym robić o nie kompozyty z szlachtą podług bulli Urbana VIII; nakładli w ten dekret innych gatunków spraw: o sumy kościelne, o zapisy, o testamenta po zmarłych kościołom jakie legacje czyniące, które się przedtem w konsystorzach odbywały. A że ta komisja agitowała się tylko między jednym konsystorzem warszawskim i dwiema ziemiami, przeto inni biskupi nic jej nie popierali; i była to bardziej dysputa niż rozprawa prawna, na której wziąwszy górę świeccy pisali, co im tylko potrzeba było, na duchownych, mając w swojej partii dwóch wielkich ludzi wyżej wyrażonych, jednego marszałka, którego narazić sobie Czartoryski, biskup poznański, pokój nad wszystko i życie swobodne miłujący, nie chciał, a Ostrowski, oficjał pod ten czas warszawski, do wyższej promocji zmierzający, nie śmiał i Kempskiego, sekretarza, któremu nicht poradzić nie mógł.

Ten dekret komisji warszawskiej poszedł potem za modelusz po wszystkich diecezjach. W żadnej sprawie z wyżej wyrażonych żaden świecki w duchownym sądzie odpowiadać nie chciał, ale prosto ciągnął do sądu świeckiego. Trybunały też piotrkowski i lubelski inaczej spraw takowych, do siebie przez apelacją przychodzących, nie rozcinały, tylko podług kroju wspomnionej komisji, a tak obszerna przedtem władza konsystorzów powoli zmalała.

Konsystorze ritus graeci długi czas pod panowaniem Augusta III nie były znajome. Jeżeli była jaka jurysdykcja nad duchownymi ruski-

mi, zastępująca władykę, czyli biskupa, to się ta mieściła w jednym jakim bazylianie, urząd niby audytora sprawującym. Spraw też innego rodzaju nie bywało w obrządku greckim, tylko z popami de vita et moribus, które odbywali biskupi lub wspomnieni wyżej audytorowie. Bez wszelkich prawnych ceremonii kazano się obwinionemu wraz z oskarżającymi stawić przed władykę lub jeżeli rzecz wyciągała z samego miejsca dowodów, zjechał delegowany od władyki. Po wysłuchanych inkwizycjach i zrozumianej rzeczy jak należy, popa przestępnego oćwiczono, grzywnami obłożono i te zaraz z niego w gotowiźnie albo w dobytku zabranym i otaksowanym wyciągniono; lub jeżeli gorzej zgrzeszył, z beneficjum zrucono i już było po sprawie. Kiedy zaś pop wygrał, to cała wygrana jego w tym się zamykała, że się pokazał niewinnym; i jeżeli delatorem jego był sam dziedzic wsi lub jego administrator, że mu mógł wymówić śmiało, że był niewinnie prześladowany; a co nieborak stracił na sprawę, to przepadło. Jeżeli zaś chłopi motu proprio bez asystencji dworskiej uczynili się oskarżycielami, a nie dowiedli zarzutów, że na instancją sądu – odebrali chłostę od dworu i czasem przymuszeni zostali do nadgrodzenia popowi kosztu poniesionego.

Dziesięcin ani sum kościelnych, ani gruntów, posagiem cerkwiom nadanych, na Rusi nie znano. Ról, które trzymają i z których żyją, popi są tylko czasowi używacze; dziedzic podług woli swojej odmienia je, zmniejsza lub przyczynia, o co między popem i panem żadnego sporu nie ma, a zatem i spraw prawnych. Mieli także popi prócz akcydensu kościelnego pewny stały prowent z miodu, niepamiętnym zwyczajem utwierdzony; każdy gospodarz mający pszczoły (a trudno na Rusi o takiego, aby ich nie miał) daje popom pewną kwotę miodu podług proporcji pszczół; z tego miodu pop syci miód do picia. Podczas prażniku, to jest podczas dedykacji cerkwi, na całą parochią swoją rozdaje na osobę każdą, przyjmującą sakramenta, po garcu jednym, za który bierze zapłatę raz na zawsze ustanowioną; niedostatek miodu ani obfitość jego nie podnosi ani nie zmniejsza ceny, tylko odmienia gatunek miodu, bo kiedy pop mało dostał miodu albo nie chciał wszystkiej kolekty na prażnik ekspensować, to rozbrechtał wodą małą kwotę urobioną trunku do tylu garców, ile mu ich na całą parochią potrzeba było. Czyli zaś o taki miód, czyli o inną jaką należytość albo kłótnią między popem a chłopem wszczęła się jaka sprawa, sędzią był pan dziedzic lub jego administrator. Widziałem sam nieraz stojącego za drzwiami u ad-

ministratora popa wraz z chłopami, duszącego pod pachą kura, aby głosem swoim prędszą mu zjednał audiencją.

Popi mający żony wraz z chłopami chodzili do karczmy; bo albo go żona wciągnęła, albo on sam ciągnął się za nią dla ostrożności, mężom młode żony mającym zwyczajnej. Pop bez żony rzadki był, chyba wdowiec; a jeśli w cale bez żony w stanie młodzieńskim został popem, taki się dystyngwował od chłopów i formował tak krój sukni, jako też powagę na wzór księdza łacińskiego. Popi zaś żeniaci nosili suknie krojem polskiego żupana i kontusza, tylko z rękawami zaszytymi od zimna, kożuch prosty, w którym nawet do służby ołtarza przystępowali kładąc na niego albę i ryzy, boty proste chłopskie z podkówkami. Zgoła w ubiorze całym nic nie różniło popa od chłopa, tylko jeden kolor sukni czarny i czapka czarna.

Kanoników i prałatów katedralnych albo kolegiackich, także opatów długi czas pod panowaniem Augusta III ani słychać było w obrządku greckim; cała hierachia kościelna składała się z władyków, z popów i z zakonników bazylianów, którzy sami formowali z siebie wszystkie jurysdykcje i officia, jeżeli jakie były. Na sześć lub więcej cokolwiek lat przed śmiercią tegoż króla władykowie ruscy poczęli zarzucać to imię, a dawać sobie imię najprzód episkopów, a potem w cale po naszemu biskupów.

Przełożeni bogatszych monasterów bazyliańskich poprzezywali się opatami, nareszcie bogatszym monasterom poujmowali dóbr na fundusze dla opatów, ile że tak opaci ruscy, jak biskupi są zawsze z zakonników bazylianów, nareszcie przy katedralnych swoich kościołach biskupi ruscy z dostatniejszych i bezżennych popów poformowali kapituły, to jest prałatów i kanoników; zgoła cały stan duchowny poczęli kształtować na modelusz duchowieństwa łacińskiego. Fundusze zaś na te nowe kreatury obmyślili z kontrybucji i haraczu na popów żeniatych włożonego.

Opisawszy tedy postać i obyczajność powierszchowną stanu duchownego, tak łacińskiego obrządku, jako też i greckiego, ile w pamięci utrzymać mogłem i z konwersacji różnej wiadomości zasiągnęłem, przenoszę się i proszę z sobą Czytelnika do stanu żołnierskiego.

O STANIE ŻOŁNIERSKIM

Wojsko polskie za Augusta III było bardzo szczupłe; komput jego, przez konstytucją sejmową za Augusta II determinowany – 12 tysięcy koronnego, 6 tysięcy litewskiego. Suma wszystkiego wojska 18 tysięcy na papierze, ale nie na placu. Choć się co rok wszystkie chorągwie likwidowały w Radomiu i wszystkie regimentu, potrafiono jednak w to, że się tam wszystkie głowy odrachowały co do jednej, chociaż w każdej chorągwi i w każdym regimencie po połowie ich brakowało. Gatunki żołnierstwa były następujące:

1-mo autorament polski, a w nim chorągwie: husarskie, pancerne i lekkie albo przedniej straży; w litewskim wojsku petyhorskie chorągwie to samo znaczyły, eo w koronnym pancerne. Nazywał się ten gatunek wojska dlatego autoramentem polskim, iż zażywał stroju polskiego i siądzeniów na konie polskich, to jest kulbak, które nie były jednoformne, ale podług gustu każdego jeźdźca rozmaite: łęk, terlica, jarczak i turecka kulbaka, co wszystko podpadało pod imię powszechne „kulbaki". Łęk był o dwu kulach równych, z przodu i z tylu w góro podniesionych, między które kule siadał jeździec na poduszkę skórzaną, sierścią bydlęcą wypchaną, rzemieniem pod brzuch konia przechodzącym przywiązaną. Terlica była o jednej kuli, z przodu w górę wydanej, i o ławce okrągłej, z tylu na ćwierć łokcia szerokiej, z poduszką w środku takąż jak i łęk. Jarczak była terlica albo łęk gładki, skórą obklejony, bez poduszki, na którym jarczaku chłopcy, ciurowie i towarzystwo rękodajni do twardego siedzenia na koniu bywali przyuczani; turecka kulbaka była podobna do terlicy z tą tylko różnicą, iż przednia kula była wyższa i ostrzejsza, a zadnia lawa szersza; miasto zaś poduszki cały wierszch kulbaki miękko wnusiem końskim wysłany i suknem powleczony; i takiego najwięcej siądzenia husarze do potrzeby zażywali. Można i stąd ciągnąc derywacją autoramentu polskiego, iż to był rodzaj milicji polskiej najdawniejszv krajowy, starszyznę wszystkę pod nazwiskami polskimi mający. A tymi byli: hetmani, rejmentarze, pułkownicy, rotmistrzowie, porucznikowie, chorążowie, namiestnicy i całemu wojsku służący oboźniowie, pisarze polni, sędziowie wojskowi i buńczuczni hetmańscy.

hetman samowładnie rządził całym wojskiem: wielki koronny – koronnym; wielki litewski – litewskim; polni hetmani nie mieli żadnej władzy, tylko wtenczas, kiedy hetman wielki umarł, a król zaraz po jego, śmierci buławy wielkiej nikomu nie oddal. W czasie także wojny dzielili się dawnych lat władzą i pracą wojskową; lecz ciągły pokój pod panowaniem Augusta III widzieć nam tego podziału władzy hetmańskiej i operacji wojennej nic pozwolił; w calem także trakcie panowania wspomnionego króla raz tylko jeden buława wielka koronna wakowała po Józefie Potockim, którą otrzymał Jan Klemens Branicki, hetman polny koronny; i dwa razy litewska: po Hieronimie Wiśniowieckim, którą wziął Michał książę Radziwiłł, hetman polny litewski, a po Radziwille Massalski.

Rejmentarzów w Koronie było czterech: jeden partii ukraińskiej, drugi partii sendomirskiej, trzeci partii małopolskiej, czwarty partii wielkopolskiej. Tych kreował podług upodobania swego hetman wielki koronny, bardziej dla pompy jak potrzeby; bo prawdę rzekłszy, wszyscy nie mieli nic do czynienia w małym wojsku i głębokim pokoju. W litewskim wojsku nie było rejmentarzów, bo nie było co dzielić; z sześciu tysięcy wojska być należącego, ledwo się znajdowało w istocie dwa lub trzy tysiące, a przeto nad tak małą kwotą sam hetman niewiele użył pracy i ledwo ta garsztka wystarczała na asystencje hetmanom i trybunałom. Rejmentarze byli to namiestnicy hetmańscy, pomagający mu dźwigać ciężaru pracy, jakoby nieznośnej na jednę głowę rządu wojskowego; gdy w samej rzeczy nie mieli więcej do czynienia, jak odbierać raporta od chorągwi i regimentów sobie powierzonych i te przesyłać hetmanowi, a czasem też wydawać ordynanse na asystencją jakiemu wjazdowi lub pogrzebowi.

Pułkownicy chorągwiów husarskich i pancernych w Koronie, a petyhorskich w Litwie byli tylko tytularni, gdy aktualnych być nie mogło, kiedy i pułków takich nie było; ponieważ każda chorągiew osobną miała konsystencją jedna od drugiej czasem o sto mil odległą, repartycją płacy osobną, którą każda chorągiew wybierała z podatku pogłównego i hibernowego w województwie i powiecie sobie naznaczonym, ani w służbie lub jakiej powinności żołnierskiej jedna z drugą nie miała żadnej komunikacji. W jednych tylko regestrach popisowych i w drugich kalendarzykach politycznych wojsko polskie pułkami układano, na przykład pułk Króla JMci, Królewica JMci, pułk hetmana wielkiego, pułk hetmana polnego. W pierwszej chorągwi każdego pułku porucznik tytułował się pułkownikiem, zdobiąc się niejako rangą swego rotmi-

strza, którym w takiej chorągwi był król, syn królewski albo hetman; i takowy tytuł dawano mu wszędzie, tak w regestrach wojskowych, jako też w ordynansach. W drugich chorągwiach porucznikom tytuł pułkownika w urzędowych pismach nie był dawany. Lecz jako honory są rzeczą miłą, tak nie gniewali się porucznicy drugich znaków, gdy im dawano tytuły pułkowników w potocznych pismach, listach i konwersacjach. A tak pożyczając jedni od drugich tytułów, wszyscy porucznikowie znaków husarskich i pancernych zwani bywali pułkownikami. Rotmistrze znaków pancernych, petyhorskich i husarskich byli sami wielcy panowie, książęta, senatorowie i ministrowie, sam król i hetmani; a to też osobliwsza, że w tym wojsku polskim i stan duchowny miał swoje umieszczenie; książę prymas był rotmistrzem jednej chorągwi usarskiej, książę biskup krakowski drugiej, a w litewskim kompucie biskup wileński trzeciej. Należały te poważne znaki do rozdawniczej łaski królewskiej, która była w niepoślednim szacunku; dosługowano się jej rozmaitymi dworowi aplikacjami tudzież zabiegami i instancjami.

Jeden pan mógł mieć dwa znaki, czyli chorągwie: jednę husarską, drugą pancerną; owszem mógł mieć i trzy: dwie w Koronie, a trzecią w Litwie – i nawzajem. Nawet mógł być w jednej chorągwi pancernej koronnej rotmistrzem, w drugiej husarskiej koronnej porucznikiem, w trzeciej petyhorskiej litewskiej rotmistrzem i na ostatku być generałem – szefem którego regimentu. Tak sobie Czytelnik niechaj wyobraża wojsko polskie jak duchowną hierarchią, w której jedna osoba może służeć kilku kościołom w rozmaitych stopniach, na przykład w jednym kościele jest biskupem, w drugim kanonikiem, w trzecim prebendarzem, w czwartym plebanem; tak też i oficjerowie wojska polskiego, z tą tylko różnicą, iż duchowni takowi wieloracy w jednej osobie, wyjąwszy kanonie, muszą na innych miejscach swoich trzymać zastępców, jako to na prebendach i plebaniach, którzy by ich powinności odbywali. Wojskowi zaś tej potrzeby nigdy nie mieli, gdy całe wojsko, w głębokim uśpione pokoju, niewielu potrzebowało rządców. Rotmistrz nie miał więcej do czynienia, jak tylko imieniem i godnością swoją zaszczycać i chrzcić chorągiew; porucznik i chorąży, którzy byli kreaturą rotmistrza, przydawali jej nieco lustru, kiedy sami byli skądinąd dystyngwowanymi ludźmi. Na przykład pod znakiem królewskim albo hetmańskim, albo jakiego pana wojewody, kiedy pan kasztelan, podkomorzy lub sędzia ziemski porucznikował lub nosił chorągiew, to więcej znaczyło, jak kiedy tylko jaśnie wielmożny pan N. N., co się też

bardzo rzadko zdarzało prostemu szlachcicowi, gdyż do tych rangów ubiegali się mocno najpierwsi w kraju obywatele i urzędnicy. Rotmistrz nigdy nie należał do żadnej służby wojskowej i podobno, choćby był chciał, nie byłby przypuszczony, o czym nie umiem Czytelnika mego uwiadomić, gdyż się ta pretensja za życia mego nigdy nie zdarzyła.

Porucznik i chorąży – ci już, jeżeli chcieli, mogli się interesować do swoich powinności, lecz i to rzadko się trafiało; pospolicie rząd cały chorągwi i komendę trzymał namiestnik, którym bywał jeden z towarzystwa spomiędzy starszych. Ten już zawsze przy chorągwi siedział, wszystkimi pocztowymi i całym gospodarstwem chorągwianym zawiadował. Towarzystwo tylko wtenczas podlegało subordynacji jakiejkolwiek namiestnika, kiedy chorągiew bądź cala, bądź część jej jakowa za ordynansem rejmentarskim ruszała z miejsca. Wtenczas znajdujący się przy chorągwi towarzyszowie obowiązani byli słuchać komendy namiestnika tak co do stawania w szyku, jako też co do marszu i stacji; i to było wszystko, czym mógł namiestnik komenderować; nie było albowiem więcej nigdy rezydujących przy chorągwi towarzystwa nad czterech, pięciu, a najwięcej sześciu; a i ci nieustawicznie, ale więcej po sąsiadach, obywatelach, przyjaciołach, trybunałach, komisjach lub po swoich interesach zabawni. Musztry do tego lub innych ćwiczeń żołnierskich nie znało wojsko polskie, oprócz tych dwóch tempów, w przysłowiu częstym, w używaniu rzadkim będących: „Nabij, zabij!" A jeżeli w jakiej chorągwi była musztra i egzercerunki, to nie z regulamentu wojskowego, ale z ochoty i fantazji pana porucznika, chorążego lub namiestnika, który miał gust w rzemieśle wojskowym. Do czego pierwszy dał pochop Wojciech Niemojowski, skarbnik ostrzeszowski, chorąży znaku pancernego Jego Królewskiej Mości, leżą swoją w Krzepicach mającego. Ten przyjął na swój koszt jednego unteroficjera pruskiego, który pocztowych, czyli szeregowych, w rozmaitych handgryfach i szarżerunkach wymusztrował. A za przykładem Niemojowskiego przez emulacją poszły niektóre chorągwie, ale nie wszystkie. Towarzystwo jednak do tej musztry wcale nie należeli.

Ci, którzy się zaciągali pod znak husarski lub pancerny, obowiązowali się zaraz albo służeć osobiście, albo też dać za siebie pocztowego. Każdy towarzysz zaciągał się podwójno, to jest towarzysz i pocztowy; który zaś nie miał woli traktować żołnierskiej profesji, tylko dla honoru być towarzyszem Jego Królewskiej Mości lub JOPana hetmana, lub innego jakiego pana, stawiał za siebie dwóch pocztów, na których należącą płacą odciągał namiestnik, a resztę oddawał towarzyszowi.

Towarzysz służący w osobie nie mógł się oddalać od chorągwi bez urlapu po teraźniejszemu, a po dawnemu bez permisji, której nie mógł otrzymać od kogo innego, tylko od samego hetmana; co tylko wtenczas potrzebne było, kiedy chorągiew zabierała się do jakiego marszu albo gdy z komenderowaną częścią pocztów na jaką wyprawę, na przykład lipinie jakich rabusiów, zbójców, Cyganów lub hajdamaków ukraińskich, na niego ciągnąć z regestru kolej przypadała; z takowych powinności urlap otrzymany ekskuzował go legitime; bywał też dawany z łatwością za jakąkolwiek wymyśloną przyczyną, powinność zaś jego zastępował drugi po nim lub przed nim w regestrze następujący towarzysz podług ordynansu, jak szedł za regestrem, czy z góry na dół, czy z dołu do góry. Taki zastępca brał gażą za tego, którego zastępował, do proporcji czasu wyprawy przystosowaną.

Kiedy zaś chorągiew leżała na swojej kwaterze i nie było żadnej ekspedycji, niepotrzebny był żadnemu urlap, gdyż rezydencji aktualnej przy chorągwi towarzystwa ściśle i wcale nie wyciągano, dosyć, że był na regestrze i że nie mając urlapu, musiał stanąć, kiedy potrzeba wyciągała. Namiestnik też nie gniewał się o to bynajmniej, że często sam jeden chorągwi pilnował; albowiem, zwyczajem powszechnie wniesionym, każdemu towarzyszowi, bądź w osobie, bądź w sowitym poczcie służącemu, odciągał na rok z lafy złotych osimdziesiąt, za które abcugi dawał stół towarzystwu przy chorągwi rezydującemu. Im tedy mniej było rezydentów, tym się więcej okrawało namiestnikowi. Ci, którzy dali za siebie sowity poczet, do żadnej wyprawy niebezpiecznej nie należeli, ale tylko tracili lafę dla zastępcy swego, tak jak pierwsi.

Lecz kiedy chorągiew dostała ordynansu nemine excepto asystować jakiemu pompatycznemu aktowi, wtenczas kto się chciał uwolnić od takiego mozołu, oprócz pocztów musiał przystawić na miejsce swoje innego kogo, dusznego personata, który za niego na dzielnym koniu w rynsztunku wojennym paradował, co chorągiew mile przyjmowali; mianowicie gdy aktualny towarzysz był albo nikczemnej urody, albo dziad stary, albo kulawy, albo garbaty, albo ślepy, gdyż w polskim autoramencie co do towarzystwa żadnego braku nie było; całą przystojnością i ozdobą osoby było szlachectwo. W takowej paradzie chorągiew wydawali się wspaniała i okryta, gdy za jednę osobę dwie pod nią stawało.

O kole chorągwianym

Co rok każda chorągiew pancerna i husarska odprawiała koło, to jest obradę w interesach chorągwianych i partykularnych; na takie koło zjeżdżali się towarzystwo, którzy chcieli, a którzy nie chcieli, przez innych swoje interesa zasyłali.

Towarzysz, ciągnący na koło, sadził się według możności jak najparadniej tam przybyć. Najuboższy towarzysz był, który jachał na koło karabonem, to jest wozem w skórę czarną obitym, w cztery konie zaprzężonym, od woźnicy w barwę ubranego kierowanym.

Na wozie siedział towarzysz, mający na sobie szarawary, ładownicę i niemal każdy krucyfiks za pazuchą lub obraz Matki Boskiej na taśmie jedwabnej lub wstążce na szyi zawieszony, z dwiema obdłużnymi końcami na plecy spuszczonymi. Szabla wedle niego była z jednej strony w wasąg utchwiona, z drugiej strony sztuciec lub rusznica; wedle wasąga była przywiązana dzida, grotem w tył obrócona, za koła zadnie na dwa łokcie stercząca, z kitajką, czyli chorągiewką, wedle drzewca obwiniętą, aby się nie szargała. Za wozem luzak, to jest służalec towarzysza, ubrany w barwę jednego koloru z woźnicą, siedząc na jednym koniu w ładownicy i szarawarach i mając także jak i pan jego krucyfiks lub obraz, powodował drugiego konia pańskiego wierszchowego, na którym była kulbaka z rządzikiem lub rzędem z pistoletami w olstrach; i to wszystko było przykryte dekiem tureckim czerwonym, zielonym albo pomarańczowym, wełnianym, w kutner tkanym; głowę także konia i kark przykrywał kutan, to jest kapa z białego sukna prostego, na którym były poprzyszywane innego sukna rozmaitego koloru płatki, wystrzygane w kwiaty, ptaki i różne figury; w tym kutanie były cztery dziury, otaśmowane czerwoną lub zieloną tasiemką albo sznurkiem, przez które wyglądały uszy końskie i oczy. Za wozem szedł uwiązany albo wolno puszczony chart albo wyżeł.

Majętniejsi towarzystwo z większą ciągnęli liczbą koni i ludzi. Służyli za towarzysz tak majętni obywatele, osobliwie młodzi paniczowie, że mogli paradować na koło karetą sześćma końmi. Wóz jeden i drugi za karetą sześciokonny, koni powodnych kilka, ludzi służących dworskich kilku i kilkunastu, z kucharzami, hajdukami, pajukami, prowadząc w wozach wina beczkę jednę i drugą, gorzałki gdańskiej kilka puzder i różnych porządków stołowych i żywności karabony z górą wypakowane, ponieważ tak się popisać u chorągwi było to zaszczytem

szczególniejszym rycerstwa polskiego, do innych dzieł w kwitnącym pokoju pola nie mającego.

Zajechawszy do miejsca chorągwi, towarzysz stanął z całą swoją paradą przed stancją namiestnika, który wyszedłszy przeciwko niemu, przyjmował go jako gościa. Tam po pierwszych komplementach towarzysz upraszał namiestnika o kwaterę, który mu ją jakoby z urzędu swego naznaczał, choć już ta pierwej przez ludzi towarzysza, przodem wysłanych, była najęta i obstalowana.

Gdy dzień kołu naznaczony nastąpił, zeszli się wszyscy przytomni do porucznika albo chorążego, jeśli który byt z nich przytomny, albo do namiestnika, jeśli żadnego oficjera nie było. Tam zasiadłszy dokoła stołu porządkiem starszeństwa – prezydujący miał mowę do rycerstwa powitalną, w której ofiara życia i fortuny dla całości ojczyzny była najprzód wspominana, potem dzięki Najjaśniejszemu Panu za ojcowskie jego o dobro publiczne staranie; dalej płynęły z ust krasomówcy marsowego pochwały JO.hetmana, wodza i szafarza krwi żołnierskiej, nieustraszonego i niezwyciężonego wojownika, walecznych bohatyrów polskich, Żółkiewskich, Koryckich, Chodkiewiczów, Czarneckich, Sobieskich wykapanego sukcesora, dostało się na koniec po trosze pochwał jw. rotmistrzowi, porucznikowi, chorążemu, namiestnikowi i całemu godnych kolegów zgromadzeniu, przytomnym i nieprzytomnym.

Po skończonej mowie, jeżeli nowy jaki towarzysz miał podjeżdżać pod znak kupiwszy sobie regestr, bo inaczej bardzo było trudno dostać się do tych znaków, chyba za wielką jaką promocją lub wysługą rotmistrzowi, porucznikowi albo chorążemu, tedy wysyłano po niego dwóch młodszych towarzystwa, którzy go imieniem całej kompanii do koła zapraszali. Ten, w wszelkiej już gotowości na to czekający, jechał na koniu w zupełnym moderunku i za nim pocztowy jeden albo dwóch, jeżeli nie osobiście, lecz przez sowity poczet miał służeć. Szeregowi stanęli w paradzie, wyniesiono chorągiew, pod którą stanął nowy towarzysz, obrócił się na koniu i machnął proporcem w jednę i w drugą stronę, po której ceremonii zsiadł z konia, którego odebrawszy masztalerz poprowadził na kwaterę wraz z szeregowymi. Towarzysz zaś, obstąpiony od drugiego towarzystwa, przy powinszowaniach był wprowadzony do izby, gdzie oddawszy ukłony należyte oficjerom in quantum przytomnym i kolegom, rekomendował się perorą, ułożoną do rzeczy, albo też tylko słowy, jakie mu naprędce przyszły, braterskiej przyjaźni. Potem wyszedł do którego pobliższego domu lub do izby drugiej,

jeżeli była, rozebrał się z zbroi, gdy ją miał; gdy zaś nie, to tylko z ładownicy i szarawarów, powrócił do kompanii i zasiadł miejsce swoje u stołu po ostatnim towarzyszu.

Następowała potem rada wojskowa, czyli chorągwiana, na której deputat przeszłoroczny składał pieniądze wybrane na chorągiew z podatków do niej należących, podawał delatę wsiów i miast, które podatku nie zapłaciły, i czynił rachunek z ekspensy, jeżeli miał jaką na przeszłym kole zleconą. Resztę gotowizny oddawał namiestnikowi, który każdemu towarzyszowi wypłacał jego należytość, wytrąciwszy pieniądze stołowe wyżej powiedziane, strawne dla szeregowego i inny wydatek zdarzony na naprawę rynsztunku lub konia upadłego; tym zaś towarzyszom, którzy na koło nie zjechali, odsyłał przez przyjaciół, jeżeli tak żądali.

Po uprzątnionych rachunkach przystępowano do obrania nowego deputata, który lubo powinien był iść za regestrem z góry na dół, dla wielu jednak nieprzytomnych albo nie chcących się tym zatrudniać, dostawała się ta funkcja częstokroć najmłodszym, kiedy mieli za sobą mocne instancje albo miłość u kolegów. Na Dostatku obierali plenipotenta na komisją do Radomia i dwóch rezydentów na asystencją do rotmistrza albo dawnych potwierdzali. Tym dziełom byty trzy dni naznaczone, po których już obrady miejsca nie miały, ale zjazd trwał czasem tydzień i drugi, póki tego, co poprzywozili z sobą, możni nie wyczęstowali, a chudsi nie wyjedli i nie wypili. Przez cały czas zjazdu szeregowi zaciągali wartę, formowali obwach i gdy ich panowie wytrząsali kielichy za zdrowie króla, hetmanów i oficjerów, oni dawali ognia, a za to odbierali od niektórych wspanialszych na beczkę piwa jednę i drugą, na garniec gorzałki jeden i drugi. Co zebrawszy i odbywszy kampanią, gdy się koło rozjechało, sprawiali sobie ucztę albo też, jeżeli nie chcieli, to się pieniędzmi podzielili. Niemal każdy albowiem szeregowy miał żonę i dzieci w miejscu, w którym chorągiew stała, która nigdy leży swojej nie odmieniała; więc szeregowy pobywszy w takim miejscu rok jeden i drugi, wprędce postarał się o żonę i o gospodarstwo, pewny będąc, że się po świecie tłuc nie będzie, a choćby go potkała wyprawa na jakich rabusiów, że się skończy wprędce i on do swojej leży powróci; za czym kiedy takich żeniatych szeregowych więcej bywało niż bezżennych, częściej woleli podział pieniędzy do ręki niż traktament.

Póki trwało koło, póty znać było, że tam stoi chorągiew; jak się koło rozjechało, szeregowi do kwater się i do gospodarstwa porozchodzi-

li, mundury z siebie pozdejmowali, już więcej nie było znaku chorągwi. Przed panem namiestnikiem warta nie stała, na ordynansie nie był, tylko jeden szeregowy za koleją, a dobosz co dzień jako sługa domowy, który czasem bywał kucharzem jw. pana namiestnika. Trębaczów jednak, których po dwóch bywało przy każdej chorągwi, obowiązkiem było co poranek na pobudkę i co wieczór na wczas trąbić przed stancją namiestnika, także wytrębować wiwat, kiedy namiestnik gości częstował; prócz tych więcej nie było znaków chorągwi przez cały rok. Każdy słodko spoczywał w swojej kwaterze, a pan namiestnik przechadzał się tędy owędy po mieście lub po wsi, z obuchem w ręku i lufką w gębie, dla utrzymania subordynacji i dojrzenia porządku.

O deputacji do egzakcji

Wyznaczonemu do egzakcji nie godziło się prowadzić z sobą więcej ludzi, koni, jak tylko tyle, ile towarzyszowi należało, co obacz. W takowej tedy wyprawie ciągnął od wsi do wsi lub miasteczka, chorągwi jego podatek płacącego. Powinien był ujeżdżać po dwie mili na dzień i po trzech dniach takowej ciągłej podróży wypoczywać przez trzy dni w miejscu dostatniejszym; ale tego przepisu nie słuchał żaden deputat, odprawiał wszędzie trzydniówkę, gdzie mu się podobało, choć z jednej wsi do drugiej nie ujechał więcej nad pół mili. Skoro wjechał do wsi, oświadczył się dworowi lub starszemu chłopu we wsi, gdzie nie było dworu, a w miasteczku burmistrzowi. Lokował się czasem we dworze, czasem u chłopa, jak mu gdzie dano kwaterę, stosując się w tym do woli zwierszchności miejscowej, zachowując jakoby prawo skromność nakazujące. Ale w innych wygodach w cale się trzymał opodal tego prawa: kazał sobie szafować tyle owsa i siana, ile tylko jego konie na miejscu i przez drogę aż do drugiej stacji umyślonej zeźrzeć mogły, tyle kur, gęsi, kapłonów, jajec, masła, sera, chleba, mąki, kaszy, słoniny, ile dla niego z czeladzią potrzeba było i do woza okroić się mogło. Pamiętał także wszędzie, gdziekolwiek baczył dwór porządny, aby jego puzderko podróżne wódką dobrą przepalaną i baryłkę okowitką dla czeladzi w tyle] kwocie, ile wysuszył przez drogę tam, gdzie takiego trunku nie znajdował do smaku, dopełniono; z piwem się nie woził, jako trunkiem prędko wietrzejącym, na miejscu pił go, co chciał, z swoją czeladzią; i to, co napił, gromada kaczmarzowi płaciła.

Gdzie założył trzydniówkę, bawił koniecznie, choć mu zaraz pierwszego dnia podatek oddano, na który dawał kwit ręczny i nawzajem brał drugi od zwierszchności miejscowej, jako się skromnie obszedł z obywatelem i żadnej mu krzywdy nie uczynił; acz nieraz chłopek, a czasem i podstarości oberwał po grzbiecie obuchem od jmci pana deputata albo gandziarą od jego szeregowego lub ciury, gdy albo furaż dla koni nie na wybór przedni lub skąpy, albo prowiant kuchenny takiż był zniesiony. Najwięcej zaś bywało zatargi około pieniędzy; że albowiem w kraju bardzo mało znajdowało się monety srebrnej, a i ta była dużo wytarta, jako jeszcze za Jana Kazimierza bita, dlatego deputat nie chciał przyjmować podatku w złocie, dopominając się monety; w tej znowu czynił brak wielki, więc stąd często przychodziło do kłótni. Posiadacz uparty posyłał do kancelarii, tam składał podatek z manifestem przeciw deputatowi o ekstorsją. Towarzysz siedział we wsi, przewodził i dokuczał, pokąd z manifestem z kancelarii nie powrócono i pozwu mu nie położono, po odebraniu którego, zazwyczaj na wozie deputackim kładzionego, ruszał ze wsi, tego i owego na pożegnanie obuchem wyłechtawszy lub batogiem wykropiwszy.

A że się między ludźmi alternata szczęścia i nieszczęścia trafiać zwykła, bywało i to, że pan deputat z hańbą, guzami albo i ranami został ze wsi ekspediowany, z których przypadków, z pierwszej i z drugiej strony zdarzonych, rodziła się sprawa na komisją radomską z sukcesem od szalbierstwa, obrotu w prawie i mocy strony zawisłym. Kto nie lubił kłótni, ujmował deputata dobrymi sposobami, godził się z nim o cenę pieniędzy, na przykład dając szóstak bity, w którym liczyło się groszy miedzianych 12 i szelągów 2 za groszy 11 albo 12 zupełne; czerwony złoty, po 18 złotych kurs mający, za złotych 17, 16 – według zgody. Pieniądze, w kancelarii złożone, deputat czasem namyśliwszy się odbierał, czasem podawał wieś na delatę, według nadziei wygrania sprawy lub przegrania.

Naładowawszy deputat furażem i żywnością skarbnik, póty nie odprawiał nigdzie trzydniówki, póki go nie wypróżnił. Lecz w każdej wsi, do której przybył po podatek, godził się na pieniądze za trzydniówkę, którą skoro mu wraz z podatkiem zapłacono, natychmiast ze wsi ustępował. I ten tylko jeden sposób był pozbycia się prędkiego tego gościa: ułatwić jak najprędzej podatek, zapłacić mu trzydniówkę albo zamiast pieniędzy próżny wóz wyładować furażem i prowiantem tudzież grzecznymi manierami i dolaniem gardła i bukładów wozowych, pod

pretekstem ubogiego poddaństwa, wyprawić go do innej wsi najbliższej, królewskiej lub duchownej.

Deputat miał zysk trojaki: najprzód na pieniądzach, biorąc ich w niższej cenie, a oddając chorągwi w większej podług kursu krajowego; po wtóre na trzydniówkach, pieniędzmi opłacanych; po trzecie z pensji, na którą się chorągiew deputatowi składała z konia po taleru bitym. Czwartego zysku nie wszyscy się chwytali, a ten był, że te same szóstaki, brane po 11 lub 12 groszy, przemieniali między Żydami i kupcami w cenie zupełnej groszy 12 i szelągów 2, dając za czerwony złoty ważny obrączkowy po złotych 16 lub 17, a czasem, gdy było złoto obrzynane, to i mniej, chorągwi zaś oddając go po zupełnych złotych 18. Więc funkcja deputacka z tych wszystkich akcydensów wynosiła do trzech i czterech tysięcy, nie rachując, że przez ćwierć roku albo i dalej nic go nie kosztował wicht własny, ludzi i koni.

O marszu chorągwi husarskich i pancernych

Chorągwie husarskie nie były zażywane do innych ekspedycji tylko na asystencją jakiemu wjazdowi pańskiemu na starostwo lub województwo albo pogrzebowi podobnemuż; dlatego pancerni husarzów nazywali żołnierzami pogrzebowymi; asystowali także pierwsi i drudzy koronacjom obrazów cudownych.

Kiedy na taką wyprawę ruszała się chorągiew husarska, prowadziła za sobą wielką moc wozów czterokonnych i parokonnych, ludzi przy tym trzy razy tyle, ile komplet chorągwi zabierał, a to z tej przyczyny: najprzód szły wozy naładowane zbrojami, których w ciągnieniu ani towarzysze, ani szeregowi nie zażywali, aż na samym miejscu; raz dla lekszego siedzenia na koniu, druga dla deszczu, po którym potrzebowały chędożenia i polerowania, a zatem się darty. Po wozach zbrojowych następowały wozy z bagażami jmci pana namiestnika i towarzystwa przy chorągwi się znajdującego, z sukniami od podróżnych paradniejszymi, z rzędami, kulbakami w srebro oprawnymi, z pościelami, pawilonami, makatami, kobiercami, namiotami, treptuchami, to jest żłobami płóciennymi, na kołkach rozpinanymi, w którym koniom, gdy w polu trzeba stać było, obroki dawano; z dekami, dywdykami, derami, z rondlami, misami, półmiskami, talerzami cynowymi, kociołkami miedzianymi, z wędzonkami, szynkami, kiełbasami, schabami, legominami, mięsiwami, chlebami i obrokami, zgoła ze wszystkimi potrzebami, do

żywności ludzi i koni należącymi. Jeżeli chorągwi komplet był koni pięćdziesiąt, to z woźnicami, masztalerzami i inną czeladzią służącą można ją było rachować na trzysta głów, a koni na pięćset. Trzeba było bardzo obszernej wsi, ażeby się w niej cała pomieściła. Najczęściej się rozkładała na trzy części: na towarzystwo z potrzebniejszymi wozami, na szeregowych z takimiż wozami i na resztę taboru, w drodze mniej potrzebnego.

Nim się chorągiew ruszyła, poprzedzały ją zazwyczaj trzy ordynanse: za pierwszym namiestnik rozpisował listy do towarzystwa, aby się do chorągwi ściągali, co czynił w dwojakim przypadku: raz, kiedy był ordynans do wszystkich towarzystwa, nie uwalniający żadnego od asystowania aktowi nakazanemu; drugi raz, kiedy nie było żadnego towarzysza przy chorągwi, aby dla jej honoru mógł przynajmniej kilku ściągnąć; ordynans za ordynansem najprędzej wychodził we dwie niedzieli jeden po drugim. Więc towarzystwo, uwiadomione od namiestnika, każdy podług odległości swojej zabierał się ku chorągwi, jedni przybywając na samo miejsce stacji, drudzy łącząc się z nią w marszu, trzeci dopiero tam, dokąd chorągiew była ściągniona.

Dniem przed ruszeniem chorągwi poprzedzał jeden towarzysz z młodszego końca z dwiema szeregowymi i kilką luźnymi wszystkie stacje, które chorągiew przechodzić miała, dla obmyślenia kwater i przysposobienia wcześnego furażów i prowiantów, co się wojskowym trybem nazywało szachownicą, podobieństwem wziętym od tablicy, na której grają w szachy lub warcaby; przystosowanym do rozmaitego koloru sukien, które się na tej garstce ludzi znajdował.

Po wyprawionej szachownicy nazajutrz ruszała się chorągiew tym porządkiem uszykowana: najprzód jachało dwóch trębaczów, potrębując tędy owędy marsz; za trębaczami następował dobosz, bijący pałkami w dwa kotły miedziane, z obu stron konia gna przedniej kuli u kulbaki zawieszone; w odległości kilku kroków sadził się na dziarskim koniu namiestnik, mając goły pałasz w ręku, w pół człeka trzymany; za namiestnikiem maszerowało towarzystwo parami, trzymające pałasze na ramionach; któremu brakło pary, jechał trzeci między dwiema w ostatnim rzędzie. Za towarzystwem szła chorągiew, piastowana od starszego z regestru towarzysza, za chorągwią maszerowali szeregowi, trzymający przed sobą karabiny kolbą o kulbakę oparte, na ukoś na głowie końskiej pochylone. Za szeregowymi szły konie powodne, za końmi wierszchowymi ciągnęły się karety, kolaski i wozy taborowe. Kiedy chorągiew szła bez prezentowania broni, to pan namiestnik

trzymał nadziak, czyli obuch, w ręku. Towarzystwo i szeregowi mieli ręce próżne, karabiny zaś u szeregowych wisiały w tokach przy kulbace, rurami w tył obrócone, po prawym boku.

Wyprowadziwszy chorągiew w pole o jedno lub drugie staje, namiestnik i towarzystwo przesiadali się do kolasek i karabonów; jeden tylko młodszy z regestru zostawał na koniu do prowadzenia chorągwi. Tym sposobem pochód był ciągniony aż do miejsca, chyba jeżeli przyszło chorągwi przechodzić przez jakie miasto, w którym stała jaka komenda cudzoziemskiego autoramentu lub polskiego, to znowu towarzystwo wsiadało na koń i czyniło paradę broni, co się po wojskowemu nazywało: maszerować ostro. Należy i to przydać do wiadomości Czytelnika, iż chorągiew przy dobytej broni bywała rozwinięta, a kiedy maszerowano bez broni, to w pokrowcu, aby się nie szarzała.

Było co widzieć w popisie swoim chorągiew polską usarską lub pancerną, ale najbardziej usarską. Nic nad to nie przydam, gdy powiem, że żaden monarcha w świecie nie miał nic tak okazałego, jak chorągiew polska usarska. Koń pod komenderującym (na sam akt bowiem zjeżdżał zawsze porucznik i chorąży) wart był najmniej sto, a czasem i dwieście czerwonych złotych. Rząd na koniu turecki suty, srebrny, pozłocisty, kamieniami nasadzany, kulbaka takaż; przy prawym uchu konia buńczuk z gałką pozłacaną, kameryzowaną zawieszony (jest to ogon koński biały – moda tureckich baszów); nad czołem konia kita z strusich piór albo z szklannego włosia rozmaitego koloru misternie zrobionych, z egretką, czyli naczelnikiem, diamentami i kamieniami drogimi wysadzaną, srebrno-pozłocistą, do rzędu przypiętą. Wierszchnią część głowy końskiej i całą szyję okrywał czepiec albo siatka srebrna lub złota, z kutasami takimiż, gęsto z obu stron szyi u dołu wiszącymi, z tyłu dywdyk turecki złotem tkany, jedwabny, z frandzlą sutą srebrną lub złotą, całego z zadu konia okrywający, aż do pętlin zadnich nóg długi, albo zamiast tureckiego dywdyka dek takiegoż kroju aksamitny, srebrem lub złotem suto haftowany, paradniejszy od pierwszego i kosztowniejszy.

W czym taki u niektórych panował zbytek, że się tak kosztownemu fantowi szargać po błocie dopuszczali; acz tak uflagany aparat bardziej szpecił, jak przyozdabiał paradę sadzając tuż przy bukiecie, złotem wyhaftowanym, flores nieprzyjemny oczom, z rynsztoka. Na komendancie zbroja stalowa, biało – na kształt srebra – polerowana, z ciągłej blachy, z brzegami pozłocistymi, całego jeźdźca z tyłu i z przodu aż do pasa okrywająca. (NB. Niektórzy oficjerowie mieli zbroją z kawałków

w karpiową łuszczkę zrobioną. Czasem dla większego przepychu te łuszczki były złotymi szpiglami, czyli goździkami głowiastymi, spinane; taka zbroja była wygodniejsza, ponieważ mogła się zginać, czego blacha nie miała.) Ręce podobnież zbroją okryte, która nawet z wierszchu na palce się na kształt rękawiczki spuszczała, spodem zostawując gołą dłoń i palce, do ujęcia i utrzymania broni sposobne; w ręce prawej buzdygan srebrny lub blachmalowy, lub marcypanowy, kamieniami sadzony. Na plecach wisiała skóra lampartowa, adamaszkiem lub atłasem pąsowym podszyta, przez lewe ramię pod prawą pachę wydana, klamrą pozłocistą kameryzowaną na piersiach za dwie nogi tegoż zwierza spięta; u niektórych komendantów zastępował miejsce klamry jeden duży, kosztowny, świecący kamień. Na głowie szyszak, wysokimi piórami strusimi, w grzebienia koguciego formę uszykowanymi, natkany, których końce zginały się aż nad czoło jeźdźca; szyja obojczykiem żelaźnym, policzki twarzy takimiż blachami i broda opatrzone więcej na widok nie wystawiały gołego ciała, jak tylko jeden nos, oczy i same wargi, miąższym wąsem okryte; a jeszcze u niektórych bywała żelazna blacha wąska i obdłużna, prosto przed nosem i w miarę jego do szyszaka jednym końcem przyszrubowana.

Od pasa do nóg już nie używano zbroi; szarawary, to jest portki wielkie, przestronne i fałdziste, na wierszch botów zawdziane, okrywały jeźdźca od pasa aż do kostek nóg; te szarawary bywały z sukna: u towarzystwa przedniego francuskiego, u szeregowych z ordynaryjnego krajowego, paklak zwanego. Kolor sukien i szarawarów, nim nastały mundury, był według gustu każdego rozmaity. Po wymyślonych mundurach przez księcia Michała Radziwiłła, hetmana wielkiego litewskiego, dla chorągwi pancernych: żupan, wierszch czapki i szarawary karmazynowe, kontusz granatowy, dla usarskich: żupan, wierszch czapki i szarawary granatowe, kontusz karmazynowy. Kontusze nosili sami towarzystwo; szeregowi zamiast kontuszów mieli katanki nad kolano krótkie, z zawijanymi rękawami i wyłogami na guziki, w sposób niemieckiej sukni zapinanymi; guziki mosiężne, pobielane; wyłogi u rękawów i na piersiach tudzież kołnierz wywracany na wierszch takiego koloru jak żupan. Na ramionach katanek były wąskie paski z takiegoż sukna jak żupan, jednym końcem do żupana przyszyte, drugim na guzik zapinane, którymi paskami przypinali flintpas i ładownicę, aby w obrotach i rozmaitych ruszeniach z ramienia nie spadały. Tych pasków nie mieli towarzystwo z początku, ale z czasem wnieśli sznurki na ich miejsce srebrne lub złote, dalej zaś szerokie taśmy galonowe z frandz-

lami sutymi. Kontuszów i katanek nie używano, tylko wtenczas, kiedy byli bez zbroi; gdy zaś brali zbroją, już nie brali kontuszów ani katanek, tylko żupany i szarawary.

Towarzystwo usarskie i pancerne, oprócz szabli przy boku i pistoletów w olstrach przy kulbace, do potrzeby i parady używali dzid, przy których były małe chorągiewki kitajkowe, u usarzów dłuższe, u pancernych krótsze; kolory tych chorągiewek najczęściej bywały czerwony z białym, acz pod niektórymi chorągwiami używano takich jak mundur. Nazwisko takim dzidam z chorągiewkami dawano: usarskim – kopia, pancernym – proporzec, lekkim – znaczek.

Jak oficjerowie przesadzali się na dzielne konie i siądzenia, tak i towarzystwo, z tą tylko różnicą, iż towarzysz nie miał buńczuka ani zbroi odmiennej od drugich, ani dywdyka, czyli czapraka, na koniu inakszego, ale kolorem i fasonem musieli się wszyscy stosować do równości, chociaż w gatunku materii i roboty jedni się nad drugich przesadzali.

Szeregowi usarscy zamiast lampartów używali wilczej skóry, takim sposobem na zbroi zawieszonej jak lamparty towarzyskie. Zamiast strusich piór szeregowi usarscy mieli z tyłu do zbroi przyśrubowane drewno od pasa nad wierszch głowy wysokie, nad tęż głowę zakrzywione, piórami długimi od końca do końca rzędem natchnięte, rozmaitymi kolorami wraz z piórami malowane, gałęź laurową lub palmową naśladujące, co czyniło dziwnie piękny widok, lecz takiego lauru nie wszystkie chorągwie używały. Pod innymi chorągwiami szeregowi na szyszakach mieli tylko kity z piór, pospolicie gęsich, farbowanych, albo też gałkę mosiężną okrągłą, na pręcie żelaznym grubym, na trzy cale długim, osadzoną. Czapraki u szeregowych były długie do kolan konia i okrywały cały tył jego, wszystkie były jednakowego kroju, koloru i gatunku, sukna ordynaryjnego, akomodowanego kolorem do munduru szeregowych, który mundur u wszystkich chorągwi usarskich i pancernych z dawna dawien dawany był szeregowym, choć jeszcze go towarzystwo nie nosiło.

Pancerne chorągwie w powadze i szacunku w narodzie nie ustępowały znakom usarskim; tak się do nich dobijano jak i do usarskich; jedne obyczaje, jeden regulament trybu żołnierskiego, jeden rygor albo raczej jeden nie-rygor u obydwóch znaków; przeto, co się pisało względem konsystencji, marszu i parady chorągwi usarskiej, to wszystko służy pancernym. Czym się różnili pancerni od usarskich, to opiszę:

Pancerni zamiast zbroi zażywali pancerzów. Był to kaftan żelazny, w pół człeka długi, z rękawami po łokieć długimi, robiony z kółek maleńkich, płaskich, okrągłych albo też z podługowatych ogniwków, jedne za drugie zakładanych, z rozporem małym na piersiach, na haftki zapinanym, do obłóczenia i zdejmowania pancerza służącym; po ręku szły karwasze żelazne, od łokcia do pięści długie, na glanc polerowane, pół piszczeli obejmujące, rzemiennymi paskami na rękę zapinane; sama pięść ręki nie uzbrojona żelazem, tylko rękawicą grubą łosią okryta. Od pasa do nóg szarawary tak jak u usarzów. Na głowie misiurka, to jest na samym wierszchu głowy okrągła blacha żelazna, z gałką mosiężną lub srebrną pozłacaną – według osoby; o tej blachy był przyrobiony kawał pancerza, który otaczał niższe części głowy, czoło i kark tudzież policzki twarzy, nie zasłaniając oczów, nosa, ust, brody i szyi.

Lampartów ani wilków nie zażywały chorągwie pancerne; oficjerowie znaków pancernych zamiast gałki na misiurce zażywali kitów z piór farbowanych albo z włosia szklannego, w tulejce kameryzowanej osadzonego. W koniach, siądzeniach, rzędach, buńczukach, dywdykach bynajmniej nie ustępowali pancerni usarskim; zgoła we wszystkim aparacie wojennym jedni się nad drugich podług fortuny przesadzali; a gdy oficjer pancerny włożył na lewą rękę tarczą perłami lub drogimi kamieniami sadzoną, przypiął do boku lewego z strzałami rozmaicie pofarbowanymi sajdak, podobnież jak tarcza perłami i kamieniem ozdobiony, to jeszcze przesadzał usarskiego; acz tego rynsztunku za czasów Augusta III już mało co zażywali. Nosili go jako znaki starożytne sławnych zwycięstw przodków swoich nad Turkami i Tatarami. Towarzystwo także pancerne niekiedy i nie wszyscy używali na podjazdach przeciw hajdamakom strzał, lubo już broń ognista dawno w Polszcze zażywaną była. Dlatego używali strzał, iż najprzód strzała cicho raziła albo i na śmierć zabijała hajdamakę, bez wydania rażącego, w jakim dole lub chwaście ukrytego; po wtóre, iż w owe czasy trwała opinia między wojskowymi, że jest sekret albo czary od ołowiu i że ten sekret czy czary hajdamacy posiadają, nie mogąc być kulą ołowianą ranionymi; a nie masz sekretu żadnego przeciw żelazu, z jakiego kruszcu był grot u strzały. Słyszałem od wielu towarzystwa, bywalców w potyczkach z hajdamakami, że ci wystrzelone do siebie kule zmiatają z sukien jak pigułki śniegowe, że je wyjmują zza pazuchy, że je w ręce łapią i na urągowisko naszym odrzucają; dodawali ci opowiadacze, iż aby się kule ołowiane jęły hajdamaków, trzeba było lać je na pszenicę święconą albo też mieć je żelazne, srebrne lub złote. Tak tedy wierzącym woj-

skowym potrzebne były strzały, choć już po wynalezieniu strzelby. Trzecia, ale najprawdziwsza była przyczyna używania długiego strzał, a nie tak strzał, jak sajdaków, iż w owe czasy nie było jeszcze dla towarzystwa mundurów; więc towarzysz, chcący się dystyngwować od obywatela prostego na kompaniach i zjazdach publicznych, przypasował do boku sajdak, bo szabla, jako wszystkim powszechna, oznaczała tylko szlachcica, ale nie towarzysza; zbroi też lub pancerza używać prócz służby żołnierskiej nie należało i niewygodno było. Szeregowi pancerni mieli takież pancerze jak towarzystwo, acz nie tak ozdobne.

Postać chorągwi w pancerze ubranej, w szyku stojącej, z daleka patrzącemu wydawała podobieństwo deszczu rzęsistego, co czyniły owe punkta próżne między kółkami i ogniwkami, cień między blask samych kółek i ogniwków polerowanych rzucające, oku z daleka krople grubego deszczu reprezentujące.

W pół panowania Augusta III chorągwie pancerne zatrzymały tylko imię swoje, to jest imię pancernych. Pancerze zaś pozarzucali i na końcu panowania Augusta III nie było więcej chorągwi zażywających pancerzów, jak cztery w Koronie. Miejsce pancerzów wzięły blachy żelazne tylko na piersiach jeźdźca, szyszak na głowie zamiast misiurki i karwasze na ręku. Ta odmiana stała się dlatego, że pancerze bardzo wiele kosztowały, że się prędko darły, częstego chędożenia potrzebujące, że od kuli z muszkieta były przenikliwsze niż blacha żelazna, po której, gładko wypolerowanej, prędko się zemknęła.

Między strojami do ozdoby należącymi niepoślednie miejsce trzymała burka; krój tego odzienia naśladuje kapę kościelną, cokolwiek krótszą, materia z wełny koziej lub wielbłądziej sposobem pliśni siodlarskiej robiona, z wierszchu kosmata, z spodu gładka, koloru trojakiego: siwa, biała i czarna. Fabryki krymskiej burka była najprzedniejsza i kosztowała najprzedniejsza do 40 czerwonych złotych bez podszewki; użytą do jakiego aktu wspaniałego, pospolicie czarną, podszywano przednim atłasem błękitnym lub pąsowym, lub karmazynowym, sznurkiem złotym suto szamerowanym, czyli raczej w rozmaite pręgi po atłasie ciągnionym. Takową burkę komenderujący zawieszał na plecy, sznurem długim i grubym złotym pod szyję przestrono zawiązaną, z dwiema kutasami miąższymi na piersi spadającymi; prawa poła burki była na plecy nieco zarzucona, atłasem na wierszch wywrócona, co na szklącym się pancerzu lub zbroi, od atłasu odbitym, dziwnie piękny czyniło widok. A lubo wielu z towarzystwa znajdowało się tak majętnych, iżby im o podobną burkę nietrudno było, dla różnicy jednak ofi-

cjerów żaden towarzysz nie zażywał jej do parady. Usarscy także oficjerowie burek nie zażywali, mając na tym miejscu lamparty wyżej opisane. Burki mniej kosztowne krymskie lub jeszcze podlejsze kuligowskie od wszystkich wojskowych byty zażywane autoramentu polskiego, ale tylko w ciągnieniu i obozowaniu, jako lżejsze od futer, trwalsze od nich na słotę i lepiej od fali broniące niż płaszcz cienki. Jeżeli zaś trzeba było nocować w polu, co się czasem trafiało uganiającym się komendom za hajdamakami, służyła żołnierzowi, rozpięta' na kijach, za pół namiotu.

O powadze towarzystwa usarskiego i pancernego

Każdy towarzysz tych znaków tytułował się równym swemu rotmistrzowi; stąd poszło nazwisko towarzysz, czyli kolega. Nie mówił, że służy pod królem JMcią albo pod panem hetmanem, lub pod panem wojewodą, lecz z królem JMcią, z panem hetmanem, z panem wojewodą. Towarzysz miał wyższą rangę niż którykolwiek oficjer autoramentu cudzoziemskiego, nawet sam generał. Towarzysz nie mógł pójść pod komendę generała, a przeciwnie, generał z całym regimentem swoim mógł pójść pod komendę towarzysza. Lecz to tylko zachowane było w mniemaniu, ale nie w skutku; albowiem każdy generał, biorąc regiment, starał się zaraz mieć chorągiew usarską lub pancerną, żeby tym sposobem stał się wyższym od towarzysza i nie szedł pod jego komendę. Acz i to druga prawda, że sami generałowie nigdy swymi regimentami nie komenderowali, tylko ich pułkownicy, obersztelejtnanci lub majorowie. Generał każdy był pan wielki, senator albo urzędnik koronny, który się wojskową służbą nie zatrudniał, mając dosyć na honorze i pensji.

Ze wszystkich generałów, którycheśmy widzieli za czasów Augusta III, jeden Skórzewski był generałem dragonii, nie mający żadnego urzędu obywatelskiego, zatrudniający się służbą wojskową, swojej randze należącą. Ten także, jak inni wszyscy, miał chorągiew pancerną. Jeżeli który regiment cały był komenderowany do jakiej wyprawy wraz z chorągwiami usarskimi i pancernymi, w takowym razie na komendanta generalnego dobierano porucznika, pułkownikiem zwanego, od jakiego znaku pancernego lub usarskiego, aby tym sposobem sztabofi-cjerowie regimentowi nie mieli sobie za poniżenie pójść pod jego komendę.

Polacy przez małe panowanie Augusta III nie mieli żadnej innej wojny, tylko z hajdamakami, którzy wypadając z Siczy, do Moskwy należącej, na Ukrainę polską i często zabiegając aż na Podole, szlachtę, Żydów i chłopów bogatych tamtejszych rabowali. Przeciw którym rabusiom wyprawiali hetmani koronni co rok dywizje od różnych regimentów pieszych i konnych, chorągwie polskie, pancerne i lekkie, to jest przedniej straży. Nad takim korpusem czynili generalnym komendantem jakiego porucznika pancernego, dawszy mu tytuł regimentarza; więc już taką godnością przyodzianemu komendantowi wszyscy oficjerowie obojga autoramentów, znajdujący się w obozie, posłusznymi byli. Ten zaś, kiedy z swego korpusu wyprawiał jaką partią na podjazd, z towarzystwa i regimentowych składaną, nie komenderował wyższych oficjerów jak kapitanów, a komendę nad całym podjazdem oddawał namiestnikowi lub towarzyszowi z chorągwi najstarszej najstarszemu, albo też dzielił władzą, każdemu nad swojego gatunku żołnierstwem równą, tak iż jeden drugiemu nie mógł rozkazywać, ale tylko znosić się jeden z drugim podług potrzeby.

Towarzysz w każdej kompanii publicznej był konsyderowany jak osoba dystyngwowana, mieścił się między pierwszymi osobami tak cywilnymi, jako też wojskowymi; nawet oficjerom swoim, pułkownikom, rotmistrzom (wyjąwszy służbę żołnierską), miejsca nie ustępował, chyba przez grzeczność i interes, mając się każdemu dystyngwowanemu za równego. Na pokoje królewskie, na opery, na bale, kiedy był zakaz puszczać mniejszej konsyderacji ludzi, towarzysza zawsze puszczono, skoro za takiego był uznany. A że długi czas sascy żołnierze, drabantami i karwanierami zwani, trzymali wartę przy królu na sali i przy operami, którzy – mniej znający się na godnościach obywatelskich, tym bardziej towarzyskich – wybór do puszczania osób miarkowali po sukniach: kto się dobrze ustroił i był personat, tego wpuścili, chociaż był plebejusz, z gminu prostego człowiek; kto zaś nikczemny na osobie albo nie nadto jasno ubrany, tego zatrzymano przed pokojami lub cisnącego się gwałtem w nadzieję rangi swojej tego kolbami odparto. Takowe trafunki, częstokroć towarzystwu, a czasem i samym oficjerom polskiego autoramentu zdarzone, dały okazją do przyjęcia mundurów, które dotąd nosić towarzystwo polskie za sromotę i jakąś nierówność miało. Skoro hetman litewski Radziwiłł wymyślił mundury, obaczywszy koronne wojsko, iż ta sukienka żołnierska więcej ma szacunku u Sasów niż najbogatsza obywatelska, co tchu się wzięli wszyscy do mundurów, tę różnicę zostawiwszy sobie, że nie mieli pętelki z guzi-

kiem na ramieniu; litewscy zaś nosili na lewym ramieniu: usarze złotą pętelkę sznurkową z guzikiem złotym, petyhorcy srebrną pętelkę z guzikiem takimże, z czego ich korończykowie przez szyderstwo nazwali „pętelkami". A tak wstydząc się Litwini tego przydomku sobie nadanego, podobieństwo do pewnej rzeczy białogłowskiej mającego, w lat kilka i oni pętelki poodrzucali.

Mundury tedy stały się równe u koronnych i litewskich i były zaszczytem u obojga narodów, dystyngwującym żołnierza od obywatela. Tak sobie poradzili towarzystwo, czyli raczej hetman wielki litewski poradził towarzystwu, żeby cześć swoją odbierało.

Nie dostawało jeszcze znaku dla oficjerów autoramentu polskiego, po których byliby poznawani i jako tacy czczeni. Kiedy albowiem oficjer autoramentu cudzoziemskiego przechodził wedle szyldwacha stojącego na warcie, szyldwach spojrzawszy na jego szpadę przy boku i ujrzawszy przy gifesie wiszący temblak jedwabny, srebrem przerabiany, z kutasem takimże (który znak po francusku nazywał się pour tepe, po niemiecku feldceich, a ja po polsku chrzcę go namiecznikiem albo oręźcem), natychmiast poznał przechodzącego być oficjerem i prezentował przed nim broń, czyli jak wtenczas mówiono, skwerował, to jest brał z ramienia lub od nogi karabin i trzymał przed sobą wpół chłopa, poki oficjer nie przeszedł. Gdy zaś przechodził oficjer, choćby największy, autoramentu polskiego, nie skwerował przed nim szyldwach, nie widzący przy jego szabli znaku pomienionego oficjerskiego, prócz którego nie był inny żaden pewny, bo towarzysz prosty, kiedy był majętny, tak suty od galonów i innych szamerunków złotych lub srebrnych podług mody krajowej zawalił na siebie mundur jak jego porucznik albo pułkownik. Za czym nie chcąc być upośledzeni w tej czci oficjerowie autoramentu polskiego, przejęli od oficjerów cudzoziemskich feldceichy, czyli namieczniki, a na ostatku przejęli i szarfy, którymi się bądź w służbie, bądź nie w służbie, byle w znacznej kompanii, opasywali, sadząc się na jak bogatsze i kapiące srebrem, żeby ich, znakami oficjerskimi zewsząd ozdobionych, lepiej szanowano.

Zdaje mi się, żem już wszystko opisał, com widział i wiedział o znakach poważnych, usarskich i pancernych w Koronie; należy mi oddzielić to dla Litwy, czym się jej znaki usarskie od usarskich koronnych różniły. Ta zaś różnica na małej zawisła rzeczy: koronni usarze na plecach nosili skórę lamparta, jako się w swoim miejscu napisało, litewscy usarze nie nosili lampartów, tylko do lewego boku, siedząc na koniu, przypasowali wielkie skrzydło z strusich piór robione, zasłania-

jące cały bok konia i nogę jeźdźca od pasa aż do kostek, co dotychczas w herbie litewskim na pieniądzach i pieczęciach publicznych lepiej niż w opisaniu rozeznać można. Sadzili się zaś tak na ozdobę pomienionego skrzydła, jak koronni na ozdobę lamparta. Petyhorscy litewscy nie mieli żadnej odmiany od pancernych koronnych. I to także do powagi należy, iż towarzysz nie mógł być karany żadną karą cielesną, tylko aresztem i ujmą lafy, a za ciężkie wykroczenie odsądzeniem od regestru i wytrąbieniem z wojska. Ta ostatnia kara kogo potkała, wyrażała się tym terminem: stanęła na nim trąba. Areszt był dwojaki: wolny i niewolny; wolny areszt, kiedy mógł wychodzić z stancji, ale bez broni; niewolny, kiedy musiał siedzieć w niej, nie wychodząc za próg i wtenczas był pod wartą [brak końca zdania]

O znakach lekkich

Lekkimi znakami, czyli chorągwiami, nazywali jazdę polskiego autoramentu, nie używającą żadnej zbroi ani pancerza. Składała się ta jazda, tak jak usarska i pancerna, z towarzystwa i pocztowych. Broń towarzysza była: szabla, pistolety i dzida z małą kitajkową chorągiewką; ubiór: kontusz, żupan, pas, a na tym szarawary, na głowie czapka z barankiem siwym albo czarnym. Broń pocztowego: karabin, pistolety i szabla; ubiór: katanka do kolan krótka, żupan, pas, szarawary, na głowie czapka z baranem czarnym, dwa razy tak wysokim jak u towarzysza; oprócz którego odzienia, przestronnym krojem robionego, od słoty i zimna pocztowy miał płaszcz, towarzysz zaś jeden płaszcz, drugi opończą, inny burkę, jak się któremu podobało i na co którego stać mogło; długi albowiem czas i lekkich znaków towarzystwo nie używało mundurów, wyjąwszy pocztów, których już zaznałem w mundurach. Prędzej atoli daleko lekkie towarzystwo wzięli mundury – niżeli usarscy i pancerni. Kolor mundurów lekkich znaków był niemal jeden w Koronie i Litwie: żupan siarkowy, kontusz albo katanka błękitne z wyłogami żupanowymi.

Różniły się chorągwie jasnością lub ciemnością większą lub mniejszą, jedne od drugich, pomienionych kolorów. A nawet pod jedną chorągwią bywała pstrokacizna, albowiem iż takowe kolory z natury swojej prędko pełzną, przy tym nie będąc mundury z jednego postawu krajane, ale każdy towarzysz, sprawując sobie i pocztowemu swemu mun-

dur podług upodobania i potrzeby, tyle się różnił jeden od drugiego, ile na jednym nowszy, na drugim wytarłszy znajdował się mundur.

Pod te znaki nie dobierano na towarzystwo koniecznie samej szlachty; wolno tu było być towarzyszem i nieszlachcicowi, i Tatarowi; dlatego też wielu tu bardzo służyło Tatarów. Wielu jednak znajdowało się i szlachty chudych pachołków, których fortuna pod znakami usarskimi i pancernymi pomieścić nie raczyła, a którzy mając gust być żołnierzami, nie lubili jednak zostawać pod rygorem cudzoziemskiego autoramentu, w regimentach zachowanym. Nie zważano także na urodę; mógł pod tymi znakami służeć i stać w szyku garbaty i jednooki.

Płaca rocznie na towarzysza i szeregowego tudzież dwa konie była sześćset złotych, z których musiał wszelkie potrzeby swoje i szeregowego opatrywać. Była to płaca dosyć szczupła; w głębokim atoli pokoju, ile przy leżach nieodmiennych, w pastwiska i żywność obfitujących, dosyć wystarczająca. Byle się towarzysz skromnie obchodził i nie doznał upadku w koniach, mógł się dobrze trzymać, osobliwie, który umiał handlować końmi albo był zręczny do myślistwa. Takowy, szczując i strzelając lisy, okrył nimi grzbiet albo skórki przedając Żydom, nazbierał na suknią, zające zaś, sarny, kuropatwy i inną rozmaitą zwierzynę stołową jednę do swojej kuchni adresując, drugą sąsiadom szlachcie podarunkiem rozsyłając, wypasał konie wet za wet darowanym owsem i sianem.

Dwie atoli wady były w tym regulamencie, które wielu z towarzystwa tego ciemiężyły. Pierwsza, iż płacą odbierali razem rocznią i że każdy towarzysz wszystkich swoich potrzeb byt opatrzycielem. Namiestnik tu nie miał żadnej opieki o stole towarzyskim i pocztach, tak jak w chorągwiach poważnych, przeto który towarzysz był pijaczek albo kostera, albo się nie umiał rządzić, prędko roczną płacą stracił; skąd potem nie stać go było na potrzeby przystojne tak dla siebie, jak dla szeregowego. U takowego też pospolicie koń gałgan albo pożyczony od kogo na odbycie powinności przypadłej; pistoleciska złe, na szabli półpochew, kulbaka skrzypiąca, mundur podarty, zgoła cała figura jeźdca i konia odartusa jakiego borowego, nie żołnierza reprezentująca.

Druga wada, że pod tymi znakami towarzystwo nie należało do likwidacji ani egzakcji płacy chorągwianej. Zwykle pan rotmistrz odbywał tę funkcją i wypłacał towarzystu żołd należący. Przyjechawszy z pieniędzmi do chorągwi, dal dla towarzystwa obiad jeden i drugi, podpoił należycie, a wprowadziwszy w dobry humor, wytargował na nich, iż za fatygę podjętą w egzakcji zrzucili mu się z konia po czerwonym

złotym jednym i drugim; to w karty wywabionych poogrywał; to fantem jakim, koniem, szablą, pistoletami lub jakim odzieniem podszarzanym – we troje drożej, niż był wart, w żołdzie potrąconym – tego i owego zarzucił; albo też pod pozorem nie wybranej całkowitej sumy chorągwianej po kilkadziesiąt złotych między towarzystwo rozdawszy, a sam resztę na pijatykę i zbytki straciwszy, na kredyt nigdy nie uiszczony, ale od czasu do czasu rozmaitymi sztukami łudzony, puścił. Jeżeli się chorągiew krzywdzona odważyła zapozwać rotmistrza do komisji radomskiej, śmielszych i obrotniejszych co prędzej na swoją stronę ujął, za faworem których reszcie słabszej groźbą i obietnicą gębę zatkał, niektórych sobie nienawistnych pod wyszukanymi pretekstami za niezdatnych do służby podał i z regestru wymazał.

Wszystko to uchodziło w chorągwiach lekkich, mianowicie w tych, gdzie był rotmistrz szlachcic, kreatura hetmańska, jego interesów po sejmikach i sejmach tudzież reasumpcjach trybunalskich żwawy obrońca, do korda zawołany junak. Ten talent nadgradzał i zastępował wszystkie inne wady. Bywali też pod lekkimi znakami rotmistrze i inni oficjerowie Tatarowie; pod takimi bywała pewniejsza dla towarzystwa płaca. Tatarowie albowiem, kochając się w trzeźwości i oszczędności, nie wpadają w potrzebę krzywdzenia innych żołdu i gdyby się był znalazł takowy, prędka z niego byłaby sprawiedliwość, nie mającego tych względów u zwierszchności krajowej ani mocnych przyjaciół co szlachcic.

Lekkie chorągwie dzieliły się istotnie na pułki, mając rzeczywistych pułkowników, a tymi pułkownikami w Koronie bywali sami szlachta, w Litwie Tatarowie i szlachta.

Kiedy na jaką wyprawę ściągano w obóz lekkie pułki, wtenczas pułkownik komenderował chorągwiami do swego pułku należącymi; kiedy zaś pojedynczo chorągwiów używano, ordynanse szły prosto do rotmistrza, nie zatrudniając pułkownika. Te zaś wyprawy, do których wzywano całych pułków, dwa razy się, ile pamiętam, pod panowaniem Augusta III zdarzyły; raz, kiedy Józef Potocki, hetman wielki koronny, z nieukontentowania do Sasa chciał przeciw niemu podnieść rokosz i na ten koniec ściągał wszystkie regimenta i chorągwie polskie lekkie i ciężkie, który rokosz za staraniem książęcia Jana Lipskiego, biskupa krakowskiego i kardynała, został odwrócony; drugi raz, kiedy Jan Klemens Branicki, po Potockim hetman wielki koronny, zajechał książęciu Januszowi Sanguszkowi, marszałkowi nadwornemu litewskiemu, ordynacją dubieńską i ostrogską, utrzymując ją od podziału na familie,

przez wspomnionego książęcia Sanguszka w grodzie sendomirskim uczynionego.

Oprócz tych dwóch razów ruszały się czasem wojska polskie i regimenta niektóre na koła rycerskie, które hetmani, pokazując czułość swoją, czasami naznaczali. Tam ściągnione pułki, chorągwie i regimenta popisowali się z dzieł rycerskich, w owym czasie tryb wojskowy i powinną umiejętność zawierających, o których więcej uczynię wiadomości Czytelnikowi tam, gdzie będę pisał o hetmanach. Tu zaś ciągnę rzecz dalszą o lekkich znakach.

Na hajdamaków najwięcej zażywano lekkich chorągwi, ale z trudna kiedy ruszano całe chorągwie, tylko od tej i owej po trosze na przemianę, aby tak szkody lub zdobyczy każda chorągiew doznawała pod miarą. Bywało jednak, że i całe chorągwie ruszano, gdy rotmistrz, ochoczy do wojny, sam się o to starał albo kiedy nagła jaka potrzeba nie dozwalała zbierać od chorągwiów, daleko od siebie stojących, potrzebnego podjazdu. Na przykład: kiedy kazano łapać jakiego infamisa mocnego, na gardło osądzonego, który z desperacką rezolucją miał się do obrony; albo jaki zbójca zebrawszy partią najeżdżał dwory; albo Cygani w licznej kwocie obrąbali się gdzie w lesie, wychodząc z takiego legowiska na plądrowanie pobliższych wiosek, młynów i łupienie kościołów. W takich i tym podobnych przypadkach dawano ordynanse całkowitym chorągwiom pobliższym.

Prócz tych ekspedycji wojennych, nie bez szwanku żołnierstwa, czasem i znacznego, podejmowanych, chorągwie lekkie zażywane bywały do konwoju hetmanów, kiedy się na sejm do Warszawy i Grodna z ogromnym dworem prowadzili albo w innej jakiej okoliczności do króla przyjeżdżali; w takim razie jedna chorągiew porządniejsza konwojowała hetmańską karetę, samego hetmana wiozącą, towarzystwem z znaczkami, czyli dzidami, przed karetą, szeregowymi z karabinami za karetą paradującymi. Druga i trzecia chorągiew – mniej porządne – rozerwane były do innych wozów, karet, kolasek i bryk hetmańskich konwojowania.

Lekkich także chorągwi powinnością było biegać z listami hetmańskimi i regimentarskimi, dla której szczególnie potrzeby zawsze przy hetmanie znajdowała się jedna chorągiew lekka, a przy rejmentarzu komenderowanych po kilku od każdej chorągwi jego regimentarstwa. Zażywano także lekkich chorągwi czasem i do wjazdów publicznych, pogrzebów wielkich panów i koronacyj cudownych obrazów, żeby z

rozmaitego gatunku żołnierstwa większa się okazałość aktu publicznego wydawała.

Na koniec rozstawiano chorągwie lekkie po kresach, gdy hetman lub regimentarz, interesowany do trybunału, chciał prędko wiedzieć, jak się udała jego reasumpcja. Zgoła nie tylko do wojskowych powinności, ale też do wszelkich innych usług hetmańskich służeć musiały lekkie chorągwie; te nazywano pospolicie przednią strażą.

Póki nie nastały mundury w chorągwiach usarskich i pancernych, żaden rotmistrz lekkiej chorągwi nie starał się być za towarzysz pod znakiem poważnym. Lecz gdy, jako się wyżej rzekło, poważne znaki przyjęły mundury, wszyscy rotmistrze lekkich znaków (wyjąwszy Tatarów) ubiegali się o regestr pod znakami usarskimi lub pancernymi, a to dlatego, że jako rotmistrz mając przy szabli pour tepe, to jest namiecznik, a wdziawszy na się mundur pancerny lub usarski, udawał człowieka poważniejszego, niż był w samej rzeczy; i gdzie nie był znany, uchodził za oficera znaku wysokiego. Toż samo uczynili porucznicy i chorążowie przedniej straży, acz nie wszyscy. Wielu bowiem z nich, obligowanymi będąc do ustawicznego znajdowania się przy chorągwiach, nie mieli sposobności zażycia munduru innego znaku, którym tylko się wtenczas krasić mogli, gdy byli extra służby; przeto którzy swoim chorągwiom ustawicznie służyli, o taką ozdobę, której zażyć nie mogli, nie starali się.

Musztry takiej zażywały chorągwie lekkie albo przedniej straży, jakiej zażywały chorągwie usarskie i pancerne; szeregowi sami należeli do tej musztry, towarzystwo nie należeli. Musztry konnej nie znano w chorągwiach lekkich, a nawet wszelkich innych autoramentu polskiego; maszerować parami i stanąć w szeregu pod linią podług regestru, nie podług wzrostu, to była cała musztra konna. Piesza zaś składała się z niektórych handgryfów: jak wziąć karabin przed się, na ramię, do nogi i tym podobnych; ale to wszystko szło rozwioźle, nieostro i nie razem. W czym się najbardziej ćwiczyli szeregowi, to w tym, aby ognia dawali razem, jak gdyby orzech zgryzł; i wiele razy trafiło się polskim chorągwiom dawać ognia po kolei z żołnierzami autoramentu cudzoziemskiego, jak to na komisjach radomskich, na kołach rycerskich, na wjazdach i pogrzebach wielkich panów, zawsze się lepiej popisali polscy niż cudzoziemscy, ale też za to w nabijaniu broni nie byli tak sprawni jak żołnierze regimentowi. Po jednym wystrzeleniu trzeba było kilka minut czasu, nim się do wydania drugi raz ognia przygotowali; której zwłoki po części przyczyną były stemple drewniane u karabinów, długi

czas pod panowaniem Augusta III tak u chorągwiów polskich, jak u regimentów używane. Żelazne stemple w wojsku polskim generalnie i karabiny w każdym regimencie jednostajne nastały dopiero około roku 1759, kiedy Moskale, wojujący z królem pruskim, Fryderykiem II, wielką moc broni, tak Prusakom w różnych bitwach zabranej, jako też swojej własnej, po zginionych swoich sołdatach, w Polszcze zostawili. Niemało także dostało się Polakom broni takiej od dezertorów, a że u tej broni były stemple żelazne, więc stąd regimenty i chorągwie polskie wzięli okazją i sposobność do stemplów żelaznych.

U pistoletów jednak nie mieli Polacy stemplów żelaznych, tylko drewniane, i to tylko dla proporcji: do nabijania których mieli stemple dłuższe od pistoletów, pobojczykami zwane, do ładownicy na obdłużnej taśmie jedwabnej albo rzemieniu przywiązane, czasem wiszące, czasem za pas z tyłu zatchnięte. Takie pobojczyki bywały u niektórych żelazne, u niektórych trzcinowe, w miarę kalibru pistoletowego grube. Towarzystwo majętniejsi u wszystkich polskich chorągwi, lekkich i poważnych, pobojczyki swoje oprawiali skuwkami srebrnymi i gałkami takimiż z drugiego końca od ładownicy wiszącego, z kołkiem takimże. Niemniej także sadzili się na ładownice sute, które były dwoiste: jedna zwała się blachmalowa, ta była z czarnej lub czerwonej skóry, po wierszchu srebrem lub złotem w kwiaty haftowanej, na boku od pola blachą srebrną szmelcowaną obita; a czasem w tej blasze były sadzone kamienie turecką modą, czerwone, zielone i błękitne. U takiej ładownicy szła taśma na dwa alce szeroka, szmuklerską robotą srebrem lub złotem przerabiana, jedwabna. Druga była z łosiej skóry, mająca czasem całkowitą srebrną blachę, jasno polerowaną, w różne figury przyozdobioną; czasem zamiast blachy szła obwódka srebrna, w środku obwódki krzyż kawalerski z herbem towarzysza; zamiast taśmy był pasek z takiejże łosiej skóry jak i ładownica, na którego przedzie była przybita gwiazda srebrna, czyli – róża, mająca w sobie mały werblik i kółko, od którego kółka wisiały dwie małe przetyczki, jak iglice na łańcuszkach; spodem różyczki na odległość dłoni była druga sztuka gładka albo fugowana, w miarę paska szeroka, na pół ćwierci długa, w załomki zakończona, dwie rurki okrągłe przez blachę wzdłuż idące mająca, w które rurki wtykano iglice. Te iglice, czyli przetyczki, nie służyły do przetykania zapałów, ponieważ były przygrubsze, ale tylko służyły do ozdoby ładownicy. W tyle ten pasek zapinał się na sprzączkę szeroką i grubą, jednym fasonem z przednią sztuką wyrobioną; u końca paska, wychodzącego spod przączki, był wypustek suty, w

kształcie wprzód opisanym sztukom równy; wszystkie zaś sztuki byty z srebra.

Ładownice takowe srebrne czy blachmalowe najwięcej były używane w czasie bezpiecznym; i już to był towarzysz albo zbyt ostry surowości żołnierskiej obserwant, albo w takim stopniu skąpy, albo zbytnie ubogi, który nie miał ładownicy sutej albo przynajmniej jako tako w sreberko oprawnej.

Podczas podjazdów na hajdamaki wystrzegali się towarzysze brać na się ładownic bogatych. Jeżeli bowiem potyczka nieszczęśliwie padła i uciekać przyszło, hajdamak blaskiem ładownicy zapalony póty dojeżdżał towarzysza, ubranego w blachmal lub srebro, póki go nie dogonił i nie skłuł, pomijając i opuszczając innych, błyskotki na sobie nie mających. Jedna rączość konia, przechodząca hajdamackiego, mogła towarzysza unieść od zawziętości hajdamaki, albo też chcąc się pozbyć doganiacza, trzeba było zerwać z siebie ładownicę i porzucić. Towarzystwo nosiło ładownice na prawym boku, szeregowi ładownicę na lewym, flintpasy od karabinów na prawym.

Towarzystwo, wojując z hajdamakami, używali także małych karabinków albo sztućców, zawieszając je z lewego ramienia na prawy bok jak i szeregowi, nie przekładając ładownicy na drugi bok, ale na jednym mając ładownicę i sztuciec, a to dla różnicy od pocztowych. Kiedy zażywali karabinków albo sztućców, wtenczas nie zażywali dzidów, albowiem karabin straszniejszy był hajdamakom niż dzida, którą to hultajstwo dziwnie zręcznie i daleko lepiej od Polaków szermować umiało. Jeden hajdamak, wpadłszy między polskich, mógł czterdziestu w momencie rozpędzić, każdemu zadawszy ranę albo śmierć. Dzidy, po rusku spisy zwane, hajdamacy mieli krótkie, nad cztery łokcie nie dłuższe, grotem ostrym żelaznym z obu końców opatrzone; ta spisa i samopał były całym hajdamaki uzbrojeniem, kulbaka na koniu, lęczek goły i wojłoczek, strzemiona drewniane, uzdeczka cieniuchna rzemienna albo parciana. Koń szybki i zwrotny jak wiatr na wszystkie strony; sam jeździec podobnież lekki; ubiór jego: koszula gruba, czarna, łojem kozłowym od gadu wysmarowana, szarawary płócienne, na nogach boty lekkie albo kurpie, na koszuli kontusz kusy do kolan, z cielęcej skórki z szerścią wyprawnej, nie przypasany pasem, ale na wierszch zawdziany, rękawy z wylotami dużymi wiszące albo na plecy założone, na głowie czapka takoż jak kontusz cielęca, w formę worka spiczastego uszyta, końcem swoim na prawe ucho zwieszona; łeb cały ogolony jak kolano, kosmek włosów długi nad czołem zostawiony, za ucho zakrę-

cony; wąsy opuszczone, broda u niektórych ogolona, u niektórych zapuszczona.

Ci hajdamacy mieli swoje siedlisko w Siczy, kraju do Moskwy należącym, przy granicy Tatarów krymskich; a że często wspominam o tych hajdamakach, traktując o wojsku polskim, za rzecz słuszną sądzę opisać ich gniazdo tyle, ile mi się o nim dostało wiadomości, zwłaszcza gdy teraz panująca Katarzyna II, cesarzowa moskiewska, zupełnie z Siczy tych hultajów wypleniła.

O Siczy i hajdamakach

Sicz jest to miasto albo lepiej obóz Kozaków zaporoskich w kraju do Moskwy należącym, w szczerych polach, na kilkadziesiąt mil ciągłych, pustych. Kto w nim dawniej siedział i kiedy go Kozacy zaporoscy osiedli, o których mam pisać, nie mogłem pewnej od nikogo powziąć wiadomości; za czym nie sięgając początku, będę pisał o środku i o końcu pomienionych Kozaków.

Było w Siczy Kozaków, ich terminem zowiąc, czterdzieści kureni (po polsku: korzeni). Każdy kureń zamykał w sobie dziesięć chorągwi, a każda chorągiew sto kampańczyków, czyli po naszemu towarzyszów, co uczyniło czterdzieści tysięcy wojska, gotowego na każdy rozkaz imperatorowy moskiewskiej; ale ich do żadnej wojny za mego wieku, nawet z królem pruskim i z Turkami wojując, Moskwa nigdy nie użyła. Słyszałem, iż dlatego, że lud zbyt niesforny, a w potrzebie zazwyczaj z placu pierszchający. Mieli ci Kozacy nad sobą hetmana jednego spomiędzy siebie na tę godność od imperatorowej moskiewskiej wyniesionego i zwał się terminem kozackim: koszowy. Ten był ich wodzem, a raczej sędzią we wszystkich sprawach ostatecznym i najwyższym; za cóż albowiem dawać mu imię wodza, kiedy nigdy wojska swego w pole nie wyprowadzał. Religii byli schizmatyckiej, greckiej; mieli swoją cerkiew i popa; i to było dosyć nabożeństwa dla hultajów. Żon nie mieli ani kobiety żadnej między sobą nie cierpieli; a kiedy który został przekonany, że kędy za granicą miał sprawę z kobietą, tedy takowego do pala w kureniu, z którego był, za dekretem przywiązanego, póty tłukli polanami, to jest szczypami drew, póki go nie zabili, pokazując na pozór, jakoby czcili stan czystości; dla czego też nazywali się powszechnie mołojcami, to jest młodzieńcami, gdy w samej rzeczy prowadzili życie bestialskie, mażąc się jedni z drugimi grzechem sodom-

skim albo łącząc z bydlętami, na które sprośności, samej naturze obmierzłe, nie było żadnej kary, jakby uczynek z kobietą był plugawszy niż z kobyłą albo z krową.

Rolnictwa bardzo mało traktowali; najwięcej bawili się rybołówstwem, myślistwem i chowaniem stad wielkich rozmaitego bydła i koni. Bydło ich rogate różniło się szerścią od bydła naszej Ukrainy, było bowiem czerwone; bawili się także handlem ryb suszonych, soli, skór, futer i rozmaitych rzeczy, zdobytych na rozboju, który był najcelniejszym ich rzemiosłem.

Każdy kampańczyk był zapisany w regestr, składający owę liczbę wojska czterdzieści tysięcy. Miał każdy swój dom i kram do towarów, które tam przybywającym kupcom przedawali albo za zboża i gorzałkę zamieniali, nie wychodząc nigdy dla żadnej potrzeby z siedliska swego. Kampańczyk miał swoich wyzwoleńców, czyli sług kilku: pięciu, sześciu, siedmiu i więcej, podług tego, jak się miał który. Kiedy kampańczyk podchodził w lata szędziwe, wybierał spomiędzy czeladzi swojej jednego, który mu był najmilszy, prowadził go do kancelarii i tam uroczyście zapisował swoim następcą. A ten po śmierci takiego ojca swego ogarniał wszystek majątek, reszta zaś czeladzi albo przy nim zostawała, albo się do innych kampańczyków rozchodziła; chcąc tedy zostać sukcesorem, trzeba było przylgnąć do jednego kampańczyka i służyć mu jak najwierniej aż do śmierci.

Kampańczykowie sami, mając się dobrze i będąc gospodarzami, rzadko kiedy wychodzili na rozbój, wychodzili jednak i wtenczas bywali hersztami kup hajdamackich. Do takich wycieczków przyprowadziła kampańczyków potrzeba, gdy swój majątek jakim sposobem utracił, albo gdy do rozboju miał serce i ochotę. Pospolicie atoli na rozbój wychodzili sami wyzwoleńcy, którzy nim wyszli, musiał się każdy najprzód opowiedzieć swemu kampańczykowi, a potem zebrana kupa generalnemu koszowemu, który tym sposobem, ponieważ wiedział zawsze, wiele i w którą stronę udało się ich na rozbój, przeto gdy który koszowy miał dobre zachowanie z panami polskimi, przestrzegał ich, aby się mieli na ostrożności, uwiadamiając oraz o liczbie ciągnącej na rozbój. Zabraniać im koszowy takiej ochoty nie mógł, kiedy polityka dworu moskiewskiego prawie dlatego tych hultajów konserwowała, aby Polaków i Tatarów ciemiężyli, a oraz ginąc sami w różnych potyczkach i egzekucjach, w liczbę nadpotrzebną nie wzrastali. Do tego rozbój był drogą krótszą i chwalebniejszą dosłużenia się rangi kampańczyka niż inne usługi przy boku swego pryncypała. Jeżeli siedym lat szczęśliwie

rozbijał, już miał w ręku ascens na pierwsze miejsce wakującego kampańczykostwa; lubo się tego szczęścia niewielem dostawało, bo ich od polskich podjazdów dużo ginęło, jako się niżej da widzieć lepiej.

Drugą zasługą, jeszcze krótszą od rozboju, acz nie tak estymowaną, było kucharstwo. To przez dwa roki bez nagany odbyte czyniło kucharza kampańczykiem. Ale praca ledwo znośna; każdy kureń, to jest chorągiew – miała swego kucharza; ten dzień i noc musiał mieć gotowe jadło dla przybywających w różne godziny dzienne i nocne od różnych zabaw Kozaków. Był razem kucharzem i szafarzem; powinien wcześnie starać się u starszego chorągwi o to, czego mu do kuchni brakowało. Nie gotował on tam żadnych wymyślnych potraw ani rozmaitych, tylko dwie raz na raz, całym traktamentem kozackim będące, z skarbu szafowane: kasza jaglana rzadko, w mięsne dni słoniną, w postne olejem okraszona, i bigos z ryb suszonych bez wszelkiej przyprawy. Nalewał i nakładał tych potraw w korytka podług miary, jak ich ubywało. Kozak przyszedłszy, bądź jeden, bądź więcej, siadał w czubki przy korytku, dobył łyżki od pasa i jadł tego i owego, póki mu się podobało; gotowały się te potrawy w kociołkach miedzianych, na trzech kijach nad ogniem zawieszonych.

Tenże kucharz miał w dozorze swoim tytoń, który także, jak strawę wyżej opisaną, z skarbu na kurenie rozdawano. W każdym kureniu niedaleko korytek stało kilka lulek wielkich glinianych, mających dokoła po kilka dymników, czopkami, na sznurkach przywiązanymi, pozatykanych; kiedy który Kozak nie chciał ekspensować swego tytuniu, siadał do generalnej lulki, wyjął czopek i założył swój cybuch w dymnik, ciągnął, póki mu się podobało; kucharz zaś dawał baczenie na lulki i nakładał raz za razem tytuniem, skoro były wypróżnione. Do jednej lulki mogło się zmieścić i ośmiu Kozaków, jeżeli mieli cybuchy długie; podług długości których robił się cyrkuł obszerniejszy, a tym samym do przyjęcia i pomieszczenia więcej palaczów sposobniejszy. Odchodząc od lulki każdy Kozak zatchnął swój dymnik czopkiem, na sznurku przy lulce wiszącym.

Jeżeli kucharz był ospały i nie pilnował swojej powinności w tych dwóch artykułach, każdy Kozak, nie znajdujący dla siebie gotowego jadła lub tytuniu, miał prawo wykropić mu skórę batogiem, a oprócz tej kary częste skargi na niego zachodzące sprawiały mu degradacją. Na tę publiczną wygodę jadła i tytuniu składali się wszyscy kampańczykowie z swoich majątków i była to jak kontrybucja.

Że tedy takie były publiczne stoły i tytunie z skarbu, przeto żaden kampańczyk swoim wyzwoleńcom nie dawał wichtu, tym, którzy dla niego w rybołówstwie, myślistwie, pasieniu trzód lub w rolnictwie pracowali, wyjąwszy tych, którzy przy boku pańskim na zawołanie być musieli. Jurgieltu też pewnego żaden wyzwoleniec nie brał; należało do szczodrobliwości kampańczyka udzielić mu co z tych pożytków, około których który dla kampańczyka wyzwoleniec pracował.

Trunki w szynkowniach były przedawane: miód, wino i gorzałka; ta ostatnia Kozakom najlubsza i najpospolitsza. Wolno było każdemu za swój grosz pić tyle, ile się któremu podobało, byle swojej powinności nie opuścił i hałasu nie zrobił; bo za te występki surowie karano. Dla czego, choć w Siczy mieszkali najgorsi z całego świata ludzie, apostatowie od wiary i różnych zakonów, infamisowie, zbiegowie kryminalni z rozmaitych stron, skromność atoli wielka tam panowała i bezpieczeństwo tak wielkie, iż żadnemu podróżnemu z towarem, po towar lub w innym jakim interesie do Siczy przybywającemu włos z głowy nie spadł; pieniędzy, nawet gdyby na środku ulicy położonych, nikt nie ruszył. Albowiem naruszenie osoby lub majątku cudzego, bądź tamtejszego mięszkańca, bądź gościa, śmiercią natychmiast karano, na kogo tylko padła suspicja. Dla którego rygoru wszyscy zaraz starali się o wyśledzenie winowajcy, skoro się w tych dwóch miarach jaki występek pokazał. Takie prawo ludzkości rozciągali aż do granicy swojej, dalej zaś nie służyło, tylko tym, którzy pozbywszy lub nabywszy w Siczy towarów, powracali z nimi do domów z paszportem od koszowego. Jadącym zaś do Siczy i prowadzącym towary było wszelkie bezpieczeństwo zaraz od mety zaczynającej step siczowy, to jest puste pole, które do Siczy prowadziło z osiadłej Ukrainy.

Po wziętym pozwoleniu od koszowego hajdamacy szli do cerkwi; tam brali błogosławieństwo od popa, jakoby wychodząc na uczynek pobożny, Bogu miły, niszczenia łacinników, Żydów i wszelkich innych Rusinów, od ich wiary i chizmatyckiej odszczepieńców.

W ziemię tatarską, jako sąsiedztwem bliższą i tylko rzeką Dunajem od Siczy przedzieloną, wpadali rozmaitymi czasy. Tym pospolicie tylko zajmowali z pastwisk stada koni i bydła rogatego, z którym co prędzej wpław uchodzili przez rzekę na swoją stronę, za którą Tatarowie nigdy ich gonić nie śmieli, widząc odpór gotowy, od swoich sił mocniejszy, i kontentując się tym, co przed rzeką odbili i którego hajdamakę zatłukli.

Głęboko w Tatarszczyznę nie wkraczali ani siedlisk tatarskich nie plądrowali (ponieważ Tatarowie, będąc takimiż rabusiami, jak i hajdamacy, zawsze wsieść na koń i skupić się na swoich najezdników gotowymi byli), ale tylko nad brzegiem dawali baczenie, gdzie Tatarowie z swoimi stadami koczują; ukradkiem tedy napadłszy na Tatara mniej ostrożnego albo drzymiącego wpadli na niego znienacka (co w Polach Dzikich, wielkimi trawami zarośniętych, uczynić im nietrudno było) i udusiwszy człowieka albo mu gardło przerznąwszy, co prędzej zawinęli się około stada. Jeżeli mieli zajmować konie, tedy uważali, który ogier wodzi stado; na tego złapanego wsiadłszy, jeden hajdamak krzyknął i co tchu do rzeki pędził, a stado zhukane za nim, drudzy zaś hajdamacy z tyłu na innych koniach schwytanych poganiali. Lub jeżeli im czas nie pozwolił ująć żadnego konia, pieszo się w owych trawach do rzeki zmykali, bydło zaś rogate jak najciszej zająwszy, takimże cichaczem, pospieszając ile możności, w rzekę pędzili, gdzie na nich czekali inni Kozacy w czółnach, tak dla przewiezienia swoich, jako też dla odparcia pogoni tatarskiej.

Na Ukrainę polską wychodzili zawsze na wiosnę, a powracali przed zimą; wyszedłszy z Siczy w sto, dwieście lub trzysta koni, rozdzielali się na różne partie, co czynili najprzód dlatego, żeby więcej kraju zasięgnąć mogli, druga: żeby komendom polskim, ścigającym za nimi, łatwiejsze roztargnienie uczynić mogli, trzecia: żeby razem wszyscy, gdyby zostali pokonani, nie zginęli, czwarta: żeby się łatwiej w małych partiach ukrywać mogli. Formowali z siebie dwojakie kupy, nigdy z sobą nie złączone, ale osobno szczęścia szukające: jedni plądrowali konno, drudzy pieszo. Jak jazda, tak piechota innej nie zażywała broni, tylko spisę i samopał; piechota, sposobniejsza do ukrycia się w wielkich trawach ukraińskich, trudniejsza była naszym do zniesienia niżeli jazda, raziła bowiem naszych z samopałów, nie będąc widziana; a jeżeli była dokoła obstąpiona, broniła się do upadłej, tak iż często nasi, wziąwszy mocną plagę, odstąpić ich musieli albo też oni sami, doczekawszy się nocy, z pośrodka nich wymknąć się potrafili. Gdy już tak blisko podjazd polski natarł na hajdamaków, że już dalej uchodzić nie mogli, stanęli w szyku i zdjąwszy czapki, uczynili Polakom pokłon, a dopiero zaczęli się bronić, co czynili częścią przez zuchowatość, częścią dodając sobie serca.

Z jazdą mieli łatwiejszą sprawę Polacy, osobliwie kiedy dragonia znajdowała się przy komendzie polskiej. Ta zsiadłszy z koni i dając ognia plutonami, prędko hajdamaków rozpłoszyła, na których, zmięs-

zanych i tył podających, wpadłszy jazda pancerna i przedniej straży, jednych żywcem schwyciła, drugich ubiła albo przynajmniej prowadzony tabor z zdobyczą zabrawszy, na cztery wiatry rozpędziła. Lecz kiedy nie było dragonii przy Polakach, ciężko im było ponękać hajdamaków i nieraz od nich dobre plagi wzięli.

Do tych hajdamaków, którzy wyszli z Siczy, przywiązywało się wiele hultajstwa z Rusinów polskich i Żydów. Ci, rozbijając z nimi całe lato, na zimę rozchodzili się po wsiach, służąc po karczmach za parobków i po gorzelniach (po rusku: winnicach) za palaczów; drudzy zaś, przyjąwszy bractwo hultajskie raz na zawsze, do Siczy z hajdamakami powracali i ci to byli nasieniem i potomstwem hajdamaków, którzy oprócz takich plemienników, powracając do Siczy, porywali też i chłopców młodych, bądź obcych, bądź swoich krewniaków, a tak mnożyli się i następowali jedni po drugich, choć żon nie mieli.

Najeżdżali ci hajdamacy szlacheckie dwory, wsie i miasta nawet, nikomu nie przepuszczając, kogo tylko zrabować mogli; na śmierć, prawda, najechanych z trudna kiedy zabijali, chyba z szczególnej jakiej osobistej zemsty sługi, chłopa lub Żyda, do hajdamaków zbiegłego. Ale dla wyciśnienia pieniędzy męczyli niemiłosiernie; i chyba znacznym a oraz łatwym obłowem, sobie bez ciężkiej inkwizycji ofiarowanym, ułagodzeni zostali, kiedy nie męcząc, dawszy tylko na nezabudesz kańczugiem po plecach, odjechali z takim pożegnaniem: „Porastaj!"„ Dlatego panowie ukraińscy wszyscy trzymali po kilkadziesiąt i po kilkaset kozaków nadwornych, którzy ich tak w domu, jak w drodze dzień i noc od tych rabusiów strzegli. Miasta zaś i miasteczka w każdą noc przez połowę mieszkańców, w broń opatrzonych, z kotłami i tarabanami chodząc po ulicach pilnowały się od rozboju. A jednak przy takiej chociaż ostrożności, w nocy, zazwyczaj napadnieni, nieraz tak panowie, jak chłopi we wsiach i Żydzi z mieszczanami i kościołami, i klasztorami po miastach zrabowanymi zostali, kiedy straż domową albo przełamali hajdamacy, albo też w zmowie z nimi zostając, niby do ucieczki przymusili. Dlatego całe lato na Ukrainie z pomiernej szlachty i chłopi tudzież arendarze Żydzi nicht w domu nie nocował, ale każdy przed zachodem słońca z duszą wynosił się w step, ukrywszy majątek i jeden kryjąc się przed drugim: mąż przed żoną, żona przed mężem, ojciec i matka przed dziećmi, dzieci przed rodzicami i sami przed sobą, ażeby znaleziony jeden z bólu nie wydał drugiego, gdyby go męczono i o drugich pytano.

Drogi także publiczne obsiadali ciż hajdamacy; w lada dolinie zakradłszy się niedaleko od drogi, uważali kurzawę, która w tamtej ziemi tłustej za każdym jadącym na kształt dymu podnosi się wysoko w górę. Uważali tedy wielkość kurzawy; jeżeli miarkowali, że kto jedzie z małym konwojem albo w cale bez konwoju, wypadali na niego, obdarli ze wszystkiego, co miał, i obiwszy ratyszczami, to jest drzewcami od dzidów, plecy, w koszuli puścili, powiedziawszy swoje zwyczajne: „Porastaj!"

Ci, którzy szczęśliwie powrócili do Siczy, połowę zdobyczy oddawali swoim kampańczykom, a kampańczykowie dziesiątą część tej potowy koszowemu; takiż podział był koni i bydła, Tatarom zabranego.

Z takimi tedy hultajami co lato wojsko nasze polskiego i cudzoziemskiego autoramentu odprawiało kampanie, przybierając na czas do siebie kozaków porodowych, to jest nadwornych, różnych panów; najwięcej zaś sami za nimi chodzili, bo Kozacy z trudna swoich bratów wiernie prześladowali, chyba wtenczas, gdy się rzecz działa bardzo jawno pod okiem komendanta polskiego; ale jak na boku Opodal, to jak wilcy z psami z wilczycy i psa spłodzonymi powąchawszy się, każdy poszedł w swoją stronę.

Kozacy humańscy Potockiego, krajczego koronnego, a potem wojewody kijowskiego, najsprawniejsi byli w dojeżdżaniu i znoszeniu hajdamaków, wyjąwszy, iż tę przysługę dla kraju bardzo niewiernie czynili. Nie napastowali oni nigdy hajdamaków, kiedy na wiosnę na rozbój w kraj wstępowali, tylko pod jesień, kredy miarkowali, że z zdobyczą powracają, wtenczas im zastępowali, zdobycz odbierali, a samych hajdamaków, chyba że się bronili do upadłej, szczerze bili; jeżeli zaś słabo im się stawiwszy w ucieczkę prysnęli, nie bardzo gonieniem za nimi koni swoich mordowali. Druga: kto z zrabowanych chciał odzyskać od kozaków humańskich swoje rzeczy, musiał je dobrze opłacić, darmo nie dostał; które poczytali za rzeczy prawnie nabyte, bo z azardem życia.

Komendanci polscy, wielu dostali żywcem hajdamaków, żadnego nie pardonowali, lecz zaraz na placu albo wieszali na gałęziach, albo jeżeli mieli czas, żywcem na pal wbijali; która egzekucja takim szła sposobem: obnażonego hajdamakę położyli na ziemi na brzuch; mistrz albo który chłop sprawny do egzekucji użyty naciął mu toporkiem kupra, zacierany pal ostro z jednego końca wetchnął w tę jamę, którą gnój wychodzi z człowieka, założył do nóg parę wołów w jarzmie i tak z wolna wciągał hajdamakę na pal rychtując go, aby szedł prosto. Zasa-

dziwszy hajdamaka na pal, a czasem i dwóch na jeden, kiedy było wiele osób do egzekucji, a mało palów, podnosili pal do góry i wkopywali w ziemię. Jeżeli pal wyszedł prosto głową lub karkiem, hajdamak prędko skonał; lecz jeżeli wyszedł ramieniem albo bokiem, żył na palu do dnia trzeciego, czasem wołał horyłki, to jest gorzałki, i pił podaną sobie.

To tak okrutne morderstwo bynajmniej hajdamaków nie uśmierzało; mieli sobie za jakiś heroizm skonać na palu. Kiedy się w kompanii przy gorzałce jeden z drugim kamracił, życzył mu: „Szczo by ty ze mnoju na jednym palu strytył", to jest: „Bogdajbyś ze mną na jednym palu sterczał." Bywali drudzy tak zatwardziałego serca, że miasto jęczenia w bólu wołali na dyrygującego zaciąganiem na pal: „Krywo idet, punc mistru", jakby bólu żadnego nie czuł albo jakby go tylko kto w ciasny bot obuwał. Dla tak okrutnej śmierci, acz niby lekceważonej, hajdamacy wszędzie się do upadłej bronili. Na pięćdziesiąt hajdamaków trzeba było naszych dwieście, trzysta i więcej, aby ich zwyciężyli; równej lub mało większej liczbie nigdy się pobić nie dali.

To już wszystko, co mogłem w pamięci utrzymać, com widział i com słyszał pewnego o wojsku autoramentu polskiego i regularnym nieprzyjacielu Ukrainy, hajdamakach. Jako zaś celem moim jest pisać o obyczajach polskich za Augusta III, tak nie mogę pominąć i tego, lubo mam za bajki i gusła, że Polacy wierzyli mocno, iż między hajdamakami wielu się znajdowało charakterników, których się kule nie imały. Powiadali z przysięgą nieraz, że widzieli hajdamaków zmiatających z siebie kule, które w ich twarz albo piersi trafiły, że wyjmując takie kule zza pazuchy, nazad na Polaków odrzucali. Dla czego nasi, zabobon zabobonem przemagając, robiąc kule na hajdamaków lali je na pszenicę święconą, to już taka kula chwycić się miała hajdamaki.

O autoramencie cudzoziemskim

Autoramentem cudzoziemskim nazywano wojsko polskie, które używało sukni, języka i trybu niemieckiego. Były to regimenty piesze i konne tudzież artyleria. Konnych regimentów w Koronie było *... [w rękopisie brak danych], pieszych *..., artylerii regimenty dwa: jeden składał się z puszkarzów, którzy z harmat strzelali, race i inne ognie do fajerwerków służące robili; drugi, który był jakoby obroną i strażą w czasie wojny harmatników; pierwszy, puszkarzów, nosił mundur zielo-

ny z obszlagami i kamizelkami czerwonymi, kapelusz na głowie z dwiema mosiężnymi harmatkami, miasto kokardy na krzyż przypiętymi; do odbywania warty używał karabinu tak jak inni żołnierze; drugi miał zwierszchnią suknią czerwoną, obszlagi, kamizelkę i spodnie zielone, u kapelusza kokardę białą.

Litewskich regimentów konnych było *..., pieszych *... i takież jak w Koronie dwa regimenty artylerii.

Wszystkie regimenty piesze i konne w Koronie i Litwie używały na zwierszchnich sukniach koloru czerwonego, wyjąwszy artylerią wyżej wspomnioną; różniły się jedne od drugich kamizelkami i obszlagami tudzież pludrami, które to ubiory spodnie u każdego regimentu były odmienne: żółte, granatowe, błękitne, zielone, piaskowe, czarne i białe; którym zaś nie stało odmiennego koloru, różniły się guzikami, kapeluszami i galonkami, które gwardie koronne i litewskie miały, inne regimenty polowe nie miały.

Że regiment generała Golcza miał – tak jak inne regimenty – kolor czerwony z obszlagami, kamizelkami i pludrami białymi, przeto przez swawolą przezwano go „białymi rakami".

Regiment konnej gwardii koronnej zamykał w komplecie swoim pięćset żołnierza gminnego prócz oficjerów; kompania jedna składała się z piącidziesiąt żołnierza. Inne regimenty konne miały tylko po sto osimdziesiąt gminnych, to jest po sześć chorągwi, czyli kompanii, a po trzydziestu żołnierza w jednej kompanii. Dlatego wiele było oficjerów, a żołnierzy mało.

W regimencie pieszym gwardii koronnej liczono najprzód dziesięć kompanii, w każdej kompanii po sto chłopa; co czyniło sumę całego regimentu tysiąc. Od połowy jakoś panowania Augusta III z dziesięciu kompanii zrobiono dwadzieścia, podzieliwszy jednę na dwie, a to dlatego, żeby było więcej placów do promocji szlachty; nie starano się albowiem o powiększenie sił narodowych, tylko o powiększenie honorów i pożytków dla szlachty. Lubo w regimentach cudzoziemskiego autoramentu do wszystkich rang oficjerskich mieli przystęp i nieszlachta, wyjąwszy generałów aktualnych, czyli terminem żołnierskim szefami zwanych, która godność nie dawana była, tylko rodowitej szlachcie polskiej, a do tego najwięcej panom mającym zasługi u dworu lub mocne instancje drugich panów.

W regimentach gwardii wszystkie szarże i w innych wszystkich regimentach generalskie rangi należały do dystrybucji królewskiej. W regimentach innych wszystkich wakujące stopnie, począwszy od puł-

kownika aż do ostatniego chorążego, rozdawali hetmani wielcy. Unteroficjerów w regimentach wszystkich kreowali generałowie-szefowie, nie zatrudniając króla ani hetmanów.

Oprócz zaś w istotnej służbie znajdujących się przy regimentach oficjerów, miała Polska co nie miara tytularnych generałów-majorów, generałów-adiutantów Jego Królewskiej Mości, buławy wielkiej, buławy polnej, koronnej, litewskiej, pułkowników w wojsku koronnym, pułkowników w wojsku Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Ci także, którzy w aktualnej zostawali służbie, starali się mieć wyższą rangę od tej, w której służyli; i tak chorąży, biorąc płacą i posiadając stopień w regimencie choraski, starał się o patent porucznikowski, porucznik o kapitański, kapitan o majorowski, major o obersztelejtnancki, obersztelejtnant o pułkownikowski, pułkownik o generalski; przeto w jednym regimencie widzieć było trzech generałów. Na przykład pierwszym generałem był król albo hetman, drugim generał-lejtnant komenderujący, trzecim generał-major tytularny, a pułkownik aktualny; oficjerów zaś niższych bez liczby prawie, bo nawet znajdowali się tacy unteroficjerowie, którzy, będąc tylko w służbie podchorążymi albo sierżantami, z racji familii wysokiej byli przyodziani rangą chorążego, tak dalece, że z tej mnogości oficjerów urosło przysłowie: „Dwa dragany, a cztery kapitany."

Oprócz mundurów regimentowych był mundur osobliwy, znaczący po samej sukni generała-majora, a ten był jednostajnego koloru na wszystkim odzieniu pąsowego, galonami złotymi na wierszchniej sukni i kamizelce suto szamerowany. Generała-adiutanta był mundur biały kolor na zwierszchniej sukni, pąsowy na kamizelce i pludrach. Niektórzy adiutanci swoją zwierszchnią suknią i kamizelkę szamerowali galonem złotym, niektórzy tylko kamizelkę, a niektórzy wcale nie dawali galonów, tylko palety złote około dziurek, z guzikami tombakowymi pozłocistymi, kapelusz na głowie czarny, czasem z galonem, czasem bez galonu, z kokardą białą. Do kapelusza czarnego przydawali czasem strusie pióro białe, w trzygran podług kapelusza zwinione.

Takich mundurów zażywali najwięcej ci generałowie-majorowie i generałowie-adiutanci, którzy do żadnego regimentu nie należeli, lubo go nosili czasem i zostający w aktualnej służbie. Generałowie-majorowie byli dwojacy: jedni z forsztelacją, drudzy bez forsztelacji. Generał forsztelowany odbierał wszelkie honory wojskowe randze generalskiej należące. Jeżeli się znajdował tam, gdzie stał jaki regiment lub komenda cudzoziemskiego autoramentu, dawano mu do stancji

szyldwacha i przysyłano mu parol, jaki był wydany którego dnia od komendanta; oficjer każdy niższy, chociaż aktualny, dawał mu pierwsze miejsce. Zasiadali czasem do krygsrechtów, to jest sądów kryminalnych wojskowych, i kiedy była jaka rada wojskowa albo komis, używano do tego generałów forsztelowanych. Tych honorów nie czyniły żadnemu oficjerowi ani nawet generałowi aktualnemu chorągwie usarskie i pancerne, mając się za wyższych od żołnierzów cudzoziemskiego autoramentu, wyjąwszy generała, który był oraz rotmistrzem jakiego znaku poważnego, jako się wyżej rzekło, pod autoramentem polskim.

Generałowie nie forsztelowani niczego z tych przywilejów nie korzystali; wszystka ich dostojność na tym zawisła, że się mogli nosić i mianować generałami i że im tego tytułu nie mógł nicht dysputować, skoro patent pokazali. Było albowiem i takich wiele, którzy nie mieli od kogo innego patentu, tylko od krawca i szmuchlerza, to jest mundur i portepe. Czyniło tak wielu młodzi majętnej, zasługi i wziętości u dworu i panów wielkich nie mającej, a chcącej się pokazać czymsić więcej od drugich, także i z dojrzałych ludzi, kiedyś w wojsku zagranicznym małymi oficjerami będących, nadętych, szulerów, awanturników, filutów, aby się łatwiej na pańskie pałace i królewskie pokoje, na bale, na asamble, na opery i komedie, darmo za biletami dawane – wśrubować mogli; zwano pospolicie takich potwarców „generałami od pustego regimentu". Kiedy z takowych który popełnił jaki występek godzien kary, brano go bez ceremonii do kozy i sądzono jak prostego winowajcę.

W ostatnich leciech panowania Augusta III nastali w autoramencie cudzoziemskim generałowie-inspektorowie; tych kreowali hetmani wielcy, wybierając na ten urząd czasem aktualnych, czasem tylko patentowanych i forsztelowanych generałów. W Koronie było ich dwóch, w Litwie dwóch: mieli pensją od hetmanów naznaczoną. Powinność generałów-inspektorów była: objeżdżać regimenta na ich konsystencjach, lustrować one i hetmanom o stanie ich reportować; jeden inspektor należał do regimentów pieszych, drugi do konnych. Tę lustracją czynili oni z wiernością taką, jaką im zachowanie ścisłe lub obojętne z generałem komenderującym i jego subalternami przepisowało. Jeżeli generał komenderujący był w przyjaźni lub poważeniu u generała-inspektora, wszystko się w regimencie pokazało dobre i zupełne, choć i ludzi, i porządków przez połowę brakowało. Jeżeli generał-szef z generałem-inspektorem byt w obojętności, a tym bardziej jeżeli był w nie-

nawiści, nic się przed okiem inspektora nie skryto, cokolwiek się nagany godne znalazło.

Gdzie była lustracja ścisła, kazano mimo wszelkie wymówki stanąć razem całemu regimentowi, pościągawszy nawet szyldwachy; za czym wnet się defekta pokazały. Gdzie zaś była z faworem lustracja, za przyczyną jaką taką od generała-szefa przełożoną, rozpołowiono regiment i jednego dnia lustrowano jednę połowę, drugą drugiego. Był tedy tym sposobem regiment we wszystkim zupełnie znaleziony, bo kompanie jedne drugim pożyczali ludzi i innych potrzeb i tak jeden żołnierz stawał dzisiaj pod własną chorągwią za siebie samego, jutro stawał pod inną za tego, którego brakowało. Lustracja odbywała się tym sposobem: czy cały regiment, czy jego połowa stanęła na placu naznaczonym, generał-inspektor stanął przeciw niemu w pewnej dystancji, odebrał regestr regimentu całego lub półregimentu, który się miął tego dnia popisować, czytał głośno każdego po imieniu albo komu przy sobie będącemu dał do czytania. Najprzód czytane były osoby sztab składające, jako to: generał, pułkownik, obersztlejtnant, major, rejmentskwatermistrz, ksiądz kapelan (często z jakiego kościoła pożyczony albo też dwiema panom, to jest kościołowi i rejmentowi, za małą płacą służący), audytor, regimentsfelczer, regimentsdobosz, generał-profos, stopka, a u konnych fajnszchmit po niemiecku, po polsku konował regimentowy; za tymi kapela rejmentowa. Z osób sztabowych żadnego nie brakło, ponieważ do rangów oficjerskich jako wszyscy aspirowali, tak też pilnowali tego mocno, aby i jednej godziny nie wakowały; inne miejsca służebne, wyżej wyliczone, czasem musiały jaki czas wakować, kiedy po zejściu lub ustąpieniu jednego, drugiego zdatnego na pogotowiu nie było; tymczasem dobre było i to, co się panu szefowi za jaki miesiąc wakującej kondycji do kieszeni okroiło, byle tylko przy lustracji wszystkie miejsca swoimi subiektami napełnione były. Po przeczytanym sztabie czytano kompanie porządkiem starszeństwa, zaczynając od kapitana, a kończąc na ostatnim doboszu i trębaczu, u piechoty zaś na ostatnim fajfrze, wołając każdego po imieniu i urzędzie.

Każdy z zawołanych na imię bądź swoje własne, bądź cudze, na które był subordynowany, odezwał się po niemiecku: „Jer", to jest: „Jestem tu", ruszył się z miejsca konny na koniu, piechotny na nogach, przeszedł mimo generała-inspektora, oddał mu przyzwoitą swojej randze i służbie salutacją: oficjer konny szpadą, piechotny piką, czyli szpontonem, granatierski karabinem, gemein konny pałaszem, piechotny flintą, kapelista i trębacz instrumentem, do jakiego służył, fajfer

piszczałką, dobosz bębnem, każdy swoim krótki odgłos uczyniwszy; inni zaś słudzy rejmentowi, których talent i służba nie były in promptu, czyli na doręczu, tylko w okazji – niskim ukłonem; i to odbywszy szedł na drugą stronę do placu, na który miał się przenieść cały ów popis.

Po skończonym regestrze żołnierzów czytano woźniców sztabowych i chorągwianych, których jak generałowie, tak kapitani nigdy z umysłu nie chowali, ale na przykład generał miał swoje nadworne cugi i forszmany, na ten tedy festyn lustracji kabat tylu wyjechać w takiej zaprzędze, ilu i jakich przy sztabie znajdować się powinno było. Po sztabowych wozach następowały wozy chorągwiane, po jednemu każdej kompanii. Jeżeli kapitan miał woźnicę i konie do swojej wygody, kazał zaprząc do karabona chorągwianego, raz w rok na lustracją użytego, a zatem nigdy nie zdartego; jeżeli nie miał swoich koni, najął na tę godzinę furmana, ubrawszy go w płaszcz skarbowy nieśmiertelny i tylko od jednych molów przy złej konserwacji zepsuciu podpadający.

Woźnica każdy, tak jak i żołnierz, na zawołanie swoje zaciął koni, przejechał mimo generała-inspektora, trzasnął biczem na znak sprawności swojej i zajechał z wozem do stajni, a z tej z końmi najęty do domu.

Po przejściu całego rejmentu z jednej strony na drugą rachowano potem głowy w ogół, jeżeli są wszystkie podług sumy w regestrze wyrażonej, która w całkowitego rejmentu lustracji nigdy, w połowicznej zaś zawsze się w zupełności pokazała.

Ci, co nie mieli kompletu, tylo mieli szkody, że od generała-inspektora publiczną otrzymali naganę; więcej ich to nic nie kosztowało, poszło w ekskuzy, w zapomnienie, w dysymulacją i tysiąc innych wybiegów, czasem sparzyło generała lub kapitana, że został przymuszony do przedaży swojej rangi, ale to tylko wtenczas, kiedy kapitan nie miał z kolegów żadnego przyjaciela, a generał wszystkich spiknionych przeciw sobie oficjerów w komisji radomskiej, przy złym świadectwie, czyli raporcie od generała-inspektora zaszłym, onemuż dokuczających.

Zakończywszy rachunek głów, generał-inspektor pytał się ogólnie żołnierzy, jeżeli który ma jaką krzywdę od swego kapitana, aby wystąpił z szeregu i uskarżył się przed nim. Na ten głos z trudna się który odezwał wiedząc, iż nic więcej nie wskóra, tylko napomnienie kapitana i obietnicę nadgrodzenia krzywdy, a po skończonej lustracji za lada wyszukaną okazją sto kijów lub fuchtlów na plecy, które śmiałków takowych, jeżeli się znalazł który, nigdy nie minęły.

Jakoż sądząc rzeczy nie tak, jak być powinny, ale tak, jak się na świecie dzieją: kapitan, kupiwszy najczęściej kompanią, musiał poszukiwać na urwiszu swoich żołnierzy wydanej sumy i lepszego, niż mu gaża przynosiła, mienia – a za to nie broniąc żołnierzom pod grzechem śmiertelnym kradzieży i łupiestwa, byle się nie wydali; tak właśnie jak dzierżawca, zapłaciwszy drogo arendę, dobiera z zdzierstwa i oszukaństwa chłopów tego, czego mu z pożytków ziemi brakuje.

Po skończonej tej ostatniej inwestygacji krzywd, a raczej ceremonii próżnej, przerobiono raz i drugi karabinami rozmaite handgryfy. Generał pojechał do stancji, a żołnierze rozeszli się na kwatery i rzeczy zostały w takim stanie, w jakim były przed lustracją, aż do roku następującego, w którym taż znowu, co i przeszłego, wychodziła na plac scena.

Jeżeli generał-szef był kontent z dobrze udanej figury regimentu swego, to kazał podczas obiadu na honor generała-inspektora dawać ognia żołnierzom; i to była niby druga próba ćwiczenia żołnierskiego, czasem jak na złość niezdarna, czego mniej zważano, spędziwszy na proch zły lub na omyłki rekrutów, choć ich nie było, i gdy w samej rzeczy „pif paf stąd pochodził, że żołnierze do ognia nigdy nie byli egzercytowani, bo Rzeczpospolita na proch nie dawała i żaden też generał nie chciał jej w tym zastępować, chyba pod jaki festyn albo akt pogrzebowy. Co jako się rzadko trafiało, tak też sprawności dawać nie mogło, lecz od zdarzenia dependowało.

Służba regimentów konnych była rozmaita: jedne ustawicznie zostawały na usłudze i asystencji hetmanów, biorąc od nich nazwiska swoje, na przykład: regiment konny buławy wielkiej koronnej, buławy wielkiej Wielkiego Księstwa Litewskiego, buławy polnej koronnej, buławy polnej Wielkiego Księstwa Litewskiego. Te regimenty konsystencją swoją przenosiły za hetmanami swymi do ich miast, w których ciż hetmani rezydowali, po śmierci lub odmianie jednego hetmana prowadząc się do drugiego. Inne regimenty nieporuszenie zostawały na swoich leżach raz na zawsze wyznaczonych. Mimo atoli tej powszechności, pan jaki wielki, otrzymawszy regiment dla pomnożenia okazałości dworu swego i propinacji, za pozwoleniem hetmana przeprowadzał regiment z dawnej leży do miasta swego rezydencjonalnego. Oficjerowie zagęszczali pokoje szefów swoich, drygani trzymali warty przed pałacem i podczas wielkich bankietów nosili do stołu półmiski z potrawami, kapela regimentowa wygrywała koncerty i tańce.

Te regimenty, które nie były hetmańskimi albo generałów swoich zadęte usługami, w głębokim pokoju na leżach swoich zostawały, przez

połowę częstokroć nie mając koni i ludzi, wtenczas dopiero krzątając się około powiększenia jakiego takiego brakującej liczby, kiedy regiment cały albo część jaka jego dostała ordynansu na Ukrainę przeciw hajdamakom. Które ordynanse, iż nie były nagłe i – opodal czasu – trzy jedne po drugich następowały, przeto ułatwiały oficjerom ekwipaż i werbunek. Po odbytej kampanii powracały komendy lub regimenty na swoje leże; i nie przypadały owe ekspedycje na regimenta stojące w Prusach i Wielkiej Polszcze albo na pograniczu zachodnim, chyba co kilka lat. Albowiem najwięcej zażywano do pomienionej wojny hajdamackiej wojska partii ukraińskiej, tego zaś polskiego autoramentu tudzież kozaków horodowych, jako się wyżej namieniło pod opisem hajdamaków.

Używane także bywały regimenta konne do asystencji jakim solennym wyjazdom, pogrzebom i koronacjom cudownych obrazów.

Gwardia konna koronna, mirowskimi zwana, przez lat sześć ostatnich panowania Augusta II zawsze była na straży królewskiej, trzymając obwach na sali przedpokojowej pałacu królewskiego i szyldwachy przy różnych drzwiach wewnątrz, asystowała także królowi, kiedy jechał na zamek, na sejm albo senatus consilium, za karetą, i kiedy wyjeżdżał z Warszawy, na polowanie, wyprowadzała go za miasto o ćwierć mili, potem się wracała, na której... * królewscy wartę zaciągali na koniach z trębaczami dwiema bez dobosza.

Co się wyraziło o lustracji regimentów pieszych, przez generała-inspektora czynionej, toż samo ma się rozumieć o lustracji regimentów konnych. Jak tu, tak i tam równy wzgląd kierował okiem inspektora.

O gwardii pieszej koronnej

Piechota, ile do służby cywilnej, miała więcej do czynienia od jazdy: a najprzód gwardia piesza koronna zawsze asystowała królewskiemu pałacowi i zamkowi, zaciągając warty swoje i obwachy do pierwszych bram tychże gmachów: czy był król w Polszcze, czy nie był, z tą różnicą, iż kiedy się król znajdował w Warszawie, to ich ciągnęło więcej i z kapelą, i z chorągwiami tudzież z dwiema cieślami, którzy poprzedzali o trzy kroki oficjera prowadzącego wartę, mieli na głowach czapki granatierskie, z tylu końcem cienkim na plecy opuszczone, z małym kutasikiem; mundury takie jak żołnierze: na przedzie fartuchy ciesielskie skórzane, na ramionach zamiast flinty siekiery w tył ostrzem

obrócone; gdy zaś króla nie było w Warszawie, to mniej, bez chorągwi i kapeli. Ta gwardia długi czas miała kwatery po przedmieściach warszawskich, nim książę Czartoryski, wojewoda ruski, generał tego regimentu, wystawił dla niej obszerne koszary w końcu zachodnim prowadzącym do Bielan.

Zaciągając wartę, gwardia szła bez porządku i tropu od koszar aż do dominikanów-dyspensatów, przed których dopiero kościołem szykowała się w cugi. Dobosze uderzyli w bębny, kapela zagrała marsz i tata komenda zaczęła maszerować tropem żołnierskim, to jest biorąc kroki razem i pod jedną miarę. Tak ciągnęta w całości aż do bramy zamkowej przy Krakowskiej Bramie będącej, do której wchodziła dywizja komenderowana do zamku; reszta trybem zaczętym maszerowała za Krakowską Bramę, za którą część mała tejże gwardii oddzielna się od korpusu, udała się na Podwale do pałacu Branickiego, hetmana wielkiego koronnego, któremu asystować miała; a póki był Potocki hetmanem wielkim koronnym, to ta część Senatorską ulicą ciągnęła do jego pałacu na Lesznie będącego; pryncypalna zaś dywizja tej warty maszerowała wciąż Krakowskim Przedmieściem do pałacu Saskiego, w którym za drugą bramą na dziedzińcu trzymała obwach, w budynku na to wymurowanym, różne przy tym poczty przy stajniach, kuchni i innych oficynach królewskich.

Druga warta, zluzowawszy pierwszą, zostawała na jej miejscu od godziny dziesiątej przed południem do takiejż nazajutrz godziny; pierwsza zaś warta, pozbierawszy swoje poczty, ciągnęła do koszar bez kapeli, która z placu zaraz do swoich się domów rozchodziła, bez cieślów, którzy także powracającej warcie nie asystowali, i z chorągwiami zwinionymi, ale maszerowali z biciem w bębny i w tropie aż do tegoż samego dominikańskiego kościoła, mając na ramionach karabiny kolbą do góry obrócone. Gdy przyszli przed kościół, oficjer zawołał: „Halt!" – stanęli wszyscy; drugi raz zawołał, aby karabiny z ramion zdjąwszy, zawiesili na plecach za flintpasy. Co zrobiwszy, dobosze odezwali się w bębny pośpiesznym kilka razy uderzeniem i już żołnierze, figurę natężoną zwolniwszy, szli do koszar w pospolitej sytuacji.

Ta komenda, która powracała z pałacu królewskiego, nie czekała za drugimi z zamku, z pałacu hetmańskiego i innych drobniejszych, w różne miejsca komenderowanych, powracającymi; bo tylko ciągnąc na wartę, razem z koszar wychodzili; na powrót zaś schodzili się do nich osobnymi partiami, jak się która prędzej lub później obluzowała.

Prócz usługi warszawskiej chodziła gwardia piesza koronna corocznie na strażą i asystencją trybunałom, przenosząc się z tąż magistraturą z Piotrkowa do Lublina; do Radomia zaś na komisją wojskową komenderowana była z tegoż regimentu inna partia. Do tej usługi najwięcej komenderowano 80 ludzi gemejna, jednego kapitana na komendanta, dwóch poruczników i dwóch chorążych. Za laski zaś książęcia Janusza, marszałka nadwornego litewskiego, ordynata ostrogskiego, z wielką wspaniałością funkcją marszałka trybunatu sprawującego, w Lublinie praesidium trzymała komenda z regimentu pieszego buławy polnej koronnej. Gwardia koronna asystowała samemu marszałkowi, czego nie miał żaden przed i po nim marszałek. Uczyniono mu ten honor w nadgrodę podjętej funkcji, gdy żadnej innej nie potrzebował, z własnej swojej fortuny będąc wielkim, i nie wiem, jeżeli nie największym, panem. Ze zaś w Piotrkowie nie pokazował żadnej okazałości i krótko w nim bawił, chowając się z całą magnificencją swoją do Lublina, jako ruski pan, dlatego mu też w Piotrkowie tymi honorami co w Lublinie nie kadzono.

Zmięszałem poniekąd okoliczność wojskową z obywatelską, lecz nie mogłem jej opuścić, bobym bez niej nie mógł był Czytelnikowi uczynić zadosyć w ciekawości, dlaczego gwardia koronna asystowała marszałkowi, a nie trybunałowi; do czego należy jeszcze przydać, iż dla folgi i awantażu samejże gwardii: albowiem nie miała tyle pracy na usługach marszałka co na usłudze trybunału, wolna u niego będąc od rontów nocnych; po wtóre żołnierze brali z skarbu jego przydatek do zwyczajnego od Rzeczypospolitej traktamentu; oficjerowie ledwo nie co dzień nowe od niego podarunki odbierali przy sutym stole i dostatku wina.

Prawda, że bardzo często musieli wystawać z żołnierzami po całych nocach do ognia, ale się o to nie gniewali, kiedy mieli czym spłukiwać z gardeł swoich kurzawę prochową, oficjerowie przystojnymi podarunkami, a żołnierze tuzinami dukatów będąc rekompensowani. Innym marszałkom na ordynans komenderowany bywał unteroficjer, jaki kapral albo sierżant; księciu Sanguszkowi do takiej służby dawano porucznika lub chorążego. Oprócz zaś oficjera, z ordynansu księciu marszałkowi asystującego, wszyscy oficjerowie, tak od gwardii, jak od buławy polnej, ile tylko od służby wolnymi byli, jego pokojów pilnowali, mając w nich otwartą garkuchnią i szynkownią, a przy tym podług okoliczności, wpadłszy książęciu w dobry humor, często i dona-

tywę. Ta tedy była przyczyna, dlaczego nie od innego regimentu, ale od gwardii koronnej dano książęciu Sanguszkowi asystencją.

Gwardia koronna piesza nie miała ludzi dobranych co do wzrostu, przyjmowała każdego, kto tylko chciał służeć, chociażby najniższej miary, byle nie chromy, ślepy, kulawy i garbaty. Była to matka powszechna wszystkich kosterów, szulerów, krnąbrnych rodzicom synów, utracjuszów, zabójstwem lub innym ciężkim występkiem do ucieczki przymuszonych, przy tym rozmaitych rzemieślników warszawskich, od starszyzny cechowej – dla nie zapłaconego cechu – wolnego używania rzemiosła nie mających. Ktokolwiek z takich oblekł się w gwardiacką suknią, już był wolny od wszelkiej mocy, napaści i ścigania. Mieli też między sobą gwardiacy i ludzi zacnych, w nadzieję promocji i wykrzesania od rodziców albo krewnych do tego nowicjatu zarekomendowanych. Na ostatek mieli ludzi kradzionych: przystojnych hajduków, lokajów, parobków hożych gdzie w szynkowni na ustroniu przydybanych, podpojonych, kapelusz gwardiacki włożeć sobie na głowę dopuszczających; a po takim przymierzeniu, jakby najuroczystszym słowie danym, bez ceremonii, chcąc nie chcąc porwanych i do komendy za rekruta stawionych. Gwardia tedy koronna, mająca najwięcej ludzi azardownych, na wszelkie przygody śmiałych, przy tym w ustawicznym ćwiczeniu się w ręcznej bitwie po trybunałach, komisjach radomskich, zjazdach warszawskich z rozmaitymi grasantami, szałaputami i zuchwalcami znajdująca, była w reputacji najsprawniejszego żołnierza. Jakoż nikt prędzej tumultu, bitwy i rąbaniny zajuszonej nie uspokoił jak gwardiacy; ale też żaden inny żołnierz prędszym nie był do zaczepki jak gwardiacki. Oni się ustawicznie snuli po wszystkich szynkowniach i zgrajach szukając, z kim by zadrzeć, a potem go pobić i odrzeć mogli, nie hamując się wspacznym szczęściem nie raz doświadczonym ani karą regimentową.

Najmilszą mieli zabawę z drabantami królewskimi (był to regiment saski konny z ludzi najpiękniejszych twarzy i wzrostu niemal olbrzymiego złożony). Za tymi tedy drabantami gwardiacy chodzili jak myśliwi za zwierzem, a gdzie tylko z nimi zwarzyli bitwę, regularnie ich porąbali, a najwięcej po twarzach, haniebnie szpecąc przeciętymi nosami, policzkami, odwalonymi uszami pięknych wcale ludzi, nie mając z nich żadnego innego pożytku, tylko jednę sławę, że karłowie bili olbrzymów. Król haniebnie się gniewał o swoich drabantów na oficjerów gwardii i generała, że nie mogą utrzymać żołnierza, aby mu tej psoty nie wyrządzał. Wołał w tej mierze do siebie po kilka razy oficjerów

sztabowych i samego generała, przekładając im swoję z tej okazji dolegliwość i żądając skutecznego onej powściągnienia. Generał i oficjerowie czynili z siebie, co tylko mogli, karali niemiłosiernie, ile tylko przestępców takowych dociec mogli; nareszcie gdy wszystko nic nie pomagało, uradzili, aby gwardiakom odebrać pałasze, przy których dotąd wszyscy żołnierze tak na powinności, jako też extra niej będący chodzili. Lecz był wtenczas zwyczaj, iż żołnierze nie zasadzali bagnetów na flinty, tylko stawając na poczcie i podczas musztry, a w inne czasy nosili ich przy boku nad pałaszem. Więc gdy gwardiakom zostały pałasze odebrane, oni chodzili z kijami i kiedy się mieli potykać z drabantami, pozasadzali bagnety na kije i tak dobrze nimi albo jeszcze gorzej wycinali pyski drabantom jak pałaszami; bo drabanty, chłopy ciężkie i niesprawne do szabli, żadnego układu szermierskiego nie umieli, tylko z góry niby cepami cięli na gwardiaków. Ci zaś, podsadziwszy się z układem gładkim i szybkim pod drabów, tedyż ich nacechowali i umknęli.

August król widząc, iż na każdym zaciąganiu warty coraz więcej stawa w szyku drabantów oszpeconych paragrafami, nareszcie odesłał ich do Saksonii, a na ich miejsce przyzwał regiment karwanierów, chłopów tak jak i drabanci rosłych, lecz nie tak urodziwych, o których nie był tak troskliwy; i gwardiacy nie mieli na nich takiego apetytu jak na pierwszych.

Jak byli sprawni do korda, tak równie byli sprawni do ognia; wiele razy na nich przypadła ta powinność, zawsze się niemal gracko popisali: bądź w skupionym, bądź w ciągłym paleniu; pierwszego ognia częste miewali okazje na pogrzebach żołnierskich i oficjerskich tak swego regimentu, jako też innych, których bez komendy po swojej potrzebie w Warszawie, Lublinie, Piotrkowie i Radomiu śmierć zabrała. Na pogrzebie żołnierza prostego dawało ognia dwunastu żołnierzy, na unteroficjera dwudziestu czterech, na chorążego i porucznika trzydziestu sześciu, na kapitańskim cała kompania, na sztabsoficjerskim cały regiment, wyjąwszy tych, którzy byli na powinności albo w lazarecie i areszcie. Każdemu nieboszczykowi trzy razy wystrzelono na cmentarzu po spuszczeniu trupa w dół albo do grobu, a potem, za głosem komenderującego poklęknąwszy na jedno kolano, zmówiono pacierz za duszę nieboszczyka, jeżeli był katolik, jeżeli zaś był dysydent, nie mówiono pacierza, który dysydenci za umarłych mają za niepotrzebny. Ceremonią zaś strzelania każdemu, jakiejkolwiek był wiary, oddawano jako ostatnią służby żołnierskiej zapłatę. Lecz jeżeli zginął w jakiej bitwie

szałapuckiej albo w pojedynku, w pierwszym razie nie miał honoru strzelania, w drugim ani pogrzebu uroczystego. Honor strzelania swoim na pogrzebie był zwyczajem w powinność obróconym. Obcym zaś oficjerom nie świadczono go, chyba za staraniem i prośbą chowających zmarłego.

Inne okazje do ognia skupionego były rozmaite różnych panów uroczystości, o których pisało się wyżej w powszechności o autoramencie cudzoziemskim.

Procesja Bożego Ciała uczczona bywała czasem, ale nie zawsze, ciągłym ogniem gwardiackim albo też skupionym, albo i takim, i owakim, kiedy król znajdował się w Warszawie i kiedy chciał widzieć sprawność do ognia tych graczów do pałasza. Ten eksperyment odprawiał się na dziedzińcu saskim po odejściu z niego procesji misjonarskiej.

Jednego także razu widziałem w tymże dziedzińcu dawany takiż ogień trzema zawodami oddzielnymi podczas wjazdu na publiczną audiencją do króla posła tureckiego. Jak tylko kalwakata minęła szwadrony gwardiackie, czyli bataliony, po obu stronach drogi uszykowane, zaraz gwardiacy zaczęli palić ciągły swój ogień; czy to było dla honoru posła, czyli dla okazania Turkom sprawności żołnierza polskiego, jedno z tego dwojga być musiało, a może i oboje.

Mieli także gwardiacy doskonalszy od innych regimentów talent oszukaństwa, kuglarstwa i sztucznej kradzieży; księgę by nimi zapisał, gdyby wszystkie miał wyszczególniać; dosyć więc będzie ogółem namienić o ich sztukach, że najprzezorniejszy, wdawszy się z gwardiakiem w jaki frymark, został oszukany: kupił niejeden zamiast pasa bogatego garść konopi albo jakich gałganów w takiejż miąższości i zawinięciu, w jakim był pas, pokazany; zamiast zegarka – rzepę, zamiast sobola – barani ogon, zamiast karabeli bogatej – kawał drewna krzywego i innych tym podobnych rzeczy. Gdy się zbiegło do jakiego woza, masłem, serem, ptastwem domowym i innymi żywnościami naładowanego, kilku gwardiaków, już się tam przedający swego towaru nigdy nie dorachował, choć żadnego kradnącego nie postrzegł. Oni wymyślili blaszki ołowiane, monecie kurs natenczas w kraju mającej ze wszystkim podobne, a do tego moneta krajowa, będąc stara, bo jeszcze za Jana Kazimierza bita, dlatego w cale wytarta, równą gładkość i śliskość jak blaszki ołowiane palcom dotykającym sprawowała. Z tymi tedy blaszkami rozbiegłszy się gwardiacy po ulicach warszawskich, na przymroczu przechodzącym przedawali różne fanty, pożyczone gdzie-

kolwiek za niską cenę, które takim powabem prędko przedawszy, pieniądze wzięte za rzecz sprzedaną do kieszeni schowawszy, a podobnych blaszek ołowianych w równej liczbie w garść nabrawszy, w tropy kupców doganiali i udając przed nimi jakoby tchniętych sumnieniem z racji rzeczy kradzionej, którą przedali, i bojaźnią kary stąd pochodzącej, rzecz przedaną odbierali, a zamiast pieniędzy za nią wziętych owe blaszki ołowiane oddawali. Każdy kupiwszy jaką rzecz, pogoniony od gwardiaka z pobudki owych szkrupułów, frantowską miną za prawdziwe udanych, rzecz nabytą z łatwością oddawał kontent, że się bez szkody (jak mniemał o ćmie) wyplątał z grzechu i intrygi z gwardiakiem. Ale przyszedłszy do światła albo nazajutrz za potrzebą spojrzawszy do worka, postrzegł, że został oszukanym. Ta sztuka niedługo trwała, bo przez oszukanych prędko się po Warszawie rozgłosiła.

Dłużej służyły gwardiakom kubki; była to gra: trzy kubki drewniane, jak pół balsamki małe, gwardiak, gdziekolwiek na ulicy na stołku wystawiwszy, przerabiał nimi sprawnie, przemykając postawiony na prawej stronie na lewą, z lewej na prawą, średni na bok, i tak kilka razy tu i ówdzie owe kubki przemykając; pod tymi kubkami była jedna gałeczka mała woskowa, raz tym, drugi raz innym kubkiem przykryta; kto trafił na kubek, pod którym ta gałeczka była, ten wygrał, kto nie trafił, ten przegrał. Lecz gwardiacy mieli taką sprawność w ręku, iż z trudnością można było upatrzeć ową gałeczkę, pod którym kubkiem po przerobieniu nimi została, choć czasem gwardiak z umysłu wolno kubkami robił. A gdy już kto pieniądze stawił, w punkcie gwardiak kubki przemięszał, a zatem grający gałeczki pod podniesionym kubkiem nie znalazł, którą gwardiak natychmiast pod innym kubkiem pokazał i stawione pieniądze z stołka zgarnął. Żeby mu zaś na grających nie zbywało, tędy owędy grającemu jednemu i drugiemu wygrać pozwolił, więcej razy natomiast każdego oszukawszy, umiał bowiem szybko i bez postrzeżenia ową gałeczkę spod kubka między palce chwytać i gdy pod kubkiem od grającego podniesionym znalezioną nie była, pod drugi podłożeć.

Miewali też przy sobie jakich ludzi namówionych, którzy w te kubki grając, często wygrawali i innych przechodzących swoim szczęściem obłudnym do gry zachęcali. Tym sposobem gwardiacy oszukiwali bardzo wiele ludzi, mianowicie prostych chłopów i kobiet po sprzedaniu jakiego bydlęcia lub innego towaru wiejskiego, chciwością nabycia więcej pieniędzy do gry zachęconych, także służebne kucharki

warszawskie i inne sługi tak miejskie, jako też dworskie, z pieniędzmi po sprawunki posłanych.

O co gdy często zachodziły skargi, surowie tej gry zakazano gwardiakom, lecz nie zaraz i za wielką pilnością zwierszchności zaniechanej; mieli bowiem długo sposób ustrzeżenia się oficjerskiego oka przez rozstawionych około siebie kamratów, na oficjera, skądkolwiek by się pokazał, pilne oko dających, za postrzeżeniem którego pilnujący, zbliżony do gracza, rzekł do niego: „Porzuć to, bracie, co ci to po tym?" Za takim hasłem gwardiak co prędzej porywał kubki i stołek i krył się do kamienicy lub domu najbliższego; a skoro oficjer minął, znowu ciągnął grę, aż gdy wyszedł rozkaz, żeby takich graczów każdy miał moc sprzed swego domu rugować albo do którejkolwiek najbliższej warty końcem zabierania ich dawać znać, lub jeżeli przemógł, gwardiaka z pieniędzy i narzędziów grackich odrzeć – dopiero po takim rygorze gra pomieniona ustała.

Doboszowie gwardii pieszej koronnej w dzień Nowego Roku z fajframi obchodzili panów możnych, tak rycerskiego, jak duchownego stanu, hałasem bębnów swoich i piskiem swoich fujarek winszując Nowego Roku, a za to biorąc dukaty, za których nazbieraniem zaczynał się im rok szczęśliwy.

Ci, którzy nie mieli przemysłu i sumnienia do oszukaństwa, w pracy rąk szukali lepszego wyżywienia, niż go mieć mogli z lenugu, półdziewięta grosza miedzianego na dzień wynoszącego, z którego jeszcze musiał żołnierz opatrywać sobie glinkę do farbowania patrontasza, szwarc do wąsów, kamaszów i trzewików, i jeżeli któremu podarł się mundur albo trzewiki, albo się co zepsuło w moderunku, to wszystko sporządziwszy kapitan odciągał z traktamentu, bez czego z trudna który obszedł się żołnierz, biorąc na dwa roki mundur, parę koszul, parę trzewików z kamaszami i parę podeszew, co jednym przy pracy, drugim przy łotrostwie nigdy na dwa roki nie wystarczało. Drugi posiłek mieli z najmowania się na wartę jedni za drugich, mianowicie za tych, którzy będąc rzemieślnikami żadnej powinności nie odbywali i tylko dla protekcji mundur gwardiacki nosili. Tacy obowiązani byli tylko ryz w miesiąc prezentować się kapitanowi swemu w mundurze, wziąć od niego urlap od miesiąca do miesiąca, podczas lustracji regimentu stanąć w szeregu osobiście lub podczas wielkiej jakiej parady, w innych zaś powinnościach mieć za siebie najemnika, którego jeżeli nie miał, kapitan w to potrafił, że się powinność bez niego obeszła, ale rzemieślnik musiał za nią kapitanowi we dwójnasób zapłacić. Do tego żaden z ta-

kich rzemieślników, co tylko mundur przyjęli, nie brał traktamentu ani małego moderunku, wszystko się to w kieszeniach kapitańskich zostawało.

Gwardia koronna i litewska, piesza i konna, różniła się od innych regimentów polnych tym, że inne wszystkie regimenta miały mundury gładkie, gwardie zaś burtami włóczkowymi, a oficjerowie galonkami złotymi i srebrnymi szamerowane. Gwardia koronna piesza miała burty i galonki żółte, gwardia koronna konna i obiedwie litewskie – białe.

O gwardii konnej koronnej

Gwardią konną koronną pospolicie nazywano żołnierzami mirowskimi, od Mira, niegdyś tego regimentu sławnego generała. Mundur tego regimentu był: zwierszchnia suknia czerwona, kamizelka i spodnie jasnogranatowe z guzikami cynowymi białymi, ładownice i flintpasy żółtawą glinką farbowane, rękawice z łosiej skóry z dużymi karwaszami, takiegoż jak flintpasy koloru. Pas skórzany, czyli rzemienny, na modę łosiej skóry wyprawny, na przączkę mosiężną z przodu zapinany, do którego pasa z lewego boku były dwie pochwy przyszyte: jedna do pałasza, druga do bagneta; i zwało się to razem z pasem pendet, że w nim wisiał pałasz i bagnet, każde w osobnych pochwach swoich drewnianych, szarą skórką cielęcą obszytych, z mosiężną na końcu skuwką i z takimiże u góry haczykami, do utrzymania pałasza i bagneta w pendecie w swojej mierze służącymi. Na nogach bot w palcach ucięty, łojem z sadzami zmięszanym chędogo wyczerniony, z ostrogą żelazną, rzemieniem wąskim z wierszchu i pod spód bota przypiętą, na glanc wychędożoną. Na głowie kapuza sukienna dwoistego koloru, takiego jak mundur, zawijana na kształt baranka u czapki i spuszczana w marszu podróżnym na kark i policzki, od wiatru, słoty i zimna niemało żołnierza ochraniająca; halsztuk na szyi czarny, rzemienny, sprzączką mosiężną z tyłu zapięty. Płaszcz okrągły, kolisty, czerwony z granatowymi z przodku lisztwami i kołnierzem takimże; do czego gdy sobie dragan za swoje pieniądze sprawił lisi lub wilczy ogon i opasał nim szyję, już się miał za dobrze na mróz opatrzonego, choć czasem przy tej biednej opuszcze ledwo nie skościał na koniu.

Broń gwardiaka konnego i innego wszelkiego jeźdźca niemieckiego autoramentu była: karabin, pałasz i bagnet przy boku, na koniu w ol-

strach para pistoletów; u oficjera szpada przy boku i pistolety w olstrach.

Bagneta na karabiny nie zakładała dragonia, tylko podczas musztry i kiedy postawiona była na warcie tłoku zabraniającej, w innych czasach bagnet był zawsze w pendecie, tak u jeźdźca, jak u piechura. Siodło na koniu czarne skórzane, z czaprakiem granatowym sukiennym, koronę z białego sukna wystrzyżoną i cyfrę z liter początkowych imienia i nazwiska generalskiego złożoną po obu bokach mającym, galonkiem białym włóczkowym oblamowanym. Na czaprakach oficjerskich korona i cyfra, i galonek dokoła były srebrne, u wyższych zaś oficjerów miejsce galonka w koronie i cyfrze zastępował haft srebrny, a galonka – frandzla suta z krepinami. W marszu

paradnym konnym gwardia troczyła tylko w tyle siodeł płaszcze w wałek okrągły, w miarę grubości konia długi, kształtnie zwinięty, kolorami wierszchu i podszewki przez pół obrócony.

W marszu podróżnym troczył dragan na konia najprzód: matelzak z koszulami, szczotką i grzebłem do konia chędożenia, z szczotką do botów, z kitlem płóciennym zimą, a suknią wierszchnią latem i innymi rupieciami żołnierza, na matelzaku boty na tę i ową stronę konia podeszwami wydane, cholewami do kupy związane. Na wierszch botów kładł worek z obrokiem i siano w powrozy skręcone, aby się nie psowało i wielkiego miejsca nie zastępowało, którego obroku i siana na pięć dni zabierał, gdy tego była potrzeba; na to wszystko troczył płaszcz wyżej opisanym sposobem złożony, kiedy go brać na siebie nie potrzebował, i stawał się ów taboł do wpół pleców jeźdźca wysoki, przez który aby mógł przełożyć nogę na wsiadaniu i zsiadaniu, zginał się całym sobą aż do karku końskiego. Na przedzie siodła przy olstrze od pistoletu zawieszał matą torbę płócienną z chlebem i inną, jaką miał, żywnością.

Gwardia konna pryncypalną leżą swoją i sztab miała w Warszawie, ale nie wszystka, tylko kompaniami, czyli chorągwiami; inne kompanie leżały po miasteczkach bliższych Warszawy, dla łatwiejszego wyżywienia koni i dla pastwisk latem, na które najmowali łąk. Gwardiak konny brał na dzień traktamentu szóstak bity, to jest miedzianych groszy dwanaście i szelągów dwa, za które mógł się wygodnie używić; dlatego też nie było między nimi takich oszustów jak między gwardią pieszą.

Służby u króla nie odprawiali długi czas mirowscy. Żołnierz saski znajdujący się w Polszcze i gwardia piesza koronna (jako się wyżej

pisało) trzymali wszystkie warty i obwachy przy pokojach i na dziedzińcu królewskim. Mirowscy tylko dla reprezentacji służby przy boku królewskim, będąc z ustanowienia swego stróżami ciała królewskiego, stali w Warszawie, niemiłym okiem poglądając na Sasów, iż im ten zaszczyt odebrali. Lecz kiedy wojska saskie na wojnę z królem pruskim wyciągnęły z Polski, a po nieszczęśliwym pod Pirną zabraniu całej armii saskiej sam tylko król bez żadnego żołnierza swego przybył do Polskie i całe sześć czy siedym lat mięszkał w Warszawie, wtenczas gwardia konna koronna przyszła do swojej powagi, trzymała wartę na sali, pokojach i przy tronie królewskim tudzież niektóre poczty w ogrodzie i u strzelnicy. Zaciągała na wartę z koszar, Kazimierzowskimi zwanych, do pałacu królewskiego, konno, z trębaczami dwiema, bez dobosza, który do obwachu w sali formowanego nie był potrzebny.

Trębacze i dobosze tudzież kapela regimentowa mieli mundur odmienny od żołnierzy, to jest mieli zwierszchnią suknią żółtą, na rękawach granatowymi ze srebrem pasamonami burtowaną, kamizelkę i pludry granatowe z żółtymi guzikami mosiężnymi. Zaciągnąwszy blisko okien królewskich, zsiadali z koni, kilku zostało do trzymania koni, inni uszykowani w rzędy po pięciu wmaszerowali na salą, tam zluzowani z warty, wsiadali na konie i tymże porządkiem powracali do koszar.

Król dla okazałości swojej sprawił gwardii konnej mundur paradny: były to kolety łosie, to jest kamizelki, czerwonymi taśmami burtowane, i spodnie takież, flintpasy i ładownice takimiż burtami powleczone. Oficjerowie mieli kolety z błękitnymi burtami złotem przerabianymi, na piersiach i na plecach gwiazdę dużą blaszaną, pozłocistą. Tego munduru nie brała na siebie gwardia konna, tylko w dni galowe przednie, jako to: na Boże Narodzenie, na Nowy Rok, na Wielkanoc i w dzień trzeci sierpnia, w który obchodzono imieniny Augusta III.

Gdy król jechał do zamku na sejm albo na senatus consilium, asystowała mu za karetą gwardia konna z trzydziestu najwięcej koni i jednym oficjerem; który konwój, uszykowany w dwa glejty, póty stał na dziedzińcu przy karecie królewskiej, póki stała i kareta – ta zaś póty, póki król bawił na zamku. Gdy zaś król wyjeżdżał z Warszawy na polowanie, takiż konwój wyprowadzał go o ćwierć mili za przedmieście ostatnie; skąd dalej konwojowali go jego nadworni ułani pułku Bronikowskiego pułkownika, który się był jakoś z rąk króla pruskiego wyślizgnął i do Polski powrócił.

Gwardia konna dlatego króla dalej nie konwojowała jak o ćwierć mili, że miała ciężkie konie, pospolicie fryzami zwane, a król miał zwyczaj tak prędko jeździć pocztą, że co kwadrans milę drogi ujeżdżał.

Gwardia konna póki nie służyła królowi, najmowała się do różnych robót tak jak i gwardia piesza; gdy zaś uczczoną została strażą osoby królewskiej, odtąd miała zakaz najmowania się do roboty częścią dlatego, aby mundurów przy pracy nie darła i łaciasto, tak jak gwardia piesza i inne regimenty nie chodziła, częścią dla powagi od boku królewskiego nabytej, częścią dlatego, że oprócz lenugu, od Rzeczypospolitej płaconego, brała przydatek od króla.

Oprócz odbywania warty służyła gwardia konna królowi do noszenia potraw na stoły publiczne w dni galowe, do której służby komenderowano tylu, ile być miało potraw na stole na jedno danie. Szli w lederwerkach i przy pałaszach, z nakrytymi głowami, kuchmistrz królewski poprzedzał przed nimi, za kuchmistrzem szedł z laską unteroficjer jeden, prowadzący owę rotę, za unteroficjerem szli żołnierze pojedynczo jeden za drugim z półmiskami; przyszedłszy do stołu, kuchmistrz odbierał potrawy od niosących za koleją i stawiał na stole podług swojej symetrii, wprzód w kuchni ułożonej. Żołnierz oddawszy potrawę nie wracał się, aby innych za sobą z potrawami następujących nie pomięszał albo nieostrożnie nie trącił, lecz szedł wciąż dokoła stołu, aż wyszedł z sali nie obraziwszy żadnego potrawę trzymającego. Jakim porządkiem przynosili potrawy, takim zebrane ze stołu do kuchni odnosili pod okiem kuchmistrza i unteroficjera, żadnej nie tykając. Kiedy była grana jaka opera wielka, w której reprezentowano batalie albo tryumfy dawnych bohaterów, w niebytności saskiego żołnierza zażywano do tego mirowskich i płacono każdemu za kilka godzin trwającej opery dzienny lenug; dlatego żołnierze nie przykrzyli sobie w takiej służbie Króla Jegomości.

Pisałem wyżej, iż żołnierze gwardii konnej koronnej przykrywali głowy kapuzami. Tak było aż do średnich lat panowania Augusta III, i nie tylko gwardia koronna, ale wszystkie regimenty konne polskie i saskie używały kapuzów, wyjąwszy drabantów, którzy z Saksonii do Polski przyszli już w kapeluszach. Lecz potem w oboim wojsku, tak polskim, jak saskim, zarzucono kapuzy, a wprowadzano natomiast, tak jak u regimentów pieszych, kapelusze, u polnych regimentów gładkie, u gwardii konnej na powinność galonkiem srebrnym obkładane, pomimo powinności – bez galonku. Gwardia piesza raz w raz miała jeden

kapelusz żółtym pasamonem półjedwabnym, oficjerowie ich – złotym galonem obszyty.

Druga reforma stała się w botach już na końcu Augusta III, i ta najprzód data się widzieć u regimentu mirowskiego, u innych nie zaraz naśladowana. Przedtem czerniono boty szuwaksem z sadzy i łoju robionym; łój z natury miętki, na nodze do tego rozgrzany, ile w czasy suche, ciągnął w siebie kurzawę; ta oblegając na łoju, czyniła bot popielaty, co szpeciło paradę. Wymyślono tedy boty obracać stroną gładką w środek, a kosmatą, którą szewcy nazywają mizdrą, na wierszch: taki bot, nie farbowany czernidłem, ale z szarej skóry zrobiony, nacierano mocno woskiem, a potem sadzami; tak bot nabrał glancu jak szkło świecącego i nie utrzymował kurzawy, która z niego choć chustką lekko uderzona spadała, i bot zawsze był czysty i czarny.

Trzecia reforma nastąpiła w lederwerkach: flintpasy i ładownice u konnych były z skóry łosiej czyli wołowej, na manierę łosią wyprawnej; u piechoty zaś pas u ładownicy był łosi, a sama ładownica z czarnego rzemienia. Jak jazda, tak piechota flintpasy od karabina i ładownicy farbowała glinką żółtą z kretą zmięszaną, w wodzie rozmąconą.

Pierwszy Wielopolski, koniuszy koronny, odmienił swemu regimentowi konnemu kolor flintpasów i pasów od ładownic, kazawszy farbować te lederwerki samą kretą z klejem, co się piękniej wydawało niż glinka, i za pomocą kleju dłużej się farba trzymała, gdyż wyglancowana dobrze kreta na kleju niełatwie brud przyjmowała, chyba za przypadkiem deszczu. Same także ładownice łosiowe przemienił w czarne skórzane, na glanc wyprawne, z cyfrą blaszaną żółtą na środku ładownicy, nitami, czyli uszkami przez skórę przechodzącymi, przypiętą, do odpięcia łatwą, żeby żołnierz mógł ją odjąć do wychędożenia, nie szorując zendrą albo kretą po skórze. Ładownice takie, nie ciągnąc w siebie wilgoci, tak jak ciągnęły łosiowe, ile z deszczu dużego, ładunki z prochem konserwowały w suszy.

Czwartą odmianę zrobił tenże Wielopolski w swoim regimencie w pludrach, dawszy skórzane zamiast sukiennych, dotąd używanych, i kazawszy je farbować, czyli chędożyć biało suchą kretą, wyprawszy wprzód z brudu. A że ta odmiana lederwerków i pluder pokazała się niemal razem na regimencie konnym koronnym Wielopolskiego i na regimencie saskim, także konnym, generała Szybilskiego, przeto nie mogę upewnić Czytelnika, który z tych dwóch generałów był tej mody wynalazcą, czy Wielopolski, czy Szybilski. Inne regimenty, tak polskie, jak saskie, lat kilka po tych dwóch trzymały się dawnej mody tak

w lederwerkach, jak i w pludrach. Regiment generała Szybilskiego różnił się jeszcze tym od regimentu koniuszego koronnego, że szybilscy farbowali pludry glinką, a wielopolscy żołnierze kretą.

Długi czas żołnierze polscy autoramentu niemieckiego nie pudrowali włosów ani nie szwarcowali wąsów, co oboje w saskim wojsku dawno pierwej było używane. Wielopolski tego obojga w swój regiment wprowadzonego był naśladowcą, ale pierwszym od innych regimentów, które daleko później po nim, jakoś przy końcu panowania Augusta III, dały się widzieć z pudrowanymi głowami i szwarcowanymi wąsami; mianowicie regiment konny buławy wielkiej koronnej, który po wszystkich regimentach, pudru i szwarcu już używających, jeszcze chodził z nie pudrowaną głową, z wąsem naturalnym, który u niektórych żołnierzy wieku dojrzałego bywał miąższy jak garść konopi, a tak długi, że się dał zakręcić za ucho; gdy zaś nastała moda szwarcowania wąsów, przystrzygano je do miary od generała wydanej, młodym zaś żołnierzom, mały jeszcze wąs mającym, w cale go golono.

Podczas wielkiej parady młodzi żołnierze sascy brali wąsy przyprawne, dwiema hakami drutowymi o zęby zaczepione, a to dla większej jednostajności, oku piękniejszy widok czyniącej, czego w polskim wojsku nie zważano, owszem rozumiano być większą ozdobą dla regimentu, kiedy ma żołnierzy młodych i starych niż samych starych. Do szwarcowania wąsów używali mikstury z smoły i żywicy rozgrzanej, zasłaniając wargę grzebieniem żelaznym lub mosiężnym od sparzenia; a gdy już wąs był napuszczony maścią przerzeczoną, rozczesowano go tymże grzebieniem, nad świecą rozgrzanym, do proporcji przepisanej sztafirując w górę. Była to mała tortura dla żołnierzy, bo niejeden nieostrożnym pociąganiem grzebienia gorącego sparzył sobie nos albo wargę; musiał jednak ten ból przyjmować, ochraniając się od większego – po plecach – za niekształtne wąsów wysztafirowanie. Gdy miazga owa stężała na wąsach, utrzymowała długi czas jego proporcją, z małą kiedy niekiedy poprawką, tak iż wąs nastrojony nie wypadał z trybu swego ani przez ochędóstwo nosa, byle ostrożne, ani przez deszcz, ani przez mróz, który się go nie tak chwytał jak nie szwarcowanego.

Oficjerowie, lubo nie byli obligowani do noszenia wąsa, owszem go pospolicie golili, znajdowali się atoli niektórzy tacy, którzy przez galantomią żołnierską chodzili tak jak i gminni żołnierze z wąsem, a tym szwarcowanym; inaczej albowiem popisować się wąsami nie godziło, tylko albo mieć wąsy szwarcowane, albo nie mieć żadnych.

Com tu napisat o regimentach gwardii, służy po wielkiej części w względzie swoim innym regimentom, tak pieszym, jak konnym. Gdy do tego wspominałem zaraz to, co ogółem służyło innym regimentom albo czym się różniły od gwardii, nie sądzę za potrzebne dalsze tychże regimentów opisowanie, abym Czytelnika powtarzaniem jednego nie nudził i nie mordował.

NB. Mundurów dla żołnierzy długi czas nie przykrawali z osobna dla każdego żołnierza, ale na miarę ogólną, większą i mniejszą; dlatego też na jednych były mundury zbyt opięte, na drugich zbyt przestronne.

O janczarach i węgrach

Dwie chorągwie janczarskie i trzy chorągwie węgierskie należały także do wojska Rzeczypospolitej, komputowym zwanego, i były płatne ze skarbu Rzeczypospolitej: jedna chorągiew janczarska asystowała zawsze hetmanowi wielkiemu koronnemu, gdziekolwiek on rezydował; druga wielkiemu litewskiemu.

Ubiór janczarów był taki, jaki widziemy po dziś dzień u janczarów tureckich. Nakrycie głowy wysokie, płaskie, z blachą mosiężną obdłużną, na przedzie przyszytą, dwa pręty drewniane pobok skroni, w tymże nakryciu zaszyte, utrzymowały jego wyniosłość; drugą połową toż nakrycie spuszczało się na plecy aż do pasa; cała figura tego nakrycia albo czapki wydawała rękaw długi, pod prostą linią z boków i końców przykrojony. Kolor tego nakrycia sukiennego był taki, jaki był żupan. Odzienie takowe: na wierszchu kiereja sukienna z rękawami po łokieć krótkimi, wprost ściętymi, do kolan długa, w stanie kroju żadnego nie mająca, obszerna, z kołnierzem małym stojącym, sznurkiem koloru żupanowego po szwie, kołnierz z kiereją łączącym, przyszytym, niczym nie podszyta; pod kiereją żupan sukienny z rękawami pod pięść długimi, przestronnymi, na haftki koło ręki zapinanymi, takimiż haftkami pod szyją i na brzuchu aż do pasa zapięty, w stanie do miary człowieka przykrojony, za kolana długi, na bokach od dołu aż do pasa rozcięty, na przednich połach wyszywany sznurkiem włóczkowym koloru kierejowego, wydającego, jakoby te poły były jeszcze raz tak długie i dlatego pod pas zakasane. Pod żupanem portki szerokie i długie, do pół cholew wiszące, koloru kierejowego, boty na nogach polskie, do ordynaryjnego używania czarne, do parady żółte. Pas na żupanie rzemienny, mosiężnymi sztukami z przodu po póty, po póki wyglądał

spod kierei, powleczony; na kierei po lewej stronie szabla prosta z turecką rękowieścią rogową, mosiądzem nabijaną, z prawego ramienia pod lewym bokiem na pasie rzemiennym, mosiężnymi sztukami powleczonym, wisząca; na drugiej stronie ładowniczka mała, czarna, na takimże pasie pod prawy bok z lewego ramienia zawieszona. Taki był strój janczarski do parady; do odprawiania zaś warty miał karabin z bagnetem, tak jak inna piechota, którego pochwy mieściły się przy pasie pod kiereją; w pochodzie karabin zawieszali na plecach na flintpasie prostym, z czarnej skóry.

Dobosze u janczarów byli ciż sami, co i żołnierze, bęben janczarski albowiem był dwa razy tak ogromny jak u innej piechoty, a do tego suknem mundurowego koloru nakryty; nosił go dobosz na brzuchu, na szyi rzemieniem zawieszony tak, jak zwykli nosić Niemcy wielki rękaw z niedźwiedzia. Więc za takim gmachem małego człowieka albo chłopca, jacy są pospolicie dobosi w regimentach, nie widać by było. Do bębna komenderowani bywali żołnierze za koleją, do którego wielkiej nauki nie potrzeba było, ponieważ jednym tonem szło zawsze bicie w bęben; dwa razy raz po raz uderzał pałką w jednę stronę, a raz prętem cienkim drewnianym w drugą, z tą różnicą, iż gdy bił na salutacją albo w gwałtownym jakim przypadku, na przykład podczas ognia wszczętego, bił prędzej, gdy zaś wartę zaprowadzał, to wolniej i z pauzami.

Oficjerowie janczarscy nosili podczas powinności tym samym krojem i takiegoż koloru suknie jak i żołnierze, wyjąwszy głowę, którą przykrywali zawojem, tak jak Turcy, do którego zawoju używali czasem pasa bogatego, czasem muślinu białego z złotą frandzlą u końców nad lewym uchem wiszących. Na przedzie także głowy, tam gdzie się zawój dzieli, czyli zwęża, przetykali pierścień z jakiego kamienia świcącego, a na prawej stronie zakładali nad zawojem kitę lśniącą z egretką kamelizowaną, sama zaś czapka, którą opasywał zawój, była aksamitna, koloru żupanowi odpowiadającego, z kutasem na wierszchu złotym. Szabli także nie mieli – wiszącej z ramienia tak jak janczarowie, ale do boku przypasaną; pas perski lub turecki bogaty, w ręce prawej pika, czyli szponton długi, czarno farbowany, drewniany, o dwu konarach, u wierszchu mosiężnych pozłacanych, z dwiema dzwonkami takimiż.

Extra powinności oficjerowie janczarscy nosili się po polsku w rozmaitych sukniach albo w mundurach pancernych lub usarskich, jeżeli który z nich byt towarzyszem pod którym znakiem. Wygodniejszą

mieli służbę oficjerowie janczarscy niż innych regimentów, ponieważ im godziło się podług mody tureckiej, na powinności zostającym, odziewać się futrem, a innym nie. Dlatego też janczarscy oficjerowie, profitując z tego przywileju, stawali zimą do parady w kierejach, czyli szubach, kunami, krzyżakami i innymi ciepłymi podszytych futrami; latem takiemu przywilejowi derogując kierejami kitajką tylko lub atłasem na lisztwach przednich, a w tyle wiatrem podszytymi.

Kapela janczarska była tak odmienna od innej kapeli włoskiej, po wszystkich regimentach używanej, jak samiż janczarowie odmienni byli strojem od innych regimentów. Składała się ona z sześciu, a najwięcej ośmiu oboistów, a raczej piszczków, na szałamajach do oboju podobnych przeraźliwie piszczących, z sześciu doboszów, z dwóch palkierów, w dwie pary kociołków na ziemi postawione bijących, i z dwóch brzękaczów, tacami mosiężnymi w środku wypukłymi, w brzegach płaskimi, okrągłymi, uderzaniem jednej o drugą tęgi brzęk czyniących. Palkierowie i brzękacze, dopiero opisani, byli chłopcy małe. Strój mieli janczarski, na głowie zawój płócienny biały. Doboszami zaś i oboistami tejże kapeli, do nauki nietrudnej, byli samiż janczarowie.

Co dzień rano, około godziny dziewiątej, stanąwszy szeregiem na dziedzińcu przed oknami pana hetmana w odległości na pięćdziesiąt kroków, grali mu na dobry dzień dwie sztuki na kształt symfonii i drugie dwie na kształt mazurków. Primierkapelmajster zaczął najpierwej solo pierwszą strofę na piszczałce, po której zrozumiawszy inni, jaką sztukę grać mają, odzywali się wszyscy według przypadającego taktu, piszczkowie, zacząwszy, bez przestanku w swoje fujary przeraźliwe dmuchali, aż im się gęby jak bochenki chleba od tęgiego dęcia wydymały i oczy na wierszch wysadzały. Palkierowie po kociołkach patkami nieustannie chrobotali, a brzękacze tacą o tacę w pewny takt uderzali; dobosi zaś ogromnym głosem bębnów niejako bas w tej kapeli trzymali bijąc raz prącikami, drugi raz pałkami; ale to wszystko nie miało żadnej muzycznej harmonii, tylko jakiś pisk i łoskot, z daleka nieco miły, z bliska przeraźliwy. Gdy się miała kończyć muzyka, przestawały tace i bębny, a tylko same piszczałki i kociołki szybkim gongiem i turkotem jednym tonem kończyły kuranta.

Hetmani zazwyczaj dawali janczarom taki kolor mundurów, jaką dawali swemu dworowi liberią. Jan Klemens Branicki, zostawszy hetmanem wielkim koronnym-, odmienił kolor i krój munduru janczarom swoim. Dwór bowiem jego nosił liberią popielatą z czerwonym, janczarom zaś dał mundur: paliowe żupany, spodnie czerwone, zamiast

kierejów dawnych kurtki czerwone w stanie wcinane, z krótkimi po łokieć rękawami.

Węgierska chorągiew jedna służyła buławie polnej koronnej, druga buławie polnej litewskiej, trzecia, najokrytsza, marszałkowi wielkiemu koronnemu. Kolor mundurów chorągwi węgierskich służących buławom byt: czerwone zwierszchnie suknie, granatowe kamizelki i spodnie; na głowach kapuzy, cyframi blaszanymi chorągiew od chorągwi różniące. Chorągiew laski wielkiej koronnej miała kolor czerwony z zielonym i kapuzy bez blach, żółtym pasamonem włóczkowym obszyte, bo też Bieliński, marszałek wielki koronny, dawał dworowi swemu liberią czerwoną z zielonym. Krój we wszystkich trzech chorągwiach węgierski, który ponieważ się oczom i dziś prezentuje na Węgrzynach, którzy chodzą po kraju z olejkami, i na Morawcach, którzy nam na wiosnę i na jesień rokrocznie mniszą prosięta i źrebięta, dla tego opisem jego nie fatyguję Czytelnika.

Musztra tak u janczarów, jak u węgrów była językiem niemieckim, taż sama, co u innych regimentów autoramentu cudzoziemskiego. Lenug dwa złote na tydzień. Węgrzy jednak marszałkowscy mieli podsycenie niezłe szczupłego lenugu z komornego od aresztantów, bez których ich kordygarda, osobliwie w czasie sejmu, nigdy nie była, jako się już wyżej o tym wspomniało. I gdyby im ich oficjerowie karbonki nie podbierali, mieliby się nieźle; ale oficjer, który dzielił gemejnów, zawsze najlepiej pamiętał o sobie, atoli na miejsce tego uszczerbku pozwalał im żywić się z aresztantów, którym kiedy przyjaciele posyłali jakie posiłki w napoju i jadle, albo sami sobie aresztanci po takowe posiłki posyłali, to ponieważ nie mogło ich dojść inaczej, tylko przez ręce żołnierskie, za czym ledwo się im pokosztować dostało trunku albo potrawy przed gęstą żołnierską ręką, przez którą podawany im był posiłek. Z czym poniekąd na drugą stronę i dobrze było aresztantom, ponieważ nie mając obciążonego żołądka, nie mogli ekshalacjami i wyrzutami gęstymi kazić zapachu kozy, dymem tytuniu żołnierskiego dosyć śmierdzącego.

Węgrzy marszałkowscy mieli też oprócz zwyczajnej warty przy kordygardzie i rontów nocnych jeszcze jeden ciężar, że podczas każdego sejmu musieli dzień w dzień trzymać wartę przy izbie poselskiej w liczbie kilkudziesiąt, od rana do nocy; do nich także należało wyprowadzać na plac osądzonych na śmierć, ale tylko tych, którzy szli z dekretu marszałkowskiego; tych zaś, których osądził magistrat miejski albo gród, wyprowadzała na śmierć milicja miejska albo starościńska.

Jeżeli więzień był jaki dystyngwowany, o którego obawiano się, aby nie był odbity przez koligatów i przyjaciół, natenczas przydawano gwardią pieszą koronną: ta opasowała sobą węgrów lub milicją dwiema glejtami ściśnionymi, mając w tył wytchnięte karabiny z bagnetami.

O milicji miejskiej

Milicja miasta Warszawy składała się z dwudziestu czterech pachołków i jednego wachmistrza, ubranych po polsku w żółte żupany, w błękitne katanki do kolan długie, z wyłogami żółtymi, guzikami białymi cynowymi; czapki na głowach z czarnym baranem wysokim, z żółtym wierszchem, boty na nogach czarne polskie, z podkówkami, spodnie błękitne, pas rasowy błękitny; moderunek: ładownica czarna skórzana, z pasem takimże. Broń: szabla przy boku w czarnych pochwach skórzanych, w żelazo oprawna, z paskami wąskimi z rzemienia kręconego, karabin bez bagneta. Z tej milicji sześciu co dzień zaciągało na wartę, jeden trzymał pocztę przed prezydentem, jeden przed izbą sądową podczas sądów, jeden przed kordygardą; reszta spoczywała w kordygardzie, czekając na obluz albo na jaki przypadek: porwać do kozy jakiego łajdaka albo zwadliwą przekupkę.

Inne także miasta pryncypalne miały swoją milicją rozmaitą po polsku i po niemiecku ubraną, jako to miasto Kraków, Poznań i Toruń. Którzy nie będąc w takim rygorze służby jak żołnierz kompotowy, kiedy stali na poczcie przy bramie od rynku odległej, postawiwszy karabin, robili pończochy; widziałem to w Toruniu i w Poznaniu.

Żołnierze starosty warszawskiego grafa Bruchla mieli mundur niemiecki: żółty z błękitnym, taki jak pachołcy miejscy, kapelusze czarne z białym galonkiem włóczkowym; ładownica czarna na pasie szerokim białym, pałasz w mosiądz oprawny, karabin i bagnet. Trzymali poczty przy sądowej izbie podczas sądów grodzkich, przy kancelarii i przed stancją sędziego grodzkiego. Przed starostą warty nie trzymali, który mięszkając przy ojcu w pałacu Saskim i będąc wysokim oficjerem od dziecka w regimencie lejbgwardii saskiej, miał podostatku asystencji z żołnierza saskiego; ale gdy saskiego żołnierza nie było w Polszcze, wtenczas apartamentom starosty warszawskiego asystowała milicja starościńska.

O żołnierzach ordynackich i częstochowskich

Ordynacyj mających wojsko na usługi Rzeczypospolitej, w czasie potrzeby stawać obowiązanych, było w Koronie dwie: zamojska i ostrogska albo dubieńska; w Litwie trzy: słucka, kiecka i ołycka. Piszę tu tylko o znaczniejszych, które konserwowały raz w raz żołnierza, opuszczam te, które obowiązały się przy ustanowieniu swoim dawać w potrzebie Rzeczypospolitej pewną kwotę żołnierza, ale go nie trzymały raz w raz tak jak pierwsze. Gatunek żołnierzy ordynackich był taki jak i żołnierzy Rzeczypospolitej, to jest: chorągwie usarskie, które ordynaci nazwali złotymi chorągwiami; pancerne, które nazwali białymi; lekkie, które zwali wołoskimi albo lipkami, te się w regulamencie stosowały do autoramentu polskiego; pieszych żołnierzy i konnych, którzy się stosowali do autoramentu cudzoziemskiego, używając niemieckiego kroju i języka w musztrze.

Żołnierze ordynaccy brali płacą od swoich ordynatów, od których zupełnie dependowali, nie wchodząc w komput wojska koronnego i litewskiego i nie należąc do zwierszchności hetmańskiej, wyjąwszy podległość honorową, iż od niego brali parol, czyli hasło żołnierskie wtenczas, kiedy hetman znajdował się gościem w fortecy którego ordynata. Oficjerowie także wojsk ordynackich mieli ten przywilej, iż od kompotowego żołnierza odbierali takowe uszanowanie, jakie się oficjerom kompotowym należało; szarfy, ryngrafy i feldcechy z kompotowymi jednakowe nosili, i kiedy który oficjer z wojska ordynackiego przenosił się do regimentu kompotowego, nie spadał na niższy gradus, ale stawał na tym samym, na którym byt w służbie ordynackiej.

Zamojskiej ordynacji żołnierze utrzymowani byli porządnie, zażywali trzewików i kamaszów na wielką paradę białych, na pospolite używanie czarnych, tak jak piechota kompotowa.

Ostrogskiej albo dubieńskiej ordynacji piechota chodziła w prostych botach chłopskich z podkówkami i odarto; dragonia dubieńska noszona była porządnie, jako zawsze na oczach książęcia ordynata zostająca, który że miał upodobanie w dawaniu ognia, przeto była w nim doskonale wyćwiczona. Albowiem książę ordynat dzień w dzień lusztykujący z gościami i domowymi, raz po raz wychodził do niej na galerią, sam ją do ognia musztrując; trzymał duży kielich w ręku z winem, komenderując dragonią językiem niemieckim według zwyczaju powszechnego: „Macht ajch fertych, szlacht an, fajer", a gdy dragonia

dała za tym słowem ognia, on wtenczas duszkiem wlał w siebie kielich wina.

Przez wzgląd tedy na pracą dragonii takową, noc po noc odbywaną, i z pobudki ukontentowania, które miał książę w tej rozrywce, nosił dragonią porządnie, mniej dbając o piechotę, nie tak blisko i często jak dragonia pod oczy jego podpadającą, chociaż czasem do ognia zażywaną, ale na dziedzińcu opodal oka książęcego stawającą, i to w nocy zazwyczaj, kiedy dziur w łokciach i kolanach albo wytartych boków nie tak łatwie dojrzeć można. Na wartę zaś po wałach i przy bramach dobierano co lepszych mundurów, pożyczając jeden drugiemu na tę okazją, a biorąc na zamianę kożuch albo sukmanę. Albowiem piechota była to: chłopi wyprawni ze wsiów, z których wielu było żeniatych, służbę żołnierską czyniących, a po wysłużeniu lat swoich do rolnictwa powracających; zimą tęgą stawali na warcie i w kożuchach, osobliwie na pocztach od oka publicznego odległych.

Komendanci fortec ordynackich: zamojskiej i dubieńskiej, mieli rangę pułkowników; komendant słucki miał rangę generała, albowiem książę Radziwiłł, chorąży litewski, który był ordynatem słuckim, trzymał wojska swego regularnego sześć tysięcy różnego gatunku, jazdę i piechotę, którego wyższych oficjerów tytułował generałami, pułkownikami, majorami.

Częstochowski żołnierz nie był liczny, cały garnizon składał się najwięcej z ośmiudziesiąt żołnierzy pieszych i kilku oberoficjerów. Komendantem zaś najstarszym był ksiądz paulin, do którego co wieczór po zamknięciu fortecy klucze od bram odnoszono. On do tej garsztki wojska wydawał ordynanse i parole, zawiadywał harmatami, amunicją i tym wszystkim, cokolwiek do komendanta fortecy należeć powinno. Kiedy wjeżdżał do fortecy albo z niej wyjeżdżał, bito przed nim werbel i stawano do parady tak, jak zwykli czynić żołnierze komendantom wojskowym świeckim. Też same honory czyniono generałowi zakonu i prowincjałowi, kiedy wizytował klasztor, i przeorowi miejscowemu, wiele razy pokazał się u bramy. Wreszcie dla nikogo z dystyngwowanych gości nie szczędzono tych wojskowych salutacji, które były polityczną żebraniną, albowiem ostatni żołnierz stojący w szeregu nigdy nie opuścił zdjąć kapelusza z głowy i wyciągnąć go ku przejeżdżającemu, aby weń wrzucił jaki pieniądz dla garnizonu. Żołnierz stojący na szyldwachu podobnież przed każdym dobrze ubranym jedną ręką prezentował broń, a drugą ręką wystawiał kapelusz, w który co dostał, już to było jego szczęściem, do podziału nie należącym. Żoł-

nierzyska te częstochowskie były po większej części stare dziady, w innych regimentach wysłużone, do Częstochowy jakoby na łaskawy chleb przyjęte. Takiegoż gatunku byli oficerowie.

Harmaty częstochowskie były arcyprzednie i było ich do kilkuset spiżowych i żelaznych, ale osady tych harmat były stare, popróchniałe, wyjąwszy kilkanaście pomiernych, z których dawano ognia podczas jakich uroczystości albo salutacyj wielkich panów, obraz Matki Boskiej Częstochowskiej odwiedzających; reszta harmat i moździerzy leżała na ziemi bez osad, bo pokój ciągły, pod panowaniem Augusta III kwitnący, nie pobudzał nikogo do przygotowaniów wojennych, dopieroż zakonników w rzemieśle wojennym nie ćwiczonych; lubo mieli dwa starostwa: kłobuckie i brzeźnickie, na konserwacją fortecy i garnizonu w dobrym stanie od Rzeczypospolitej nadane.

Mundur częstochowskiego garnizonu był: czerwona suknia zwierszchnia, kamizolka i spodnie granatowe, guziki cynowe białe, kapelusz bez galona albo czapka granatierska z blachą białą, na nogach trzewiki i kamasze, do codziennego używania czarne, do parady białe; ładownice skórzane czarne, na pasie rzemiennym żółtą glinką, a potem, gdy na miejsce glinki weszła kreta w używanie, onąż farbowanym. Broń: karabin z flintpasem rzemiennym, tak jak pas u ładownicy farbowanym; przy boku pałasz krótki z mosiężnym gifesem i bagnet, który stawając na szyldwachu, zakładano na karabin, po odbyciu stacji zdejmowano.

Nie schodziło także fortecy częstochowskiej na amunicji wszelkiego rodzaju: bomby, kule wielkie, kartacze, kupami leżące po wałach, widzieć się dały; a oprócz tych kazamaty, to jest lochy podziemne, onymiż napełnione były. Prochu nie było nadto; który iż tylko do pewnego czasu konserwować się może, przeto wielkich zapasów jego nie czyniono.

O żołnierzach nadwornych

Gdyby był kto tak ciekawy i sposobny, żeby był przebiegł całą Polskę i Litwę i porachował żołnierstwo nadworne u wszystkich panów, zapewne naliczyłby go więcej niż kompotowego, ledwo bowiem który znajdował się senator i minister, żeby nie chował nadwornego żołnierza.

Książę Hieronim Radziwiłł, chorąży wielki litewski, miał go regularnego do sześciu tysięcy, tak dobrze jak pruski żołnierz sprawnego; drugie sześć tysięcy nieregularnego, to jest kozaków i strzelców, z gruntu służbę żołnierską czyniących, którym to wojskiem sam przywodząc w osobie swojej, pokonał i przytłumił bunt chłopstwa na Żmudzi i w Litwie przeciw panom swoim podniesiony, do dwudziestu kilku tysięcy zebrany; ale za tę usługę swoją ze wszystkich dóbr swoich nie dawał żadnego podatku, i lubo o to w komisjach wojskowych stawały na niego kondemnaty i dekreta executionis, żaden atoli regiment ani żadna chorągiew kompotowa, przewodząca na nim proces, nie śmiała natrzeć do dóbr jego na egzekucją, skoro pierwsze, które tego szczęścia spróbować odważyły się, przepłoszył i powyganiał. Łagodnie zaś przekładającym sobie niesprawiedliwość i pogardę najwyższej zwierszchności, w niepłaceniu podatków popełniane, odpowiadał, że on ma wojsko porządniejsze niż Rzeczpospolita i że nim gotów służeć ojczyźnie w potrzebie, a przeto konserwując takie wojsko, więcej daleko płaci Rzeczypospolitej niż podatek.

Drugi po Radziwille pan możny w żołnierza nadwornego byt Mikołaj Potocki, starosta kaniowski, który żołnierza regularnego pieszego i konnego, dobrze płatnego i umundurowanego miał do dwóch tysięcy; w tym lepszy od Radziwiłła, że podatki publiczne płacił bądź przez sprawiedliwość, bądź przez uwagę większych sit od swoich Rzeczypospolitej. Do próby nie przyszło, zatem w obojętnym mniemaniu zostało. Miał także do kilkuset kozaków po dobrach osadzonych i z osady bez innej płacy, pod jednym atoli mundurem, swoim kosztem sprawionym, do potrzeby stawających.

Trzeci, Franciszek Salezy Potocki, krajczy koronny, trzymał po pryncypalnych miastach swoich do kilkuset kozaków, humańskimi pospolicie zwanych, z gruntu służących, oprócz których miał nadwornych ułanów, janczarów, piechotę i dragonią, cudzoziemskim autoramentem urządzoną, co wszystko w kupę zebrane wynosiło do dwóch tysięcy ludzi.

Czwarty, książę Jabłonowski, wojewoda rawski, i brat jego, starosta czehryński, którzy oprócz kozactwa z gruntu służącego mieli dragonią i piechotę autoramentu cudzoziemskiego do ośmiuset ludzi. Inni panowie znaczniejsi, jako to: Czartoryscy, Lubomirscy, Rzewuscy, Sapiehowie, Ogińscy, chowali nadwornego żołnierza w mundur okrytego i należytym moderunkiem opatrzonego, po trzysta, po dwieście, po sto i po kilkadziesiąt, a po tych nie było prawie żadnego biskupa i senatora,

wyjąwszy kilku ubogich, który by nie trzymał przynajmniej dwunastu dragonii albo kilku ułanów.

Nareszcie nadworny żołnierz tak wszedł w modę, że lada panek, mający intraty rocznej sto tysięcy, nie chciał być bez nadwornego żołnierza. Widzieć było prawie powszechnie przed karetą jakiego takiego podkomorzego, starosty albo pana stolnika, pędzących szybkiego na koniach, czasem jasnokościstych, kilku uzarów albo kilku ułanów z chorągiewkami. Co potem przeniosło się i do szlachty bez urzędów, byle majętnej, i do paniczów młodych, w fortunę znaczną po rodzicach wstępujących. A tak nie bardzo się omylę, kiedy nadwornemu żołnierzowi, od wiela do mała w kupę zebranemu, naznaczę liczbę 30 tysięcy, nie rachując kozaków, których mogło być na Ukrainie z drugie tyle; każdy albowiem szlachcic, mający wieś swoją dziedziczną, musiał chować takowych ludzi nie dla parady, ale dla obrony życia i majątku swego od hajdamaków. Za czym jeżeli miał wieś od 200 osady, to przynajmniej 30 oddzielił na kozaków, którzy mu żadnego zaciągu nie odbywali ani żadnej daniny nie dawali, tylko co noc przez lato, uzbrojeni spisą i samopałem, zjeżdżali się konno na podwórze do dworu, około którego wartę nocną trzymali, a pan z żoną i domownikami, rozszedłszy się na przymroczu w stepy, lada gdzie w chwaście spoczywał, powierzywszy majątku całego owej warcie, która nieraz wielkim najazdem hultajstwa obskoczona i zniesiona była. Nieraz też porozumiawszy się skrycie z hajdamakami i naprowadziwszy ich na dom, straży swojej oddany, wespół z nimi go zrabowała.

O hetmanach

Należało było zaraz za żołnierzem komputowym położyć hetmanów albo jeszcze lepiej na froncie jego, jako wodzów i głowy całego wojska. Namieniłem cokolwiek o nich, ale opisać ich ze wszystkim w tamtym miejscu nie szykowało się ze wszystkim do materii wojskowej, ponieważ oni zawsze na sobie nosili dwa charaktery: wojskowy i obywatelski, będąc razem wodzami i senatorami. Zatem kiedy po stanie wojskowym następuje cywilny, tu najwygodniejsze zdało mi się być miejsce do opisu hetmanów.

Skoro który pan otrzymał od króla JMci buławę wielką lub polną, natychmiast – jeżeli używał stroju francuskiego – musiał się przebrać po polsku. Nie wiem, czy to było takie prawo, aby hetmani chodzili po

polsku, czy tylko zwyczaj; dosyć, iż był ściśle za czasów Augusta III zachowany. Pierwszy Franciszek Ksawery Branicki, po Janie Klemensie Branickim hetman wielki koronny, złamał to prawo, czyli zwyczaj, nie odmieniwszy używanego od siebie stroju francuskiego, choć wziął najprzód buławę polną, a potem wielką pod panowaniem Stanisława Augusta. Przeciwnie zaś Antoni Kossowski, podskarbi nadworny koronny, nosił się po polsku, choć był generałem regimentu łanowego pieszego pod panowaniem jeszcze Augusta III W tym tylko stosował się do regimentu swego, kiedy chciał albo miał potrzebę pokazać się generałem łanowym, że wdział na siebie suknie koloru regimentowej materii, ale krojem polskim, to jest: kontusz czerwony z żółtymi wyłogami i żupan żółty sukienne, galonkiem wąskim srebrnym do pasa i około rękawów obrzucone, szarfę oficjerską miasto pasa, bot czarny, czapkę z barankiem czarnym, z wierszchem sukiennym żółtym.

Hetmani, lubo byli wraz i generałami swoich regimentów konnych i pieszych mając każdy po jednym regimencie pieszym i po jednym konnym, chodzącymi pod tytułem regimentów buławy wielkiej albo buławy polnej koronnej lub litewskiej, nigdy jednak nie brali na siebie mundurów tych regimentów, ale zawsze używali mundurów usarskiego lub pancernego, wiele razy chcieli pokazywać się po wojskowemu; które mundury, jak na hetmanach, tak na wszystkich wojskowych zimą i latem były zawsze sukienne, i kiedy który oficjer ustroił się w mundur bławatny albo kamlotowy podczas lata, nazywano takiego gaszkiem, choć taka suknia nie miała miejsca w służbie, tylko extra służby, z tą odmianą, że na głowę nie brali czapek mundurowych z barankiem, ale kołpaki sobole z wierszchem aksamitnym karmazynowym albo granatowym. Tych mundurów najwięcej zażywali wtenczas, kiedy się pokazywali w publicznym kształcie, jak to na audiencją publiczną do króla albo na pierwszą sesją do senatu; pomimo zaś tych okoliczności stroili się w rozmaite kolory i materie sukien obywatelskich, jakie kiedy były w modzie, podług pory czasu.

Nie zdarzyło się nikomu pod panowaniem Augusta III widzieć hetmana w stolicy na koniu; pospolicie ta ranga dostawała się starcom, dobrze laty przyciśnionym, a do tego konna jazda już wychodziła z mody, mianowicie u panów wielkich i paniczów, zazwyczaj karety miasto konia w publice używających, wyjąwszy regimentarzów, pułkowników, generałów i urzędników koronnych, którzy przez aplikacją, końcem promocji wyższej lub intratnego starostwa zyskania, jadącemu

królowi na sejm do zamku lub senatus consilium konno przed karetą asystowali czasem; co też i hetmanom, ale tylko wojskowi, wyrządzali.

Kiedy hetman wielki koronny albo litewski jachał do króla na audiencją albo na sejm, albo na senatus consilium, karetę jego paradną w sześć koni pod szorami od srebra i złota zaprzężoną kierował stangret i foryś w barwie sukna francuskiego, galonkiem srebrnym lub złotym obłożonej, w pasach atlasowych z frandzlą złotą lub srebrną, podług stosunku do koloru sukna lepiej przypadającego, w żółtych botach z podkówkami wysokimi żelaznymi, pobielanymi cyną albo w cale srebrnymi, w kołpakach wysokich sobolich, kunich albo też barankowych, u których wierszchy długie, sukienne, galonkiem przeszyte, w formę worka okrągłego uszyte, z kutasem srebrnym lub złotym na końcu wiszącym, spadały na lewe ucho. Harapnik u forysia i bicz u stangreta jedwabne, z końcami dla trzaskania głośniejszego włosianymi; trzonek u harapnika i biczysko u bicza stangreckiego malowane kolorem żupana. Kontusz u stangreta i forysia brożkiem, to jest przez pół człowieka wylotem rękawa na lewą rękę zawdziany i z tejże strony wiszący, sznurem złotym lub srebrnym z kutasami na szyję założony, prawą połą, na wierszch podszewką atłasową wywiniętą, za pas przed brzuchem zatchnięty, wydawał podobieństwo do paludamentu, którego dawni bohaterowie zażywali. A że te suknie były buchaste i w stanie szerokie, tak że mógł wygodnie w zimową porę podwlec pod żupan kożuch gruby, przeto w takim stroju siedział stangret na koźle karecianym jak kopa siana, a foryś na koniu jak bachus, osobliwie kiedy był chłop słuszny i wąsaty, czasem od stangreta w leciach starszy. Za stangretem na ławce, czyli niższym koźle, stał paź po francusku albo węgrzynek po węgiersku, albo turczynek po turecku, bogato od złota lub srebra i bławatu ubrani, trzymając się rękami ramion stangreta i stojąc tyłem do karety.

Za karetą stało dwóch albo trzech lokajów, dwóch pajuków, wszyscy suto i bogato ubrani, lokaje po niemiecku, pajucy po turecku. Wedle karety szło czterech hajduków. Przed karetą waliła się wielka liczba pacholików i masztalerzów; za nimi w odległości kilku kroków sadzili się na skocznych koniach dworzanie hetmańscy, pułkownicy, generałowie i towarzystwo na rezydencji będący albo też jaką łaskę u hetmana pozyskać chcący; za tymi wszystkimi jechał przed forysiem tuż koniuszy hetmański i za nim masztalerz jego i nigdy koniuszy nikomu, choćby z najdystyngwowańszych, miejsca tego nie ustępował.

Z dwóch stron przy samych drzwiach karety jechali dwaj paziowie albo dwaj pokojowcy hetmańscy. Począwszy od zadnich kół karety szli janczarowie dwiema liniami równymi, maszerując kolej w kolej, którędy szła kareta, choćby w największe błoto, a jeszcze w żółtych botach, które gdy się raz i drugi uszargały do stracenia glancu, dawano im co raz świeższe. Między janczarami, za karetą, prowadziło dwóch pajuków bogato ubranych, trzymając przy pysku, konia hetmańskiego, dobierając pospolicie siwego albo w cale białego; kulbaka bogata od złota i kamieni robotą turecką i dywdyk z materii takiejż bogatej okrywał konia, cały zad aż po kostki zadnich nóg, czyli mówiąc po rostrucharsku, aż po pętlinę. Przy kulbace po jednej stronie wisiał podłuż konia miecz rycerski: był to oręż długi jak dwa razy szpada, przy rękowieści szeroki jak szabla, u końca wąski jak szpada, w pochwie bogatej, okrągłej, srebrnej, marcypanową robotą; rękowieść długa, okrągława, bez krzyża, także od srebra, z kamienia drogiego. Po drugiej stronie koncerz, to jest dwa noże proste obosieczne, na pięć ćwierci łokcia długie, w końcach okrągłe, w jednej pochwie grubej, okrągłej, srebrnej, także marcypanową robotą, z której trzonki cienkie, bogate tych noży wyglądały. Taki nóż miał wszystkę formę noża żydowskiego rzeźnickiego od dużego bydła. Na przedniej kuli kulbacznej wisiał ogon koński biały w siatce złotej lub jedwabnej, złotem przerabianej, do połowy tegoż ogona długiej, bujając się po nogach koniowi idącemu. Ogon ten w korzeniu swoim osadzony był w gałkę podługowatą złotą lub pozłocistą, diamentami i innymi świetnymi kamieniami sadzoną, i zwał się taki ogon buńczuk, znak i naśladowanie tureckich wezyrów. Drugi taki ogon wisiał z drugiej strony kulbaki, a trzeci przy uchu końskim przypięty. Na wierszchu głowy, między uszami, kita z piór strusich w tulejkę bogatą, kameryzowaną osadzona.

Ile razy hetman wielki, tak koronny, jak litewski, jechał na audiencją publiczną do króla, do książęcia prymasa lub którego posła zagranicznego, albo na sejmową lub senatorską sesją, zawsze z taką kalwakatą. Boty poszargane od janczarów odbierano do skarbu i tymi prowidowali obuwie należące kuchtom, stajennym pospolitym, stróżom i innym posługaczom dworskim. Marszałek też hetmański takimi botami należące swoim służalcom obuwie zastępował, albo gdy tego nazbyt było, szewcom za małą cenę odprzedawał, osobliwie gdy się sejm przez swój czas sześcioniedzielny ciągnął, a słoty panowały.

Hetmani polni mieli przed karetą swoją i za karetą równą jak hetmani wielcy kalwakatę, wyjąwszy janczarów i konia, których nie mieli.

Przed pałacem hetmana wielkiego trzymała pierwszą wartę chorągiew janczarska, drugą węgierska, trzecią gwardia piesza koronna, na galerii przed pokojami czwarty haubtwach z dragonii regimentu buławy. Przy drzwiach zaś pokoju, w którym leżała na stoliku buława, i przy sypialnym hetmańskim pokoju stali na warcie unteroficjerowie od gwardii z pikami, czyli szpontonami. Przedpokoje hetmańskie były zawsze napełnione towarzystwem na rezydencji i oficjerami na ordynansie będącymi, prócz innych osób różnej rangi, wojskowych i cywilnych, to dla interesu, to dla zabawy, to dla atencji panom hetmanom schodzących się.

Władza hetmańska była pewnymi prawami określona, które nie są moim zamiarem, bo nie są obyczajami, o których ja pisać przedsięwziąłem. Prawa są prawidłem obyczajów, obyczaje zaś często z swego prawidła zbaczają.

Hetmani władali wojskiem samowładnie, jak im się podobało, nie odnosząc się w tym ani do sejmu, ani do senatus consilium. Komisja radomska była to jurysdykcja najwyższa wojskowa, obejmująca samych nawet hetmanów, kiedy w czym nad pozwoloną sobie władzą wykraczali. Ale dekrety tej komisji tyle miały wigoru, ile go jej hetmani udzielić raczyli, czyli to w własnych sprawach swoich, czyli też w cudzych w protekcją swoją wziętych. Widzieliśmy tej władzy moc w sprawie ordynacji ostrogskiej.

Janusz książę Sanguszko, bezpotomny i ostatni wspomnionej ordynacji posiadacz, pod pozorem, że ta ordynacja od ustawy swojej aż do jego czasów przez żaden sejm nie była aprobowana, ale przez kilka sejmów z góry w reces puszczona, a kiedy pod panowaniem Augusta III wszystkie sejmy zrywane o ordynacji wspomnionej żadnej wzmianki nie uczyniły, wspomniony książę Janusz zażył tego zamilczenia do zbogacenia kasy swojej, na debosz wypróżnionej; pokrajał na sztuki i porozdawał rozmaitym osobom tęż ordynacją, rezygnacje sposobem dziedzicznych dóbr przedanych poczyniwszy.

Nie podobał się ten krok Janowi Klemensowi Branickiemu, hetmanowi wielkiemu koronnemu, więc jako stróż całości Rzeczypospolitej, donatariuszów z dóbr nabytych ordynackich powyganiał i całą ordynacją ostrogską wojskiem koronnym zajechał, nie udając się wprzód do żadnej magistratury po rozprawę z książęciem Sanguszkiem, który takowym postępkiem hetmańskim ogołocony ze wszystkiego, począł wołać gwałtu przez manifesty wielkie i obszerne, z których powstała wrzawa między panami. Rozdzielili się na dwie partie, a że hetmańska

była mocniejsza, postępek jego przez senatus consilium został pochwalony. Dobra ordynackie tymczasem do rezolucji sejmowej w administracją z pomocą wojskową Szołdrskiemu, generałowi wielkopolskiemu, oddane.

Gdy się zaś hetman ukontentował pokazaniem swojej mocy, pod którą Sanguszko rad nierad musiał się upokorzyć, rzeczy zostały powrócone do dawnego stanu. Sanguszkowi oddano w posesją ordynacją, zawiesiwszy ważność donacjów do rezolucji sejmu.

Sejmiki, sejmy, trybunały, komisja radomska takich i tych miewali deputatów i posłów, jakich i których hetmani wielcy mieć chcieli. To jednak trzeba rozumieć względem innych panów, którzy hetmanom oprzeć się nie mogli. Co się albowiem tycze Czartoryskich, miała w sobie tyle siły zjednoczonej, iż i hetmanom sprzeciwić się mogła, jako się o tym obszerniej pod reasumpcją trybunałów wyraziło.

Patenty na wszystkie rangi cudzoziemskiego autoramentu wydawali hetmani, także na porucznikostwa i chorąstwa w chorągwiach polskich, tak poważnych, jako też lekkich. Same generalstwa regimentów i rotmistrzostwa chorągwi polskich należały do szafunku królewskiego. Co wszystko pomnażało wielce władzą hetmańską; wyjąwszy bowiem generałów i rotmistrzów, którzy promocją swoją, czyli zaszczyty, winni byli królowi, reszta wojskowych oficjerów zapatrywała się na hetmanów, jako na swoich twórców, mniej dbając o króla, od którego nie spodziewała się żadnego wywyższenia. Jeżeli albowiem zawakował jaki regiment albo chorągiew polska, pospolicie dawał go król któremu z panów, choć ten ani w tym regimencie, ani w tej chorągwi, ani wcale w wojsku nie służył.

W mocy także hetmańskiej było wszelkie ukaranie wojskowej osoby wszelkiej rangi, nawet i śmiercią, a to przez krygsrecht w dwudziestu czterech godzinach, lubo przykłady takiego rygoru nie dały nam się widzieć; dosyć, że taka była powszechna między wojskowymi o władzy hetmańskiej opinia, którą hetmani najczęściej w tajaniu oficjerów krnąbrnych i zdrożnych wspominali, choć do skutku nie przywodzili.

O kole rycerskim

Koło rycerskie było największym zaszczytem i reprezentacją władzy hetmańskiej oraz utrudzeniem i pracą najznakomitszą osoby, pospolicie latami obciążonej.

Koło rycerskie stąd wzięło nazwisko swoje, że regimentu i chorągwie, ściągnione do kupy, szykowały się w okrąg na placu wyznaczonym, mając w pośrodku siebie hetmana na koniu. To koło rycerskie z dwojakiego końca uważane być mogło: raz jako rewizja wojskowa, drugi raz jako konsultacja. Ile wiem, opiszę obadwa.

Hetman ordynansami swymi ściągnął do którego miejsca pewne regimentu i chorągwie; wszystkich nigdy razem nie ściągał, nie chcąc ogołacać kraju zupełnie z wojskowej usługi. Ściągnione regimentu i chorągwie leżały tydzień jeden i drugi w polu pod namiotami, robiąc tymczasem różne egzercerunki i musztry, nim hetman nadjechał; po odbytych zaś ćwiczeniach żołnierskich oficjerowie z towarzystwem poważnym zabawiali się ucztami, kielichami i kartami.

Widok tego obozu był taki jak podczas wojny, ponieważ ten zjazd był niejako polerunkiem w trybie wojennym.

Dnia jednego, podług woli swojej wyznaczonego, hetman lustrował wojsko, które wtenczas w proporcją wielkości swojej formowało ogromny cyrkuł. Hetman objeżdżał dokoła uszykowane regimentu i chorągwie, uważając albo przynajmniej udając uważającego, co było gdzie godne nagany albo pochwały; czasem tę lustracją dzielił na dwa albo na trzy dni, a czasem jednego dnia zaczął i skończył wszystko, nie będąc od nikogo muszonym ani nie znajdując potrzeby pracowania więcej nad tyle, ile mu się podobało. Tę lustracją czyniąc siedział na koniu, którego pod nim prowadziło dwóch pajuków, a innych dwóch szło tuż przy hetmanie, trzymając się jedną ręką za strzemiona, a to po części dla większej figury, po części dla utrzymowania konia w powolnym i prostym chodzie, który – żeby wcale nie mógł brykać – był spętany na wszystkie cztery nogi na krzyż łańcuszkami żelaznymi.

Czasem hetman, kiedy jeszcze był rzeźwy, brat na siebie zbroją, czasem zaś, kiedy już był podupadły na sitach, objeżdżał wojsko tylko w mundurze usarskim, z paludamentem na plecy zawieszonym, jaki się opisał pod marszem chorągwi usarskiej.

Przed hetmanem buńczuczny niósł buńczuk, to jest ogon biały koński, także już wyżej w kształcie swoim opisany, na długim drzewcu kształtnie umalowanym wiszący. Buńczuczny tę służbę odbywał na koniu, którego pod nim dla większej reputacji, choć nie z potrzeby, powodowali dwaj janczarowie; za hetmanem tłoczyła się na koniach liczba regimentarzów, generałów, pułkowników etc., a tych wszystkich z buńczucznym i hetmanem opasywała chorągiew janczarska, przygrawając raz po raz wdzięczną, jak niedźwiedziom, kapelą swoją.

Po odbytej lustracji hetman powracał do namiotu swego, przed którym regimentu i chorągwie popisywały się z dzielnością swoją.

Druga przyczyna, czyli koniec ściągania wojska na koło rycerskie, była, żeby pan hetman pokazał pilność w urzędzie swoim; także kiedy chciał zrobić jaką odmianę w musztrze, służbie lub sukni żołnierskiej, co mu łatwiej i z większą satysfakcją przychodziło przez konsultacje na kole, niż gdyby tego dokazywał przez samowładne ordynanse, w narodzie wolnym zawsze przykre.

Najprawdziwszą zaś przyczynę mieli hetmani ściągania koła rycerskiego: pomnożenia sobie względów i aprehensji u króla, gdy te ustawać widziały się ku ich osobom. Od tego albowiem czasu, jak Ledóchowski i po nim Potocki pod pozorem kota rycerskiego zrobili rokosz przeciw królom, jeden przeciw Augustowi II, a drugi przeciw III, wiele razy hetman wielki koronny ściągał koło rycerskie, zawsze dwór zostawał w niepokoju, nadsłuchując z pilnością, jeżeli się co przeciw niemu tym kołem nie toczy, a w takiej znajdując się aprehensji, hetmanowi ile możności podchlebiał, obsypując go faworami swymi.

Nie byli zaś w takiej aprehensji hetmani litewscy, choćby się komosić na króla chcieli, bo mała garsztka wojska litewskiego więcej by uczyniła śmiechu niż strachu. Hetmani także polni w oboim narodzie nie należeli wcale do komendy wojskowej, czyli rządu wojskowego, wyjąwszy te regimentu, które do ich straży i usługi oddzielnie należały. Kalwakata ich nie miała żadnej różnicy od kalwakaty innego jakiego pana, w stanie cywilnym będącego.

W starych dziejach polskich czytamy hetmanów tak polnych, jak wielkich, komenderujących wojskami w czasie wojny; że zaś w pokoju nie było wielkiej pracy około małej armii, przeto komendy nie dzieląc między hetmanów, całkowicie ją jednemu, wielkiemu, oddawano.

O STANIE DWORSKIM

Pod tym tytułem znajdzie Czytelnik obyczajność wielkich panów i im służących, ponieważ opisując jednych bez drugich, musiałoby się często jedno powtarzać. Szlachta i pospólstwo, służące różnym panom i pankom, słusznie mogło się nazywać stanem od innych stanów oddzielnym, albowiem wielka liczba takowych sług znajdowała się za panowania Augusta; nie było szlachcica o jednej wiosce, żeby nie miał chować jakiego dworskiego. Lubo to imię „dworski", obszernie wzięte, znaczyło każdego służebnego, w ściślejszym atoli rozumieniu wyrażało samych sług honorowych szlacheckiej kondycji albo plebeuszów, a czasem i poddanych, przez szablę do boku przypasaną za szlachtę udających się lub od pana za takich udawanych.

Słowo „dworski" w znaczeniu istotnym, czyli in substantivo, znaczyło samego tylko sługę-szlachcica urodzonego albo mniemanego, jako się wyżej wyraziło. Słowo „dworski" in adiectivo, czyli w przyrzutnym znaczeniu, wyrażało pokojowego chłopca, lokaja, hajduka, pachołka, pajuka, węgrzynka, huzara, strzelca, pazia, turczynka, turczyna, laufra, czyli bieguna, stangreta, forysia, masztalerza, kuchmistrza, kucharza, kuchtę, cukiernika, szafarza, kredencerza, zgoła wszystkich ludzi służących wielkiemu panu lub pankowi małemu.

Jak żołnierze musztry, tak dworscy ludzie musieli się uczyć służby, ażeby niezgrabnymi manierami, nieochędóstwem około siebie i płochą mową pana wstydu, a siebie kary lub szyderstwa od kolegów nie nabawił.

Była tedy dworska służba jak szkoła przystojnych powierszchownych obyczajów, grzeczności i kształtnej postaci, na którą się jedni nad drugich przesadzali; i który bardziej w takie przymioty obfitował, tym lepiej popłacał; dołożeć do tego należy wierność, trzeźwość i czystość, acz ten ostatni przymiot między ludźmi dworskimi tak jak między innymi był bardzo rzadki, choć przewinienie jego surowie karano, jako się da niżej widzieć. Wierność wszędzie była zasługą i pierwszą cnotą, której po każdym wyciągano. Pijaków, opojów jedni panowie cierpić nie mogli, drudzy takich lubili i szukali. To w ogólności napisawszy,

idę do opisu z osobna każdego gatunku, a najprzód zaczynam od dworskich in substantivo.

Ten gatunek sług miął dwa nazwiska, dworzanin i dworski. Służącemu u małego pana mówiono: dworski jaśnie wielmożnego pana N., służącemu u wielkiego pana mówiono: dworzanin księcia prymasa, pana hetmana, pana wojewody.

Dworzanie wielkich panów byli dwojacy: jedni respektowi, drudzy płatni. Między płatnymi znowu była różnica, jedni się nazywali oficjalistami, a takimi byli: marszałek, sekretarz, podskarbi, koniuszy, szatny, podczaszy albo kamerdyner. Komisarz u jednych panów wchodził w liczbę dworzan, którzy przy miernej fortunie wielką figurę prowadzili, a przeto z jednej osoby robili dwie, zażywając pana komisarza i do kalwakaty, i do zawiadowstwa dobrami; u drugich nie wchodził, jako to u prymasów, u których zwykle bywał komisarzem kanonik gnieźniński, u biskupów krakowskiego i warmińskiego takoż kanonicy swoich kapituł. U hetmana Branickiego, u książąt: Wiśniowieckiego, Radziwiłłów, Sanguszka, Fleminga, Czartoryskich, u panów Potockich, którzy z przyczyny wielkich i rozległych po Polszcze i Litwie dóbr miewali komisarzów po kilku – nad tymi zaś jednego przełożonego, wszystkich ludzi swoje znaczne substancje mających i ziemskie urzędy posiadających, dóbr swego wydziału pilnujących i ledwo raz w roku pana swego z sprawą szafarstwa odwiedzających. Plenipotenci nareszcie mieścili się w regestrze oficjalistów dworzan, asystując z innymi na czas panom, na czas zaś pilnując spraw pańskich w trybunałach, ziemstwach i grodach, oprócz których nadwornych plenipotentów wielcy panowie w różnych jurysdykcjach – a mianowicie w trybunałach – mieli rocznie płatnych patronów lub dependentów, którzy się także nazywali plenipotentami.

Drudzy nazywali się dworzanie prości, iż nie mieli żadnej szczególnej funkcji, tylko powszechną służbę, która była takowa: przyńść z rana na pokoje pańskie, czekać z innymi wyńścia jego do sali i prezentować się mu w ubiorze przystojnym i z miną pilność do usług oznaczającą. Jeżeli pan miał co do rozkazania któremu, ten zabierał się natychmiast do wypełnienia rozkazu pańskiego. Inni, którzy nie byli wezwani do jakiej usługi, zostali na sali zabawiając się jedni z drugimi rozmowami aż do obiadu albo grą kart lub inną zabawą, jaka była u pana we zwyczaju, albo też kiedy nie mieli ochoty bawienia się, rozchodzili się na stancje.

Jeżeli pan miał gdzie wyjechać na wizytę do innego pana lub do innych dóbr, przez usta marszałka opowiadał dziś na jutro, a czasem, gdy była podróż w cale mała, godziną jedną i drugą prędzej, którzy dworzanie, jeden czy więcej, jechać z panem mają. Po obiedzie także dworzanie zabawiali się na pokojach pańskich albo w stancjach swoich aż do wieczerzy, po której gdy nie było gości, a zatem i żadnej publicznej zabawy, postojawszy na sali, póki z niej pan nie ruszył się do głębszych pokojów, udawali się do swego wczasu, miasto którego częstokroć zszedłszy się do jednego, całe noce trawili na zabawach z kuflem i kartami. Wino wtenczas nie było w tak pospolitym jak dziś używaniu, choć u samych panów miody, wiśniaki, malenniki na Rusi i w Litwie, a w prowincji wielkopolskiej piwo dobre służyło do zasilenia i ochoty.

Dworzanie honorowi siadali do stołu z panem, dworzanie służący na pensjach u jednych panów siadali, u drugich nie siadali. Znowu u tych panów, u których dworzanie nie siadali z panem do stołu, u jednych mieli osobny stół dworzanie, osobny panny, u drugich szli do stołu marszałkowskiego pospołu panny z dworzanami. Nieszczęśliwe panny, a osobliwie młode panienki nowicjuszki, gdzie razem jadały z dworzanami, najadły się więcej wstydu niż potraw przez alegoryczne, niewinność gorszące mowy, ucinki i różne żarciki dworzan owych wyparzonej gęby, dwoistego języka wykrętarzów, co to każde słówko, by też najniewinniejsze, podchwycić i do materii lubieżnej nakręcić jak z procy umieli. Takie albowiem szyderstwo było u dworów w modzie i należało niepoślednie do polityki dworskiej. Panny także, dworki dawne, sposobiły się codzienną biorąc lekcją do podobnegoż stów wykręcania i wet za wet odcinania. I tak ten kunszt wydrwiewacki tak panien, jak samych siebie dworzan był w modzie, że czasem za niego, kiedy trafiła kosa na kamień, panowie dworzanom, a panie pannom swoim podarunki dawali.

Nie tylko zaś w materii miłosnej, ale w każdej innej szukano słów, które by wywrócić na śmieszne znaczenie można było i zawstydzić tego, który się z nim nieostrożnie wymówił.

Tam, gdzie panowie chowali wielkie dwory (lubo takich mniej było niż pomiernych), a gdzie z samym panem dworzanie do stołu nie siadali, było tyle stołów, ile było gatunków dworzan i dworskich.

Oficjaliści wyżej wypisani i dworzanie honorowi rzadko kiedy mieli stół osobny, chyba wtenczas, gdy był nacisk gości; inaczej jadali z panem. Drugi stół był marszałkowski, do którego siadali dworzanie

służący; trzeci dla pokojowych, czwarty dla chłopców, piąty kuchmistrzowski, do którego należał kamerdyner i paziowie.

Względem stołu i dystynkcji dworzan i dworskich nic nie można pisać powszechnie, ponieważ w tych okolicznościach u każdego niemal dworu inne były ustawy; i tak u prymasa koniuszy nie siadał nigdy do stołu pańskiego, choć inni oficjalistowie siadali; u Branickiego zaś hetmana koniuszy siadał nawet podczas największej liczby gości, chyba że sam dla jakiego zatrudnienia nie poszedł do stołu pańskiego; tęż samą powagę miał u Branickiego sekretarz, człowiek wysoko u swego pana konsyderowany, za jego promocją starostwem brańskim i chorągwią pancerną przy znacznej pensji z skarbu pańskiego opatrzony. Koniuszym był Jędrzej Węgierski i oraz pułkownikiem pułku królewskiego przedniej straży, sekretarzem – Maciej Starzeński. Marszałek po tych dwóch trzecie miejsce trzymał i nie należał, tylko do dyspozycji i dozoru kuchni, gdy koniuszy całym dworem i jego potrzebami zawiadował.

Ta osobliwość po innych dworach rzadka była; pospoliciej zaś każdy oficjalista swój urząd sprawował: marszałek gospodarstwo całego dworu, sekretarz ekspedycją listów, koniuszy stajnią i co do niej należy, podskarbi szafował skarbem, podczaszy winem i innymi trunkami zamorskimi, mając do pomocy piwnicznego, jednego z liberii, do którego należało wydawanie piwa, lecz podczaszy rzadki był u którego dworu, wyjąwszy książąt Sanguszków, Radziwiłłów, Czartoryskich i hetmana Potockiego; szatny miał w dozorze suknie i sprzęt pański; szatny i kamerdyner jedno znaczyli. Nazwiska odmienne stosowane były do różnicy osób. Kiedy na tej funkcji był szlachcic i chodził po polsku, nazywano go szatnym, miał rangę między innymi oficjalistami dworskimi i z innymi dworzanami asystował panu konno lub pieszo podług okazji. Kiedy był cudzoziemiec albo choć Polak i szlachcic, ale w stroju niemieckim, nazywał się kamerdynerem, nie należał do kalwakaty i regestru dworzan, ale trzymał średnie miejsce między nimi i liberią; u niektórych dworów siadał do stołu z dworzanami, ale bardzo rzadko gdzie, u niektórych pospoliciej chodził do stołu kuchmistrzowskiego. Najwięcej tak bywało, że pan miął szatnego, pani zaś kamerdynera.

Pensje dla dworzan oficjalistów były rozmaite, podług wielkości pana i czynności służby; pensje dla dworzan bez funkcji pospolite były czterysta złotych na rok, obrok na trzy albo na parę koni, strawne dwa złote na tydzień dla masztalerza, który kiedy chodził w barwie, zwal się

masztalerzem, kiedy nie w barwie, tylko w sukniach, z pana-dworzanina na niego darowizną albo w mycie spadłych, zwał się pacholikiem, lubo usługa obydwóch była jedna: konie oprzątać i do wsiadania panu podawać, suknie pańskie i porządki wychędożyć. Pospolicie pacholikowie byli ubogiej szlachty synowie i nosili szablę. O nich będzie więcej niżej.

Jeżeli który dworzanin oprócz masztalerza lub pacholika miał jakiego innego służalca do pokoju: chłopca, węgrzynka lub kozaczka, utrzymował go co do odzienia swoim kosztem, żywił zaś z talerza, z którym służalec takowy panu swemu do stołu asystował, a pan, gdzie był stół nieskąpy, tyle brał z każdej potrawy, że się i sam najadł, i służalca nasycił. Dlatego u dworów, gdzie taka moda była, nie przestrzegano ceremonii, ale skoro zasiedli do stołu, ubiegał się jeden przed drugim do sztuki mięsa i pieczeni; i kiedy bliżsi i sprawniejsi rozerwali grubsze potrawy, ostatni musieli się kontentować saporem i polewką. Najwięcej się takowej diety dostawało pannom, gdzie wraz z dworzanami do stołu siadały, te bowiem, jako z natury nieśmiałe i do chapanki niesprawne, zawsze ostatnie do półmiska bywały, chyba że która miała swego dobrodzieja, który o niej i o sobie pamiętał. Masztalerze nigdy dworzanom nie służyli do stołu, będąc strawowani albo pieniędzmi z skarbu pańskiego, albo z kuchni, toż samo i pacholikowie. Lecz kiedy dworzanin nie miał innego służalca, tylko pacholika, stawał za swoim panem z talerzem pod pozorem usługi, dokładając kiszki, której mu szczupłe strawne, bądź ze skarbu, bądź z kieszeni pańskiej dawane, do sytości wyładować nie pozwalało. Lubo albowiem dworzanin mógł chować dwóch służalców, nigdzie jednak o obydwóch, tylko o jednym, wiedzieć nie chciano, wyjąwszy oficjalistów, których służalcy wszyscy, choćby jeden miał dwóch albo i trzech, byli ze skarbu płatni.

Stoły dla dworzan nie u wszystkich dworów jednakowe były; w niektórych dworach dawano dla wszystkich służących na stole jeść uczciwie i dostatnio, przy którym dostatku łapanina nie miała miejsca; każdy był pewien, że mu się dostanie porcja duszna wszelakiej potrawy, którą się i sam naje, i swego służkę pożywi. W niektórych zaś dworach nie dbano o tę wygodę; zastawiono stół kilką potrawami, które w momencie zniknęły, a połowa zasiadających wstała od stołu głodna. W takich dworach był zawsze regestr służących otwarty; jedni się w rok albo i prędzej odprawiali, drudzy, nie znajdujący lepszej służby, przystawali.

Kiedy taki pan z dworem swoim ciągnął w drogę, wszędzie za nim po karczmach i wsiach pełno było narzekania i przekleństwa, tym więcej, im z większą wlókł się czeredą, a osobliwie kiedy jeszcze miał z sobą dragonią. Ci rycerze głodni na każdym popasie i noclegu najpierwszą potyczkę odprawiali z wiejskimi kokosami, łapiąc i zjadając niepłatnie, gdzie się im jaki drób nawinął; a potem ulokowawszy się w karczmie lub gdy tam ciasno było, po chałupach wiejskich, kazali sobie szafować suto dla koni siana i owsa. Oficjer, rozkazujący taki futeraż, upewniał chłopków o dobrej zapłacie od książęcia JMci lub pana wojewody. Toż samo działo się z kaczmarzem; najprzód przymuszony został frantowską prośbą, pod dumną obietnicą sutej zapłaty, do szafowania wszystkiego, czegokolwiek dla koni i ludzi potrzeba było. A jeżeli kaczmarz, sparzony nieraz takowym gościem, nie miał się rączego do szafunku, hałasem, potem batogiem został przymuszony.

Po skończonym popasie lub noclegu następował rachunek, w który często wdawał się sam pan jako pośrednik między kaczmarzem i swoim marszałkiem i koniuszym; postanowiwszy cenę, po czemu miało być co zapłacone, wsiadał do karety, za nim dragonia i cały dwór. A marszałek z koniuszym i kilką opryszkami pozostawszy dobijali z kaczmarzem i chłopkami targu. Tam dopiero nastąpiła ciężka kalkulacja względem wielości wydanej i jej wartości. Prawda została przy tych dwóch zawsze, którzy jako ludzie podczciwi nieraz otaśmowali dobrze kaczmarza za to, że śmiał pretendować więcej, niż oni porachowali. Łaska była, kiedy, porzuciwszy na stole pieniądze bez przydatku guzów i cięgów, powsiadali na konie, natuliwszy czapki na uszy, aby błogosławieństwa kaczmarskiego, którym ich żegnał na złamanie szyi, nie słyszeli. Chłopkowie zaś widząc taką z kaczmarzem tragedią, przyjąwszy jaką taką zapłatę, lepszą od niczego, skromnie się do domów powynosili.

Bywali i tacy panowie, a wszystko wielcy, którzy prowadzili za sobą mnóstwo powozów, wozów, telegów, a bez koni. Te zabierali chłopom z pastwisk, od pługów i z chlewów, wlokąc bezpłatnie tych podwodników od stacji do stacji.

I to wszystko uchodziło trzem gatunkom: wielkim panom, z którymi była szlachcicowi o fortunę, nie dopieroż o kaczmarza lub chłopka pokrzywdzonego, ciężka sprawa; marszałkom i deputatom trybunałów, których łaska, potrzebna każdemu, milczenie i wybaczenie krzywdy nakazywała; trzecim: nieznajomym, bezimiennie lub pod zmyślonym

imieniem przejeżdżającym, ażeby tą sztuką prędzej wszędzie przyjęci byli z wygodą, potem przez połowę ledwo zapłaconą.

Inni panowie, nie wdając się sami w rozpoznanie pretendowanych krzywd, odsyłali skwirczących kaczmarzów lub chłopów, jakoby rzecz nieuczciwą i niegodną uszu pańskich, do tych samych sług swoich, którzy ją czynili, mając to za przywilej jakowyś wielmożności swojej, aby mniej płacili, dlatego że wiele, choć skąpo płacąc, ekspensowali, i karząc niejako kaczmarzów za oszukaństwa i zdzierstwa małego ludu, który się kaczmarzom oprzeć nie mógł.

Jednym słowem przejażdżka takowych dworów ruskich i litewskich była to na kształt przechodu dywizji wojskowych, które w marszu swoim wiele potrzebują, a mało płacą.

Ruskich i litewskich panów w regestrze krzywdzicielów położyłem. Wielkopolscy albowiem panowie, jako mniejszych fortun, tak wielkich dworów jak pierwsi nie trzymali i przyuczeni w swoim kraju do wyższej rzeczy ceny, z łatwością ceną mniejszą będące w województwach innych wiktuały płacili. Po swoich zaś województwach odprawując podróże, małego do nich ekwipażu i konwoju używali, a zatem znacznych szkód czynić nie mogli. Do tego Wielkopolanie przy wysokim chórze, z równości pochodzącym, są najwięksi w artykule oszczędności gospodarze, przeto z domów prowadzą za sobą furaże i wszelkie potrzeby do żywności, tak w podróży, jako też do miast, do których się zjeżdżają, potrzebne, tak że kaczmarz od Wielkopolanina w swoim województwie z trudna więcej utarguje jak za siano, piwo i gorzałkę.

Lecz nie czyniąc ogólnym opisem nikomu szczególnemu krzywdy, dodaję na pochwałę niektórych panów ruskich i litewskich, że i między tymi znajdowali się kochający sprawiedliwość, w drodze i w domu oddający rzetelnie każdemu, co się komu należało, i brzydzący się wszelką krzywdą.

U innych znowu panów był ten zwyczaj, że żadnemu dworzaninowi nie służył do stołu jego służka, ale gdzie był dla dworzan stół osobny, tam oraz było i usłużenie pańskie: lokaj, hajduk, kredencerz należący do stołu marszałkowskiego, płatni i żywieni od pana. U takich panów był wybór dworzan, polityka i uczciwość w najwyższym stopniu. Nie porzucał żaden takowej służby, chyba że się przenosił od dworu do ojczystej fortuny albo do innego stanu, albo gdy przez niestatek lub debosz mimo wolą swoją grzecznie był pod jakim pozorem ode dworu oddalony.

Piwa dawano do stołu, ile kto chciał, na czas po kieliszku wina albo po szklance miodu; skoro się stół skończył, już kropli piwa w izbie stołowej nie znalazł. Posiłek wszelki kończył się z obiadem, a dla dygestii potraw woda (wchodząca już w modę, od naszych ojców nie znana, tylko do umywania) subministrowana była czującym pragnienie.

Dla dworzan dawano piwo do ich stancjów, po jednemu i po dwa garce na dzień. To służalcy dworzan za odgłosem dzwonka od piwnicznego odbierali; który regulament piwa miał miejsce tylko u wielkich dworów. Pomniejsi pankowie i szlachta trapili piwo w kompanii gościa i dworskiego od obiadu do wieczerzy, od wieczerzy w swoich pokojach do poduszki, przeplatając na czas przy większej uczcie winem, miodem lub gorzałką przepalaną.

Był też zwyczaj u kilku panów, choć znacznych, ale skąpych, którzy chcieli pogodzić wielką figurę z sknerstwem i dla menażu sadzali dworzan do jednego stołu z sobą, że przed nich kładziono chleb gruby, a przed państwo pytlowany. Lecz ten zwyczaj, że był powszechnie wyśmiewany i przez tych samych dworzan, którzy mu podlegać musieli, rozmaitymi sztukami dowcipnymi i śmiesznymi afrontowany, prędko zniknął.

U książęcia Sułkowskiego starego, ojca Sułkowskich dwóch wojewodów: poznańskiego i kaliskiego, osobliwy i w cale jedyny zwyczaj był co do żywności dworu. U tego pana dworzanin, trzymający dzienną służbę, siadał do stołu z panem, inni dworzanie wszyscy, Polacy i Niemcy, oficjaliści, szli do stołu marszałkowskiego. Panny zaś miały swój stół osobny. Reszta dworskich jakiego bądź gatunku brali strawne pieniądze miesiączne, nawet kucharze i kuchtowie. Warta stała przy kuchni pilnująca, aby nic nie szło na bok, toż samo przy szpiżarni. Żołnierze nadworni nosili na stół półmiski i zebrane ze stołu z resztą potraw odnosili do szpiżarni, które niedojadki przerabiano z obiadu na wieczerzą lub na jutrzejsze obiady do mniejszych stołów. Ktokolwiek był postrzeżony, że ruszył jakiej potrawy, czy kucharz, czy lokaj albo hajduk, lub inny posługacz, tracił miesiączne strawne, w czym była wielka ostrożność. Taki zwyczaj (jak powiadano u tego dworu) miał zachowywać wielką oszczędność ekspensy kuchennej, nadgradzającej sowicie strawne kucharskie, przecięż u żadnego dworu w całej Koronie Polskiej i Wielkim Księstwie Litewskim nie był naśladowany.

O zasługach, czyli zapłacie

Marszałkowie, koniuszowie i inni oficjalistowie dworscy rozmaicie u różnych dworów byli płatni, nigdzie jednak więcej nad cztery tysiące ani mniej nad jeden tysiąc złotych, oprócz furażu na konie, barwy i strawnego dla służalców, a to tylko u wielkich panów. U pomniejszych zaś dla takich oficjalistów największa była płaca tysiąc jeden złotych.

Dworzanin respektowy nie brat żadnych zasług prócz furażu na konie i strawnego na jednego człowieka lub dwóch ludzi. Pospolicie takowi dworzanie bywali synowie majętnych obywatelów, oddani do dworu dla poloru i swego czasu dla promocji do urzędów ziemiańskich tudzież funkcyj poselskich, deputackich i skarbowych, jakimi są: superintendencje i pisarstwa celne bogatych komór; nareszcie dla złapania jakiego starostwa od króla JMci za promocją pana.

Dworzanin, służący u pana wielkiego [za] złotych na rok czterysta, musiał mieć: trzy konie i rząd suty z kulbaką, kilka lub kilkanaście par sukien, szablę oprawną, ładownicę blachmalową i zawsze prezentować się strojno i modno, do tego na strawnym lub wichcie skarbowym pacholika albo masztalerza, a czasem oprócz tego służkę jakiego.

Dworzanin podwójny, to jest służący z parą koni i człekiem, u pana miernego brał zasług na rok dwieście złotych, był obowiązany mieć porządki też same co pierwszy, choć nie tak sute.

Dworski, służący u szlachcica urzędnika pojedynczo, to jest na jednym koniu, brał najwięcej półtorasta, najmniej sto złotych, miał dobrego mierzyna, kulbakę od rzemienia, na czas rządzik czerkieski, sukien parę jednę i drugą i inne mniejsze porządeczki, szablę czarną, to jest w żelaznej oprawie lub też ze srebrnym kapturkiem.

Przyjmując do służby bądź dworzanina, bądź dworskiego, każdy pan uważał najprzód kształt osoby, potem porządki, z których sądzono o statku; przymiotów doświadczano w czasie służby. Kogo natura udarowała urodą, kształtem i miną dobrą, choć bez talentów, które zwyczajnie na wierszchu nie siedzą, ten prędko wszędzie, gdzie się udał, znajdował służbę. Jeżeli zaś nie miał lepszej zalety, tylko urodę i minę, niewiele estymowany, przesłużywszy rok, przenosił się od dworu do dworu. Talenta dworzanina były: roztropność, obyczajność co do przystojności, zręczność w wykonywaniu rozkazów pańskich i umiejętność robienia dobrze szablą, gdzie tej bądź w interesie pańskim, bądź w swoim zażyć potrzeba było.

Panowie przeto tak utalentowanym dworzanom nadgradzali podarunkami małe zasługi wyżej wyrażone, dając w rekompensę i w miarę przysługi konia gołego, konia z rzędem i z siądzeniem, karabelę ze skarbcu oprawną w srebro, pas, czapkę, parę sukien, parę pistoletów, fuzją lub inny fant jaki.

Oprócz zaś takowych podarunków przypadkowych były insze, pospolite dla wszystkich, w dzień imienin pańskich, a te były czasem z skarbcu pańskiego, czasem z garderoby, czasem z kieszeni i nie przenosiły dziesiątka czerwonych złotych, która kwota była najwyższa i tylko u wielkich panów, mniejsi panowie imieniny swoje wywięzywali mniejszą, na czas trunkiem obficiej nad zwyczajną porcją dodanym, wieczerzą i tańcami, którymi się i sami ucieszyli.

Pokojowi u niektórych panów znaczyli jedno co chłopcy, chodzili w barwie; tę mieli dwoistą: od powszedniego dnia i od święta. W kalwakacie przed karetą w publicznej paradzie nie asystowali panu, tylko w drodze, i nie wszyscy, tylko naznaczeni, chyba że pan ruszał się z całym dworem; służyli do stołu z talerzem i do butelki z tacą, pospołu z lokajami i inną liberią. Należeli do jurysdykcji marszałka, który miał moc za każde przewinienie skarać ich plagami, położywszy na kobiercu, dla różnicy od liberii prostej kondycji, która odbierała takowąż karę rozciągnięta na gołej podłodze. Młodych chłopców i pokojowców za najmniejszą rzecz karano plagami: za słowo w dyskurs pański wmięszane, za odpowiedź albo milczenie niewczesne, za nieochędóstwo około siebie, za plamę na sukni, za niewyczesanie czupryny, za nieoberznięcie pazurów, za nieranne wstanie, za drzymanie wieczorne, za złe opasanie się, za grę w karty lub w kości, za skosztowanie trunku panu lub gościowi podawanego, za kłamstwo w jakiej relacji lub służbie popełnione, zgoła za najmniejszy defekt w obyczajach i manierach, najbardziej zaś za komplementa i umizgi do fartuszka ćwiczono w skórę panów młodych. Marszałek sam był sędzią najwyższym takowych pacjentów i ministrem sprawiedliwości. Czasem też pan, postrzegłszy jakowe wykroczenie, napisał bilet pod pieczęcią do marszałka i posłał go przez winowajcę, który natychmiast porwany na kobierzec, bez wszelkiej justyfikacji nie pozwolonej ani nie słuchanej, odbierał plagi, biletem naznaczone. Czasem mu i nie powiedziano, za co, aby tym sposobem bardziej się strzegł wszystkiego, czego się strzec był powinien, i żeby takowe utajenie przyczyny w większej młodych ludzi utrzymywało karności.

Po wysłużeniu trzech lat, czyli wybyciu tego twardego nowicjatu, pan podczas jakiej gali, publicznie, przy gościach, wyzwoleńca, ubranego już w suknie paradne, niebarwiane, uderzył w gębę, aby pamiętał laskę pańską, przysłał mu potem szablę do boku, wypił do niego kielich wina i ofiarował mu konia z siądzeniem i drugiego z masztalerzem, który już w tę chwilę czekał na dziedzińcu na swego nowego pana; to było całą zapłatą trzechletnią pokojowego i chłopca.

Jeżeli pan chciał go konserwować u siebie za dworzanina, naznaczał mu marszałek stancją wygodniejszą, a pan zasługi innym dworzanom równe. Jeżeli nie chciał go pan mieć w służbie swojej albo on sam nie chciał dłużej służeć, opatrzył go na drogę kilką lub kilkonastą czerwonych złotych i zarekomendował tam, gdzie sobie życzył. Jeżeli zaś nie na pewne, ale na przypadkowe wynosił się miejsce, nie dawano mu żadnej rekomendacji, gdyż pod panowaniem Augusta III listy zaświadczalne, czyli odprawne, dla osób stanu szlacheckiego nie były w zwyczaju, nawet i pospolitej kondycji służącym nie dawano testimoniów, chyba że odprawujący się wyraźnie o nie prosił, to te dawał marszałek dworu.

Gdzie zaś pokojowi trzymali średni stopień między chłopcami i dworzanami, tam ceremonia wyzwolin odprawiała się przy postępowaniu z chłopca na pokojowego, z tego zaś gradusu idąc na dworzanina nie było żadnej ceremonii, miał tylko podwyższone zasługi i stół odmieniony.

Służba takich pokojowych była: prezentować się na pokojach pańskich dobrze ubranym od rana do wieczora, wyjąwszy obiad i wieczerzą, asystować przed karetą na koniu lub pieszo panu jadącemu, w której kalwakacie początek czynili pokojowi, dalszy szereg dworzanie, co też i w pieszej asystencji obserwowano. Pokojowi byli używani do listów wożenia, kiedy te nie miały iść na pocztę, ale przez umyślnego, do spraszania gości do pana na jaki festyn lub obiady i kolacje, do interesów mniejszej importancji, jako to: odwiezienia i odprowadzenia podarunku, od pana drugiemu panu ofiarowanego, na przykład klejnotu, fantu drogiego, konia, psa, karety i tym podobnych rzeczy; do takiej usługi zażywali panowie pokojowców zasłużeńszych i milszych, ponieważ przy takowej okazji oddawający prezent zyskiwał podarunek od pana przyjmującego w fancie jakim lub w pieniądzach. Nareszcie używano pokojowców, a tych śmielszych i sprawniejszych, do wyzywania na pojedynki imieniem pańskim, gdy się pan z panem skłócił i chciał orężem krzywdy pretendowanej dochodzić.

Gdzie zaś nie było takich pokojowych, dworzanie wypisane wyżej komisa wypełniali. Oprócz zaś tych dworzanie sami należeli do asystowania pani, czyli powodowania ją za rękę, do czego pospolicie bywał jeden wyznaczony i zwał się rękodajny. Używani także bywali dworzanie za szyprów do Gdańska ze zbożem i do Królewca, do wołów, koni, owiec, trzody chlewnej i innych produktów, czyli towarów krajowych, które panowie z majętności swoich na sprzedaż do różnych miast wysyłali. I to była taska pańska oraz i sprawności próba. Jeżeli się dobrze popisał, prócz obrywczej, jaką na swoją stronę przedający dworzanin od kupca mógł wytargować, potkała go druga od pana i nowy komis. Jeżeli źle sprawił interes, poszedł w zaniedbanie albo i służbę stracił.

Zasłużonych dworzan dobrze panowie promowowali do fortuny, puszczając im wsie w dzierżawy niskim kontraktem albo też bez kontraktu, do wiernych rąk, albo dożywociem bez opłaty, albo dobrym ożenieniem. Choć tedy dworzanie małą w samej rzeczy brali płacą, wspierani jednak tymi sposobami od panów, którym służyli, przychodzili do znacznej substancji i stawali się słusznymi obywatelami, ale za to na sejmikach, na sejmach, na trybunałach musieli żarliwie stawać przy interesach swoich pryncypałów, jakiekolwiek one były, bądź słuszne, bądź niesłuszne.

Podczas wielkich kompanij dworzanie tak respektowi, jako też płatni mieli ten honor, że mogli pójść do tańca nawet i w pierwszą parę, i właśni ich panowie nie mieli sobie za ujmę powagi iść za dworzaninem swoim w drugą lub dalszą parę. Gdyby zaś pokojowy średni między dworzaninem i chłopcem na pokojach swego pana lub w gościnie wyrwał się do tańca, natychmiast byłby ze służby odprawiony. Niższy zaś, w jednej z chłopcem randze służący, gdyby się odważył tańcować, choćby w ostatniej parze i tylko z jaką panienką, wziąłby bez wszelkiego pardonu korbaczem na kobiercu. Taka była karność dla młodych. Atoli gdy który umiał gładko tańcować kozaka, mazura lub krakowiaka, rozkazywano takowym popisować się z umiejętnością swoją dla uciechy kompanii. Jakoż było się czemu przypatrzeć, osobliwie gdy młodzian i panna dobrali się oboje, gładko takie sztuki tańczący.

Oprócz zaś tych przypadkowych taneczników chowali panowie, osobliwie z ruskich, niemal każdy Kozaka, który grając na bandurze razem tańcował, dziwne skoki i miotania sobą czyniąc. Nad pospolity zwyczaj, dopiero opisany, muszę zostawić w pamięci dwóch panów,

którzy osobliwym sposobem, różnym od wszystkich innych, utrzymowali swoje dwory – dla pokazania różności w geniuszu narodu.

Pierwszym z tych był Teodor książę Czartoryski, biskup poznański; chował on znaczny dwór i żołnierza nadwornego, przy tym wyborną kapelę. Ci wszyscy lokowani byli w wsi Ciążeniu, przy pałacu wspaniałym z oficynami i ogrodem, rezydencji biskupów poznańskich. Marszałkowi jego, Cedrowskiemu nazwiskiem, służył ten dwór cały, kuchnia, piwnica i kapela obowiązana dwa razy w tydzień grać koncerta do stołu dla egzercytacji i tańce zawsze, wiele razy marszałek chciał bądź domowych, bądź gości zabawić tańcem. Dworzanie tak respektowi, jako też służący nie mieli żadnej powinności, jak tylko usieść do stołu i najadłszy się bawić, czym się któremu podobało. Zapłata, obroki, piwo, drwa, wszystko to punktualnie każdego, od największego do najmniejszego, dochodziło; miał w tym ten pan osobliwe jakieś upodobanie żywić ludzi, nie patrząc na nich.

On zaś sam mięszkał w Dolsku, miasteczku siedym mil odległym od Ciążenia, o jednym dworzaninie, który zawiadował ludźmi i końmi, o dwóch lokajach, o dwóch hajdukach, o jednym strzelcu, o jednym kucharzu z kuchtą, o jednym cugu koni. Kiedy chciał dać jaką uroczystość obywatelom przyjaciołom (co się bardzo rzadko trafiało), pisał do marszałka, a ten z taką partią dworu, jaką chciał mieć pan, przyciągnął do Dolska i po odbytej gali powracał do Ciążenia, w którym wyśmienicie sam sobie służył.

Gdy biskup miał być w Warszawie na sejm lub na inną jaką publikę, przydłuższej rezydencji potrzebującą, na trzy niedziele przed swoim wyjazdem kazał ruszyć dworowi, który traktem prostym z Ciążenia, wygodnie w karetach pańskich paradnych, wolnym krokiem ciągnął do Warszawy, a pan innym traktem, swoim szczupłym ekwipażem, bo tylko jedną karetą i jednym kuchennym wozem, pospieszał rączego albo czasem pędził pocztą. Po wyjeździe pańskim z Warszawy regularnie dwór jego nie ruszał się prędzej aż we dwie niedzieli, biorąc sobie czas do ułożenia się i przygotowania w podróż takim porządkiem, jakim przybył do Warszawy, powracając do Ciążenia. Jeżeli zaś wypadło biskupowi na krótki jaki czas dopaść do Warszawy, obył się swoim lekkim pojazdem i usłużeniem, nie fatygując wielkiego, ciężkiego i rozkosznego dworu.

Drugi był Jerzy Fleming, podskarbi wielki litewski; ten cały dwór swój miał przy sobie i gdy z dóbr jechał do Warszawy, ciągnął z całym dworem albo zsączonym, albo też na partie, jedna po drugiej dzień za

dniem następujące, podzielonym. Ale że to był z urodzenia Niemiec, indygena polski, nie lubił Polaków, tylko tyle, ile mu ich lubić interesa kazały. Dla czego, iż mu należało mieć przyjaciół między szlachtą, konserwował za dworzan szlacheckich synów obywatelskich, ujmując sobie tym sposobem szlachtę i czyniąc popularność. Regestr tych dworzan był u niego wielki, ponieważ ich do stu i więcej liczono. Ale żadnego nie trzymał przy boku swoim; dawszy któremu u siebie służbę, zapisał w regestr dla pamięci, naznaczył pensją, wicht i furaż dla koni i z takową asygnacją odesłał do którego klucza dóbr swoich. Tam osadzony dworzanin nie miał więcej do czynienia, tylko wypasać siebie i konie swoje oraz handlować nimi. Czasem też używał ich do pomocy swoim gubernatorom, ekonomom i innym oficjalistom w interesach granicznych i jarmarkowych. Kiedy zaś miał jaki interes na sejmik albo na trybunał, albo na sejm, potrzebujący forsy, wtenczas rozpisywał listy do swoich dworzan, aby się do niego tam a tam zjeżdżali. Gdy dworzanin stanął przed nim (ponieważ mało którego znał), pytał się go, kto jest? a gdy mu dworzanin opowiedział, że jest jego sługa z tej a tej majętności, szedł do regestru, a tam znalazłszy prawdę, odesłał go do marszałka, aby mu dał kwaterę i wszelką wygodę; po skończonej potrzebie każdy znowu dworzanin powracał do swego siedliska, z którego przybył.

Przy boku swoim nie miał, tylko dwóch Polaków: jednego marszałka, drugiego sekretarza; reszta oficjalistów składała się z Niemców. Marszałka miał Polaka, stosując się do zwyczaju krajowego, który jeszcze dotąd na tym urzędzie poważnym – dla uniknienia nienawiści u szlachty i utajenia ducha, wzmagającego się w Polakach, cudzoziemskiego nie cierpiał Niemców; sekretarza Polaka dla języka polskiego w pisaniu listów. Z marszałkiem swoim miał kontrakt stołowy, któremu płacił co miesiąc tysiąc czerwonych złotych na wszelką ekspensę kuchenną bądź w domu, bądź na publice. Takim sposobem miał urządzoną i obrachowaną ekspensę stołową i inne wszystkie ordynaryjne wydatki, z których lubo się mogło co okrawać zawiadowcom, ale już nic więcej szarpać szkatuły pańskiej nie mogli, i żeby sami nie szkodowali, pilnie doglądać musieli, aby nic na stronę nie szło ani się nie marnowało, jak bywało po innych dworach, gdzie takowej ustawy nie znano. Gdyby zaś który oficjalista dla zysku swego nadrabiał skępstwem, ujmującym tego, co gdzie należało, straciłby służbę. Ale się taki przykład u Fleminga nie trafiał, bo i w osobach na funkcje wybieranych wielką miał Fleming przezorność.

O stołach i bankietach pańskich

Panowie tak w domach, jak na publicznych miejscach przebywając kochali się w wielkich stołach, dawali sobie na publice nawzajem obiady i wieczerze; do tych zapraszali przyjaciół, obywatelów, wojskowych i sędziackich; w domach zjeżdżali się do nich pobliżsi sąsiedzi; rzadki był dzień bez gościa; częste biesiady z tańcami i pijatyką. W całym kraju pędzono życie na wesołości i lusztykach, wyjąwszy małą garsztkę skromnych w napoju. Stoły zastawiano wielkimi misami, które u wielkich panów były srebrne, u mniejszych prócz wazów i serwisów cynowe, talerze także podług pana srebrne albo cynowe.

Od połowy panowania Augusta III nastały talerze farfurowe, dalej porcelanowe, nareszcie cała służba stołowa składała się u wielkich panów z porcelany: wazy, serwisy, misy, półmiski, salaterki, talerze, solniczki, karafinki, trzonki nawet u nożów i widelców porcelanowe; ale że ta materia była natenczas droższa od srebra, a przy tym prędkiemu stłuczeniu podległa, przeto bardzo rzadko się z nią popisowano, chyba w dni bardzo uroczyste. Łyżki do jedzenia pospoliciej srebrne, po niektórych zaś dworach, niezbyt wykwintnych lub mniej dostatnich, albo u tych panów, którzy zwykli dawać otwarte stoły i którzy często nie znali swoich stołowników, na pośrodek stołu, gdzie mieścić się miały dystyngwowane osoby, kładziono łyżki srebrne i talerze takież albo za wprowadzoną modą farfurowe lub porcelanowe, po końcach zaś, do których tłoczył się, kto chciał i kto się mógł zmieścić, dawano łyżki blaszane lub cynowe i talerze takież. Nożów i widelców u wielu panów nie dawano po końcach stołu, trwał albowiem długo od początku panowania Augusta III zwyczaj, iż dworzanie i towarzystwo, a nawet wielu z szlachty domatorów nosili za pasem nóż, jedni z widelcami, drudzy bez widelców, inni zaś prócz noża za pasem z widelcami miewali uwiązaną u pasa srebrną, rogową lub drewnianą – z cisu, bukszpanu lub trzmielu wyrobioną – łyżkę w pokrowcu skórzanym, u niektórych srebrem haftowanym; przeto polo taka moda trwała, miano za dosyć pośrodek stołu opatrzyć łyżkami, nożami i widelcami, wiedząc, że ci, którzy zasiędą końce stołu, będą mieli swoje noże i łyżki na pańską pieczenią, barszcz i inne kawały. Jeżeli zaś który nie zastał u stołu łyżki gospodarskiej i swojej nie miał, pożyczał jeden u drugiego, skoro ten, rzadkie zjadłszy, do gęstego się zabrał, albo zrobił sobie łyżkę z skórki chlebowej, zatknąwszy ją na nóż, co nie było poczytane za żadne prostactwo w wieku wykwintnością francuską

stactwo w wieku wykwintnością francuską nie bardzo jeszcze zarażonym czyli też nie wypolerowanym.

Serwety także i odmienianie talerzy za każdą potrawą nie zaraz nastało; a gdy nastało, to oboje najprzód tylko używane było do środka stołu nie zasięgając końców, przy których stołownicy obywali się jednym talerzem; a gdy ten już był napełniony ogryzkami i kościami, podawali go posługaczowi jakiemu, aby zruciwszy gdzie w kąt owe gnaty, czymkolwiek talerz ochędożył lub – w niedostatku rychłego posługacza – sami nieznacznie pod stół objedzmy zrucając, talerz sobie do innych potraw uwalniali i chlebową skórką czyścili. Jest w tej okoliczności bajeczka czyli też prawdziwy trafunek, że jeden dominikan, zaproszony na bankiet, nauczył chłopca świeżo ze wsi przyjętego, jak siędzie u stołu, aby mu za każdą potrawą talerz pięknie ścierał; siadając do stołu wypuścił szkaplerz za stołek, żeby go przysiadłszy nie zgniótł. Chłopiec, który rozumiał, że ten kawał wiszący na panu był nagotowany do ścierania talerzy, za każdym podaniem talerza ścierał go owym końcem wiszącym, a gdy go należycie zafolował i utłuścił, przestrzegł dominikana: „Dobrodzieju, obróćcież ręczniczek z przodu w tył, bo się już ten koniec zabrudził."

Komu się nie dostało serwety, zasłonił się chustką od nosa, choć czasem utabaczoną, co nic gospodarza domu ani wspólników bankietu nie obchodziło. Z jednej szklanki pili za koleją lub z jednego puchara, nie brzydząc się kroplami napoju, które z wąsów jednego spadały w puchar podawany drugiemu. Biała płeć nawet nie miała mierziączki przytykać swoich ust delikatnych do puchara, w kolej idącego, po wąsach uszarganych. Jak zaś nastały kielichy szklanne i kieliszki, nastała zarazem i obrzydliwość cudzej gęby. Kto spełnił kielich, nim go drugiemu podał, wytarł go czysto serwetą, dalej zaś za ochędóstwem postępującym w górę przepłukiwano go po każdym pijącym wodą w kredensie, kieliszki zaś małe do wina stawiano z osobna przed każdego tudzież butelkę z winem i wodą i szklankę do niej przed każdą osobę. Jeżeli kto żądał piwa, to na tacy roznoszono w szklankach dla siedzących u stołu.

Gdy zaś ta moda nastała, już wtenczas przy całym stole od końca do końca kładziono talerze, serwety, noże i widelce, za każdą potrawą odmieniano talerze, a nawet noże i widelce, przepłukując je w wodzie. Do brania potraw z wazów i półmisków były osobne łyżki duże, także do rozkrawania pieczystego osobne noże i widelce. Na ostatku, aby na niczym nie zbywało wykwintności, na każdym talerzu kładziono po

kilka drewienek bukszpanowych, cienko i kończysto zastruganych, do wykulania zębów, których drewienek w Warszawie kopę płacono noremberczykom po dwa tynfy, to jest po dwa złote dzisiejsze i po groszy miedzianych szesnaście. Te drewienka wolno było każdemu zabierać do swego sztućca, czyli jak go nazywano, zębodłuba; drewienka zaś same nazywano iglicami, z podobieństwa do takiego narzędzia. Do wielkiego stołu od osób kilkudziesiąt wyszło takich iglic kopa jedna i druga; na każdy publiczny obiad kupowano świeże, ponieważ jedne goście rozebrali, drugie mniej dbający służący na koszt pański za mało poczytany, sprzątając ze stołu bez uwagi na te fraszki, rozproszyli lub między siebie rozebrali, ponieważ o zginienie ich żadnego nie było pytania. Liberia służyła do stołu, podając i odbierając talerze przez serwetę, ażeby golą ręką niezgrabną na czas lokaj lub hajduk pieszczonemu smakowi nie sprawił obrzydzenia. Toż samo zachowywał kuchmistrz, zastawiający stół potrawami, i roznoszący półmiski lokaje, o czym będzie niżej przy opisie potraw i sposobie nimi częstowania.

O potrawach staroświeckich

W pierwszym zwyczaju staroświeckim, na początku panowania Augusta III jeszcze trwającym, nie było zbyt wykwintnych potraw. Rosół, barszcz, sztuka mięsa, bigos z kapustą, z różnego mięsiwa kawalcami, kiełbasą i słoniną, drobno pokrajanymi i z kapustą kwaśną pomięszanymi, i nazywano to bigosem hultajskim; dalej gęś gotowana z śmietaną i z grzybkami suszonymi, w kostkę drobną pokrajanymi, kaszą perłową zasypana; gęś czarna, którą u pomniejszych panów zaprawiano tak: kucharz upalił wiecheć domy na węgiel, w niedostatku czystej z bota czasem naprędce wyjęty, przydał do tego łyżkę lub więcej miodu praśnego, przylał podług potrzeby jakiego octu mocnego, zmięszał z ową słomą spaloną, zasypał pieprzem i imbierem, a zatem stała się gęś czarna, potrawa dobrze wzięta owych czasów i podczas największych bankietów używana. Nicht mi nie zada, iż taką przyprawę słomianą zmyśliłem na wyszydzenie staroświecczyzny, kiedy sobie wspomni na tarnosolis, płatki, których po dziś dzień kucharze do farbowania galaret i cukiernicy do farbowania cukrów używają; wszak te płatki są to zdziery starych koszul i pluder, które gaciami zowią, płóciennych; jeżeli mi nie wierzy, niech sobie ich każe dać funt w korzennym sklepie, znajdzie między tymi płatkami kołnierze od koszul i paski

od gaci. Jeżeli powie, że te płatki, nim poszły do farby, wprzód musiały być czysto wyprane, to też uważyć powinien, że ogień, którym stoma do gęsi była palona, bardziej wyczyszczał wszelkie brudy niż woda płatki.

Dalsze potrawy: flaki, czasem żółto szafranem zaprawne, osobliwie w województwie sendomirskim, od których i od cielęciny, tymże szafranem zaprawianej, nazywano ich żółtobrzuchami, czasem bez szafranu, w białym sosie mąką zaklepanym; cielęcina szaro, cielęcina biało ze śmietaną, kury, kurczęta, gęsi rumiano, indyki, kapłony, bażanty, baranina z czostkiem, prosięta, nogi wolowe na zimno z galaretą, wędzonka wołowa, a w Wielkiej Polszcze barania i wieprzowa. Wszystko to rozmaitymi smakami, do których zwyczajne zaprawy były: migdały, rozenki, kwiat, goździk, gałka·, imbier, pieprz, szafran, pistacje, pinele, tartofle, miód, cukier, ryż, cytryna, ale bardzo jeszcze natenczas mało, jako droga, bo od tynfa jedna sztuka najtańsza; nadstawiano kwasu potrzebę octami; dalej jeszcze: kiełbasy, kiszki z ryżem i wątrobne; toż zwierzyna: zające, sarny, jelenie, daniele, dziki, przepiórki, kuropatwy, kaczki dzikie, ciećwierze, ptaszki drobne, pasztety, pardwy na Rusi; z tymi mięsiwami łączyli warzywa ogrodowe, jako to: marchew, pasternak, rzepę, buraki i kapustę słodką. Takowe potrawy dawano na pierwsze danie i było to wszystko gotowane i przysmażane; gdy zaś takie było, zwab się po francusku: rugu, frykasse. Na drugie danie stawiano na stół takież mięsiwa i ptastwo pieczone, na sucho całkowicie albo też jakim sosem podlane.

W tych zaś wszystkich potrawach najbardziej przestrzegano wielkości, tak iż półmiski i misy musiały być czubate. Między pomienione pieczyste z mięsa stawiano także torty i ciasta francuskie, które jeszcze dotąd widujemy, ale te ciasta owych czasów dla nie wydoskonalonej sztuki kucharstwa były bardzo ciężkie i grube względem teraźniejszej delikatności onych. Nie dobierano do nich masła młodego, ale owszem starego, czasem aż zielonego, albowiem takie było sporsze, dając więcej czucia swego, choć w mniejszej kwocie użyte niż młode; do tego każdy zbytek w początkach swoich ogląda się na dawniejszą oszczędność, z której występuje. Język też inaczej nie poznaje delikatności smaku, tylko przez używanie coraz łagodniejszych potraw; więc kiedy nie kosztował tortów i ciast francuskich, z młodym masłem pieczonych, przyjmował z gustem i pieczone z starym ciasta, jako nowe specjały, lepsze od klusków i pierogów.

Między półmiski, rozmaitym ptastwem i ciastem napełnione, podług wielkości stołu stawiano dwie albo trzy misy ogromne, na kształt piramidów z rozmaitego pieczystego złożonych, które hajducy we dwóch nosili, boby jeden nie uniósł. Te piramidy na spodzie miały dwie pieczenie wielkie wołowe, na nich położona była ćwiartka jedna i druga cielęciny, dalej baranina, potem indyki, gęsi, kupiony, kurczęta, kuropatwy, bekasy; im wyżej, tym coraz mniejsze ptastwo. Z tych piramid, jako też mis i półmisków, goście sprawniejsi do krajania za prośbą gospodarza brali przed siebie owe pieczyste, rozbierali, częstowali w kolej siedzących u stołu i nie przepominając zostawić dla siebie najlepszej sztuczki, po obczęstowaniu wszystkich sami jedli.

Tak w pierwszym, jak w drugim daniu wszystkie mięsiwa i ptastwo szły do garka, rondla lub na rożen w przyrodzonej istocie swojej albo całkowite, albo też na sztuki rozebrane. Zobaczemy niżej, jak kucharska sztuka, wydoskonalona z czasem, potrafiła robić z jednych ciał drugie, dając na przykład pieczeni formę karpia albo szczupaka i tam dalej.

Trzecie danie składało się z owoców ogrodowych i cukrów rozmaitych na talerzach i półmiskach, między które stawiano z cukru lodowatego misternie zrobione baszty, cyfry, herby, domy, dragantami zwane, które biesiadujący łamiąc burzyli. Postne obiady tymże szły porządkiem, co i mięsne; a że wtenczas Polacy ściśle zachowywali posty, nie obaczył u żadnego pana na stole maślanej potrawy, ale wszystkie z oliwą lub olejem, który wybijano z siemienia lnianego, konopnego, z maku i migdałów.

O potrawach nowomodnych

Skoro się nacisnęło do Polski kucharzów Francuzów i rodacy wydoskonalili się w kucharstwie, zniknęły potrawy naturalne, a nastąpiły na ich miejsce jak najwykwintniejsze, jako to: zupy rumiane, zupy białe, rosoły delikatne, potrawy z mięsiw rozmaitych komponowane, pasztety przewyborne. Zaprawy nie wystarczały z korzennych sklepów; brano z aptek spirytusy, esencje i olejki drogie, zapachu i smaku przydające i apetyt rozdrażniające. Gęś czarna wyszła z mody; nie dawano jej, chyba na obiadach pogrzebowych albo w partykularnych domach; a gdy się kędy na stole pokazała, kolor jej dawano nie ze słomy palonej, ale z miodowniku, dodawszy do niego cytryn zamiast octu, cukru, goź-

dzików. Miód praśny powszechnie ze wszystkich kuchniów pańskich i szlachty majętnej został wywołany, na jego miejsce nastąpił cukier. Cytryny były już powszednie i gdzie przedtem nadrabiano octem, tam potem robiono kwasy z cytryn, a jeżeli dla oszczędności przymięszywano octu, to samego winnego, i to w małej kwocie. Żaden kucharz nie miał się już za dobrego, jeżeli musiał gotować bez cytryny.

Pistacje i pinele wyszły z mody, a nastały na ich miejsce kapary, oliwki, serdele, tartofle i ostrygi marynowane. Wina także zaczęto używać do potraw, które miały być [z] ostrym sosem, mianowicie zaś szafowano nim do ryb, o których zaczęto już powoli trzymać, że szkodzą zdrowiu ludzkiemu, sprawujące w nim przyrodzoną wilgotnością swoją wielość flegmy. A przecięż starzy Polacy byli mocniejsi od dzisiejszych i mieli w sobie więcej ognia, choć jadali ryby w wodzie gotowane. Łososia świeżego u panów wykwintniejszych gotowano w samym winie burgunskim, przecięż w samej rzeczy nie był on lepszy od gotowanego w wodzie, chyba przez imaginacją. Nic to było kucharzom wielkich panów do jednego obiadu na kilkadziesiąt osób zepsuć kopę cytryn, których dawniej kilka do takiegoż obiadu wystarczyło, bo kucharz jednę cytrynę wypotrzebował do potrawy, a dwie schował do kieszeni. Toż samo działo się z winem, którego część do potrawy, a dwie części wlał kucharz do gardła. I gdy kucharz wołał wina do ozora, prawdę mówił, że go potrzebował do ozora, ale do swego, nie do wołowego. Niechżeby mu nie dodano czego podług jego woli, z umysłu zepsuł potrawę udając, iż nie miał zadosyć ingrediencyj, których do takiego smaku potrzebował.

Oprócz sztuki mięsa, którą gotowano w samej wodzie z pietruszką i solą, inne wszystkie potrawy nalewano sokiem, z mięsiwa rozmaitego wygotowanym. Ten sok po kucharsku zwał się alabrys; robiono go tak: w wielki kocioł, w każdej kuchni będący, nakładł kucharz całą goleń wołową, z mięsa nieco ogołoconą, w sztuki porąbaną, a jeśli miał być wielki obiad, to przyłożył pieczenią jednę i drugą, ćwiartkę cielęciny, ćwiartkę baraniny, kapłona jednego i drugiego, słoniny niesłonej karwasz, pietruszki, selerów, porów, marchwi; to wszystko wrzało bez soli w owym kotle, aż się mięsiwa od kości oddzieliły. Tym sokiem dopiero nalewali potrawy w osobnych rondlach gotowane, przyprawując je rozmaitymi kondymentami wyżej wypisanymi i solą.

Drugi wymysł był farsz, to jest siekanka z łoju wołowego, z cielęciny, z kapłona, z chleba tartego, jajec, masła, gałki muszkatołowej, pieprzu, imbieru i innych kurzeniów; tym farszem nadziewano mostki

cielęce i baranie, prosięta, kapłony, kury, które nazywano pulardami. Dosyć wyrazić, że tyle mięsiwa, ile go psuli kucharze na sosy i siekanki, wystarczyłoby przedtem na cały suty obiad, a przecięż lubo tak wiele mięsiwów i ptastwa brano do kuchni, na stole mało tego znać było. Wyszły z mody wielkie półmiski i głębokie, nastały małe, okrągłe i płaskie; salaterki jeszcze mniejsze; misy nie służyły już więcej, tylko do sztuki mięsa i pieczeni albo ptastwa wielkiego, gęsi, indyka, głuszca. Byłoby grubiaństwem i obrzydzeniem, gdyby na jednę misę położono dwie pieczenie albo dwóch indyków; półmiski także nie były zawalone, ale tak tylko, żeby potrawa samo dno zajmowała, przeto jeden kapłon, jedna kura, para kurcząt lub para kuropatw dosyć była na półmisek każdy z osobna, mając to za jakąś pewność, że wielkość potrawy psuje do niej apetyt. Nie uważano za tym, choć się tej i owej potrawy nie każdemu dostało, gdy natomiast liczba potraw, do sześćdziesięciu i więcej na jedno danie stawiana, nadgradzała szczupłość onych; a do tego gdy rosoły, zupy, sztuka mięsa i pieczenia w tej obfitości były zastawiane, żeby się z nich każdemu choć po trosze dostało. Moda też wprowadzona razem z nowymi potrawami ostrzegała gości, ażeby się nie bardzo potrawami obkładali, kosztując bardziej tej i owej po trosze niżeli jedząc, chociaż drugi, dobry mający apetyt, dla tej mody wstał głodny od stołu, co się najwięcej wstydliwej białej pici i galantom francuskim przytrafiało.

Kończąc o potrawach nowomodnych, to jeszcze przydać należy: kucharze przedni dla pokazania swojej doskonałości wyjmowali sztucznie z kapłona lub z kaczki mięso z kościami, sarnę skórę w całości zostawując, to mięso posiekawszy z rozmaitymi przyprawami kładli nazad w skórę zdjętą, a powykrzywiawszy dziwacznie nogi, skrzydła, łby, robili figury do stworzenia boskiego niepodobne; i to były potrawy najmodniejsze i najgustowniejsze.

Rybne obiady tymże sposobem dawali jako i mięsne: jednę połowę ryb rozmaitych gotowali w kotle na smak z przydatkiem rozmaitej zielenizny wyżej opisanej, w tym smaku dopiero gotowali ryby, które się miały prezentować na stole, przeto były arcysmaczne. Niektórzy kucharze, żeby się lepiej popisali z doskonałością swoją, gotowali ryby w sosie mięsnym, a do karpia kładli na spód słoninę, czyniąc to wtenczas, kiedy nicht nie widział, i na wydawaniu kryjąc zdradę, aby nie była postrzeżona. Wszakże doszli tego z czasem, iż rybi smak, czyli ekstrakcja z ryb wygotowanych, przydana rybie mającej pójść w swojej

całkowitości na stół, smaczniejszą ją czyniła niż zaprawioną sosem mięsnym albo słoniną.

Ciasta także francuskie, torty, pasztety, biszkokty i inne, pączki nawet – wydoskonaliło się to do stopnia jak najwyższego. Staroświeckim pączkiem trafiwszy w oko, mógłby go był podsinić, dziś pączek jest tak pulchny, tak lekki, że ścisnąwszy go w ręku, znowu się rozciąga i pęcznieje jak gąbka do swojej objętości, a wiatr zdmuchnąłby go z półmiska.

Stawiano na stole przed potrawami w mięsne obiady jednę i drugą parę śledzi surowych na talerzach; tego panowie przed wszystkimi potrawami jedli po dzwonku lub mniej, a to dla zaostrzenia apetytu, jak mieli podanie od doktorów, którzy z obżarstwa panów spodziewając się chorób, doradzali im to, co psuło zdrowie, aby mieli kogo leczyć.

Kucharz dawny u wielkiego pana już to dobrze był zapłacony na rok trzema set tynfów, co uczyni na dzisiejszą monetę złotych 380, i był razem kucharzem do warzonego i do pieczystego. Późniejszych zaś lat zdrożała ta profesja. Najmniej dobremu majstrowi, który był wyzwolony, trzeba było dać na miesiąc czerwonych złotych pięć, sześć, aż do ośmiu, kiedy był przedni majster. Różnica także nastała między kucharzami; jedni byli z nich do gorących potraw, to jest do warzonego, i ci byli drożsi, drudzy do pieczystego, i ci byli tańsi; nazywali się pasztetnikami, lubo nie do samych tylko pasztetów należeli, ale do wszelkich potraw z pieca wychodzących, jako to: torty, ciasta, legominy, mięsiwa i zwierzyny, które przemysł kucharski nie w rondlu ani na rożnie, ale w piecu przyprawiał. Dalej jeszcze panowie polscy, powracający z cudzych krajów, przywieźli z sobą montkochów, to jest górnych kucharzów. Ci montkochowie nie mieli do siebie ciżby od miernych panów, mieścili się rzadko gdzie po najpryncypalniejszych kuchniach, gdyż to już był zbytek nad zbytkami; montkoch brał na miesiąc dukatów 12; przyjmując służbę wymawiał sobie, żeby nie należał do wszystkiej roboty kuchennej, tylko do tylu potraw, do wielu się zgodził, najwięcej do sześciu, i to dla samego pana; a gdy ten nie miał być u siebie na obiedzie, montkoch nie zajrzał do kuchni, choć w niej dla innych domowników albo familii pańskiej obiad gotowano; przysławszy do kuchni po swoją porcją, siedział w domu albo się spacerem bawił. Potem montkochowi musiało być nagotowane wszystko pod rękę, co on miał gotować, tak żeby nie miał więcej pracy, tylko włożyć w rondel i z niego wyłożyć na półmisek, a potem umaczawszy palec w sosie i oblizawszy, powiedzieć: „Bon sos." Co też i kuchmistrzowie

przy zastawianiu stołów robili, rekomendując jaką osobliwą potrawę i naprawując do niej apetyt tym sposobem.

Zastawione potrawy zbierano po jednej z stołu, krajano na kredensie i pokrajane obnosili lokaje i hajducy dokoła stołu, aby nicht nie miał przyczyny sięgać przez trzeciego do półmiska albo prosić o niego drugiego.

Nie ustępując nasi Polacy w niczym Włochom i Francuzom, nawykli powoli, a dalej w najlepsze specjały obrócili owady i obrzezki, którymi się ojcowie ich jak jaką nieczystością brzydzili. Jedli żaby, żółwie, ostrzygł, ślimaki, granele, to jest jądrka młodym jagniętom i ciotkom wyrzynane, grzebienie kurze i nóżki kuropatwie (same paluszki nad świecą woskową przypiekane), w których sama tylko imaginacja jakiegoś smaku dodawała, sałaty, ogórki, musztardy i inne surowizny, które dawano do stołu do sztuki mięsa i pieczeniów. Te nie należały do kuchni, ale do kredensu, i stawiano to na stole razem z serwisem.

O porządkach i cukrach stołowych

Serwis była to machina srebrna, na łokieć wysoka, na trzy ćwierci łokcia w dnie szeroka, u góry węższa, z czterech balasów prostych albo wyginanych w esy złożona, które wiązały się z sobą poprzecznimi baleczkami lub esami. Na tych kolumnach osadzony był kosz srebrny misterną robotą, w który kładziono cytryny, albo nawa do tejże potrzeby służąca. Nad koszem lub nawą unosiła się kopuła, orła z rozpiętymi skrzydłami albo jakiego geniusza dźwigająca, czasem zaś sam kosz lub nawa z cytrynami składały wierszch serwisu; niżej kosza między kolumnami były cztery obrączki między sobą związane, do baleczek poprzecznich przylutowane, w każdej z tych obrączek stała wetchnięta bańka misterna z nakrywadłem, srebrna albo też kryształowa, srebrem w kilkoro obwiedziona; te bańki, nazywane karafinkami, dlatego osadzane były w cyrkuły, czyli obrączki, ażeby nie podlegały nieostrożnemu wywróceniu. Służyły zaś do octu, oliwy, cukru na mąkę stłuczonego i musztardy, których ingrediencyj panowie zażywali, gdy sami sobie na stole sałatę zaprawić lub jakiej potrawie smaku lepszego podług dotchliwości języka swego° przydać chcieli, musztardę zaś brali do sztuki mięsa i kiełbasy pieczonej, z którą kiełbasę sądzili być zdrowszą i smaczniejszą. To jedna sztuka serwisu. Druga była – spód: a tą była tafla drewniana, srebrnym gzemsem oprawna, niskie nożki

sześć, cztery mająca lub też bez nożek, na której tafli stawiano ową pierwszą sztukę.

U niektórych panów cała tafla była blachą srebrną powleczona; na tej tafli po brzegach między kolumnami stawiano cztery małe naczynia srebrne, solniczkami z polska, salserkami z francuska zwane, dwie z solą, dwie z pieprzem, aby sobie każdy doprawił potrawy do swego gustu, jeżeli się mu która niedosyć słona lub nie dosyć pieprzna wydawała. W bańce z musztardą była łyżeczka proporcjonalna do bańki, z trzonkiem zakrzywionym, głęboka jak wiaderko, srebrna, w środku wyzłacana; w każdej znowu salserce, czyli solniczce, tkwiała maleńka szufelka srebrna, w swojej gębie wyzłacana, do nabierania soli albo pieprzu. Bańka cukrowa miała przykrywadło szparowate albo dziurkowate, którędy sypał się cukier bez otwierania przykrywadła. Bańki z oliwą i octem kto potrzebował, odkrył przykrywadło i nalał sobie likworu łatwo ciekącego. Że zaś musztarda, jako gęściejsza, nie tak łatwy ciek miała, dlatego do niej przydawano łyżkę, bez której nalewający musztardy alboby za zbytnim nachyleniem bańki razem wiele nalać, albo za małym długo by ciągnącej się masy powoli czekał.

Takich serwisów na wielkie stoły stawiano po dwa i po trzy; na małe po jednemu, do małych zaś w cale stołów były serwisiki dużo od pierwszych mniejsze, zwały się menazikami i nie miały więcej sztuk w sobie jak dwie albo cztery bańki, srebrnymi obrączkami i cyframi połączone, z koszykiem na dwie lub trzy cytryny, dla kształtu raczej niż dla potrzeby, ponieważ gdy tych potrzebowali stołownicy, osobliwie przy jedzeniu ostrzygów, dodawano ich z kredensu na talerzach, tak u wielkich, jak u małych stołów. Salserki zaś rozstawiano tu i ówdzie po stole. Cukier na talerzu, a musztardę, gdy była potrzebna, w flaszce szklannej bez ceremonii przyniesiono, ponieważ w małej kompanii prędko się mogła obejść kolej musztardy albo nie od każdego potrzebowanej.

Prócz serwisu paradowały jeszcze na stołach pańskich w gorące czasy kufle srebrne bez uchów, w które stawiano butelki z winem i wodą, a potem obkładano lodem dla utrzymania zimna w napoju. Takich kuflów liczbę miarkowano i stawiano na stoły podług liczby służby stołowej, na wiele osób był stół nakryty, miarkując jeden kufel na dwie osoby. Jednym słowem stoły się uginały pod ciężarem srebra, gdy na jednym stole w wazach, misach, półmiskach, talerzach, salaterkach, nożach, widelcach, serwisach i kuflach można go było rachować na pięćset i więcej grzywien. I że już ten przepych opanował wszystkich,

nie mający dostatkiem panowie sreber pożyczali ich jedni od drugich, byleby tak jak inni swoje stoły pokazali srebrem zastawione.

Przy wszelkich konceptach do wymyślności smaku użytych długo Polacy nie mieli sposobu utrzymania potraw w cieple. Nim się kuchmistrz wyguzdrał z swoją symetrią potraw, które wprzódy na stole kuchennym niż na pańskim ustawiał, przypatrując się jakby najgłówniejszy fizyk koneksjom i powinowactwom potraw, tymczasem wszystko pokrzepło; a jeżeli jeszcze cokolwiek ciepło na stół pański zaniesione zostało, to do reszty wystygło, nim panowie zasiadający do stołu proces, indukty, repliki, rerepliki i juramenta względem miejsc pierwszeństwa skończyli. Więc zasiadłszy, następowała remisa zimnych potraw do kuchni dla rozgrzania, a ta, będąc przewlokła, psuta i przerywała apetyt. Trafiało się i to, że potrawa odesłana do kuchni więcej nie powróciła na stół i czasem w sprawnych rękach jakiego służalca, na czas i domowego, ile w zamięszaniu, z półmiskiem przepadła. Końcowi zaś stołownicy, mając gorące żołądki, zmiatali, choć na zimno, przed sobą potrawy postawione. A tak panowie, środek stołu trzymający, albo też, choć na zimno, jeść musieli, albo czekając za rozgrzaniem, widzieli koniec obiadu wtenczas, gdy go zaczynali. Myśląc tedy długo nad taką nieprzyzwoitością, nareszcie wymyślili fajerki srebrne; te stawiano na stoły w zimne czasy, nalane spirytusem, który dodając ognia, nie czynił dymu. Dopiero po takim wymyśle jadali ciepło, postawiony albowiem półmisek na fajerce, w momencie się rozgrzał, tak jak trzeba było.

Żeby też i od talerzy zimnych nie krzepły potrawy i żeby farfurki zimne nalane ciepłą potrawą nie pękały, co im było zwyczajno, rozparzano ich wprzód w ciepłej wodzie i z tej na stół wyjmowano, lubo i to naczyniu kruchemu niewiele pomagało; od jakiegokolwiek gradusu ciepła lub zimna większego, niż miały w sobie, pękały talerze farfurowe, ale że na nich czyściej było jeść niż na srebrnych, przeto nie żałowano na nie kosztu i czym przedniejsze, tym drożej płacono. Tuzin ordynaryjny farfurek płacił się po złotych sześć, lepszy drożej, aż do czerwonych złotych dwóch.

Do sreber stołowych, acz te nie stały na stole, należały srebra kredensowe, te zaś były: wanny srebrne do zmywania talerzy, konwie wielkie do piwa i puchary staroświeckie, mało co już pod panowaniem Augusta III do napojów używane, wyjąwszy limoniadę i kaliszan, które w nich robiono. Limoniada znajoma jest po dziś dzień. Kaliszan zginął, więc go opisać dla wiecznej rzeczy pamięci – ad perpetuam rei memoriam. Była to mięszanina z piwa, z wina francuskiego, z soku cytryno-

wego, cukrem osłodzona i chlebem utartym zakruszona. Tym się chłodzili z rana po wczorajszym przepiciu albo raczej wzniecali gorączkę do nowego pijaństwa. Takiego kaliszanu czasem i przy konkluzji pijatyki zażywano, gdy już wino mierznąć pijącym poczęło. Przytoczyłem trochę o pijaństwie z okazji pucharów, doniosę więcej o nim w swoim miejscu, skończywszy o stołach.

Nim cukry modne nastały, stoły wielkie bywały wąskie, na półtora łokcia szerokie, na dwanaście długie, na nogach warownych albo, jak zwano, ligarach krzyżowych stawiane; kiedy potrzeba było dłuższego stołu, składano takich dwa do kupy albo do jednego, tak lub mniej długiego, przystawiano dwa krótsze po końcach.

Skoro zaś nastały cukry nowomodne, już takie stoły wąskie nie służyły, albowiem te cukry znaczną część stołu zastępowały. Więc porobiono stoły szersze a krótsze, czyli raczej tafle na trzy łokcie szerokie i na tyleż długie, na nogach prostych, lisztwami u góry i dołu spajanych, osadzane. Takie tafle przystawiając jednę do drugiej, robił się stół równy, tak długi, jak długiego potrzebowano, i był sposobniejszy do uprzątnienia niż owe długie, dwunastołokciowe.

Długo przed obiadem cukiernik zastawił cukry, zajmując nimi sam środek stołu. Te cukry składały się najprzód z faflów szklannych, lecz gdy te często się tłukły, domyślili się cukiernicy porobić drewniane, gdy jak szklannej, tak drewnianej tafli nicht nie jadł, ale cukry. Te tafle, rzędem ustawione, czyniły jeden skład cukrów reprezentujących jaką długą galerią albo szpaler ogrodowy, albo ulicę miejską – podług imaginacji cukiernika, wyjąwszy, iż na zbyt długim stole dzielił te tafle serwis jeden środkowy, gdy drugie dwa zamykały końce faflów, ale ten dział bynajmniej nie psował symetrii, ponieważ tafle przy nim zamykały rzecz cukrami reprezentowaną. Plan, czyli płaszczyzna faflów była wysypana piaskiem grubym, rozmaitymi kolorami farbowanym, różne figury czyniącym albo też jednostajny kolor całej dłużyźnie dającym, najczęściej zielony jako najmilszy oku. Brzegi faflów poboczne oblepiano papierem białym, wąskim, w koronkę wystrzyganym, kupowane go w korzennych sklepach na funty, z cudzych krajów sprowadzany; płacono funt po kilkanaście złotych, ponieważ do wybijania jego nie mieli jeszcze formów czyli też cukiernicy tym wybijaniem zatrudniać się nie chcieli.

Na taflach tak przyozdobionych stawiali robione z gipsu rozmaite figury ludzi, geniuszów, bohatyrów, żołnierzy, laufrów, jezdców na koniach, karety sześciokonne, parokonne kariolki, powozy, konchy

bogów niebieskich, ziemskich, wodnych, piekielnych i samychże bogów, nimfy, satyry, fauny, dalej konie, woły, osły, lwy, smoki, wilki, barany – słowem różne a różne figury, jakie cukiernikowi do symetrii struktury, jaką reprezentował, przypadały. Sama struktura składała się z takich części, jaki gmach reprezentowała: jeżeli ogród, to drzewa rozstawione łączyły się zielonymi gierlandami, jeżeli ulice, to widzieć było kamienice, pałace, zamki, bramy tryumfalne, kolumny, mury ościenne albo sztakiety białe z zielonymi kapitelami i tym podobne ozdoby. Zawsze zaś bądź w jakiejkolwiek strukturze stawiano w samym pośrodku altanę wydatną, herbem gospodarza albo gościa pierwszego, na którego honor dawany był obiad, przyozdobioną. Jeżeli zaś serwis pośrodek faflów trzymał, to herby dubeltowano i albo zaraz przy serwisie, albo też na końcowych taflach stawiano. To wszystko żywymi kolorami ozdobione dziwnie piękny i wesoły oku czyniło widok i wszystko to było dla samego oka, gdyż nareszcie za postępującym przepychem wszystkie te rzeczy były porcelanowe.

Do zjedzenia stawiano po brzegach faflów w małych karafinkach rozmaite konfitury mokre: wiśnie, porzyczki, agrest, śliwki czarne, śliwki zielone, orzechy włoskie, a przy taflach na farfurkach stawiano konfitury suche, jako to: gruszki w cukrze smażone, migdały cukrem białym oblewane i karulek takimże sposobem; lody cukrowe, to jest masy cukrowe z śmietany, malmów albo innych soków zimnem stężonych w figury rozmaite: melonów, harbuzów etc. kunsztem cukierniczkim utworzone, i galarety z rosołu mięsnego i cukru składane, biszkokty, makaroniki, pierniczki i frukta świeże ogrodowe. Takie tedy cukry z talerzami dopiero wymienionymi, czyli farfurkami, zastępowały środek stołu na pięć ćwierci łokcia; na reszcie pozostałego placu stawiano potrawy i talerze do jedzenia. Takowych cukrów nie zażywali do każdych stołów, chociaż wielkich, ale tylko w dni osobliwszej jakiej gali.

Przydawali także do cukrów wiersze rozmaite w różnej imaginacji pisane, te – geniusze albo kolumny, lub facjaty bram utrzymowały. Służyły ony najwięcej do wypicia kielicha wina za zdrowie uroczystującej osoby lub aktu. Takich wierszów rzadko używano w Warszawie, najwięcej po trybunałach i domach wielkich panów, lubiących się popisować nie tylko z dobrym winem, ale też i z rozumem, chociaż nie u jednego było wino jego własne, lecz wiersze cudze, najczęściej jezuickie albo pijarskie.

O trunkach i pijatykach

Najadłszy się smacznych potraw i skosztowawszy cukierków, trzeba się napić; obaczmyż, jak starzy Polacy tę potrzebę ułatwiali. Najprzód gospodarz po odbytej sztuce mięsa nalał w mały kieliszek wina i pił nim zdrowie wszystkich siedzących u stołu, począwszy od osoby najgodniejszej do ostatniej, za wymienieniem każdej znacznej osoby przytykając do ust i odejmując kieliszek; a skończywszy dystyngwowanych, resztę stołowników wymieniał jednego po drugim własnym nazwiskiem lub też powszechnym: „WPana zdrowie", gdy kogo nie znał, kierując ku niemu oko, nie przytykając do ust kieliszka, tylko trzymając go w ręku, a dopiero po wymienionym ostatnim łyknął trochę lub do reszty wypił, jak mu się podobało, i postawił kieliszek.

W ten sam moment, kiedy gospodarz wymienił pierwsze zdrowie, jaki taki brał się do swego kieliszka i tymże sposobem pił zdrowie wszystkich którym gospodarz. Więc gdy razem wszyscy jedni drugich zdrowia pili, robił się hałas do kościelnego podobny, kiedy lud za plebanem mówi powszechną spowiedź, tak iż jeden drugiego nie słyszał i nie rozumiał. Ani też dawał kto baczenia na to, czy był w tej litanii wspomniony, czy nie był, chyba że kto z garła całego wykrzyknął jego imię, to mu się ukłonił. Gospodarz pierwszych osób zdrowie pił stojąc, potem usiadł i kończył reszty, toż samo czynili inni dystyngwowani; końcowa zaś drużyna piła stojąc wszystkie zdrowia, nie czyniąc sobie większej nad drugich powagi. Po tej pierwszej ceremonii była pauza jaką chwilę, jedli i popijali z małych kieliszków aż do drugiego dania, lubo to nie wszędzie, bo wielcy pijacy nie czekając na drugie danie kazali dawać wielkie kielichy jeszcze przy pierwszym.

Lecz idźmy powszechniejszym zwyczajem, abyśmy się lepiej każdemu przypatrzyli. Skoro sprobowano drugiego dania, to jest pieczystego, natychmiast gospodarz zawołał dużego kielicha, tym w strych nalanym pił do dystyngwowańszego, ale zdrowie najdystyngwowańszego gościa, który się tam znajdował, pił stojąc, a z nim razem wszyscy stali. Skoro wypił albo jeżeli był nietęgiej głowy, po mocnym przeproszeniu za niespełnienie odlał w inny kielich lub w szklenicę, oddał kielich temu, do kogo był adresowany, i usiadł; wszyscy zatem posiadali. Gdy drugi powstawszy zaczął pić przedsięwzięte zdrowie, znowu się cały stół podnosił, tak mężczyźni, jak damy, chyba iż kogo albo znacznie wysoka godność, albo lata podeszłe od tej grzeczności wymawiały, i cała kompania prośbą, aby nie wstawał, uwalniała. Gospo-

darz promowował coraz inny kielich za zdrowie dystyngwowańszych, po stopniach jednego za drugim, a ci znowu każdy z osobna gospodarskie zdrowie nowymi kielichami w kolej podawanymi i spełnianymi odwdzięczali, akompaniując wstawaniem każdego z przedniejszych pijącego; i było w tym wstawaniu i siadaniu tyle utrudzenia, że drugi osłabiał od niego wprzód jeszcze, nim się upił; trudno zaś było siedzieć nieporuszenie, gdy drudzy wstawali, bez noty grubianina albo admonicji od sąsiada.

Po odbytych zdrowiach pryncypalniejszych w szczególności, szło zdrowie powszechniejsze osób mniejszych, na różne klasy podzielonych; na przykład: gdy się znajdowały u stołu jakie urzędniczki i proste szlachcianki z córkami, księża świeccy i zakonni, oficjerowie i towarzystwo, palestra i obywatele mali; że w tak dużej kompanii sam czas by nie wystarczył na zdrowie każdej z takich/osób pojedyncze, pili więc klasami: ichmościów dam, ichmość duchowieństwa, ichmć wojskowych, prześwietnej palestry, ichmć obywatelów, a na ostatku, żeby nikomu krzywdy nie było, całej kompanii zdrowie. Te zdrowia spełniano kielichami, począwszy od kwaterkowego aż do kwartowego. Kto się nie obronił, mógł się upić nie wstając od stołu, nie potrzebując zwyczajnej dolewki po stole, na którą, ponieważ kolej chodziła już tylko między przyjaciółmi, dawano lepszego wina i zwano to „na stempel", jakoby przybijając to, które pili u stołu.

Gdzie był gospodarz dyskretny, chociaż wylany do uraczenia gości, tam się uchronić można było od spełniania kielichów; ale kiedy sam lubił pić i drugich poić, trudna rzecz była: wołano, krzyczano, doliwano i co tylko było sposobów, wszystkimi przymuszano do spełniania – a jeszcze duszkiem. U niektórych panów lokaje, hajducy, węgrzynkowie, chłopcy mieli rozkaz raz na zawsze podczas uczty pilnować, kto nie wypił, aby mu dolano; na ten koniec służebni domowi jedni się porozsadzali z flaszami dokoła stołu, drudzy z tymiż pod stół powłazili. Jeżeli nie wypijający kielicha swego, broniąc się od dolewki sąsiada, wyniósł go w górę albo za siebie uchylił, pachołek na to czatujący sprawnie mu go dolał; jeżeli skrył go pod stół, toż samo zrobił mu siedzący pod stołem służka. I tak ów niedołężny pijak, który nie mógł duszkiem wygarnąć kielicha, kręcił się jak wąż tam i sam, w górę i na dół z kielichem, a wszędzie mu go dolewano, aż póki do dna trunku przybywającego nie wymęczył albo póki nie postrzeżono, że się ma do odwrotu tego, co wypił, albo póki się ta komedia, najbardziej biesiadu-

jących bawiąca, do innego nie przeniosła, kiedy się kielichy dwa i trzy rączego za sobą goniły.

Trafiało się i to, że komu trunku aż po dziurki (jak mówią) pełnemu nagle gardło puściło i postrzelił jak z sikawki naprzeciw siebie znajdującą się osobę, czasem damę po twarzy i gorsie oblał tym pachnącym spirytusem, co bynajmniej nie psuło dobrej kompanii. Niezdrowy z resztką ekshalacji uciekł co prędzej za drzwi albo gdzie w kąt, dama także, ustąpiwszy na bok, jako tako się naprędce ochędożyła, a resztę w śmiech obrócono i wszystko znowu do pierwszego ładu powróciło. Ten jednak, któremu się taki przypadek zdarzył, już nie miał miru w kompanii; za czym albo do niej nie powracał, albo jeżeli powrócił, to się bawił z osobna, nie zasiadając miejsca straconego. Lecz bywali tacy opoje, którzy czując w sobie zbytek trunku, a nie chcąc go odstąpić, kiedy po skończonym stole trwała jeszcze dobra ochota, wychodzili za dom i tam sprawiwszy sobie dobrowolnie wymiot, powracali do kompanii i znowu na nowo pili.

Kiedy zdrowiów nie stało, a trwała ochota picia, wymyślali rozmaite. Takimi zdrowiami bywały: prosperitas publica, salus publica, dobra przyjaźń, dobra kompania i tym podobne. Na czas brali swawolne zdrowia: dykterią jaką rozpustną albo słowo śmieszne z prędkości lub z nieumiejętności nie do rzeczy wymówione.

Wstawszy od stołu, jeżeli nastąpiły tańce, to pijatyka zwolniała; jeżeli nie było tańców, czymże się zabawić, jeżeli nie dobrym jeden drugiemu życzeniem. „W ręce WMPana", „Mci Panie Wojewodo" lub „Mci Panie Bracie!" – mówił gospodarz do pryncypalnego gościa trzymając kielich lub puchar w ręku, i tak znowu po gradusach godności pił jeden do drugiego. Wszakże gdy wtenczas nie znajdowali się w porządnym posiedzeniu, ale przechodząc się tu i ówdzie i mięszając między sobą, można się było uchronić od kolei, można było i oszukać roztargnionego gospodarza i zamroczoną winem kompanią, dawszy nieznacznie wypić za siebie jakiemu służalcowi albo ulawszy większą część w jakiekolwiek naczynie. Gospodarze, którzy z obowiązku ludzkości musieli dotrzymować kompanii od początku aż do końca, a nie mieli głowy po temu, pili wodę farbowaną kolorem wina, którą im sprawnie poddawali słudzy miasto wina prawdziwego. Kto zaś z gości nie mógł się dłużej na nogach trzymać albo też nie chciał być trunkiem zalanym, wynosił się nieznacznie z kompanii.

Lecz jeżeli był celem owej ochoty i miany po oku, goniono za nim, a dogonionego wracano do kompanii albo też przy ostatnim progu, na

schodach, na wsiadaniu do karety plac do pijatyki determinowano, tam musiał rad nierad wypić zdrowie ochoczego gospodarza, gospodyni, konsolacji, całej kompanii, i jeżeli przez czas uczty nie zwalił się z nóg, to na pożegnaniu został bez zmysłów. To było największym zamiarem owego traktamentu i ukontentowaniem gospodarza, kiedy słyszał nazajutrz od służących, jako żaden z gości trzeźwo nie odszedł, jako jeden, potoczywszy się, wszystkie schody tocząc się kłębem przemierzył; jako drugiego zaniesiono do stancji jak nieżywego; jak ów zbił sobie róg głowy o ścianę; jak tamci dwaj, skłóciwszy się, pyski sobie powycinali; jako nareszcie ten jegomość, chybiwszy krokiem, upadł w błoto, a do tego ząb sobie o kamień wybił.

O sławniejszych pijakach

Z między wszystkich pijaków, w których poczet można było rachować każdego pana i szlachcica w różnej stopniów pijackich doskonałości, celowali w tym konszcie osobliwszymi przymiotami trzej w Koronie, a jeden w Litwie, z których każdego zostawić w pamiątce potomności za rzecz słuszną osądziłem. Najpierwszy był Janusz książę Sanguszko, ordynat ostrogski, marszałek nadworny litewski-; tego pijaństwa, opisanego wyżej, nie będę powtarzał, przydam tylko, iż jego pijaństwo nie miało nic dzikiego, sama wesołość rządziła jego deboszami, a że nigdy się sam nie ochraniał, tylko pił szczerze, przeto mało dawał na innych baczenia. Kompanie przy tym u niego wielkie – zawsze go czyniły roztargnionym. Miał zaś tak tęgą głowę do picia, że gdy się już tak spił, że się chwiał na nogach, kazał zaprząc do karety, w tej przejechawszy się kilkoro staj powracał tak trzeźwy, jak gdyby nic nie pił, i pił na nowo z tymi, którzy mu kompanii dotrzymowali.

Drugi, Borejko, kasztelan zawichwostski, tego można nazwać pobożnym pijakiem; najbardziej albowiem lubił cieszyć się i pijać z duchownymi, kiedy z świeckimi osobami nie miał żadnego zatrudnienia. Skoro był wolny od interesów, rozpisał listy do pobliższych mięszkania swego klasztorów, aby mu przysłali po dwóch zakonników, jakikolwiek pobożny pretekst do tego wymyśliwszy. Przełożeni klasztorów, wiadomi końca tej misji, posyłali mu co lepszych do picia. Z tymi Borejko zamknął się w pokojach osobnych i oznajmił domownikom swoim, że to jest klasztor, do którego po zamknięciu nikogo nie wpuszczo-

no, ani z gości, ani domowych, ani żony, ani żadnej kobiety, choćby nie wiedzieć jaka była potrzeba.

Przed zamknięciem tego klasztoru przygotowano w nim wszystkiego, co należało do wygody i do potrzeby, do jedzenia i picia, a najwięcej wina. Pokój sypialny był wysłany cały słomą i kobiercami, innej pościeli dla tego pijackiego bractwa nie potrzebowano, ponieważ każdy jak padł, tak spał. Słudzy do usług byli naznaczeni i wraz z panami zamknięci; był także i dzwonek przy jednych drzwiach, tak jak bywać zwykł przy forcie klasztornej albo na korytarzu: w ten dzwonek dzwoniono na mszą, do stołu i na silentium, które dopiero wtenczas następowało, gdy się wszyscy popiwszy powywracali na owej słomie. Żeby zaś w tym klasztorze nie uchybić chwały Pana Boga, dziś na jutro naznaczali jednego spomiędzy siebie kapłana, który nazajutrz miał mieć mszą świętą. Temu nie dali pić dłużej, jak do godziny jedenastej, chociażby chciał, biorąc jeszcze ściślej godziną czas abstynencji kanonami przepisanej, dla wszelkiego warunku od omyłki na zegarkach.

Gdy nazajutrz wszyscy powstawali, szli na mszą do kaplicy, będącej przy tym klasztorze. Po wysłuchaniu mszy napili się herbaty podług zwyczaju, potem wódki raz i drugi, potem nastąpiło śniadanie; po śniadaniu wino, po winie, miernie zażytym, obiad, po obiedzie formalna pijatyka aż do wieczerzy, po wieczerzy toż samo. Wszakże przy tym wszystkim pacierze kapłańskie musiały być w swoich godzinach odbyte i pan Borejko sam ich z kapłanami odprawował. Ten klasztor trwał dni trzy najmniej, a najwięcej pięć, podług panującej w pijakach dewocji. Po rozpuszczeniu klasztoru swego odesłał każdych zakonników do ich własnych klasztorów, dobrze udarowanych i jałmużną opatrzonych.

Gdy mu nie stało klasztoru, a nie miał z kim pić, wyszedł na rozstajne drogi, przy których zbudował porządną kapliczkę św. Jana Nepomucena, daszkiem, sztakietami i ławkami dokoła opatrzoną; do tego eremitorium przynieśli za nim pajucy puzdro jedno i drugie wina i kilka wielkich kielichów. Tam zasiadłszy z paciorkami czekał, aż kto nadjedzie albo nadyńdzie z podróżnych: ksiądz, braciszek, kwestarz, szlachcic, mieszczanin, chłopek, Żyd, dziad zgoła, byle człowiek; wyszedłszy naprzeciw niemu z kaplicy, zatrzymał przywitaniem: skąd, dokąd i po co, a tymczasem pachołek, wiadomy pańskiego zwyczaju, nalał kielich wina, którym odebranym pił pan do podróżnego animując, aby na odwrót do niego wypił; i tak długo tego było, póki aż ów podróżny albo z nóg nie spadł, albo póki mu gardło nie puściło. Jeżeli się wywrócił i usnął, pan Borejko, odszedłszy do domu, wyprawił do niego

stróża, aby go pilnował od złodzieja albo innego łotra, żeby nie został obdarty i okradziony. Gdy zaś kilku zebrało się tym sposobem podróżnych, ze wszystkimi póty pił, póki każdego nie upoił. Podróżny, z liczniejszym pocztem jadący, proszony był do dworu na wstęp momentalny; na który jeżeli się dał namówić, niełatwo się stamtąd wydobył; jeżeli nie dał, to przynajmniej z całą swoją czeladzią musiał po którym kielichu, a czasem aż do wysuszenia puzdra wypić. W tym był względny pan Borejko, że nie przymuszał do ścinania kielichów duszkiem, pozwolił odetchnąć raz i drugi, jednak niedługo. Był to pan tak wysoki i mężny, że wszedł w przysłowie w województwie krakowskim, iż kiedy kto chciał kląć drugiego z dosadnością przekleństwa, to mówił: „Bodajeś tylego diabła zjadł jak pan Borejko."

Trzeci, Adam Małachowski, krajczy koronny; tego można nazwać zabójcą ludzkiego zdrowia, wielu albowiem ludzi zalanych winem poumierało, niektórzy nawet w jego domu, zasnąwszy raz na zawsze snem śmiertelnym. To rzecz dziwna, że takowe przypadki, w oczach jego darzone, nie odmieniły w nim szalonego zwyczaju pojenia ludzi gwałtownie i zalewania winem. Miał u siebie w Bąkowej Górze kielich wielki półgarcowy, na którym wyrznięte były trzy serca z podpisem: „corda fidelium". Używał pod czas tego kielicha do bankietów i wotów wielkich, ordynaryjnie zaś trzymał go od przywitania każdego, kto pierwszy raz był u niego w Bąkowej Górze. Jeżeli taki gość przybył z rana, co prędzej sporządzono mu śniadanie, aby miał po czym pić, ponieważ ten kielich nikogo nie mógł minąć. Skoro go oddano w ręce gościowi, przestrzeżono zaraz, że powinien był wypić duszkiem, inaczej niech cokolwiek nie dopił, natychmiast mu pełno dolewano póty, póki nie wypił; to gwałtowne picie więcej szkodziło zdrowiu aniżeli sam zbytek wina. Z panów wielkich, mniej sposobnych do pijaństwa, z trudna który odważył się nawiedzić krajczego; a jeżeli być u niego wyciągał koniecznie jaki interes, to wprzód wyrobił sobie od niego rewers na kształt salvum conductum, pod najcięższymi zaklęciami, jako do pijaństwa, a mianowicie do kielicha corda fidelium, nie będzie przymuszany.

Najwięcej do niego zjeżdżali się bibosze koronni, pułkownicy, rotmistrze, towarzystwo, co się beczki nie zląkł, nie tylko kielicha, i którzy mieli gardła wyprawne tak do tykania, jako też odlewania tego, co połykały. Który pan posłał sługę z listem do krajczego, nie chybiło go to, że musiał za nim posłać drugiego dowiedzieć się, co się z pierwszym stało, a na czas i trzeciego, kiedy pierwszy i drugi, wpadłszy w

ręce krajczemu, popojeni lada gdzie pod wschodami albo pod płotem, nie wiedząc o świecie – dopieroż o responsie – spoczywali albo i w cale pomarli. Nie czynię w tym opisaniu żadnej egzagieracji, bo sam ledwo uniknąłem podobnego nieszczęścia, uciekłszy bez szabli, bez czapki, bez konia, w zastaw niby pewności powrotu zostawione, pod pretekstem pilnej potrzeby, której wymieniać nie należy.

Przecięż ten pan rozumiejąc, iż nie masz na świecie nikogo nadeń w pijaństwie mocniejszego, którego by swoim kielichem corda fidelium nie zwyciężył, czyli mówiąc właściwiej nie ściemiężył, trafił na jednego takiego, który go w takim mniemaniu zawstydził. Był to braciszek kwestarz, bernardyn z klasztoru Wielkiej Woli, czyli Woli Pana Jezusa, w powiecie opoczyńskim leżącego. Ten czując się na siłach, będąc wyprawiony na kwestę, zajechał śmiało do krajczego do Bąkowej Góry, którego miejsca wszyscy inni kwestarze jak morowego powietrza unikali. Trafiło się to przed obiadem, z rana. Krajczy rad, że mu taki gość dawno niewidany wpadł w ręce, na pokorną prośbę braciszka o jałmużnę zaraz mu podał kondycją: – ;,Jeżeli duszkiem wypijesz ten kielich – skazując na corda fidelium – każę ci naładować pełen wóz zbożem; a jeżeli od razu nie wypijesz, doleją ci go tyle razy, ile razy, przestając pić, choć kroplę w nim zostawisz." Braciszek pokornie odpowiedział, iżby wołał być posilonym pokarmem jakim niż trunkiem, ponieważ jest głodny. Krajczy natychmiast kazał mu dać jeść; przyniesiono mu tedy półmisek bigosu hultajskiego i karwasz pieczeni. Zjadłszy certum quantum tego i owego, prosił o szklankę piwa, a tę wypiwszy zaczął się niby zabierać do odejścia, jakoby z bojaźni kielicha nie śmiał już i o jałmużnę prosić. Krajczy wesół z jego bojaźni rzecze: „Nie, bracie, z domu mego nicht wyniść nie może, kto weń pierwszy raz wnińdzie, poki tego kielicha nie wypije."

Bernardyn na taką zapowiedź, udając wielkie w sobie pomięszanie, z przymusem wziął kielich w obie ręce, strychem nalany, toż zrobiwszy nad nim kilka krzyżów, uderzywszy się w piersi – jako człowiek przymuszony – i westchnąwszy do niebios, zaczął we czesał łykać, ale jakby mu tchu brakło, odjął nagle od ust, zostawiwszy w kielichu z półkwaterek wina. „Ho, ho, nie dopiłeś, bracie – zaczął krajczy wołać – do lejcie mu, dolejcie!" Hajducy na rozkaz pański skoczyli do bernardyna z flaszami, ten zaś, dopijając z kielicha reszty, począł tam sam umykać po pokoju, pokazując kielich do reszty wypróżniony. „Nic to nie pomoże, bracie – znowu krajczy – nie wypiłeś duszkiem! Złapcie go i nalejcie mu pełen." Złapano bernasia i dolano w strych jak pierwszy,

do tego uchwycono za pas, aby nie mógł uciekać. Osaczony bernardyn jak niedźwiedź w kniei, odetchnąwszy kilka razy, począł doić drugi kielich wolniejszymi łykami i znowu trochy nie dopił. Dalej znowu krajczy: „Nie dopiłeś! Dolejcie mu!" Bernardyn na kolana, w prośby na wszystkie względy. Ale gdy te nic nie pomogły, przyłożył się do trzeciego i wypił w tej mierze jak pierwsze dwa, żeby przyczyna do musu nie zginęła; krajczy kazał mu znowu nalać. I tak z owymi grymasami zmyślonymi wypił bernardyn sześć kielichów wina, jeden po drugim.

Krajczy, jak z początku miał wielką uciechę z bernardyna, tak widząc dalej, że ani z nóg nie spada, ani cery nie mieni, poznał, że z niego żartuje, wpadł w pasją, kazał go wypchnąć za drzwi. „A to filut jakiś, a wzdyćby on mnie całą piwnicę wypił! A to bernardyny filuty, z umysłu, na szyderstwo ze mnie takiego mi pijaka z końca świata wyszukanego przysłali!" – Ochłonąwszy z pierwszej pasji, kazał pójść za nim, obaczyć, co się z nim dzieje. Odniesiono mu, że wsiadł na wóz dobrze, bez najmniejszej omyłki, i pojachał. Kazał krajczy skoczyć za nim i wrócić go, wysłał mu asygnacją na kilka korcy zboża; ale nie chciał się z nim widzieć i zakazał, żeby więcej nigdy u niego nie postał.

Czwarty pijak, z natury mało się różniący od szalonego, a po pijanu w cale szalony – Karol książę Radziwiłł, wojewoda wileński. Małachowski zabijał ludzi winem, jako się opisało wyżej. Radziwiłł zabijał orężem. Nic to było u niego strzelić w łeb człowiekowi jak psu, lecz takie przypadki można poczytać za ordynaryjne w domu i familii Radziwiłłów. Tak robili stryjowie i bracia jego, wyjąwszy ojca, hetmana wielkiego litewskiego, który tak trzeźwy, jak pijany był bardzo powolnej natury, zabójstwa więc w pijaństwie popełniane, nie jemu samemu właściwe, nie dystyngwowały go. Ale się dystyngwował najszkaradniejszymi akcjami, publicznie w największej kompanii po pijanu pełnionymi. Mazał się przyrodzeniem i kazał dawać ognia na pochowanie Radziwiłła jakoby zrodzonego i zmarłego (jaśniej tego tłomaczyć nie mogę, przez wzgląd na uczciwość). Prócz takiej rozpusty drugą zabawą jego pijaństwa były żarty bolące z tego i owego konfidenta. Skropić kijem z tyłu nieznacznie, pijącemu przybić kielich do gęby aż do zachłystnienia, nalać z tyłu za kołnierz wina leniwo pijącemu, dwom rozmawiającym z sobą z bliska zetchnąć głowy silnie aż do wytryśnienia guzów na czołach, wyrządzać figle sztuczne z obrazą wstydu białej płci – to było najmilszą zabawą Radziwiłła, z trudna kto z jego kompanii wyszedł bez podobnej wyżej wyrażonym obrywki. Ale że tak był szczodry w podarunki, jak był obfity w psoty, nicht się na to nie skar-

żył. Rozdawał konie z rzędami, pasy bogate, pałasze, pistolety, zegarki, tabakierki i inne rozmaite bogate sprzęty tym, którzy go przyjmowaniem skwierkliwym, ale nie gniewliwym, bolących jego żartów bawić umieli. Wsie nawet dożywociem i całe klucze niskim kontraktem puszczał swego deboszu i rozpusty wiernym kolegom.

Najgorszy i najokropniejszy żart zrobił z Paca, pisarza wielkiego litewskiego, wielkiego swego faworyta i wszelkich rozpust swoich nieodstępnego kolegi. Temu jednego razu grubiańskimi igraszkami swymi tak dokuczył Radziwiłł, że nie mogąc ich ścierpieć dłużej, Pac pogroził mu pojedynkiem. Ale Radziwiłł nie chcąc z nim rozrywać przyjaźni, a chcąc go nastraszyć za ową groźbę, udał, jakby się o nią szalenie na Paca rozgniewał, kazał go natychmiast porwać, w kajdany okuć i wtrącić do więzienia. Nazajutrz kazał go ubrać w śmiertelną koszulę, wyprowadzić na plac w asystencji kata i księdza i dysponować na śmierć. Wszyscy przyjaciele Paca i Radziwiłła struchleli na ten widok, rzucili się Radziwiłłowi do nóg za Pacem, który łzami i lamentami prosił go także o miłosierdzie. Ale Radziwiłł, udając zapalczywą cholerę i czyniąc się głuchym na wszystkie prośby, naglił na Paca, aby klęknął pod miecz, z którym mistrz stał mu nad karkiem. Nareszcie gdy Pac prosił jeszcze o moment do poprawienia spowiedzi, Radziwiłł, będąc już syt żartu, skoczył do Paca z miłym uśmichnieniem: „A widzisz! ja ciebie lepiej nastraszył niż mię ty pojedynkiem!" – Poprowadził tedy Paca na pokoje, w śmiertelnej koszuli, tak jak był na placu, tam mu zaraz ofiarował za ten żart wielkie prezenta, toż dopiero gala wielka i pijatyka na cześć takiego konceptu. Pac, naturalnie śmiercią zmięszany, a potem nagłą radością przejęty, przymuszony będąc w takiej rewolucji krwi do pijatyki, wpadł w chorobę i trzeciego dnia umarł.

Zadziwi się mój Czytelnik, jakim sposobem takie ekscesa kryminalne płazem uchodziły. Uwolnię go natychmiast z podziwienia przypomnieniem prawa polskiego, które zabójcy rozmyślnemu, szlachcicowi, okupić głowę zabitego szlachcica pozwalało. Cóż dopiero mówić o zabójstwach w pijaństwie popełnionych! Cóż dopiero o żartach szkodliwych na czas, ale niekoniecznie śmierć przynoszących! Zapłacono, zagodzono familią, i na tym się skończyło. Jeżeli zaś nieszlachcic stracił życie z ręki lub łaski pańskiej, próżna odezwa do prawa, które chłopską głowę nie drożej jak na sto złotych otaksowało. Każdy zaś, kto nie był szlachcicem, był poczytany za chłopa, chociażby był mieszczaninem albo najbogatszym plebejuszem.

O trunkach

Trunki wielkim panom były zwyczajne: rano herbathe, czasem z mlekiem, czasem bez mleka, zawsze z cukrem, potem wódka gdańska, persico, cynamonka, dubelt-hanyż, ratafia, krambambula; i te dwie ostatnie były najdroższe; płacono kieliszek, pół ćwierci kwaterki trzymający, po tynfie jednym. Napiwszy się po kieliszku, przejedli konfitur albo piernika toruńskiego, po tych chleba z masłem lub sucharków cukrowych i znowu powtórzyli raz i drugi po kieliszku wódki. Jeżeli śniadanie miało poprzedzić obiad, jak bywało w zapusty, to się składało z kapłona pieczonego jednego i drugiego, podług proporcji osób, z zrazów, pieczeni z pieprzem i masłem albo z surowego mięsa, smażonych w maśle z imbierem, z kiełbasy i bigosu hultajskiego; po czym ochłodził się jaki taki szklenicą piwa albo wody, niekiedy zalali to wszystko kielichem wina i czekano obiadu zabawiając się rozmowami, to graniem kart, warcabów, szachów lub przechadzką. U małych panów i szlachty zamiast gdańskich wódek służyła wybornie gorzałka przepalana, domowej roboty, z konfiturami w miodzie smażonymi, pierniczkami i suchareczkami takimiż, fabryki jejmci pani stolnikowy albo podczaszyny z córkami i pannami służebnymi; i było to tak dobre albo i lepsze jak owe gdańskie wódki i konfitury włoskie drogo płacone.

Poobiednie trunki wielkich panów: wino węgierskie w Krakowskiem, Sendomirskiem i na Rusi; w Prusiech, w Kujawach i w Litwie francuskie rozmaite i zamorskie, jako to: pontak, muszkatel i szczecińskie; w Poznańskiem i Kaliskiem, gdzie panowie i szlachta we wszystkim wielką zachowują oszczędność, dla pryncypalnych osób wino węgierskie, i to dobre, na szary koniec francuskie; na Ukrainie wino wołoskie i manasterskie. Zaczęło też już wchodzić w używanie, ale bardzo rzadko, wino szampańskie, którego dawano „na stempel" po węgierskim. Burgunskiego zażywano do wody dla wielkich panów, którzy byli już wychowania modnego francuskiego i nie pili piwa. Takim ichmościom i damom dla konkokcji potraw dawano wina ryńskiego po kieliszku.

Gdy zaś nastała kawa i rozeszła się po wszystkich domach pańskich, szlachty majętniejszej i bogatszych mieszczan, dawano ją najprzód z rana z mlekiem i cukrem, po której pijano wódkę, a herbatę, jako sprawującą suchoty i oziębiającą żołądek, w cale zarzucono; policzono ją w liczbę lekarstw przeciw gorączce i do wypłukania gada po ejekcjach, mianowicie z gwałtownego pijaństwa pochodzących. Po

każdym także stole dawano gościom kawę, jednym z mlekiem, drugim bez mleka. Tym trunkiem najulubieńszym raczyły się kobiety najwięcej, tak z rana, jako też po obiedzie i po wieczerzy, osobliwie gdy w kompanii jakiej albo podczas tańców długo w noc dosiadywały. Kto z mężczyzn chciał uniknąć wina, wstawszy od stołu, miał się do kawy; było to albowiem na kształt przywileju zdrowia, że kto pił kawę, nie mógł być oprymowany winem. Ale ten przywilej nie służył dłużej jak do dwóch godzin; dobre i to, osobliwie, gdy złym winem pojono.

Kawa od ludzi majętnych przeszła nareszcie do całego pospólstwa, podniosły się po miastach kafenhauzy; szewcy, krawcy, przekupnie, przekupki, tragarze i najostatniejszy motłoch udał się do kawy. Nie była już wtenczas droga: za sześć groszy miedzianych dostał filiżanki kawy z mlekiem i cukrem, lecz też taka była i kawa: łut kawy dla zapachu, cztery luty pszenicy palonej, trocha faryny cukrowej, łyżka mleka roztworzonego wodą – smakowało to jednak prostactwu, nie znającemu smaku czystej kawy, dobrze sporządzonej. A nawet i po domach małych albo skąpych robili sobie taką kawę przymięszując do niej przez połowę pszenicy lub grochu palonego, bo koniecznie chciało się kawy, już to że bez niej dom byłby poczytany za prostacki i sknerski, już że kawa wciąga ludzi w nałóg tak jak gorzałka albo tabaka, że się bez niej obejść nie może, kto się w nią włoży, tak dalece, że woli niejeden, a jeszcze bardziej niejedna, obejść się bez chleba niżeli bez kawy.

Po miastach, osobliwie niemieckich, rzemieślnicy nie szkodowali na kawie, owszem im ekspensy umniejszała. Póki nie znano kawy, rzemieślnik musiał dać czeladnikowi kieliszek gorzałki, który kosztował trzy grosze, potem chleba z masłem, to drugie trzy grosze; więc śniadanie jednej osoby kosztowało go sześć groszy, którego sam nie kosztował. Gdy zaś kawa weszła w zwyczaj, rzemieślnik kupił kawy już palonej i mielonej w sklepie korzennym za sześć groszy, cukru lodowatego za drugie sześć groszy, mleka pól garca za trzecie sześć groszy; w tym mleku ugotował owę trochę kawy, za sześć groszy kupioną, dal każdemu po kawałku cukru lodowatego, przez który w zęby wzięty pili owę kawę, po każdym łyku przejadając chleba z masłem cienkie kromki. I takim sposobem odbył śniadanie swoje, żony, dzieci, czeladzi, do kilku osób, czasem do ośmiu i dziewięciu, straciwszy mało więcej na wszystkie osoby, jak przedtem na jednę, a najwięcej dwie.

Z tych, co się zbytecznie włożyli w kawę, ledwo który otworzył oczy, zaraz mu do łóżka niesiono kawę; bo było uprzedzenie od doktorów zatwierdzone, że wstawać z łóżka na czczo, a jeszcze bardziej wy-

chodzić tak na wiatr, jest niezdrowo. Dlatego panie nabożne, kiedy miały przyjmować komunią, spieszyły się do niej jak najraniej, a po przyjętej jeszcze spieszniej powracały do domu, gotowe wyprać po pysku sługę, policzki jej wyszczypać z wielkiej gorliwości, jeżeliby za wstąpieniem w próg kawy gotowej nie zastały. Parochianki zaś wiejskie, kiedy miały przyjmować tę świętość, opodal od kościoła mięszkające, brały z sobą na odpust kawę i tam albo w domu księżym, albo w karczmie lub innym jakim zaraz po komunii napijały się najmilszego swego trunku z obawy, przez długą czczość żołądka aby aury niezdrowej w niego nie naciągnęły. Dziwna rzecz, iż z takiego uprzedzenia nie mogli się wyprowadzić doświadczeniem z służących swoich, którzy pospolicie do obiadu czci, a czasem i cały dzień głodni – zdrowi i rzeźwiejsi byli od swoich panów i pań delikatek.

Choćby dziesięć domów na dzień (jak to jest łatwo w miastach) odwiedzała która jejmość kawiarka, w żadnym się nie wymówiła od filiżanki kawy, gdzie ją tylko częstowano; wszędzie zaś tym trunkiem raczyć się damom było we zwyczaju.

I dobrze: poki albowiem nie była znajoma kawa, biała płeć dystyngwowana na ranny posiłek używała polewki robionej z piwa, wina, cukru, jajec, szafranu albo cynamonu. Co iż tylko służyło domowym osobom albo gościom bawiącym dzień jeden i drugi w gościnie, a nie służyło oddającym krótką wizytę, mały koszt sprawowało. Ale za to po poleweczce unoście domowe same i z goszczącymi na sekret przechodziły się często do apteczki i tam wódeczką mdlącą poleweczkę zakrapiając, po trosze się gorzałką rozpijały i na rozmaite jędze, dziwaczki, chimeryczki, nareszcie na pijaczki ogniste wychodziły. Których defektów rozumu że kawa nie sprawuje, chwalić ją stąd należy i dzięki oddawać temu, kto ją pierwszy do naszego kraju sprowadził, albowiem ona nie tylko białą płeć, ale też i wielu mężczyzn od gorzałki, niszczącej zdrowie i rozum, zachowała.

W pomiernych domach szlacheckich trunki w zwyczaju były i dziś może są: na Rusi gorzałka, miód, wiszniak, malinnik; w Litwie gorzałka, miód ordynaryjny i lipiec; w Wielkiej Polszcze i w Mazurach gorzałka i piwo, którego gatunki słynęły te osobliwsze: w Łowiczu i okolicach jego, zajmując i Warszawę, długi czas słynęło piwo łowickie, w Lublinie i okolicach jego – wąchockie, w Piotrkowie i okolicach jego – gielniowskie, w Poznańskiem i Kaliskiem – grodziskie; w Warmii – eleborskie, które także szacowane było w Warszawie pod imieniem czarnego piwa. Ku końcu panowania Augusta III nastały w Warszawie

najprzód, a potem po różnym stronach kraju piwa czeskie, ordynaryjne i dubeltowe, tudzież piwo angielskie, które najpierwszy wyinwentował Hieronim Wielopolski, koniuszy koronny; miało dużo podobnego smaku do prawdziwego piwa angielskiego, które sprowadzano i po dziś dzień sprowadzają z Anglii. To jednak piwo angielskie nie miało nigdzie więcej propinacji, tylko w Warszawie przy pałacu tegoż pana i w Oborach, gdzie go robiono, mil trzy od Warszawy; wkrótce spadło z wziętości. Otwockie piwo przesadziło go. Otwockiemu odebrało znowu konkurs wilanowskie, a wilanowskiemu inflantskie, ale nie tak mocne i nie burzące się obyczajem prawdziwego angielskiego. Szynkarki po miastach pryncypalnych szukające swego zysku nauczyły się nalewać w butle i w butelki małe piwa młodego, nie wyrobionego, to przytkane gliną w butli dużej po odrobieniu dawało smak lepszy jak prosto z beczki; w butelce zaś małej, dobrze zaszpuntowanej, po wyjęciu czopka tak się burzyło jak angielskie prawdziwe. Więc gdy te tak rozmaite piwa ponastawały, łowickie, gielniowskie, wąchockie piwa estymacją swoją straciły, wszedłszy w rząd piw pospolitych; grodziskie zaś słynęło coraz bardziej po Wielkiej Polszcze, tak iż szlachcic tam, który nie miał w swoim domu piwa grodziskiego, poczytany był za mizeraka albo za kutwę. Tej estymacji przyczynili mu wiele doktorowie, przyznając mu cnotę wód mineralnych. Jest to piwo cienkie i smakowite, głowy nie zawracające; doktorowie we wszystkich chorobach, w których zabraniają wszelkich trunków pacjentom, grodziskie piwo pić pozwalają, owszem w pewnych chorobach pić go każą.

W Krakowskiem i Sendomirskiem żadne piwo, wyjąwszy prawdziwe angielskie, nie było w szacunku, ponieważ pospólstwo tamtejsze, mianowicie chłopstwo, tak jak na Rusi i w Litwie, gorzałkę mają za trunek pospolity, szlachta zaś i mieszczanie majętni wino węgierskie, z przyczyny bliskości Węgier. Wyszydzają Krakowianie Wielkopolanów, że ci gościowi podają na tacy próbki piwa w kieliszkach (choć to jest czysty żart). Lecz po prawdzie mówiąc, gdyby i tak było, lepsze jest dobre piwo jak złe wino, jakim się w partykularnych domach częstują Krakowianie i Sendomierzanie: owo okrajkowe, cieniuchne, ni woda, ni wino, popłukowiny ostatnie drybusów i pras węgierskich, w których wino tłoczą.

Jaki tedy trunek w której prowincji panował, takim się raczono, i była to już zła kompania, zła uczta, kiedy się nie popili, kiedy gość trzeźwo pożegnał się z gospodarzem; taki szlachcic, co taką trzeźwość zachowywał w domu swoim, niewielką miał estymacją, niewiele wart

był w kompanii i pospolicie nazywano go Francuzem, moderatem, wędzikiszką. Tam, gdzie piwo było w modzie, pili go od śniadania do obiadu, od obiadu do poduszki. Byli tak dobrego gardła niektórzy i tak przestronego brzucha, że kufel piwa garcowy albo szklenicę taką, lub kielich bez nogi, z umysłu taki, żeby go nie można było postawić, kulawką zwany, duszkiem bez odpoczynku wypijali. Mieli do takiego wypijania poskładane różne kuranty krótkie, które nim prześpiwała kompania albo przegrała kapela, trzeba było garniec ów piwa do kropli wyłykać, bo jak nie wypił, to dolano i znowu kuranta zaczynano póty, póki nie mogący ponękać zbytniej miary, nie uprosił pardonu albo nie uciekł za drzwi, z czego drudzy mieli okazją śmiechu i prześladowania słabego.

Beczka piwa w komin, kiedy się dobrała kompania dobrze pijących, wstawiona nie zabawiła dwóch godzin, a została wysuszona do drożdży albo przez debosz i z drożdżami. Takie lusztyki słynęły najbardziej w Mazurach i w Sieradzkiem, gdzie się więcej znajduje szlachty miernej fortuny, o jednej wiosce, o kilku chłopkach, niż krociowej albo milionowej substancji. Było to poniekąd i z oszczędnością, ponieważ pachołek lub inny służka nie tak wiele zdarł botów, kiedy beczka stanęła w kominie, jak kiedy do niej musiał często biegać z konwią, stojącej w piwnicy. Czterech, a czasem dwóch tylko dobrych łykaczów wypróżnili beczkę pięćdziesięciogarncową od wieczerzy do poduszki, mało albo nic zarwawszy północka. Na tryumf po zwycięstwie napili się gorzałki i poszli spać z dobrym zdrowiem, cokolwiek podochoceni. Takowa junakieria czyniła reputacją w narodzie rycerzom kuflowym, a oraz wynosiła ludzkość gospodarza do najwyższego stopnia. Panowie wielcy starali się o takich pijaków, którzy lubili trząsać sejmikami i rej wodzić po wszystkich magistraturach. Gdy albowiem w narodzie nic nie można było zrobić bez pijaństwa, czy to zgodę jaką, czy elekcją, czy interes własny utrzymać nie oblawszy go trunkiem jakim podług wartości osób należycie, sama zatem rzecz zniewalała panów do konserwacji przy boku swoim głów na wszelkie trunki jak najmocniejszych, którzy by ich w takowej potrzebie garłem swoim zastępowali, gdy tymczasem panowie, takowym zastępstwem cokolwiek przy lepszym rozumie zostawieni, zamroczone rozumy albo raczej machiny bezrozumne do swoich zamiarów nakręcali.

Oprócz zwyczajnych naczyń do trunków: kieliszków, kielichów, szklanek i pucharów, po domach, gdzie lubiono zapijać, mieli osobliwe inne do samego piwa, jako to: kije szklane długie z gałką na końcu ob-

szerną, kwartę piwa zajmujące, kufelki z rurkami, którędy pić trzeba było, trąby i waltornie, i szklenice półgarcowe o trzech obrączkach. Kij, kufelek, trąbka etc. nie tak były przykrym naczyniem z przyczyny trunku, bo go niewiele zabierały, jako bardziej z sposobu picia, który był uprzykrzony; pijąc z kija albo trąbki, trzeba się było dziwnie łamać i wyprężać w tył. Kufelek kto chciał odjąć od ust, a nie wiedział sposobu przytkania rurki językiem, ażby się piwo przerwało, to się oblat. Szklenicy zaś z obrączkami kto się podjął wypić, powinien był najprzód determinować całej kompanii, po którą obrączkę jednym zawodem wypije; jeżeli nie dopił albo nadto wypił, to mu zaraz dolano. Prócz narzędziów wyżej wspomnionych były także powymyślane rozmaite sztuki, za pomocą których upijali się, choć niechcący; jednę za wszystkie przytoczę, po której rzecz będzie doskonale zrozumiana.

Usiadł jeden przy stole, drudzy go obstąpili dokoła w urzędzie sędziów i świadków, wziął szklenicę w rękę, jaka mu się podobała, wielką czy małą, piwem nalaną; tę powinien był wypić nie razem, lecz trzema zawodami. Za pierwszym pociągnieniem piwa powinien był pogłaskać się jednym palcem po jednym wąsie raz, po drugim raz, po brodzie tymże palcem prosto w nos z góry na dół raz, pod brodą w tejże linii raz z dołu do góry, tymże palcem uderzyć w stół z wierszchu raz, ze spodu raz, tupnąć w podłogę nogą raz i wymówić to słowo: „piwo".

Za drugim zawodem powinien był te wszystkie grymasy, nie ochybiając żadnego ani z kolei swojej nie przeminiając, powtórzeć we dwoje, to jest: pomusnąć się po jednym wąsie dwa razy, po drugim dwa razy, po brodzie dwa razy, pod brodę dwa razy, uderzyć w stół z wierszchu dwa razy, ze spodu dwa razy, tupnąć nogą w podłogę dwa razy i wymówić słowo: „dobre". Za ostatnim razem, za którym już reszta piwa powinna być z szklenicy wyprzątniona, wszystkie gesta wyżej wyrażone należało potrajać, na ostatku oddając szklenicę wymówić słowo: „nalej". W którymkolwiek geście, liczbie i słowie pijący popełnił omyłkę, natychmiast mu dolano szklenicy; i acz te grymasy zdają się być bagatelnymi, do obciążenia pamięci niezdolnymi, przecięż że stojący wokoło z umysłu rozmaite przeszkody czynili, wydarzały się częste omyłki, i jak się kto raz omylił, już mu trudno więcej omyłek ustrzec się było, najbardziej stąd, że za każdą omyłką z początku zaczynać musiał. Myląc się więc coraz bardziej, upił się i sztuki nie dokazał, zrobiwszy z siebie zabawę kompanii.

Dobre czasy, pokój ciągły, obfitość wszystkiego całą myśl obywatela rozrywkami i uciechami zajmowały, ile gdy zrywane raz w raz sejmy nikogo nie wabiły do zatrudniania się około dobra publicznego.

O częstowaniach i pijatykach sejmikowych

Panowie i można szlachta częstowali się na sejmikach uczciwie potrawami wybornymi i trunkami dobrymi, najwięcej winem węgierskim, którego im gdzie więcej i lepszego dawano, tym większa tam była schadzka.

Drobna szlachta nie mięszała się z panami, miała swoje osobne stoły po różnych gospodach, a w lecie po sadach i podwórzach pod szałasami, gdzie ich przez ciąg sejmiku karmiono i pojono; przy każdym takowym stole albo raczej garkuchni znajdował się jeden i drugi z ramienia pańskiego sługa albo przyjaciel, dowódzca do ochoty. Potrawy dla drobnej szlachty nie były wykwintne, pospolicie mięsiwa: wołowe, wieprzowe, baranie, cokolwiek kur, gęsi, indyków, pieczono i warzono pieprzno, słono i kwaśno, aby się lepiej do trunków zaostrzało pragnienie. Gdy weszły w modę do stołu łyżki, noże, widelce i serwety (jako się o tym napisało pod artykułem o stołach i bankietach), dawano dla szlachty drobnej łyżki drewniane i blaszane, noże i widelce jak najtańsze, serwety i obrusy jak najpodlejsze, ponieważ to wszystko nakrycie szlachta owa między siebie rozebrała, a czasem i obrus na kawałki porozrzynała i rozerwała tak, że kredencerz nie miał co ze stołu zbierać, chyba jeżeli zdążył jaki półmisek albo talerz cynowy uratować; reszta naczyń drewnianych, glinianych i blaszanych, tej uczcie służących, poszła na rabunek.

Od rana dano wódki raz, drugi i trzeci, postawiono na stole kilka bochnów chleba, kilka brył masła i kilka pieczeniów w zrazy pokrajanych, co naprędce w stojączki między siebie rozerwano; kto czul po tym posiłku pragnienie, dano mu piwa. Z resztą obżarstwa wstrzymowano ich, aby mogli utrzymać się przy zmysłach i władzy do roboty sejmikowej, na którą ich podług czasu do kościoła lub na cmentarz, gdzie się miał sejmik odprawiać, zaprowadzono nauczonych, co mają utrzymować lub czemu mają przeszkadzać. Po skończonej sesji prowadzono te roty do swoich garkuchniów, gdzie zaczęty obiad stykał się z wieczerzą, a ta ciągnęła się do północka albo i białego dnia, gdy nie mogąc się wszyscy razem pomieścić do stołu, jedni po drugich zasiada-

li, czasem po dwa i po trzy razy po przespaniu lub wyładowaniu napakowanego żołądka, kładli kawalce pieczeniów nie tylko w brzuchy, ale też w kieszenie i torby, co wolno było. Do gospodarza należało dostarczać ustawicznie jedzenia i napoju. Ordynaryjnie taką szlachtę pojono winem z gorzałką zmięszanym, dla prędszego zawrotu głowy, i piwem dla ochłody pragnienia. Pijąc tedy na przemianę raz owę mięszaninę wina z gorzałką, drugi raz piwo, prędko się i niewielkim kosztem popili. Popiwszy się, wywracali się i tam zaraz, gdzie który padł, spali: przy stole, pod stołem, pod płotem, na środku ulicy, w rynsztoku, w błocie, gdzie kogo nogi taczające się zaniosły i powaliły.

Po smacznym śnie, choć nie w puchowej pościeli, ujrzał się jaki taki bez czapki, bez pasa, bez szabli, a czasem do koszuli obrany od jakiego łotra albo i kolegi trzeźwiejszego. W takowym stanie szedł do pryncypała, od którego był na sejmik sprowadzony, po nadgrodę poniesionej szkody. Jeżeli pryncypał utrzymał się przy swojej pretensji, wziąwszy górę nad przeciwną partią, nadgradzał wżwyż rzeczone straty swoim adherentom, dawał inne pasy za pasy, czapki za czapki, suknie za suknie, w co wszystko panowie burzący opatrywali się dostatecznie, wybierając się na sejmiki; jeżeli zaś tych fantów z starej garderoby, z tandety i od dworskich swoich nazbieranych na ten koniec brakło, bonifikował pieniędzmi, nie czyniąc w takowej nadgrodzie żadnej trudności dla drugiego razu. Ale jeżeli się pryncypał z partią i pretensją swoją nie utrzymał, a do tego musiał uciekać z sejmiku, aby nie był rozsiekany, szlachcic, który był przy nim, za czerwony złoty, a najwięcej dwa, na rękę wzięte, pozbył bez nadgrody sukni, szabli etc., czasem jeszcze do tego ręki, ucha lub kawała szczęki wyciętej, albo w cale i życia; bo nie tylko że się z przeciwnikami partii swego pryncypała rąbać musieli, popierając interes pański, ale też, popiwszy się, sami się między sobą o lada co rąbali. Tę drobną szlachtę zwozili panowie na sejmiki brykami, a po skończonym sejmiku rozpuszczali do domów pieszo, zamknąwszy garkuchnie i zniknąwszy im z oczu. Takie były traktamenta domowe i sejmikowe przez całe panowanie Augusta III.

O strojach, czyli sukniach

Na początku panowania Augusta III mało bardzo było panów używających stroju zagranicznego, wyjąwszy dom Czartoryskich, Lubomirskiego, wojewodę krakowskiego, i kilku innych, którzy jeszcze za

Augusta II przestroili się w niemiecką suknią. Podczas koronacji August III i wszyscy panowie polscy, żadnego nie wyłączając, byli w polskiej sukni. Lecz skoro August III zbywszy tę ceremonią wrócił się do rodowitego swego stroju niemieckiego, natychmiast i panowie wrócili się do niemczyzny. A nie tylko, że się ci wrócili, którzy w niej przedtem, jako się wyżej rzekło, chodzili, ale też inni coraz gęściej z czasem poczęli się przebierać po niemiecku, tak iż ku końcu panowania Augusta III ledwo dziesiąta część senatorów i urzędników koronnych zosta ta przy polskiej sukni. Nareszcie połowa narodu okryta się niemiecką suknią. Na wszystkich zjazdach publicznych prezentowały się oczom dwa narody: jeden polski, drugi niemiecki.

Młodzież, osobliwie powracająca z zagranicy, upatrywała dla siebie w stroju cudzoziemskim jakąś dystynkcją; i choć nie w jednej kompanii, mianowicie na sejmikach, tym polskim Niemcom fałdów przetrzepano jedynie z przyczyny stroju, na który krzywo patrzyli długo sektatorowie polskiej sukni, jednak takowe momentalne przypadki nie truty gustu paniczom do niemczyzny, gdy w nadgrodę od białej płci pierwsze względy odbierali. Jeżeli się do damy zebrało dwóch konkurentów równej fortuny i talentów, a było w mocy damy obierać sobie męża, bez wątpienia obrała sobie Niemca, a Polaka odprawiła. Jeżeli rodzicy lub opiekuni obierali pannie męża i byli za Polakiem, ale panna płakała, to mu kładli kondycją, aby się przebrał po niemiecku.

Dwie przyczyny miała płeć biała do wstrętu ku polskiej sukni: pierwsza, iż Polacy chodzący po polsku, jako nie wypolerowani za granicą w te umizgi, łechcące płeć białą, które modnisiowie za największą grzeczność obyczajów do kraju przywozili, zachowywali jeszcze maniery dawnym sarmatyzmem oddające; druga, iż kto się nosił po polsku, musiał oraz utrzymować wąsy, nie mogąc ich golić bez wystrychnienia się na błazna. Nic zaś tak nie odrażało od siebie Matą płeć jak wąsy, gdy miały podostatkiem w stroju cudzoziemskim gachów bez wąsów, a do tego równie jak niewiasty wypudrowanych, wyfryzowanych, wygorsowanych, wypiżmowanych. Jest to powszechnie w naturze lubić obmioty sobie podobne.

Mimo jednak tego powszechnego gustu znajdowały się takie heroiny, które za jakąś waleczność poczytały sobie oddać rękę mężowi Polakowi, ale taka była bardzo rzadkim ptaszkiem. Napisawszy tę różnicę sukni z okolicznościami do niej się ściągającymi, wieszam niemiecką czyli francuską suknią u krawca na grzędzie, niech sobie wisi albo

niech ją krawiec przerabia coraz na inną modę. Ja biorę w rękę kontusz jako rodowity strój polski i tym będę bawił Czytelnika mego.

Kontusz, żupan, pas, spodnie, czyli portki, i boty, czapka to było całym ubiorem publicznym Polaka, szlachcica i mieszczanina. Szlachcic przypasywał kontusz pasem. Kontusze zimowe bywały podszywane lekkim jakim futrem, gronostajami, popielicami, królikami, pupkami, susłami, kunami i sobolami, albo zamiast kontuszów podszywanych kładli...*

Mieszczanin opasywał się po żupanie, kontusz zawieszając tylko na ramionach, sznurem grubym jedwabnym lub złotym, albo srebrnym z kutasami na końcach pod szyją zawiązany, z tyłu na kształt paludamentu wiszący. Mieszczanin tak ubrany niósł w ręku laskę, czyli trzcinę grubą, w pas od ziemi krótką skuwką mosiężną u dołu okowaną, na wierszchnim końcu gałkę srebrną lub kokową z srebrną obrączką mającą, pod którą gałką przeciągnięta była przez trzcinę antabka srebrna lub też mosiężna, a u antabki wisiał sznur albo taśma z kutasami: jedwabna przez się, jedwabna srebrem lub złotem przerabiana, srebrna lub złota przez się, i zwała się ta taśma lub sznur temblakiem. Trzcina zatem była podporą, ozdobą i orężem mieszczanina, gdyż przy szabli nie godziło się chodzić mieszczanom, wyjąwszy krakowskich i magistraty poznańskie i wileńskie z dawno strużących przywilejów.

Szlachcic gdy wychodził z domu, przypasywał szablę do boku, brał w rękę obuch, który oprócz tego nazwiska mianował się nadziakiem i czekanem. Skład jego był taki: trzcina gruba na cal diametru, krótka w pas człowieka od ziemi, na końcu ręką trzymanym gałka okrągło – podługowata srebrna, posrebrzana albo w cale mosiężna, na drugim końcu u spodu osadzony mocno na tejże trzcinie młotek żelazny, mosiężny albo i srebrny, podobny końcem jednym płaskim zawsze do szewskiego, drugi koniec jeżeli miał płasko zaklepany jak siekierkę, to się zwał czekanem, jeżeli kończasto, grubo, nieco pochyło, to się zwał nadziakiem, jeżeli zawinięty w kółko jak obarzanek, to się zwał obuchem.

Straszne to było narzędzie w ręku Polaka, ile podówczas, gdzie panował humor do zwad i bitwów skłonny. Szablą jeden drugiemu obciął rękę, wyciąć gębę, zranił głowę, krew zatem dobyta z adwersarza tamowała zawziętość. Obuchem zaś zadał ranę często śmiertelną, nie widząc krwi; i dlatego nie widząc jej nie zaraz się upamiętał, waląc raz na raz i nie obrażając skóry łamał żebra i gruchotał kości. Szlachta chodząca z tymi obuchami najwięcej odbierała nimi zdrowie swoim poddanym, a często i życie. Dlatego na wielkich zjazdach, sejmach,

sejmikach, trybunałach, gdzie zazwyczaj częste działy się zabijatyki, nie wolno było pokazywać się z nadziakiem; w kościele zaś katedralnym gnieźnińskim wisi u wielkich drzwi tablica, ostrzegająca o klątwie na takowych, którzy by się do tamtego domu bożego z takim instrumentem prawdziwie zbójeckim wchodzić ważyli. – Instrument to był prawdziwie zbójecki, bo kiedy jeden drugiego końcem ostrym nadziaka trafił po zauszku, do razu zabijał wpędzając w skronie żelazo fatalne aż na wylot.

Szabla za czasów Augusta była rozmaita. Szabla prosta czarna, alias w żelazo oprawna, na rzemiennych paskach; i ta pospolita była zawsze szlachcie ubogiej; zamiast capy albo kurszu (są to dwa gatunki skóry, w które szable oprawiano) obszyta w węgorzową skórkę; nic to nie szkodziło, bo głownia, alias żelazo stanowiło taty szacunek. I nie tylko między drobną szlachtą, ale też między najmożniejszymi pany szabla przechodziła od ojca do syna, od syna do wnuka i tam dalej w sukcesji między najdroższymi klejnotami. Przy czarnej szabli także chodzili zawsze szulerowie, nocni grasanci, szałapuci, których to zabawą było obciąć kogo, nakarbować gębę gładką jakiemu galantowi albo Niemca jakiego przepędzić przez błoto w białych pończochach. W powszechności zaś czarna szabla używana bywała od wszystkich w okolicznościach, w których się spodziewano tumultu, a potem rąbaniny. Ci, którzy używali niemieckiego stroju, do takich okazyj brali pałasze niemieckie i rapiry obosieczne; na koniec szabla czarna służyła do pojedynku, najwięcej tym orężem odbywanego.

Szabla czarna staroświecka była zawsze krzywa. Z kuźnic wyszyńskich – najbardziej popłacała; dobroci jej próbowano, kiedy się dała giąć niemal do samej rękowieści i gdy się po takim zgięciu wprost wyprężała. Nastały potem szable proste, staszówki-, hiszpanki wąskie i lekkie, które nie tak wiele przy boku ciężąc, służyły dobrze do obrony i odpędzenia napaści niespodzianej. Rękowieści u szabel czarnych były z pałąkiem graniastym i małym skobelkiem, żelaznymi; ten pałąk nazywał się krzyżem, a skobelek paluchem, od wielkiego palca, który w niego wchodził. W dalszym czasie, kiedy sejmy i trybunały zaczęty bywać burzliwe, wymyślono do szabel takie krzyże, że całą rękę okrywały; i zwał się taki krzyż furdyment, składał się z prętów żelaznych jak klatka i z blachy w środku wielkości dłoni. Dla proporcji tak ogromnego krzyża dawano pochwy szerokie jak tarcice, choć do wąskich szabel, która moda przeszła potem do wszystkich szabel, nawet i do tych, u których były krzyże bez furdymentów. Tę modę niedługo

trwającą wymyślili Litwini, a od Litwinów przejęli korończykowie, musiała ona jednak bywać dawniej na świecie w Rzeczypospolitej Rzymskiej, kiedy poeta łaciński, nie wiem który – czy Horacjusz, czy Marcjalisz – napisał te wierszyki na jakiegoś Pomyka: „Grandi in vagina, Pontice, claudis acum", co znaczy po polsku:

W dużej pochwie Pomyka
Igiełka się zamyka.

Takie szable z szerokimi pochwami i wielkimi krzyżami nosili najwięcej ludzie dworscy, szulerowie i szałapuci, którzy mieli upodobanie kiereszować się w kordy po wiechach i szynkowniach, bo kogo pobili, to i obdarli, albo się im opłacił, jeżeli się nie czuł na mocy i serca nie miał. Wszakże gdy taki oręż, jako ciężki, psował suknią, wkrótce go zaniechano, osobliwie, kiedy łagodniejsze obyczaje po grubych i srogich następować poczęty. Do paradniejszego stroju używano karabelek tureckich, czeczugów tatarskich i patasików w srebro oprawnych albo pozłacanych, albo szmelcowanych; takich najwięcej wychodziło ze Lwowa, przez co zwano je zazwyczaj lwowskimi.

Nawiązanie do szabel i karabelów było dwojakiej mody: najdawniejsze było z pasków rzemiennych, obszernych, z sprzączkami i cętkami na końcach srebrnymi albo pozłocistymi; te paski utrzymowały szablę tuż przy pasie, tak iż krzyż szabli równał się z pasem; paski obejmowały sam bok lewy, schodząc się do węzła w tyle, na krzyżu człowieka nad pasem, czyli na pacierzu. Takim sposobem nawiązywane były rapcie, które tym się różniły od pasków, że były nie rzemienne, ale z jedwabnego sznuru, czasem same przez się, czasem srebrem lub złotem przerabiane, czasem z samego srebra lub złota. Dworacy, gaszkowie i paniczowie młodzi, jaki mieli żupan, takie zakładali i rapcie do karabeli lub szabli, w paskach zaś jedności koloru z żupanem nie przestrzegano.

Potem nastało nawiązanie długie tak, iż szabla wisiała pod kolanem i idąc trzeba ją było koniecznie albo trzymać za krzyż, albo nieść pod pachą, aby się między nogi nie wplątała i nie wywróciła. Paski i rapcie zachodziły na cały tył człowieka jak półszorek na konia. Ta moda, jako śmieszna i wielce niewygodna, nie trwała dłużej nad pięć albo sześć lat; została zarzucona i wrócono się do nawiązania krótkiego i wąskiego, nic a nic z tyłu nie zajmującego, tylko sam bok, co też niezbyt wygodno było, bo się szabla w chodzeniu tłukła po boku. Nastały potem paski z taśmów srebrnych lub złotych, sztuczkami srebrnymi odlewanymi lub srebrno-pozłocistymi gęsto nasadzane. Takich pasków zaży-

wano do samych pałasików, w oków srebrny i srebrno-pozłocisty oprawnych; nie służyły do szabli czarnej, to jest w żelazne skuwki oprawnej, ani do karabeli. Takie paski dla trwałości niektórzy podszywali spodem irchą białą, niektórzy, kochający przepych i zbytek, niczym nie podszywali. Kiedy w modzie było nosić nóż za pasem, starali się majętniejsi mieć u niego rękowieść z jakiego kamienia przedniego albo też z kości lub rogu, srebrem albo złotem nabijanej. Pochwa nożowa, pospolicie z skóry czarnej capowej zrobiona, ozdobiona była skuwkami srebrnymi, białymi albo pozłacanymi, zszyta misternie nicią srebrną albo złotą. I żeby się nóż nie wymknął zza pasa, była przy nim taśma na antabce odpowiadającej skuwkom, jedwabna, w kolorze albo srebrna, albo złota, i ta się kilka razy około pasa okręcała.

Pasy w pierwszym używaniu za mojej pamięci do publicznego stroju tak u szlachty, jak u mieszczan bywały jedwabne, siatkowe, szmuchlerskiej roboty, z końcami w sznurki kręconymi, w kolorach rozmaitych, lecz najwięcej w karmazynowym, z końcami, czyli kutasami, u chudszych jednostajnymi, u majętniejszych z srebrnymi lub złotymi. Takież pasy bywały wciąż na pól srebrem lub złotem przerabiane. Na powszednie chodzenie zażywano pasów taśmowych, rzemieniem podszytych, na klamrę żelazną, mosiężną, srebrną, pozłocistą, według przepomożenia i ambicji każdego, na przedzie zapinaną.

Zarzucili niedługo takie pasy siatkowe i taśmowe, wzięli się do pasów tureckich, perskich i chińskich; te ostatnie były to z wełny tak delikatnej robione, że choć był taki pas szeroki na dwa łokcie, przewlókł go przez pierścionek; nazywał się taki pas bawolim, służył do najbogatszej sukni, lubo nie miał żadnej innej ozdoby tylko szlaki, czyli brzegi, dziwnie w miłe kwiaty wyrobione. Samego pasa takiego kolor bywał jednostajny: zielony, pomarańczowy, karmazynowy i biały – i był w takim szacunku, że choć nie miał w sobie nic drogiego ani ozdobno prócz szlaków, płacono jednak jeden, osobliwie biały, kiedy był nowy, nieprzechodzony, do 50 czerwonych złotych. Lecz z trudna takie pasy nowe dostawały się do Polski. Najwięcej przychodziły od Turków i Persów, na zawojach dobrze podnoszone, a przez naszych Ormianów czysto wyprane, wyprasowane i za nowe przedawane.

Tureckie i perskie pasy były rozmaite, dłuższe i krótsze, szersze i węższe, sute i ordynaryjne, wszystkie jedwabne, rozmaitych kolorów i deseniów; srebrem i złotem bogato i skąpo przerabiane. Ordynaryjny pas turecki, mędelkowym zwany, płacił się najtaniej czerwonych złotych 4, stambulski-czerwonych złotych 12, perski – 16, 18 i wyżej, po-

dług gatunku, aż do czerwonych złotych 60. Prócz zaś takich pasów znajdowały się po pańskich garderobach pasy daleko od wymienionych dopiero droższe, albowiem jeden do czerwonych złotych 500 szacowano. Tak pas był długi łokci dziewięć, szeroki do trzech łokci, gruby jak sukno francuskie, tęgi jak pargamin; przeto też takich pasów nie używano do stroju, ale raczej trzymano dla zaszczytu garderoby pańskiej i na podarunki; bywał tkany z nici srebrnej lub złotej, albo po jednej stronie srebrnej, po drugiej złotej, kwiatami jedwabnymi w rozmaite kolory przerabiany. Nastały potem pasy słuckie, bogactwem i pięknością perskim i tureckim bynajmniej nie ustępujące. Każdy pas takowy, bogaty lub ordynaryjny, miał na końcu wyhaftowane słowa: „Factus est Sluciae", którymi różnił się od perskiego i tureckiego.

Po słuckich pasach dały się widzieć pasy francuskie w gatunku tureckich i perskich, ale kolorami dobranymi i żywymi daleko wszystkie pasy wyżej wyrażone celujące, z napisem na końcu: „a Paris". Rozmnożyła się na ostatku w Polszcze fabryka pasów rozmaitych po wielu miejscach, jednak przez to pasy nie staniały, wyjąwszy ordynaryjne tureckie, które gustownością nowych pasów zgaszone, pokupu do siebie nie miały.

Przyńdzie tu komu na myśl: kiedy fabryki pasów zagęściły się w kraju, dlaczegóż pasy nie staniały? Odpowiedź na to bardzo jasna: nie mamy w kraju naszym ani jedwabiu, ani złota ciągnionego, ani fabrykantów; wszystko to sprowadzamy zza granicy i utrzymujemy w kraju naszym kosztownie. Za czym pas zrobiony w kraju drożej kosztuje przy takim nakładzie niżeli zrobiony za granicą, gdzie się jedwab rodzi, a fabrykantów tak wiele, że się ledwo nie z łyżki strawy najmują do roboty. Nie tak jak u nas, co fabrykant sprowadzony godzi się na miesięczne lafy, a te wysokie odbierając, więcej pilnuje rozrywek albo i pijatyki niż warsztatu.

Czapki pod panowaniem Augusta były kilkorakiego gatunku; najpierwsze, które zaznałem, były z wąskim barankiem okrągłym, rozcinanym na przodzie i w tyle, z wierszchem czworograniastym, cienko bawełną wyścielanym; po szwach, gdzie się kwaterki schodzą, sznurkiem srebrnym albo złotym obkładane lub też rygielkami takimiż ujmowane. Po tych nastały czapki konfederatkami zwane; były to czapki właśnie takiego kroju, w jakich malują papieżów, co je zowią piuskami. Po konfederatkach nastały czapki kozackie z wysokim wierszchem, z wąskim barankiem, miałko wyścielane. Dalej weszły w modę czapki z wysokimi baranami, z wierszchem płaskim, od modnisiów jeszcze do

tego wgłąbsz barana wtłaczanym tak, iż nie widać było nic wierszchu, tylko sam baran na głowie. Forma takich czapek była ostatnia i utrzymuje się do dziś dnia z tą różnicą jedynie, że baranka zwężono, a wierszchu podniesiono; takie czapki zwały się w swoim początku kuczmami, a potem przezwano je krymkami od Tatarów krymskich, od których modę takich czapek Polacy przejęli. Do wszelkiego rodzaju czapek używano baranków naturalnych czarnych, siwych, kasztanowatych i białych, i pstrych; lecz najwięcej czarnych a siwych; innego koloru baranki były w guście tylko ludzi młodych i gaszków. Rodzaj baranków: węgierski, krymski i bugarski, jeden od drugiego porządkiem wyrażonym lepszy. Niekiedy też udał się baranek domowej owczarni, który uszedł za węgierski i bugarski, mianowicie wyporek, ale tylko w kolorze kasztanowatym, pstrym i białym; w czarnym i siwym nigdy.

Wierszchy u czapek rozmaitego koloru, zawsze sukienne, aż do ostatnich lat Augusta III, w których zaczęto używać na lato czapek z wierszchami bławatnymi, dla lekkości i chłodu. Kapeluszów albowiem chodzący w polskim stroju nie używali (wyjąwszy chłopów). A komu dogrzewał upał słoneczny, rozwieszał chustkę głowę i twarz okrywającą, aby się gaszkowi nie opaliła. O którą szkodę mniej dbając mężczyźni dawnego sarmatyzmu, łby wygolone jak kolano – zdjąwszy czapkę albo ją tylko na jednym uchu zawiesiwszy – na największym skwarze dystylowali. Jak nastały wierszchy bławatne, nastały oraz i baranki atłasowe; z czarnego atłasu na nić marszczonego robił się baranek czarny, z popielatego siwy, przedziwnie piękne i lustrowne. Podszewka do czapki zazwyczaj bławatna, starym ludziom, wygody, nie mody przestrzegającym, z lisiego futra albo łapek baranich. Takie czapki zwały się kapuzami, były zawijane i mogły się spuszczać na cały kark i zasłonić twarz, sam nos do oddechu i oczy do patrzenia zostawując gołe.

Senatorowie i majętni szlachta wieku podeszłego na wielką paradę zażywali kołpaków sobolich z wierszchami aksamitnymi karmazynowymi, granatowymi albo zielonymi, przypinając do kołpaka w środek opuszki sobolej nad czołem jaki kamień drogi świecący albo sygnet brylantowy, co Polaka dziwnie poważnego i ozdobnego wydawało. Krój kołpaka był ten sam co czapki krymki, lecz przez wysokość i ogromność opuszki sobolej wydawał się inakszym.

Spodnie ubranie, jednym słowem polskim powszechnym „portki" zwane u szlachty i mieszczan bogatych były z sukna francuskiego pąsowego lub karmazynowego, także z atłasu i adamaszku błękitnego. Po

szwach w kroku niektórzy te portki szamerowali galonkiem srebrnym lub złotym, niektórzy gładkich nieszamerowanych używali, niektórzy zaś mieli portki takie tylko rygielkami złotymi lub srebrnymi po tychże szwach ujmowane. Kogo nie stać było na galony i rygielki srebrne lub złote albo miał je za zbytek, a przecie lubił się do urodzi (jak mówiono) stroić, używał na to miejsce taśmy jedwabnej błękitnej i rygielków takichże, co tylko służyło do portek sukiennych. Spodnie były buchaste, przestrone, do samych kostek długie, żeby się zaś w zuwaniu bota nie zmykały z nogi do góry, dawano do nich strzemiona krajczane.

Długi czas pod panowaniem Augusta używali Polacy spodni zawiązywanych na uczkur; był to pasek jedwabny, siatkowy, z obdłużnymi końcami, kutasiki na czas srebrem i złotem przerabiane mający, na który spodnie nawlekano i onym zawięzywano sposobem na kształt chłopskich gaci, których do dziś dnia używają wieśniacy, z tą różnicą, iż oni swoje gacie sznurkiem zawiązują na boku. Szlachta zaś spodnie wyżej opisane zawiązywała na przedzie, prosto w rozpór, który zakrywały końce uczkura z kutasami, na wierszch spodni wydawane. Żeby fałdy zemkniętych spodni, szerszych zawsze od lędźwi człowieka, nie czyniły grubości i nie odymały sukien jak na kiszce, tak do sukiennych, jak do adamaszkowych lub atłasowych spodni dawano lisztwę po wierszchniej stronie bławatną, po wewnętrznej płócienną, pomiędzy którą przechodzi) uczkur; u sukiennych spodni lisztwa bywała ałtasowa błękitna, u adamaszkowych i atłasowych kitajkowa albo kitajowa u mniej majętnych. Zarzuciwszy uczkury, zaczęto nosić portki na guziki niemieckim sposobem zapinane.

Boty w używaniu były troistego koloru: żółte, czerwone i czarne. Cholewa u bota krótka, z tyłu łydkę całą, z przodu pół kolana dłuższym od tylnej części końcem – wichlarzem zwanym – zajmująca, z dwóch sztuk po bokach bota zszywanych składana, z przyczyny nogawic portkowych szerokich przestrona. Napiętek u bota łubem drewnianym, w środek skór zasadzonym, obwarowany, aby się nie koślawił i nie marszczył, pod napiętkiem podkówka żelazna, na trzy palce wysoka, u panów pobielana albo w cale srebrna, u chudych pachołków tylko pilnikiem cokolwiek pogładzona. W dalszym czasie panowania Augusta III nastały podkówki płaskie na kształt końskich, trzema ćwiekami do podeszwy przybite. Nareszcie podkówki wszelakie zarzucono, na miejsce których nastały abcasy skórzane, tak jak u niemieckich botów, ale niższe; i to była moda ostatnia bota polskiego pod panowaniem III Augusta.

Poki trwały w modzie podkówki, przy każdych jatkach szewskich po wielkich miastach znajdował się kowal, który wszelkiego rodzaju boty podbijał podkówkami, według mody używanymi, biorąc za proste po groszy sześć, za pogładzone pilnikiem po groszy dwanaście; pobielane i srebrne wychodziły od innych majstrów. Białogłowy także gminne zażywały do trzewików małych podkówek, które do nich przybijał ten sam kowal za zapłatą trzech groszy od pary. I taki kowal nie robił żadnych innych sztuk przy wielkich miastach, mając dosyć zatrudnienia i pożytku z samych podkówek.

Pospólstwo i szlachta drobna różniła się od uboższych jeszcze od siebie botami, u których były przyszwy nowe czarne, a cholewy żółte lub czerwone podszarzane, z żądzy – zwyczajnej naturze ludzkiej – pokazania się czymsić więcej, niż jest, chcąc każdy takowy zostać w rozumieniu, jakoby miał wprzód nowe żółte lub czerwone boty, a te znosiwszy, kazał przez dobrą ekonomią podszyć czarnymi przyszwami, choć w samej rzeczy takie kupił od szewca jako tańsze od żółtych i czerwonych nowych, acz cokolwiek droższe od w cale czarnych, pospolitych. Skąd urosło szyderskie przysłowie: „Znać pana po cholewach."

Koszula polska miała rękawy szerokie, około pięści zawijane, kołnierz wąski, tasiemką zawiązywany pod szyją albo szpinką srebrną, złotą lub rubinkową zapięty, którego nic spod sukni widać nie było. Długość koszuli u tych, którzy staropolskim obyczajem nosili gacie płócienne na gołym ciele, spodem portek, nie dochodziła kolan. U tych, którzy już zarzucali gacie, spuszczała się do pól goleni.

Opisawszy każdą sztukę z osobna do stroju należącą, obaczmyż teraz Polaka w to wszystko w czasach swoich ustrojonego. Najdawniejszą zaznałem modę pod panowaniem Augusta III kontusz i żupan, długi niemal do samej ziemi, w plecach wąsko – podług miąższości człowieka – przykrojony, od pasa do dołu fałdzisty, z przodu opięto, kołnierzyk wąziuchny tak u żupana, jak u kontusza, u którego zapinał się na jednę pętelkę. Od szyi do pasa spod kontusza wąskiego dawał się widzieć żupan. Dembski, marszałek Załuskiego, biskupa krakowskiego, Szaniawski, starosta kąkolownicki, i Kraszewski, natenczas dworzanin wojewody kijowskiego, trzej patriarchowie mód polskich, jakie mieli żupany, takiego koloru wdziewali i boty: żółte, czerwone, zielone, błękitne etc., ale tego ich gustu nicht więcej nie naśladował. Rękawy tak u żupana, jak u kontusza wąskie, wyloty u kontusza od pachy aż do łokcia otwarte, którymi wyglądał żupan. Poły u obojga nic a nic nie-

założyste i tylko brzegami poła poły dosięgająca, w siedzeniu i chodzeniu otwierając się, widok spodni sprawowała. Ten widok upoważniał albo upodlał osoby. Jeżeli albowiem portka była czysta, nowa, bogata, wrażała patrzącym rozumienie, że ten, co się tak nosił, jest pan, majętny człowiek. Jeżeli pokazały się portki dziurawe, łatane, wytarte, zafolowane, była konwikcja, iż osoba w takich chodząca małego jest wątku. Przeto też, kiedy błoto uginać się w takim długim stroju chodzących przymuszało, ci, co mieli dobre portki, brali fałdy sukien w rękę z tyłu, podnosząc je tym sposobem do góry, aby się nie szargali, i było to podług przysłowia metaforycznego: „Nieść zadek w garści." Ci, co mieli złe portasy, zawijali poły na przedzie jednę na drugą, podkasując tym sposobem sukien wyżej trochę nad pół goleni, aby podkasawszy się wyżej, kolanami lub giczelami przez złe portki nie błyskali.

Poki suknie długie były w modzie, czupryna także była długa, z tyłu i z przodu wszędzie równo okrągła, rzęsista, pół czoła z przodu, a z boków pół ucha zajmująca, spod której cały kark goły wyglądał.

A że pod owe czasy karety nie były nikomu znajome po miastach, tylko wielkim panom i posłom podczas sejmu, a reszta szlachty i wszelki lud możny i ubogi roił się pieszo po ulicach, przeto moda długich sukien, jako wielce na błoto niewygodna, ustawać poczęła jakoś około roku piętnastego panowania Augusta i we dwa roki najdalej od początku ustawania zupełnie ustała. Na jej miejsce nastała insza, w cale kusa i we wszystkim od pierwszej różna. Kontusz i żupan ledwo zakrywały kolano, krój od kołnierza do pasa haniebnie buchasty, tak iżby mógł wygodnie pod pachy włożeć po bochenku chleba; kołnierz u kontusza wykładany wysoki, zachodzący prawie na kark cały; rękawy długie aż do palców, szerokie jak wory i dla zbytecznej długości fałdujące się na ręku, z wylotami maleńkimi, ledwo znak żupana ukazującymi, często do góry od tejż ręki, aby jej wcale nie skryty, pomykania potrzebujące. Od pasa do dołu żadnego fałdu ani z przodu, ani z tyłu, wydawały człowieka jakby nie w sukni przykrojonej, lecz jakby w kawał sukna obwiniętego. Poły na przedzie zakładały się jedna na drugą aż pod same pachy. Nie potrzeba się było w takim stroju obawiać rozczosnięcia, bo tak szczupły krój – a przy tym otulony około człowieka – ledwo dawał sposobność uczynienia zamaszystego kroku. Spod takich sukien portki wielkie, buchaste, na pół cholew opuszczone, nieprzywykłym oczom w czasy pogodne śmieszną, a podczas błota, zachlastane tymże, plugawą Polaka wystawiały postać; lecz póki co jest w modzie, póty za dobre uchodzi, choćby było najgorsze i najniewygodniejsze.

Pod tę modę czupryna zredukowaną została do kilku włosów na samym wierszchu pozostałych, dla czego takie głowy, młokosom, dworakom najwięcej upodobane, poważniejsze osoby nazwały głowami cybulanymi, przez podobieństwo do cybuli, wśród gładkiego kręgu swego mały kosmek mającej.

Pasów do takiego stroju zażywano jak najdłuższych i jak najszerszych. Ze zaś do miary grubości i szerokości, pretendowanej w modnym opasaniu, pasy żadne nie wystarczały, przeto zwijali w kupę po dwa i po trzy pasy, ubożsi modnisiowie kładli ręczniki, prześcieradła albo pakuły. Guz na przedzie wiązano jak bochen chleba i ten z pasem musiał być spuszczony aż na lędźwie; końce zaś pasa pozakładane w tył człowieka. Wielu jednak z panów starych tę modę, czerkieską nazwaną, miarkowali pośrednią z starej i nowej kompozycją, używając sukien nie tak długich i szczupłych jak pierwsze ani nie tak kusych i buchastych jak drugie. Opasowali się także niezbytnie grubo. Wojewoda zaś wołyński Potocki, starzec dużoletni, do samej śmierci żadnego pasa nie używał, opasując się samymi od szabli paskami, zachowując modę dawniejszych lat, która podobno pod Augustem II, ale już nie pod III panowała. Czupryn także wielu z nich nie podgalało zbyt wysoko, żaden jednak nie nosił staroświeckiej czupryny wyżej opisanej.

Boty wyścielano słomą, a stopy nóg obwijali w chusty płócienne latem, do których w zimie przykładano dla ciepła kuczbaje, i zwały się takie płaty bądź płócienne, bądź kuczbajowe onuczkami; słoma zaś w bot używana – wiechciami. Najwięksi panowie, senatorowie, hetmani, w polskim stroju chodzący, używali wiechcia do botów, i była to funkcja chłopców hajduków i pajuków co dzień kłaść panu w boty świeże wiechcie, strzygąc słomę w miarę bota nożyczkami albo też przecierając ją w ręku do tejże miary. Przed końcem panowania Augusta najprzód onuczki, a potem wiechcie skasowane zostały, bo się już coraz większe ochędóstwo w stroju polskim zajmowało, do którego wielką przyczynę, ile względem nóg, dały wprowadzone podłogi woskowane, które się z wiechciami i barłogami z nich zrobionymi nie cierpiały. Miejsce wiechciów zastąpiły podeszwy pliśniowe, kuczbajowe, burkowe albo kapeluszowe. Onuczki zaś przemienione zostały na szkarpetki i meszty tureckie. Co do ciepła i zdrowia, lepsze były wiechcie słomiane od jakichkolwiek podeszew, ponieważ słoma to ma do siebie, iż wyciąga wilgoć, dla zbytku której niejednemu przeraźliwie nogi śmierdzą. Co do ochędóstwa albo polityki ochędożniej pokazuje się gość w domu uczciwym, kiedy położy na taborecie szkarpetki z nóg zdjęte i pode-

szwy wyjęte z bota dla przesuszenia, niż kiedy, jak przedtem bywało, porozwiesza onucze, potem z nóg i kwasem z bota przejęte i wyciągającym się przy wszelkiej ostrożności za nogą wiechciem z bota podłogę woskowaną zabarłoży.

Trzecia i ostatnia moda polskiej sukni po owej buchastej nastąpiła ostatnich lat Augusta III, moda w cale przystojna, ani zbyt kusa; ani zbyt długa. Krój w cale przystojny, niezbyt opięty, niezbyt fałdzisty, rękawy gładkie, sudanne, wyłogi na przedzie u kontusza obdłużne i wyloty u rękawów takież, dosyć żupana na widok wystawujące, który ponieważ się prędko brudził w tych otworach, przeto wymyślili bluzgiery, to jest łaty z takiejż materii, przyszyte na przedzie. Koszule nastały z kołnierzami wąsko na żupanowy wąski kołnierz wykładanymi, takież kołnierzyki u rękawów koszuli na wierszch żupana wywijane, szpinkami metalowymi, a u panów wielkich perłowymi albo diamentowymi zapinane; w tym czasie z trudna kiedy rękawy kontuszowe zawdziewano na ręce, ale pospoliciej zakładano je na plecy. Żupany aż do tego czasu u korończyków były całkowite, z jednej materii w tyle i na przodkach. Litwini tył żupana robili z płótna, choćby do najbogatszego żupana.

W tenże sam czas zagęściły się zegarki, dewizki do nich, szpinki pod szyję diamentowe albo brylantowe i pierścienie na ręce, które Polakom wiele do stroju ozdoby przydawały. Z początku jak się zagęściły zegarki, Polacy nosili je w kieszonkach małych u żupanów, na prawym boku, Niemcy w spodniach, dewizki, łańcuszki i taśmy z kutasami srebrne, złote lub z jedwabiem przerabiane wystawując na widok. Potem

Polacy zegarki przenieśli za kontusze na przód piersi, a Niemcy zostawili swoje w dawnym schowaniu.

Poczęli także Polacy używać kontuszów materialnych, bławatnych i kamlotowych tudzież do czapek wierszchów materialnych koloru żupanowi odpowiadającego. Kontusz bławatny albo kamlotowy już się odtąd nie zwał kontuszem, ale kubrakiem. Na ostatek Polacy, coraz lepiej naśladując kobiecą pieszczotę w stroju, wymyślili pod bławatne kubraki żupany muślinowe, czerwoną albo zieloną kitajką podszywane, zamiast której mniej majętni dawali płótno glancowane takichże kolorów. Zimową porą najdawniej zażywali wilczur, atłasem karmazynowym podszywanych, na sznur gruby srebrny lub złoty, z kutasami, pod szyją zawięzywanych. Te wilczury, w powozach siedząc, wdziewali na rękawy i otulali się nimi, chodząc zaś pieszo lub jadąc konno, zawie-

szali na sobie za ów sznur na bakier, to jest przykrywając jedno ramię i bok, a drugie na powietrze wystawując; a gdy jedna strona uziębła, obracali wilczurę na drugi bok naziębiony. Wilczury, lubo od wilczego futra miały nazwisko, nie wszystkie jednak były robione z wilków; nosili możniejsi krzyżakowe, marmurkowe i barankowe czarne i siwe; te zaś barankowe, iż mniej miały ciepła niż inne wysokiego włosa, podszywali gronostajami. Wilczury z wilków czym bielsze, tym były droższe; wszakże kiedy wilczura była z wilków brunatnych, jak marmurkowa albo krzyżakowa, drożej była szacowana od białej, kosztowała czasem taka do stu czerwonych złotych i nie okrywała, tylko panów wielkich i dobrze majętną szlachtę. Ordynaryjna wilczura kitajem podszywana, jakich najwięcej zażywali szlachta mniej majętna, skąpcy i służący ludzie, nie była droższa nad czerwonych złotych sześć, pięć aż do czterech, a taka pospolicie była z wilków krajowych. Podolskie, szwedzkie i sibierskie wilki podług gatunku dobroci jedne drugich ceną przewyższały. Bywały też wilczury z białych baranków lustrownych, gronostajami podszywane, ale bardzo rzadkie.

Wilczur używali zarówno tak Polacy, jak Niemcy, czyli Polacy po niemiecku wystrojeni. Lecz nie wszyscy; najwięcej używali panowie niemieckiego kroju płaszczów sukiennych pąsowych, ze złotymi guzikami i pałetami do rozporów ku wytchnięciu rąk służących, rozmaitym futrem, najczęściej krzyżakami, podszywanych. Lubo jeszcze długo były używane wilczury dopiero opisane, jednak już rzadko. Moda wniosła bekiesy; te dają się jeszcze po dziś dzień widzieć w miejskim stanie i między szlachtą ubogą. Bekiesa jest to suknia futrem podszyta, krojem kontusza zrobiona, z zaszywanymi rękawami, tak dostatnia, żeby mogła wniść na żupan i na kontusz, z pętlicami i sznurkami do zawiązywania.

Najpierwsze bekiesy pokazały się w żółtym kolorze, siwymi barankami jak najprzedniejszymi u panów podszyte, z srebrnymi albo też błękitnym jedwabiem ze srebrem przerabianymi potrzebami; chudsi dawali potrzeby same błękitne, baranki pod spód jakie takie, z opuszką czyli wyłogami lepszymi, siwymi albo czarnymi. Tak się nagle zagęściły żółte bekiesy, iż nie było dworaka ani modnisia, który by jej nie nosił.

Działo się to przez kilka lat na znak akomodacji królowi Augustowi. Iż on liberią dworowi swemu od parady dawał żółtą, więc panowie używając takich bekiesów pokazywali się królowi być życzliwymi sługami, choć w sercu inakszymi ku niemu byli. Lud zaś mniejszy, nie

zapatrując się na tę tajemnicę i nie myśląc o niej, tylko z zapatrzenia się na panów, rzucił się do żółtych bekiesów, a skoro te panowie porzucili, i on porzucił. Żółty kolor jak się nagle pokazał, tak też nagle zginął; ale bekiesy w długim zostawały używaniu w rozmaitych kolorach, rozmaitym futrem podszywane; i te dostały się do czasów Stanisława Augusta.

Po zgaśnieniu żółtych bekiesów nastały kiereje karmazynowe, wilczym futrem podszywane; ta suknia jest bez stanu w pasie, z rękawami szerokimi, u niektórych przy pięści wąsko ścinanymi, u niektórych, osobliwie Niemców, równo od ramienia do końca szerokimi. Kiereja nie rugowała bekiesy; lubiący ciepło i podróżni odziewali się razem i bekiesą, i kiereją. Karmazynowa kiereja oprócz ciepła, zwyczajnego każdemu kolorowi dobrym futrem podszytemu, przydawała i honoru, poki była w modzie. Kto nie miał kierei karmazynowej, poczytany był za chudego pachołka. A co znaczyła kiereja karmazynowa, toż samo znaczyła opończa tegoż koloru adamaszkiem albo atłasem błękitnym podszyta, takiegoż kroju jak kiereja będąca: z przydanym kapturem do nakrycia głowy służyła od deszczu wszędzie i od kurzawy w drodze. Mieszczankowie małych miasteczek i szlachta drobna przylgnęła upodobaniem do kierejów, ponieważ one służyły im tak do stroju, jako też do podróży, w dzień za suknią i opończą, w nocy za pierzynę. Kierejka była distinctorium tych dwóch stanów, z tą różnicą, iż kto był w kierejce przy szabli, uznawany był za szlachcica; kto bez szabli, tylko z trzciną w ręce, za mieszczanka; lecz kiereje takiego drobnego ludu nie były karmazynowe ani wilkiem podszyte, tylko kuczbają, najwięcej czerwoną, mniej zieloną lub białą, pod wierszchem z sukna prostego granatowego albo popielatego.

Litwini kiereje swoje karmazynowe podszywali niedźwiedziami czarnymi albo szarymi, czyli marmurkowatymi. Od Litwinów przejęli modę korończykowie podszywać kiereje niedźwiedziami. To futro nie tak obłazi jak wilcze, ale też za to nie jest tak ciepłe jak wilki, choćby z najokrytszych i młodych niedźwiadków, ponieważ niedźwiedź nie ma tyle puchu pod długim włosem co wilk i skóra niedźwiedzia jest dziurkowata, za czym łatwiej ją wiatr przedyma niż wilczą, gęściejszą i kosmatszą.

Karmazynowy kolor trwał trochę dłużej nad żółty; zgasł jednak najdłużej po dziesięciu leciech; rzucili się do kierejów zielonych, które się lepiej do wilków stosowały, a potem do rozmaitych kolorów. Kiereje jednak, choć się w barwę odmieniły, jednak nie zaginęły, jako naj-

wygodniejsze okrycie zimowe czy to w mieście, czy w drodze, ale nie były tak powszechne jak z początku swoich narodzin.

Delie wymyślone odebrały im większą połowę nosicielów, osobliwie młodych ludzi. Delia niczym się nie różni od kierei, tylko jednym stanem wciętym w miarę pasa, którego nie ma kiereja. Gdy nastały delie, nastały też razem i opończe wcinane rozmaitego koloru, atłasem błękitnym podbijane; i była to suknia, w której godziło się wnińść do pokoju, gdy przeciwnie w opończy bez stanu, choćby karmazynowej, wnińść do pokoju byłoby grubiaństwem. Lecz takich opończów, jako z przedniego sukna francuskiego robionych, nie nosił lud pospolity, tylko sami możni, a najwięcej dworzanie. Te delie przezwali potem czujami, choć się przez to nazwisko w niczym nie odmieniły.

Jeszcze się muszę wrócić do kontusza i żupana.

Najdawniejsi Polacy na strój codzienny zażywali żupanów sukiennych karmazynowych, do których pod szyją przyszywali drobne guziczki srebrne lub pozłociste z małymi w końcach osadzonymi rubinkami. Kontusze także nosili sukienne z dużymi sześcią guzami w formie głogu, wielkości orzecha laskowego; te guzy bywały białe srebrne, srebrne szmelcowane i marcypanowe albo pstro pozłacane z rubinkami małymi; mniej majętni zażywali takich guzów z prostego krwawnika, kolbuszowskiej i głogowskiej roboty, których sześć nie więcej kosztowało nad dwa tynfy, teraźniejsze dwa złote i groszy szesnaście.

Suknią odświętną były: kontusz sukienny różnego koloru, żupan ałtasowy karmazynowy, bez guziczków, albo żółty. Kontusze i żupany sukienne bramowali Polacy sznurkami jedwabnymi takiegoż koloru, jakiego był kontusz i żupan, albo też srebrnymi i złotymi; w kontuszach najwięcej używali ciemnych kolorów. Mieszczanie pomniejszych miast zażywali żupanów żółtogorących, łyczakowych; a że ta materia, atłasowi podobna, robi się z włókien, czyli łyków konopnych, dlatego mieszczanków pospolicie nazywano łyczakami; szlachtę zaś od żupana karmazynowego, najwięcej zażywanego, karmazynami.

Potem nastały kontusze aksamitne, atłasem podbijane, do żupanów bławatnych; dalej znowu kontusze sukienne drugim suknem takiego koloru, jakiego był żupan, podszywane; dalej weszły w modę kontusze bez podszewki, sukienne, koloru pieprzowego, z żupanami aksamitnymi zielonymi; znowu kontusze i żupany z jednakowego sukna, z grubym jak bicz furmański sznurem srebrnym lub złotym, to z plecionkami takimiż, to na koniec z brzegami dokoła kontusza suto haftowanymi, to z wycinanymi dokoła w ząbki albo w łuszczkę rybią brzegami,

jedwabiem koloru takiego jak żupan obdzierzganymi. Niedługo ta moda trwała; zarzucili hafty, dzierzgania, galony, taśmy, sznurki, które dawali do kontuszów i żupanów sukiennych, a wnieśli modę gładką, bez wszelkich potrzeb, ale rękawy u kontuszów i poły podszywali kitajką, grodetorem lub atłasem różowym, choć przy sukiennym żupanie. Kiedy zwierszchnia suknia miała zaszyte rękawy, zwała się czechmanem i taką będąc, musiała być podszyta takim suknem, jakiego był żupan. Kiedy zaś suknia zwierszchnia miała rękawy z wylotami, zwała się kontuszem, chociaż była podszyta jak pierwsza. Na żupany bławatne modnisiowie przywdziewali kaftany krótkie, za pas nieco występujące, z takiej samej materii, jakiej był żupan; to było częścią dlatego, aby się żupany na podbródku, którego nigdy kontusz nie zakrywał, nie smoliły, częścią dla okazania dostatku. Były też czechmany zapinane na drobne guziczki szmuchlerskiej roboty aż do samej szyi, sukienne, z wąskim wykładanym kołnierzem aksamitnym; lecz takich mało noszono, ponieważ czyniły porozumienie złe o żupanie.

Nie wiedzieli panowie, jak się mieli różnić od szlachty; jakąkolwiek oni modę wymyślili, wnet ją widzieli na szlachcie. Kazał sobie pan obsadzić dokoła perłami kontusz, szlachcic, choćby mu przyszło żonę i córki poobdzierać z pereł, musiał także po pańsku swój kontusz uszamerować albo przynajmniej ze srebra narobić guziczków, perłom podobnych. Przypiął pan do kontusza jaką bogatą z diamentów i drogich kamieni konchę, syn szlachcica, dobrze majętnego, na matce, na siostrach, na ciotkach, na stryjenkach wytargował zausznice, manelki, pierścionki, z których sobie podobną w kształcie, choć nie w szacunku, zrobił.

Piotr Sapieha, wojewoda smoleński, którego ta emulacja najbardziej mierziła, medytując, jak by się wystroić tak, żeby go żaden z szlachty nie naśladował, kazał sobie zrobić czechman multanowy biały, błękitnym aksamitem podbity, przyszywszy do niego order. Udała mu się na pierwszych sądach w Poznaniu wyśmienicie taka sukni dystynkcja; on sam jeden w czechmanie multanowym paradował. Lecz przyjechawszy na drugie sądy, niemal wszystkich obywatelów województwa poznańskiego w czechmanach multanowych, choć nie w cale aksamitem podbitych, to przynajmniej nim obłożonych, zastał. A jeszcze bardziej zdziwił się, kiedy tegoż roku w Warszawie pełno multanowych czechmanów obaczył. Darował swój kucharzowi; i natychmiast czechmany multanowe z panów na kuchtów, masztalerzów i podstarościch poprzechodziły.

Choć ja w całym tym opisaniu stroju usiłowałem wyrazić wszystkie odmiany kroju i materiów pod Augustem III używanych, zapomniałem jednak położyć w swoim miejscu żupanów dymowych białych, latem od dworzan i innej szlacheckiej i miejskiej drużyny używanych, z tasiemką wąską, jedwabną, w ząbki robioną, około kołnierza i na przednim licu od szyi do pasa przyszywanych; także pasów kałamajkowych w różnym kolorze, z szlakami w rozmaite kwiaty jedwabną, srebrną i złotą nicią wyszywanymi, z frandzlą na końcach złotą lub srebrną. Te pasy były zażywane w jednym czasie z pasami siatkowymi, nim nastąpiły pasy tureckie i perskie.

Do podróży używali Polacy zamiast kontuszów kurtek zielonych sukiennych, kitajką czerwoną podszytych, z maleńkimi na przedzie i około rękawów guziczkami szmuchlerskiej roboty, do kształtu, nie do zapinania służących; a to tylko latem; w zimową porę nosili takież kurtki barankami, rysiami, lisami i wilkami podszywane. Na żupan obłóczyli szarawary wielkie sukienne, popielate albo zielone; i to był strój podróżny każdego dworskiego, na koniu przed karetą jechać podług zwyczaju obowiązanego w ładownicy i przy szabli.

Lubo nie założyłem sobie opisowania stroju niemieckiego, dotchnąć go atoli w przedniejszych okolicznościach muszę. Używający takiego stroju Polacy przesadzali się na galony i hafty sukien jak najsutsze, po wszystkich szwach dawali galony albo kolbertyny tak szerokie, że ledwo spod nich cokolwiek sukna widzieć można było. Toż potem nastały hafty bogate do zimowych sukien i jedwabne do letnich. Te sprowadzali z Francji; haft w materiach pomienionych był tak ułożony w sztuce, jak i w których miejscach miał przypadać w sukni. Do mankietów około rąk i gorsów na piersi u koszul używali koronek brabanckich, których para z gorsem do jednej koszuli kosztowała pięćdziesiąt czerwonych złotych. Na wielką galę panowie pierwszej rangi dawali do sukien wszystkie guziki z samych diamentów, brylantów i innych najdroższych kamieni

robione; w inne zaś czasy używali guzików srebrnych albo złotych, odlewanych na fason szmuchlerskiej roboty albo też w cale szmuchlerskich.

Głowy nosili jedni w naturalnych włosach, podług mody fryzowanych, drudzy w pudrowanych, inni, najwięcej starzy, w wielkich perukach pół policzków zastępujących, z lokami, czyli po polsku kędziorami, na plecy spadającymi. Młodsi końce peruk albo włosów przyrodzonych kładli w worki kitajkowe czarne, płaskie, na plecy spuszczone.

A insi całą głowę strzygli tak nisko jak benedyktyni, pudrem posypawszy; i to się zwało – po szwedzku. Ci, którzy nosili włosy naturalne, przykrywali głowę kapeluszem; którzy mieli peruki, nie kładli na nie kapeluszów, ale jakiekolwiek kapeluszysko stare pod pachą gnietli. Potem zaś, kiedy puder wszedł generalnie na wszystkie głowy, nie nakrywali głów, a ukłony sobie kapeluszem spod pachy wyjętym oddawali; nie nakrywali dlatego głowy, ponieważ fryzura modna, wytrefiona i grubo pudrem przyprószona, traciła od kapelusza swoje ułożenie, kapelusz się pudrem oblepiał i kiedy w izbie musiał z głowy przenieść się pod pachę, suknią plamił. Było tedy śmieszno Polakowi, ciepłą czapką głowę nakrytą mającemu, widzieć Niemca w najtęższy mróz z gołą głową po ulicy biegającego, a w futrze ciężkim, wilczym albo niedźwiedzim, albo innym, lecz moda wszystko wytrzyma.

Z tym wszystkim, kiedy miał mieć audiencją w senacie turecki poseł, wtenczas panowie niemieckiego stroju brali kapelusze do nakrycia głowy zdatne. Albowiem iż Turcy zawsze mają głowę turbanem przykrytą, więc aby Polacy nie zdawali się być dla posła z odkrytymi głowami, skoro Turczyn wchodził do senatu, natychmiast wszyscy senatorowie nakrywali głowy czapkami albo kapeluszami.

O strojach białogłowskich

Musiałbym zażyć do tego opisania jakiej starej ochmistrzyni, żebym mógł opisać doskonale wszystkie suknie kobiece i stroje, których używały pod panowaniem Augusta III białogłowy polskie pierwszego i pospolitego stanu. Lecz i ta, gdyby się jeszcze dziś znalazła, byłaby bardzo stara, a zatem do regestrowania wszystkich mód, dla osłabionej pamięci, w kobietach prędzej niż w mężczyznach wietrzejącej, niesposobna. Więc sam, ile co pamiętam, Czytelnikowi wystawuję. Zaczynam od głowy, jako pierwszego obmiotu, gdy kto na drugą osobę rzuca okiem.

Panny senatorskiej i szlacheckiej kondycji tudzież magistratowe i kupieckie córki nosiły głowy z warkoczami plecionymi, rozpuszczonymi, wstążką przeplecionymi. Skronie otaczała przepaska muślinowa z wąską koronką nicianą, wstążkami rozmaitymi w pukle powiązanymi opięta. Nad czołem na wierszchu głowy przypinały kwiaty ogrodowe, rozmaryn, lewkonią, gwoździk, tulipan, a zimową porą włoskie kwiatki albo też własnych rąk roboty jedwabne, naturalne kwiaty naśladujące.

Te bukiety zdobiły bajorkiem srebrnym i rozmaitymi blaszkami świecącymi. Przypinały do tych bukietów czapki i kapelusze maleńkie, wielkości naprasztka, z materii jedwabnej, także ptaszki rozmaite z jedwabiu wyrabiane. Potem warkocze obkręcały około głowy, nie przydając wstążki do plecienia, a na ostatku postrzygły warkocze, krótkie włosy po karku, tak jak i mężatki, rozpuszczając. Już wtenczas strój głowy był jednakowy wszystkim niewiastom, pannom, mężatkom i wdowom. Kapiki materialne bogate, używane od mężatek i wdów, zostały zarzucone od wszystkich młodych, świcąc się jeszcze niejaki czas na letnich białogłowach, wiekiem obciążonych, wygodę głowy nad modę przekładających. Rzuciły się wszystkie młode panny i nie-panny do kornetów, których kształtu opisać trudno, ponieważ ten odmieniał się niemal co miesiąc. Zawisł zaś na rozmaitym składaniu, fałdowaniu, strzępieniu, wykrawaniu, bryzowaniu muślinu, rąbku, koronek i wstążek.

Najdawniejsze kornety były dwoiste: żółto farbowane jak opłatki i białe. Żółty kornet szedł na spód, biały na wierszch; noszone były dwojako: raz opuszczone na policzki, zawiązane wstążką pod szyją, drugi raz zawinięte w górę. Żółte kornety pod panowaniem Augusta III niedługo zostały zaniechane, nie używano ich więcej jak lat pięć albo sześć pod tym monarchą, wyjąwszy Radzewską, podkomorzynę poznańską, która przeżyła Augusta III, używając do samej śmierci kometa żółtego starym krojem i całego stroju staroświeckiego. W zimową porę na kornet zażywały dueta aksamitnego czarnego, karmazynowym albo różowym atłasem lub kitajką podszytego, bawełną prześciełanego i koronką czarną obłożonego, pod szyją wstęgą pąsową albo zieloną zawiązanego. Ten duet był dwojaki: najpierwszy był szczupły, wierszch głowy i skronie z uchem przykrywający. Potem nastał duet wielki, szeroki, okrywający całą głowę, cały kark i występujący nad twarz na dobrą dłoń, tak iż w takowym duecie pod gębą podwiązanym wydawała się twarz jak w głębokim pudle. A kiedy w nim czuły zbytek ciepła, to go zawijały w miarę skroni. Duety nie trwały dłużej nad dziesięć lat. Potem nastały kołpaczki aksamitne, zielone i pąsowe, z opuszką sobolą, z końcem lijkowatym na ramię spadającym, z kutasem złotym lub srebrnym.

Po kołpaczkach, niedługo zarzuconych, nastała moda kornetów wielkich, najeżonych na drutach, w których modnym damom było ciepło, choć w trzaskący mróz, bo moda grzała; wszakże do tego ciepła modnego przybierały na głowę czapeczki małe płócienne, przeszywa-

ne, białe, ogromności żydowskich krymek, te zaś sztucznie włosami swymi przykrywały tak, iż kornet zdał się siedzieć na gołej głowie. Takie kornety wywożono z Paryża, a na wzór paryskiego upinano podobne w Warszawie, skąd rozchodziły się po całym kraju. Choć zaś w domu mogłaby sobie niejedna taki kornet upiąć, imaginacja jednak dowodziła na oko, iż żaden nie mógł być tak piękny jak warszawski; dlatego wiele paniów obywatelek warszawskich miały znaczny zysk z kornetów, chowały po kilka dziewczyn do upinania kornetów, same będąc im do przykrawania i kombinowania materklasów kornetowych majstrami, czyli mistrzyniami. Najtańszy kornet był za dwadzieścia złotych, najdroższy dukatów sześć, choć cały jego towar niewart był dziesięciu złotych, a dziewczyna sprawna mogła upiąć na dzień dwa. Lecz gust najwięcej przydawał tej drożyzny rzeczom z siebie podłym. Urzędowe upinaczki kornetów siedziały z swoimi dziewczętami w sklepach, z oknami – w zimie dla ciepła, w lecie dla kurzawy – zamkniętymi, przez które okna przeglądające ładne twarzyczki zwabiały kupców do kornetów; czasem mimo potrzebę, jedynie dla umizgów kupujących.

Nie bardzo miłego mógł się spodziewać przywitania mąż od żony, przyjeżdżający z Warszawy bez korneta, o który najpierwsze na przywitaniu było pytanie. Jeden wielce gniewliwą jak osę mający żonę kupił dla niej kornet modny. Jedzie wesoły do domu, pewien miłego przywitania; lecz na nieszczęście od pudełka źle umieszczonego zginęło w drodze denko z kornetem. Mąż, przybywający do domu ciemnym mrokiem, a przy tym podochocony w nadzieję korneta, bierze pudełko w ręce, niesie prosto i oddaje żonie: „Nęści, moja kochanko, prześliczny kornet." Żona rozumiejąc, że ją tym sposobem prześladuje, gdy biorącej za spód wpadła ręka w próżne pudło, uderzyła go mężowi o łeb, nałajawszy słowami jak najdokładniejszymi. Mąż, nie czekając większej zapłaty, pobiegł co prędzej do Warszawy, przywiózł inny kornet. Lecz żona statecznie trzymała, że zgubiony był piękniejszy, choć go nie widziała.

Po kornetach na ostatku nastały szeniony; były to czapki haniebnie wysokie, z płótna szyte, bawełną albo i pakułami wypchane, głowę dwa razy tak wysoką, jak była naturalna, czyniące. Te szeniony wsadziwszy na wierszch głowy, okrywały dokoła włosami z przodu i z tyłu, gładko w górę wymuskanymi i wypudrowanymi, a której nie wystarczały samorodne włosy, przybierały do nich innych takiego koloru, jakie miała która z przyrodzenia. Na sam wierszch szenionu, nad czo-

łem, przypinały maleńki kornecik skrzydlasty, na drutach upinany; i ta moda była ostatnich czasów Augusta III.

Sukien zażywały rozmaitych; najpierwej spódnicy, zwyczajnej po dziś dzień; bogate z materyj tęgich bławatnych w kwiaty, samych jedwabnych i litych, uboższe z atłasów, grodetorów, kitajek, a jeszcze uboższe z kamlotów; pod które podwdziewały drugą spódnicę, atłasową, na bawełnie przeszywaną albo też kuczbajową.

Na wierszch brały sznurówkę rogiem wielorybim, czyli fiszbinem, przeszywaną, z wyciętym gorsem, ściskając się tymi sznurówkami jak najmocniej dla wydania subtelności stanu, czasem aż do mdłości. Ta sznurówka była powleczona atłasem lub kitajką. Na sznurówkę kładły jupeczkę krótką, za stan cokolwiek dłuższą, z rękawami po łokieć krótkimi, z materii takiej jak spódnica albo też i odmiennej, z tyłu fałdzistą, z połami przestronnymi na przodzie, krojem takim jak mantolety kanonickie. Zimowe takie jupeczki podszywane były futrem, w lecie kitajką albo płótnem glancowanym. Dalej te jupeczki były w stan wcinane opięto, na guziki z przodu zapinane, z rękawami do pięści sięgającymi. Do rękawów krótkich, wyżej wspomnionych, przypinały mankiety wielkie, gazowe ż koronkami, podwójne; i nie zwały się takie mankiety mankietami, lecz angażatami. Do rękawów długich przypinały mankietki małe bez koronek, przy nazwisku mankietek zostawione. Latem nie kładły nic na żadną z tych jupeczek, tylko chustkę na szyję muślinową, jedwabiem, złotem i srebrem w kwiaty haftowaną, kolorów białego, żółtego, zielonego i czerwonego, której końce, na krzyż na przedzie złożone, szpilkami do jupeczki przypięte, pierś wypukłą zakrywały, dając przez materią cienką i rzadką dosyć przeźroczystości. Na plecy w miarę łopatek spuszczał się jeden koniec, czyli róg takiej chustki, trzykąt wydający.

Zimą na takie jupeczki brały kontusiki futrem podszywane, z długimi rękawami wiszącymi, z wylotami szerokimi, do ręki wytchnięcia sposobnymi, u ramion obszernie sfałdowanymi, u pięści wąsko ścinanymi. Te kontusiki zdejmowały z siebie, przychodząc do ciepłej izby, którymi okrywali się zostawieni za drzwiami lokaje, paziowie, węgrzynkowie i inni służebni, mianowicie na balach i redutach, na których całe noce w przysionkach zimnych pokutować musieli. Której nie stać było na kontusik, obywała się jupeczką samą. Kontusik był długi do wpół udów, trwał długi czas w modzie, choć nastały inne futra, o których będzie niżej. Zażywały także damy bogate jupeczek bez rękawów, letnich i zimowych, gronostajami podszytych albo popielicami,

albo felpą jedwabną; kroju były takiego jak jupeczki bez stanu, i zwały się takie jupeczki kazakinkami; a gdy się w takie jupeczki stroiły, brały na spód gorseciki materialne, opięte, z rękawami do pięści długimi, wąziuchnymi, do grubości ręki stosowanymi; a na takie kazakinki w zimne czasy kładły kontusiki wyżej opisane.

Od średnich lat Augusta III nastały szamerluki, manta, szusty i szlompry, i robrony; tych ja z osobna opisać nie umiem, ponieważ mała różnica kroju odmieniała im nazwiska, z całkowitej zaś postaci wydawała się oczom męskim jak jednakowa suknia. Była zaś jednostajna na całą osobę, z stanem wciętym, długa z przodu aż do kostek u nóg, z tyłu zaś daleko dłuższa, tak że się wlekła po ziemi na półtora łokcia albo i na dwa łokcie; i zwał się ten zbytek sukni ogonem, który paziowie nosili w ręku za swoimi paniami.

Ale jeszcze przed tymi wszystkimi sukniami pierwszy był kabat, który teraz został suknią samych panienek niedorosłych, a przedtem był strojem wszystkich dam. Kabat tym się różnił od innych sukien długich, że sznurował się z tyłu, a inne wszystkie z przodu, i że nie miał fałdu w tyle przez całe plecy aż do dołu ciągnionego, jak go miał szust, robron, szamerluk i tym podobne.

Gdy nastały te długie suknie, nastały oraz i gorse wycinane tak, iż całe plecy, aż po łopatki i pół piersi aż do brodawek suknią nie były przyodziane, co było widokiem oko skromne przerażającym, a lubieżne zapalającym; zakrywałyć ony wprawdzie tę ponętę swoją chustkami wyżej opisanymi albo też palatynkami strusimi; ale to takie były zakrycia, które wąskim przesmykiem rzuconego cienia więcej jeszcze blasku ciału, przeglądającemu jak przez sieć albo przez kratę, dodawały.

Szyję zdobiły najprzód koralami, potem koralami z perłami przeplatanymi, potem samymi perłami, potem łańcuszkami złotymi, na ostatku wąską aksamitką czarną, od której spadał między piersi misternej roboty krzyżyk diamentowy lub inny jaki portrecik kamelizowany, albo też bez żadnej figury drogi kamień świecący. Jakie zaś było noszenie na szyi, takie być musiały manele na ręku; pierścionków zaś im więcej na palcach, tym lepiej ręka ubrana. Do uszów przypinały najprzód zauszniczki małe perłowe lub rubinkowe; w złoto oprawne, potem większe w figurę róży z brylantów prawdziwych albo czeskich; te dwa gatunki przetykały przez brzusiec ucha, szpilką za młodu przekłutego. Na ostatek wymyślili zausznice wielkie jak grona winne wiszące z pereł i brylantów, które że uszy przerywały, przeto nie przez ucho, ale za ucho na stronie mocnej bywały zakładane.

Wychodząc z domów na otwarte powietrze, używały na głowę i całą twarz spuszczanych kwefów czarnych krepinowych albo też jedwabnych, w siatkę robionych; przez takie kwefy mogła dama dobrze wszystko widzieć i być widzianą; było to bardziej służące dla modestii, osobliwie w kościołach, jak dla uniknienia ogorzelizny. Na ręce kładły rękawiczki irchowe, po łokieć długie, palczaste albo też bez czterech palców, klapką, jedwabiem i złotem lub srebrem wyszywaną, przykrywanych, o jednym paluchu, wpół palca krótkim, na wielki palec. Te rękawiczki były w różnych kolorach, częstokroć do koloru sukni stosowane. Drugiego gatunku używały rękawiczek jedwabnych czarnych, kształtem siatki albo pończochy dzierzganych; te zawsze były o jednym palcu, z klapką bez wyszywania na inne cztery palce spadającą, i zwały się takie rękawiczki – mitynki; lepiej by je było nazywać „nitynkami", od nici, z których były robione. Uboższe – takie mitynki robiły sobie z nici białych lnianych. Bez wachlarza nigdy nie były w drodze i na przechadzce, a nawet i w domach zasłaniały się nim od słońca i chłodziły powiewaniem onego, mianowicie, kiedy były tańcem lub inną jaką agitacją zmordowane. Wachlarz najmodniejszy był i najdroższy, który miał żebra z słoniowej kości kitajką, malowaniem chińskim ozdobioną, powleczone. Podlejsze wachlarze były z drewna i papieru z malowidłem, czyli drukiem albo wybijaniem różnych figur i kwiatów.

Pończochy były w modzie zimową porą wełniane, rozmaicie farbowane, u bogatszych kastorowe, to jest z bobrowej szerści, latem pończocha czarna albo innego koloru włóczkowa, cienka, i jedwabna. Zarzuciły niedługo te wszelakie pończochy, a rzuciły się do jedwabnych lub nicianych, cienkich, samego białego koloru, ponieważ w takich wydaje się noga subtelniejsza; i choć w mróz dokucza zimno, ale za to nadgradza ukontentowanie, które znajduje dama w swojej sarniej nodze, choć to nieprawda, kiedy niejedna, lubo w jedwabnej pończosze, ma giczały grube jak stępory. Podwiązek zażywały dawniej ze wstążek, potem pasamońskiej roboty, złotem lub srebrem przerabianych, szerokich, na tasiemkę jedwabną lub wstążkę zawiązowanych; na ostatku zapinały podwiązki sprzączką brylantową albo pertową do garnituru sprzączki u trzewika*; takie podwiązki były zdobyczą dworskich łotrzyków, którzy pod pozorem amorów, jakoby „na nezabudesz", głupie panny, męża pragnące, z tychże podwiązków i pierścionków obdzierali, z czego sprzedanego oporządzali sobie rządziki na konie, szable i ładownice.

Trzewiki najdawniej w modzie były u dam dystyngwowanych irchowe, malowane w kwiaty. Ta moda już zaczęła schodzić z nóg dystyngwowańszych osób w początkach panowania Augusta III, a przechodzić, jak wszystkie inne mody, do niższego stanu i mniejszego majątku, mianowicie do szynkarek i innych służebnic miejskich. Damy zaś dystyngwowane po zarzuceniu trzewika malowanego obuły się w czarny zamszowy, pręgą na trzy palce szeroką od wierszchu aż do palców srebrem lub zlotem haftowaną, ozdobiony: Proste szlachcianki i wiejskie kobiety zażywały trzewika czarnego gładkiego, skórzanego, a niektóre w błotne czasy i zimowe bocików opiętych, z cholewami pod kolano długimi, na klocku cienkim, tak jak u trzewika. Zażywały też bociąt i trzewików żółtych i czerwonych, ale tylko Podlaszanki i Lublinianki; wszystkie zaś ruskie kobiety chłopskie więcej używały botów krojem męskim z podkówkami niż trzewików, które bardzo rzadko w tamtych stronach na prostych kobietach dawały się widzieć, i to najwięcej na popich żonach, córkach i młynarskich.

W średnich latach panowania Augusta III nastały trzewiki bławatne, atłasowe i grodetorowe rozmaitych kolorów, gładkie, bez haftu, nie już jak dawniejsze tasiemką albo wstążką zawiązywane, ale zapinane na sprzączkę srebrną, która w początkach swoich była mała, wąska, potem przerobiona na wielką, cały niemal wierszch nogi okrywającą, miejsce miała niedaleko od palców, po które miejsce trzewik był wykrojony. Był to sztuczny wynalazek, przez który stopa, choć duża jak niedźwiedzia łapa, wydawała się małą. Te trzewiki nagle się rozszerzyły po całej płci białej, tak szlacheckiej, jak miejskiej kondycji; już ani szynkarki, ani kucharki, ani młodszej, czyli pokojowej dziewczyny, nie obaczył, tylko w bławatnym trzewiku. Zbytek się coraz bardziej pomnażał. Majętna płeć, która przedtem obyła się, mówiąc o jednej osobie, czterma parami trzewików skórzanych na rok, do obmycia i ochędożenia sposobnych, potem potrzebowała co miesiąc, a wymyślniejsza co tydzień inszych, bo lada plamka na trzewiku bławatnym zrobiona już go z garderoby pani rugowała. Za czym spadały takowe trzewiki na służebnice, a przeto najlichszego szurgota nie widać było w innym trzewiku, tylko w bławatnym, choć przydeptanym i ziewającym.

Szewcy warszawscy niezmiernie profitowali na tym towarze, który z tego miasta rozchodził się po całym kraju; i choć po innych miastach robiono takież trzewiki, nie miały jednak takiego szacunku jak warszawskie; co większa, z ręki tegoż samego szewca, który w Warszawie robił bardzo gustowne trzewiki, już się nie wydawały takie, skoro się

przeniósł do innego miasta. Mężowie dla żon, ojcowie dla córek, kawalerowie dla dam wyprowadzali takie trzewiki tuzinami i kopami; w prezentach nawet przedślubnych niepoślednie trzymał miejsce warszawski trzewik.

Wśród panowania Augusta III ukazały się salopy na dwóch Francuzkach w Warszawie, Bersouville zwanych, z których się najprzód śmiano, jako stroju dziwackiego, mere do płaszcza z kapturem bernardyńskim podobnego; lecz powoli oko nabrało gustu do tego, co mu się pierwszy raz śmiesznym zdawało. Nie wyszło pół roku czasu, a już połowa dystyngwowańszej płci białej przykryła się salopami. Salopy pierwsze były z samej kitajki czarnej, niczym nie podszyte. Potem nastały podszywane rozmaitym futrem lub kitajką, albo atłasem czerwonym, na wacie jedwabnej dla ciepła; oprócz zaś tego podszywania rozróżniły się jeszcze i tym od pierwszych salop, że tamte były do kolan krótkie, teraźniejsze zaś zostały niemal po pięty długie. Lecz nie wszystkie są takimi, wymyśliły sobie znowu białogłowy półsalopia; te są krótkie po pas z końcami na przedzie dłuższymi i z kapturkiem małym.

Salopa jest suknia bardzo uczciwa i wygodna, najpierwszą ma zaletę od skromności, zasłaniając albowiem całą osobę, ukrywa przed okiem lubieżnym talią, czyli stan, i gors, czyli piersi, dwie pokusy najmocniejsze. Powiadają jednak, iż salopa wymyślona jest nie z tak pobożnej przyczyny, ale od garbatej osoby, która nie mogąc się pokazać kształtną, szukała sposobu, jak by ułomność swoją pokryć mogła. Druga wygoda z salopy, że może być prędko na osobę włożona, w czym przysługuje się białogłowom skrzętnym, niedbałym o strój, leniwym do ubioru i nagle zdybanym. Trzecia, że okrywa niedostatek; ujdzie pod nią i kożuch barani, i suknia lada jaka, byle była salopa dobra.

Rogówki nastały niedługo po salopach; były z początku małe, potem stały się wielkimi, do trzech łokci u dołu szerokimi. Nie zażywały rogówek innej kondycji damy, tylko szlacheckie, senatorskie i tym służące panny. Wiele razy pokusiła się która mieszczka ustroić w rogówkę, zawsze jej afront zrobiono, dla czego w samym tylko dystyngwowanym stanie rogówki się rozdymały. Rogówka była to spódnica z płótna, na trzech obręczach z wielorybiej kości obszyta, na jednej w pas, na drugiej w kolano, na trzeciej wpół łydki. Te obręcze nie były okrągłe jak na beczce, ale spłaszczone do podługowatości na kształt wanny owalnej. Brały najprzód damy, strojące się w rogówkę, spódnicę materialną, fetką lub przeszywaną, podług pory czasu; na nią kładły

rogówkę, a na rogówkę dopiero wdziewały suknią wielką, jaka była w modzie. Nic nie było niewygodniejszego dla dam i mężczyzn nad te rogówki; wszędzie w tym stroju było im ciasno. Siadłszy dwie koło siebie w karecie, musiała jedna drugą przykryć skrzydłem od rogówki, gdy z nich jedna była wyższa, druga niższa. Toż samo działo się przy stole, osobliwie w ciasnym zasadzeniu. Jeżeli Polak siedział wedle damy, nic to czuprynie jego nie szkodziło, choć go po głowie rogówka głaskała. Jeżeli zaś Niemiec albo druga dama, popsowała się fryzura i kornety, które wstawszy od stołu trzeba było z nowa trefić i poprawiać. Najśmieszniejszy zaś był widok, kiedy jakiemu Niemcowi, a jeszcze łysemu, nieostrożnym rogówki poruszeniem dama zemknęła perukę z głowy. Te jednak przypadki żadnej nie sprawiały urazy, bo moda trzymała wszystkich pod prawem swojej podległości.

Jako zaś nie masz nic tak złego w rzeczach ziemskich, żeby oraz nie miały w sobie jakiej cząstki dobroci, tak też i rogówki, lubo swoim nosicielkom i sąsiadującym z nimi sprawiały wielką subiekcją, atoli w zwadliwych kompaniach służyły za fortece. Niejeden tchórz, skoro rzecz wytoczyła się do szabel, skrył się pod rogówkę i gdy drudzy karbowali sobie łby, nosy, policzki, obcinali ręce, on w dobrym zdrowiu pod rogówką przesiedział zawieruchę, bo już go tam nicht atakować nie śmiał, ile kiedy jedna go nakryła, a drugie, w kąt zbite na kształt wałów i szańców, rogówkami nie dozwalały przystępu. Rogówki nie trwały dłużej w częstym zażywaniu nad piętnaście lat. Z początku żadna dama na publicznym widoku nie pokazała się bez rogówki, nawet i w domu przy gościu. Potem zaczęli brać rogówki tylko na wielkie publiki, na kompanie, na bale, a nareszcie ku ostatnim latom panowania Augusta III te gmachy zawadzające w cale zostały zarzucone, wyjąwszy dni galowe niektóre u dworu, do całowania ręki królewskiej damom senatorskim przeznaczone; w takowe dni prezentowały się damy królowi w robach, a zatem na rogówkach. Roba jest czarna suknia, krojem kabata dziecinnego z tylu sznurowana, mająca rękawy po łokieć krótkie, od tegoż łokcia aż do ramienia koronkami białymi jak najprzedniejszymi bryzowane, z tyłu ogon długi, zamiatający pokoje.

O łóżkach i pościelach

W domach wielkich łóżko małżeńskie było adamaszkowe, takiego koloru, jakiego koloru obiciem był obity pokój, w którym stało. Kształt

jego był łóżka szpitalnego, firanki zsuwane, płotek u góry i u dołu, suto galonem złotym obłożony. Stawiano takowe lóżka głowami pod ścianą, nogami na środek pokoju postawione. W każdym patatu pańskim takich lożów było kilka, akomodowanych zawsze do pokojów. Co się zaś tycze kawalerskich i damskich łóżek, tych długi czas nie znano innych, prócz tabczanów i sienników; kawaler obsłonił swój tabczan kobiercem tureckim, ścianę nad obił makatą, powieszał na niej rzędy, pałasze, pistolety, fuzje, trąbki myśliwskie, ładownice; na ziemi przy tabczanie rozciągał niedźwiednią; taka była każdego kawalera, panięcia, dworzanina, towarzysza, palestranta łóżkowa parada. Pościel zaś cala składała się z pary poduszek, prześcieradła, kołdry i siennika, słomą albo sianem, albo sieczką wypchanego; nie znali spodków pierzem napchanych ani pierzyn zwierszchnych. I kiedy który pieszczoch do dworu wyprawiony przyjachał z pościelą pierzaną wyżej wyrażoną, został wyśmiany i musiał do domu odesłać piernaty, a kontentować się kołdrą i poduszkami.

Panieńska pościel składała się z poduszek, spodka pierzanego, prześcieradła i kołdry, która tak u panien, jak u kawalerów bywała bławatna, na bawełnie przeszywana, pospolicie kitajkowa karmazynowa, lubo bywały i w różnych kolorach, i z różnych bławatnych materii.

Łoża małżeńskie przykrywano na dzień kołdrą cienką z takiej materii, z jakiej były firanki i inne ozdoby, nie przeszywaną, pod którą kołdrą, na noc zdejmowaną, była pierzyna gruba, puchowa, w poszwie bławatnej, w powłoce cienkiej białego płótna, do okrywania i ogrzewania śpiącego małżeństwa.

Od połowy lat panowania Augusta III miękkość i wygody, dawnym Polakom nie znane, poczęty zagęszczać między paniętami spodki, pierzynki i beciki puchowe przeszywane, a potem rozszerzyły je po wszystkiej młodzieży, tym bardziej po podeszlejszych i starcach. Już potem, obyczajem na inną stronę przewróconym, było wstydem dworzaninowi, palestrantowi i towarzyszowi husarskiemu albo pancernemu nie mieć porządnej pościeli, spodka, beta, poduszek wstęgami szamerowanych i duchenki, to jest czapki nocnej, jedwabną, złotą i srebrną nicią w różne wzory haftowanej, płótnem od potu obszywanej, która duchenka bywała pospolicie podarunkiem kawalerowi od damy albo bratu od siostry, albo pokrewnemu od jakiej pokrewnej, najczęściej od zakonnicy w klasztorze zamkniętej. W równym czasie z betami nastały łóżka rozmaite na miejsce tabczanów, które odtąd zostały hajduków, lokajów i innej pospolitej drużyny legowiskiem. A nie tylko nastały

łóżka miejscowe, ale nawet i podróżne składane, które delikatni panowie i paniczowie wszędzie za sobą z pościelą wozili, wzdrygając się spania na słomie w karczmie dla pchlów albo w domu cudzym w obcej pościeli na czas nieporządnej i nie wiedzieć od kogo i z jaką przywarą zdrowia wprzód używanej. Co poniekąd było i lepiej dla gospodarza, który – nim nastała taka moda – musiał nieraz siebie samego, żonę i dzieci poobierać z pościeli dla gości licznych.

Na ostatek, żeby nic do wygody nie brakowało, stawiano dla każdego gościa przy łóżku urynały, długo przedtem nie znane. Też same prawie każdy porządny podróżny woził z sobą, a niektórzy nawet i stolce składane, tak iż po potrzebie złożony stolec i zamknięty na klauzury – wydawał się jak księga jaka wielka.

O pałacach i domach szlacheckich

Pałace pańskie staroświeckie, do dziś dnia jeszcze tu, ówdzie widzieć się dające, od prapradziadów pomurowane, służyły wnukom i prawnukom z małą przypadłej ruiny naprawą w takim kształcie, w jakim przed wieki były stworzone. Nie widać było długo żadnej ruiny starych pałaców i wywracania ich a nowych stawiania. Te gmachy, jakie kto po ojcu odebrał, w takich mięszkał; nie znając jeszcze zbytków, niewielkiej potrzebował wygody. Pałace i zamki murowane składały się zwyczajnie z dwu piętrów, rzadko gdzie ze trzech. Wewnętrzny ich rozkład był: przysionki, ganki, izby wielkie i wysokie, po narożnikach izdebki małe, alkierzyki, apteczki, kapliczki i skarbce. Gdy się najechało gości do jakiego pana, tedy na nocny spoczynek mieszczono po kilka familij w jednej sali, oddzielając jednę od drugiej parawanami, co też działo się między obcymi mężczyznami i białogłowami; naznoszono tabczanów wyżej opisanych, a jeżeli te nie wystarczyły, rozpościerano słomę po sali i na tej pokotem kładziono pościel rozmaitą, jednemu wedle drugiego, jednej wedle drugiej.

Nie było to ze wszystkim dobrze, ile przy obżarstwie i pijatyce wydarzały się przypadki rażące powonienie i wstyd: kiedy jeden z przeładowanym żołądkiem, rozmarzony snem, nie mogąc trafić do drzwi, lada gdzie między śpiącymi złożył ciężar natury albo oblał niepachniącą wodą; drugi uplantowawszy sobie za widoku zdobycz jakiej urody, polował na nią o ćmie i na niewymowną od takiej przygody natrafiwszy, zdeboszował po cichu żonę przy chrapiącym mężu lub córkę przy matce, albo spłoszywszy przelęknioną, narobił

matce, albo spłoszywszy przelęknioną, narobił hałasu i przerwał sen całej kompanii rzucając jej zwykle porozumienie na ducha, którym był łotr swywolny, ile gdy w owe czasy, mianowicie między niewiastami, pełno było opinii o pokutowaniu dusz. Urynałów stawiać przy łóżkach gościnnych nie było w zwyczaju. Kto był uczciwy, wychodził z potrzebą na dwór, chociaż w trzaskający mróz, nie obawiając się kataru, kto zaś nie chciał zadawać sobie tej przykrości, zalewał w kominie ogień, który zwyczajnym trzaskiem niejednego ocucił ze snu i przestraszył.

Obicia w pokojach pańskich bywały albo szpalerowe, albo włóczkowe krosnowej roboty, albo adamaszkowe – i te już były najparadniejsze; jakoż uważając wewnętrzny walor, w-samej rzeczy takimi były, osobliwie suto galonem złotym szamerowane. Kolor adamaszku czworaki był w zażywaniu do obiciów: karmazynowy, zielony, żółty i błękitny; jakiego koloru było obicie, takiego koloru były i firanki do okien, pospolicie kitajkowe, i krzesła, i kanapy, wszystko pod jedną maścią, od której brał nazwisko pokój, na przykład: pokój żółty, zielony etc.

Stoliki małe, do zabawy służące, nie miały żadnego kształtu wymyślnego, były z prostych tarcic; nakrywano je kobiercami rozmaitymi: tureckimi, perskimi, kosmatymi, gładkimi, jedwabnymi, włóczkowymi, złotem i srebrem haftowanymi i bez złota i srebra; także suknem w różne kwiaty i figury wyszywanym, z frandzlą dokoła jedwabną. Wielkie zaś stoły po odbytym obiedzie albo do sieni wynoszono, albo też przysunięte do ściany, kobiercem wielkim tureckim albo suknem gładkim, frandzlą obrzuconym, nakrywano.

Którzy panowie chowali kapelę wielką, u takich dla niej bywały ławki w narożniku jednym sali, czerwonym suknem obite albo gołe, lub też chórki pod sufitem. Którzy mieli małą kapelę, mieścili ją w jednym pokoju bliskim sali, skąd melodia wychodziła do siedzących u stołu i tańcujących.

Pomniejszych panów i szlachty majętnej dwory najwięcej bywały drewniane we dwa piętra i w jedno, przyozdobione zewnątrz galeriami, wystawami, gankami i przysionkami, lecz ten kształt nie był powszechny; były drugie, budowane w prosty czworogran, czyli kwadrat, jak stodoły i szopy. Rozporządzenie wewnętrzne niemal wszystkim równe: tak pańskich pałaców, jak szlacheckich dworów, wyżej opisane. Jeżeli był gmach wielki, zwał się pałacem, bądź murowany, bądź drewniany, gdy miał wedle siebie oficyny. Jeżeli nie miał, a do tego był pomiernej wielkości, zwal się dworem albo dworkiem według swojej

rozległości. Jeżeli zaś był murowany, a do tego wystawiony na jakim kopcu i wodą oblany lub fosami i wałami obwiedziony, nabywał imienia zamku.

Malej szlachty mięszkania nie różniły się od chłopskich chałup, snopkami częstokroć poszywane. W tym tylko różnica była, iż przed szlacheckim dworkiem musiały być koniecznie wrota wysokie, choć podwórze całe było płotem chruścianym ogrodzone, i druga, że dworek szlachcica miał dwie izby po rogach, a sień w środku, gdy przeciwnie, u chałupy chłopskiej sień jest z czoła, za nią izba, a w tyle komora. Lecz ta różnica dworków szlacheckich od chałup chłopskich tylko służyła w Mazurach, w województwach bowiem wielkopolskich chłopi, sołtysi i olendrzy mają porządniejsze dworki niż drobna szlachta mazowiecka.

Com napisał o obiciach i innych ozdobach pałaców wielkich panów, to samo znajdowało się u możnej szlachty, u pomiernych zaś dosyć było na jednym i drugim pokoju obitym, krzesłami, kanapami i tam dalej ozdobionym, gdy reszta zostawała bez obiciów, ławami prostymi do siedzenia opatrzona.

Od połowy panowania Augusta III, gdy weszło w modę powszechną synów pańskich i majętnej szlachty prosto ze szkół wysyłać za granicę dla nabycia poloru i dobrego gustu, wszczęło się obrzydzenie w narodzie całym do starych struktur, do starych meblów, czyli ruchomości. Skoro panicz po śmierci ojca został panem majętności, najpierwszą jego rzeczą stało się przerobić na nowy fason albo w cale rozwalić odebrany po pradziadach pałac, zamek, dwór, a nowy, choć słabszy, ale kształtniejszy postawić. Od tego czasu zagęściły się w całym kraju fabryki pałaców murowanych, w ozdobie i kształcie z zagranicznymi walczących. Meble także staroświeckie, owe to obicia wiekuiste adamaszkowe, z pokojów powyrzucano, chwycili się obiciów lekkich, najprzód brukatelowych, podobieństwo adamaszku mających, ale tańszych, dlatego nawet i szlachcicowi o jednej wiosce do nabycia łatwiejszych; lecz i te niedługo zarzucono. Weszły w modę obicia płócienne w kwiaty i różne figury malowane, wesołe, choć podłe i nietrwałe. Dalej znowu nastały obicia papierowe, takiegoż kształtu jak płócienne, a że jeszcze od płóciennych tańsze, bo łokieć takiego obicia papierowego spadł na końcu panowania tego króla do złotego jednego, za czym nie tylko już pańskich pokojów, ale też i mniejszej szlachty, a na ostatku żadnego domu majętnego mieszczanina i księdza plebana nie obaczył, papierowym obiciem nie obitego.

Panowie zaś gardząc zawsze tym, co się staje pospolitym, i chcąc mieć zawsze co nowego, udali się do obiciów włoskich al freszko, czyli na świeżym murze malowanych, których szacunek pochodzi od malarskiej ręki przedniejszej lub podlejszej. Co przedtem kosztował adamaszek na cały pałac i dostał się wnukom, to teraz tyle kosztuje malowanie jednego pokoju; i gdy takie malowanie nie może być tylko farbami wodą rozrabianymi, za czym prędko pełznie, po kilku leciech modnemu panu sprawuje obrzydzenie i zaostrza gust do nowego malowania, z przepadkiem pierwszej a nakładem nowej ekspensy. Przydano do tego malowania sztukaterią i wyzłacanie lisztwów, gzemsów i lamperiów, czyli obwodów spodnich. Nastąpiły lustra zwierciadłowe w ramach brązowych, suto w ogniu wyzłacanych, po ścianach rozwieszone, z lichtarzami do świec kryształowymi, zwierciadła wielkie nad stoliki do przeglądania się, także w ramach jak najwytworniejszych. Prócz luster ściennych przyszły lustra wiszące od sufitu, ogromne, kryształowe, o kilkunastu świecach, które gdy pozapalano, pokój, złotem suto adornowany, zdawał się płonąć od światła.

W tymże czasie na miejsce starych podłóg z prostych tarcic, a najwięcej kiedy z tafli stolarską robotą, wodą i ścierką z błota i kurzu chędożonych, nastały podłogi z takichże tafli w kostkę układanych, ale woskowane, nie myte, po których chodzenie tak śliskie jak po lodzie. Takie podłogi, gdy się zafolują, najprzód myją mydłem z wodą ciepłą, bo sama woda wosku by nie odmyła, potem dopiero na nowo woskują i u wielkich panów do samego tylko woskowania i mycia podłóg trzymają pacholków, którzy się nazywają froterami; te jednak podłogi woskowane pod panowaniem Augusta III nie były, tylko w pajacach wielkich panów. W Puławach w jednym pokoju widziałem sufit, ściany i podłogę całą ze zwierciadeł.

W meblach także nastąpiła odmiana: wymyślono krzesła i kanapy z skóry pozłocistej w różne floresy. Potem nastały krzesła plecione w kratkę z trzciny, z brzegami i nogami drewnianymi; potem nastały stoliki różne składane, biurka, kantorki i szafy rozmaitych wielkości i kształtów, jedne lakierowane pokostem chińskim, drugie wysadzane kością albo drzewem odmiennym od tego, które składało korpus, do lustru i gładkości szkła szejdwaserem napuszczane i potem suknem, skrzypiem i wiórem stolarskim aż do gorącości tarte i tak świcenia nabierające. Antaby do takich korpusów i obkładki do zamków dawali z srebra, z brązu, z mosiądzu w ogniu pozłacanego. Gdy kitajkowe, i

krzesła, i kanapy, wszystko pod jedną maścią, od której brał nazwisko pokój, na przykład: pokój żółty, zielony etc.

Stoliki małe, do zabawy służące, nie miały żadnego kształtu wymyślnego, były z prostych tarcic; nakrywano je kobiercami rozmaitymi: tureckimi, perskimi, kosmatymi, gładkimi, jedwabnymi, włóczkowymi, złotem i srebrem haftowanymi i bez złota i srebra; także suknem w różne kwiaty i figury wyszywanym, z frandzlą dokoła jedwabną. Wielkie zaś stoły po odbytym obiedzie albo do sieni wynoszono, albo też przysunięte do ściany, kobiercem wielkim tureckim albo suknem gładkim, frandzlą obrzuconym, nakrywano.

Którzy panowie chowali kapelę wielką, u takich dla niej bywały ławki w narożniku jednym sali, czerwonym suknem obite albo gole, lub też chórki pod sufitem. Którzy mieli małą kapelę, mieścili ją w jednym pokoju bliskim sali, skąd melodia wychodziła do siedzących u stołu i tańcujących.

Pomniejszych panów i szlachty majętnej dwory najwięcej bywały drewniane we dwa piętra i w jedno, przyozdobione zewnątrz galeriami, wystawami, gankami i przysionkami, lecz ten kształt nie był powszechny; były drugie, budowane w prosty czworogran, czyli kwadrat, jak stodoły i szopy. Rozporządzenie wewnętrzne niemal wszystkim równe: tak pańskich pałaców, jak szlacheckich dworów, wyżej opisane. Jeżeli był gmach wielki, zwał się pałacem, bądź murowany, bądź drewniany, gdy miał wedle siebie oficyny. Jeżeli nie miał, a do tego był pomiernej wielkości, zwał się dworem albo dworkiem według swojej rozległości. Jeżeli zaś był murowany, a do tego wystawiony na jakim kopcu i wodą oblany lub fosami i wałami obwiedziony, nabywał imienia zamku.

Małej szlachty mięszkania nie różniły się od chłopskich chałup, snopkami częstokroć poszywane. W tym tylko różnica była, iż przed szlacheckim dworkiem musiały być koniecznie wrota wysokie, choć podwórze całe było płotem chruścianym ogrodzone, i druga, że dworek szlachcica miał dwie izby po rogach, a sień w środku, gdy przeciwnie, u chałupy chłopskiej sień jest z czoła, za nią izba, a w tyle komora. Lecz ta różnica dworków szlacheckich od chałup chłopskich tylko służyła w Mazurach, w województwach bowiem wielkopolskich chłopi, sołtysi i olendrzy mają porządniejsze dworki niż drobna szlachta mazowiecka.

Com napisał o obiciach i innych ozdobach pałaców wielkich panów, to samo znajdowało się u możnej szlachty, u pomiernych zaś do-

syć było na jednym i drugim pokoju obitym, krzesłami, kanapami i tam dalej ozdobionym, gdy reszta zostawała bez obiciów, lawami prostymi do siedzenia opatrzona.

Od połowy panowania Augusta III, gdy weszło w modę powszechną synów pańskich i majętnej szlachty prosto ze szkół wysyłać za granicę dla nabycia poloru i dobrego gustu, wszczęło się obrzydzenie w narodzie całym do starych struktur, do starych meblów, czyli ruchomości. Skoro panicz po śmierci ojca został panem majętności, najpierwszą jego rzeczą stało się przerobić na nowy fason albo w cale rozwalić odebrany po pradziadach pałac, zamek, dwór, a nowy, choć słabszy, ale kształtniejszy postawić. Od tego czasu zagęściły się w całym kraju fabryki pałaców murowanych, w ozdobie i kształcie z zagranicznymi walczących. Meble także staroświeckie, owe to obicia wiekuiste adamaszkowe, z pokojów powyrzucano, chwycili się obiciów lekkich, najprzód brukatelowych, podobieństwo adamaszku mających, ale tańszych, dlatego nawet i szlachcicowi o jednej wiosce do nabycia łatwiejszych; lecz i te niedługo zarzucono. Weszły w modę obicia płócienne w kwiaty i różne figury malowane, wesołe, choć podłe i nietrwałe. Dalej znowu nastały obicia papierowe, takiegoż kształtu jak płócienne, a że jeszcze od płóciennych tańsze, bo łokieć takiego obicia papierowego spadł na końcu panowania tego króla do złotego jednego, za czym nie tylko już pańskich pokojów, ale też i mniejszej szlachty, a na ostatku żadnego domu majętnego mieszczanina i księdza plebana nie obaczył, papierowym obiciem nie obitego.

Panowie zaś gardząc zawsze tym, co się staje pospolitym, i chcąc mieć zawsze co nowego, udali się do obiciów włoskich al freszko, czyli na świeżym murze malowanych, których szacunek pochodzi od malarskiej ręki przedniejszej lub podlejszej. Co przedtem kosztował adamaszek na cały pałac i dostał się wnukom, to teraz tyle kosztuje malowanie jednego pokoju; i gdy takie malowanie nie może być tylko farbami wodą rozrabianymi, za czym prędko pełznie, po kilku leciech modnemu panu sprawuje obrzydzenie i zaostrza gust do nowego malowania, z przepadkiem pierwszej a nakładem nowej ekspensy. Przydano do tego malowania sztukaterią i wyzłacanie lisztwów, gzemsów i lamperiów, czyli obwodów spodnich. Nastąpiły lustra zwierciadłowe w ramach brązowych, suto w ogniu wyzłacanych, po ścianach rozwieszone, z lichtarzami do świec kryształowymi, zwierciadła wielkie nad stoliki do przeglądania się, także w ramach jak najwytworniejszych. Prócz luster ściennych przyszły lustra wiszące od sufitu, ogromne, kryształowe, o

kilkunastu świecach, które gdy pozapalano, pokój, złotem suto adornowany, zdawał się płonąć od światła.

W tymże czasie na miejsce starych podłóg z prostych tarcic, a najwięcej kiedy z tafli stolarską robotą, wodą i ścierką z Mota i kurzu chędożonych, nastały podłogi z takichże tafli w kostkę układanych, ale woskowane, nie myte, po których chodzenie tak śliskie jak po lodzie. Takie podłogi, gdy się zafolują, najprzód myją mydłem z wodą ciepłą, bo sama woda wosku by nie odmyła, potem dopiero na nowo woskują i u wielkich panów do samego tylko woskowania i mycia podłóg trzymają pachołków, którzy się nazywają froterami; te jednak podłogi woskowane pola panowaniem Augusta III nie były, tylko w pałacach wielkich panów. W Puławach w jednym pokoju widziałem sufit, ściany i podłogę całą ze zwierciadeł.

W meblach także nastąpiła odmiana: wymyślono krzesła i kanapy z skóry pozłocistej w różne floresy. Potem nastały krzesła plecione w kratkę z trzciny, z brzegami i nogami drewnianymi; potem nastały stoliki różne składane, biurka, kantorki i szafy rozmaitych wielkości i kształtów, jedne lakierowane pokostem chińskim, drugie wysadzane kością albo drzewem odmiennym od tego, które składało korpus, do lustru i gładkości szkła szejdwaserem napuszczane i potem suknem, skrzypiem i wiórem stolarskim aż do gorącości tarte i tak świcenia nabierające. Antaby do takich korpusów i obkładki do zamków dawali z srebra, z brązu, z mosiądzu w ogniu pozłacanego. Gdy szafa była wysoka w miarę człowieka i miała drzwi podłużne od góry do dołu, zwała się szafą, gdy była niska w pół albo cokolwiek wyżej piersi człowieka i miała szuflady jednę na drugie poprzek na kształt piętrów, z zamkami do każdej szuflady osobnymi, zwała się biurkiem. Gdy zaś była na kształt stolika na nogach z jedną szufladą ukośnie na wierszchu drzwiami zamykaną, które drzwi otworzone i horyzontalnie spuszczone, na nodze wysuwanej, do tego przyprawnej, oparte służyły zamiast stolika do pisania, zwała się kantorkiem; dawniejsi takie szafy albo stoliki zwali pulpitami.

Szafy, biurka i kantorki nie odmieniły swego kształtu do czasów Augusta, ponieważ te meble są bardzo w domu wygodne i ozdobne, a trwając w modzie, coraz większej nabrały wytworności, Kanapy zaś i krzesła plecione nie trwały nad dziesięć lat z przyczyn trzech: raz, iż były słabe, druga, że musiały być z Gdańska lub skądinąd dla niedostatku trzciny w kraju sprowadzane, trzecia, że sprawowały siedzenie twarde, któremu ostatniemu zabiegając defektowi, porobiono do nich

poduszki włosem wyścielane, trypowe lub sycowe. Nareszcie w cale krzesła i kanapy trzcinowe jako słabe, często siadających zdradzające, a przy upadku nieraz z grzmotem zdarzonym wstyd i ból upadającemu, gospodarzowi zaś hańbę sprawujące, zarzucono. Wzięli się do kanap i krzeseł krajowej roboty, mocnych, bo na urząd dla każdego robionych. Dalej nastały taborety, czyli stołki bez poręczy, wyścielane włosiem końskim, a z wierszchu obijane najprzód płótnem grubym, a na nim jaką materią: trypą, brukatelą, atłasem, adamaszkiem, ale tylko tymi drogimi bławatami w pałacach wielkich panów i pokojach paradnych; w pierwszych zaś pokojach i w domach szlacheckich na krzesła, kanapy i taborety, płótnem grubym, jako się wyżej rzekło, obciągnione, kładziono opony sycowe, tasiemkami podwiązywane, które do wyprania po zabrukaniu lub naprawy po rozdarciu mogły być zdjęte bez rujnowania krzesła.

Ta ostatnia moda, tańsza od atłasów i adamaszków, po panowaniu Augusta III skończonym przeszła pod panowanie następne i trwa do dziś dnia; biorąc ją jednak w porównanie z gołymi dawnych lat ławami i stołkami, a najwięcej kiedy suknem przykrytymi albo też szarą lub czarną skórą cielęcą obitymi, można nazwać zbytkiem. Syc albowiem, czyli cyc, prędko się smoli i drze, a więc na miejsce zdartego często trzeba sprawiać inny i nowy koszt łożyć, którego nie znali dawni Polacy, raz umeblowane pokoje konserwując przez wieki w tej samej ozdobie i odebrane od ojców oddając w tymże stroju synom.

Cokolwiek napisałem tu o meblach pałaców pańskich, to wszystko w proporcji służy do dworów i domów szlacheckich, jako też mieszczan bogatych, mianowicie kupców warszawskich, w żadnym zbytku panom pierwszeństwa nie ustępujących i przez to nieraz bankrutujących. Każdy się sadził, jak tylko mógł, na ozdobę swego mieszkania. Niejeden krociowej albo i mniejszej intraty szlachcic, osobliwie który pojął w manierze francuskiej wychowaną żonę, stracił fortunę na wymurowanie i wymeblowanie pysznego pałacu i przy nim ogrody włoskiego, oranżerii i innych okazałości wystawienie. A gdy z wiosek ojczystych, nie odpowiadających pałacowi, powybierał młodzież na lokajów, na hajduków, na froterów, na ogrodniczków i tym podobnych darmozjadów, gdy pan ogrodnik do chędożenia kwater i szpalerów zabrał co lato większą część zaciągu, gdy wszystkie nawozy co najlepsze wytrwonił pod inspekty, pod melony, pod ogórki, pod sałaty, naturalnie musiała takiego rzecz gospodarska upadać, a za nią kurczyła się intrata, a pomnażała się ekspensa i z niej długi, których gdy nie było czym za-

płacić i dłużej nacierającym kredytorom nie można się było wyśliznąć, przyszło do tego, że i z pałacu, i z majętności zatradowanej pana dłużnika wygnano. Owóż pałac i ogród włoski z przepyszną figurą swoją zaczął się psować, podleć; nareszcie wszystko poszło w ostatnią ruinę, kiedy posiadacz, za prawem w dobrach osadzony, wolał robić około roli na pszenicę niż około tulipanów albo około landszaftów w pokojach.

O karetach i powozach

Drugi modny zbytek nastąpił w pojazdach i karetach. Dwojakie bowiem to nazwisko zastałem już na świecie – przyszedłszy do rozumu – służące paradnym wozom, czyli powozom; mówiono i pisano: „jechał karetą", „jechał pojazdem"; jednę rzecz znaczyły te dwa imiona – zawszy karetę całkowicie przykrytą. Imię powozu służyło kolaskom półkrytym, kolaskom nie przykrytym, faetontom, potem kariolkami przezwanym, oprócz których były w używaniu skarbniki, karabony, rydwany i wózki małe, których najwięcej używały do jazdy białogłowy, duchowni zakonni i plebani tudzież uboższa szlachta wiekiem obciążona. Gdy która szlachcianka jechała wózkiem, a podczas deszczu zawinęła spódnicę na głowę, przez szyderstwo mówiono o niej: „Jedzie półkrytkiem."

Ażeby niczego nie opuścić, co należy do wozów, była też w pierwszych leciech panowania Augusta III jeszcze w zażywaniu, lubo rzadkim, bieda: to jest wózek mały jak skrzynka, na dwóch kółkach, o jednym koniu, między dwa drągi wprzężonym; inaczej ta bieda zwała się półwoziem. Przezwali ją stąd „biedą", że jej dwóch kół brakowało i że ten, kto nią jechał, był sobie oraz stangretem, ponieważ szczupłość miejsca i ciężar na jednego konia nie uwiózłby dwóch ludzi. Ta tedy bieda, jako wychodząca z mody, ponieważ już rzadko widzieć się dała – chłopcy swawolni, osobliwie studenci, skoro ją w jakim mieście postrzegli, nie omięszkali, zbiegłszy się w kupę do kilkunastu, póty krzyczeć za nią: „Bieda jedzie, bieda", i paki im z oczu nie uciekła; i to powitanie albo pożegnanie żadnego, biedą jadącego z miasta lub do miasta w dziennej porze, nie chybiło.

Długi czas nie było w kraju innych karet, tylko sprowadzanych z Gdańska i z Leszna; po innych miastach lubo się znajdowali siodlarze i stalmasi, nie mieli jednak szczęścia robić nowych karet, tylko reparo-

wać stare, czy dlatego, że nie mieli materiałów do tego potrzebnych, czyli też dlatego, że nie umieli, czyli też dlatego, że karet krytych całkiem nie zażywali, tylko sami wielcy panowie, i nie odmieniali sprowadzonych raz, aż po całkowitym zepsuciu pierwszych. Dlatego majstrowie doskonali i majętni nie ściągali do kraju, w którym mały był na ich towary odbyt.

Po zagęszczeniu karet, tak iż niemal każdy szlachcic o jednej wiosce, jeżeli nie dla siebie, to przynajmniej dla żony z córkami utrzymował karetę całkokrytą albo półkrytą, zagęścili się po miastach majstrowie, fabrykanci pojazdów. Stanisław Poniatowski, wojewoda mazowiecki, najpierwszy osadził nimi i różnymi innymi majstrami Zaleszczyki, miasto na Ukrainie, a po nim niedługo Jan Małachowski, kanclerz wielki koronny, także miasto swoje Końskie w Sendomirskiem, gdzie także naokoło po dobrach swoich erygował kuźnice bardzo przednie żelazne i fabrykę strzelby.

Od tego czasu zaczęto robić nowe powozy po różnych pryncypalnych miastach, mianowicie w Warszawie.° Że jednak we wszystkim przeważał gust cudzoziemski, przeto zrobione w kraju powozy, by też najlepsze, traciły natychmiast swój szacunek, skoro się dowiedziano, iż były stworzeniami krajowymi. Więc żaden majster nie kładł na karecie swego imienia, tym bardziej miasta polskiego, ale położył miasto Paryż, Londyn, Berlin, Wiedeń; do tych albowiem miast panowie, zaniechawszy Gdańsk, ubiegali się po karety, tak nawet, że i gdańscy majstrowie, podprowadzając do Warszawy na szkutach dla sprzedania swoje karety, dawali im napisy angielskich, francuskich, jakoby do Gdańska z tamtych krajów morzem sprowadzonych, lubo w samej rzeczy były tworem gdańskim. Kiedy zaś przepych rozlał się po całym kraju, że karety niemal co trzy lata na inszy fason odmieniano, natenczas już nie zważano miejsca, skąd byli rodem kareta, czy z Paryża, czy z Warszawy, czy skądinąd, tylko ile celowała w modzie i w guście to sądzącym za piękniejsze, co było modniejsze. Kto z oszczędnych zażywał karety, która już z mody wyszła, ale była jeszcze mocna i wygodna, urągali się z niego modni utracjuszowie mówiąc o nim, że jeździ korabiem Noego.

Karety wielkich panów i królewskie od wielkiej parady były najprzód po wierszchu rzeźbą rozmaitą, malowaniem chińskim, koronami, czyli lisztwami brązowymi, w ogniu suto wyzłacanymi, adornowane, w środku zaś aksamitem i galonami złotymi suto wybijane, z oknami zwierciadłowymi, a niektóre składały się całe z taflów zwierciadlo-

wych w ramy bogate osadzonych i z tyłu, i z przodu, i po bokach; takowe karety do dziś dnia widujemy na wielkich publikach, wyjąwszy sam ksztalt karety, podług czasu odmienny.

Karety zaś do większego zażywania najprzód były suknem pąsowym lub karmazynowym-żółtym galonkiem albo białym włóczkowym szamerowanym – wewnątrz wybijane, zewnątrz skórą czarną juchtową, ramami drewnianymi, pozłocistymi obłożone; wierszch z takowejż skóry, czasem koroną brązową albo mosiężną obłożony, częściej ćwiekami mosiężnymi, pozłocistymi, dużymi obity. Pudła karecianego wysokość taka, aby osoba mogła w niej wygodnie stanąć. Pudło to wisiało na pasach grubych rzemiennych między dwiema drągami, zadnią oś z przednią wiążącymi. Pudło osadzone od ziemi nie wyżej jak na trzy ćwierci łokcia. Kola zadnie u karety wysokie, przednie niziuchne dla potoczystości, ale za to stangret musiał najmniejszy pień albo kamień omijać, aby osią przednią lub pudlem o niego nie zawadził. Tylny kozieł, na osi osadzony, z deszczek gładkich, taką farbą jak koła i drągi pomalowanych, które z obu stron od kół zasłaniały od błota dwa duże skrzydła skórzane, na prętach żelaznych opięte; u kozła tylniego wisiał stopień drewniany, takiż jak kozioł malowany, na paskach rzemiennych, po którym lokaje na kozioł wstępowali, hajducy zaś i pajucy, gdzie nie było hajduków, na tym stopniu plac swój za karetą mieli. Przedni kozioł był tak niski, że stangret siedzący na nim ledwo głową nad końmi strychował. Ten kozioł był oraz skrzynką stangreta, w której chował zgrzebło, szczotkę, trzepaczkę do koni i co mu było potrzebne, a zmieścić się mogło, czasem prezerwatywę od głodu, kawał chleba i sera, czym się posilał stojąc na czas kilka godzin na paradzie, jako o tym będzie w swoim miejscu.

Jakie było wybicie karety wewnątrz, takie było przykrycie kozła, ze wszystkim szamerunkiem jak w karecie, i zwało się czaprakiem; za kozłem tuż deszczka osadzona na drągach, kolorem drągów malowana, na której stawał paź albo węgrzynek, albo turczynek, albo murzynek – według gustu pańskiego, jakiego w tej randze chłopca chował, trzymającego się za ramiona stangreta. Drzwi do karety zamykały się żelaznymi klamkami, zewnątrz przyprawionymi, mającymi mosiężne trzonki albo kółka takież, za który trzonek lub kółko ujęta klamka podnosiła się otwierającemu i spuszczała na dół zamykającemu karetę. Starano się, aby drzwi jak najdychtowniej były osadzone, a to dlatego, żeby niełatwie mogła się wcisnąć do karety woda lub kał, gdy kareta nisko osadzona przez jaki bród lub kałużą głęboką przechodziła. I kie-

dy drzwi były obluzowane, zawsze się w takowym razie błota lub wody do karety nagarnęło, umaczawszy i uwaliwszy nogi siedzącym w karecie jakby piechotnym, jeżeli z nimi uciec na siedzenia – dla ciasności wielością osób siedzących sprawionej – nie mogli albo nie zdążyli.

Ten przypadek trafiał się nawet podczas wielkiej parady panom, którzy na ulicach błotnistych i dołowatych stancje albo swoje pałace mieli, mianowicie w Warszawie, która długo (wyjąwszy Krakowskie Przedmieście i Stare Miasto) nie miała ulic wybrukowanych, pełno zaś było wszędzie po przedmieściach dołów i kałużów, o których napiszę więcej pod tytułem publik i wielkich zjazdów. Stopnie u karet były jeszcze niżej wiszące niż same pudła, były skórzane z podeszwą drewnianą, na dwóch kolcach żelaznych, do drągów przybitych, osadzone; mogły się uchylać cokolwiek w górę, gdy o co twardego zawadziły, wisząc lekko, niedychtownie, tak jak perpendykuł u zegara; ale kiedy kareta brnęła rzadkim błotem, to go stopnie garnęły sobą jak pług ziemię.

Takową niewygodę karet poprawił Kunszt zagraniczny na końcu panowania Augusta III, a wprowadził inną, mniej przykrą. Majstrowie zagraniczni wymyślili karety na resurach, to jest na sztabach żelaznych gibkich, wysoko osadzone na pół ćwierci nad drągami, z których czasem tylko jeden dawali pod karetę, czasem dwa; u przedniej osi te drągi były nadkładane żelazem w górę zakrzywionym na kształt szyi łabędziej, gąsiorem zwanej, aby wygodnie w obracaniu karety koła przednie, z mody wprowadzonej ledwo jedną częścią od zadnich niższe, pod rzeczone gąsiory podchodzić mogły. Że tedy pudło karety wysoko stało od ziemi na pięć albo sześć ćwierci łokcia, zatem co mu wysokości majstrowie przydali z dołu, to mu ujęli z góry, bowiem wtenczas pudła były niskie, tak iż w nim siedząca osoba stanąć nie mogła, ale wlazłszy chyłkiem do karety, musiała zaraz unieść, gdyż siedzącej osobie wierszch pudła był tuż nad głową. Stopnie do takich karet nastały składane. Gdy stopień spuszczono na dół, miał dwa trepy, po których wsiadano i wysiadano; gdy był złożony, nie wisiał tak jak jego antecesorowie ani pił błota, ale został w karecie drzwiami przymknięty, przy których miał miejsce na kształt tablicy o ścianę opartej.

Kozioł dla stangreta u tych karet był tak wysoki, że stangret połową osoby swojej wyżej siedział nad pudłem, wstępował na taki kozioł jak po drabinie, najprzód na szynkiel, potem na pręt kozłowy, potem na stopień, potem siadał na koźle, na którym, żeby się mógł trzymać warowniej, były dwa ucha rzemienne, mocne, przybite do podnóżka, w

które ucha wsuwał stangret stopy nóg. Siedzenie stangreta było z materaca na pasach rzemiennych osadzonego, czaprakiem przykrytego, pod którym z boków były dwie torby skórzane do schowania munimentów stangreckich. Jeżeli przypadkiem jazdy albo gorzałką zamroczony spadł z takiej wysokości, dwa złożenia nieomylnie go czekały: łóżko i mary; i jeżeli się wywikłał od ostatniego, nigdy nie uniknął pierwszego.

Te modne karety jeszcze się tym różniły od dawnych, że nie były skórą tak jak dawne powlekane, ale masą papierową, lakierowaną różnymi kolorami jednostajnymi; na przykład całe pudło kolorem białym, popielatym, zielonym, żółtym, zazwyczaj według koloru liberii, z rozmaitym malowaniem różnych figur albo cyfrów herbowych, najwięcej atoli używano karet lakierowanych czarno, a niektóre malowano w pasy. Tegoż właśnie czasu nastały karety zwane z francuska vis a vis, po polsku zaś zwano je wizawami; te karety były tak wąskie, że nie mogło mieścić się w nich obok siebie dwie osoby, ale tylko jedna na tyle, druga na przedzie; i że takie karety dla wielu osób, nie mogących bez niezdrowia siedzieć tyłem do koni, były przykre, często dla tej przyczyny godniejszą osobę rugowały z miejsca starszego, a sadzały młodszą na nim przez wzgląd na taką afekcją zdrowia, więc je niedługo zarzucono. Wymyślili na ich miejsce soliterki, czyli karety na jedną tylko osobę, która była przez to panem miejsca swego, gdy drugiej osoby nie miała gdzie pomieścić. Ale i te niedługo zarzucili jako nieludzkie i smutne, osobliwie w drodze. Zostali przy karetach na dwie osoby, siedzące wedle siebie, i na cztery osoby, dwie karety wtenczas, przeciwsiedzące.

Oprócz tych własnych, przeciwsiedzących panowie wielcy, majętna szlachta i niektórzy z bogatszych kupców, nastały w końcu panowania Augusta III karety najemne; te nie wiem, jeżeli były gdzie indziej oprócz samej Warszawy u kilku siodlarzów, do których trzymali po parze koni i stangreta w barwie, najmując potrzebującym i biorąc na dzień od godziny siódmej z rana do godziny dwunastej południowej i znowu od godziny drugiej po południu do godziny dziewiątej wieczornej zimą, a latem do dziesiątej, biorąc przodem od lepszej karety z końmi po czerwonym złotym, od podlejszej po dwanaście złotych. Kto dłużej potrzebował karety nad czas przepisany, musiał albo stangreta ująć, albo go w takim miejscu przytrzymać, z którego nie mógł umknąć. Inaczej, jeżeli nie dostał w garść jakiego pieniądza, a miał przestwór, uciekł natychmiast, skoro usłyszał wybijającą swoją godzinę; i to uchodziło za słuszność podług umowy.

Panowie wielcy nigdy nie zażywali najemnych karet, a nawet wstydzili się jeździć co dzień jedną, lecz coraz inną na przemianę, także zawsze sześćma końmi. Mniejsi panowie, szlachta majętna, posłowie na sejm – ci pospolicie najmowali karet, gdy im się ich własna zepsuła, nie mającym więcej nad jednę, którą się przywieźli do Warszawy; i w drugim razie, kiedy który nie miał stangreta sprawnego, wszystkich ulic i miejsc świadomego, to taki wolał nająć karety niż swoją z niesprawnym stangretem utrącać szynkle u przemijających gęsto i ciasno cudzych karet albo też u swojej, lub co kilka kroków postawać i pytać się o ulicę i mięszkanie tego, do kogo jechał.

Moda sześciokonna trwała u panów i szlachty do ostatnich lat panowania Augusta. Ministrowie, senatorowie, urzędnicy koronni i powiatowi bogatsi, kawalerowie młodzi wielkich fortun, posłowie na sejm, posłowie cudzoziemscy, konsyliarze dworscy inaczej nie paradowali po Warszawie, tylko sześćma końmi i z kalwakatą przed karetą; był jakiś wstyd i przyrównanie do mieszczanina jechać parą końmi; woleli szlachta chodzić pieszo po Warszawie albo też jechać konno niż w karecie parokonnej.

Ale w sześciu leciech ostatnich panowania Augusta III poczęli się panowie ujmować w ekwipażach i kalwakatach; odbywszy pierwsze wizyty sześćma końmi z kalwakatą, już dłużej nie jeździli, tylko parą końmi i bez kalwakaty, o jednym za karetą lokaju i hajduku lub też o dwóch lokajach; za których przykładem poszli mniejsi urzędnicy powiatowi i szlachta. Zatem karet używanie, jako w parę koni od sześciu łatwiejsze, bardziej się zagęściło; mało kto z majętnych obywatelów dał się widzieć pieszo, tylko w karecie lub kolasce jakiej takiej, z lada służką stojącym za powozem do otwarcia i zamknięcia drzwi na wsiadaniu i wysiadaniu. Ale w dni galowe u dworu pierwsi panowie zajeżdżali na pałac królewski sześćma końmi z jednym dworzaninem, dniową służbę odbywającym. Hetmani zaś obojga narodów, marszałkowie i kanclerze trzymali się wciąż mody sześciokonnej tak w dni galowe, jako i niegalowe. Panie także wielkie, osobliwie stare matedory, zawsze się sześćma końmi woziły. Jako używanie sześciu koni do karety służyło nie tylko do samego przepychu, ale też i do łatwiejszego przebycia miejsc błotnistych, tak gdy z tych niemal wszystkie ulice warszawskie zostały oczyszczone przez bruki, przyczyna używania sześciu koni upadła i drugą za sobą, to jest przepychu, pociągnęła. Przepych albowiem miał swój czas w dzień; w nocy nie był potrzebny, ale błoto i

w nocy kazało zaprzęgać po sześć koni, bez których obeszło się po wybrukowaniu ulic.

O koniach i szorach

Równie przesadzali się panowie jedni nad drugich w cugi i szory; mówmy o każdym po jednemu. Cug koni kiedy miał być paradny, powinne były być wszystkie sześć koni rosłe, piękne, jednakowej szerści i jednakowej więzi, czyli jednakowego składu; najbardziej dobierano, aby łby miały równej proporcji, aby karki równo załomywały, nie trzymając jeden wyżej, drugi niżej, żeby nogi miały gładkie i zbieranie nóg kształtne; taki cug był w najpierwszym szacunku. Dobierano do takiego koni dzielnych wierszchowych tureckich, angielskich, wołoskich, ukraińskich i polskich stadnych; i te gatunki koni były w używaniu pierwszych lat panowania Augusta III; potem zarzucili polskie, tureckie i ukraińskie konie, z przyczyny że do figury karet zbyt wysokich zdawały się małe do wielkiej parady, która wszystkiego wielkiego i ogromnego wyciągała. Więc się udali do wielkich szkap niemieckich, duńskich, meklemburskich, pruskich i saskich, jako też i hiszpańskich. A że te konie miały nogę grubą i kosmatą, więc ją szkłem skrobano, aby się wydawała gładka i cienka. Jeżeli wszystkie sześć koni były tak dobrze dobrane, że się nic nie mieniły między sobą ani co do maści, ani co do urody, mówiono: „Cug maścisty i sprzęgły"; jeżeli koń od konia by najmniej różnic się składem, ale maścią był jednostajny, mówiono: „Cug maścisty, ale nie sprzęgły"; jeżeli nie różnił się składem, tylko maścią, mówiono: „Cug sprzęgły, ale nie maścisty." Maścistość zaś na tym polegała, żeby we wszystkich sześciu koniach wydawała się szerść jedna, nie będąc ani jaśniejszą, ani ciemniejszą w jednym, jak w drugim, o co że w polskich osobliwie i tureckich koniach było bardzo trudno, przeto nie tak zważano na małą odmianę maści, czyli stopień koloru, gdy na przykład między siwymi jeden był siwszy od drugiego, albo między karymi jeden bardziej kary niż drugi, tak na przykład, jak między Murzynami ludźmi jeden czarniejszy od drugiego. Ale się wysadzali przy miernym dobieraniu szerści na tok jak najrówniejszy, i gdy ten dobrze w podobieństwie odpowiadał, już był cug dobry i paradny.

Szory były w używaniu trojakie: pierwsze z rzemienia czarnego bez mosiądzu i te służyły do pracy i jazdy pospolitej, do karabonów, do bryk poszóstnych, do kolasek, wozów kuchennych, a to u wielkich

dworów; także dla szlachty parą lub czterma końmi podróż odprawujących. Drugie szory czarne z mosiądzem, jakich używali panowie do cugów sześciokonnych w podróżach i prywatnym jeżdżeniu po miastach. Trzecie szory paradne, te robiły się raz z czarnego rzemienia suto mosiądzem wysadzone, tynkturą lustr świcący dającą, z gorzałki tęgiej, sadła, sadzy gdańskich i wosku robioną, wysmarowane i potem szczotką mocno wyglancowane; gdy do nich przydano lejce kamelarowe albo jedwabne z frakami takimiż, czyli kutasami, do łbów końskich – po trzy do każdego łba – przyprawianymi, z zaplotkami takimiż do czupryn końskich i grzywów, do których przydawano po trzy róże z takiegoż materiału jak lejce zrobione, wedle ucha, wśród grzywy i przy kłębie wpięte, czwartą różą przypinano koniowi nad ogonem. Drugi raz szor rzemienny powlekano aksamitem błękitnym, zielonym, pąsowym, karmazynowym lub żółtym, do liberii dworu stosownym, albo taśmą jedwabną złotem lub srebrem przerabianą, sadząc na nią sztuki srebrne albo mosiężne w ogniu pozłacane lub posrebrzane, z przydatkiem cuglów i lejców jedwabnych lub kamelarowych, nicią srebrną lub złotą przerabianych, z takimiż jak lejce frakami, różami i zaplotkami. Takich szorów zażywano tylko do wielkiej parady, jako zbyt kosztownych, a częstemu zepsuciu – ile przez konie swawolne – podległych. Jakie były lejce, taki musiał być bicz u stangreta i harapnik u forysia.

O zjazdach publicznych

Między zjazdami publicznymi miejsce pierwsze trzymały sejmy, po nich senatus consilia, dalej trybunały, komisje radomskie, kontrakty lwowskie i wjazdy panów na województwa i starostwa grodowe, na audiencje do króla posłów zagranicznych, na akty weselne i pogrzeby wielkich panów. Pierwszego dnia sejmu, gdy król jechał z pałacu swego do zamku, panowie i posłowie ziemscy, zebrani wprzód na zamek na godzinę naznaczoną od marszałka wielkiego koronnego, wysyłali karety swoje z liberią na asystencją królowi. Ulica Krakowska od pałacu królewskiego do zamku tego dnia była oczyszczona z wszelkich śnieci, barłogów i błota, a jeśli byka posucha, tedy wodą skropiona i miotłami umieciona. Nikt tego dnia nie mógł przejeżdżać tą ulicą, póki się wjazd królewski nie odprawił. Drabanci sascy lub karwanierowie w paradnych mundurach byli rozstawieni po obu stronach ulicy o dziesięć kroków jeden od drugiego.

Karety szły porządkiem jedna za drugą, podług godności swoich panów; przed każdą karetą szła pieszo liberia swoja, lokaje przed końmi, hajducy w długich kontuszach, w wysokich węgierskich magierkach z strusimi piórami, wedle karety za hajdukami (jeżeli byli konserwowani) pajucy, po turecku w bogate materie suto ubrani. Między hajdukami przy karecie mieścili się na koniach dwaj paziowie; czterech lokajów i dwu hajduków składało liczbę liberii najmniejszą; największa zaś była dwunastu lokajów i sześciu hajduków z dwoma lub czterema pajukami i tej liczby nie przenosiła nawet królewska liberia, wyjąwszy Kajetana Sołtyka, biskupa krakowskiego, który pierwszego roku biskupstwa krakowskiego na publicznych paradach prezentował się o dwudziestu czterech lokajach, dwunastu hajdukach i czterech paziach, ale w drugim zaraz roku tak szumny dwór swój, wszystkie inne przesadzający liczbą i przepychem, zredukował do mierności średniej.

Za wszystkimi karetami panów polskich następowały karety posłów cudzoziemskich i nuncjusza papieskiego, za którymi dopiero szła kareta marszałka wielkiego koronnego. Po niej następowała kalwakata królewska, która się składała z kilkunastu pierwszej rangi urzędników koronnych i litewskich, regimentarzów i pułkowników, a między nimi wielu orderowych na dzielnych koniach, w bogatych siądzeniach, z jednym dworzaninem królewskim, dniową służbę odbywającym; zamykał ten orszak koniuszy królewski, zawsze Sas, za którym postępowała porządkiem wyżej opisanym liberia królewska i kareta w sześć koni, pospolicie izabelowatych, wielkich cabanów, hiszpańskich ogierów zaprzężona. Kareta królewska, od złota i taflów kryształowych ze wszystkich stron blask wielki sprawująca, dawała widzieć całą osobę króla z przodu i z tyłu, siedzącego w karecie samego jednego, który osobą swoją ogromną i dziwnie wspaniałą złotu samemu przydawał okazałości. Za karetą paradowało na koniach trzydziestu sześciu drabantów lub karwanierów w bogatych koletach, z jednym oficjerem na froncie i z drugim w odwodzie. Na widok takiego wjazdu pełno było po oknach wszystkich kamienic i na ulicy spektatora.

Lubo zaś król, póki się sejm nie zerwał, a podczas senatus consilium, póki się to nie skończyło, co dzień zjeżdżał na zamek z pałacu swego, ta jednak parada panów nie asystowała mu, tylko dnia pierwszego. Ulica Krakowska nie była już więcej żołnierzem osadzona, jeżdżono nią i tylko w samą godzinę przejazdu królewskiego dawali węgrzy marszałkowscy baczność, aby na niej nic nie zastępowało. Mięszkańcy jednak tej ulicy każdego dnia dawali z okien swoich baczność,

aby się tym miłym widokiem nasycali, którym oraz dawali znak swojego do monarchy przywiązania.

Jaki porządek i przepych wyczytuje Czytelnik w tym wjeździe królewskim, taki niechaj sobie wyobraża na innych wjazdach postów zagranicznych tudzież panów krajowych na województwa i starostwa, z tą różnicą, iż wjazdowi królewskiemu nie asystowali dworzanie żadnego pana; kiedy zaś prowadzono na audiencją publiczną jakiego poda zagranicznego albo wjeżdżającego na województwo lub starostwo, to za szeregiem karet asystujących następowała kalwakata rozmaitych dworskich, od różnych dworów zebrana, która w Warszawie za rozkazem marszałka wielkiego koronnego zjeżdżała się przed pałac wjazd odprawującego; po innych zaś miastach na wjazdach, weselach lub pogrzebach przyjaciele jedni drugim swoich dworzan udzielali i wraz z nimi aktowi asystowali.

Rozkaz marszałkowski nie był tak surowy, żeby go się przestąpić nie godziło, i nie wychodził w innym składzie biletów, tylko w składzie prośby. Ale że u każdego pana było zadosyć dworzan, a ile paniczów młodych, przeto z ochotą każdy przybywał na taki popis, na którym i na siebie, i na konia, i na bogate siądzenie zwabiał oko licznego spektatora, osobliwie białej płci, przed którą pląsać na dobrym koniu miło mu było, i bywało jej czasem do 500 koni.

Kalwakata taka składała się najprzód z masztalerzów i pacholików, którą prowadził jeden dworzanin marszałka wielkiego koronnego; w oddaleniu o kilka kroków ciągnęli się dworzanie, a za tymi następowała kareta z wjeżdżającym żywym albo powóz pogrzebowy z umarłym. Z jakim porządkiem prowadziła żywego takowa kalwakata, z takim go na powrót odprowadzała. Umarłego zaprowadziwszy do grobu, rozjeżdżała się do domów, jeżeli na żałobny obiad nie była zaproszona.

Opisawszy kalwakaty i parady, na zjazdach publicznych używane, przystąpmy teraz do rozmaitej obyczajności na wspomnionych zjazdach pod Augustem III trwającej, a nim wnidziem na pokoje i sale, zastanówmy się na dziedzińcu, na którym obaczemy lekkomyślność kanalii dworskiej obyczajem utrzymowaną, zabawkę i śmiech jednym, drugim wstyd przy noszącą.

Ponieważ sejm nie odprawował się, tylko w dzień, ten zaś nie miał nigdy pewności, jak długo się pociągnie i czy się tego dnia nie skończy, którego się zaczął, dlatego panowie prędzej się nie zjeżdżali jak około godziny 11 przed południem, a zjechawszy się o wspomnionej godzinie, ciągnęli sesją do godziny wieczornej; przeto karet i koni wiersz-

chowych nie odsyłali, z których chociażby który chciał swój powóz do stancji odesłać, niełatwo tego mógł dokazać, jeżeli kareta jego gdzie w kącie innymi karetami była zapakowana; więc oprócz wyżej wyrażonej przyczyny i stąd wypadało karetom stać w miejscu, toż samo i koniom wierszchowym, gdzie się co umieściło, że się z owego tłoku trudno było wydobyć. Cały dziedziniec zamkowy i ulice pobliższe były zapchane karetami – stawając dycht jedna wedle drugiej – i końmi wierszchowymi, tak iż mały przesmyk do bram dla pieszych był zostawiony. Stangreci tedy, forysie, masztalerze i pacholicy nudząc w takim położeniu kilka godzin, czynili sobie rozrywkę z samych siebie i z przechodzących. Najprzód sami między sobą eksperymentowali na bicze, harapniki i kańczugi o miejsca, na których się szykowali. A gdy się już wychłostali i uspokoili, skoro postrzegli kogo przechodzącego w wilczurze lub w barankach, lub w lisach, nie omięszkali krzyczeć na niego co z garła: „Hulu wilka, kulu wilka! Tiu, lisiu, ha, tiu, lisiu, ha!", na baranią szubę beczeć: „Be! be!", póty, póki im z oczu nie zniknął. Jeżeli jaka młoda białogłowa przechodziła lub przejeżdżała blisko nich, okrzyczaną została najwszeteczniejszymi wyrazami: „Ta moja ku... Łżesz, nie twoja, moja. Ta z księdzem spała. Ta z moim panem spała. Ta z Żydem. Ta zarobiła tynfa" – zgoła cokolwiek któremu z tego motłochu ślina do gęby przyniosła.

Takowe salwe nikogo nie chybiło z osób wyżej wyrażonych, chociażby była najdystyngwowańsza. Nikt się o to nie skarżył i zwierszchność wcale się tym nie zatrudniała; kto wpadł między nich, nakrywszy sobie głowę i twarz zasłoniwszy, uciekał co tchu z owego placu, jak złodziej, kiedy go gonią. Na Józefa także, błazna nadwornego królewskiego, beczeli często, ale nie zawsze, ponieważ jego nic ten bek nie obchodził; owszem jeżeli ci wrzeszcze milczeli, on go sam zaczął, a jadąc sobie jak najwolniej, dokazywał nieraz tego, że umilkli, zmordowawszy się beczeniem, albo też gdy poczęstowani tabaką kichającą jedni kichali, drudzy się z kichających śmiali, a Józef, na pożegnanie kompanii całej wypiąwszy tył – odjechał.

Gdy się zmroczyło, a panowie nie zabierali się do siadania, stangreci i masztalerze przejęci głodem albo zimnem i słotą, wołali na nich: „A siadaj, łysy. Siadaj, ślepy. Siadaj, garbusie. Siadaj, szafrańcze. Siadaj, bachusie. Siadaj, kulasie. Siadaj, gaszku!" – albo innym jakim słowem do przymiotu swego pana stosownym. Gdy panowie po skończonej sesji zaczęli się ruszać z izby, tam dopiero powiększył się hałas, gdy nastąpiło pospolite ruszenie karet i koni. Każdy wołał po imieniu swego stangreta lub masztalerza: „Zajeżdżaj" albo: „Dawaj

swego stangreta lub masztalerza: „Zajeżdżaj" – albo: „Dawaj konia!" – ten się panu z miejsca odzywał: „Zajeżdżam tu, tu" – albo : „Nie mogę!" Kto miał sprawniejszych woźniców, osobliwie forysia, ten się prędzej karety doczekał, bo foryś łepski, ubiegając się z drugimi do zajazdu, harapnikiem sprawnie na obie strony siekąc bez uwagi, czy to koń, czy człowiek, czy pospolity, czy dystyngwowany, zastępował mu albo się z nim równał w zajeżdżaniu, prędzej sobie rum zrobił niż bojaźliwy albo mniej sprawny. Hajducy także, lokaje, laufrowie i inna czeladź dworska, podług.,, przemocy kijowej, a czasem i szabel, wiele pomagała do prędszego przystawienia karety swojemu panu. Co wszystko w tumulcie i w nocy uchodziło, choć przez ten nieporządek wiele kaleczono koni i ludzi, czasem końmi stratowanych, i karet psuto, nie wspominając mniejszych szkód i szwanków w podrapanych sukniach, w pozbytych okach i potaśmowanych gębach.

Kto nie chciał mieć szkody, czekał godzinę jednę i drugą, niż się tłok przerzedził, po którym wsiadł spokojnie i zajechał zdrowo. Z tych zaś, co lubili walczyć o precedencją, niejednemu tak się trafiło, iż w zepsutej karecie, albo o drugą w ciasnym kącie, mianowicie w bramie, uwadzonej, tak iż się żadna ruszyć nie mogła, musiał siedzieć kilka godzin, nim go z owej cieśni wydobyto lub inną karetę podprowadzono, gdy tymczasem inni wyjeżdżający takową zawadę inną stroną omijali, życząc mu snu smacznego na ulicy. Dla uniknienia podobnego nieszczęścia jeżeli pan który mógł bezpiecznie pieszo dojść do swojej karety, poszedł i wsiadł, i nie cisnąc się do zajazdu, choć w przeciwną stronę wykierowawszy, pojechał szczęśliwie.

Trafiło się jednego razu, że książę Czartoryski, kasztelan wileński, który był garbaty, użył tego sposobu: wyszedłszy z senatu sam jeden, niepostrzeżony od swojej liberii, trafunkiem postrzegłszy karetę swoją blisko stojącą, poszedł pieszo i wsiadł do niej właśnie wtenczas, gdy stangret jego najbardziej wrzeszczał: „A siadajże, skurwysynu garbusie!" Książę się mu z karety odezwał: „Jestem ja tu już, panie Matiaszu!" (tak było imię stangretowi). Na to stangret przelękniony: „Ha, kiedy tu wasza książęca mość jesteś, to ja nie będę!", i natychmiast uciekł; darmo książę wołał za nim prosząc, aby się wrócił, zaklinając się na wszystkie obowiązki, że mu nic nie będzie. Stangret słusznie kalkulując u siebie, że zarobił na sto kijów, więcej się nie powrócił. Książę z jednym forysiem zostawiony, obawiając się, aby go za wyjściem z powozu inny znowu śmieszny a niewygodny przypadek nie

potkał, póty w karecie siedział, póki go liberia jego po długim szukaniu nie znalazła i do pałacu nie zaprowadziła.

Lubo Bieliński, marszałek wielki koronny, w wielu rzeczach zatrudniał się policją, co się atoli tycze dopiero opisanego hałasu i nieporządku stangretów i masztalerzów, około tego wcale nie usiłował; dosyć miał na tym, że jego kareta musiała mieć plac wolny i że jej nicht w zajeżdżaniu wyprzedzać nie śmiał ani żaden foryś, chociażby hetmański, z forysiem marszałkowskim potykać się na batogi.

Co się działo na dziedzińcu zamkowym, toż samo działo się wszędzie po pańskich pałacach albo placach publicznych; gdzie się dosyć karet i konnych nazjeżdżało, wszędzie hałas, trzask, prask i wywoływania najszpetniejszych słów na białą płeć. Skoro zaś nicht tym wrzaskom nie zapobiegał, wkorzeniając się coraz bardziej w zwyczaj i szerząc od masztalerzów i woźniców po wszystkiej liberii, przyszło do tego, że gdy na jaki bal damy zaproszone w nocy, w tłoku wysiadały z karet, stojąca pieszo przed salą hałastra dworska, chłopcy, węgrzynkowie i lokaje, futra z panów swoich i pań odbierający i cały czas trzymający, chwytała je za lędźwie, czego pod wielkimi rogówkami dokazać bez postrzeżenia niewstydnika łatwo było. Dama przestraszona schwyceniem krzyknęła, wyskoczyła z karety jak sparzona, inna kareta nastąpiła, hałastra się zmięszała, następująca dama podobną odprawę wzięła i wszystko się owym tłokiem i mrokiem nocnym zatarło.

Panowie wielcy, mający żołnierza kompotowego lub nadwornego, usiłowali nieraz tę swawolą poskromić złapaniem którego niegodzijasza i wygarbowaniem mu skóry należycie w kozie; ale darmo, bo skoro żołnierze wyszli na tę czatę, służalcy, stojący blisko żołnierzy, sprawowali się jak najskromniej, gdy tymczasem stojący opodal jak największe krzyki i swawole wyrabiali. A gdy się w tamten kąt, gdzie był hałas, przedarli żołnierze, ci, do których się zbliżyli, ucichli, a tamci, od których odeszli, na nowo wrzeszczeć i podchwytywać zaczęli. Więc żołnierze, nabiegawszy się tam i sam i naprzedzierawszy się przez tłok nadaremnie, powracali próżno. Ledwo przecie wymyślili ubezpieczenie damom panowie od nieprzystojnego podchwytywania, dawszy warty mocne dwiema szeregami mocnymi od zajazdu karet aż do pierwszej sali, czyli przysionku, nie wpuszczając w środek między te szyldwachy żadnego służalca, ale każdego w tył żołnierzy wypychając. Co zaś do wrzasku, ten został w modzie, jako żadnym sposobem nie uleczony, i nareszcie uchodził za rozrywkę.

O zapustach i kuligach

Lubo wielcy panowie i można szlachta przez cały rok zabawiali się bankietami i tańcami, bardzo często spraszając do siebie gości z rozmaitych okazji, jako to: na święta Bożego Narodzenia, na Wielkanoc, na Zielone Świątki, na imieniny, na chrzciny, na zaręczyny, na wesela; najwięcej jednak takowych ochot sprawiali sobie począwszy od Tłustego Czwartku aż do Wstępnej Środy; często zaś bardzo rozszalawszy się, choć przy postnych potrawach, gwałcili tańcami i pijatyką i Wstępną Środę, i Wstępny Czwartek, ledwo hamując się w swywoli w pierwszy piątek postny, który to dzień, jako piątek marcowy, a jeszcze pierwszy, nabożeństwu do Serca Pana Jezusowego poświęcony, był w wielkiej obserwie; przeto już w niego tańcować nie śmieli, ale co pić, to bynajmniej nie przestawali, zalewając suchoty i postne potrawy rozmaitymi trunkami i niby spłukując z gardzielów tłustości mięsopustne.

W domach atoli biskupich i duchownych tańce nie trwały dłużej jak do świtu Wstępnej Środy, i to tylko tam, gdzie się młodzieży zbyt nogi rozbiegały, a gospodarz łagodny, niesurowy obserwant czasów kościelnych, nie chciał im psuć wesołej fantazji, dysymulując tę wiolencją postu świętego, póki sami, zmordowani, nie przestali. Bo u skrupulatów, między jakowymi prym trzymał Sierakowski, biskup przemyślski, a potem arcybiskup lwowski, nad dwunastą godzinę północną w ostatni wtorek na środę ani raz w taniec nogą posunąć nie wolno było. Skoro ta wybiła, zaraz dudy w miech, a kompania do poduszki rozejść się musiała. Co też zachowywano i po wielu świeckich domach gospodarstwa laty obciążonego, pobożności bardziej niż światowym uciechom przychylnego, mianowicie gdzie jegomość albo jejmość, albo też oboje państwo wpisani byli w jaki zakon tercjarski.

Takowe uciechy działy się po pańskich domach między przyjaciołmi zaproszonymi. Niższej zaś fortuny szlachta wyprawiała kuligi, które były takowe: dwóch albo trzech sąsiadów zmówili się z sobą, zabrali z sobą żony, córki, synów, czeladź służącą i co tylko mieli w domu dorosłego, nie zostawując w nim, tylko małe dzieci pod dozorem jakich dwojga osób, mężczyzny i niewiasty. Sami zaś wpakowawszy się na sanki albo gdy sanny nie było, na kolaski, karety, wózki, na konie wierszchowe, jak kto mógł, jachali do sąsiada pobliższego ani proszeni od niego, ani przestrzegłszy go, żeby się im nie skrył albo nie ujechał z domu. Tam go zaskoczywszy, rozkazywali sobie dawać jeść,

pić, koniom i ludziom, bez wszelkiej ceremonii, właśnie jak żołnierze na egzekucji, póty u niego deboszując, póki do szczętu nie wypróżnili mu piwnicy, szpiżarni i szpichlerza; gdy już wyżarli i wypili wszystko, co było, brali owego nieboraka z sobą, z całą jego familią i ciągnęli do innego sąsiada, któremu podobneż pustki zrobiwszy, ciągnęli dalej, aż póki w kolej do tych, którzy zaczęli kulig, nie doszli. Ci zaś, że pospolicie byli najmniej majętni, a do tego garłacze koronni, nie mający zaległych trunkami piwnic ani zapaśnych szpiżarniów, niedługo w domach swoich kompanią zabawili, ile już deboszami w innych domach dostatniejszych znużoną.

Poczynały się te kuligi zwyczajnie w przedostatni tydzień zapustny i trwały do Wstępnej Środy. Że takowe kuligi najwięcej bawiły się pijatyką i obżarstwem, przeto mniej dbając o tańce, przestawali na jakim takim skrzypku, czasem z karczmy porwanym albo między służącą czeladzią wynalezionym; chyba że gospodarz miał swoją domową kapelę albo też rozochocony posłał po nią gdzie do miasta. Najsławniejsze co do pijatyki i brawury te kuligi były w województwie rawskim, gdzie się nieraz krwią oblewały, a jeżeli się kto obcy przez niewiadomość wmięszał do tego kuligu, a nie podobał się mu albo nie mógł wystarczyć zdrowiem pijaństwu, zbili jak leśne jabłko, suknie w płatki na nim podrapali i wypędzili, jakoby dla słabego zdrowia niegodnego tak dzielnej kompanii.

Tak na kuligu, jako też i bez niego, w kuse dni zapustne (tak albowiem nazywano ostatnie trzy dni zapustne) przestrajali się i przekształcali w różne figury: mężczyźni za Żydów, za Cyganów, za olejkarzów, za chłopów, za dziadów, niewiasty podobnież za Żydówki, za Cyganki, za wiejskie kobiety i dziewki, udając mową i gestami takie osoby, jakich postać na siebie brali; w ostatni zaś wtorek jeden z między kompanii ubrał się za księdza, włożywszy na suknie zamiast komży koszulę, a zamiast stuły pas na szyi zawiesiwszy, stanął w kącie pokoju na stołku, kobiercem do ściany przybitym w pół pasa zasłoniony, wydając się jak w ambonie; miał kazanie z jakiej śmiesznej materii; i to było już po skończonych tańcach na kształt pożegnania zapustnego.

Po wieczerzy mięsnej w ostatni wtorek dawali około godziny dwunastej północnej mleko, jajca i śledzie, przegrawając niejako tymi potrawami następującemu postowi i niby po stopniach od mięsa przez nabiał do niego przystępując. Ta maślana kolacja zwała się podkurek; była wszędzie w używaniu tak w wielkich domach, jako też w małych.

Po wielkich miastach w Stępną Środę czeladź jakiego cechu, poubierawszy się za dziadów i Cyganów, a jednego z między siebie ustroiwszy za niedźwiedzia, czarnym kożuchem, futrem na wierszch wywróconym, okrytego i około nóg czysto jak niedźwiedź poobwiązywanego, wodzili od domu do domu, różnych figlów z nim dokazując, którymi grosze i trunki z pospólstwa, chciwego na takie widoki, wyłudzali. Inni znowu, spory kloc do łańcucha przyprawiwszy, chwytali dziewki służebne; złapaną wprzęgali do pomienionego kloca, przymuszając do ciągnienia póty od domu do domu, póki innej nie złapali dla uwolnienia pierwszej. Początek tej swawoli wziął się od zalotnika wzgardzonego i stał się powszechną karą na dziewki dorosłe, które za mąż nie poszły, chociaż się im dusznie pragnącym tego szczęścia nie dostało.

Podobne swawole praktykowały się i po wsiach między parobkami i dziewkami; ale najwięcej na wsiach w ostatni wtorek bywało we zwyczaju obnoszenie po chałupach przez parobczaków kurka drewnianego na dwóch kółkach małych z dyszlem, czyli raczej kijem, osadzonego, na którego kurka, jakby na prawdziwego koguta, dziewek i gospodyniów zapraszali, a te rozumiejące tę ceremonią dawały im ser, masło, szperki, kiełbasy, jajca, z czego w samej rzeczy mogli zrobić ucztę nie lada jaką, przykupiwszy do tego gorzałki i piwa, bez czego się nie obeszło.

Zaś przy kościołach w Stępną Środę po miastach chłopcy, studencikowie, czatowali na wchodzącą do kościoła białą płeć, której przypinali na plecach kurze nogi, skorupy od jajec, indycze szyje, rury wołowe i inne tym podobne materklasy; tak zaś to sprawnie robili, że tego osoba dostająca nie czuła, bo to plugastwo było uwiązane na sznurku lub nici, do końca której była przyprawiona szpilka zakrzywiona jak wędka, więc chłopiec do takich figlów wyćwiczony byle się dotchnął ową szpilką sukni, wraz i figla na osobie zawiesił. A ta ni o czym nie wiedząc, pięknie przybraną i wiele razy będąca dystyngwowaną, postępowała w kościół z dobrą miną, gdy tymczasem wiszącym na plecach kawalcem pustym głowom śmiech z siebie czyniła, którym się i sama, na koniec od kogo roztropnego uwolniona od wisielca, zarumienić musiała.

Comber

W Krakowie tylko samym był ten zwyczaj, że w pierwszy czwartek postny przekupki sprawiały sobie ochotę, najęły muzykantów, naznosiły rozmaitego jadła i trunków i w środku rynku, na ulicy, choćby po największym błocie, tańcowały. Kogo tylko z mężczyzn mogły złapać, ciągnęły do tańca. Chudeuszowie i hołyszowie dla jadła i łyku sami się narażali na złapanie; kto zaś z dystyngwowanych niewiadomy nadjechał albo nadszedł na ten comber, wolał się opłacić niż po błocie, a jeszcze z babami, skakać.

O Wstępnej Środzie

W ten dzień w kościołach dawano ludowi opielec, to jest przyklękającym przed wielkim ołtarzem lub przed innym pobocznym po odprawionej mszy świętej ksiądz posypował głowy popiołem z palmy w Kwietną Niedzielę święconej (nie z trupich kości, jak rozumie prostactwo) upalonym, przypominając ludowi tym sposobem, że kiedyś w proch się obróci, zatem żeby się do marności światowych, a tym bardziej do rozpusty nie przywiązywał, ale owszem za zbytki i swawole mięsopustne miał się przy poście świętym do pokuty. Na ten popielec zjeżdżali się i schodzili do kościołów wszyscy katolickiego wyznania, panowie nawet najwięksi nigdy go nie opuszczali. Ale że nie wszyscy byli sposobni w Stępną Środę do przyjęcia tego obrządku, przeto dawano go drugi raz po kościołach, mianowicie po wsiach, w pierwszą niedzielę postu. Taka zaś była jeszcze pobożność Polaków pod panowaniem Augusta III w latach początkowych, że nawet chorzy, nie mogący dla słabości przyjąć popielcu w kościele, prosili o niego, aby im był dany w łóżku.

Lecz ku końcu panowania wyżej wyrażonego króla, gdy wiara stygnąć poczęła, w młodzieży osobliwie duchem libertyńskim zarażonej, popielec ledwo miał ciżbę do siebie w kościele, i to najwięcej od pospólstwa; po domach zaś rozdawać go, gdy nicht nie prosił, w cale zaniechano. Ale natomiast nie fatygując księży swawolna młodzież rozdawała go sobie sama, trzepiąc się po głowach workami popiołem napełnionymi albo też wysypując zdradą jedni drugim obojej płci na głowy pełne miski popiołów. Ta jednak swawola nie praktykowała się po wielkich domach, tylko po małych szlacheckich i po miastach między pospólstwem.

Druga ceremonia – nie kościelna, ale światowa – z popiołem bywała długo w używaniu po miastach i po wsiach, która zawisła na tym, że jaki młokos przed przechodzącą lub tuż za przechodzącą niewiastą albo jaka dziewka przed lub za przechodzącym mężczyzną rzucała o ziemię garnek popiołem suchym napełniony, trafiając tym pociskiem tak blisko osoby, że popiół z garka rozbitego, wzniesiony na powietrze, musiał ją obsypać albo obkurzyć. Co zrobiwszy swawolnica lub swawolnik, zawoławszy: „Półpoście, mości panie" lub „mościa pani", albo „panno", uciekł; że zaś nie kożdy mógł znieść cierpliwie taki ceremoniał, sukni i oczom szkodliwy, mianowicie gdy między osobą czyniącą i cierpiącą żadnej przyjaźni i znajomości nie było, trafiało się, że stąd wynikały zwady i bitwy, a tak ta ceremonia niedługo ustała, przeniósłszy się z katolików na samych Żydów, których afrontować i nie tylko garkiem popiołu za plecy zwalić, ale też i kijem wyprać za lada okazją wolno było, osobliwie w Warszawie, gdzie Żydzi, nie mający prawa inkolatu, bardzo pokornymi być musieli, a zatem małe krzywdy i urazy cierpliwie znosili.

Zeszedł nareszcie popiół i z Żydów, gdy bilety nastały, które czyniąc marszałkom wielkim koronnym niemałą intratę, ściągnęły też na Żydków kochanych większą protekcją. Żyd by najmniej urażony, byle tylko znał urażającego, natychmiast pozywał na sądy marszałkowskie, gdzie przestępcę nieodwłocznie na worku albo na skórze, podług majątku osoby, skarano; więc afrontowanie Żydów w cale nie tylko w ten sposób, ale i w inny wszelki ustało.

O ciemnej jutrzni i Wielkiej Środzie

W Wielką Środę, po odprawionej jutrzni w kościele, która się nazywa ciemną jutrznią, dlatego iż za każdym psalmem odśpiewanym gaszą po jednej świecy, jest zwyczaj na znak tego zamięszania, które się stało w naturze przy męce Chrystusowej, że księża psałterzami i brewiarzami uderzają kilka razy o ławki, robiąc mały tym sposobem łoskot; chłopcy swawolni, naśladując księży, pozbiegawszy się do kościoła z kijami, tłukli nimi o ławki z całej mocy, czyniąc grzmot po kościele jak największy tak długo, póki aż dziadowie i słudzy kościelni, przypadłszy z gandziarami, nie wyparowali ich z kościoła. Ale chłopcy szybciejsi w nogach od starych dziadów, urwawszy tego i owego po plecach kijem, sami zdążyli przed gandziarą umknąć z kościoła. Toż

dopiero zrobiwszy bałwan z jakich starych gałganów, wypchany słomą na znak Judasza, wyprawili z nim na wieżą kościelną jednego lub dwóch spomiędzy siebie, a drudzy z kijami na pogotowiu przed kościołem stanęli. Skoro Judasz został zrucony z wieży, natychmiast jeden, porwawszy za postronek uwiązany u szyi tego Judasza, włóczył go po ulicy biegając z nim tu i ówdzie; a drudzy goniąc za nim bili go kijami, nieprzestannie wołając co z garła: „Judasz! Judasz!", póki owego bałwana wniwecz nie popsuli. Jeżeli Żyd jakowy niewiadomy tej ceremonii nawinął się im, porzuciwszy zmyślonego Judasza, prawdziwego Judę tak długo i szczerze kijami obkładali, póki się do jakiego domu nie salwował. Lecz i ta swawola chłopców w zwyczaj wprowadzona, jako pokrzywdzająca domy boskie, sługi kościelne i biednych Żydków, za wdaniem się w to szkolnych profesorów i rządców publicznych, pobywszy lat kilka nareszcie ustala.

Zostały się chłopcom do zabawki grzechotki; te miały początek w Wielki Czwartek, a koniec w Wielką Sobotę; trwały przez ten czas, przez który Kościół nie używa dzwonów do dzwonienia, tylko klekotów do kołatania. Jak prędko na wieży kościelnej odezwała się klekota, chłopcy natychmiast nie omieszkali biegać po ulicach z swoimi grzechotkami, czyniąc nimi przykry hałas w uszach przechodzącym. Grzechotka było to narzędzie małe, drewniane, w którym deszczka cienka, obracając się na walcu, także drewnianym, pokarbowanym, przykry i donośny hałas czyniła. Im tężej ta deseczka była do walcu przystrojona, tym głośniejszy czyniła łoskot; jedni ją sami sobie robili, drudzy kupowali gotowe, kupami na rynku jak jaki towar od wieśniaków przedawane.

Klekot kościelny wiele miał części podobnych do tego instrumentu, którym len chędożą, i był osadzony na kółkach jak taki, dla sposobności toczenia go po ulicy około kościoła dla oznajmienia ludowi czasu zbliżającego się nabożeństwa.

O Wielkim Piątku

Pobożne zwyczaje polskie w dzień Wielkiego Piątku opisałem wyżej. Tu zaś opiszę jeszcze niektóre światowe i puste, między którymi niechaj ma miejsce śledź i żur. W Piątek Wielki wieczorem albo w sobotę rano drużyna dworska przy małych dworach, uwiązawszy śledzia na długim i grubym powrozie, do którego był nicią cienką przyczepio-

ny, wieszała nad drogą na suchej wierzbie albo innym drzewie, karząc go niby za to, że przez sześć niedziel panował nad mięsem, morząc żołądki ludzkie słabym posiłkiem swoim.

Żur wynosili z kuchni jako już dłużej niepotrzebny, co było sidłem dla zwiedzenia jakiego prostaka. Namówili go, żeby garnek z żurem w kawale sieci wziął na plecy i niósł go tak, albo na głowie trzymając kwidem do pogrzebu; za niosącym frant jeden szedł z rydlem, mający dół kopać żurowi i w nim go pochować. Gdy się wyprowadzili z kuchni na dziedziniec, ów, co szedł z rydlem, uderzył w garnek, a żur natychmiast oblał niosącego i sprawił śmiech asystującym temu zmyślonemu pogrzebowi żurowemu i patrzącym na niego.

O dyngusie

Była to swawola powszechna w całym kraju tak między pospólstwem, jako też między dystyngwowanymi: w poniedziałek wielkanocny mężczyźni oblewali wodą kobiety, a we wtorek i w inne następujące dni kobiety mężczyzn, uzurpując sobie tego prawa aż do Zielonych Świątek, ale nie praktykując dłużej jak do kilku dni.

Oblewali się rozmaitym sposobem. Amanci dystyngwowani, chcąc tę ceremonią odprawić na amantkach swoich bez ich przykrości, oblewali je lekko różaną lub inną pachnącą wodą po ręce, a najwięcej po gorsie małą jaką sikawką albo flaszeczką. Którzy zaś przekładali swawolą nad dyskrecją, nie mając do niej żadnej racji, oblewali damy wodą prostą, chlustając garkami, szklenicami, dużymi sikawkami i prosto w twarz lub od nóg do góry. A gdy się rozswawolowala kompania, panowie i dworzanie, panie, panny, nie czekając dnia swego, lali jedni drugich wszelkimi statkami, jakich dopaść mogli; hajducy i lokaje donosili cebrami wody, a kompania dystyngwowana, czerpając od nich, goniła się i oblewała od stóp do głów, tak iż wszyscy zmoczeni byli, jakby wyszli z jakiego potopu. Stoły, stołki, kanapy, krzesła, łóżka, wszystko to było zmoczone, a podłogi – jak stawy – wodą zalane. Dlatego gdzie taki dyngus, mianowicie u młodego małżeństwa, miał być odprawiany, pouprzątali wszystkie meble kosztowniejsze i sami się poubierali w suknie najpodlejsze, takowych materyj, którym woda niewiele albo w cale nie szkodziła.

Największa była rozkosz przydybać jaką damę w łóżku, to już ta nieboga musiała pływać w wodzie między poduszkami i pierzynami

jak między bałwanami; przytrzymana albowiem od silnych mężczyzn, nie mogła się wyrwać z tego potopu; którego unikając, miały w pamięci damy w ten dzień wstawać jak najraniej albo też dobrze zatarasować pokoje sypialne. Ile zaś do mężczyzn, ci w łóżkach nie mogli podlegać od kobiet takowej powodzi, mając większą siłę do odporu, a słabszy atak przez naturalny wstyd, nie pozwalający kobietom ujmować i dotrzymować krzepko mężczyznę rozebranego.

Bywało nieraz, iż zlana wodą jak mysz osoba, a jeszcze w dzień zimny, dostała stąd febry, na co bynajmniej nie zważano, byle się zadosyć stało powszechnemu zwyczajowi. Takież dyngusy odprawiały się i po miastach między osobami poufałymi. Parobcy zaś po wsiach łapali dziewki (które się w ten dzień, jak mogły, kryty), złapaną zawlekli do stawu albo do rzeki i tam wziąwszy za nogi i ręce wrzucili, albo też włożywszy w koryto przy studni lali wodą póty, póki się im podobało.

Po ulicach zaś w miastach i wsiach młodzież obojej płci czatowała z sikawkami i garkami z wodą na przechodzących; i nieraz chcąc dziewka oblać jakiego gargasa albo chłopiec dziewczynę, oblał inną jaką osobę duszną i nieznajomą, czasem księdza, starca poważnego lub starą babę. Kobiety wiedzące, iż im mężczyźni mogą sto razy lepiej oddać, nigdy dyngusu nie zaczynały i rade były, gdy się bez niego obejść mogły; ale zaczepione od mężczyzn, podług możności oddawały za swoje.

Temu dyngusowi początek dwojaki naznaczano. Jedni mówią, iż się wziął z Jerozolimy, gdzie Żydzi schodzących się i rozmawiających o zmartwychwstaniu Chrystusowym wodą z okien oblewali dla rozpędzenia z kupy i przytłumienia takowych powieści. Drudzy, iż ma początek dyngus od wprowadzenia wiary świętej do Polski, w początkach której nie mogąc wielkiej liczby przyjmującej wiarę chrzcić w pojedynczych osobach, napędzali tłumy do wody i w niej nurzali. Wolno wierzyć, jak się komu podoba. Genealogii zwyczajów nie wywodzę, tylko jakie były pod panowaniem Augusta III, opisuję, dotykając kiedy niekiedy początków, ile mi się słyszeć o nich dostało.

O sobótce

Po zimnej kąpieli przystąpmy do ognia dla ogrzewki. W wigilią św. Jana Chrzciciela po nieszporach, a czasem twardym zmrokiem, po miastach i wsiach rozpalali spory ogień na ulicach, który się zwał sobótką,

przez który młodzież obojej płci, najwięcej atoli męskiej, skakała. Ten zwyczaj, gorszy daleko od dyngusu, w średnich latach Augusta III już był konającym, przy końcu zaś lat jego w cale ustał, dozorem surowym marszałka wielkiego koronnego w Warszawie najprzód, a za przykładem warszawskim, skąd się i złe, i dobre zwyczaje po całym kraju rozlewały, wszędzie wytępiony, jako złe skutki sprawujący, już to w pożarach budynków z sobótki zapalonych, już w osobach skaczących sobótkę, które nieraz, ile przy gęstym dymie, skacząc naprzeciw siebie i upadając w ogień, raziły sobie płomieniem oczy, twarzy, ręce i nogi, mianowicie bose, albo u kobiet od spodu nie opatrzone; osobliwie kiedy chłopcy, których kaduk mięsza do każdej swawolnej kompanii, klucze prochem ponabijane lub też ładunki z prochem nieznacznie w ogień rzucali. Te, wysadzając ogień do góry i huk niespodziany czyniąc, najczęściej dawały przyczynę, że skaczący przelękniony lub też w wysadzonych głowniach uplątany, upadł w ogień, za nim rozpędzony drugi i trzeci; którzy nim się podnieśli, tymczasem będący na spodzie dobrze sobie przypiekł pieczeniów.

Sobótka bez wątpienia wzięła początek od Polaków jeszcze pogan, którzy na cześć bożków swoich ognie palili i przez nie skakali. A gdy Polacy przyjęli wiarę św. katolicką, używali znowu ognia do palenia bałwanów, tak tych, które były po bałwochwalniach, jako też i tych, które mieli po domach, do czego jak przedtem na honor, tak potem na wzgardę przydali skakanie.

O workach i zegarkach

To, co teraz następuje, trzeba było napisać przy sukniach, jako w nich swoje mięszkanie mających, a zatem i związek co do materii mego pióra. Lecz kiedy się tam nie przypomniało, niechajże tu siedzi.

Nie myślę ja tu opisować worków do zboża, które – rozumiem – były i będą zawsze jednego kroju; ale zakładam opis worków do pieniędzy. Te u ludzi prostych bywały najwięcej z mosznów baranich i kozłowych, z skórek łasicowych, wiewiórczych i węgorzych. U szlachty zaś i mieszczan zamszowe, na zameczek z sprężyną, bez klucza zamykane i otwierane, w formie okrągło-podługowatej. Gaszkowie, którzy chcieli mieć wszystko nad innych modniejsze, starali się o worki materialne, srebrem i złotem haftowane, szukając w tym jakiejś wysokiej o sobie opinii przez worek bogaty, choć często pusty.

Ku końcu panowania Augusta III, gdy nastały sakiewki jedwabne, wszyscy możniejsi do nich się rzucili jako do wygodniejszych. Zamszowe jednak, łasicowe i inne wyżej wspomnione przy pospólstwie zostały. Materialne zaś, jako próżna ekspensa, zaszczyt mały i rzecz słaba, w cale zostały zaniechane.

Zegary po wieżach, zegary po domach pańskich i mieszczan bogatszych starsze były w Polszcze od panowania obydwóch Augustów, a może i od Zygmontów. Zegary jednak ścienne drewniane po domach partykularnych, a `najwięcej księżych, wzięły początek pod panowaniem Augusta III; majstrami ich byli młynarze Sasi, i choć to była sztuka podła, z początku jednak kosztowała do trzech czerwonych złotych, a potem spadła do szesnastu złotych. Te zegarki drewniane były ścienne, z wagami wiszącymi, i dla zalecenia konsztu miewały, acz nie wszystkie, przydaną do siebie kukułkę, swoim kukaniem wybijającemu godziny zegarowi odpowiadającą. Dzwonek bywał u nich pospolicie szklanny z młotkiem drewnianym i dawał dźwięk mocniejszy i milszy, niż gdzie był mosiężny.

Pektoraliki albo kieszonkowe zegarki, srebrne i złote, w początkach panowania Augusta III znajdowały się tylko u samych wielkich panów; znać, iż niedawno przyszły na świat, ponieważ dosyć były niezgrabne w proporcji do teraźniejszych; pierwsze niemal wszystkie były wybijające godziny, noszone były tak od mężczyzn, jak od niewiast w kieszeniach, bez łańcuszków, tylko z taśmą albo wstążką. A że te bijące zegarki często się psuły, a nie było majstrów zegarmistrzów do sporządzenia, tylko w Gdańsku i w Warszawie, przeto zarzucili zegarki z dzwonkami, używając samych cichych, jako nie tak zepsuciu podległych.

Powoli zaczęły się gęściej zegarki pokazywać, tak w szlacheckim, jako też miejskim stanie. Szlachcic majętny, dworzanin, oficjer wojskowy, oficjalista skarbowy, jurysta, kupiec bogaty nosił zegarek i gdy nim błysnął między ludem pospolitym dla obaczenia godziny, był natychmiast poczytany za człowieka w swoim stopniu majętnego.

Przydano potem większego kształtu zegarkom z wymyślonych do nich łańcuszków złotych, srebrnych, stalowych na glanc polerowanych i tombakowych; pomknięto wyżej okazałość, nawieszano do łańcuszka węzeł spory dewizków, czyli wisiadłów rozmaitych formów, maleńkich na pół cala, a największych na cal, tymi zaś dewizkami były osóbki piesków, kotów, ptaków, żab, koni etc., toż różnych instrumentów i strojów wyrazy: czapki, kapelusze, książki, kielnie mularskie, harmat-

ki, pistolety i tym podobne; czym więcej kto miał u zegarka tych dewizków, tym bardziej był konsyderowany. Wtenczas gdy przyszły łańcuszki do zegarków, noszono je nie w kieszeniach, ale na widoku. Mężczyźni, zażywający polskiego stroju, kładli zegarki za kontusz, prosto w dołek pod piersiami, a łańcuszek od niego wypuszczali na wierszch kontusza; mężczyźni w niemieckim stroju kładli zegarek do kieszonki, z umysłu dla zegarka w spodniach na . przedzie po prawej stronie zrobionej, wypuszczając łańcuszek na wierszch, tak jak i Polacy, z dewizkami; potem Polacy nosili zegarki w żupanach pod kontuszem, w kieszonce osobnej w prawej pole zrobionej, łańcuszek tak jak i pierwej na wierszch żupana wydając, który że ostrością swoją psował żupan, nareszcie tę galanterią przenieśli do pluder po niemiecku, bo też i pludry niemieckie przyjęli powszechnie, staropolskie buksy zarzuciwszy.

Damy nosiły zegarki u pasa na wierszchu, zakładając je klamrą dużą, obdłużną, w której wisiał zegarek, za spodnicę. Te klamry bywały srebrne, złote, tombakowe pozłacane, glancem i innymi figurami ozdobione. Na końcu panowania Augusta III zagęściły się tak zegarki, iż dały się widzieć u lokajów, stangretów i innej drużyny dworskiej i miejskiej, a takie u takich były pierwszej owej fabryki, które zostawszy od panów i możniejszych osób wzgardzone, przeniosły się do sług i uboższych tak jak stare boty.

Odprawiwszy panowie od siebie zegarki srebrne, jako pospolite, zaczęli się różnić zegarkami złotymi; a gdy i te zostały rozmnożone, zaczęli je kamelizować drogimi kamieniami, brylantami i innymi, w czym już ubożsi panów doścignąć nie mogli. Lecz noremberczykowie i złotnicy dla pokupu wynaleźli sposób czeskimi kamieniami naśladować prawdziwe drogie, orientalne kamienie. Więc kiedy zegarek ukamelizowany czeskimi kamieniami tak się błyszczył dobrze jak i ukamelizowany prawdziwymi diamentami, różnicy powierszchownej nie było między zegarkiem kilkanaście i kilkaset czerwonych złotych kosztującym. Dla czego na ostatku szacunek i wziętość zegarków między panami obróciła się do samej cnoty zegarka, mniej dbając o jego ozdobę. Jednak dlatego kosztownych brylantownych zegarków panowie wielcy, a osobliwie monarchowie i potentaci, nie zaniechali, wyłączywszy je od stroju, którego przedtem częścią były na kształt czerwonych złotych, które są dotąd częścią stroju Żydówek; chowają je po gotowalniach, szkatułach i pokojach i czyniąc z nich prezenta jakim znacznym osobom, używają ich zamiast pieniędzy, z oszczędnością, bo piękniej

się wydaje regalizować kogo zegarkiem kamelizowanym, wartającym dukatów sto albo dwieście, niż dać mu w istocie taką kwotę albo gdyby jeszcze większą dać trzeba było, a w zegarku mniejszą się zbywa.

O pierścionkach i szpinkach

Mieć na palcu pierścień diamentowy, szpinkę pod szyją takąż lub z innego jakiego drogiego kamienia znaczyło panicza i dworaka modnego, a kiedy jeszcze na obu rękach błyskały pierścienie, to tym bardziej. Choćby się kto najlepiej ubrał, bez tych ozdób nie był miany, tylko za miernego obywatela albo też za niegustownego domatora. Dla czego, kogo nie stać było na prawdziwe klejnoty, stroił się w czeskie, głogowskie i biłgorajskie, mianowicie w nocnych kompaniach, w których od rzęsistych świec lada szkiełko nabiera blasku, i do tego mało było w kraju jubilerów takich, którzy by jednym rzuceniem oka prawdziwe klejnoty od fałszywych rozeznawać mogli.

Mężczyźni oprócz pierścionków, noszonych zazwyczaj na średnim palcu, zasadzali na palec gruby, krótki skuwkę złotą lub srebrną szmelcowaną; i to było znakiem gracza do szabli, choć niejeden pod takim znakiem chodził tchórz jedynie dla tego, aby nie był napastowany.

Damy także stroiły się suto w pierścionki, kładąc czasem po dwa i trzy na jeden palec; szpinek pod szyją nie nosiły, zażywając gorsa otwartego; ale zamiast szpinki zawieszały na szyi łańcuszki złote, sznury pereł, aksamitki wąskie, brylantami nawlekane, od których spadał na piersi krzyżyk złoty, bogatym kamieniem oprawny. Korale były w modzie w początkach panowania Augusta III, potem przetykali je perłami, w ostatku w cale zarzucili, ustąpiwszy ich mieszczkom i Żydówkom. Szlacheckie zaś damy więcej ważyły nad korale perły woskowe, jakąś kompozycją światłą i twardą powlekane.

O tabace i tabakierkach

Jeden tylko chleb nie wychodzi z mody i podobno, jak nastał na świecie, zawsze jest jednakowy, a jeżeli dawniejszymi laty bywał inakszy od teraźniejszego, to odwołuję moje mniemanie; ja piszę to, com zastał na świecie.

Tabaka za mojej pamięci była najprzód prosta, z tytuniu w donicy wierconego robiona, do której dla tęgości owi wezwyczajeni chlipacze,

którzy woleli obejść się bez chleba niż bez tabaki, przydawali popiołu z skórek łoziny albo z grochowin palonego, aby im w nosie lepiej wierciała; potem nastała rapa, ta zaś była z tytuniu de St. Omer, na tarce blaszanej tarta; jako droższa od prostej tabaki, była tylko w używaniu możniejszych ludzi.

W początkach panowania Augusta III zjawiła się w Warszawie jedna Włoszka z miasta Sirakuzys, od którego mianowała się i pisała Syrakuzana; ale pospólstwo warszawskie, a od niego wszystko inne całego kraju, zepsutym słowem zwało ją Srajkozina. Ta tedy pani wymyśliła tabakę proszkową w takich ziarnach jak proch ruszniczny i takiego koloru; wchodziły do tej tabaki prócz tytuniu, który był pierwszą i główniejszą materią tabaki, lewanda albo też olejek pomarańczowy. Kiedy tabaka była zaprawna lewandą, zwała się lewandową; kiedy olejkiem pomarańczowym, zwała się pargamutą; do obudwóch zaś gatunków przydawano koperwas dla czarności i szczypania, urynę ludzką dla lipkości i lepszego granizowania się tejże tabaki. Jak proch ruszniczny jeden jest grubszy, drugi drobniejszy, tak też była i ta tabaka rozmaitej grubości pod numerami znaczona: Tabaka levando: No 2, No 4, No 8. Tabaka pargamuto: No 2, No 4, No 8.

Ta tabaka w krótkim czasie taki znalazła do siebie nacisk, że nie tylko w Warszawie nicht już więcej innej tabaki zażywać nie chciał, tylko proszkową, ale też kto tylko nawiedzał Warszawę, starał się, aby z niej bez tabaki proszkowej nie wyjechał. A lubo niektórzy kramarze przejęli sposób robienia proszkowej tabaki, nie mieli jednak na nią takiego pokupu jak pani Srajkozina; czy to pochodziło z uprzedzenia, czyli z doświadczenia lepszości jednej od drugiej, nie wiem, bom wtenczas tabaki nie zażywał; dosyć że tak było. Póki żyła Srajkozina, nicht jej szczęścia do tabaki wydrzeć nie mógł. Zrobiła sobie fortunę z tego mizernego proszku, kupiła sobie kamienicę i powydawała córki za szlachtę z dobrymi posagami.

Po śmierci Syrakuzany chwycił się tabaki proszkowej Fontana, znalazł odbyt; drugi za nim posunął się brat jego, a potem Bizesti; wszyscy mieli szczęście, poprzychodzili do wielkich substancyj, bo tabaka proszkowa, coraz bardziej wchodząc w używanie całego narodu, coraz też więcej potrzebowała fabrykantów. Już nie w kufrach i funtach, jak z początku prywatni, ale brykami wielkimi rozwozili ją po kraju handlarze i przekupniowie, biorąc atestata z fabryk o jej prawdziwości, które im służyły do przymięszowania tabaki, w domu na modę warszawską zrobionej.

Asystowało to szczęście tabace proszkowej ze dwanaście lat po śmierci Syrakuzany, po których razem tabaczników odstąpiło. Bądź ze złości, bądź z szczerości parobek jeden fabryczny od tej tabaki doniósł sędziemu marszałkowskiemu pod sekretem, że Włosi, fabrykanci tabaki proszkowej, mięszają do niej popiół palony z trupich kości, włosy końskie drobno strzyżone, urynę ludzką i bobki końskie tudzież koperwas. Sędzia marszałkowski kazał instygatorowi zapozwać do swoich sądów wszystkich fabrykantów tej tabaki. Wywiedli się oni z trupich kości, z włosów i limonij końskich, iż takowych ingrediencyj nigdy do tabaki nie potrzebowali. Na inne zaś zyskali zdanie doktorów, jako nosom ludzkim i zdrowiu nie szkodzą. Ale lud mając takowe świadectwa za przekupione i nie wchodząc w tę sprawę, a na samym ogłosie trupich kości i innych plugastw przestając, jak raz za odgłosem tego procesu tabakę proszkową porzucił, tak i po wygranej sprawie więcej się do niej wrócić nie chciał; rzucili się wszyscy i możni, i pospolici do tabak kafelkowych swojej roboty, z tytuniu prostego krajowego w kaflu – od którego nazwisko brała, albo w doniczkach wierconego. Szczęście dla fabrykantów tabaki proszkowej, iż ich ta fatalność wtenczas potkała, kiedy już znacznych podorabiali się fortun.

Po zniesieniu tabaki proszkowej i po .kafelkowych tabakach nastały tabaki zagraniczne, a te były de St. Omer, holenderka i hiszpańska. W największym używaniu była holenderka, przedawana w rufach małych i wielkich. Rufa mała ważyła funt jeden, za który płaciło się gr piętnaście. Duża rufa ważyła sześć, osiem i więcej funtów i podług tych liczby ceną wyżej wyrażoną płacona była; z tych ruf dopiero każdy podług swego gustu robił sobie tabakę. Hiszpankę przedawano już gotową, de St. Omer dwojako: i w funtach pulweryzowaną, i w sztangach, czyli rufach długich. Dalej zaś kupcy po sklepach korzennych dla pospólstwa z ruf robili tabakę tłuczoną w moździerzu na proch i przez sita przesiewaną. Tą tabaka była w używaniu do śmierci Augusta III.

Najdawniejsze tabakierki, które od dziadów dostały się wnukom i były używane w początkach panowania Augusta III, noszono srebrne, wewnątrz wyzłacane albo też nie wyzłacane, roboty rozmaitej, sztucznej i gładkiej, toż z perłowej macicy, z srebrnymi, złotymi i tombakowymi zawiaskami i opaskami; potem rogi, czyli rożki małe z wolowych rogów i łosich kopytków misternie wyrabiane, srebrem lub złotem oprawne i takimże kruszczem w rozmaite figury nabijane. Pospólstwo zaś używało rogów prostych, nieco spłaszczonych, i tabakierek blaszanych, które były dwojakie: jedne okrągłe jak jaszczyki do masła,

drugie podługowate, których jedna część wsuwała się w drugą na kształt szuflady; i gdy była wyciągnięta do połowy, otwierała okno do wzięcia tabaki; zsunięta do kupy – zamykała. Te tabakierki podługowate, z prostej białej blachy zrobione, ogromność pół gomółki wielkopolskiej mające, żółtymi lisztwami mosiężnymi po końcach i w oknie przyozdobione, były w używaniu nawet od dobrze majętnych osób. Wielcy panowie trzymali się tabakier srebrnych i z perłowej macicy.

Potem nastały tabakierki blaszane, czerwone lakierowane, okrągłe, z przydatkiem na niektórych jakiej sztuki malarskiej. Te tabakierki, choć z podłej materii, ale że sztuką przyozdobione, skoro się rozświeciły po sklepach norymberskich, tak przypadły do gustu, że zarzucono dla nich srebrne i perłowe. Służyły samym panom, którzy z początku płacili za jednę taką po dukatów dwanaście. Ale niedługo lakierowane tabakierki piastowane były w rękach pańskich; czym więcej się ich mnożyło, tym bardziej spadały z ceny, a gdy już bardzo zagęściły się w narodzie, panowie nimi wzgardzili, możniejsi toż samo; i tak od dukatów dwunastu spadłszy do jednego złotego, stały się galanterią samych tylko woźniców i innej podłej czeladzi, ale że i tym nietrwale służyły, jako towar słaby, nie będąc dłużej w używaniu nad sześć lat, w cale zaginęły.

Miejsce po lakierowanych czerwonych wzięły tabakierki czarne papierowe, po tych szylkretowe same przez się i masą papierową w różnych kolorach z wierszchu oblepiane, skąd stłuczeniu nie tak łatwo jak gołe podległe; z tymi razem były w modzie porcelanowe i miedziane, porcelaną z wierszchu i wewnątrz emilianowane, czyli szmelcowane; potem w najwyższym szacunku od samych tylko panów i ludzi majętnych noszone szczerozłote, robotą misterną ceny wysokiej kruszczowi przez się drogiemu przydającą, w rozmaity fason wyrabiane. Na ostatku między kosztowne sprzęty monarchów i wielkich panów weszły tabakierki brylantami kamelizowane. Lecz te nie były używane do tabaki, bo prędko ginęły od złodziejów kieszonkowych, ale tylko zdobiły szkatuły i skarbce pańskie, z których dostawały się w podarunki przyjaciołom lub sprawcom wielkich jakich interesów tudzież donosicielom pierwszym pomyślnych upragnionych zdarzeniów i tym podobnych okoliczności, tak jak i zegarki, i pierścienie. Pierścienie z portrecikami małymi pod szkłem lub kamieniem drogim nastały razem z tabakierami brylantowymi. Portreciki takie wielkości szeląga nazywały się miniaturą; zazwyczaj bywały królów, książąt, wielkich generałów i dam pierwszej urody. Obkładano je dokoła brylantami.

O kartoflach

Tacyt pisze, iż starodawnych Niemców pokarmem były poma agrestia, recens fera (jabłka ziemne, zwierzyna świeża). Nie odmienił się smak do tej strawy i teraźniejszym Niemcom; jest to i teraz ich specjałem z tą tylko różnicą, iż dawni Niemcy lubili zwierzynę świeżą, według słów Tacyta wyżej wyrażonych: recens fera, teraźniejsi zaś wolą skruszałą, gdy już swędzić zaczyna i gdy brzuszki ptastwa zielonego koloru nabywają. Jabłka zaś ziemne, czyli ziemniaki, a po teraźniejszemu kartofle, bądź świeże, bądź stare, w jednej utrzymując się porze, równą też apetytowi sprawują satysfakcją. To z okoliczności związku namieniwszy, przystępuję teraz do czasu, którego się kartofle w Polszcze i gdzie najpierwej zjawiły. Zjawiły się najprzód za Augusta III w ekonomiach królewskich, które samymi Niemcami, Sasami – ekonomistami osadzone były, a ci dla swojej wygody ten owoc z Saksonii z sobą przynieśli i w Polszcze rozmnożyli.

Długo Polacy brzydzili się kartoflami, mieli je za szkodliwe zdrowiu, a nawet niektórzy księża wmawiali w lud prosty takową opinią, nie żeby jej sami dawali wiarę, ale żeby ludzie, przywyknąwszy niemieckim smakiem do kartoflów, mąki z nich jak tamci nie robili i za pszenną nie przedawali, przez co by potrzebującym mąki przez się pszennej do ofiary ołtarzowej, mąką kartoflową, choćby i z pszenną zmięszaną, zawód świętokradzki czynili.

Powoli rolnicy w ekonomiach królewskich zaczęli od Niemców nabywać kartofli, od tych znowu pograniczni. Nareszcie gdy kartofle były znajome po Żuławach gdańskich, po Holendrach wielkopolskich i litewskich, gdy do Wielkiej Polski przyszło kilkaset familii Szwabów, którymi panowie niektórzy, a mianowicie miasto Poznań, wsie swoje całe, wypędziwszy dawnych chłopów polskich, poosadzali, ci przychodniowie, przyuczeni w swoich krajach żyć niemal samymi kartoflami, najbardziej do nich polskim chłopom, a od tych szlachcie apetyt naprawili, tak że na końcu panowania Augusta III kartofle znajome były wszędzie w Polszcze, w Litwie i na Rusi.

Póki nie znano kartofli, używano bulwów. Jest to owoc podobny do kartofli z tą różnicą, że jest ogromniejszy; pod jedną łodygą będzie czterdzieści i pięćdziesiąt bulwów, na kształt kłębka w kupę cienkimi jak nić wyrostkami splątanych; smak mają ten sam co kartofle, ale odor przeraźliwy, podobny do pluskwy. Łodyga bulwy wysoka na półtora chłopa, gruba na cal. Po zaplenieniu kartoflów zarzucono bulwy.

O zabawach domowych

Biała płeć szlacheckiej kondycji zabawiała się szyciem, haftowaniem na stębenku i krosienkach tudzież robieniem pończoch. Damy wysokiego urodzenia najwięcej zabawiały się wiązaniem siatki z cienkiej nici białej, której do stroju swego na głowę zamiast koronek i na fartuchy używały; oprócz tego niektóre pobożne robiły do kościołów alby, tuwalnie i ornaty. Taż sama zabawa była dam miejskiej kondycji majętnych.

Mężczyźni najwięcej bawili się polowaniem, które wszędzie każdemu po cudzych kniejach tak wolne było jak po swoich własnych; i nicht nie mógł zbraniać polowania sąsiadowi, a choćby i zza dziesiątej granicy przybylcowi, plądrującemu po swoich kniejach i polach. Wszakże tej wolności, prawem dla wszystkich pozwolonej, wielcy panowie nie dopuszczali nikomu w swoich dobrach, goniąc i bijąc takowych, którzy się w pańską knieją zapuszczać swoje myślistwo odważali. Z czego częstokroć przychodziło do zabójstwa, a potem do procesu prawnego.

Po odbytym myślistwie w wieczorne chwile bawili się Polacy rozmowami o szczęściu polowania, kuflem i kartami albo też warcabami lub kościami. Taż sama zabawa była w dni święte, w które się polować nie godziło, i w czasy nie służące do polowania.

Młodzież obojej płci zabawiała się różnymi igraszkami uczciwymi, a to w godziny wieczorne, najwięcej w dni uroczyste, aby w próżnowaniu nie nudziła. Te zaś igraszki działy się w obecności starszych, dozierających przystojności i z młodocianych krotofili ukontentowanie dla siebie znajdujących, a czasem do takich igraszek między młodzież mięszających się. Te zaś igraszki były: ślepa babka, gdy jedna osoba z zawiązanymi oczami póty musiała biegać po izbie, póki drugiej z kompanii grających nie złapała; ci zaś wszyscy, którzy grali, rozpierszchnąwszy się po izbie, powinni byli jękiem odzywać się ślepej babce; ale jęknąwszy, co prędzej uchodzili w inne miejsce, przeto trudne było schwytanie; złapany lub złapana musiał znowu biegać po izbie z zawiązanymi oczami, póki innej nie złapał osoby.

Druga igraszka zależała na pytaniach i odpowiedziach; na przykład pytanie wzięto: „Na co się słoma przyda?" – Każdy za koleją musiał odpowiedzieć, i to szło w kolej do kilku razy; więc kiedy się przebrało odpowiedzi coraz nowych, gdyż powiedzianych powtarzać nie wolno było, rosła trudność, zatem kto nie mógł wprędce odpowiedzieć, musiał

dać fant, który po skończonej grze musiał wykupić jaką pokutą, od siedzącej wedle siebie osoby naznaczoną. Która iż bywała nakazywana w alegorycznych terminach, osobliwie między dworakami, niejednego nowicjusza lub nowicjuszkę wstydu i mozołu nabawiła, na przykład gdy kazano przynieść węgiel rozpalony w uchu, a to znaczyło ucho u klucza, albo pokazać pannie wstydliwy członek lub gołe kolano, co znaczyło oko, łokieć u ręki. Która zaś tego nie wiedziała, zabierała się do ucieczki od takiego dekretu; toż dopiero naśmiawszy się z niej dopowiedziano, co miała pokazać. Tymi i tym podobnymi zabawkami zbywali chwile wieczorne młodzi ludzie, gdy im zbywało na lepszej zabawie.

O grach szulerskich

Na początku panowania Augusta III jeszcze były w używaniu po dworach (gdzie panowie chowali wielu dworskich próżniaków) pliszki i kości. Pliszki były cztery drewienka z rózgi brzozowej urznięte, rozpłatane na dwoje, na pół cala długie, grube jak pręt w miotle. Każda zatem pliszka miała jednę stronę płaską, drugą okrągłą; rzucali nimi z ręki na stół; kto urzucił do pary, dwie na jednę stronę wywrócone, ten wygrał; komu padły trzy jednę stroną, a czwarta inszą, ten przegrał; kto zaś urzucił wszystkie cztery na jednę stronę płaską lub okrągłą, ten brał stawkę dubeltową. Że te pliszki były łatwe do zrobienia i lada na czym można w nie grać było, dlatego były w częstym używaniu u pokojowców i tych wszystkich służalców, którzy musieli być na zawołaniu pańskim w przedpokoju.

Ci, co nie pilnowali pana, w stancjach swoich zszedłszy się jeden z drugim, ogrywali się z pieniędzy kościami. Kości były cztery sztuki na pół cala długie, na tyleż szerokie i na tyleż wysokie, czyli gruba, z kości wołowej wyrobione, z sześciu stron liczbami naznaczone, od jednej do trzech, a czwarta liczba krzyżyk, znacząca dziesięć, dwie zaś strony naprzeciw siebie były bez liczby. Kto rzucił większą liczbę, ten wziął stawkę; także komu padły wszystkie cztery kości stronami bez liczby albo samymi krzyżykami, ten za równo przegrał, jakby najmniejszą liczbę rzucił.

Szulerowie po miastach, po szynkownych domach najwięcej grali w kości; mieli tak sporządzone, iż im padały na stronę wygraną, któ-

rym sposobem, sobie samym wiadomym, ogrywali niewiadomych, do gry zwabionych.

Drugą grą były kręgle: w te najwięcej po domach szynkownych bawili się Niemcy, Sasi, rzemieślnicy i żołnierze; dla czego szynkarze, którzy mieli kręgle w podwórzu przy szynkownym domu albo w ogrodzie, mieli większy odbyt niż ci, którzy nie mieli placu do takiej zabawy. Czterech albo sześciu grali w partią na dwoje rozdzieleni, dwóch a dwóch lub trzech a trzech, rzucając kulą drewnianą do kręgli od mety na kilkanaście kroków długiej, za koleją jeden po drugim po trzy razy; która partia większą liczbę ubiła, ta wygrała i stawką się dzieliła; kto zaś za jednym razem wywrócił kulą wszystkie kręgle, jako też gdy samego króla wywrócił nie obaliwszy żadnego kręgla, już tym samym partia wygrana była. Obalony król z innym kręglem rachował się za dwa.

Ci zaś, którym się nie dostało grać w kręgle, czynili jeden z drugim zakłady o grających, iż ten ubije dwa albo trzy, drugi trzymał, że nie ubije; który zgadł, ten brał pieniądze; takowe zakłady zwali wetowaniem. Stawiali na nie szóstaki, tynfy, a czasem i talary. Chłopcy, posługujący grającym stawianiem kręgli i odrzucaniem kuli do mety, brali po groszu za każdą partią, a czasem i po szóstaku od szczęśliwego gracza. Liczba służąca do wygranej była dwojaka: jedna zamierzona, druga nie zamierzona; jeżeli gra była umówiona do liczby zamierzonej, kto więcej ubił, przegrawał tym samym partią; jeżeli gra nie była umówiona do pewnej liczby, nic nie szkodziło ubić jak największą. Szulerowie Polacy i Niemcy, co tylko kości kręgli pilnowali, mieli do obojga tak sprawne ręce, że im niemal zawsze padała wygrana; dlatego znający ich rzadko do swojej kompanii przyjmowali, chyba podpili, a przeto wiele o swojej zręczności trzymający, przypłaciwszy workiem takowego mniemania, a czasem i zdrowiem, gdy po przegranej nastąpiła zwada, a z tej rąbanina, bez której rzadko się kiedy gra w kręgle, gdzie się wmięszali szulerowie, kończyła.

Trzecią grą były karty; te były dawniej przed Augustem III znajome; ale iż sposób grania w nie niewielem był znajomy i rzadko gdzie w którym mieście dostać ich można było, dlatego szulerowie mało się nimi bawili, a do tego, że dawne gry, jako to: pikieta, chapanka, kupiec, były żmudne i deliberacji długiej potrzebujące, dlatego tym, co lubili prędką ekspedycją cudzych pieniędzy, nie smakowały.

Zagęściły się karty, a zaginęły pliszki i kości, gdy wymyślono grę rusa, potem tryszaka, do których nie trzeba było długich deliberacji, bo

cała rzecz zawisła na szczęściu. Kto miał w rusa trzy karty starsze albo maściste, w tryszaka trzy karty jednej figury, a jeszcze lepiej cztery, ten brał pieniądze. Stawkę też pieniędzy wolno było podwyższać coraz większą, zatem chęć pieniędzy prędkiego nabycia uczyniła karty niemal całemu narodowi znajome. Nawet i ci, którzy bez pieniędzy, tylko dla rozrywki chcieli się zabawić, porzucili dawniejsze sakibb, szachy i warcaby jako żmudne i melancholiczne, a wzięli się do kart. Fabrykant też kart, sprowadzony do Warszawy, ułatwił po większej części pierwszą ich trudność po całym kraju.

Gdy zaś w Paryżu wymyśloną grę faraona wędrownicy polscy przynieśli do kraju, tak się wszystkim podobała, iż ją na wszystkie kompanie, asamble, bale, reduty i same nawet królewskie pokoje przyjęto. Zrobił się z tej gry wielom stopień do fortuny, wielom do upadku, gdy w profesją szulerów, przedtem wzgardzoną i tylko między małym ludem zachowanie mającą, za pojawieniem gry faraona weszli ludzie dystyngwowani, a nawet najwięksi panowie stali się szulerami, ogrywając jedni drugich nie tylko z gotowych pieniędzy, ale nawet z nieruchomych substancji, z dóbr, z klejnotów i całej fortuny. Kiedy na jednę kartę wolno było stawić i tysiąc czerwonych złotych, i sto tysięcy, i przez jednę noc można było miernie majętnemu lub synowi szlachcica, wyprawionemu do dworu albo do palestry, ograć się do koszuli. Wielkich panów opanował jakiś szalony honor przegrywać w karty na jednej kompanii po kilka i kilkanaście tysięcy czerwonych złotych. Co zaś najdziwniejsza, że ci, którzy długów swoich płacić nie lubili, przegrane kwoty na kredyt z wielką punktualnością nazajutrz wygrywającym odsyłali. A jeżeli nie mogli zapłacić i byli zapozwani, tedy wszystkie magistratury takowe długi płacić i dobra tradować nakazywały.

Generał Rozdrażewski, osobliwszym szczęściem do kart obdarzony, z chudego pachołka przez szulerstwo w karty zrobił sobie kilkanaście milionów substancji ba Nie było pana ani panicza karty lubiącego, żeby go w znacznej kwocie nie urwał, bo jeżeli przegrał (co mu się nieraz trafiało), tak długo rewanżował, póki swoich pieniędzy z profitem nie odegrał. Między przypadkami jego szczęścia ten był osobliwszy; kupił dwie wsi w województwie poznańskim, powiecie kościańskim, pod Lesznem leżące: Gronówko i Górkę, za trzykroć sto tysięcy złotych od książęcia Antoniego Sułkowskiego, wyliczył mu sumę razem w kancelarii kościańskiej. Hajducy w kufrze odnieśli sumę do stancji Sułkowskiego i tyle tylko czasu była w ręku jego, ile zabrała transakcja przedaży i rezygnacji, po której uczynionej i odebranej generał Rozdra-

żewski honoris graba odprowadzii książęcia Sułkowskiego do stancji, a potem wywabiwszy go w karty, wszystkę sumę co do szeląga przez jednę noc wygrał na nim, tak że Sułkowski, zostawszy bez grosza, musiał na kartę od Rozdrażewskiego pożyczyć kilkaset czerwonych złotych z tych samych pieniędzy, które przed kilką godzinami jego były, a Rozdrażewski wjechał do wsi, nie dawszy nic za nie.

Po faraonie wymyślono inną grę, nazwaną kwindecz; ta równie była hazardowna jak faraon, można było i w tę przegrawać znaczne sumy, lecz iż potrzebowała większej umiejętności niż gra faraona i nie mogła być grana w większej liczbie nad pięciu, dlatego w mniejszym była używaniu. Faraon zaś, mało na umiejętności, a więcej na szczęściu zasadzony, zwabiał do siebie i umiejętnych, i nieumiejętnych.

Mariasz szlifowany wymyślony został na ostatku i służył tylko do zabawy, tak w pieniądze, jak bez pieniędzy, najwięcej czterem osobom. Panowie najmniej do kart przywiązani i szlachta tą grą najwięcej się bawili, jako nie mogącą uczynić wielkiej pieniędzy straty. Stawiano w tę prę najwięcej po złotemu i na stawkę po drugiemu; wygrawający jeden z drugim brał od przegrawającego złoty, który musiał także na stawkę stawić drugi, a kto wygrał wciąż ze trzema, zabierał wszystko, co na stawce było. Ta gra kończyła się do 131; kto się dograł prędzej tej liczby, ten wygrał. Sposób grania ten sam co pikiety, przydawszy do niego królów i wyżników, których gdy kto miał razem jednej maści, rachował ok dwadzieścia, a gdy miał kozerne, rachował ok czterdzieści i to się zwało mariaszem; dlatego zaś szlifowanym, że wyrzucali z gry te karty, które się za oka nie rachują, same szóstki zostawując dla skupowania karty świętnej. Kart do ręki brało się sześć i gra rozciągała się do dwóch razów; jeżeli zaś za jednym razem dograł się kto 131 ok, wygrał dublę i brał od przegrającego dubeltową płacą.

Kwindecz zawisł na dobraniu się piętnaście ok, przybierając coraz więcej kart do ręki po jednej i w nadzieję wygranej stawiając coraz więcej pieniędzy, aż do wielkich sum, osobliwie w zapale gry, a gdy nad piętnaście ok większą kartę dostał, przegrawał, czego obawiając się przestawał na mniejszej liczbie; a jeżeli grający z nim sadził większą stawkę, a drugi nie chciał dostawić, tedy ten, co stawił, zabrał, co było stawione pierwej, choć miał kartę mniejszą, której nawet nie był obligowany pokazać graczowi, nie dotrzymującemu podwyższanej stawki.

Faraon był otwarty. Jeden wysypawszy kupę dukatów na stół albo i monety, lubo ta rzadko się dawała widzieć po wielkich kompaniach, przerzucał karty francuskie, jednę po drugiej biorąc, na dwie kupki, z

których jedna była przegrana, druga wygrana; i zwało się to „ciągnąć bank". Osoby, które chciały grać z nim, otaczały stół, mając każdy przed sobą kartę, na której leżał czerwony złoty lub więcej; zapaleni gracze garściami czerwone złote na karty stawiali. Jeżeli karta taka, na jaką kto trzymał, padła na stronę wygraną, ciągnący bank płacił mu tyle, ile stało na karcie, a jeżeli padła na stronę przegraną, tedy każdy, który trzymał na taką kartę, oddawał to, co stawił, bankierowi. Ci, co grali przeciwko bankierowi, zwali się pontierami. Kiedy pontier, wygrawszy pierwszy raz, nie chciał wziąć wygranej, ale ją dostawiał na drugą wygraną, tedy załomał jeden róg karty. Wolno było drugi raz trzymać na inszą kartę, położywszy ją dla znaku na tej, która pierwszy raz wygrała. Więc gdy drugi raz wygrał, za jeden czerwony złoty brał cztery, co się zwało: „parol". Jeżeli znowu nie chciał brać pieniędzy, ale je zostawiał na trzecią wygraną, załomywał drugi róg karty, dalej trzeci aż do czwartego – a za każdym razem wygrana przyrastała we dwójnasób wyżej. Gdy zaś pontier przegrał czy pierwszy, czy czwarty raz, więcej nie płacił bankierowi, tylko pierwszą stawkę, wiele na nią postawił.

Że tedy jednym czerwonym złotym można było po czwartym zaparolowaniu wygrać kilkadziesiąt czerwonych złotych, dlatego najwięcej się osób do faraona cisnęło, i na tym szczęściu, niektórym sprzyjającemu, więcej się graczów oszukiwało. Bywały jednak i takie przypadki, iż bankier przegrał cały swój bank założony, osobliwie gdy go szulerowie albo gracze azardowni obstąpili. Druga rzecz nęcąca do faraona była ta, że wolno było każdego czasu każdemu do gry przystąpić i odejść od niej, toż samo bankierowi uczynić wolno było.

Gdy pontier stawiwszy kartę zawołał: „Wa bank!", wolno było bankierowi akceptować taką propozycją i nie akceptować. Jeżeli akceptował i przegrał, pontier bez rachunku zagarnął wszystkie pieniądze, które były na stole przed bankierem, a jeżeli wygrał, tedy rachował, wiele ich było, a pontier przegrawszy musiał wyliczyć tyło, wiele bankier narachował. Takowy zakład nie służył, tylko między osobami znajomymi, o których był pewny bankier, że są w stanie zapłacenia by też największej przegranej. I tać to samołówka najwięcej wyłupiała panów i paniczów z fortuny, bo zagrzawszy sobie trunkiem głowę albo graniem wolnym nieszczęśliwym zirytowawszy fantazją, a chcąc koniecznie przymusić sobie szczęście, zawołał: „Wa bank!", przegrał jeden i drugi tysiąc czerwonych złotych; chcąc powetować pierwszej przegranej, dalej drugi i trzeci raz: „Wa bank", aż o jednę noc przegrał dwa-

dzieścia i trzydzieści tysięcy czerwonych złotych. Tym tedy sposobem panowie tracili wszystkie swoje krociowe intraty, zadłużali dobra i wychodzili z nich w cale od dłużników naciśnieni.

Tak zaś chęć do grania w karty nagle i mocno opanowała cały naród, iż ledwo kogo nalazł z pierwszych i ostatnich, którzy by się nimi bawić nie lubili; z panów zaś wielkich i paniczów kto nie znal kart, kto się nie mógł pochwalić, że podczas publiki w Warszawie albo podczas kontraktów we Lwowie, albo na trybunałach nie przegrał lub nie wygrał w karty sta jednego i drugiego tysięcy, a miał po temu fortunę, ten był poczytany za grubianina i żmindę.

O redutach

Reduty zjawiły się najpierwej w Warszawie w średnich latach panowania Augusta III, odprawiały się tylko w jednym miejscu na całą Warszawę i tylko w zapusty, począwszy od Nowego Roku aż do Wstępnej Środy, dwa razy w tydzień: we wtorek i we czwartek. Wprowadził je i utrzymował przez lat kilkanaście sam jeden tylko Salvador, Włoch rodem, mięszkaniec warszawski. Ku końcu panowania Augusta reduty, w początkach samym tylko panom znajome, poczęły zwabiać do siebie i pospólstwo; już jedno miejsce było dla nich małe, przeto pan Salvador dostał emulantów, którzy przykładem jego reduty w kilku miejscach pozakladali. Nie tylko zaś co do liczby, ale też co do czasu rozszerzyły się reduty. Bywały pierwsze przez sześć tygodni przed adwentem, drugie przed wielkim postem w zapusty, jako się wyżej opisało; także żeby się do sytości tą zabawą ludzie nacieszyli, przydano redutom więcej dni, więc bywały w niedzielę, poniedziałek, wtorek, środę i czwartek; ledwo sobie swawolnicy dali czasu do wytchnienia przez piątek i sobotę. Nie mieli także dosyć zabawiać się redutami na jednym miejscu, ale się przejeżdżali z jednych na drugie, płacąc wszędzie nowe antre, czyli wchodne. Jeżeli zaś miał kto intencją powrócić na pierwsze reduty, z których wyjechał, to się opowiedział antreprenerowi i wziął od niego bilet, przeto powracając już nie płacił drugiego antre.

Nie godziło się wchodzić na reduty z bronią, także bez maski, czyli larwy, na twarzy. Tę jednak maskę osoby pierwszej rangi i szlachta, gdy chcieli, mogli zdjąć z twarzy, mogli jej nawet wcale nie kłaść na twarz, lecz dla zachowania postanowienia mogli ją przywiązać do ręki blisko – ramienia albo zatchnąć za kapelusz lub czapkę; ponieważ ma-

ska na to tylko była postanowioną, żeby równość między kompanią, za równe pieniądze cieszącą się, bez zniewagi lub ujmy honoru czyjejkolwiek mogła być zachowana. Człowiek podłej kondycji, jeżeli się demaskował, tym samym wyłączał siebie samego od społeczeństwa z zacniejszymi; ale póki był pod maską, nicht go nie mógł pogardzać i krzywdę mu czynić, choćby wiedział, że to człowiek podły, bez ściągnienia na siebie rygoru sądów marszałkowskich, pod których protekcją i za pozwoleniem dobrze opłaconym odprawiały się, obyczajami swymi, właśnie jak prawami kardynalnymi obwarowane, reduty. Szewc, krawiec i inny jakikolwiek rzemieślniczek, okryty maską, hulał sobie za równo z panami. Skoroby ją zaś zdjął i chciał się z kim godniejszym spoufalić, natychmiast zostałby zafrontowany.

Oprócz zaś gminu obojej płci, który się dlatego przez całe reduty nie demaskował, chodziły okryte maską i inne, dystyngwowane osoby, gdy poznanymi być nie chciały, Szpiegując mąż żonę albo amant amantkę i na wspak, z kim i czym się bawi. Którzy zaś nie mieli przyczyny tajenia się i szpiegowania, pospolicie po jednym lub drugim przeńściu się po pokojach zdejmowali maski z twarzy dla wolniejszego oddechu.

Zabawa redut była trojaka: taniec, gra w karty i przypatrywanie się jedni drugim. Chodząc po pokojach tam i sam, różne maski jedne drugich napastowały w dobry sposób, zatrzymując i zgadując, kto jest pod maską; ten zaś tając osobę swoją, potrząsając głową i mrucząc odmiennym głosem, zapierał się tej osoby, którą go być mniemali; i to była zabawka największa kobiet, gdy nie były w tańcu. Dla pierwszej pary mającej tańcować stało krzesło na sali; kto się chciał docisnąć do pierwszej pary w taniec, starał się usadzić damę swoją na tym krześle, z którą miał tańcować, stanąwszy sam przy niej; i gdy się tego domieścił, około czego trzeba się było nieleniwego zawinąć, już mu nicht nie brał pierwszeństwa.

Reduty bywały liczne na początku i na końcu; zjeżdżało się na jedne, pryncypałniejsze, po pięćset par masek, do tańca szło gazem po pięćdziesiąt par oprócz tych, którzy w osobnej pomniejszej sali rozmaite tańce cudzoziemskie tańcowali. W środku, gdy się nimi nasycili, nie bywało ciżby. Wtenczas najwięcej tylko ci służyli redutom, którzy dla zysku kart pilnowali, z kobiet zaś same wielkie panie, które chyba z przyczyny niezdrowia reduty opuszczały.

Na redutach po zapłaconym bilecie te dwie rzeczy służyły wszystkim w powszechności darmo: światło i kapela. Resztę trzeba było so-

wicie opłacić, której kto potrzebował do posiłku. Szklanki wody czystej nie dano tam darmo; trzeba było za nią, pijąc w kredensie tam, gdzie stała, dać dwanaście groszy, a jeżeli miała być przyniesiona do innego pokoju, to tak drogo jak zaprawna. Szklanka limoniady półkwartowa – tynfa, szklanka orżady mniejsza – tynfa, filiżanka herbaty – dwanaście groszy, filiżanka kawy – tynfa, filiżanka czokolady – dwa tynfy. Piwo krajowe na redutach nie było w modzie; oznaczało wieśniaka, kto go żądał. Piwa angielskiego butelka kwartowa – cztery tynfy; wina francuskiego do wody butelka takaż – dwa tynfy; wina węgierskiego, dosyć ordynaryjnego, butelka – osim tynfów, lepszego – czerwony złoty, szampańskiego butelka – czerwony złoty, ryńskiego – czerwony złoty, burgunskiego – dziewięć tynfów. Kapłon pieczony – taler bity, para kuropatw zaprawnych – czerwony złoty. Pieczeń cielęca w ćwiartce całkowitej – taler bity; w zrazach na półmisku – od osoby po tynfie, do czego dano po bułce chleba francuskiego. Wołowych pieczeniów i innych potraw grubych nie dawano. Kto chciał mieć kolacją z gorących potraw, miał ją zapłaciwszy od osoby po czerwonym złotym; kto zaś chciał tylko posiłku z samych zimnych rzeczy, dostał wszystkiego, czego chciał, szynków, ozorów, salsesonów etc., zapłaciwszy każdą rzecz.

Sług niczyich na reduty nie wpuszczano, ponieważ też tam żadnej usługi innej nie potrzebowano, tylko do jadła i napoju, do czego byli służebnicy antreprenera, czyli gospodarza redut. Jeżeli zaś kto potrzebował swego sługi w jakiej potrzebie, mógł wyniść z sali i tam go przywołać, ale nie dalej jak za próg przed wartę, ponieważ gdyby wyszedł dalej, tedy nie byłby wpuszczony na powrót na reduty, chyba za nowym biletem opłaconym. Jedzącym, pijącym i tańcującym ażeby nie schodziło na niczym do wygody, blisko sali redutnej był jeden pokój pełen na pawimencie stolców, a na półkach urynałów, gdzie goście składali ciężary natury.

Każdym redutom asystowała warta od gwardii koronnej przy drzwiach wchodnich: czterech żołnierzy za drzwiami, a dwóch przy tychże drzwiach, z jednym oficjerem w środku sali dla dozoru spokojności i przystojności. Kto hałas zrobił, natychmiast przez oficjera i żołnierzy był wyrugowany za drzwi; tam się musiał odmaskować, jeżeli był w masce; oficjer sądził o osobie i podług swego rozsądku z nią postępował. Jeżeli osoba wyprowadzona za drzwi uznana była za podlą, kazał wziąć dla wypoczynku po fatydze redutnej do kozy albo też w miejscu kijem wytrzepać plecy. Jeżeli hałaśnik był godny człowiek;

oficjer nie wchodząc w roztrząsanie uczynku tym go tylko ukarał, że go więcej na reduty nie wpuścił, a kłócący się z sobą nazajutrz krzywd swoich prawem lub pojedynkiem wetowali; tym drugim zaś sposobem najczęściej wtenczas, gdy w kłótnią wchodził dyshonor albo jaki afront damie wyrządzony. Przez ten sposób na redutach nigdy bitwy być nie mogło krwawej, bo wszyscy byli bez broni, i wszczęta – wprędce była żołnierzem uspokojona. Toż samo służyło do zachowania wszelkiej przystojności jeszcze z większym rygorem, bo nie tylko żołnierze, ale wszyscy redutnicy przykładali się do wyrzucenia z kompanii i okrycia guzami takiego, który się popełnić płochość jaką, wstydowi przeciwną, odważył.

Na złamanie wstydu młodzi ludzie mieli inny sposób: prócz salów i pokojów publicznych, dla całej kompanii otwartych, antreprenerowie zachowywali pokoje osobne pod swoimi kluczami. Kawaler umaskowany prosił o klucz do osobnego pokoju, dał od niego pięć, sześć i więcej czerwonych złotych powiadając, że chce w osobności wypić butelkę z przyjacielem lub w karty pograć. Antreprener nie wchodząc w roztrząsanie tego interesu – bo go dobrze rozumiał i był do niego ministrem – dawał klucz, kawaler osobę namówioną, pokręciwszy się z nią tam i sam po salach i pokojach otwartych, nieznacznie wprowadził do tego, od którego miał klucz, na który się zamknęli i odprawiwszy konferencją do kompanii powracali. To tylko było w redutach, co się złym i niegodziwym nazwać mogło, lubo nie wypadało z układu redut, ale szczególnym było wymysłem antreprenerów dla zysku swego i nie miało placu, tylko w jednej Warszawie, gdzie obszerne pałace dla redut najmowano. Inne wszystkie zabawy były uczciwe, a i ta, co za kluczem, tylko z samej suspicji za złą osądzona.

Drugi sposób do zażycia uciechy wstydliwej był takowy. Na dziedzińcu przed pałacem redutowym stały karety najemne przez całą noc dla odwożenia i przywożenia redutników. Kto tedy chciał ukraść cudzą żonę albo córkę na godzinę, sekretnie wyniósł się z nią z redut, czego w wielkiej kompanii dostrzec trudno było. Wsiedli do karety i albo się zawieźli do jakiego domu, z którego był kawaler lub dama, albo też kazawszy się wozić w karecie stangretowi po odległych ulicach, w niej się zjeździli i jakby nigdy nic powrócili na reduty, z osobna i nieznacznie jedno za drugim wchodząc między kompanią, między którą daremnie przez ten czas szukał mąż żony albo matka córki. „A gdzieś ty była?" – pyta znalazłszy. „Nigdzie – odpowiedziała śmiało – tańcowałam i chodziłam po pokojach. „– Na tym przestać musiała inkwizycja, nig-

dy w takim zawikłaniu nie docieczona. Takowa swawola była dopiero szczepem lubieżności, który się pod panowaniem następcy, Stanisława Augusta, rozkrzewił i rozrósł.*

Tym, co tylko gry kart pilnowali, od każdego stolika do kart, na długo czy na krótko potrzebowanego, trzeba było antreprenerowi zapłacić czerwonych złotych dwa wprzód, nim zasieść do gry, a już za tę zapłatę gracz najmujący stolika miał darmo świece do grania i kart jednę talią, którą po grze skończonej należało zostawić na stoliku z lichtarzami do świec i szczypcami. Taż sama zapłata należała, choćby gracz albo bankier wcale z nikim nie grał, dosyć, byle sobie kazał dać stolik i karty; jak się niejednemu trafiło, gdy wielu pozasiadało stoliki, a niejeden nikogo do grania z sobą nie dostał, to posiedziawszy godzinę jednę i drugą próżno, poszedł szukać szczęścia na inne reduty albo się zabawił tańcem z drugimi.

Zasmakowawszy sobie w redutach warszawskich, z całego kraju uczęszczający do tej stolicy obywatele i obywatelki roznieśli je po całym kraju. Przy końcu panowania Augusta III znane były w Poznaniu, w Lesznie, we Lwowie, w Wilnie. Kalkulowali sobie – nie wiem, czy rzetelnie, czy pochlebnie – obywatele, iż mniej ich kosztowały zapusty, odbywając je w mieście przy redutach z żonami i córkami, niż na wsi przyjmując kompanie z zgrajami ludzi i koni i to wszystko żywiąc, a przy tym dla dogodzenia ludzkości, pijatyką i niewczasem zdrowie fatygując. Lecz na takiej kalkulacji nieraz się omylili, kiedy, nie kontentując się ordynaryjnymi zabawami redut, skonfederowali się niejako i sprzysięgli na zbytki. Jeden wziął na siebie osobę kucharza i reprezentował ją z żoną i córkami, drugi piekarza, trzeci pasztetnika, czwarty cukiernika, piąty kawiarza, szósty winiarza, inny znowu kramarza w różnych drobnych fraszkach. I tak owi zmówieni między sobą szaleńcy te wszystkie wiktuały, trunki i rzeczy, jakoby na walnym zjeździe albo jarmarku, darmo rozdawali wszystkim, którzy do nich przychodzili, niby to na kredyt, mając w tym uciechę, że na próżne pasienie brzuchów osób, po części nieznajomych i niewartych takich przysmaków, po sto jedno i drugie czerwonych złotych przez jednę noc potracili. Mądrzejsi byli ci, którzy do takich trakterniów i kramów uczęszczali jedząc, pijąc i profitując z cudzego głupstwa.

W Poznaniu reduty nie bywały zbyt liczne, ponieważ szlachta nie chcieli się bratać z mieszczanami, a także szlachty nie mogło być wiele z jednego powiatu, przeto też i reduty nie bywały ludne. Przeciwnie, na miejskich kompaniach ludność bywała daleko większa, bo się na nie

cisnęli szlachta młodzież, których mieszczanie dobrze przyjmowali przez respekt wyższego stanu i że sobie mieli za honor, iż szlacheccy synowie z ich córkami bawić się raczyli, które domy szlacheckie niegodnymi swoich kompanii poczytały. Lecz te zabawy miejskie nie były redutami, tylko kompaniami składanymi.

O rugach

Rugami nazywano roztrząsanie instrumentów poselskich, zaświadczających ważne ich na tę funkcją obranie, same zaś takowe instrumenta zwały się lauda. Dawane były posłom na sejmikach zaraz przy ich obraniu, w których wypisywano nie tylko elekcją, ale też żądania województwa, powiatu, ziemi, a nawet i partykularnych osób, które żądania posłowie na sejmie popierać i do skutku przywodzić obowiązywali się; ale z trudna kiedy słowa dotrzymali, miasto zleconych sobie proponując inne, a na czas w cale przeciwne materie.

Najpierwszą tedy czynnością sejmową były pomienione rugi, dlatego tak nazwane, iż który poseł pokazał się być źle obrany albo kondemnatami okryty, był z liczby posłów wyrugowany. Na tych rugach nieraz dwa i trzy dni zeszło, kiedy posłowie dwoiści z jednego powiatu na sejm przybyli, każda partia pokazując swoje laudum za ważne, przeciwne zaś naganiając, albo też kiedy poseł mający na sobie kondemnatę został obranym na sejmiku, choć bez kontradykcji, dlatego że otrzymujący na nim kondemnatę nie śmiał się tam z nią popisować, aby nie był zrąbany, albo choć się popisował, to na nią nie zważano. Lecz tu dopiero, jako w miejscu od gwałtu wszelkiego bezpiecznym, zabiegł posłowi w oczy. Marszałek starej laski z postami, przeciw którym nie dała się słyszeć żadna protestacja, był sędzią zarzutów. A że pospolicie każdy czujący na siebie przeciwność, bądź słuszną, bądź niesłuszną, stara się o przyjaciół, którzy by go w złym razie ratowali, przeto pomienione rugi odprawiały się z wielkim hałasem i zamięszaniem izby, gdy z jednej strony do zepchnięcia poda z funkcji, z drugiej strony do utrzymania go forsa się natężała. W takowym razie przyjaciele z obu stron pracowali około pogodzenia przeciwników, zażywając do tego różnych sposobów: próśb, gróźb, obietnic i gotowych pieniędzy. Gdy wszystko nie skutkowało dla zaciętej strony, osobliwie gdzie magnata siła przeciw posłowi dowodziła, w takim razie okryty kondemnatą poseł lub źle obrany rad nierad musiał się wynosić z koła poselskiego.

Oczyściwszy się tym sposobem lub czystym pokazawszy każdy poseł, dopiero przystępowali do obrania nowego marszałka. Choć który miał na sobie proces przewiedziony albo kondemnatę, bez czego rzadko który bywał z wielkich panów, a i mierny szlachcic niejeden, tedy byle obiektant nie odezwał się przeciw niemu przed elekcją marszałka, już potem nic mu zarzucanie nie szkodziło, bo odpowiadała za niego i za nim cała izba, że już poseł wszedł in activitatem przez wotowanie na marszałka, więc go wyzuwać nie można. Zatem zarzucający umilknąć musiał, a poseł przy funkcji się utrzymał.

O sejmach

Dobry pan ze wszech miar August III był tak nieszczęśliwy, że za jego panowania trzydziestoletniego żaden sejm nie doszedł.

Dom Czartoryskich, zakrawając z daleka na detronizacją Augusta, aby zepchnąwszy go z tronu osadził na nim swego najmilejszego Adasia, wojewody ruskiego syna° (lubo mu się to nie udało), zrywał sejmy przez subordynowane osoby, zwalając winę na króla, utyskując na jego nieszczęśliwe panowanie, że nie masz w kraju żadnego rządu, że król jak bałwan bez znajomości interesów publicznych o niczym nie wie, na niczym się nie zna, że cały rząd królestwa oddał jednemu ministrowi, swojemu ziomkowi Sasowi"; że przeto wyuzdana wolność tak daleko się rozbrykała, że z lada pozoru odważa się targać wszystkie węzły i kluby prawa i nie chce dopuścić, aby przez sejm stała się poprawa nieładu i niemocy krajowej.

Prawdać to jest, że król sam przez się nie wdawał się w interesa państwa szczególnie, ale ile tylko mógł, starał się ogólnie, żeby Rzeczpospolita z nieładu dawnego przyszła do sprawy i do aukcji wojska. Nie wdawał się sam w układy i projekta, bo nie znał praw polskich, ale ile tylko mógł, łaskami swymi, szafunkiem urzędów i starostw ujmował tych wszystkich, którzy się do interesów publicznych zdatnymi być widzieli, godząc między nimi zawiści, uśmierzając niechęci uroszczone ku swojej osobie albo ku swemu ministrowi, bez którego jako Sas bez Sasa obejść się nie mógł, a który też w żaden sposób interesami polskimi bez rady i decyzji panów polskich nie tylko nie rządził, ale też bardzo gorliwie przy swoich zdaniach szczególnych nie obstawał, ogólnie tylko około tego pracując, żeby się panowie polscy aby na jeden sejm zgodzili i dojść mu pozwolili. Lecz to była robota próżna tak z strony królewskiej, jak z strony ministra jego i tych

z strony królewskiej, jak z strony ministra jego i tych wszystkich panów polskich, którzy wraz z królem około dojścia sejmów pracowali, bo partia Czartoryskich, radząc z nimi pospołu i układając materie sejmowe oraz utyskując wzajemnie na nieszczęśliwość sejmów, sekretnie obmyśliła każdemu zrywacza, który zapłacony kilkąset czerwonych złotych sejm zerwał i uciekł z Warszawy.

Do zerwania sejmu nie zażywano osób rozumem i miłością dobra publicznego obdarzonych, bo też tego i nie potrzeba było. Lada poseł ciemny jak noc, utrzymany tym końcem na sejmiku posłem przez partią Czartoryskich, nie szukając pozornych przyczyn, odezwał się w poselskiej izbie: „Nie ma zgody na sejm!" – i to było dosyć do odebrania wszystkim mocy sejmowania. A gdy go marszałek spytał: „Co za racja?" – odpowiedział krótko: – „Jestem poseł, nie pozwalam" – i to powiedziawszy usiadł jak niemy diabeł, na wszystkie prośby i nalegania innych posłów o danie przyczyny zatamowanego sejmu nic więcej nie odpowiadając, tylko to jedno: „Jestem poseł." A potem wymknąwszy się nieznacznie z poselskiej izby, zaniósł do kancelarii manifest o nieważności sejmu racjami w gabinecie Czartoryskich nataszowany i w ułożeniu swoim całkowitym podsunięty zrywaczowi.

Przyczyny używane do zerwania sejmu bywały czasem pozorne, jaka była natenczas, kiedy Moskwa, wojując z królem pruskim, rozpościerała się po całej Polszcze. Zrywacze sejmu użyli pretekstu tego, iż pod bronią obcego żołnierza wolność jest przyciśniona, a zatem sejm wolny być nie może, więc żaden być nie powinien. Czasem bywały w cale niezgrabne i obce, na przykład gdy w roku 1750 Rzeuski, wojewoda podolski, obmyślony ode dworu za marszałka sejmowego, na ten koniec złożył województwo, ażeby mógł być posłem, a zatem i marszałkiem. Partia dworowi przeciwna tego wynalazku transubstancjacji senatora w szlachcica, acz niezwyczajnego, ale nic dobru publicznemu nieszkodliwego, użyta za przyczynę do zerwania sejmu; który z tej jedynie przyczyny manifestem został oskarżony za nieważny. Z podobnejż przyczyny w r. 1762 sejm zerwany został, że ziemi warszawskiej stanął posłem na sejm syn grafa Brylla, ministra saskiego, który nie był szlachcicem polskim przez konstytucją; prawda, że nie był, ale za takiego uznanym był przez dekreta trybunalskie i jako szlachcic polski z Bryllów z Ocieszyna pochodzący wziął starostwo warszawskie; co większa, przysięgał na niego przed Poniatowskim, wojewodą natenczas mazowieckim, ojcem Stanisława Augusta króla, bez żadnej od kogożkolwiek kontradykcji. Miany był za polskiego szlachcica przez lat kil-

kanaście. Takich i tym podobnych przyczyn zażywali Polacy do zrywania sejmów.

Gdy zaś jednego roku panowie polscy z królem uwzięli się koniecznie zrobić sejm aby jeden, i już mu partie obiedwie dojście poślubiły, niesnaski wszelkie spomiędzy siebie dla dobra publicznego wygnawszy, zgoła gdy wszyscy szczerym i niezmyślonym sercem na oko sejmu pożądać zdawali się, a to było w roku 1746, najprzód zgodnymi głosami do laski marszałkowskiej zaproszonym został Lubomirski, starosta kazimierski, wielki jąkała w potocznej, a czysty krasomówca bez zająknienia w publicznej mowie; potem rugi uspokojone, materia aukcji wojska do 60 tysięcy uchwalona, płaca dla niego obmyślona, co wszystko w czasie sejmowi opisanym sześcioniedzielnym szło pięknie i nieprzerwanie. W ostatni dzień, gdy już więcej nie pozostawało do czynienia, tylko przeczytać całe dzieło i podpisać, posłowie rozmaici poczęli jeden po drugim w prywatnych materiach zabierać głosy tak długo, aż się dobrze zmierszchło, gdzie już ani czytać, ani pisać nie można było. Darmo marszałek prosił i wiele innych prosiło tych ichmościów oratorów, aby te prywatne żądania swoje do innego sejmu odłożyli, a teraźniejszemu dziełu zbawiennemu, długo pożądanemu, wziąć ważność swoję przez podpisy nie przeszkadzali; lecz tych próśb nie słuchano (bo już tym sposobem zepsuć sejm familia Czartoryskich postanowiła); póty perorowali, póki się dobrze nie ściemniało. Gdy już było należycie ciemno, perory się skończyły; marszałek tedy, ucieszony nadzieją dokończenia szczęśliwego, zawołał, aby przyniesiono świce. Lecz te i pochodnie po kilka razy przynoszone, z okrzykiem wielkim, iż się przy świecach sejmować nie godzi, za każdym razem we drzwiach izby poselskiej przez nasadzonych na to chustkami, czapkami i rękami były zagaszone. Siedział marszałek z posłami w ciemności do dziesiątej godziny, tentując co raz po jednym zgaszeniu innego światła; na ostatek widząc, że ta rzecz nie pochodzi od swawoli motłochu służebnego (jak zrazu rozumiano), ale jest ułożonym z góry sposobem na zepsucie sejmu, pożegnał i rozpuścił izbę, długą i wielce tchliwą mowę zakończywszy tymi słowy: „A kto temu okazją, stet diabolus a degtris eius."

Ten jeden tylko był sejm, który się ciągnął przez cały czas swój i skończył się, zostawszy niczym, bez manifestu. Inne sejmy czasem bywały zrywane wkrótce po obraniu marszałka, czasem i przed obraniem jego. Niektóre też wlekły się po dwie i trzy niedziele, mianowicie następujący w Grodnie po świczkowym warszawskim, gdzie winę ze-

rwania sejmu na króla pruskiego Fryderyka II składano, który na ten koniec kilku posłów przekupił. Z tych jeden, Rogaliński, sędzia ziemski wschowski, poseł wielkopolski, wziąwszy w nocy kilkaset czerwonych złotych od króla pruskiego, nazajutrz publicznie w izbie zabrawszy głos wyjawił jego przekupstwo i na dokument rzucił na środek izby z kieską wzięte pieniądze mianując i drugich, którzy pobrali, i prosząc ich, aby toż samo, co on uczynił, uczynili. Lecz miasto tego heroizmu powstała wielka wrzawa w izbie proszących o sąd na Rogalińskiego jakoby za kalumnią. Żwawe z tej i z owej strony utarczki, do tumultu bliskie, rozerwał marszałek solwowaniem sesji. A nazajutrz pokazał się manifest od trzecich osób uczyniony o nieważność sejmu. I tak, czy to była prawda, co Rogaliński zadał, czy sztuka na zepsucie sejmu, zostało uduszone i sejm z takiej racji zerwany.

Mówiono atoli i wtenczas, że król pruski nie wiedziałby, do kogo się udać z między posłów z swoimi pieniędzmi, gdyby nie był od magnatów informowany. I posłowie na takową zbrodnią, jaką było zrywanie sejmu, nigdy by się nie odważyli dla postronnej fakcji, gdyby wiedzieli, że wszyscy a wszyscy magnaci sejmu pragną; gdyż w takowym razie zrywacz sejmu, nie mający protektora, byłby nie puszczony z miejsca obrady i Bóg wie jak prześladowany i batogami zbity i zabity na śmierć, tak jak się wielom szlachcie trafiało, którzy się pańskim interesom sprzeciwiali; nicht by się nie ujął za jego zgubą, a choćby się jaki drugi chudeusz ujął, toby nic nie wskórał. Gdy zaś względem sejmów dochodzenia i niedochodzenia partie dworska z Czartoryskimi były rozdwojone, trudno było ścigać albo prześladować w jaki sposób ostry sejmu zrywacza, mającego pewną i mocną protekcją magnatów pod pozorem obrony wolności, bo to było hasłem powszechnym, a na tym zasadzali wolność, że szlachcic na sejmiku a poseł na sejmie z głosu swego nikomu sprawiać się nie powinien.

Wolno tedy było zrywać sejmiki i sejmy bezkarnie. I daleko było bezpieczniej zerwać sejm niżeli sejmik, bo sejm, jako z wyboru osób złożony, zachowywał cożkolwiek skromności (wyjąwszy dwa ostatnie: jeden na dwa roki przed śmiercią królewską, drugi konwokacyjny po jego śmierci, na których się do szabel porwano). Sejmiki zaś pospolicie odprawiane tumultem, przemocą i po pijanu, nieraz zrywającego, a nawet i przeczącego większemu zdaniu na szablach rozniosły, chyba że z dobranymi pomocnikami dopadł do kancelarii, podpisał manifest i nim się za nim z koła sejmikowego drużyna pijana wysypała, zdążył uciec z miejsca sejmiku. Wtenczas dopiero, obaczywszy manifest, wszyscy

jednostajnie osądzili, że nie można dalej sejmikować bez zgwałcenia prawa wolnego „nie pozwalam", które pospolicie nazywano pupilla libertatis, źrenica wolności. A jeżeli kontradycenta doszli, zrąbali lub też na śmierć zabili, nim zaniósł manifest, to pupilla libertatis miana była za zdrową i tatą, choć szablami pokrajana albo z okiem ze łba wycięta.

Jako do zerwania sejmu nie szukali mocnych przyczyn, tak tym mniej dbali o nie do zatamowania na jaki czas obrad albo jak natenczas makaronizmami łacińskimi sadzić było w modzie, do zatamowania izbie activitatem. Na jednym sejmie w roku 1758 Dylewski, poseł starodubowski, przez całe trzy dni trzymał izbę w takowym zatamowaniu za to szczególnie, że go pijarowie przez niewiadomość w kalendarzyku politycznym posłem nie wydrukowali, właśnie jakby staranie o kalendarzyków drukowaniu i ich nieomylności do Rzeczypospolitej należało. I nie dał się żadnymi prośbami osób najgodniejszych ubłagać, aże we wszystkich kalendarzykach jeszcze w drukarni będących omyłkę poprawiono i tak poprawiony kalendarzyk z najniższą deprekacją ks. rektor pijarski w sutej oprawie jemu ofiarował; dopiero się uspokoił i activitatem wrócił izbie. Koneksja drukarni pijarskiej do Rzeczypospolitej była takowa: pijarowie swoją drukarnią podług przywileju mianowali Drukarnią JKMci i Rzeczypospolitej, więc pan Dylewski connexe albo stosownie rzeczy biorąc, słusznie karał Rzecząpospolitą jako panią za winę jej sługi drukarni. Bo i to trzeba wiedzieć, że podług dawnego prawa musiał odpowiadać pan za występek sługi, tę też racją dawał pan Dylewski do zatamowania activitatis.

Drugi, Franciszek Czarnecki, cześnik i poseł wołyński na sejmie w roku 1746, zatamował activitatem izbie poselskiej przez dwa dni, że Wielkopolanie podali projekt do porównania podatków, chcąc, aby województwa ruskie takież podatki płaciły, jako i inne. Czego że przedtem nie płaciły, dlatego Czarnecki na nic pozwolić nie chciał, lecz temu starostwem rudzińskim prędko gębę zatkano. Takie tamowania activitatis całej izbie często się zdarzały; nawet gdy poseł, mówiący nieostrożnie, jakie słowo przeciw drugiemu uraźliwe powiedział, urażony natychmiast mścił się na całej izbie. Więc schodzili się do niego tam, gdzie on siedział, marszałek, posłowie, a na czas i delegowani z senatu, prosząc o przywrócenie activitatis; dopiero ten nadąsawszy się i nasapawszy do woli, nasycony prośbami i ukłonami, wracał activitatem. Toż dopiero dzięki w mowach owemu imci, który się zmiłował nad ojczyzną i przywrócił jej obrady, miasto tego, co by on był powinien,

na kolanach czołgając się od jednego do drugiego posła, przepraszać wszystkich za zmarnowanie złośliwe i głupie drogiego czasu. To tylko jedno wymawiać każdego takiego mogło, że ponieważ sejmy wszystkie na zerwanie były przeznaczone, zatem na jedno wyszedł czas: czy był dobrze, czy źle, czy na obradach, czy na próżnościach strawiony.

A gdy takim sposobem nie było żadnego pożytku z sejmów, przyszły też nareszcie do takiej pogardy, że arbitrowie, siedzący wysoko na ławkach, ciskali jabłkami i gruszkami twardymi na posłów perorujących, osobliwie gdy który prawił co lada jako. Trafiony w łeb, a jeszcze według mody panującej natenczas wygolony jak kolano, poseł wołał na marszałka: „Protestor, mci panie marszałku, o zniewagę charakterowi memu poselskiemu od arbitra uczynioną" – pokazując takowej zniewagi jawny i oczywisty dowód, świeży guz na czele lub – pod okiem siniec. Marszałek w samej rzeczy i wszyscy posłowie uznawali w tym rzucaniu obrazę majestatu Rzeczypospolitej, nie tylko głowy jmpana posła, dopraszali się na marszałku, aby takową swawolą arbitra przykładnie ukarał i od dalszych afrontów arbitrowskich osoby poselskie obronił. Lecz to sztuka była do dokazania niepodobna, żeby było można wyśledzić swawolnika, który w tłoku i w natężeniu wszystkich na prawiącego posła przez trzeci rząd siedzących rzuciwszy pocisk, siedział jak trusia. A choć też i postrzegł kto, to dla rozrywki, którą stąd wszyscy mieli, nie oskarżył ani nie wskazał. Zatem marszałek, nabiegawszy się po kole poselskim i nagroziwszy wszem wobec i każdemu z osobna tak płochemu najsurowszymi karami, gdy od nikogo żadnej nie wziął odpowiedzi ani śladu o winowajcy, zbył tym szarpiącego się z guzem posła: „Znajdź w.pan, kto w.pana uderzył, a obaczysz jego przykładne ukaranie" – a ponieważ ta kondycja była tak trudna posłowi, jako i marszałkowi, za czym musiał się uspokoić. Z tego był ten pożytek, iż poczęstowany tak poseł więcej się nie odezwał przez obawę nowego guza i wstydu z nim złączonego. Tym zaś, którzy gładko i do rzeczy perorowali, taka się zniewaga nie trafiała.

Arbitrowie, prócz ciskania na posłów, jeszcze innym sposobem przerywali posłom mowy, kiedy spychając jeden drugiego z ławy, a spadający chwytając się siedzących, razem kilku na ziemię spadło, z czego śmiech powszechny przerywał obrady. Taka była płochość w izbie poselskiej.

Sesje sejmowe pospolicie zaczynały się o godzinie dziesiątej lub jedenastej przed południem i trwały wciąż do godziny ósmej, a na czas dziewiątej i dziesiątej wieczornej; dla czego kto z arbitrów chciał się

znajdować na całej sesji; a bywało takich wielu, którzy bez przerwy diariusze pisali, musiał się wprzód wyczyścić dobrze z odchodów przyrodzonych, nim w izbie zasiadł; ledwo bowiem kto podniósł się z miejsca, wnet inszy, stojący przy nim i czekający na wakans, podsiadł go, albo ci, którzy siedzieli ciasno jak w prasie, miejscem tym opuszczonym nadstawili sobie wygodniejszego siedzenia; i to były przygody ustawiczne. Dla czego, kto chciał wygodnie siedząc atentować całej sesji, nie musiał wychodzić.

Posłowie dla potrzeb przyrodzonych mieli blisko poselskiej izby miejsce do tego wygodne. Jeżeli zaś kto z arbitrów miejsce poselskie zasiadł pod jego nieprzytomność, co się prędko trafiło (ponieważ i arbitrowie dystyngwowani tłoczyli się między posłów i siedziało to gdyby śledzie w beczce), tedy za powrotem posła musiał mu miejsce oddać. Druga nieprzyzwoitość była między posłami – piwo butelkowe, wtenczas będące w guście, musujące tak jak angielskie albo też w samej rzeczy angielskie. Posłowie po dobrych śniadaniach naturalnie cierpieli pragnienie; nie chcąc wychodzić z koła dla doku zawsze panującego, kazali sobie przynieść owego piwa; to w ręku niesprawnego służalca albo też filuta otworzone, z butelki musując gdyby z sikawki po głowach i sukniach jakiego takiego, poruszyło bliskich do ucieczki, a stąd do zamięszania i śmiechu całej izby, z przerwaniem nieraz mowy oratora, mianowicie kiedy filut hajduk, trzymając w jednej ręce szklankę, w drugiej butelkę, jakoby nie mając sposobu do zatkania, z umysłu tam z nią uciekał, gdzie było ciaśniej.

Arbitrowie dla miejsca przychodzili na sesją o godzinie siódmej rannej, z naładowaną kiszką przychodzić tam i zostawać aż do wieczoru nie było bezpieczne dla stracenia miejsca wygodnego (jako się wyżej rzekło), więc głód dokuczał po trosze arbitrom; ale można go było uspokoić wziąwszy z sobą jaki delikatny posiłek do kieszeni albo też kupiwszy go sobie w izbie poselskiej, w której nieprzestannie przedający przekupniowie i przekupki, chłopcy i dziewczęta obnosili dokoła ‚ławek rozmaite frukta, ciastka i cukierki; sami nawet posłowie, zwoławszy przedającego lub przedającą do koła, te fraszki kupowali i jedli, mianowicie posłowie młodzi i w czasy gorące sejmów ekstraordynaryjnych, latem zazwyczaj składanych.

Póki trwała sesja w izbie poselskiej, póty siedzieli i senatorowie w senacie z królem, który zazwyczaj aż do obrania marszałka dosiadywał do końca; po obraniu marszałka przyjechawszy co dzień na sesją i posiedziawszy godzinę jednę i drugą, gdy nie było żadnej materii w izbie

poselskiej skonkludowanej, odjeżdżał do swego pałacu, będąc gotowym powrócić zaraz do senatu, skoroby izba poselska do złączenia się z senatorską przychodziła. Co się trafiało, czyli należało z prawa: najprzód po obraniu marszałka, potem za każdą materią w izbie poselskiej skonkludowaną.

Ceremoniał łączenia się izby poselskiej z senatorską był takowy: najprzód obrawszy marszałka posłowie i toż samo ubiwszy jaką materią, wyprawiali spomiędzy siebie po dwóch lub po czterech posłów z każdej prowincji z doniesieniem królowi JMci i senatowi o rzeczy, która się stała. Posłowie, przyszedłszy do senatu, meldowali się marszałkowi wielkiemu koronnemu, z czym przyszli; marszałek wielki oznajmił to całemu senatowi, król z senatem kazał posłów prosić do środka, co marszałek w kilku słowach uczynił. Delegowani, stanąwszy w izbie senatorskiej, przez jednego spomiędzy siebie wybranego oznajmili senatowi przyczynę przyńścia swego; po skończonej mowie delegata kanclerz wielki koronny od tronu, a marszałek wielki koronny od całego senatu odpowiedzieli delegowanym ukontentowanie swoje z tak pożądanej nowiny. I zaraz kanclerz wielki koronny imieniem królewskim mianował senatorów po dwóch z każdej prowincji do izby poselskiej, zapraszając jej, ażeby się z senatem złączyła.

Za złączeniem izby poselskiej z senatorską marszałek sejmowy miał mowę do króla i senatu, oznajmując o swoim wybraniu do laski, dokładając w tym oznajmieniu usilność chęci swoich, iż będzie chciał ze wszystkich sił swoich pracować około dobra publicznego wraz z godnymi kolegami swymi. Kanclerz wielki koronny, imieniem królewskim wysadziwszy się na pochwały jak najokazalsze marszałka sejmowego i wszystkich posłów, zaprosił wszystkich do pocałowania ręki królewskiej; po skończonym ucałowaniu wracali się posłowie do swojej izby. I taki ceremoniał był zawsze, wiele razy izba poselska łączyła się z senatorską, czy to po obraniu marszałka, czy po innej jakiej materii skonkludowanej, jako się wyżej rzekło.

Ani król, ani senat nie mieli vocem activam, dlatego w izbie senatorskiej żadnych ustaw nie pisano; całe prawodawstwo, zostając w stanie rycerskim jedynym, w izbie poselskiej swój plac miało. Gdzie po prawej ręce wejścia do izby poselskiej stał, na boku koła poselskiego, stolik mały, kratą drewnianą w czworogran ścienny otoczony dla tłoku zabronienia, przy tym stoliku zasiadał sekretarz sejmowy i delegowani do zapisowania konstytucji, nad nimi zaś wyżej trochę, w pół osoby, była ławka, miejsce ordynaryjne

posłów ziemi wieluńskiej. Ta prerogatywa dostała się za to Wielunianom, że raz (podług tradycji) dostrzegli fałszu w konstytucją mimo wolą sejmujących wpisanego i o tym ostrzegli izbę, za co w nadgrodę otrzymali na wieczne czasy to miejsce górujące nad piszącymi konstytucją; nie było albowiem natenczas w modzie drukować projektów ani nawet pisać, wszystko się głosem robiło; a co się zrobiło, to publiczne pióro sejmowe zapisowało. Dlatego łatwo się przewrotność w ustawę sejmową zakraść mogła, gdy tego, co czytał sekretarz, nie każdy mógł dosłyszeć przy wrzawie i szemraniu; czytanie zaś przez każdego posła napisanej konstytucji wiele by było zabierało czasu i uwłaczałoby wierności przysięgą zaręczonej delegowanym.

W senacie nad przyniesioną konstytucją jeżeli który senator albo minister czynił jaką refleksją, to tylko w sposobie radzącym, i to zwało się mówić passive, a najwłaściwiej zwać by się powinno praecative, czyli prośbownie, bo senator inaczej mowy swojej nie mógł konkludować, tylko prośbą izby poselskiej, ażeby to, co mu się zdawało być krzywo postanowionym, poprawić raczyła. I gdy takie prośby były od tronu i wielu senatorów popierane, czasem skutek wzięły, czasem nie, ponieważ wszystkie ustawy od jednostajnej zgody posłów zawistały; przeto, gdy choć jeden sprzeciwił się poprawie, musiało tak zostać, co było uchwalone, jak było pierwszy raz za zgodą wszystkich napisane.

O sesjach prowincjonalnych

Jeżeli się sejm ciągnął, jakoż bywało, że się ciągnął i kilka niedziel, nim został zerwany, tedy po zagajeniu albo raczej po wniesieniu materii sejmowej, gdy ta została przyjęta od całej izby poselskiej, rozchodzili się posłowie na sesje prowincjonalne, a tymczasem sejm in pleno był zalimitowany do dni umówionych, pospolicie trzech lub czterech. W te dnie król z senatorską izbą miał spoczynek. Lecz senatorowie, interesujący się do materii wniesionej, końcem utrzymania onej lub zepsucia nie zaniedbali bywać na sesjach prowincjonalnych, przebiegając z jednej prowincji do drugiej. I lubo sami nie mogli tam nic poczynać active, tak jako i na sejmie, przez przyjaciół atoli rady, szepty, obietnice i poduszczenia zmacniali albo psuli interes publiczny. Tenże sesje prowincjonalne odprawiały się po klasztorach, pospolicie u dominikanów-dyspensatów, bernardynów, kapucynów, reformatów, karmelitów bosych, z przyczyny obszerniejszych w nich niż w innych

refektarzów, bibliotek i innych oficyn. Po odbytych sesjach prowincjonalnych na dzień limicie naznaczony zjeżdżali się znowu posłowie na zamek do poselskiej izby, gdzie materie na sesjach prowincjonalnych ułożone in pleno roztrząsali i konkludowali. A jeżeli się układ jednej prowincji przyniesiony nie podobał drugim prowincjom i został odrzucony, to taką materią w izbie poselskiej na inną modę przerabiano. Tak postępowano za każdą materią.

Trzeci i najmocniejszy bywał zjazd u tych panów, którzy trząsali Rzecząpospolitą i od których partiami dependowali posłowie; jak tu uradzono, tak było i na sesji prowincjonalnej, i w poselskiej izbie. Partia dworska i partia Czartoryskich były to dwie strony, na które dzieliła się cała Rzeczpospolita.

Jeżeli się znajdował który poseł nieinteresowany do żadnej przez swoją podczciwość albo też małoważność, to wolał odpocząć sobie wtenczas w stancji lub jakiej zażyć rozrywki niż w zgiełku obrad, po całych nocach trwających, pocić się nad rzeczą, która na niczym przez zerwanie sejmu skończyć się miała.

Może sobie w tym miejscu pomyśleć Czytelnik: jeżelić każdy sejm koniecznie zerwanym zostać musiał, na co się przydało tak pracować około niego? Odpowiadam: partia dworska, mając chęć i nadzieję utrzymania aby jednego sejmu, szczerze i z całych sił swoich około niego pracowali. Partia zaś Czartoryskich przeznaczywszy go do zerwania, ale żeby się z tym nie wydała, przekupiwszy i nająwszy już jednego pewnego zrywacza lub czasem kilku, z resztą przyjaciół swoich, zdrady niewiadomych, robiła to wszystko, co dworska partia; znosiła się z nią, podawała jak najlepsze projekta, upartych posłów godziła i ujmowała i po zerwaniu sejmu zarówno z partią dworską nad losem nieszczęśliwym ojczyzny ubolewała. Jakże się tedy złość jej wydała? Oto tak, że wiele razy chciano ścigać posła zrywającego sejm jako zdrajcę ojczyzny i przymusić go, aby dał przyczynę postępku swego, zawsze się z strony Czartoryskich takiemu żądaniu sprzeciwiono i żwawie oparto pod pozorem, iżby takowe poda ściganie byłoby gwałtem wolności.

O senatus konsyliach

Po każdym zerwanym sejmie następowało senatus consilium, na którym obmyślano materie do przyszłego sejmu, przyjmowano posłów

zagranicznych, najczęściej tureckiego i tatarskiego, i dawano inwestyturę książętom kurlandzkim; także przez senatus consilium nominowano senatorów, którzy mieli zostać przy boku królewskim, sędziów pogranicznych i jednego z biskupów na prezydenta do komisji radomskiej. Trwało senatus consilium dni pięć; król zawsze na nim zasiadał. Dobry ten monarcha czynił wszystko z siebie, co tylko był powinien; nawet gdy czasem wypadła jaka pilna potrzeba rady senatu, zjeżdżał na nią aż z Saksonii, czasem do Warszawy, czasem tylko do Wschowy, skąd, odbywszy radę senatorską, wracał się do Saksonii, w której pospolicie mięszkał, wyjąwszy te czasy, kiedy przypadały sejmy, na które wcześnie zjechawszy do Warszawy, mięszkał w niej najkrócej ćwierć roku.

O OBYCZAJACH CHŁOPSKICH

Ile zapamiętam, chłopski strój co do kroju był ten sam, który jest dzisiaj. Każda jednak prowincja, a niemal każde województwo miało swój krój osobliwy. Ruski chłop nosił, jak i dziś nosi, żupan, czyli siermięgę z prostej wełny białej, w stanie przestrony, z rękawami przestronymi, do pół goleni długi; pod siermięgą, czyli żupanem, koszula czarna gruba, w drodze dalekiej łojem kozłowym dla wstrętu gadowi wysmarowana, w spodnie wpuszczona. Spodnie płócienne, częstokroć dziegciem kapiącym z wota i słoniną na tychże będącą stłuszczone, wielkie, szerokie jak tureckie szarawary, między nogami jak torby wiszące, w zimową porę habiane, czy li sukienne grube, takiegoż kroju; na nogach kurpie skórzane albo łyczane chodaki, sznurkami do stopy w szmatę obwinionej poprzywiązowwne; takimiż sznurkami noga po spodniach do wpół łydki obwiniona. Pas na sukni albo na koszuli pod suknią wełniany domowej roboty, najczęściej z czerwonej wełny. Czapka na głowie wysoka z czarnem baranem wąskim, z czerwonym wierszchem sukna francuskiego. Broda u niektórych golona, u niektórych, osobliwie pasieczników, zapuszczona.

Idący w daleką drogę mieli na zapas po kilka par chodaków łyczanych i te pospolicie niósł, każdy swoje, na plecach powieszone. Kurpiów na zapas nic brali, na których zdartych miejsce obuwali chodaki łyczane, a jeżeli gdzie dopadł Rusin jakiej zdechlizny, to wyrznąwszy z niej kawał skóry, łatwo sobie zrobił kurpie nie potrzebując do niej żadnego majstra ani musztry szewskiej. Jak w podróży, tak w domu strój jednakowy, z tą różnicą, iż do kościoła na większe święta używali botów i odziewali się w suknie lepsze i czyściejsze; latem kapelusz słomiany na głowie, w ręku kijek cienki miasto laski.

Krakowski chłop nosił suknią szarą wełnianą, sznurkiem włóczkowym około szyi i po bokach, z kutaskami różnego koloru bramowaną; kołnierz u sukni potężny, wiszący, całe plecy ukrywający, pas rzemienny goździkami żółtymi nabijany, im więcej rządków gwoździków znający, tym droższy, na sprzączkę stalową albo mosiężną zapinany; przy prawem boku do pasa przyprawione na rzemieniu kółka płaskie mosiężne, dwa, trzy i więcej, do pięciu i sześciu dla ozdobi; i wygody, ponieważ zwykli byli do tych niektórych kółek przywięzywać nóż, szydło, końce do biczów lub jakie rzemyki smagłe. Koszula gruba do

roboty, cieńsza do kościoła, na spodnie sukienne albo parciane wypuszczona, nad kolano krótka, czapka czerwona, wysoka z czarnem baranem wąskim, latem słomiany kapelusz.. Laska drewniana krzemieniem nasadzana; który krzemień zasadzali za skóre drzewa na pniu stojącego; gdy już dobrze wrósł krzemień w drzewo, dopiero go spuszczali i lasko robili. Takiegoż kroju sukni majętniejsi używali z sukna kramnego granatowego koloru, szamerowanej sznurkiem odmiennym, z kutasami włóczkowymi i różnego koloru po bokach i około szyi, ale u tej sukni nie dawali kołnierza na plecach wiszącego, używanego tylko do siermięgów, przydawszy do sukni guzików cynowych, wiszących rzędem od kołnierza do pasa.

Mazowiecki chłop stroił się w siermięgę szarą lub białą, z łapkami czerwonymi lub zielonymi, czasem sznurkiem obwiedzioną, czasem bez sznurka, w koszulę grubą, do roboty na spodnie wypuszczoną, do kościoła w spodnie schowaną; w spodnie do roboty zimą i latem parciane, do kościoła – w granatowe sukienne. Używali także majętniejsi do kościoła żupanów z sukna kramnego, najwięcej granatowych, najmniej zielonych, do których przydawali wyłogi czarne aksamitne, otwarte jak u kontuszów, i po dwa guzy cynowe; pas czerwony lub w paski żółte z czerwonymi, tkany taśmową robotą, w kilkoro obstający; na nogach do kościoła bot, latem przy robocie bosa noga. Czapka na głowie różnego koloru, niska, grubo pakułami wysłana, za szyszak od pałki służąca, z baranem szerokim, pospolicie czarnym, w ręku kij gruby, dębczak albo świdłak, kołtonów pełna głowa; które kołtony lubo się znajdują w całej Polszcze i Litwie dosyć obfito, biorąc jednak proporcją do innych województw, można twierdzić, że w Księstwie Mazowieckim, osobliwie między chłopstwem, samo centrum i korzeń powszechny sobie założyły tak dalece, że między trzema głowami chłopskimi dwie musiały być kołtonowate. Ledwo dziecku głowa porosła włosami, zaraz się zwijała w kołtony rozmaite: drobne, grube, pojedyncze, na kształt czapki, podzielone w sznury gładkie albo też na końcach węzłowate. Czy to pochodziło z natury, czy z niechlujstwa, zostawuję rozwiązanie tego zdania lekarzom.

Mazurowie latem używali kapeluszów prostych wełnianych, białych albo szarych, rozpuszczanych, albo słomianych...

na tym rękopis urywa się